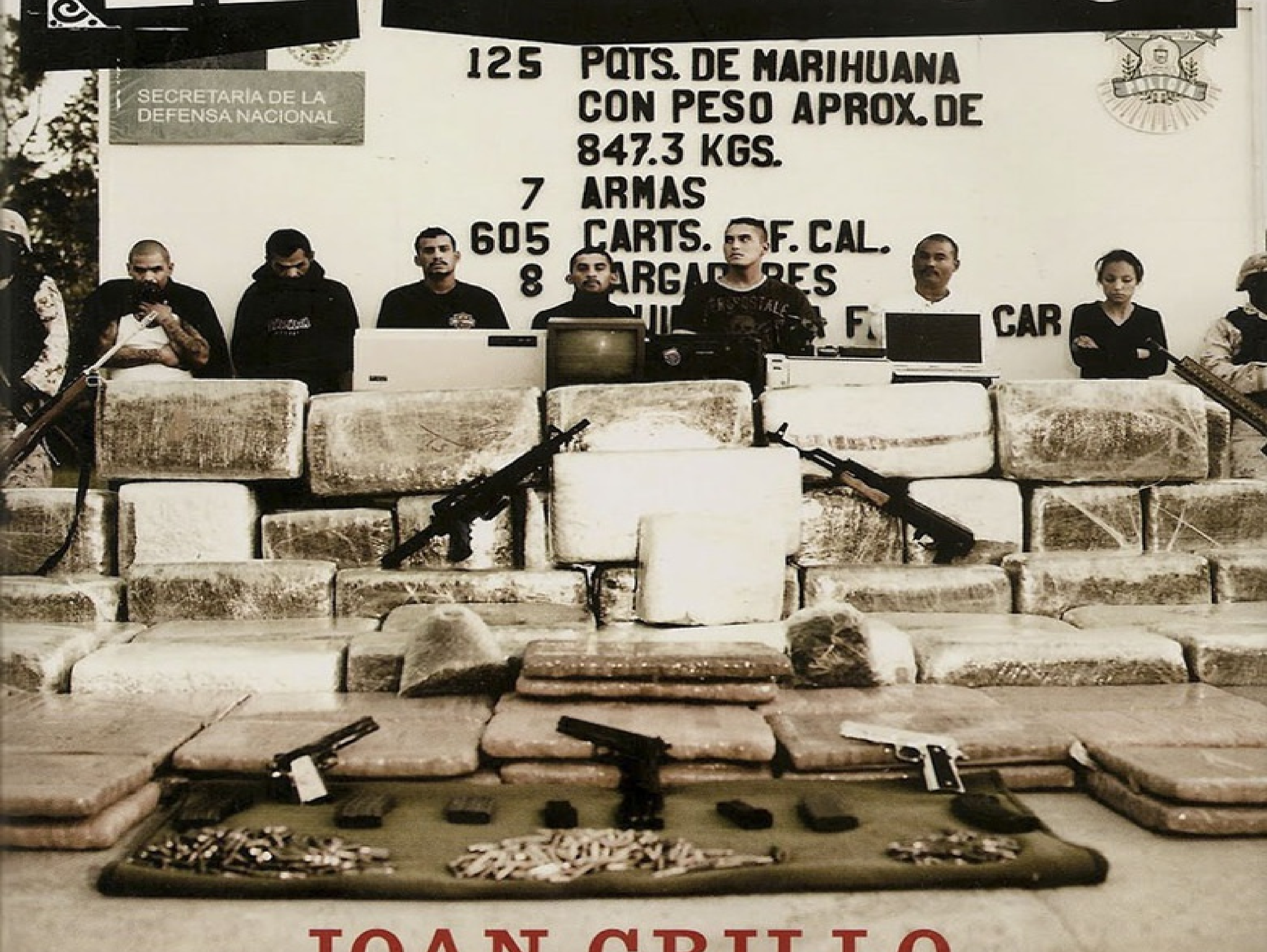
Nartotykowy zamach stanu w Meksyku

EL NARCO



IOAN GRILLO

IOAN GRILLO

EL NARCO

Narkotykowy zamach stanu w Meksyku

Z angielskiego przełożył
Andrzej Górka

REMI

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

Duchy

To było jak zły sen.

Sen wyraźny i surowy, ale też w jakiś sposób nierzeczywisty, jakby Gonzalo oglądał te wszystkie przerażające rzeczy, unosząc się ponad wszystkim. Jakby to ktoś inny brał udział w strzelaninach z zamaskowanymi policjantami w biały dzień. Ktoś inny wpadał do domów i wywlekał z nich mężczyzn przy wtórze krzyku ich żon i matek. Ktoś inny przywiązywał ludzi taśmą montażową do krzeseł, głodził i bił ich przez wiele dni. Ktoś inny łapał maczetę i rozrąbywał im czaszki, gdy jeszcze żyli.

Ale to działo się naprawdę.

Gonzalo twierdzi, że wtedy, gdy to robił, był innym człowiekiem. Wtedy był człowiekiem, który palił crack i pił whisky każdego dnia, człowiekiem, który cieszył się władzą w kraju, w którym biedni nie mają jej wcale, człowiekiem mającym najnowszy wóz i mogącym płacić za całe domy gotówką, człowiekiem, który miał cztery żony i całą masę dzieci... Był człowiekiem bez Boga.

„W tamtych czasach nie znałem strachu. Nie czułem nic. Nikomu nie współczułem”, mówi wolno, jakby łykał niektóre słowa.

Od czasu, gdy policjanci wybili mu zęby, by zmusić go do zeznań, jego głos jest wysoki i nosowy. Twarz nie zdradza emocji. Na początku nie dociera do mnie waga tego, o czym mi opowiada – muszę później odtworzyć nagranie wideo naszego wywiadu, by spisać jego słowa. Kiedy nagle widzę dookoła siebie rzeczy, o których mówił, odrywam się od pracy, czując obrzydzenie.

Rozmawiam z Gonzalem w więziennej celi, którą dzieli z ośmioma innymi więźniami, pewnego słonecznego czwartkowego ranka w Ciudad Juárez, najbardziej nasyconym zbrodnią mieście na Ziemi. Jesteśmy niespełna trzy mile od granicy ze Stanami Zjednoczonymi i Rio Grande, która znaczy Amerykę Pół-

nocną niczym bruzda dłoń. Gonzalo siedzi na łóżku w rogu i ściska ręce między kolanami. Ubrany jest w prosty biały podkoszulek opinający wydatny brzuch, mocne barki oraz mięśnie, które wypracował jako nastoletnia gwiazda futbolu amerykańskiego i które nadal są w formie, mimo iż skończył już trzydzieści lat. Ma prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, wygląda władczo i wydaje się, że dominuje nad kompanami z celi. Jednak gdy ze mną rozmawia, jest skromny i otwarty. Ma kozią bródkę i wąsy. Jego spojrzenie wyraża koncentrację i siłę, ma oczy osoby bezwzględnej, w których widać też jednak cierpienie.

Gonzalo przez siedemnaście lat pracował jako najemnik, porywacz i morderca dla meksykańskich gangów narkotykowych. W tamtym czasie zabił więcej ludzi, niż może zliczyć. W większości krajów uchodziłby za groźnego seryjnego mordercę i siedziałby za kratami najlepiej strzeżonego więzienia. Jednak w dzisiejszym Meksyku seryjnych morderców są tysiące. Przepełnione więzienia stały się arenami krwawych jatek: w pewnych zamieszkach zginęło dwadzieścia osób, w innych zamordowano dwadzieścia jeden, w jeszcze innych dwadzieścia trzy. Wszystko to w zakładach nieopodal tej samej przeklętej granicy.

W tych splamionych krwią murach jesteśmy w miejscu wyjątkowym – skrzydle dla nawróconych chrześcijan. Mówią mi, że to „królestwo Jezusa”, w którym wszyscy stosują się do zasad „boskiego porządku”, inne skrzydła tego więzienia podzieliły między siebie gangi: w jednym władzę sprawuje Barrio Azteca, pracujący dla Kartelu Juárez, inne znajduje się pod rządami ich najzacieklejszych wrogów, gangu Artist Assasins, wiernych Kartelowi Sinaloa.

Trzy setki więziennych chrześcijan starają się żyć pozą tą wojną. Nazywają się Wolni w Jezusie (Libres en Cristo), ta zrodzona za kratami sekta czerpie swoje radykalne idee z repertuaru chrześcijańskich fundamentalistów z Południa Stanów. Przed spotkaniem z Gonzalem jestem świadkiem ich mszy. Pastor, skazany za handel narkotykami, przeplata historie wprost ze starożytnej Jerozolimy ostrymi opowieściami z życia na ulicy, mówi

slangiem i zwraca się do wiernych „druhowie z *barrio*". Pieśniom akompaniuje kapela mieszająca rock, rap i muzykę *norteño.* Grzesznicy nie pozostają obojętni, tańczą w uniesieniu, modlą się z zamkniętymi oczami, zgrzytają zębami, pocą się obficie i unoszą ręce ku niebu – starają się zaprzęgnąć duchową siłę do wygnania swoich wewnętrznych demonów.

Gonzalo ma ich więcej niż inni. Do więzienia trafił rok przed naszym spotkaniem i wkupił się do „skrzydła chrześcijan", licząc na to, że znajdzie tu chwilę wytchnienia od wojny gangów. Kiedy jednak słucham uważnie wywiadu z nim, wydaje mi się, że mówi, jakby jego serce naprawdę należało do Jezusa i naprawdę modlił się o zbawienie. Rozmawiając ze mną – wścibskim angielskim dziennikarzem grzebiącym w jego przeszłości – tak naprawdę spowiada się Jezusowi.

„Spotykasz Jezusa i widzisz to na nowo. Jesteś przerażony i zaczynasz myśleć o tym, co zrobiłeś. Ponieważ to było złe. Myślisz o tych ludziach. Człowiek, któremu to robiłem, mógł być moim bratem. Wyrządziłem mnóstwo złego tak wielu ludziom. Tak wielu rodziców cierpiało.

Pracując dla przestępców, musisz się zmienić. Możesz być najlepszą osobą na świecie, lecz ludzie, z którymi się zadajesz, zmienią cię całkowicie. Stajesz się kimś innym. A potem zmieniają cię narkotyki i alkohol".

Widziałem zbyt dużo nagrań wideo ukazujących cierpienie zadane przez zabójców takich jak Gonzalo. Widziałem szlochającego i bitego nastolatka na taśmie wysłanej rodzinie, starszego człowieka całego we krwi wyjawiającego, że negocjował z wrogim kartelem, rząd klęczących ludzi z workami na głowach, którym po kolei strzelano w głowę. Czy ktoś, kto dopuścił się takich zbrodni, zasługuje na odkupienie? Czy ktoś taki zasługuje na miejsce w niebie?

Widzę też jednak ludzką stronę Gonzala. Jest przyjazny i uprzejmy. Gawędzimy na lżejsze tematy. Być może w innym miejscu i czasie mógłby być odpowiedzialnym, ciężko pracującym facetem troszczącym się o rodzinę – jak jego ojciec, który po-

dobno był elektrykiem i działał w związkach zawodowych.

W moim ojczystym kraju nieraz spotykałem brutalnych ludzi, chuliganów rozbijających butelki na twarzach innych lub wbijających im nóż w brzuch podczas meczów piłki nożnej. Tamci wyglądali o wiele bardziej niepokojąco niż moi rozmówcy z meksykańskiej celi. Ale nikogo nie zabili. Gonzalo pomógł zmienić Meksyk w miejsce krwawej masakry, która wstrząsnęła światem na początku XXI wieku.

W ciągu siedemnastu lat pracy dla mafii Gonzalo obserwował ogromne przemiany zachodzące w meksykańskim przemyśle narkotykowym.

Karierę rozpoczął w Durango, górzystym stanie północnego Meksyku, który szczyci się tym, że jest miejscem urodzenia powstańca Pancho Villi. Niedaleko stamtąd do zagłębia przemytników szmuglujących narkotyki do Stanów Zjednoczonych już od czasów ich zdelegalizowania przez Jerzego Waszyngtona. Porzuciwszy szkołę i nadzieję na grę w amerykańskiej lidze NFL, Gonzalo zrobił to, co wielu młodych ludzi szukających wrażeń w jego miasteczku: wstąpił do policji. To tam nauczył się bardzo dochodowych umiejętności porywania i torturowania.

W Meksyku droga od policjanta do kryminalisty jest alarmująco częsta. Wielcy baronowie narkotykowi, tacy jak *capo di tutti capi* z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, Miguel Ángel Félix Gallardo, czy owiany złą sławą porywacz „Kolekcjoner Uszu” Daniel Arzimendi, zaczynali jako funkcjonariusze policji. Podobnie jak oni, Gonzalo szybko opuścił szeregi stróżów prawa, rozpoczynając w wieku dwudziestu pięciu lat „pełnoetatową” karierę przestępcy.

W Ciudad Juárez zajmował się brudną robotą dla dużej siatki handlarzy narkotyków, szmuglujących towar wielosetmilowym szlakiem wzdłuż granicy od Juárez aż do Pacyfiku. Był rok 1992, wyśmienity rok dla zorganizowanej przestępczości w Meksyku. W poprzednim roku upadł Związek Radziecki i liczne państwa otwierały swoje gospodarki na świat. Rok później kolumbijscy

policjanci zastrzelili kokainowego króla, Pabla Escobara, zwiastując nadchodzący schyłek wielkich karteli w tym kraju. W latach dziewięćdziesiątych meksykańscy handlarze przeżywali boom, przerzucając niezliczone tony narkotyków na północ i licząc miliardy dolarów zysku, na tle rozwijającego się żywiołowo wolnego handlu, umożliwionego przez nowo powstałą NAFTA. Meksykanie zajęli miejsce Kolumbijczyków i stworzyli największą mafię obu Ameryk. Gonzalo stanowił zbrojne ramię narkotykowych przedsiębiorców, zastraszając, a także porywając i mordując tych, którzy nie spłacali długów. Zarabiając setki tysięcy dolarów, szybko stał się człowiekiem zamożnym.

Gdy został aresztowany siedemnaście lat później, zarówno jego praca, jak i sytuacja całego przemysłu narkotykowego wyglądały zupełnie inaczej. Gonzalo dowodził ciężkozbrojnymi oddziałami w toczącej się na ulicach miast wojnie z konkurencyjnymi gangami. Przeprowadzał masowe porwania i doglądał licznych kryjówek, w których przetrzymywano dziesiątki związanych i zakneblowanych osób. Współpracował z wysoko postawionymi policjantami z wielkich miast, tocząc jednocześnie zażarte boje z agentami federalnymi. Według jego słów, zmienił się tak bardzo, że nie poznawał osoby patrzącej na niego z lustra.

„Uczysz się wielu rodzajów tortur, aż wreszcie zaczynasz czerpać z nich przyjemność. Śmieszył nas ludzki ból, kiedy go zadawaliśmy. Jest naprawdę wiele form zadawania bólu. Ucinanie rąk, głów. To coś naprawdę mocnego. Odcinasz człowiekowi głowę i nie czujesz nic, żadnego strachu”.

Ta książka opowiada o świecie przestępczym, który zatrudniał Gonzala do obcinania ludziom głów. Opowiada historię przemiany grup przemytniczych w paramilitarne szwadrony śmierci, wydające wyroki na dziesiątki tysięcy ludzi i siejące terror za pomocą samochodów pułapek, masowych morderstw i rzucania granatów. Ta książka jest spojrzeniem w głąb ukrytego świata, na brutalny mafijny kapitalizm. To także opowieść o niezliczonych zwykłych Meksykanach wciągniętych w tę wojnę i przez nią zniszczonych.

Książka ta jest także po to, by opisać, czym naprawdę jest ta zatrważająca przemiana. Wyraża opinię, wbrew zdaniu wielu polityków i ekspertów, że działalność gangsterów to przestępcze powstanie przeciwko autorytetowi władzy państwowej, największe zagrożenie dla państwa meksykańskiego od czasów rewolucji w 1910 roku. Przygląda się też przyczynom tej próby przejęcia władzy, którymi są klęska amerykańskiej wojny z narkobiznesem oraz ekonomiczna i polityczna niestabilność Meksyku. Jest też głosem wołającym o przemyślenie działań mających na celu zahamowanie konfliktu, który może przerodzić się w wojnę domową na pograniczu Stanów Zjednoczonych, przypomina również, że nie można stosować metod wziętych wprost z westernu.

Zrozumienie wojny narkotykowej w Meksyku jest ważne nie dlatego, że zaspokaja niezdrowy głód makabry, ale dlatego, że podobne rzeczy dzieją się na całym świecie. Obecnie niewiele słyszy się o próbach przejęcia władzy przez komunistów w obu Amerykach, ale takie działania prowadzone przez mafię nie należą do rzadkości. W Salwadorze gang Mala Salvatrucha nakłonił kierowców autobusów do strajku obejmującego cały kraj, wymierzonego przeciwko prawu, które utrudniało życie gangom. W Brazylii gang Primeiro Comando da Capital spalił osiemdziesiąt dwa autobusy, siedemnaście banków oraz zabił czterdziestu dwóch policjantów w czasie jednej tylko zorganizowanej ofensywy, na Jamajce zaś policja starła się ze zwolennikami Christophera „Dudusa" Coke'a – zabito siedemdziesiąt osób. Czy „znawcy tematu" nadal będą twierdzili, że to tylko zwykły konflikt policji z przestępcami? Meksykańska wojna narkotykowa jest przerażającym ostrzeżeniem, pokazującym, jak rozwinąć się może sytuacja w innych krajach. To podręcznikowy wprost przykład próby przejęcia władzy, w tym przypadku przez kryminalistów.

Wielu salwadorskich ludzi gangów to potomkowie komunistycznych partyzantów i tak jak ich ojcowie uważają się za bojowników. Dla nich jednak nie liczy się Che Guevara czy socjalizm, a jedynie pieniądze i wpływy. W erze globalizacji mafijni kapitaliści i przestępcy głodni władzy stali się nowymi dyktato-

rami i nowymi rebeliantami. Witamy w XXI wieku.

Każdy na świecie wie, nawet jeśli tylko od czasu do czasu rzuci okiem na telewizję, że w Meksyku trwa brutalny rozlew krwi. Przelano jej tam tyle, że powoli przestaje to szokować. Uprowadzenie i zabicie dziewięciu policjantów czy sterta czaszek piętrząca się na rynku miasta nie są już niezwykłym wydarzeniem. Tylko wyjątkowe zbrodnie wpadają w oko mediom: wybuch granatu w tłumie świętujących Dzień Niepodległości, odnalezienie pięćdziesięciu sześciu rozkładających się ciał w starej kopalni srebra, do której część ofiar trafiła jeszcze za życia, obszycie piłki nożnej skórą zdartą z twarzy zamordowanego, porwanie i śmierć siedemdziesięciu dwóch imigrantów, w tym ciężarnej kobiety. Meksyk pełen jest miejsc kaźni w niczym nieustępujących zbrodniom czasu wojny światowej.

A powodem tego wszystkiego jest chęć amerykańskich nastolatków, by dobrze, choć nielegalnie, się zabawić.

Czy jednak na pewno?

Ktokolwiek przyjrzy się bliżej toczącej się w Meksyku wojnie narkotykowej, szybko się zorientuje, że nic nie jest proste. Każdy obraz skrywa się za mgłą przekłamań i plotek, każdy fakt znajduje inne wytłumaczenie w ustach różnych zaangażowanych stron, wszystkie kluczowe postacie są niejednoznaczne i pełne sprzeczności. Oddział ludzi w policyjnych mundurach sfilmowano, kiedy porywali burmistrza. Czy to prawdziwi policjanci, czy przebrani członkowie gangów? A może jedno i drugie? Aresztowany przestępca wyznaje wszystko, na nagraniu wideo widać, że był bity. Następnie porwany zostaje policjant i składa zeznanie przeczące temu pierwszemu. Komu wierzyć? Seryjny morderca w Meksyku staje się chronionym świadkiem w Stanach Zjednoczonych. Czy można mu ufać?

Kolejną osobliwością jest to, jak trudny do zauważenia bywa ten konflikt. Miliony turystów korzystają z dobrodziejstw karaibskich plaż w Cancunie, zupełnie nieświadomi tego, co dzieje się tuż obok nich. W stolicy Meksyku popełnia się mniej morderstw

niż w Chicago, Detroit czy Nowym Orleanie[1], i nawet miejsca o najgorszej sławie mogą wyglądać zupełnie normalnie.

Do restauracji w Sinaloa dotarłem dwadzieścia minut po tym, jak podczas śniadania zastrzelono tam szefa policji. W ciągu godziny wywieziono ciało, a kelnerzy zaczęli przygotowywać stoły do lunchu. Można było zamówić taco i nie mieć nawet cienia podejrzenia, że rankiem miało tam miejsce morderstwo. Widziałem, jak żołnierze wpadają do dzielnicy mieszkaniowej, kopniakami otwierają drzwi, a następnie znikają tak samo nagle, jak się pojawili.

Amerykanie odwiedzający kolonialne miasto San Miguel de Allende czy piramidy Majów w Palenque zachodzą w głowę, o co mediom chodzi. Nie widzą żadnego konfliktu ani nawet śladu po rzekomo obciętych głowach. Czy media aby nie przesadzają? Inni jednak, odwiedzając rodziny tuż za granicą z Teksasem, w stanie Tamaulipas, słyszą na ulicy strzały tak częste, jak huk petard podczas karnawału. Są zdumieni, że w porannych gazetach nie ma o tym nawet wzmianki.

Politycy nie potrafią przedstawić konfliktu w odpowiednim świetle. Prezydent Meksyku, Felipe Calderón, ubrany w wojskowy mundur, nawołuje, by nie mieć litości dla wrogów zagrażających ojczyźnie, jednocześnie gniewnie odrzuca tezę, że kryminaliści w Meksyku walczą o panowanie nad krajem. Rząd Obamy jest jeszcze bardziej zdezorientowany. Sekretarz Stanu Hillary Clinton przekonuje, że Meksyk cierpi na takie nasilenie przestępczości w wielkich metropoliach, jak Stany w latach osiemdziesiątych. W późniejszym przemówieniu stwierdza, że u południowych sąsiadów USA trwa próba obalenia władzy jak niegdyś w Kolumbii. Zakłopotany Obama daje do zrozumienia, że Clinton nie to miała na myśli. A może jednak? Dyrektor amerykańskiej agencji do walki z narkotykami, DEA[*], gratuluje Calderónowi wygranej wojny. Chwilę później analityk z Pentagonu ostrzega, że Meksyk jest na krawędzi dramatycznego rozpadu, tak jak kiedyś Jugosławia[2].

Czy Meksyk jest już narkopaństwem? Państwem tracącym au-

tonomię? A może państwem, w którym toczy się krwawy konflikt? Czy istnieją narkoterroryści? Czy, jak twierdzą wyznawcy teorii spiskowych, ci ostatni są elementem amerykańskiego planu podboju Meksyku? A może narkoterroryści są sposobem CIA na wyrwanie z budżetu Stanów Zjednoczonych pieniędzy przeinaczonych dla DEA?

Być może takie zamieszanie w kontekście wojny narkotykowej nie powinno zaskakiwać. Jeśli ma się do czynienia z problemem narkotyków, wszystko jest grą pozorów. Dzisiejszy Meksyk jest prawdziwą gratką dla amatorów teorii spiskowych. Ponadto wojnę zawsze spowija mgła niejednoznaczności[3]. Co otrzymujemy zestawiając wszystkie te elementy? Mrok tak gęsty, że nie sposób w nim zobaczyć nawet czubka własnego nosa. Czując się zdezorientowani i bezradni, ludzie dają za wygraną i ze wzruszeniem ramion twierdzą, że nie da się zrozumieć tego, co się w Meksyku dzieje.

Mimo to musimy próbować.

Nie mamy bowiem do czynienia z przypadkowym wybuchem agresji. Mieszkańcy północnego Meksyku nie zamienili się w psychopatycznych morderców, ot tak, w ciągu jednej nocy i w wyniku, na przykład, zatrucia. Istnieją precyzyjne ramy czasowe pozwalające określić, kiedy przemoc się pojawiła i kiedy osiągnęła dzisiejsze rozmiary. Można określić czynniki, które wywołały konflikt. Istnieją też żywi ludzie, którzy kierowali uzbrojonymi oddziałami i zbijali krocie podczas toczącej się wojny.

W samym centrum tych wydarzeń znajdują się najbardziej zagadkowe postacie: przemytnicy narkotyków. Kim naprawdę są?

W Meksyku handlarzy określa się zbiorczo hiszpańskim terminem El Narco, to nazwa własna zarezerwowana właśnie dla nich. Określenie to, którym chętnie posługują się dziennikarze, i które jest trwożnie szeptane w *cantinas*, przywołuje na myśl obraz ogromnego widma zagrażającego społeczeństwu. Szefami są enigmatyczni milionerzy z zagubionych w górach wiosek, których twarze znane są z bardzo ziarnistych zdjęć sprzed dwóch de-

kad, opiewani w ludowych balladach. Zbrojne ramię El Narco stanowią rzesze obszarpanych wąsatych mężczyzn, którzy, gdy zostaną złapani, prezentowani są społeczeństwu niczym jeńcy tajemniczego nieprzyjacielskiego państwa. El Narco atakuje jak upiór tuż pod nosem tysięcy policjantów i żołnierzy patrolujących ulice miast, a większość jego zbrodni nigdy nie zostaje wyjaśniona. Ta zjawa, według szacunków, zarabia rocznie trzydzieści miliardów dolarów, szmuglując kokainę, marihuanę, heroinę i metamfetaminę do Stanów Zjednoczonych. A pieniądze rozpierzchają się po całym świecie.

Krótko mówiąc, El Narco jest wszechobecny jak Wielki Brat, którego twarz dla większości pozostaje nieznana.

Na ulicach, gdzie władzę sprawuje El Narco, o pracujących w półświatku mówi się, że należą do „ruchu". To słowo daje ogólne pojęcie, jak rozumiana jest tutaj przestępczość zorganizowana: to sposób na życie dla całego segmentu społeczeństwa. Członkowie gangów mają własny gatunek muzyki (*narcocorridos*), szczególny sposób ubierania się (*buchones*), mają też sekty religijne. Ich piosenki, ciuchy i słowa kazań kreują obraz bossów narkotykowych na miarę spiżowych bohaterów, czczonych przez mieszkańców dzielnic biedy jako twardziele mający odwagę walczyć z wojskiem i amerykańską DEA. El Narco zakorzeniał się w tym środowisku przez ponad sto lat. Śledząc rozwój tego zjawiska, a nie jedynie odtwarzając ledwo naszkicowany obraz stworzony na podstawie policyjnych raportów, zbliżamy się do lepszego zrozumienia, jak bardzo jest groźny, i robimy krok na drodze do wiedzy, jak sobie z nim radzić.

Z handlem narkotykami zetknąłem się o wiele wcześniej, dwadzieścia lat przed wizytą w cuchnących potem celach więzienia nad Rio Grande, gdzie próbowałem wydobyć z mordercy informacje, które będą mogły być materiałem na książkę. Było to jeszcze w zielonych krajobrazach południowo-wschodniej Anglii. Wychowałem się nieopodal nadmorskiego Brighton, w którym mój ojciec wykładał antropologię. Kiedy byłem nastolatkiem, w

latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, narkotyki po prostu zalały moją okolicę. Ich użytkownicy pozostawali głusi na krzyki Nancy Reagan, La Toyi Jackson i pryszczatych młodych ludzi śpiewających piosenkę w brytyjskim show *Grange Hill* zatytułowaną *Po prostu powiedz „nie”*. Popularny stał się marokański haszysz – znany jako „gruda”, turecka heroina – znana jako „smoła” i, nieco później, holenderska ecstasy, zwana „E”. Mniej lub bardziej pilnych studentów z mojego college'u często można było spotkać nakręconych, spowolnionych lub po prostu „pod wpływem” prawie wszędzie – od miejskich ogrodów po publiczne toalety.

Nikt nie zaprzątał sobie głowy odległymi krajami, z których przybyły te psychoaktywne substancje, ani co handel narkotykami im przynosił i co przez niego traciły. Nasza znajomość narkotykowej hierarchii kończyła się na lokalnym dilerze, o którego istnieniu dowiadywaliśmy się, kiedy wpadał w ręce policjantów z wydziału do spraw narkotyków, dając tym samym temat do ożywionych dyskusji o szczegółach pojmania i debat nad długością wyroku.

Kiedy przestawałem być nastolatkiem, wielu z tych, którzy eksperymentowali z narkotykami, znalazło dobrą pracę i założyło rodziny. Niektórym zdarzało się sporadyczne „użyć", często była to modna w Anglii lat dziewięćdziesiątych kolumbijska kokaina. Znałem też kilka osób uzależnionych, najczęściej od heroiny. Zdarzało im się okradać rodziców i „wracać do formy” w ośrodkach odwykowych. Większość wyszła na prostą, chociaż są i tacy, których spotykam, gdy wracam w rodzinne strony, w obskurnych miejscowych knajpach, gdzie przesiadują wyniszczeni nałogiem.

Między szesnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia znałem czterech ludzi, którzy zmarli wskutek przedawkowania. Dwóch z nich było braćmi, jeden skonał w publicznej toalecie. Inny, Paul, pomieszkał u mnie, zanim wstrzyknął sobie śmiertelną dawkę narkotyku.

Paul był krzepkim i szorstkim w obyciu mężczyzną z czarną gęstą czupryną i silnymi dłońmi. Chętnie zagadywał do nieznajo-

mych na przystankach czy w pubach. Potrafiliśmy przegadać cale noce o dziewczynach, z którymi się spotykał, jego kłótniach z młodszym bratem, czy teorii walki klas. I nagle koniec. Nie winię ludzi, którzy sprzedawali mu heroinę. Nie sądzę, by on ich winił. Ale nie ustaję w wysiłkach, żeby zrozumieć, co do tego doprowadziło, i myślę o świecie, w którym mógłby uniknąć śmierci. Świecie, w którym nadal gawędziłby z nieznajomymi na przystankach.

Wybrałem się do Ameryki Łacińskiej z plecakiem, biletem w jedną stronę i zamiarem zostania korespondentem prasowym z egzotycznych krain. Zainspirował mnie Olivier Stone i jego film *Salvador,* w którym dziennikarze pracują pod gradem kul wojen domowych Ameryki Środkowej. Jak się jednak okazało, na przełomie wieków czasy wojskowych dyktatorów i komunistycznych rewolucji należały do przeszłości. Powiadano, że mieliśmy już za sobą „koniec historii" i staliśmy u progu złotego wieku demokracji i wolnego handlu.

W Meksyku pojawiłem się w roku 2000, dzień przed tym, jak na urząd prezydenta tego państwa zaprzysiężono Vincente Foxa, byłego dyrektora koncernu Coca-Cola w Ameryce Łacińskiej, kończąc tym samym siedemdziesięciojednoletnie rządy Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej (PRI). Był to przełomowy moment w polityce meksykańskiej, prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi. Był to także powód do radości i świętowania. Nareszcie władzę straciła klika PRI, wypychająca sobie kieszenie pieniędzmi i doprowadzająca kraj do ruiny przez większą część XX wieku. Masakrowanie protestujących i toczenie nikczemnej wojny z politycznymi przeciwnikami miało się skończyć, zapanowało uniesienie. Meksykanie radośnie patrzyli w przyszłość, licząc na to, że ich praca nareszcie przyniesie korzyści i przywrócone zostaną prawa człowieka.

Dziesięć lat później ci sami ludzie nie chcieli przyznać, że ich kraj upada. Zwłoki zabitych przez kartele znajdowano w centrach miast, porywacze bezwzględnie kradli fortuny bogatych przed-

siębiorców i, mimo iż rząd nie cenzurował już gazet, z rąk gangsterów ginęli dziennikarze, co było sposobem na założenie prasie knebla. Co poszło nie tak? Dlaczego marzenie zamieniło się w koszmar?

W pierwszych latach tamtej dekady nic nie zwiastowało nadchodzącego kryzysu. Amerykańskie media spodziewały się wiele po noszącym kowbojki Foksie, piętrząc przed nim trudne zadania, kiedy gościł Kofiego Annana i gdy był pierwszym obywatelem Meksyku przemawiającym przed sesją łączoną amerykańskiego Kongresu. Inną wielką postacią tamtych czasów był *subcommandante* Marcos, buntownik nowej ery, który przewodził powstaniu Indian w Chiapas, mającemu doprowadzić do uznania ich praw. Marcos udzielał wywiadów telewizyjnych w kominiarce na twarzy i paląc fajkę. Okraszał swoje wypowiedzi cytatami z poezji, stając się inspiracją dla ludzi o lewicowych poglądach na całym świecie. El Narco pojawiał się w mediach jedynie w kontekście złapania jakichś ważnych gangsterów.

W tle słychać było jednak szczęk broni i stuk opadających katowskich toporów i Pierwsza fala poważnej wojny karteli rozpoczęła się jesienią 2004 roku na granicy z Teksasem i szybko rozprzestrzeniła się na resztę kraju. Kiedy w 2006 roku urząd prezydenta objął Felipe Calderón i wypowiedział gangom wojnę, nastąpiła eskalacja przemocy.

Co pozwoliło kartelom rozkwitnąć w ciągu pierwszych dziesięciu lat meksykańskiej demokracji? To tragiczne, lecz system, który dawał tak wielką nadzieję, nie był w stanie kontrolować najsilniejszych grup przestępczości zorganizowanej w Ameryce Łacińskiej. Poprzednia władza, chociaż zepsuta i autorytarna, miała wypracowane sposoby na utrzymanie mafii w ryzach: eliminowała ważniejszych gangsterów i trzymała krótko całą resztę. Jak przyznaje większość meksykańskich autorytetów akademickich, meksykańska wojna narkotykowa jest nierozerwalnie związana z przemianami demokratycznymi w tym państwie. Taka jest też jedna z podstawowych tez tej książki.

Tak jak upadek Związku Radzieckiego umożliwił bujny roz-

kwit mafijnych interesów, tak upadek PRI w Meksyku stworzył nowe możliwości El Narco. Żołnierze sił specjalnych stali się najemnikami gangsterów, biznesmeni, którzy musieli wcześniej opłacać się skorumpowanym dygnitarzom, teraz musieli zanosić daninę mafii. Oddziały stróżów prawa zwróciły się przeciwko sobie, co nierzadko kończyło się strzelaniną. Kiedy Calderón objął urząd po Foksie, wysłał wojsko, by zaprowadziło porządek. Jednak zamiast spełnić oczekiwania prezydenta i dać się ustawić w szeregu, gangsterzy postanowili przejąć władzę w kraju.

W pierwszych latach rządów Calderóna meksykańska wojna narkotykowa kosztowała życie 34 tysięcy ludzi[4]. To oszałamiająca i tragiczna liczba, która dobitnie ukazuje powagę konfliktu. Jest ona bowiem wyższa niż suma ofiar w wielu oficjalnie toczonych wojnach. Należy jednak rozpatrywać ją w odpowiednim kontekście: na kraj liczący 112 milionów obywateli[5] jest to konflikt, który zaledwie się tli. Wojna w Wietnamie przyniosła 3 miliony zabitych, wojna secesyjna 600 tysięcy, w Rwandzie zaś zbrojne grupy zamordowały 800 tysięcy ludzi w trzy miesiące.

Innym aspektem jest liczba zabitych urzędników państwowych. W ciągu czterech lat zastrzelono ich więcej niż 3 tysiące: ponad 2200 policjantów[6], 200 żołnierzy, licznych sędziów, burmistrzów, popularnego kandydata na stanowisko gubernatora, szefa legislatury stanowej i dziesiątki innych osób piastujących urzędy państwowe. Taka liczba ofiar stawia meksykańską przestępczość zorganizowaną w jednym rzędzie z najbardziej morderczymi grupami toczącymi walkę o władzę, zostawiając w tyle Hamas, ETA czy nawet krwawe żniwo IRA po trzydziestu latach walki zbrojnej. Zagrożenie jest zatem ogromne.

Jednak bardziej niepokojące jest to, w jaki sposób przeprowadzane są ataki. Gangsterzy nie tylko ostrzeliwują posterunki policji, ale korzystają przy tym z granatników przeciwczołgowych, masowo uprowadzają policjantów i wystawiają ich zmasakrowane zwłoki na widok publiczny. Zdarzyło im się nawet porwać burmistrza pewnej miejscowości, związać go i ukamienować w

centrum miasta. Któż zaprzeczy, że takie działania nie są rękawicą rzuconą władzy?

Jednak w Meksyku słowo „rebeliant” ma znacznie silniejszy wydźwięk niż wybuchy bomb w samochodach-pułapkach. Rebeliantami byli przecież ojcowie narodu, którzy buntowali się przeciwko Hiszpanii. To im w hołdzie najdłuższa ulica kraju przecinająca miasto Meksyk nazywa się Aleja Powstańców. Nazwać kryminalistów „rebeliantami” czy „powstańcami” to zrównać ich z bohaterami narodowymi. To przecież psychopatyczni mordercy… Jak można przyrównywać ich do czcigodnych buntowników?

Samo wspomnienie o toczącym się powstaniu przeciwko władzy przyprawia o dreszcz grozy meksykańskich oficjeli liczących na pieniądze z turystyki i zagranicznych inwestycji. Marka, jaką wypracował sobie Meksyk w ostatnich latach, gwałtownie traci na wartości. Znajdą się i tacy, którzy stwierdzą, że to *gringo* uknuli spisek mający wystraszyć turystów z Cancunu i skłonić do wypoczynku na Florydzie.

Nie sposób porównywać Meksyk z państwami Trzeciego Świata. Meksyk jest rozwiniętym krajem o gospodarce, której obroty sięgają setek miliardów dolarów[7], mającym kilka spośród największych koncernów na świecie oraz dziewięciu miliarderów[8]. Ma wykształconą klasę średnią, a jedna piąta maturzystów idzie na studia. Może poszczycić się jednymi z najpiękniejszych nadmorskich kurortów i jednymi z najciekawszych muzeów na świecie. Jest też państwem borykającym się z ogromną przestępczością, nad którym to problemem należy się pochylić. Strategia przemilczania, gdy zabici liczeni są w setkach tysięcy, jest najgorsza z możliwych. Jest, jak mówią Hiszpanie, „zasłanianiem kciukiem słońca”.

Od pierwszych chwil spędzonych w Meksyku fascynowała mnie zagadka El Narco. Pisałem o łapankach i obławach, wiedząc jednocześnie, że ślizgam się po powierzchni, że informacje od policji i „ekspertów” są niewystarczające. Musiałem porozmawiać z

narcos. Skąd pochodzą? Na czym opiera się ich biznes? Jakie mają cele? I co z tego wszystkiego zrozumie jakiś Angol?

Poszukiwanie odpowiedzi na te pytania w ciągu dziesięciu lat zaprowadziło mnie w miejsca tragiczne i nierealne. Wspinałem się po górach, skąd pochodzą narkotyki rodzące się tam w postaci pięknych kwiatów, spotykałem się na kolacjach z prawnikami broniącymi największych mafijnych bossów na Ziemi, zdarzało mi się upić z amerykańskimi tajnymi agentami infiltrującymi kartele. Przemierzałem miasta, by oglądać zakrwawione ciała i wysłuchałem zbyt wielu matek, które straciły synów, a wraz z nimi serca. W końcu jednak dotarłem do *narcos*, poczynając od farmerów hodujących kokę i konopie, przez młodych zabójców ze slumsów, „mułów" dostarczających towar wygłodniałym Amerykanom, aż po udręczonych gangsterów szukających odkupienia – wszędzie chciałem usłyszeć ludzkie historie ofiar tej nieludzkiej wojny.

Ta książka jest owocem prowadzonego przez dziesięć lat dochodzenia. Część pierwsza, *Historia*, bada przemiany jakim podlegał El Narco, śledzi jego losy od czasów górskich wieśniaków z początku wieku aż po paramilitarne oddziały, jakie tworzą go dzisiaj. Ten fenomen trwa już ponad 100 lat. Celem podejścia historycznego nie jest opisanie każdego szefa i każdego incydentu, ale zbadanie kluczowych wydarzeń w życiorysie Potwora, które nadały mu obecny kształt i ufortyfikowały go w społecznościach Meksykanów. W części drugiej, zatytułowanej *Anatomia*, przypatruję się różnym elementom struktury narkorebelianckiego ruchu oczami ludzi, którzy go tworzą, a więc: handlowi narkotykami, machinie mordu i terroru oraz osobliwej kulturze i wierzeniom, które im towarzyszą. Część trzecią, *Przeznaczenie*, poświeciłem rozważaniom, dokąd zmierza wojna narkotykowa w Meksyku i w jaki sposób można tej Hydrze ukręcić łeb.

Chociaż książka ta skupia się głównie na Meksyku, podąża także w ślad za mackami El Narco przez Rio Grande do Stanów Zjednoczonych oraz na południe, w Andy Kolumbijskie. Gangsterzy nie uznają granic, a handel narkotykami zawsze był przedsię-

wzięciem międzynarodowym. Od niewinnych początków, aż po toczoną dziś brutalną wojnę, losy mafii w Meksyku zawsze ściśle wiązały się z wydarzeniami w Waszyngtonie, Bogocie i nie tylko.

Możliwość wniknięcia głębiej w naturę zjawiska zawdzięczam ciężkiej wieloletniej pracy licznych lokalnych badaczy W ciągu ostatnich czterech lat ponad 30 meksykańskich dziennikarzy zastrzelono, gdy byli na tropie istotnych faktów. Jestem pod nieustającym wrażeniem odwagi i talentu tamtejszych ludzi poszukujących odpowiedzi» ich otwartości oraz chęci dzielenia się wiedzą. Lista tych osób nie ma końca, ale szczególną inspirację stanowi dla mnie praca dziennikarza z Tijuany, Jesúsa Blancornelasa, naukowca z Sinaloa, Luisa Astorgi, oraz brazylijskiego pisarza Paula Linsa, autora powieści *Miasto Boga.*

Wiele z wywiadów tworzących tę książkę zarejestrowałem na filmie lub taśmie, tak więc wypowiedzi cytowane są słowo w słowo. W innych przypadkach spędziłem wiele dni, próbując wniknąć w życie opisywanych ludzi, i bazuję na notatkach. Kilka z moich „źródeł" poprosiło mnie, bym pominął ich nazwiska lub zmienił imiona. Nie mogłem odmówić, bo inaczej ludzie ci znaleźliby się w niebezpieczeństwie. W jednym przypadku dwóch gangsterów udzieliło wywiadu meksykańskiej telewizji i po kilku godzinach zostało zamordowanych, i to za murami więzienia. Pięć spośród osób, z którymi wywiady pomogły nadać kształt tej książce, zaginęło albo zostało zabitych – chociaż z całą pewnością nie miało to związku z niniejszą publikacją.

Ci ludzie to:

Alejandro Dominguez – komendant policji, zastrzelony w Nuevo Laredo 8 czerwca 2005 r.;

Sergio Dante – prawnik, obrońca praw człowieka, zastrzelony w Ciudad Juárez 25 stycznia 2006 r.;

Mauricio Estrada – dziennikarz, zaginął w Apatzingan w czerwcu 2008 r.;

Americo Delgado – adwokat w sprawach karnych, zastrzelony w Toluce 29 sierpnia 2009 r.;

Julian Aristides Gonzalez – dyrektor honduraskiej policji narkotykowej, zastrzelony w Tegucigalpie 8 grudnia 2009 r.

Ostatni na liście, Julian Aristides Gonzalez, udzielił mi wywiadu w gorącej stolicy Hondurasu. Ten oficer policji o wydatnej szczęce rozmawiał ze mną przez wiele godzin o dobrych czasach dla meksykańskich gangów w Ameryce Środkowej i o Kolumbijczykach, którzy zaopatrują ich w towar. Jego biuro zawalone było 140 kilogramami przechwyconej kokainy, stertami map i fotografii tajnych lotnisk i posesji *narcos.* Byłem pod wrażeniem tego, jak szczerze i otwarcie Gonzalez mówił mi o prowadzonych dochodzeniach i o tym, jak wielką korupcję ujawniono w policji. Cztery dni po wywiadzie wziął udział w konferencji prasowej, na której przedstawił swoje najnowsze odkrycia. Następnego dnia odwiózł swoją siedmioletnią córkę do szkoły, a po chwili zginął od kul wystrzelonych przez przejeżdżającego motocyklistę. Później okazało się, że za dwa miesiące zamierzał przejść na emeryturę i przenieść się wraz z całą rodziną do Kanady.

Nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu książki mogą powstrzymać tę bezwzględną machinę śmierci, jednak literatura traktująca o El Narco może przyczynić się do lepszego zrozumienia tego złożonego i śmiercionośnego zjawiska. Ludzie, ale także rządy, muszą nauczyć się panować nad chaosem i tworzyć skuteczniejsze środki zaradcze, tak by innych rodzin, w innych krajach nie spotkała podobna tragedia.

CZĘŚĆ PIERWSZA

HISTORIA

ROZDZIAŁ 2
Maki

Wtem Helena skoczywszy do głowy po radę
Pijącym przymieszała czar taki do wina,
Że gniewów, smutków, zgryzot przeszłych zapomina,
Kiedy kto pokosztuje z zaprawnego krużа.
W dzień ten nigdy Iza w oku nie stanie mu duża,
Choćby drogiego ojca i matkę pochował;
Nigdy, choćby kto miednym mieczem zamordował Brata
mu albo syna, przed jego obliczem – Taki to czar był,
napój niezrównany z niczem!

Homer, *Odyseja*[*]

Pod ostrym słońcem zachodniego Meksyku, w górach Sierra Madre, różowe kwiaty maku nabierają lekko pomarańczowej barwy, a delikatne i pomarszczone liście odcinają się od rudej ziemi i kolczastych kaktusów. Po godzinie jazdy szutrowymi drogami rozlatującym się pick-upem przyglądam się kwiatom, z których powstaje opium. Droga była tak wyboista i stroma, że czułem się jak podczas przejażdżki kolejką górską. Wydawało mi się cudem, że nie przebiliśmy opony ani że żaden kamień nie przedziurawił nam baku. Na szczęście mój kierowca, lokalny śpiewak o osobliwym pseudonimie artystycznym Commandante, dokładnie wiedział, jak ominąć najgroźniejsze wyboje.

Rzadko zagląda tu ktoś nieznajomy. To okolica, gdzie dla ostrzeżenia obcina się ludziom głowy i zatyka je na pałach, jak zrobiono to w pobliskiej wiosce kilka dni temu. Teraz jednak nie widzę żadnych straszących czerepów. Przyglądam się makom i podziwiam ich urodę.

To, na co patrzę, to nie żadna poważna uprawa opium, lecz zaledwie parę kwiatów hodowanych przez kobietę prowadzącą wiejski sklepik, znajdujący się po drugiej stronie gruntowej drogi, naprzeciwko małego posterunku wojskowego. Matilde jest ładna,

po pięćdziesiątce, ma jasne oczy i skórę wysuszoną i brązową od słońca. Wielu ludzi w tych górach mówi z tak silnym akcentem, że niewiele rozumiem. Matilde jednak wymawia słowa wyraźnie i patrzy mi w oczy, by upewnić się, czy do mnie docierają. „Piękne maki, prawda?" – pyta, gdy widzi, że przyglądam się kwiatom. Chcę wiedzieć, skąd wzięła nasiona na opium. Odpowiada mi, że od brata, i dodaje, że to wioska *valientes,* czyli „odważnych". Terminu tego używa się na prowincji na określenie handlarzy narkotyków, którzy ratują wioski przed nędzą. Kobieta szydzi z żołnierzy z posterunku, nazywając ich *guachos*, co jest starym indiańskim określeniem sługi.

Matilde jest zła na *guachos* z powodu niedawnej strzelaniny na pobliskim skrzyżowaniu[1]. Czterech miejscowych chłopaków jechało na na piętnaste urodziny pewnej dziewczyny w błyszczącym białym hummerze. (Choć jest to wioska rozpadających się domów, jej mieszkańcy uwielbiają efektowne auta.) Żołnierze dali znak, by się zatrzymali. Było jednak ciemno, jadący na imprezę młodzi ludzie słuchali głośno muzyki i nie zrobili tego. Żołnierze ostrzelali więc samochód, a gdy wydało im się, że ktoś odpowiada ogniem, znowu zaczęli strzelać i hummer się zatrzymał. Czterech młodych ludzi i dwóch żołnierzy nie żyło.

Z początku wojsko podało do wiadomości, że ich dzielne oddziały zgładziły czterech morderców będących na usługach gangu. Później jednak światło dzienne ujrzała inna prawda: jadący samochodem nie byli uzbrojeni. Żołnierze, strzelając z dwóch stron drogi, pozabijali się nawzajem. Oto klasyczny przykład głupoty, przypominający błędy dowodzenia podczas pierwszej wojny światowej. Ci żołnierze wierzą, że robiąc takie rzeczy – rzekomo zwalczając handel narkotykami u samego źródła – wypełniają życzenie Stanów poparte 1,6 miliarda dolarów pomocy.

„*Guachos* to idioci, mówi Matilde. Powinni wracać do swoich durnych wiosek".

To tutaj wszystko się zaczęło. To w tych górach pierwsi meksykańscy handlarze hodowali opium już ponad sto lat temu. Po-

kolenie za pokoleniem te mizerne chaty dawały światu jednego za drugim narkotykowego króla. Półanalfabeci, mówiący z ciężkim akcentem tych okolic, ruszali w świat i tworzyli międzynarodowe organizacje obracające miliardami dolarów.

Kilka godzin jazdy szutrowymi drogami od domu Matilde stoi dom rodzinny Joaquina „Chapo" Guzmana[2], nikczemnego wzrostu bossa narkotykowego, którego majątek został wyceniony przez „Forbesa" na miliard dolarów. Agenci rządowi twierdzą, iż nadal ukrywa się on gdzieś pośród tych postrzępionych wzgórz, chroniony przez wieśniaków, którzy go kochają i boją się zarazem. Również niedaleko znajduje się dom jego przyjaciela z dzieciństwa, Artura Beltrana Leyvy vel Brody. By go zlikwidować, potrzeba było kilkuset meksykańskich marines. Przypuścili szturm na blok mieszkalny, w którym się ukrywał, i ostrzeliwali go przez dwie godziny, podczas gdy ludzie Brody rzucali granaty odłamkowe i odpowiadali ogniem maszynowym. Nim udało się do niego dotrzeć, zginęło pięciu jego goryli. Wtedy marines zmasakrowali ciało Leyvy pociskami i ozdobili banknotami dolarowymi.

W akcie zemsty ludzie gangstera odnaleźli rodzinę żołnierza zabitego podczas strzelaniny Wtargnęli na stypę i zamordowali matkę żołnierza, jego brata, siostrę i ciotkę. Dawniej mordowano tylko konkurencyjnych gangsterów, teraz masakruje się całe rodziny. Cóż takiego jest w tych górach, co czyni ich mieszkańców tak pomysłowymi i przedsiębiorczymi, a jednocześnie tak wyzutymi z ludzkich uczuć?

Łańcuch Zachodniej Sierra Madre ciągnie się przez 1500 kilometrów od granicy z USA w głąb Meksyku. Jest to teren na tyle duży i dziki, że można w nim ukryć całą armię. Udowodnił to w czasie rewolucji meksykańskiej Pancho Villa, uciekając przed wojskiem amerykańskim po bitwie pod Columbus w Nowym Meksyku. Z lotu ptaka góry te wyglądają jak pofałdowany zielono-żółty dywan, ozdobiony gdzieniegdzie jeziorami i poszarpanymi wąwozami. Te ostatnie wiją się i meandrują przez meksykańskie stany Sonora, Sinaloa, Durango i Chihuahua. Ostatnie

trzy, z uwagi na produkcję narkotyków, nazywane są Meksykańskim Złotym Trójkątem.

Każdego dnia żołnierze z pokładów helikopterów wypatrują jasnozielonych upraw marihuany i różowych pól opium. Piechota odnajduje uprawy i je podpala. Żołnierze mają taką wprawę, że potrafią zniszczyć 4 tysiące metrów kwadratowych upraw marihuany w czasie krótszym niż godzina. Wtedy wieśniacy obsiewają kolejne jasnozielone i różowe poletka, które następnie zostają wypatrzone z powietrza. I tak kolo się zamyka.

Miejsce, gdzie wpatruję się w opium, znajduje się w południowo-zachodnim kącie Złotego Trójkąta, w stanie Sinaloa. W górach Meksyku pełno jest gangsterów, ale to stąd pochodzą najgrubsze ryby. Tak jak Sycylia jest ojczyzną włoskiej mafii, tak Sinaloa jest kolebką meksykańskich gangów narkotykowych, miejscem narodzin najstarszej i najpotężniejszej siatki handlarzy, znanej jako Kartel z Sinaloa.

Amerykańscy agenci zaczęli używać tej nazwy w swoich dokumentach stosunkowo niedawno. Wcześniej używali określenia Federacja, jeszcze wcześniej, między innymi nazwy Kartel z Guadalajary – od drugiego co do wielkości miasta w Meksyku, wykorzystywanego przez mafijnych bossów z Sinaloa jako baza dla ich działań. Wszystkie te nazwy są jednak mało precyzyjnymi określeniami niespokojnego imperium handlarzy, które rozpościera się od Sinaloa aż po połowę granicy z USA. Niektórzy szefowie tego imperium są bezpośrednio spokrewnieni z pierwszymi wieśniakami hodującymi opium przed stu laty. To dynastia, która trwa nieprzerwanie.

Podobnie jak Sycylia, stan Sinaloa jest tak ukształtowany geograficznie, że sprzyja to zorganizowanej przestępczości. Jest mniejszy niż Wirginia Zachodnia, ale jeśli ktokolwiek chce się stąd ulotnić, może łatwo prześliznąć się przez góry do sąsiedniej Sonory, Chihuahy czy Durango. Oprócz wyżyn Sinaloa może poszczycić się 650 kilometrami wybrzeża nad Pacyfikiem, które od stuleci było kanałem przerzutowym wykorzystywanym przez przemytników. Przemycano tam srebro, muszkiety, opium i pi-

gułki z pseudoefedryną potrzebne do produkcji metamfetaminy. Pomiędzy górami a morzem w Sinaloa są żyzne doliny, w których założono wielkie plantacje, głównie pomidorów i cebuli. Nie brak tam też rud złota, srebra oraz miedzi. To naturalne bogactwo umożliwiło rozwój stolicy stanu, pełnemu życia miastu Culiacán, leżącemu u ujścia rzek Tamazula i Humaya, oraz portowi Mazatlan.

Ośrodki handlowe są kluczowe dla zorganizowanej przestępczości, stanowią kwaterę główną, a liczne przedsiębiorstwa ułatwiają pranie brudnych pieniędzy. Miejsca ożywionego handlu to kolejny punkt łączący Sinaloa z innymi miejscami rozkwitu kryminalnych przedsięwzięć. Sycylijska mafia powstała na styku zbuntowanej prowincji i centrum, jakim jest Palermo, port łączący Afrykę Północną z Europą. Kolumbijskie Medellin było pełnym wigoru miastem kupieckim, otoczonym przez góry rojące się od bandytów, a jego niesławny syn, Pablo Escobar, stał się największym na świecie handlarzem kokainy. Przestępcze potęgi nie powstają w pewnych miejscach przypadkiem.

Historia niesubordynacji w Sinaloa jest o wiele starsza niż tutejszy kartel. Nazwa tego stanu pochodzi od nazwy lokalnej ciernistej rośliny w języku Cahita – *see-nah-loh-ah* – jednego z sześciu ludów zamieszkujących te tereny przed przybyciem Europejczyków. Większość tych plemion stanowili nomadzi polujący i zbierający pożywienie, inaczej niż Aztekowie czy Majowie w swoich wielkich imperiach na południu. Jednak odpór, jaki mieszkańcy późniejszego Sinaloa dawali najeźdźcom z Europy, był dużo bardziej zażarty i skuteczniejszy niż kampanie wojsk Azteków, pokonanych przez Hernana Cortesa w 1521 roku. Kiedy Hiszpanie chcieli poszerzyć swoje imperium na południowy zachód, plemiona z Sinaloa odepchnęły ich, wykorzystując warunki geograficzne. Jednym z większych sukcesów tubylców było zabicie konkwistadora Pedra de Montoyi w 1584 roku przez plemię Zuaques**[3]**.

Hiszpanie wrócili do miasta Meksyk mocno poturbowani i zaczęli opowiadać o kanibalizmie krwiożerczych plemion na pół-

nocy. Niektórzy historycy kwestionują te doniesienia, uznając je za pospolite opowiastki grozy. Prawda to czy mit, traktowane są dziś poważnie przez mieszkańców Sinaloa, którzy chełpią się tym, że Hiszpanie, którzy ich napadli, zostali... pożarci. Niezależnie od tego, czy ucztowano na zwłokach ofiar, czy nie, lokalne powstanie zmieniło Sinaloa we front krwawych walk. Pod koniec XVI wieku straszyły tu szkielety domów.

Misjonarze z zakonu jezuitów uważali krucyfiksy za bardziej skuteczne od armat i udało im się włączyć tubylców w społeczność katolików. Podbój w Sinaloa zasadzał się zatem bardziej na sile wiary niż potędze miecza. Efekt tego daje się odczuć do dziś, bo lud z Sierra Madre nie zapomniał o swoich wierzeniach i o ludowych świętych. Mimo to region ten nadal funkcjonował na granicy prawa, stając się centrum przemytu srebra i broni podczas wojny o niepodległość z Hiszpanią w latach 1810–1821.

Po uniezależnieniu się od hiszpańskiej korony Meksyk nękany był przez niepokoje społeczne i zamieszki, co było na rękę bandytom w Sinaloa, i nie tylko im. Kwestia bezpieczeństwa wewnętrznego to jeden z podstawowych problemów, z jakimi borykało się to państwo od początku swojego istnienia. Spadkobiercy Hiszpanów mieli w rękach rozległy i skomplikowany kraj, składający się z konkurujących prowincji i grup etnicznych, a także spuściznę w postaci skorumpowanych biurokratów, lubującej się w przemocy policji i milionów ludzi bez grosza przy duszy. By nad tym zapanować, potrzebny był system. Niestety, na początku XIX wieku to walka o władzę była na pierwszym planie. Zamach gonił zamach, liberałowie walczyli z konserwatystami, a potomkowie Hiszpanów za wszelką cenę starali się utrzymać u steru, gdy lokalne plemiona i bandyci pustoszyli tereny pogranicza.

Z powodu wewnętrznego bezwładu Meksyk stal się łatwym łupem dla ambitnych i potężnych północnych sąsiadów. Grupy zbrojne z Teksasu, a potem regularne wojsko Stanów Zjednoczonych, pokonały Meksykanów w dwóch wojnach, a Waszyngton zmusił Meksyk do sprzedania jednej trzeciej swojego terytorium leżącego na północy. Pokój podpisany w 1848 roku w Guadalupe

przekazywał Stanom spore obszary Kolorado, Arizony, Nowego Meksyku i Wyoming, całość Kalifornii, Nevady, Utah i firmował polityczne uznanie utraty Teksasu**[4]**. Przekazane terytorium liczyło w sumie 900 tysięcy mil kwadratowych, co umożliwiało Stanom Zjednoczonym stanie się supermocarstwem XX wieku. Sinaloa leży niecałe 600 kilometrów od tych na nowo wytyczonych granic.

Wojna meksykańsko-amerykańska pozostaje niezabliźnioną raną oraz kością niezgody między tymi narodami. Meksyk corocznie upamiętnia oddział młodych kadetów zamordowanych przez wojsko amerykańskie *(los niños héroes*), a politycy zawzięcie nazywają swojego północnego sąsiada imperialnym potworem. Jednocześnie ogromna fala meksykańskiej migracji do Stanów nazywana jest *la reconquista* – rekonkwistą – czyli odwetem za podbój. Wielu mieszkańców Teksasu czy Arizony jest dotkniętych do żywego stwierdzeniem, iż żyją na ukradzionej ziemi. Uważają, że nieliczni mieszkańcy zdobytych terytoriów zostali wyzwoleni przez żołnierzy w zielonych czapkach (na których Meksykanie krzyczeli podobno *green-go* – „zieloni, idźcie sobie" – co ma być źródłem słowa *gringo).*

Reklama szwedzkiej wódki Absolut z 2009 roku pokazała, jak żywe są te wspomnienia. Tuż obok sloganu „Świat absolutny" reklama przedstawiała fikcyjną mapę, na której olbrzymi Meksyk rozciąga Się aż po granicę z Kanadą i przyćmiewa karłowate Stany Zjednoczone. Była sukcesem komercyjnym i wzbudzała salwy śmiechu w Meksyku. Amerykanie byli jednak tak niezadowoleni, że bombardowali firmę Absolut skargami tak długo, aż wycofano reklamę i wystosowano oficjalne przeprosiny. Te wzajemne zależności znajdują odbicie w wojnie narkotykowej, w której Stany odgrywają znaczącą rolę.

W konsekwencji utraty nie tylko terytoriów, ale i dumy, w Meksyku zapanował jeszcze większy chaos, trwający do czasu, gdy władzę przejął dyktator Porfirio Diaz. Ten poganiacz mułów z plemienia Misteków zyskał sławę bohatera podczas wojny prze-

ciwko Francuzom i Amerykanom. Twardą ręką rządził krajem w latach 1876–1911. Jednak jego władza zasadzała się nie tylko na fizycznej dominacji. Udało mu się wynaleźć skuteczny sposób na poskromienie dzikiej meksykańskiej bestii. Zorganizował sieć lokalnych przywódców, kacyków, z których każdy dopuszczony był do udziału w zyskach. Jeśli ktokolwiek sprzeciwiał się tej zasadzie, don Porfirio nie szczędził bata. Wysoko w Sierra Madre płynęły potoki krwi. Plemię Yaqui odmówiło oddania ziemi swoich przodków pod rozrastające się plantacje. Diaz zarządził łapanki i więźniowie w łańcuchach już wkrótce wędrowali do pracy na farmach tytoniu na bagnistym południu kraju. Większość z nich zmarła wskutek chorób i nieludzkiego traktowania.

Oprócz polityki wewnętrznej, Diaz zajął się także uprzemysłowieniem i unowocześnieniem rolnictwa. Bogaci przyjaciele dyktatora zakładali dochodowe plantacje w Sinaloa, a amerykańskie i brytyjskie firmy budowały trakcje kolejowe i drążyły sztolnie. Uprzemysłowienie sprawiło, że stan Sinaloa znalazł się na mapie świata i już wkrótce do portów zaczęły zawijać parowce z całego globu. Powstanie plantacji wiązało się z wywłaszczeniem drobnych rolników, którzy błąkali się w poszukiwaniu zajęcia. Cały region gotów był do rozpoczęcia nielegalnego handlu, brakowało jedynie towaru. To właśnie za panowania don Porfiria na wyżyny Sinaloa po raz pierwszy zawitały różowe maki.

Wiek później patrzę na maki w ogródku Matilde, rosnące między surrealistycznymi kaktusami, wyrastającymi z ziemi niczym macki potwora. Podchodzę bliżej i stwierdzam, że płatki maków są miękkie niczym aksamit i pachną delikatnie jak angielski ogród w wiosenny poranek. Roślina tak piękna, a tak szkodliwa zarazem. Patrząc na pandemonium wojny narkotykowej – tysiące zabitych i zdekapitowanych, góry brudnych pieniędzy, interwencje z zagranicy, nieustannie zmieniające się mapy stref wpływów karteli i rzeki uchodźców – tracimy z pola widzenia zarzewie całego konfliktu. A jest nim ładny kwiatek rosnący na wzgórzu.

Mak lekarski, *Papaver somniferum*, jest rośliną o niezwykłych właściwościach. Zawiera jeden z najstarszych znanych człowiekowi narkotyków, substancję określaną jako „magiczna", „boska", a także „trująca" i „zła". Narkotyk uwalnia się pod postacią brązowego gęstego soku, gdy zarysuje się nożem pąki kwiatów. Na wzgórzach Sinaloa nazywa się ten sok gumą, a ludzi, którzy go uzyskują, gumiarzami – po hiszpańsku *gomeros.* Jedna roślina daje niewielką ilość soku. By uzyskać 10 kilogramów opium, gumiarze potrzebują dziesiątek tysięcy makówek rosnących na ponad hektarze ziemi. Oglądam taki worek przechwycony przez żołnierzy. W tym stanie roślina już nie pachnie ani nie wygląda pięknie, jest lepką brązową masą o odrzucającym zapachu.

Jeśli tak przetworzoną roślinę zje się lub wypali, efekt będzie niesamowity: ból znika jak ręką odjął. Osoba spożywająca sok może mieć dziurę w głowie, jednak wszystko, co będzie czuła, to odrętwienie. Szybkość, z jaką przychodzi ulga, ma ważne konsekwencje: opium stanowi jedną z najsilniejszych substancji przeciwbólowych znanych ludzkości, sprzedawano je kiedyś w Stanach Zjednoczonych jako „lekarstwo samego Boga". Oprócz uwalniania od bólu, opium daje też posępny efekt uboczny: wywołuje poczucie sennej euforii.

Proszę Matilde, by opisała mi, jaki wpływ wywierają jej kwiaty na człowieka. Jakie są ich magiczne właściwości? Co czyni je tak wartościowymi? Patrzy na mnie przez chwilę, po czym wyjaśnia spokojnie:

„To lekarstwo, które leczy ból. Wszelki ból. Leczy ból, który czujesz w ciele, i ten, który czujesz w sercu. Czujesz się, jakby twoje ciało było smołą. Niczym więcej. Czujesz się, jakbyś miał się rozpłynąć i zniknąć. I nic nie ma znaczenia. Nic się nie liczy. Jesteś szczęśliwy, ale się nie śmiejesz. To lekarstwo, rozumiesz?".

To, o czym mówi Matilde, od wieków inspirowało pisarzy, od Homera po Edgara Allana Poego. Porównywali oni stan wywołany opium do bycia owiniętym watą, opisywali go jako największe szczęście w życiu, gdy ma się wrażenie, że głowa jest puchową

poduszką, która łatwo może się rozedrzeć. Muzycy mruczą o tym błogim ukojeniu w setkach piosenek, dobierając tak melancholijne akordy, by przywoływały na myśl rozkoszne rozprężenie panujące w palarniach opium.

Sekrety opium zostały odkryte przez dwóch lekarzy z Baltimore w stanie Maryland w roku 1973[5]. Odkryli oni, że kiedy zjada się lub pali opium, substancja ta pobudza miejsca zwane receptorami w centralnym systemie nerwowym – w mózgu i w rdzeniu kręgowym. Cała wojna narkotykowa i jej okropieństwa mają początek w reakcji chemicznej.

Działanie opium jest szczególnie silne, kiedy dotyczy miejsca w mózgu zwanego wzgórzem, niewielkiej owalnej masy, która odpowiada za czucie bólu. Upraszczając, można powiedzieć, że kiedy boli nas ząb, informacja o tym biegnie od zęba do wzgórza i odczuwamy coś nieprzyjemnego. Składniki opium wiążą się z receptorami we wzgórzu i hamują znacząco informację o bólu. W naszym zębie nadal może ziać przepastna dziura, lecz my, zamiast cierpieć jak potępieńcy, poczujemy zaledwie lekki dyskomfort. Te same zjawiska chemiczne wywołują u ludzi euforię. Ich mózgi pracują wolniej, co daje poczucie wszechogarniającej błogości, czują się kreatywni, filozofują i ulegają romantycznym uniesieniom.

Dokładnie takie same reakcje wywołuje cała rodzina substancji pokrewnych opium – opiaty, czyli morfina, kodeina, i królowa ich wszystkich, heroina. Gumiarze z Sinaloa przerabiają obecnie całe opium w heroinę. Powstają w ten sposób różne jej odmiany: ta o jasnobrązowej barwie zwana jest grudą, a czarna smoła, która jest czarna i… cóż, wygląda jak smoła.

Procesy chemiczne wywołujące te „boskie” doznania odpowiadają też za okrutną wadę tego narkotyku: uzależnienie. Mózg sam wydziela substancje o strukturze opiatów, by kontrolować reakcję bólową, jeśli jednak zbyt często uśmierza się ból za pomocą opium i heroiny, naturalne mechanizmy przestają działać. Bez narkotyku ludzie czują słynny „głód”, czyli objawy odstawienia, takie jak biegunka, depresja i paranoja, Heroinista, którego zna-

łem jeszcze na Wyspach Brytyjskich, mówił: „Wyobraź sobie najgorszą grypę i pomnóż to przez dziesięć. A wtedy wyobraź sobie, że jedna dawka rozwiązuje problem”

Ludzkość odkryła działanie maku lekarskiego o wiele wcześniej, niż gumiarze z Sinaloa zabrali się do produkowania heroiny. Odnalezione ziarna maku dowodzą, że kultury europejskich myśliwych i zbieraczy pozyskiwały narkotyczny sok 4 tysiące lat przed Chrystusem. Około 3400 lat przed naszą erą w południowej Mezopotamii (współczesny Irak) pierwsi rolnicy świata wyryli *Papaver somniferum* na glinianych tabliczkach, opatrując go nazwą *Hul Gil*, czyli „kwiat rozkoszy”. Dwa tysiące lat później starożytni Egipcjanie pisali o naszym maku wi *Papirusie Ebersa*, jednym z najstarszych traktatów medycznych, jako o leku na „nadmierny płacz u dzieci”. Wraz z rozwojem cywilizacji europejskiej opium zyskiwało popularność od Konstantynopola po Londyn. Największym jednak powodzeniem roślina ta cieszyła się w Chinach, gdzie poeci opiewali ją jako „godną Buddy”**[6]**, a palaczy opium liczono w milionach.

Chińczycy dostrzegli gorzką stronę ich ukochanego kwiatu pod koniec XVIII wieku, gdy coraz głośniej zaczęto mówić o problemie uzależnienia. W 1810 roku cesarz z dynastii Qing wydał dekret zakazujący posiadania opium i grożący karą śmierci jego handlarzom. *Opium to trucizna stojąca w sprzeczności z naszymi obyczajami i moralnością*, mówiło pierwsze prawo antynarkotykowe współczesnego świata**[7]**.

Zakaz ten powołał do życia pierwszych narkotykowych przemytników. Stali się nimi uprzejmi, palący fajki dżentelmeni z paszportami imperium Brytyjskiego. Widząc okazję do zarobienia pieniędzy, brytyjscy kupcy z Kompanii Wschodnioindyjskiej zajęli się szmuglowaniem tysięcy ton opium do Kraju Złotego Smoka. Kiedy żołnierze cesarza zaatakowali brytyjskie statki, galeony królowej Wiktorii ostrzelały chińskie wybrzeże z armat. Jeśli zatem Kompania Wschodnioindyjska była pierwszym kartelem narkotykowym w dziejach, Królewska Marynarka Wojenna

pełniła funkcję pierwszych mafijnych spluw. Po dwóch wojnach opiumowych w 1860 roku Kompania uzyskała prawo do handlu narkotykiem. Chińczycy wciąż palili opium, a wraz z licznymi chińskimi emigrantami rozeszły się po całym świecie także ich nałogi.

Kulisi, czyli pracownicy fizyczni z Chin, przybywali parowcami do Sinaloa, począwszy od lat sześćdziesiątych XIX wieku, by pracować przy budowie kolei oraz w kopalniach. Zgodnie ze swoim zwyczajem, chińscy irnigranci zabierali w długą podróż przez Pacyfik makowiny, sok i nasiona. Góry Sierra Madre z ich suchym klimatem okazały się idealnym miejscem do hodowli opium. W 1886 roku rządowe badanie przyrodnicze stwierdziło po raz pierwszy występowanie *Papaver somniferum* w meksykańskiej florze. Kwiat ten powoli przyjmował się na nowym gruncie[8].

Gazety w Sinaloa już wkrótce donosiły o palarniach opium pojawiających się w Culiacán i Mazatlan. Przybytki te, znane jako *fumaderos*, opisywane były jako obskurne pomieszczenia na drugim piętrze sklepów odwiedzanych tylko przez Azjatów. Nie zachowały się niestety żadne fotografie, ale niewykluczone, że były podobne do palarni przedstawionej na klasycznym zdjęciu zrobionym w chińskiej dzielnicy Manili w tym samym okresie. Na czarno-białej fotografii widać Chińczyków leżących na materacach i opierających się bezwładnie o ściany, dzierżących długie, dochodzące do sześćdziesięciu centymetrów fajki do palenia opium. Mają twarze ludzi pogrążonych w magicznej euforii[9]. Podobnie wyglądające palarnie sfotografowano w Kalifornii i Nowym Jorku, gdzie nie tylko Chińczycy, ale także i dociekliwi Amerykanie oddalali wraz z dymem smutki życia.

Wtedy jednak rząd Stanów Zjednoczonych podjął brzemienne w skutki działania: zdelegalizował Kwiat Rozkoszy. Historia El Narco jest jednocześnie historią amerykańskiej polityki antynarkotykowej.

Dorastając w czasach prohibicji narkotykowej, łatwo sobie wy-

obrazić, że była zawsze, jak zakaz kradzieży czy potępienie morderstwa. Zakaz taki wydaje się jednym z praw przyrody: Ziemia krąży wokół Słońca, grawitacja trzyma wszechświat w ryzach, a narkotyki są nielegalne. To proste życiowe fakty. Naukowcy przekonują jednak, że prohibicja narkotykowa to polityka przyjęta powszechnie dopiero niedawno, a jej wprowadzenie wiąże się z niezgodą, protestami, a także kłamstwami.

Polityka antynarkotykowa napotyka kilka poważnych przeszkód: większość społeczeństwa lubuje się w popularnych używkach, takich jak alkohol czy tytoń, powodujących zarówno śmierć, jak i uzależnienie. Podobnie lekarze i wojsko – oni również wykorzystują w swojej pracy narkotyki, w tym pochodne opium. W tym samym czasie ludzie z biednych i patologicznych środowisk niszczeni są przez uzależnienie od przeróżnych substancji psychotropowych, które uda im się zdobyć.

Debata o prawie narkotykowym jest bardzo zaciemniona przez pełne emocji i nienaukowe głosy, w tym także te o zabarwieniu rasistowskim. Osobliwe mity uchodzą za prawdę. Mawiano kiedyś, że Chińczycy wykorzystują opium, by systematycznie gwałcić białe kobiety, lub że kokaina jest źródłem nadludzkiej siły Afroamerykanów z Południa USA. Ostatnio słyszy się o całych pokoleniach zaburzonych dzieci użytkowników kokainy lub o tym, że ludziom stosującym LSD wydaje się, iż potrafią latać.

Wśród głosów o moralnym upadku giną opinie lekarzy i naukowców, słychać za to krzyk największych bojowników dzisiejszych czasów: nieprzejednanych wrogów narkotyków. Politycy szybko zdali sobie sprawę, że to dla nich doskonały obszar działania, mogą popisywać się walecznością, nie bojąc się, że ktokolwiek im odpowie. Dzięki temu jawią się jako twardziele i moraliści, i zdobywają poparcie najważniejszej grupy: nieobojętnej części klasy średniej.

Patronem amerykańskich bojowników antynarkotykowych jest Hamilton Wright, który objął funkcję komisarza do spraw opium w 1908 roku. Pochodzący z Ohio Wright widział świat na

sposób purytański, miał też spore ambicje polityczne. Postawił sobie za cel uchronienie amerykańskich obywateli przed zagrożeniem z zagranicy i postrzegał Stany Zjednoczone jako państwo stojące na czele wojny z narkotykami. Dla naśladowców był wizjonerem, krytycy natomiast twierdzą, że zaczął walkę od złej strony. Wright ostrzegał o nadchodzącej epidemii w wywiadzie dla „New York Timesa" z 1911 roku, zatytułowanym *Wuj Sam jest największym narkomanem świata.* Powiedział wtedy gazecie:

Nałóg ten trzyma nasz naród w swoich szponach zaskakująco mocno. Więzienia i szpitale pełne są jego ofiar, mnóstwo przedsiębiorców straciło przez niego zdolność moralnej oceny i stało się bestiami żerującymi na porażkach konkurencji. Niepostrzeżenie to on stał się jedną z największych przyczyn nieszczęścia i grzechu w Stanach Zjednoczonych.

Nadużywanie morfiny i opium stało się naszym narodowym przekleństwem i trzeba temu w jakiś sposób zaradzić, jeśli chcemy utrzymać wysoką pozycję wśród narodów świata i móc nadal mówić o niepospolitej inteligencji czy moralności naszego społeczeństwa[10].

Istotnie, w czasach Wrighta spożycie opium wzrastało, liczbę jego użytkowników szacowano na 100–300 tysięcy. To sporo, ale zaledwie jedna czwarta procenta całej populacji, co jest wynikiem znikomym w porównaniu z dzisiejszymi statystykami. Gdy narkomani w ciemnych spelunkach wdychali opary opium, inni wpadali w nałóg, przyjmując narkotyk otrzymany od lekarza.

Uwagi Wrighta nie uszła inna niebezpieczna substancja zyskująca na popularności na początku XX wieku: kokaina. Gromadził raporty policyjne o Afroamerykanach ją zażywających i głosił wszem wobec, że od białego proszku dostają szału. Gazety kupowały te rewelacje na pniu. Wśród licznych artykułów o oszalałych od koki czarnoskórych najgorszy był chyba ten z „New York Timesa" z 1914 roku, będący agresywnym i żałosnym przykładem rasizmu, dla dzisiejszego czytelnika graniczącym z autoparodią. Artykuł pod tytułem *Czarnoskórzy kokainiści nową plagą Południa* – który z całą pewnością przyciągał uwagę przy niedziel-

nym śniadaniu – zaczyna się wiadomością o naćpanych kokainą Murzynach mordujących białych. Potem następuje pompatyczna opowieść o szeryfie z Karoliny Północnej, dającym odpór czarnym będącym pod wpływem koki:

Szeryfa zawiadomiono, że znany mu, dotychczas niegroźny Murzyn, w kokainowym amoku usiłował zadźgać właściciela sklepu i w obecnej chwili dopuszcza, się rękoczynów na członkach swojej rodziny.

Wiedząc, że ma do wyboru, albo go zabić, albo zginąć, szeryf wyciągnął rewolwer, umieścił go nad sercem narkomana i wystrzelił, zamierzając „uśmiercić go na miejscu”, jak powiedział później. Jednak czarnoskóry nawet się nie zachwiał…

W magazynku szeryf miał jeszcze zaledwie trzy pociski, które za chwilę mogłyby mu być potrzebne do okiełznania wściekłego tłumu, oszczędził więc amunicję i zatłukł wroga pałką.[11]

Czarnoskóry Amerykanin zmienia się pod wpływem kokainy w siłacza rodem z komiksu! Chińczycy używają opium, by wykorzystywać białe kobiety! Takie wieści skutecznie wstrząsnęły białymi z kręgów władzy. Wrightowi udało się w końcu w 1914 roku przekonać 13 narodów do podpisania zgody na kontrolę opiatów i kokainy a w grudniu tego samego roku Kongres Stanów Zjednoczonych przegłosował pierwsze amerykańskie prawo antynarkotykowe: Ustawę Harrisona. Nie był to dokument wprowadzający całkowitą prohibicję, jego celem była raczej kontrola niż spowodowanie całkowitego zniknięcia narkotyków. Pewna ilość opiatów była i jest nieodzowna dla celów medycznych, jednak Ustawa Harrisona dała początek czarnemu rynkowi opium i kokainy. Tak narodził się El Narco.

W Sinaloa nie potrzebowano dużo czasu, by dokonać obliczeń. Władza w stanie była słaba, w górach rosły maki, a nielegalny rynek opium znajdował się nieco ponad czterysta kilometrów na północ. Wynik był oczywisty: maki z Sinaloa łatwo można zamienić na amerykańskie dolary.

Chińscy imigranci i ich potomkowie mieli wiedzę i koneksje potrzebni by uruchomić handel narkotykami. Po kilku dekadach od pierwszej imigracji zasięg ich społeczności rozciągał się od Sinaloa aż po miasta przy północno-zachodniej granicy Meksyku. Większość chińczyków była dwujęzyczna, mówili po mandaryńsku i hiszpańsku, nosili też meksykańskie imiona. W wykazie pierwszych złapanych handlarzy narkotyków znajdują się Patricio Hong, Felipe Wong i Luis Siam. Chińczycy stworzyli siatkę zdolną hodować maki, produkować gumę i sprzedawać opium chińskim dilerom po amerykańskiej stronie granicy. Tak jak Brytyjczycy złamali chińską prohibicję, tak Chińczycy bez wahania łamali amerykańskie prawo.

Długa granica między Stanami a Meksykiem była i nadal jest idealna dla celów przemytu, z czym władze amerykańskie borykają się od ponad stu lat. Ta jedna z najdłuższych na świecie linii granicznych ma 3200 kilometrów ~ od San Diego nad Pacyfikiem aż do Zatoki Meksykańskiej w Brownsville. Po stronie Meksyku znajdują się dwa większe miasta: Juárez, leżące mniej więcej pośrodku tej linii, i Tijuana (nazwana tak ponoć na cześć burdelmamy imieniem Tia Juana). Do tych miast migrują ludzie z gór Sierra Madre, ze stanów Sinaloa i Durango, tworząc więzy rodzinne między przestępcami pochodzącymi z gór a tymi, którzy zamieszkują pogranicze.

Meksykańskie pogranicze może pochwalić się tuzinem średniej wielkości miasteczek, w tym: Mexicali, Nogales, Nuevo Laredo, Reynosa czy Matamoros. Pomiędzy nimi znajdują się rozległe dzikie obszary z mnóstwem wzgórz. Przez abstrakcyjną, wyrysowaną na piasku linię granicy szmuglowano przez długie lata niemal wszystko: od azteckich rytualnych czaszek po broń automatyczną. Pierwsze ładunki opium przelatywały przez nią niczym woda przez sito.

Stany zażądały od Meksyku ukrócenia przemytu, w tym czasie jednak Meksyk miał większe zmartwienia. Po tym, jak Porfirio Diaz zablokował demokratyczne przemiany w państwie, Meksykanie wreszcie powstali przeciw dyktatorowi i go obalili. Nie było

jednak czasu na świętowanie, ponieważ kraj wdał się w wojnę, w której ścierały się cztery główne armie. Duża część walk rewolucji meksykańskiej toczyła się w terytoriach północno-zachodnich, nieopodal Sierra Madre, tam też miały miejsce sławne bitwy pod Ciudad Juárez i Parral W walkach brało udział wielu ludzi z Sinaloa, jak na przykład kat na usługach Pancho Villi, Rodolfo Fierro, mający reputację jednej z najbardziej krwiożerczych postaci całej wojny. Ogromna fala przemocy kosztowała życie około miliona ludzi, czyli 10 procent całej populacji Meksyku. Ta strata odczuwana jest do dziś, odżywa w rodzinnych wspomnieniach i w ludowej pamięci.

Kiedy Meksykanom sen z powiek spędzała walka o życie, zmartwieniem Ameryki był przemyt opium. Ustawa Harrisona stworzyła Komisję Narkotykową, mającą kontrolować ten problem, ale bez odpowiedniego budżetu nie była ona w stanie prowadzić skutecznych dochodzeń. Mimo to agenci w urzędach celnych, skarbowych i konsulatach podjęli pierwsze śledztwa przeciwko meksykańskim handlarzom narkotyków. Szczegóły tej sprawy ujrzały światło dzienne dzięki badaczowi z Sinaloa, Louisowi Astordze, który przekopał się przez sterty dokumentów rozproszonych po amerykańskiej stolicy. Przedstawił tym samym obraz, na którym wyraźnie widać, jak amerykańscy agenci wchodzą wprost do jaskini lwa.

Sprawę otwarto we wrześniu 1916 roku, kiedy agent specjalny pracujący w urzędzie celnym Los Angeles wysiał do Waszyngtonu alarmujący raport**[12]**. Pisał, że jego informatorzy wpadli na ślad chińsko-meksykańskiego syndykatu szmuglującego opium z Tijuany do Kalifornii. W Los Angeles syndykat sprzedawał opium Chińczykowi o imieniu Wang Si Fee, mającemu kontakty również w San Francisco. Z handlarzami współpracował zagadkowy David Goldbaum, którego narodowość pozostaje niejasna. Ów Goldman spotkał się nie z kim innym, jak z gubernatorem stanu Baja California (w którym leży Tijuana), pułkownikiem Estabanem Cantu. Po niełatwych negocjacjach Goldman zgodził się zapłacić Cantu 45 tysięcy dolarów z góry oraz dodatkowe 10 ty-

sięcy za każdy miesiąc nietykalności syndykatu w północnym Meksyku.

Raport agenta specjalnego ukazuje, że już wtedy on i jego koledzy stosowali metodę charakterystyczną dla późniejszych dochodzeń narkotykowych prowadzonych przez USA: werbowanie płatnych tajnych informatorów. Ponadto kwota łapówki wskazuje, że już u zarania dziejów handel narkotykami był dochodowym interesem. Raport wspomina także, że członek syndykatu jeździł autem Saxon Six, jednym z najdroższych produkowanych w Detroit. Agentów zaprzątał jednak inny, o wiele ważniejszy fakt wynikający z raportu: w przemyt zamieszani byli meksykańscy politycy.

Do teczki gubernatora Cantu trafiało coraz więcej dowodów. Agent celny informował, że chociaż policja z Baja California dokonywała przechwyceń opium, jak w przypadku przejęcia 400 puszek z narkotykiem w porcie Ensenada, to ten sam towar trafiał później do sprzedaży. Urzędnicy skarbowi twierdzili, że Cantu sprzedawał opium dystrybutorowi o imieniu J. Uon w Mexicali, na południe od Calexico. Uon handlował opium w przybytku nazywającym się Casa Colorada, który pełnił jednocześnie funkcję agencji pośrednictwa pracy dla Chińczyków**[13]**. Inny raport skarbowy donosił, że Cantu sam był morfinistą. Źródło utrzymywało, że ramiona i nogi gubernatora były sine od niezliczonej liczby zastrzyków.

Do Waszyngtonu wysłano całe góry inkryminujących zeznań. Urzędnicy celni i skarbowi wysokiego szczebla naciskali, by Departament Stanu zajął się problemem, zawiadamiając Meksyk. Agenci byli pewni, że ta sprawa to gorący temat, a tu... nic. Nie zachowały się żadne wzmianki o tym, by Waszyngton wywierał jakąkolwiek presję w sprawie Cantu, który wypełniał swoje obowiązki do końca kadencji bez żadnych problemów. Być może Cantu był po tej stronie rewolucji meksykańskiej, którą Waszyngton wtedy wspierał. A może rząd był bardziej zaangażowany w wojnę w Europie, gdzie pochodnymi opium dosłownie faszerowano rannych na frontach Francji.

Jakiekolwiek były tego powody, sprawa Cantu stanowiła precedens, na który amerykańscy agenci narkotykowi mieli narzekać przez całe nadchodzące stulecie. Kiedy tylko opracowywano sprawę, w którą zamieszani byli zagraniczni politycy, Departament Stanu nie tylko pozostawał bierny, ale zdarzało mu się również blokować ich wysiłki. Wojna z narkotykami i polityka zagraniczna Waszyngtonu to dwie zupełnie różne kwestie.

W latach dwudziestych handel opium dodatkowo stracił na znaczeniu, kiedy policja skoncentrowała wysiłki na zwalczaniu nowego oficjalnego problemu numer jeden: alkoholu. Gdy „szlachetny eksperyment" prohibicji alkoholowej „stworzył" najsłynniejszego gangstera Ala Capone, w siłę rośli też coraz to nowi potentaci nieczystych interesów nad Rio Grande. Miasteczka meksykańskiego pogranicza już wcześniej cieszyły się popularnością z uwagi na burdele i knajpy ze striptizem. Teraz jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się gospody serwujące spragnionym Amerykanom whisky i tequilę. Przedsiębiorczy Meksykanie na tym nie poprzestali i szmuglowali alkohol do całej sieci melin w Stanach. Tak jak handlujący alkoholem w Chicago na próbę przejęcia ich towaru przez policję odpowiedzieli ogniem, tak i przemytnicy z południa nie wahali się użyć broni.

„El Paso Times" z 1924 roku donosi o strzelaninie między przemytnikiem a oficerami celnymi po tym, jak ci ostatni przejęli 3 torby butelek tequili i ponad 230 litrów whisky. Sednem historii jest heroizm agenta celnego znanego jedynie z nazwiska (Threepersons), który sam daje sobie radę z 16 przemytnikami, a jednego Meksykanina kładzie trupem. Przynajmniej tak twierdzi. Dramatyczne wydarzenia na granicy rozpoczynają się następująco:

Pierwsze oznaki mającej nastąpić bitwy widoczne były około północy w niedzielę, kiedy oficer celny Threepersons oraz drugi, nazwiskiem Wadsworth, „rozbili obóz" na krańcu First Street, by w ukryciu czekać na transport alkoholu znad granicy.

Niedługo po tym, jak znaleźli się przy wielkim drzewie nieopodal

pomnika, Wadsworth oddalił się, by przestawić samochód bliżej miejsca działania. Gdy tylko zniknął, natychmiast pojawiło się szesnastu Meksykanów.

Jeden z nich stanął naprzeciwko oficera i wymierzył w niego pistolet, Threepersons nakazał mu podnieść ręce do góry, ale tamten odmówił i wystrzelił w kierunku funkcjonariusza. Threepersons wypalił ze swojego karabinu kaliber 30 mm i napastnik upadł na ziemię.

Wymiana ognia trwała ponad godzinę i słychać ją było w każdej niemal części miasta.[14]

Godzinna strzelanina w środku miasta! Banda szesnastu uzbrojonych mężczyzn! Ta historia brzmi jak żywcem wzięta z dzisiejszej gazety wydawanej przy granicy. Główną różnicą było jednak to, że rozgrywała się po amerykańskiej stronie, w samym środku Eł Paso. Jednak w tamtych czasach, gdy strzelaniny i rzezie były w Chicago codziennością, potyczka w El Paso to było przysłowiowe małe piwo i dlatego znalazła się dopiero na dziesiątej stronie lokalnego szmatławca.

Gdy prohibicja miała się ku końcowi, meksykańscy przemytnicy rozpaczliwie poszukiwali nowego produktu. Szybko zwrócili uwagę na pokaźne dochody, jakie Chińczycy czerpali z handlu opium i heroiną. Przestępcy z wyżyny Sinaloa czuli ukłucie zazdrości, kiedy widzieli amerykańskie samochody i okazale domy azjatyckich gumiarzy. Meksykanie chcieli uszczknąć coś z ich „tortu". Wkrótce okazało się, że dostaną go w całości.

Meksykańscy hersztowie przejęli władzę nad chińskim handlem opium w czasie fali rasistowskiej przemocy przeciwko Azjatom (nie tylko amerykański rasizm miał wpływ na kształt handlu narkotykami). Wrogość względem Chińczyków narastała przez cale lata, kiedy Meksykanie obrzucali tych pierwszych pomówieniami o to, że są brudni i amoralni, i gdy przyglądali się z zawiścią ich doskonale prosperującym sklepom i restauracjom. Kiedy oliwy do ognia dolali politycy, rasizm zapłonął niszczycielskim płomieniem.

Rasizm był również na rękę kryminalistom, W 1933 roku konsul amerykański w Ensenadzie wystał do Waszyngtonu raport o narastającej wrogości wobec Chińczyków. Cytował swojego informatora – Amerykanina mówiącego po mandaryńsku – podającego, że wśród najzagorzalszych działaczy antychińskich są kluczowe postacie światka przestępczego. Należał do nich przemytnik nazwiskiem Segovia, działający w stanach Sonora, Sinaloa i Baja California, i finansujący bojówki atakujące Chińczyków. Celem Segovii, jak podawał raport, było przejęcie uprawy maków lekarskich znajdującej się w rękach Azjatów.

Napięcie rasowe znalazło ujście w ulicznych zamieszkach. Wśród ludzi biorących udział w linczu znalazł się student Manuel Lazcano. Urodzony na ranczu w Sinaloa w 1912 roku, stal się później ważną postacią prawa i polityki Meksyku, pełniąc przez trzy kadencje obowiązki prokuratora generalnego stanu Sinaloa. W późniejszych latach mówił, że wstydzi się, iż brał udział w zamieszkach na tle rasowym, i twierdził, że był wstrząśnięty ich okrucieństwem. Jego wspomnienia należą do najbardziej szczerych wynurzeń meksykańskich polityków i stanowią jedno z najlepszych źródeł informacji o wczesnych dziejach handlu narkotykami w tym kraju. Lazcano, na zdjęciu prezentujący się jako przystojny młody człowiek palący fajkę, opisuje, jak wrogi Chińczykom lud wkroczy! na główny plac Culiacán, by zwerbować zwolenników:

*To było 150 osób, dużo ludzi, jak na tamte czasy w Culiacán. Nieśli żenujące transparenty, na których widać było Chińczyków jedzących szczury lub z ropniami na głowach (powiadali, że Azjaci cierpieli na niezliczone choroby, byli brudni i jedli jaszczurki). To była prawdziwa lawina inwektyw. Ci młodzi ludzie zaczęli naciskać, byśmy się zaangażowali. Pamiętam wciąż ich głosy: „Dalej, no, chodźże!". No więc poszedłem z nimi, stając się wrogiem Chińczyków. Jest to coś, czego do dziś się wstydzę.***[15]**

Lazcano opisuje, jak ludzie przeczesywali ulice w poszukiwaniu Chińczyków. Kiedy ich znajdowali, wlekli swoje ofiary do więzień zaimprowizowanych w domach z zabitymi deskami

oknami i trzymali ich tam ze związanymi rękami i nogami. Kiedy mieli wystarczającą liczbę pojmanych, umieszczali ich w bydlęcych wagonach i wywozili ze stanu. Dobytek i domy Chińczyków zajmowali mieszkańcy Sinaloa. Ta etniczna czystka przypomina to, co naziści robili Żydom, co nie umyka uwagi Lazcana:

Widzieliśmy filmy pokazujące brutalne represje, jakim poddawani byli Żydzi, oraz jak transportowano ich niczym zwierzęta. Cóż, dokładnie to samo zrobiono w Sinaloa Chińczykom. Oglądanie tego było porażające.[16]

Gdzie indziej gangsterom szkoda było czasu na pociągi, po prostu strzelali do swoich ofiar. W Ciudad Juárez rewolwerowiec znany jako Veracruz miał zebrać w jednym miejscu i zastrzelić jedenastu Chińczyków handlujących opium. Jego pracodawcą była rzekomo kobieta ze stanu Durango, nazywająca się Ignacia Jasso, znana jako Nacha. Meksykanie zaczęli grać pierwsze skrzypce w handlu narkotykami od upraw w Sierra Madre, aż po pełne życia miasta pogranicza.

Opisywana jako niewysoka krzepka kobieta z czarnymi włosami związanymi w kucyk, Nacha była pierwszą słynną szefową gangu w Meksyku. Miała, według wszystkich źródeł, niezaprzeczalny talent do interesów. Zauważyła zmieniające się oczekiwania rynku i zwiększyła produkcję heroiny. Dysponowała ponoć wieloma prowizorycznymi laboratoriami do przetwarzania maków z Sierra Madre. Zamiast jednak szmuglować towar przez granicę, sprzedawała paczki heroiny w swoim domu w centrum Ciudad Juárez. Amerykanie, w tym wielu oficerów z posterunku w El Paso, wybierali się na drugą stronę rzeki, by kupić działkę. Zdarzało się też jednak, że klienci przybywali aż z Albuquerque w Nowym Meksyku, by zakosztować jej słynnego specyfiku.

Na dzisiejsze standardy ten rynek był niewielki, a meksykańska heroina uważana za podrzędną w porównaniu z tą produkowaną w Turcji. Był to jednak wystarczająco dobry interes, by uczynić Nachę jedną z najzamożniejszych osób w Juárez. Nie tylko jeździła efektownym amerykańskim samochodem, sponsorowała także sierociniec oraz śniadania dla dzieci. Miała też wy-

starczająco dużo pieniędzy, by kupić policję. Lokalna gazeta „El Continental” tak pisała o królowej heroiny 22 sierpnia 1933 roku:

Ignacia Jasso, pseudonim Nacha, wciąż nie została aresztowana przez władze za posiadanie i sprzedaż nielegalnych substancji (heroiny), którą to podobno prowadzi od lat w swoim domu przy Degollado numer 218. Dowiadujemy się, że Nacha porusza się przez nikogo nie niepokojona ulicami Juárez swoim niedawno kupionym luksusowym samochodem. Wydaje się, że przed aresztowaniem chronią ją znajomości.[17]

Znowu, jak w przypadku Cantu, widać, że handel narkotykami od samego początku wiąże się z korupcją. Jednak w czasach Nachy korupcja ta nie dotyczyła zbuntowanego gubernatora podczas toczącej się wokół wojny domowej. Lata walk wreszcie się skończyły, a Meksykiem rządziła niepodzielnie jedna partia.

Partię Rewolucyjno-Instytucjonalną, jeśli chodzi o styl rządzenia Meksykiem, porównywano do Partii Komunistycznej Związku Radzieckiego i jej rządów w Rosji. Przypisuje się też PRI najdłuższy okres pokoju w historii kraju oraz chronienie go przed burzliwymi konfliktami niszczącymi Amerykę Południową przez cały XX wiek.

Ojciec założyciel PRI, generał Plutarco Elias Calles, powołał ją do życia w 1929 roku po zakończeniu swojej kadencji prezydenta. Zamierzał zaprowadzić ład i pokój, jednocząc wszystkie kluczowe segmenty społeczeństwa: związki zawodowe, ludność wiejską, ludzi biznesu oraz wojsko. Wszyscy oni mieli śpiewać jeden hymn i powiewać jednym sztandarem. Zainspirowany przez radziecki totalitaryzm i włoskich faszystów, Calles podróżował po Europie, by przyjrzeć się tam rozmaitym stylom prowadzenia polityki. Co ciekawe, najwięcej czasu spędził, studiując działalność brytyjskiej Partii Pracy i niemieckich socjaldemokratów. Mimo to PRI było do głębi meksykańską organizacją, przyjmując nawet zieleń, biel i czerwień meksykańskiej flagi jako swoje barwy. Jej celem było stać się Meksykiem.

Niektórzy amerykańscy dziennikarze określają PRI jako partię

lewicującą. Nic bardziej błędnego. Chociaż to z PRI pochodzili tacy lewicujący prezydenci, jak Lazaro Cárdenas, to również oni stworzyli tak zagorzałych kapitalistów, jak Carlos Salinas. W gruncie rzeczy partii tej nie chodziło o ideologię, lecz o władzę, PRI czerpała garściami z rozwiązań wypracowanych przez Porfiria Diaza. Kacykowie lub lokalni wodzowie rządzili na swoich terytoriach. W tych niezliczonych małych królestwach istniały tysiące służb pilnujących porządku. W odróżnieniu od reżimu Diaza, PRÍ zmieniała prezydenta co 6 lat. Władza była w rękach instytucji, nie zaś w ręku jednego dyktatora. Genialność tego rozwiązania określona została przez pisarza noblistę Mario Vargas Llosę mianem „dyktatury idealnej”**[18]**.

By móc działać bez większych zgrzytów, państwo za rządów PRI uciekało się do przekupstwa. Biznesmeni przepłacali kacyków z miasteczek, którzy z kolei płacili gubernatorom, a ci płacili prezydentom. Pieniądze szły w górę jak gaz, władza zaś, wzorem wody, spływała w dół. Każdy był zadowolony i nie myślał o tym, by wychylać się z szeregu, ponieważ był stałe opłacany Historycy zauważyli ten paradoks meksykańskiej polityki: korupcja nie była tu korozją, a smarowidłem ułatwiającym ruch maszyny, i spoiwem, które trzymało ją w całości**[19]**. Pieniądze z heroiny były po prostu jednym ze źródeł dochodu. Rynek narkotykowy stanowił zaledwie ułamek dzisiejszego i władze nie widziały w nim niczego szczególnego. Handel narkotykami uchodził za wykroczenie równie bagatelne, jak dzisiaj postrzega się piractwo muzyczne.

Manuel Lazcano – student uwikłany w zamieszki na tle rasowym pamięta takie podejście w czasie, gdy piął się po szczeblach kariery w PRI w Sinaloa. Tłumaczy, w jaki sposób udało mu się poznać ludzi, którzy przejęli handel opium po Chińczykach:

*Wszystko zaczynało się powoli. Lubię myśleć, że ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, jakie zło wyrządzają. Z początku było to coś normalnego, drobne przestępstwo, coś, co można tolerować, co może ujść na sucho. To jakby wybrać się do Nogales i przywieźć stamtąd skrzynkę koniaku.***[20]**

Jak wspomina Lazcano, produkcja opium w Sinaloa wzrosła dramatycznie w latach czterdziestych ubiegłego wieku, jak przyznaje wielu innych, ta nagła hossa była zasługą tajemniczego klienta, który płacił dolarami za cale tony makówek. Hojnym klientem, jak zgaduje Lazcano, mógł być Wuj Sam we własnej osobie.

Pomysł, że to rząd amerykański systematycznie wykupywał opium z Sinaloa w czasie drugiej wojny światowej, znajduje się w czołówce nieoficjalnych teorii dotyczących wczesnego rozwoju meksykańskiego narkobiznesu. Dzisiaj w Sinaloa politycy, policja i sami handlarze są przekonani, że taka właśnie jest prawda. Departament Obrony Meksyku opisuje taki stan rzeczy w oficjalnej historii handlu narkotykami umieszczonej na ścianach kwatery głównej tej instytucji w stolicy. Mimo to władze USA energicznie temu zaprzeczyły.

Zgodnie z tą teorią, Stany Zjednoczone potrzebowały opium do produkcji morfiny dla swoich żołnierzy walczących na frontach drugiej wojny światowej. Rzeczywiście morfinę aplikowano szczodrze żołnierzom rannym w potyczkach z Trzecią Rzeszą i Japonią. Tradycyjnym źródłem opium dla celów medycznych była dla USA Turcja. Wojna jednak zablokowała szlaki handlowe, a niemieckie U-booty krążyły po Atlantyku, zatapiając statki towarowe. Rząd Stanów Zjednoczonych miał zatem zwrócić się do gumiarzy z Sinaloa i dogadać się z rządem Meksyku, by pozwolono im hodować maki na ich potrzeby.

Lazcano wspomina łatwość, z jaką jego znajomi ekspediowali nieprzetworzone opium na północ, co miało być dowodem na to, że umowa istniała:

Znałem paru ludzi z gór. Byli to moi przyjaciele hodujący maki i po zbiorach szli do Nogales w strojach wieśniaków z czterema lub pięcioma kulkami opium w walizce czy plecaku. Ciekawe, że przekraczali granicę, mimo że dookoła byli celnicy. Przekazywali towar tam, gdzie mieli go przekazać, i spokojnie wracali. Było jasne, że pozwalano im przejść.[21]

Pewien amerykański dziennikarz odwiedził Sinaloa w 1950

roku i dowiedział się od swoich informatorów – przedsiębiorców i miejscowych ludzi władzy – że taki pakt rzeczywiście istnieje. Napisał zapytanie w te i sprawie do Federalnego Biura do spraw Narkotyków, instytucji powołanej w roku 1930, by lepiej koordynować amerykańskie wysiłki antynarkotykowe. Na jej czele nieprzerwanie przez pierwsze 32 lata stał Harry Anslinger, zaciekły wróg narkotyków. Anslinger osobiście odpisał na pytanie dziennikarza, twierdząc, że teoria o pakcie jest *na wskroś fantastyczna i przekracza możliwości nawet najbardziej wybujałej wyobraźni*[22]. Meksykańscy badacze zagadnienia narkotyków nie mogli odnaleźć żadnego decydującego dowodu na istnienie takiej umowy i niektórzy zgadują, że może jest ona wymysłem władz meksykańskich, mającym ulżyć ich sumieniu.

Jednak niezależnie od tego, czy Wuj Sam pomógł, czy też nie, sprzedaż opium zdecydowanie wzrosła. Mieszkańcy Sinaloa stali się tak znani z uprawy opium, że nawet ich drużyną koszykówki nazywano Gomeros. W latach pięćdziesiątych Lazcano pracował dla rządu w tej samej górskiej miejscowości, w której teraz patrzę na maki. Wtedy nie było tutaj nawet drogi, choćby tak kiepskiej, jak dzisiaj. On sam docierał tu awionetką, Ale w górach zdarzało mu się widywać wieśniaków mających *radia, broń, samochody, a nawet amerykańskie jedzenie w puszkach*[23], które zdobywali, handlując opium.

Potomkowie plemion uprawiających kanibalizm, rzezimieszki i wywłaszczeni chłopi znaleźli sposób na wyjście z dramatycznej nędzy. Handel opium czy heroiną stał się częścią ich kultury, wraz z ciężarówkami, ludowymi świętymi i późniejszymi karabinami Kałasznikowa. El Narco zakorzenił się w miejscu, gdzie mógł później wyrosnąć jako krwiożercza roślina. To właśnie w tym środowisku, w prostych chatach przyszli na świat w 1957 roku Joaquin Guzman, zwany Chapo, czy Broda, czyli Beltran Leyva, w 1961 roku. Kiedy dorastali, wraz z nimi narastało zjawisko społeczne, które miało zmienić handel substancjami psychoaktywnymi ze źródła utrzymania kilku osób w górskiej osadzie w wielomiliardowy biznes na światową skalę. Była to rewolucja

obyczajowa lat sześćdziesiątych.

ROZDZIAŁ 3
Hipisi

Wiesz co, to przezabawne. Każdy z tych sukinsynów chcących legalizacji marihuany okazuje się Żydem. Co, na Boga, jest nie tak z tymi Żydami, Bob? Co z nimi jest nie tak? Pewnie to dlatego, że większość z nich to psychiatrzy

Prezydent Richard Nixon, 26 maja 1976 roku, nagrania z Białego Domu ujawnione w marcu 2002 roku.

„Lato Miłości" miało rozpocząć się 1 czerwca 1967 roku, kiedy to Beatlesi wydali swój przełomowy album *Sgt. Peppers Lonely Hearts Club Band* z legendarną okładką, na której widać chłopców z Liverpoolu w różnokolorowych garniturach. Album utrzymywał się na czele notowań „Billboardu" nieprzerwanie przez 15 tygodni, częściowo dlatego, że jego amerykańscy nabywcy urzeczeni byli zawartymi w nim aluzjami do narkotyków. Patrząc na to z perspektywy czasu, były to aluzje tak niewinne, że aż zabawne. Album jest najbliżej nazwania narkotyku po imieniu w szyfrze zawartym w piosence *Lucy in the Sky with Diamonds* (informacja dla spóźnialskich: chodzi o LSD). Pod koniec piosenki słychać bardzo niepokorne słowa „chcę cię nabuzować", które załatwiły utworowi zakaz emisji w BBC z uwagi na sformułowania „zachęcające do postawy akceptacji dla przyjmowania narkotyków". Tego lata jednak wystarczyło tylko wspomnieć o narkotykach, by wzbudzić zachwyt dzieciaków. Nieoczekiwanie psychoaktywne rośliny oznaczały młodość przełom i obiecywały nowy wspaniały świat. W tym samym miesiącu młodzi tysiącami popalali skręty przed kamerami telewizyjnymi, gdy Jimi Hendrix i Janis Joplin grali dziwne, nowe gatunki rocka na festiwalu w Monterey w Kalifornii. Świat stawał na głowie.

Jednak nie w Sierra Madre, Latem 1967 roku nastolatek Efrain Bautista spał na tej samej polepie, którą dzielił se swoimi siostrami i braćmi przez szesnaście lat życia. W jego wiosce składa-

jącej się z prymitywnych bambusowych chat nikt nie słyszał o *Sgt. Pepper's Lonely Heart's Club Band,* Beatlesach, LSD, Liverpoolu czy Monterey, ponieważ nikt nie miał tam nawet radia tranzystorowego czy gramofonu, a już na pewno telewizora. Nawet gazety nie docierały tak daleko w głąb gór Meksyku.

Tamto lato trudno też było tu nazwać latem powszechnej miłości, ponieważ ludzie w tej części gór uwikłani byli w liczne krwawe waśnie. Dalsza rodzina Efraina toczyła wojnę z innym klanem z powodu jakiejś na wpół zapomnianej kłótni jego wuja o dziewczynę. Wuj zabił w końcu swojego rywala, a rozwścieczony klan zemścił się, mordując innego wuja z rodziny chłopca oraz jego kuzyna. Oba rody czekały w napięciu, jak potoczy się ta krwawa jatka. Takie rodowe waśnie unicestwiały cale pokolenia.

Lecz mimo że Efraina i jego wioskę dzieliła od życia amerykańskich hipisów, potrząsających bujnymi grzywami w rytm muzyki Ravi Shankara, przepaść nie do pokonania, ich losy splotły się za sprawą pewnej zielonej rośliny o lepkich pąkach i charakterystycznym słodko-gorzkim zapachu. Gdy Amerykanie zapragnęli marihuany, stała się ona powszechna na meksykańskiej wsi. Wieloletni hodowcy nie byli w stanie sprostać popytowi, wobec czego do jej uprawy zabrali się rolnicy w pobliskim Durango, potem w Jalisco, a następnie w południowych stanach gór Sierra Madre, czyli Oaxaca i Guerrero, gdzie mieszkał Efrain. On i jego rodzina niespodziewanie przeobrazili się z drobnych rolników w producentów stojących na najniższym szczeblu narkotykowej drabiny.

Nagły wzrost popytu na narkotyki w Stanach Zjednoczonych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych miał ogromny wpływ na życie w wielu krajach: w Kolumbii, Maroku, Turcji i Afganistanie. I oczywiście w Meksyku. W ciągu dekady lekkie narkotyki z ganionej i rzadko stosowanej używki zmieniły się w rozchwytywany na całym świecie towar. W wyniku wzrostu zapotrzebowania na nie kilku hodujących je wieśniaków z Sinaloa ustąpiło miejsca ogólnonarodowej produkcji, rząd zaś stanął przed koniecznością radzenia sobie z łamaniem prawa na dużo

większą skalę, jednak przynoszący miliardy dolarów handel stał się czymś, w czym i politycy zapragnęli uczestniczyć. Stawka szła w górę, w związku z czym pojawili się pierwsi bosowie i pierwsze przypadki rozlewu krwi, El Narco wszedł w okres burzliwego i szokującego dojrzewania.

Rodzina Efraina uświadomiła sobie, że trwa boom na marihuanę, kiedy zaczął ją uprawiać ich kuzyn z pobliskiej wioski, jego ojciec i dziadek wiedzieli o konopiach od zawsze, roślina o wdzięcznych, podobnych do gwiazdy liściach pojawiała się tu i ówdzie w Sierra Madre. W odróżnieniu od maku lekarskiego, przybyłego na te tereny dopiero w XIX wieku, marihuana była stosowana w Meksyku już w czasach najazdu hiszpańskiego, choć niektórzy twierdzili, że amatorami psychoaktywnego ziela byli Aztekowie. W czasie rewolucji meksykańskiej konopie pomagały wielu żołnierzom uśmierzyć ich troski i zmartwienia. *Ganja* leżała również u źródeł najsłynniejszego wersu ludowej piosenki *La Cucharacha*: *Ten karaluch, ten karaluch nie pójdzie już dalej. Jeśli zaraz, jeśli zaraz trawy nie zapali*. W czasach pokoju marihuana była popularna w więzieniach i wśród ludzi kultury, czego przykładem był znany malarz Diego Riviera**[1]**.

Kiedy ojciec Efraina zauważył, że hodowla konopi przynosi kuzynowi spore zyski, zapytał, czy on również mógłby spróbować tej uprawy. Krewniak z radością obdarował go nasionami i zapoznał z kupcem, Efrain tak tłumaczy decyzję o podjęciu produkcji narkotyków:

„Mój ojciec miał cztery pola, co oznaczało, że jak na tutejsze standardy byliśmy zamożni. Mieliśmy kilka krów, uprawialiśmy kukurydzę i limonki. Wciąż jednak niełatwo było zarobić pieniądze, by wszystkich : wyżywić. Było nas dziewięcioro rodzeństwa, a mój ojciec opiekował się jeszcze dziećmi swojego brata, który zginął w konflikcie rodów. Mój tata może i był leniwy, ale sprytny. Wiecznie szukał sposobów, by zarobić więcej, mniej się przy tym trudząc. Spróbowaliśmy więc uprawiać marihuanę".

Efrain uśmiecha się, wspominając swoje młode lata. Jemy

jajka z chilli w jednej z knajpek Mexico City. Mieszka w stolicy od wielu lat, lecz nadal zachowuje się jak u siebie w górach: czasem jest nieokrzesany, ale otwarty i szczery. Ma ogorzałą twarz i jasne oczy, które są podobno spadkiem po i francuskich przodkach. Jednak mimo europejskich korzeni jest dumny i z tego, iż pochodzi z Guerrero, stanu, którego nazwa dosłownie znaczy „wojownik", i który ma reputację jednego z najbrutalniej szych regionów Meksyku.

„Z początku uprawialiśmy marihuanę tylko na połowie jednego z pól, na którym wcześniej rosła kukurydza. Marihuana jest łatwa w uprawie – nasze góry są dla niej po prostu idealne. Wystarczy ją zasiać, a słońce, deszcz i ziemia robią za ciebie całą robotę. Po kilku miesiącach mieliśmy już całkiem spore krzaki, mniej więcej półtora metra wysokości. Gdy trzeba ją było zebrać, ścinałem ją z braćmi maczetami. Nie trudnego. Napchaliśmy nią kilka worków. Pachniała diabelnie mocno, więc uznaliśmy, że to dobry towar. Zabraliśmy wszystko do miasteczka, żeby sprzedać".

Najbliższym miastem targowym było Telolapan, górska osada z plątaniną uliczek między domami z kamienia, słynąca z potraw z sosem mole o smaku czekolady i chili oraz lokalnych świąt, podczas których nosi się maski diabłów. Efrain wraz z ojcem znaleźli swojego kupca i dostali od niego mniej więcej 1000 pesos za worki zawierające 25 kilo marihuany. Taka cena, czyli około 5 dolarów za kilogram, stanowiła zaledwie ułamek tego, ile zapłacić mieli żacy w Berkeley. Dla Efraina i jego rodziny była to jednak żyła złota.

„Nie udało nam się wcześniej dostać takich pieniędzy za którykolwiek z naszych zbiorów, ani za kukurydzę, ani za limonki. Urządziliśmy sobie pełne mięsa uczty, kupiliśmy nowe buty i ubrania. Zaczęliśmy też uprawiać marihuanę na połowie naszych pól i co kilka miesięcy sprzedawaliśmy sto kilo marihuany. Wciąż daleko nam było do bogactwa, zapomnieliśmy jednak, co to głód".

Rodzina Efraina uprawiała konopie od dwóch lat, kiedy poja-

wili się żołnierze mający zniszczyć uprawy. Szczęśliwie jednak dla Efraina i jego rodziny kupiec uprzedził ich o działaniach wojska tydzień wcześniej, co świadczyło o tym, że organizacja zajmująca się obrotem marihuaną miała znaczne koneksje. Efrain wspomina:

„Zbieraliśmy naszą marihuanę w pośpiechu. Część była już gotowa i mogliśmy ją ukryć w górach, w workach. Inne rośliny były jeszcze za młode i musieliśmy je wyrzucić. Kiedy przybyli żołnierze, nawet nie popatrzyli na nasze pola. Widząc to, mój ojciec wściekał się, że zmarnowaliśmy tak dużo marihuany.

Z początku nie miałem pojęcia, dokąd trafia nasza marihuana. Wiedzieliśmy tylko, że można ją było sprzedać w miasteczku. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że wysyłano ją do *El Norte* [Stanów Zjednoczonych]. Mniej więcej w tym samym czasie część ludzi z naszych okolic wybrała się do *El Norte* w poszukiwaniu pracy. Ale ja nie chciałem wyjeżdżać. Za bardzo kochałem nasze góry”.

Efrain i jego rodzina nazywali narkotyk po prostu marihuana lub, używając meksykańskiego slangu, *mota.* W Stanach jednak z całą pewnością sprzedawano ją pod atrakcyjną nazwą rynkową Acapulco Gold. Telolapan leży w tym samym stanie (Guerrero) co Acapulco, gdzie Elvis Presley i wcielający się w rolę Tarzana aktor Johnny Weissmuller w latach sześćdziesiątych popijali Margarity z łupin kokosa. Przez całe lata tony marihuany przewędrowały z południowych części Sierra Madre do nadmorskiego kurortu, skąd mogły podróżować dalej na północ na pokładach statków rybackich. Wiele lat później, kiedy odwiedziłem posterunek policji federalnej w Acapulco, zastałem tam funkcjonariusza ze złotym łańcuchem na szyi, siedzącego naprzeciwko dużej sterty przechwyconej Acapulco Gold w formie sprasowanych cegiełek. Było tego ze 300 kilogramów. Marihuana wydzielała zapach tak mocny, że czuć ją było nawet. na ulicy. Z bliska mogłem zobaczyć charakterystyczny zielonobrązowy kolor, do którego poetycko odnosił się przymiotnik *gold*.

W latach sześćdziesiątych Acapulco Gold był w Stanach wysoko cenionym rodzajem marihuany, uznawanym ze trawkę lepszej jakości niż ta uprawiana w Kalifornii czy w Teksasie. Jakakolwiek była prawda, w sytuacji nagłego wzrostu popytu na marihuanę w Ameryce, handlarze sprowadzali towar, skąd tylko się dało. To Ameryka tworzyła popyt i Meksyk miał go zaspokajać. Amatorzy psychodelicznych podróży ściągali tłumnie do Tijuany, kupując na pniu wszelką dostępną trawkę. Pewna grupa uczniów wraz z nauczycielem z Coronado High School z San Diego przemycała marihuanę z plaż Tijuany do Stanów w deskach surfingowych. Tak zwana Coronado Company zdołała przenieść się na jachty, nim dobrali się do nich agenci federalni**[2]**. W Teksasie, wzdłuż granicy z Meksykiem, kupcy udawali się nad Rio Grande, by odbierać przerzucane nad wodą paczki. Inni wędrowali do mrocznych knajp w El Paso czy Laredo, poszukując podejrzanie wyglądających Meksykanów, którzy mogli parać się handlem.

Przy granicy marihuanę można było kupić za 60 dolarów za kilogram, lecz na uniwersytetach Wschodniego Wybrzeża USA ta sama ilość osiągała nawet cenę 300 dolarów. Niektórzy szukający zysku Amerykanie wybierali się w głąb Meksyku, by tam kupować towar jeszcze taniej. Zaliczał się do nich niejaki George Jung, narkoman z Bostonu, który rozwoził konopie samolotem po całych Stanach. Wkrótce jego głównym towarem stała się kokaina. To o nim opowiada film *Blow,* on też stał się supergwiazdą wśród dilerów, stworzył własną stronę internetową, fan club i kolekcje podkoszulków (znanych jako *smuggler wear* – „przemytnicze ciuchy”).

George, hipis o długich blond włosach, dużym nosie i mówiący z wyraźnym bostońskim akcentem, opisuje swoje przygody w licznych nagraniach wideo oraz pamiętnikach spisanych w celi więzienia La Tuna w Anthony w Teksasie, gdzie odsiadywał piętnastoletni wyrok. Jak powiada, gdy pierwszy raz wybrał się do Meksyku, skierował kroki do kurortu nad Pacyfikiem, Puerto Vallarla, inspirując się filmem *Noc iguany.* Mówiąc łamanym hisz-

pańskim, błąkał się przez dwa tygodnie, nim trafił na to, czego szukał. Wkrótce zarabiał 100 tysięcy dolarów miesięcznie, rozwożąc trawkę awionetką. George z Bostonu kupował od pośredników, którzy z kolei brali towar od rolników takich jak Efrain. Pośrednicy, jak podaje George, mieli dobre układy w meksykańskim wojsku.

George został w końcu aresztowany z bagażnikiem pełnym konopi przed klubem Playboy w Chicago. Na szczęście, a może na nieszczęście, dzielił celę z Kolumbijczykiem, Carlosem Lehderem, który skontaktował go z kartelem z Medelin i otworzył przed nim drogę do milionów z handlu kokainą.

Aresztowanie Junga miało jednak znikomy wpływ na szerokość strumienia, jakim marihuana płynęła na północ. Rynek narkotyków rósł w siłę. W 1978 roku badanie na zlecenie Białego Domu wykazało, że 37,8 procent ludzi kończących szkołę średnią przyznawało się do zapalenia choć raz marihuany. Jednocześnie rosło spożycie heroiny i kokainy. Zaciekł i wrogowie narkotyków skwapliwie wykorzystują te fakty, by udowodnić, że trawka nieuchronnie prowadzi w stronę cięższych grzechów. Pewnie mają rację, choć może to głębokie przemiany społeczne i ekonomiczne wywoływały wzrost tak popytu, jak i podaży wszystkich trzech psychoaktywnych substancji.

Niezależnie od przyczyn, pewne jest, że w Ameryce tamtych czasów nastąpiła radykalna zmiana upodobań narkotykowych. W 1966 roku Federalne Biuro do spraw Narkotyków ogłosiło, że narkotykiem przynoszącym największe profity handlarzom jest heroina i jej szacowany czarny rynek wart jest 600 milionów dolarów rocznie**[3]**. W 1980 roku podano, że wartość amerykańskiego rynku narkotyków przekroczyła 100 miliardów dolarów. Ten „wstrząs” odmienił nie tylko amerykańskie uniwersytety i getta wielkich miast, ale odcisnął się także na Meksyku, zarówno na ludziach żyjących w górach, jak i na środowiskach władzy.

Kiedy Ameryka rozsmakowywała się w narkotykach, największy wpływ na politykę ich dotyczącą miał bez wątpienia prezy-

dent Richard Nixon. Ten zawzięty kalifornijczyk ogłosił wojnę z narkotykami, beształ inne kraje za ich produkcję i powołał rządowe organa odpowiedzialne za walkę z nimi. jego działania miały decydujący wpływ na amerykańską politykę w następnych 40 latach – i nie mniejszy wpływ na sam Meksyk. Jednak po kompromitacji Nixona w aferze Watergate późniejsi działacze antynarkotykowi woleli raczej pomniejszać jego zasługi. Jednocześnie krytycy polityki antynarkotykowej przyznają, że choć prezentował postawę konfrontacyjną, na programy detoksykacji dla narkomanów przeznaczał dużo większe fundusze niż jego liberalni następcy.

Urodzony w 1913 roku Nixon dorastał w atmosferze tworzonej przez Harry ego Anslingera stojącego na czele Federalnego Biura do spraw Narkotyków, który utrzymywał, że palenie trawki prowadzi do moralnego upadku i popycha ludzi do popełniania morderstw. Taką wizję przedstawia klasyczny film kategorii Z, *Reefer Madness* (czyli *Tell Your Children*), nakręcony w czasie złotych lat propagandy Anslingera. Film ukazuje grupę porządnych uczniów szkoły średniej, skuszonych przez dilera do wypalenia marihuan owego skręta, co doprowadza je do mordów, gwałtów i ostatecznie szaleństwa. Nie brakuje tam naprawdę wyjątkowych ujęć, na przykład takiego, w którym ubrany w garnitur uczeń, popalając skręta, nagle zanosi się klasycznym, hollywoodzkim, upiornym rechotem.

Wiara w to, że marihuana prowadzi bezpośrednio do popełniania morderstw i gwałcenia umarła w latach sześćdziesiątych, mimo to Nixon nadał uważał, że skutkiem palenia trawki jest zepsucie moralne młodzieży i znienawidzona przez niego rewolucja kontrkulturowa. Jego opinie świat poznał dopiero w 2002 roku, kiedy odtajniono nagrania Białego Domu z tamtego okresu. Nixon uważał narkotyki za część komunistycznego spisku mającego na celu unicestwienie Stanów Zjednoczonych. W jednym z nagrań powiedział:

„Homoseksualizm, ogólna niemoralność i prochy to główni wrogowie silnych społeczeństw. Oto, dlaczego komuniści i le-

wacy handlują tym paskudztwem. Chcą nas w ten sposób zniszczyć".[4]

Nixon miał na myśli również heroinę, którą uważał za przyczynę wzrostu przestępczości od Waszyngtonu do Los Angeles. W swojej kampanii wyborczej obiecywał, że zaprowadzi ład i porządek, i kiedy objął urząd w 1969 roku, podjął działania mające udowodnić, że nie był gołosłowny, jego pierwszym szokującym ruchem było zamknięcie granicy z Meksykiem.

Operacja „Intercept" rozpoczęła się po tym, jak wysłannicy Nixona w czerwcu 1969 roku wybrali się do Mexico City, by przekonać władze do spryskania trucizną upraw marihuany i opium. Meksykanie odmówili, bojąc się efektów ubocznych, takich jak po zastosowaniu przez Stany herbicydów w Wietnamie. Wizytę tę wspomina G. Gordon Liddy: *Meksykanie, używając, rzecz jasna, dyplomatycznego języka, kazali nam spadać na drzewo. Ale administracja Nixona nie pozwoliła się zbyć. Tak narodziła się operacja* „Intercept"[5].

W ramach tej operacji pracownicy celni gruntownie przeszukiwał lub, używając języka branży, „trzepali" wszystkie pojazdy, jak i osoby próbujące wjechać do Stanów przez południową granicę. Teren pomiędzy posterunkami granicznymi przeczesywały radary, a agenci prowadzili patrole w wynajętych samolotach. Operacja spowodowała chaos, a w Ciudad Juárez i Tijuanie na przejściach granicznych tworzyły się gigantyczne kolejki. Meksykanie z zielonymi kartami nie mogli dostać i się do Stanów do pracy, owoce awokado gniły w unieruchomionych ciężarówkach, Meksykanie przestali wydawać pieniądze w amerykańskich miastach. Agentom nie udało się jednak przechwycić dużo kontrabandy, ponieważ handlarze narkotyków postanowili przeczekać. Po 17 trudnych dniach i po lawinie skarg Nixon odwołał swoje psy. Stany Zjednoczone i Meksyk zgodziły się, że będą teraz współdziałać w ramach operacji „Cooperatión".

Historycy nie są jednomyślni w ocenie pożytków i strat, jakie przyniósł brutalny eksperyment Nixona, Z pewnością wykazał,

że Stanów nie stać na zamknięcie południowej granicy. Czterdzieści lat później, kiedy handel między tymi państwami jest dużo większy, a rynki światowe dużo wrażliwsze, takie działanie jest nie do pomyślenia. Agenci celni muszą pogodzić się z faktem, że mogą przeszukać tylko pewien odsetek samochodów i ludzi napływających z Meksyku. Niezależnie od tego, jak dużo narkotyków uda im się przechwycić, ogromna ilość i tak prześliźnie im się przez palce.

Nixon odniósł jednak pewien sukces: udowodnił, że traktuje swoje obietnice poważnie i zmobilizował Meksyk do stawienia czoła problemowi narkotyków. W ramach operacji „Cooperatión" rząd Meksyku obiecał przetrzebić uprawy narkotyków, a amerykańscy agend mogli pracować na południe od granicy. Zrodziła się nowa koncepcja walki z problematycznymi używkami: zmuszano państwa je produkujące do niszczenia ich na własnym gruncie.

W roku 1971 Nixon zastosował tę taktykę wobec Turcji, zmuszając ją do zredukowania produkcji opium pod groźbą zmniejszenia amerykańskiego wsparcia militarnego i ekonomicznego. Współpracował także z Francją, chcąc uderzyć w tak zwanych francuskich łączników produkcji heroiny. Te działania radykalnie zmniejszyły narkotykowy eksport Turcji. To okazało się jednak błogosławieństwem dla hodowców z Sinaloa, którzy pracowali w pocie czoła, by załatać powstającą dziurę, produkowana w Meksyku heroina z ostatniej deski ratunku amerykańskich ćpunów stała się ich głównym daniem.

Stając do wyborów w 1972 roku, Nixon oparł swoją kampanię na walce z heroiną. Stanowiła łatwy ceł, była egzotycznym złem, a na dodatek pozwalała odwrócić uwagę od przegranej, choć wciąż toczącej się wojny w Wietnamie. Pokazywała Nixona jako osobę troszczącą się zarówno o Murzynów w gettach, jak i o białych wyborców. Nixon opisywał swoje zamiary, posługując się językiem wojennym, wieszcząc całkowite unicestwienie przeciwnika:

„Naszym celem jest doprowadzenie do bezwarunkowej kapi-

tulacji handlarzy śmiercią, czyli heroiną, i całkowite wyeliminowanie nadużywania narkotyków z życia Ameryki. Walczymy o życie naszych dzieci. To dla przyszłości naszych dzieci musimy zwyciężyć”.[6]

Nixon wygrał wybory, mając imponujące, sześćdziesięcioprocentowe poparcie. Istniały też inne czynniki, które pomogły mu zwyciężyć, takie jak na przykład silna gospodarka. Stratedzy na całym świecie odebrali jednak jasny przekaz: wojna z narkotykami dobrze służy polityce.

Ustanowienie przez Nixona DBA w 1973 roku było jeszcze bardziej brzemienne w skutki. Swoim dekretem powołał do życia ciało, którego misją było „stworzenie scentralizowanego ośrodka dowodzenia zarządzającego ogólnoświatową wojną z narkotykami”[7]. Powstała więc organizacja, której jedynym celem było prowadzenie wojny narkotykowej. Od samego początku powstania DEA zajmowała się organizowaniem coraz większych funduszy. Z początku miała 1470 agentów specjalnych i roczny budżet sięgający 75 milionów dolarów. Dzisiaj ma 5235 agentów specjalnych, biura w sześćdziesięciu trzech krajach i kolosalny budżet wynoszący 2,3 miliarda dolarów.

W pierwszych optymistycznych latach agenci DEA wierzyli, że „całkowicie wyeliminują” handlarzy z gry. Ich zdaniem błędem wcześniejszych czasów były aresztowania drobnych ulicznych handlarzy, płotek. Mając jednak nowe środki, agenci mogli uderzyć tam, gdzie powinni, likwidując całe siatki. Szybko udało im się wpaść na taki trop w Meksyku. Rozpoczęło się jedno z najoryginalniejszych dochodzeń w dziejach DEA, skomplikowane niczym powieść szpiegowska, w które zamieszani byli między innymi kubańscy partyzanci, kochanka meksykańskiego prezydenta oraz Cosa Nostra.

Wszystko zaczęło się, kiedy oddział DEA z San Diego próbował dojść przez serię aresztowań do osoby szmuglującej wielkie ilości towaru z Tijuany do Kalifornii[8]. Korzystając z usług płatnych informatorów, agenci dotarli do przypominającej pałac rezydencji w Tijuanie, znanej jako Roundhouse (Okrągły Dom). Obserwu-

jąc budynek, odnotowali licznych bogato ubranych gości przyjeżdżających sportowymi samochodami i mnóstwo prostytutek obojga płci. Widząc takie bogactwo i ekstrawagancję, uświadomili sobie, że mają do czynienia z grubszą sprawą. Szukając właściciela Roundhouse, odkryli, że nie jest on Meksykaninem, a obywatelem USA pochodzenia kubańskiego, i nazywa się Alberto Sicilia Falcon.

Na zdjęciu Falcon ma lśniące czarne włosy i aparycję gwiazdora filmowego. Jak ustalili agenci, urodził się w Mantanzas na Kubie w 1944 roku i uciekł stamtąd do Miami wraz z rodziną tuż po rewolucji Fidela Castro w 1959 roku. Po krótkiej służbie w armii amerykańskiej, aresztowaniu za zarzut homoseksualizmu, po nietrwałym małżeństwie i rychłym rozwodzie ostatni raz widziano go w San Diego w 1968 roku. Teraz, kończąc trzydziestkę, stał na czele meksykańskiej organizacji handlującej narkotykami. Jak, u licha, mu się to udało?

Złapanych przez agentów DEA handlarzy na usługach Falcona czasami udawało się przekabacić, czyli zmienić w płatnych informatorów donoszących na swojego bossa. Powiedzieli, że Falcon kupuje zamówioną marihuanę i heroinę od producentów w górach Sinaloa i przewozi do Tijuany na pokładzie awionetki. Przez granicę transportował je za pomocą *burros*, czyli osłów – jak określa się w slangu zawodowych przemytników do domu w luksusowej dzielnicy San Diego, Coronado Cays. Falcon był także pionierem sprowadzania kokainy z Ameryki Południowej. W sumie jego działalność, według szacunków DEA, przynosiła mu 3,6 miliona dolarów tygodniowo, co czyniło jego organizację największą, jaką w tamtych czasach udało się wykryć w Meksyku.

DEA przekazała dowody policji federalnej Meksyku, która z nadspodziewanym zapałem wzięła się do roboty. W lipcu 1975 roku Falcon został zatrzymany w posiadłości w Mexico City i wtedy sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

Policjanci przeszukujący dom Falcona znaleźli kubańskie, amerykańskie oraz meksykańskie paszporty, a także wyciągi z kont w bankach szwajcarskich, gdzie zdeponowano 260 milio-

nów dolarów. Okazało się, że lubiący zabawę biseksualista zadomowił się wśród meksykańskich elit. Był szczególnie blisko z urodziwą gwiazdą filmową Irma Serrano, pseudonim Tygrysica, znaną też jako kochanka byłego prezydenta Meksyku. Ale to był tylko wierzchołek góry lodowej. Zbity i potraktowany prądem przez meksykańskich policjantów Falcon wyznał, że pracował dla CIA, używając pieniędzy z handlu narkotykami, by dostarczać broń powstańcom z Ameryki Środkowej. Taką opowieść można uznać za majaki torturowanego, jednak później powtórzył te słowa we wspomnieniach spisanych w więzieniu**[9]**.

Falcon twierdził, że był szkolony przez CIA w Fort Jackson na Florydzie, by w przyszłości działać przeciwko Castro. Co więcej, wraz z Falconem aresztowano innego Kubańczyka, Jose Egoziego Bejara, który brał udział w próbie obalenia Castro w 1961 roku**[10]**. Ameryka oficjalnie potwierdziła, że Falcon był zamieszany w przemyt broni. Agenci amerykańskiej agencji federalnej ATF (Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych) odnaleźli w Brownsville w Teksasie sprzedawcę broni, który sprzedał organizacji Falcona miliony sztuk amunicji.

Meksykańska policja natrafiła na inny ciekawy trop: odciski palców w domu odwiedzanym przez Falcona należały do chicagowskiego gangstera Sama Giancany, który został zastrzelony 13 dni przed aresztowaniem Falcona. Odtajnione później dokumenty ujawniają, że Giancana również uczestniczył w spisku CIA przeciwko Castro. Wyłaniał się osobliwy obraz Falcona żyjącego w na poły fantastycznym świecie polityków, mafiosów i partyzantów.

Kolejnym niezwykłym epizodem w sprawie Falcona była jego ucieczka wraz z Egozim z meksykańskiego więzienia w 1976 roku przez oświetlony tunel. Schwytano ich trzy dni później po tym, jak policjanci otrzymali anonimowy cynk z ambasady amerykańskiej. Oskarżony o wymuszenia, handel bronią i narkotykami oraz liczne oszustwa Falcon dożył swoich dni za murami meksykańskiego więzienia. Tropy wiodące do CIA nigdy nie zostały zbadane i wiele „niewygodnych” pytań pozostało bez odpo-

wiedzi.

Cóż więc dziwna sprawa Alberta Sicilii Falcona wnosi do naszej wiedzy o handlu narkotykami w Meksyku? Kim naprawdę był główny bohater tej historii: głową spisku czy tylko kozłem ofiarnym? Zwolennicy teorii spiskowych sądzą, że handel narkotykami jest zdalnie sterowany z USA. Motyw ten przewija się w różnych pozycjach poświęconych El Narco. Jednak niezbitych dowodów brak. Nawet jeśli CIA wspierało finansowo Falcona i Egoziego w walce z Castro, nie oznacza to wcale, że w latach siedemdziesiątych ich współpraca wciąż trwała.

Abstrahując od tego, czy Falcon był sterowany z USA, czy też nie, ciekawe jest to, że pierwszy narkotykowy boss złapany na terenie Meksyku był obcokrajowcem. Zarówno kubańscy, jak i amerykańscy gangsterzy mieli duże doświadczenie w zorganizowanej przestępczości i wiedzę potrzebną do kierowania międzynarodową siatką oraz prania brudnych pieniędzy, bez których rosnący w siłę handel narkotykami w latach siedemdziesiątych nie mógłby kwitnąć. Jeśli udało im się nawiązać współpracę ze służbami wywiadu, tym lepiej dla nich. Opryszki z Sinaloa zaczynały dopiero rozumieć, o co chodzi w tym wielomiliardowym biznesie, i to obcokrajowcy pokazali im zasady gry. Meksykańskie gazety ukazały Falcona jako wykolejonego seksualnie mafijnego barona, wspomniano też jednak o jego fortunie, co nie uszło uwagi ogółu.

W Sinaloa strumień amerykańskich dolarów przeobraził prostych gumiarzy w zamożniejszą i bardziej zauważalną grupę ludzi. Od początku lat pięćdziesiątych producenci opium, którym się powiodło, przenosili się z górskich osad na przedmieścia Culiacán. W latach siedemdziesiątych stworzyli całą dzielnicę zwaną Tierra Blanca, pełną krzykliwych domów i nowiutkich pick-upów jeżdżących po nie wyasfaltowanych drogach. Prasa w Sinaloa zamiast gumiarzami zaczęła ich nazywać *narcotraficantes* lub w skrócie *narcos.* Ta zmiana nazwy szła w parze z przemianą zwykłych rolników w międzynarodowych przemytników. Stare rody z Culiacán patrzyły z pogardą na nieokrzesanych *nar-*

cos noszących złote łańcuchy, chodzących w sandałach i mówiących z akcentem z gór. Jednocześnie z rosnącym zainteresowaniem przyglądano się coraz większym pieniądzom, jakie zarabiali.

Ulice Tierra Blanca pełne były huku wystrzałów, kiedy nuworysze w sombrerach strzelali do siebie, często nawet w biały dzień. Gazety z Sinaloa z 1975 roku pełne są wypowiedzi miejscowych polityków, narzekających na zagrożenie ze strony *narcos*, codzienne strzelaniny oraz pozbawione tablic rejestracyjnych i mające przyciemnione szyby pojazdy wożące gangsterów. Jeden z nagłówków wołał: *Sinaloa we władzy zorganizowanej przestępczości*[11]. Urzędnicy zmartwieni byli również informacjami o mieszkających w górach producentach narkotyków, „mających wystarczająco dużo broni, by wszcząć małe powstanie”. Presja wywiewna na rząd meksykański stawała się coraz większa.

Odpowiedź nadeszła wreszcie w roku 1976, kiedy państwo meksykańskie uruchomiło operację „Kondor” W rejon Złotego Trójkąta wysłano dziesiątki tysięcy żołnierzy w Culiacán, pojawili się nowi, bardziej niezłomni dowódcy policji, samoloty spryskiwały uprawy narkotyków. Rząd deklarował zamiar całkowitego unicestwienia *narcos.*

Operacja „Kondor” była największą rządową ofensywą przeciwko El Narco w całej siedemdziesięciojednoletniej historii PRI. Według wszystkich źródeł naprawdę dała się we znaki handlarzom. DEA dostarczyło samolotów do oprysków – stosowano stężony kwas (2.4 d) na opium i toksyczny herbicyd o nazwie parakwat na uprawy marihuany. Agentom DEA pozwolono wykonywać loty kontrolujące dokonane zniszczenia. Jeden z tych agentów, Jerry Kelley, opowiedział o misjach nad Sinaloa korespondentce „Timesa”, Elaine Shannon:

Przejrzeliśmy każdy centymetr tego kraju i wiedzieliśmy dokładnie, co się tam działo i co się tam znajdowało. Nie miało znaczenia, kto był skorumpowany, a kto nie. Nie było szans, by ukryli przed nami cokolwiek.[12]

Była to pierwsza akcja oprysków przeprowadzona z amery-

kańskim wsparciem, taktyka, którą później wielokrotnie stosowano na całym świecie w ramach walki z narkotykami, od Kolumbii po Afganistan. Dziś już wiemy, że same opryski nie zniszczą narkobiznesu. Niektórzy meksykańscy handlarze zrobili coś, co jeży włos na głowie: zebrali zatrutą marihuanę i wyekspediowali ją do *El Norte.* Testy laboratoryjne przeprowadzone w USA wykazały, że w próbkach marihuany znajdował się parakwat. Nikt nie był w stanie powiedzieć, ile zatrutego towaru znalazło się na rynku. Jednak samo wspomnienie o tym stawiało na nogi amerykańskich notabli, którzy obawiali się, że ich dzieci w college'ach będą truły się szkodliwą chemią. Departament Zdrowia wydal oficjalne ostrzeżenie przed zatrutym ziołem, informujące, że może ono doprowadzić do nieodwracalnego uszkodzenia płuc.

Ta antyreklama skłoniła dilerów do poszukiwania nowych źródeł trawki dla milionów wygłodniałych hipisów. Wkrótce udało się znaleźć państwo dysponujące ziemią, rękami do roboty oraz odpowiednim poziomem bezprawia, by załatać tę dziurę. Państwem tym była Kolumbia. Farmerzy uprawiali marihuanę w kolumbijskich górach Sierra Nevada od wczesnych lat siedemdziesiątych. Kiedy pozycja Meksyku się zachwiała, na scenę wkroczyła właśnie Kolumbia, by rozpocząć złote czasy narkobiznesu, zwane przez tamtejszych historyków Bonanza Marimbera**[13]**. Już niebawem agenci DEA znajdowali trawkę o nazwie Złoto z Santa Marta wszędzie, od festiwali rockowych na Środkowym Zachodzie, aż po ekskluzywne uniwersytety północnowschodnich Stanów. Tę skłonność narkobiznesu do zmieniania geograficznego położenia nazwano „efektem balonu", bo jeśli mocno ściśnie się jedną część narkobalonu, urośnie on natychmiast w innym miejscu.

W tamtym czasie w Sinaloa wojsko gnębiło *narcos* zarówno na ziemi, jak i z powietrza. Mieszkańcy Sierra Madre do dziś wspominają żołnierzy nachodzących ich wioski, otwierających drzwi kopniakami i wywlekających z chat młodych ludzi, by ich aresztować. Informacje o niegodziwym traktowaniu podejrzanych były tak liczne, że stowarzyszenie prawników z Culiacán wysłało

na miejsce swoich ludzi, by lepiej przyjrzeć się sprawie. Ci przesłuchali 457 więźniów oskarżonych o przestępstwa związane z narkotykami i odkryli, że każdy z nich narzekał na bicie i tortury. Na liście nadużyć znalazły się elektrowstrząsy, powodowanie oparzeń czy wstrzykiwanie wody z chili do nosa. Pojawiały się także doniesienia o gwałtach, mimo to żaden funkcjonariusz nie dostał nawet nagany.

Działania były brutalne i dawały się *narcos* we znaki. Ofensywa wojska w górach zmusiła wielu chłopów do ucieczki do miejskich slumsów, Policja zastrzeliła kilku kluczowych świadków, w tym szefa Pedra Avilesa w 1978 roku. Jednak współpracownicy Avilesa uszli z zamieszania w Sinaloa i podjęli działalność w Guadalajarze. Zaraza El Narco rozprzestrzeniała się. Teraz macki *narcos* z Sinaloa sięgnęły drugiego co do wielkości miasta Meksyku.

Dlaczego więc rząd meksykański rozpoczął operację „Kondor"? Czyżby politycy nagle pojęli, że handel narkotykami jest zły i niebezpieczny?

Z jednej strony zachęcającą marchewkę zaoferowały Stany: szefowie DEA i prezydent Jimmy Carter wychwalali pod niebiosa antynarkotykowe działania Meksyku, nazywając je „modelowym programem". Jeśli chodzi o konkrety, to Meksyk mógł zatrzymywać sprzęt, którym Stany dokonywały oprysków. W ciągu dwóch lat do Meksyku trafiło 39 helikopterów Bell, 22 małe samoloty i jeden odrzutowiec, co stanowiło największą flotę powietrzną, jaką kiedykolwiek miała policja w Ameryce Łacińskiej. Walka z narkobiznesem stała się nowym sposobem na uzyskanie, wsparcia ze strony USA.

Rząd meksykański wykorzystał także operację „Kondor", by uporać się z małymi oddziałami lewicowych rebeliantów. Studenci i niezadowoleni robotnicy protestowali w latach sześćdziesiątych przeciwko totalitarnym rządom w ich kraju. PRI odpowiedziała na to w charakterystycznym dla siebie stylu: w 1968 roku nakazano snajperom otoczyć protestujących t ostrzelać ich z

każdej strony Na posępnym placu Tlatelolco w Meksyku do dziś widać miejsca, gdzie leżały zwłoki. Nie mogąc wpłynąć na system protestami, niezadowoleni z polityki rządu stworzyli lewicowe grupy partyzanckie, które od czasu do czasu przeprowadzały porwania i ataki na gmachy rządowe. W połowie lat siedemdziesiątych, czyli w momencie, gdy rozpoczynano operację „Kondor", powoli stawali się problemem.

Żołnierze mający zajmować się walką z *narcos* natykali się też na partyzantów, którzy koncentrowali się w górach Sierra Madre w stanach Sinaloa i Chihuahua. Tereny te były głównym obszarem działań operacji„Kondor". Wielu lewicowych przeciwników rządu aresztowano, oskarżając ich o handel narkotykami, setki zniknęły bez śladu. By opisać tych ostatnich, w Meksyku używa się określenia „zaginieni". Odtąd, gdy walka z narkotykami przenosiła się w inne okolice, wraz z nią przemieszczała się nieuczciwa walka z lewicową opozycją. Objawił się kolejny aspekt wojny z narkobiznesem: mogła ona stanowić znakomitą przykrywkę dla działań wymierzonych w politycznych przeciwników.

Ciekawym zbiegiem okoliczności CIA również nadało swojej operacji przeciwko komunistom w latach siedemdziesiątych kryptonim „Kondor", przyglądając się meksykańskim działaniom, CIA miało świadomość, że sprzęt przeznaczony do walki z narkotykami znajduje zastosowanie w walce politycznej. W odtajnionej notce dla Białego Domu czytamy:

Armia wykorzysta także kampanię antynarkotykową do wykrycia wszelkich działań partyzanckich oraz handlu bronią.(...) Wojskowe siły kampanii antynarkotykowej mogą działać tak samo aktywnie, by zapewnić bezpieczeństwo wewnętrzne, jak i zwalczając przemysł narkotykowy. Wojska te nie dysponują transportem lotniczym, mogą zatem prosić o helikoptery i inny sprzęt z zasobów prokuratora generalnego przeznaczony do prowadzenia kampanii antynarkotykowej.[14]

Reszta notatki zamazana jest czarnym flamastrem. Możemy zakładać, że są tam naprawdę ciekawe rzeczy. Ale przecież utaj-

niono je dla naszego bezpieczeństwa.

Po dwóch latach trwania operacji „Kondor” rząd meksykański najwyraźniej znudził się spuszczaniem lania *narcos.* W marcu 1978 roku władze Meksyku powiadomiły DEA, że loty nad uprawami zostają zarzucone. Kampania antynarkotykowa miała toczyć się dalej – i wciąż zbierać pochwały Białego Domu – ale już nie z lotu ptaka. Mniej zapalczywy względem narkobiznesu prezydent Jimmy Carter nie gniewał się z tego powodu. Agenci DEA działający w terenie informowali z niezadowoleniem swoich zwierzchników, że coś jest nie tak. Również agenci po amerykańskiej stronie granicy zauważyli zdwojony napływ meksykańskiej marihuany sprawę zatrutej trawki puszczono bowiem w niepamięć.

Jeszcze inny cień z przeszłości wlecze się za tym, co zostało po operacji „Kondor”. Prokurator Carlos Aguilar, dowodzący polowaniem w Culiacán, zyskał sławę herosa niczym Eliot Ness, bohaterski agent działający wczasach prohibicji w Chicago. Nagrodą dla niego miało być kierowanie akcjami antynarkotykowymi w całym północno-zachodnim Meksyku, Jednak po kilku latach porzucił walkę z bezprawiem, by zainwestować spore kwoty w hotel i kilka innych przedsięwzięć w leżącym przy granicy mieście Nuevo Laredo. W 1984 roku aresztowano go z sześcioma kilogramami kokainy i heroiny ale udało mu się wyjść po zapłaceniu grzywny. Następnie, w 1989 roku, aresztowano go w teksaskim mieście Harlington i przekazano policji w Meksyku, lecz i tym razem zdołał uniknąć więzienia. W 1993 roku zginął od strzału w głowę w swoim domu, co wskazywało jednoznacznie na jego powiązania z handlem narkotykami.

Cóż więc w końcu stało się z operacją „Kondor"? Czy wierchuszka meksykańskiej władzy dała się przekonać narkodolarom? Czy Meksyk doszedł do wniosku, że kontynuowanie działań i tak nie przyniesie rezultatu, a z handlem narkotykami po prostu trzeba nauczyć się żyć? A może cała operacja miała tylko zredukować rozmiary El Narco i pokazać, kto nim rządzi? Po otrzymaniu

klapsa, handlarze wrócili do swoich zajęć, świadomi, że to politycy rozdają karty w tej grze.

Powyższe pytania podkreślają złożoną naturę korupcji i handlu narkotykami w Meksyku. Jej elementem jest osobliwa równowaga między przekupstwem, uwięzieniami i zdradą. Nie ma wątpliwości, że za czasów PRI pieniądze z narkotyków wpływały do systemu wartkim strumieniem. Już sama liczba policjantów i urzędników państwowych aresztowanych za łapówkarstwo jest wystarczającym dowodem. Wciąż jednak trwa debata, jak głęboko sięgało zepsucie władzy i na ile korupcja była systematyczna i zorganizowana.

Popularne meksykańskie powiedzenie brzmi: „Jeśli masz Boga, po co ci anioły? Jeśli masz anioły, po co ci Bóg?" Myśl te można przenieść na korupcję i handel narkotykami. Czasami lokalnemu handlarzowi zdarzało się przekupić lokalnego funkcjonariusza, „anioła", i handlarz nie musiał już korumpować jego przełożonego. W innych przypadkach udawało się opłacić szefa policji albo gubernatora – „Boga" – i wtedy płacenie osobom mu podległym przestawało być konieczne. Czasami jednak handlarzowi udawało się mieć w kieszeni i „Boga", i „anioła", i wtedy miał z górki.

Taki system bywał oczywiście kłopotliwy. Inny policjant mógł zatrzymać człowieka, który płacił jego kolegom, policjantom zdarzało się zaaresztować kryminalistę opłacającego ich szefa. Wszystko jednak trzymane było w ryzach przez strukturę władzy PRI. Policjanci niższej rangi przekazywali pieniądze swoim przełożonym. Ci na górze nie musieli wcale wiedzieć, skąd pochodziły, ani nie mieć żadnej styczności z gangsterami. Taka hierarchia była powszechnie szanowana i każdy, kto wychodził przed szereg, mógł być szybko zastąpiony przez innego ambitnego działacza PRI.

Wobec zawiłego systemu korupcji w czasach PRI narodził się sposób kontrolowania handlu narkotykami zwany systemem rewirów *(plaża system).* Zrozumienie go jest kluczowe dla zrozumienia toczącej się dzisiaj meksykańskiej wojny narkotykowej.

Po raz pierwszy wspomina się o nim w późnych latach siedemdziesiątych w kontekście miast przygranicznych. W ostatniej dekadzie XX wieku mówi się już o rewirach w całym Meksyku, od południowych wybrzeży, aż po szczyty Sierra Madre.

Rewir (po hiszpańsku *plaża)* w Meksyku odnosi się do terenu będącego pod jurysdykcją którejś ze służb policyjnych, na przykład Tijuana lub Ciudad Juárez. Przemytnicy przywłaszczyli sobie to określenie i nadali mu nowe znaczenie: to cenny korytarz przerzutu narkotyków. Ponieważ transportowano coraz więcej ton towaru, całe przedsięwzięcie stawało się bardziej skomplikowane. W każdym rewirze pojawiała się więc postać odpowiedzialna za organizację przerzutu i zapewnienie nietykalności ze strony policji. Kierujący rewirem mógł przerzucać własny towar, miał także prawo nakładania opłat na innych przemytników działających na jego terenie. On z kolei musiał przekazywać część dochodów policji i wojsku.

Świadkowie donoszą, że najlepiej w tym układzie mieli się policjanci**[15]**. Mogli oni pomiatać gangsterami wedle własnego uznania, a kiedy tamci stawiali się dla nich zbyt kłopotliwi łub gdy zostawali zauważeni. przez DEA, mogli ich po prostu zamknąć. Policjanci mogli też aresztować tych, którzy nie płacili, wykazując się w ten sposób aktywnością w walce z narkobiznesem. System gwarantował zarówno to, że przestępczość trzymana była w ryzach, jak i to, że wszyscy byli opłacani.

Wysoko w Sierra Madre Efrain Santana i jego rodzina przetrwali burzliwe lata siedemdziesiąte, spokojnie sprzedając swoje zbiory marihuany odbiorcy w Telolapan. Efrain mówi, że dzięki temu, iż w jego wiosce nie było lewicowych partyzantów, nie odwiedzało ich wojsko. Do pobliskiej osady El Quemado żołnierze wpadli, szukając partyzantów, i zabrali wszystkich zdrowych mężczyzn. Wielu z nich więcej nie widziano. Efrain powiedział też, że ich poletka marihuany znajdowały się na odległej wyżynie między lasami i ostrymi szczytami, dzięki czemu udało im się uniknąć oprysków parakwatem. W końcu jednak do ucieczki

zmusiły go kłopoty związane z rodowymi waśniami.

W czasie, kiedy marihuana przynosiła znaczne zyski, wielu młodych ludzi z otoczenia Efraina kupowało coraz to nowszą broń. Szczególną popularnością cieszyły się karabiny Kałasznikowa. Rosjanin Michaił Kałasznikow opracował model karabinu AK47 podczas drugiej wojny światowej, jako łatwą w obsłudze broń dla radzieckich wieśniaków mających bronić ojczyzny przed najeźdźcami. Farmerom z Sierra Madre broń ta przypadła do gustu nie mniej niż ludowi Kraju Rad i została czule nazwana Kozi Róg, z powodu charakterystycznie wygiętego magazynka. Efrain wspomina, jak pierwszy raz zetknął się z kałasznikowem:

„W naszych górach ludzie mieli strzelby albo stare amerykańskie kolty czy winchestery jeszcze z czasów rewolucji. Walczyliśmy nimi albo nawet maczetami. I nagle pojawiły się Kozie Rogi. Była to niesamowita broń plująca gradem pocisków i zdolna trafić w cel odległy nawet o pięćset metrów. Zapytaliśmy o nie ludzi, którym sprzedawaliśmy marihuanę, a oni odparli, że postarają się je dla nas zdobyć. I nagłe pojawili się z tym nowiutkim AK47, za który zapłaciliśmy całym zbiorem marihuany. W górach polowaliśmy nim na kojoty i węże, później jednak musieliśmy go użyć, by bronić rodziny”.

Ród Eframa przetrwał w ciągu wielu lat liczne konflikty. Wielu spośród zaangażowanych w nie ludzi uprawiało marihuanę, ale kłócono się głównie o kobiety czy urażony honor. Pod koniec lat siedemdziesiątych rodzina Efraina wpakowała się w kłopoty, które ich przerosły. Konflikt narodził się podczas kłótni przy grze w karty, ale przeobraził w walkę o życie.

„W rodzinie, z którą mieliśmy konflikt, był facet, prawdziwy morderca. Miał taką niewinną twarz, że wydawało się, że nie skrzywdziłby nikogo, ale był najprawdziwszym mordercą. Zabił dwóch moich kuzynów i brata. Musiałem zabrać stamtąd rodzinę i uciekać, żeby przeżyć”.

Efrain osiedlił się w krytych blachą slumsach Mixcoac w południowej części miasta Meksyk. Kiedy przyjechał, miał dwadzieścia pięć lat, żonę i trójkę dzieci na utrzymaniu. Wcześniej przez

dziesięć lat handlował marihuaną, dostarczając tysiące kilogramów trawki jej amatorom w Stanach. Teraz jednak nie miał nawet grosza oszczędności i musiał zaczynać od zera. Był jednym z tysięcy tych, którzy wpadali i wypadali z branży narkotykowej w niespokojnych latach jej rozwoju.

„Byliśmy zupełnie bez kasy i musieliśmy sprzedawać gumę do żucia na ulicy, by w ogóle mieć co jeść. Wszyscy jednak ciężko pracowaliśmy i oszczędzaliśmy każdy grosz. Dostałem pracę na budowie i całymi dniami nosiłem cegły i cement. Po latach stać mnie było na kupno taksówki i zaczęliśmy żyć jako tako. Mojemu najmłodszemu synowi udało się nawet zdać maturę i dostać pracę w biurze. Ale wciąż tęsknię za górami. Tam zostało moje serce".

ROZDZIAŁ 4
Kartele

kartel

rz. mnż III D. –u

a) Porozumienie zawarte pomiędzy przedsiębiorstwami jednej gałęzi, które prowadzą wspólną politykę zmierzającą do usunięcia konkurencji i opanowania rynku.

b) Grupa przedsiębiorstw wspólnie działających na mocy tego porozumienia.

Słownik języka polskiego PWN

Na wściekle gorącej, pustynnej wyżynie Kolorado, pośród kaktusów i opuszczonych rancz znajduje się najlepiej strzeżone więzienie świata. Znane jest jako Alcatraz Gór Skalistych albo prościej, jako Supermax. Tam strażnicy mają pewność, iż żaden z 475 więźniów nie zabije innego ani nie ucieknie: trzyma się ich w zamknięciu przez 23 godziny na dobę w celi nieco ponad 2 na 3,5 metra. Rzecznicy praw człowieka twierdzą, że lata takiego odosobnienia doprowadzają skazanych do obłędu. Władze odpowiadają, że ludzie ci dostają to, na co zasłużyli.

Lista skazanych na odsiadkę w Supermaksie brzmi jak fragment encyklopedii najbardziej niesławnych przestępców i terrorystów. Siedzą tam winni ataków z 11 września w Nowym Jorku, Theodore Kaczyński, znany też jako Unabomber, Barry Byron Mills, założyc iel morderczego więziennego gangu Bractwo Aryjskie, Salvatore „Sarniny Byk” Gravano, jeden z bossów mafii nowojorskiej, Richard Reid, terrorysta z bombą w bucie. : Ramzi Yousef, jeden z odpowiedzialnych za eksplozje w World Trade Center w 1993 roku i wielu innych morderców, podpalaczy, gwałcicieli, a także szantażystów i osób podkładających bomby.

W tej zbieraninie najstraszniejszych czarnych charakterów świata znajduje się też starzejący się Latynos o siwiejących włosach i śniadej cerze, której zawdzięcza pseudonim Negro. Negro spędził w odosobnieniu już

ponad dwie dekady i do końca wyroku, opiewającego na półtora wieku, zostało mu 128 lat. Ma jeszcze na koncie pojedyncze wyroki zasądzone w trakcie innego procesu. Patrząc na ten niebywale długi wyrok, j można by pomyśleć, że prokuratura żywiła do Negro szczególną niechęć. Tak właśnie było. Jego niewybaczalną zbrodnią było, zdaniem sędziów, planowanie porwania agenta DEA Enrique „Kiki" Ca mareny, który został zgwałcony i zamordowany w Meksyku w 1985 roku. Morderstwo to, jak twierdzi DEA, zlecono, by chronić pierwszy meksykański kartel narkotykowy.

Co zabawne, jedyny z szefów tego pierwszego kartelu na meksykańskiej ziemi, osadzony w amerykańskim więzieniu, nie jest Meksykaninem. Pochodzi z Hondurasu i nazywa się Juan Ramon Matta Ballesteros. Amerykanie uprowadzili go z jego honduraskiego domu w 1988 roku i wywieźli samolotem z kraju, by postawić go przed amerykańskim sądem. Nie zostało to dobrze przyjęte w Hondurasie. Zwolennicy Matty w odwecie puścili z dymem ambasadę USA.

Był on kluczową postacią kokainowego boomu w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, co oznacza, że odegrał też ważną rolę w tworzących aurę tamtych czasów spiskach, zamachach stanu i przewrotach. W tych szalonych dekadach kokaina robiła w Stanach oszałamiającą karierę, w tym w gettach wielkich miast, gdzie szerzyła się jako crack To ten narkotyk o potężnej sile winny był fali przestępczości w Miami, zainspirował twórców słynnego filmu z 1983 roku pod tytułem *Człowiek z blizną,* był też przyczyną wojny gangów w Los Angeles, po których śladem jest film *Chłopcy z ferajny* z 1991 roku. Kokaina była też powodem wzrostu przestępczości w Kolumbii, która jednak znajdowała się zbyt daleko i lalo się tam zbyt dużo krwi, by zainteresować twórców kasowych filmów. Kokaina finansowała też wspieranych przez Stany partyzantów w Nikaragui, popieranych przez Stany generałów w pobliskim Hondurasie oraz panamskiego dyktatora o dziobatym obliczu, Manuela Noriegę. Z kokainą wiąże się tyle spisków, wojen, gangsterów i rozmaitych wątków, że bez głębokiej wiedzy na ten temat łatwo się pogubić.

Jednak najważniejsze dla rozrostu El Narco w Meksyku jest po-

jawienie się tak zwanych karteli kokainowych, które przeprowadzały warte miliardy dolarów operacje i zrewolucjonizowały rynek narkotykowy. Matta był tam ważną figurą, stanowił łącznik między największymi producentami kokainy w Kolumbii a najbardziej znaczącymi handlarzami w Meksyku. Nie bez znaczenia jest fakt, że ojczyzna Matty, Honduras, leży pomiędzy tymi dwoma krajami.

Mattą zainteresowałem się po raz pierwszy, gdy przyjechałem do Hondurasu po wojskowym przewrocie w 2009 roku. To gorące środkowoamerykańskie państwo, które stało się inspiracją dla określenia „republika bananowa"[1], ma w swoich dziejach liczne przewroty dokonywane przez palących cygara wąsatych generałów. Jednak zamach stanu z 2009 roku zwrócił szczególną uwagę, gdyż po tym, jak dobiegła końca zimna wojna, politycy zapewniali, iż żyjemy w złotym wieku demokracji, gdzie pucze przeprowadzane przez podejrzane latynoskie armie nie miały w ogóle mieć miejsca. Jednak strzelano do protestujących w biały dzień i słowa te okazały się tylko propagandą.

Opisując te smutne dzieje, zetknąłem się z dziennikarką, która twierdziła, że zna rodzinę najsłynniejszego honduraskiego handlarza narkotyków. Poprosiłem, by umówiła mnie na spotkanie. Spodziewałem się raczej, że wścibski brytyjski dziennikarz usłyszy, żeby spadał. Jednak ku mojemu zdumieniu, Ramon Matta, syn gangstera dożywającego kresu swoich dni w Alcatraz Gór Skalistych, spotkał się ze mną w holu hotelu, w którym mieszkałem.

Ramon okazał się charyzmatycznym i eleganckim trzydziestopięciolatkiem ze starannie przystrzyżoną bródką i stylowo ubranym. Chętnie odpowiadał na moje pytania, gawędząc ze mną nad niezliczonymi filiżankami mocnej kawy. Opowiadał mi o dobrych stronach bycia synem j środkowoamerykańskiego bossa narkotykowego, na przykład o tym, że gdy był dzieckiem, na Puchar Świata w piłce nożnej w 1982 roku poleciał do Hiszpanii samolotem. Mówił także o złych stronach, o wielkich problemach

ze znalezieniem pracy czy nawet ubezpieczeniem samochodu. Najbardziej jednak martwił go stan zdrowia ojca i problemy, jakie miał z odwiedzaniem go.

„To takie nieludzkie, trzymać go w odosobnieniu przez tyle lat. Ludzie po prostu potrzebują kontaktu z innymi ludźmi. Jest teraz starym człowiekiem i dla nikogo nie stanowi już zagrożenia. A oni trzymają go cierpiącego w tej dziurze w piasku".

Idąc za ciosem, odkurzyłem stare dokumenty sądowe, poufne raporty i pożółkłe gazety. Nazwisko tego gangstera pojawia się w niesamowitych konfiguracjach. Najczęściej mówi się o nim jako o członku meksykańskiego Kartelu z Guadalajary. Wspomina się jednak również o jego zażyłości z królami Kartelu z Medellin, a czasem mówi się o nim jako o jego członku. W swojej ojczyźnie Matta okazał się największym prywatnym pracodawcą. Jego imię pojawia się także przy okazji skandalu wokół finansowania przez CIA na spółkę z handlarzami narkotyków rebeliantów w Nikaragui. Do licha, naprawdę zapracowany facet.

Jak w przypadku wielu narkotykowych szefów, wiele szczegółów jego życia jest niejasnych lub sprzecznych. Najczęściej jego nazwisko brzmi Matta Ballesteros, jednak w więzieniu Supermax występuje jako Matta Lopez. Wspominany jest też niekiedy jako Matta del Pozo czy Jose Campo. Do wszystkich raportów dołączone jest to samo czarno-białe zdjęcie zrobione pod koniec lat osiemdziesiątych, na którym siedzi za biurkiem, wykonując energiczny gest prawą ręką. Ma gęste kręcone włosy i wyrazista twarz – szerokie czoło, głęboko osadzone oczy i szeroki nos.

Matta urodził się w 1945 roku w ubogiej dzielnicy stolicy Hondurasu Tegucigalpie, mieście rozciągającym się bezładnie między dżunglą a plantacjami bananów. Mając 16 lat, zrobił to, co czyni wielu młodych ludzi z Hondurasu: wybrał się na północ w poszukiwaniu amerykańskiego snu. Pracował jako sprzedawca w supermarkecie w Nowym Jorku, poznał latynoskie getto składające się z Kubańczyków, Meksykanów, Kolumbijczyków, Nikaraguańczyków i innych zwabionych światłami Wielkiego Jabłka. Poślubił Kolumbijkę i kiedy deportowano go ze Stanów, podał się za

Kolumbijczyka, więc zawieziono go do andyjskiego kraiku w czasie, gdy rozkwitał tam przemysł kokainowy.

Odkąd w roku 1914 roku Ustawa Harrisona zdelegalizowała kokainę w USA, niezliczeni przemytnicy dbali o to, by ich klienci mieli co wciągać. Początkowo szmuglerzy białego proszku pochodzili z rozmaitych krajów – z Peru, ojczyzny liści koka, Kuby czy Chile[2]. W chwili, gdy deportowano Mattę, Kolumbijczycy budowali własne zakłady produkcyjne skoncentrowane głównie wokół Medellin.

Matta wkrótce po nielegalnym przekroczeniu granicy został aresztowany przez policję USA i zamknięty w federalnym więzieniu w bazie lotniczej w Eglin. Nie pilnowano go jednak zbyt dobrze, ponieważ w 1971 roku udało mu się stamtąd zbiec, by wraz z Kolumbijczykami zacząć tworzyć zręby rynku kokainowego w Stanach. Według danych DEA jednym z pierwszych klientów Matty był Amerykanin o kubańskich korzeniach, Alberto Sicilia Falcon, biseksualny gangster z Tijuany. Matta miał dostarczać do Kalifornii kolumbijską kokainę przeznaczoną właśnie dla niego. Młody Honduranin o kręconych włosach szybko zdał sobie sprawę, że lepiej zostać w Ameryce Środkowej i pozwalać innym ryzykować w portach Stanów Zjednoczonych.

Gdy kokaina znalazła się już w Stanach, obywatele tego kraju dbali o to, by trafiała do jak największej liczby odbiorców. Ani Kolumbijczycy, ani Meksykanie nie mieli bowiem dostępu do białych bogatych Amerykanów. Wśród obywateli Stanów, którzy zbili majątek na kokainie, byli „George z Bostonu" Jung, Max Mermelstein, Jon Roberts i Mickey Munday.

Kokaina sprzedawała się doskonale. W odróżnieniu o od heroiny czy LSD nie wywoływała introwertycznego transu, ale prowokowała do zabawy, wpływała korzystnie na seks i nie zostawiała po sobie nawet śladu kaca. W istocie nie oferowała nic oprócz dużej porcji energii wystarczającej na kilka godzin, po czym jej użytkownik wciągał przez nos kolejną kreskę. Na tym polega wyjątkowość kokainy: to naprawdę nic nadzwyczajnego.

Lecz w epoce disco substancja ta zyskała sławę używki czystej, eleganckiej, seksownej oraz modnej, i w okamgnieniu zjednała sobie Amerykę. Jak wspomina George z Bostonu:

„Uważałem kokainę za doskonały narkotyk, niemal cudowny. Podobnie jak wszyscy inni. Dawała ci kopa. Mogłeś nie zmrużyć oka dniami i nocami, co było super i nie było w tym nic złego. Uważałem ją za coś podobnego do marihuany, tylko sto razy lepszego. Dawała naprawdę masę energii.

Stała się normalnym produktem, jak marihuana. Świat reklamy, cała Madison Avenue były za kokainą. Cały przemysł filmowy i płytowy też. Wiesz, jeśli miałeś wystarczająco dużo kasy i obracałeś się w dobrym towarzystwie, wciąganie kokainy było jak najbardziej w porządku. W najlepszym klubie w Nowym Jorku, w Studiu 54, wszyscy wciągali kokainę, wszyscy się śmiali, dobrze bawili i wciągali jeszcze więcej”**[3]**.

Kreski białego proszku na lusterkach stały się znakiem rozpoznawczym lat siedemdziesiątych na równi z dyskotekami rodem z *Gorączki sobotniej nocy* czy słynnymi filmami. Publiczność w kinie pękała ze śmiechu, kiedy Woody Allen kichał na górkę kokainy w komedii z 1977 roku *Ąnnie Hall*. W 1978 roku czołowi zawodnicy drużyny futbolu amerykańskiego, Pittsburgh Steelers, imprezowali przez całą noc z dilerem kokainy Jonem Robertsem, by dwa dni później wygrać Superpuchar. W 1981 roku zaś magazyn „Time” umieścił kokainę na okładce z nagłówkiem: Wszechamerykański narkotyk.

Szum wokół kokainy pozwalał dilerom wprost niebotycznie windować jej ceny Oto najważniejsza cecha Pani Kokainy: jest bardzo droga. Od jat siedemdziesiątych aż do XXI wieku detaliczna cena grama kokainy urosła z 50 dolarów do ponad 150. Dilerzy odnotowują dużo większy zysk na kokainie niż jakiejkolwiek innej psychoaktywnej substancji, handlarze zarabiają astronomiczne pieniądze. Biała Dama przyniosła dużo większe zyski niż kiedykolwiek udało się to heroinie czy marihuanie. Były to niezliczone miliardy dolarów.

Zasługą Matty było skierowanie części tych zysków do kie-

szeni gangsterów z Medellin, którzy niebawem stali się najbogatszymi kryminalistami na świecie. Nikt nie wie dokładnie, ile zarabiają, nawet ich koledzy z branży. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że handlarze z Medellin stali się pierwszymi miliarderami wśród przemytników. Numer jeden to Pablo Escobąr, który według szacunków magazynu „Forbes" zgromadził 9 miliardów dolarów, co czyni go najbogatszym przemytnikiem wszech czasów. Numerem dwa jest według „Forbesa" Carlos Lehder, mający 2,7 miliarda dolarów. Bóg jeden wie, skąd „Forbes" wziął te dane, z całą pewnością był jednak na dobrym tropie: chłopcy od kokainy mieli góry pieniędzy.

We wczesnych latach osiemdziesiątych gangsterzy z Medellin stali się widoczni i rozpoznawalni. Escobar zbudował cale osiedla dla bezdomnych, a w 1982 roku został wybrany do kolumbijskiego parlamentu. Nie zagrzał tam jednak miejsca, gdyż usunięto go z powodu tego, czym się zajmował. Mniej więcej w tym czasie gangsterów zaczęto określać mianem Kartelu z Medellin. Po raz pierwszy zastosowano do przemytników słowo „kartel". Termin ten sugerował, że handlarze stworzyli blok o ogromnych wpływach. Była to przerażająca wizja. Ale czy prawdziwa?

Wyrażenie „kartel narkotykowy" zostało wyszydzone przez niektórych ludzi nauki, twierdzących, że daje zupełnie nieadekwatny obraz handlarzy winnych prostej zmowy cenowej. Mimo to od trzech dekad amerykańscy agend, dziennikarze i, co nie bez znaczenia, sami zainteresowani, używają tego określenia. Wprowadzenie nazwy „kartel" miało ogromny wpływ na postrzeganie handlu narkotykami zarówno przez samych gangsterów, jak i ludzi z zewnątrz.

Pozostaje niejasne, kto wpadł na pomysł tego określenia. Z pewnością wpływ na ten wybór miało używanie słowa „kartel" na określenie państw grupy OPEC, czyli Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową. OPEC reprezentowała interesy krajów Trzeciego Świata, które połączyły się, by ustalać ceny ropy i wywierać presję na zamożniejsze państwa. Podobnie postrzegano Kartel z Medellin: jako grupę ludzi z dzielnej Ameryki Łacińskiej,

którzy potrafili pogrozić palcem bogatej północy. Sam Escobar podtrzymywał takie wrażenie, nosząc się jak rewolucjonista Pancho Villa[4] i nazywając kokainę bombą atomową, którą zrzucił na Stany Zjednoczone.

Z drugiej strony dla DEA pojęcie to było bardzo wygodne przy stawianiu gangsterów w stan oskarżenia. Wiele spraw przeciwko przemytnikom z Ameryki Łacińskiej zbudowano, opierając się na tak zwanej ustawie RICO, którą stworzono z myślą o walce z mafią włosko-amerykańską. Stosując się do tej ustawy, należy dowieść, że podejrzani należą do istniejącej organizacji przestępczej. Jest dużo łatwiej, kiedy nada się takiej organizacji nazwę, jak na przykład Kartel z Medellin, niż kiedy mówi się o luźnej siatce przemytników.

Później prokuratorzy zaczęli stosować prawo zakazujące tworzenia zmów celem dystrybucji nielegalnych substancji. Po raz kolejny łatwiej im było, jeśli nadawali tym zmowom nazwy. W aktach oskarżenia przeciwko meksykańskim handlarzom najchętniej używano słowa „kartele". Na przykład dokument, dzięki któremu Matta znalazł się w Supermaksie, mówi: *Dowody wykazują, że Matta Ballesteros był członkiem Kartelu z Guadalajary i brał udział w spotkaniach z hmymi osobami z tego kartelu…*[5]

Człowiekiem mającym gruntowną wiedzę na temat gangsterów z Medellin jest ich prawnik Gustavo Salazar, najsłynniejszy chyba obrońca handlarzy narkotyków w historii. Bronił 20 największych bossów, w tym samego Pabla Escobara, i niemal 50 jego „pułkowników". Co ważne, żyje do dziś i nadal broni, teraz już najmłodszego pokolenia kolumbijskich przemytników.

Kiedy byłem w Kolumbii, zadzwoniłem do biura Salazara i zostawiłem jego sekretarce wiadomość, że jestem zainteresowany rozmową z nim o kartelach. Dwa dni później Sala zar niespodziewanie zadzwonił i powiedział, że spotka się ze mną w kawiarni w Medellin. Kiedy zapytałem, jak go rozpoznam, odparł: „Wyglądam jak Elton John". W istocie, kiedy przybyłem na spotkanie, natychmiast zauważyłem sobowtóra angielskiej gwiazdy popu. Po kilku kolumbijskich naleśnikach Salazar wyjaśnił, że pojęcie

karteli to bujda wymyślona przez amerykańskich agentów.

„Kartele nie istnieją. Istnieje jedynie zbieranina handlarzy, którzy czasem ze sobą współpracują, a czasem nie. Prokuratorzy w Stanach nazywają ich kartelami, bo tak łatwiej jest im prowadzić ich sprawy. To taka gra”.

Słowo „kartel” zostało też błyskawicznie podchwycone przez media. Jest ono o wiele bardziej poręczne niż rozbudowany opis. Pismakom podobała się również aliteracja w określeniu „kolumbijskie kartele kokainowe”. To gwarantowało dobrą sprzedaż gazet.

Trzydzieści lat później słowo „kartele” nabrało zupełnie nowego znaczenia na spływających krwią ulicach Meksyku. Kiedy znajdowane są zwłoki zaopatrzone w wizytówkę sprawcy, na przykład Kartelu z Zatoki, widnieją na niej wykaligrafowane inicjały CDG. Te siatki przemytników i morderców są znacznie większe niż zwykle uliczne gangi. Z całą pewnością ich zadaniem jest zwalczanie konkurencji, co należy do definicji określenia „kartel”. Są to ponadto stowarzyszenia gangsterów, a nie monolityczne korporacje. Być może nie byłoby błędem, gdyby we współczesnych słownikach osobno zdefiniować pojęcie „kartel narkotykowy” lub „przestępczy”, by dać lepszy obraz jego znaczenia.

We wczesnych latach osiemdziesiątych Kartel z Medellin przerzucał większość towaru na wybrzeże Florydy. To niemal półtora tysiąca kilometrów od północnych wybrzeży Kolumbii i w tamtych czasach był to teren niestrzeżony. Kolumbijczycy wraz ze swoimi amerykańskimi współpracownikami zrzucali z pokładów samolotów tony kokainy prosto do morza, skąd na brzeg zabierały ją motorówki, a czasem nawet zrzucali je w głębi stanu Floryda, pozwalając im lądować gdzieś na otwartej przestrzeni.

Handlarze z uśmiechem wspominają tamte dawne beztroskie czasy. W filmie dokumentalnym *Cocaine Cowboys* (Kokainowi kowboje)**[6]** przemytnik Mickey Munday – nieskomplikowany facet z Florydy z niemodną fryzurą a la czeski piłkarz – wspomina, jak kierując motorówką wyładowaną 350 kilogramami kokainy, pomógł holować łódź patrolową amerykańskiej straży przybrzeż-

nej, w której wysiadł silnik. Kiedy indziej kokaina zrzucana z powietrza wpadła przez dach do kościoła, w którym kaznodzieja wygłaszał właśnie antynarkotykowe kazanie. Życie przerosło kabaret.

Handel kokainą wzbogacał też gospodarkę Florydy. Nikt nie potrafi dokładnie określić, ile przyprószonych białym proszkiem dolarów pomogło zbudować wieżowce Miami. Deszcz pieniędzy zostawił jednak wyraźne ślady. W 1981 roku Bank Rezerwy Federalnej w Miami był jedynym oddziałem tej sieci publicznych finansów, który mógł pochwalić się superatą. I to nie byle jaką, bo wynoszącą 4.75 miliarda dolarów[7]. Władze niebyły zmartwione tym nagłym dopływem gotówki, gdy jednak zaczęły się strzelaniny, zrobiły się nerwowe.

Przez pierwszych 5 lat kokainowego boomu liczba zabójstw w Miami i hrabstwie Dade niemal się potroiła, z 200 zabitych w roku 1976 do 600 w rekordowym roku 1981[8]. Przemoc nie wiązała się jednak tylko z białym proszkiem. Przyczyniał się do niej także napływ 120 tysięcy kubańskich imigrantów, a wśród nich wielu uciekinierów z więzień. Gangsterskie porachunki z bronią w ręku nie miały wiele wspólnego z szychami z Medellin, a raczej z konfliktami między dystrybutorami na amerykańskim gruncie. Przykładem tego była psychopatyczna handlarka Griselda Blanco. Ta rosła Kolumbijka była w dzieciństwie prostytutką, potem trudniła się uprowadzeniami, aż wreszcie przeniosła się do Stanów i zaczęła sprzedawać *yayo*, jak mówi się na kokainę w hiszpańskim slangu. Likwidowała każdego, kto wchodził jej w paradę, w tym trzech swoich mężów, czym zasłużyła sobie na przydomek Czarna Wdowa. Jej sposób był na pewno szybszy niż ciągnące się procesy sądowe. W Medellin jednak przeklinano ją za narażanie miliardowego biznesu.

Sprawa została dostrzeżona aż w Białym Domu, gdzie rezydował następca Jimmy'ego Cartera, Ronald Reagan. Carter miał mniej konfrontacyjne podejście do problemu narkotyków, koncentrował się raczej na łagodzeniu skutków niż na prowadzeniu

„wojny". Pierwszym ruchem Reagana było obwinienie swojego poprzednika o kokainowy boom. Ta etykietka przylgnęła do Cartera i późniejsi wojujący z narkobiznesem przez całe dekady obwiniali jego i liberalne lata siedemdziesiąte. Lecz polityka uległości się skończy, grzmiał zwycięski Reagan. Należy zabrać się do wykorzenienia zła, jakim są dilerzy, a głównym terenem działań miało być Miami.

W styczniu 1982 roku Reagan powołał do życia specjalną jednostkę do zadań specjalnych koordynującą walkę z handlarzami w południowej Florydzie. Na jej czele stanął wiceprezydent George Bush, który po raz pierwszy zaprządł do pracy FBI, wojsko i marynarkę wojenną. To prawdziwa wojna, ogłosił Reagan, więc niech walczą prawdziwi żołnierze. Samoloty zwiadowcze i śmigłowce bojowe coraz częściej latały nad Florydą, a agenci FBI zainteresowali się bankami, które mogły mieć co nieco na sumieniu. Floryda zupełnie się tego nie spodziewała, więc nie trzeba było długo czekać na rezultaty. W ciągu 8 miesięcy przechwycono 56 procent więcej kokainy. Reagan i Bush świętowali, nie szczędząc uśmiechów agentom, którzy skonfiskowali tony białego jak śnieg narkotyku.

Działania jednostki specjalnej były odczuwalne także w Kolumbii. Przejęty towar oznaczał stracone setki milionów dolarów i Kartel z Medellin musiał przemyśleć swoją strategię. O radę poprosili mafię.

Matta po raz pierwszy skorzystał z meksykańskiej „trampoliny", aby przerzucać narkotyki do Stanów we wczesnych latach siedemdziesiątych, kiedy sprzedawał kokainę zamerykanizowanemu Kubańczykowi Albertowi Sicilii Falconowi. Gdy Falcon znalazł się za kratkami, Matta zaczął dbać o kontakty z co wybitniejszymi gangsterami z Sinaloa. Ci Meksykanie mogli stanowić rozwiązanie problemów królów kokainy. Dlaczego narażać się na Florydzie, skoro wystarczy podrzucić narkotyki na granicę? Meksykanie mieli już swoje kanały przerzutowe, więc wystarczyło, by Matta przekazał im narkotyki, a następnie zajął się nimi na północ od Rio Grande. Szef oddziału DBA pracującego na terenie An-

dów, Jay Bergman, tak opisuje ich układ:

„Początek negocjacji wyglądał tak: »To my, Kolumbijczycy, mamy kokainę i zajmujemy się jej dystrybucją w Stanach. Wy, Meksykanie, macie trawkę i czarną heroinę. Dystrybucja kokainy od słonecznych wybrzeży Los Angeles po ubogie ulice w Baltimore – to nasze poletko. Tym się zajmujemy. Chcemy się z wami dogadać. Przekażemy wam kokę, a wy dostarczycie ją Meksyku do umówionego miejsca w Stanach, do rąk naszych ludzi, do naszego kartelu«. I tak to się wszystko zaczęło".

Nie sposób przecenić historycznego znaczenia tej umowy. Od momentu, kiedy w Meksyku zaczęto zarabiać miliardy dolarów na białym proszku, cały handel miał stać się jeszcze większy i jeszcze krwawszy, niż Ktokolwiek był w stanie przewidzieć. Meksykanie zaczynali jako płatni Kurierzy, po chwili jednak, gdy dostali palec, zamarzyli o całej ręce.

Nowi kumple Matty w Meksyku mieli doświadczenie w handlu, wielu z nich było spokrewnionych z najstarszym pokoleniem przemytników. Do tych ostatnich zaliczał się Rafael Caro Quintero, kowboj pochodzący z gór, będący na bakier z prawem, odkąd był nastolatkiem. Trzech jego wujów i jeden kuzyn trudnili się szmuglowaniem heroiny i marihuany. Caro przebił ich wszystkich.

Nad Caro Quintero i innymi synami prowincji stał urodzony w Culiacán miłośnik elegancji, noszący białe spodnie i modne koszule, Ángel Félix Gallardo, który był głównym łącznikiem między Mattą i kolumbijskimi bossami. Wielu do dziś uważa Gallarda za największego *capo* Meksyku tamtych czasów, niemającego sobie równych króla półświatka. Według oceny DEA był największym handlarzem na półkuli zachodniej. Powszechnie uważa się, że piosenka *Jefe de jefes* czyli „Szef szefów" – kapeli Tigres del Norte, będąca chyba narkoballadą wszech czasów, opowiada o Gallardzie. Jednakże, jak zwykle bywa w mrocznym światku meksykańskich gangsterów, nie jest jasne, czy władza, jaką ponoć dysponował, dorównywała jego reputacji.

Urodzony w Culliacan w 1946 roku Félix Gallardo przeszedł ścieżkę wielu przedsiębiorczych kryminalistów w Sinaloa i wstąpił do policji. Wczesne zdjęcie Félixa Gallarda przedstawia go jako eleganckiego i schludnego mężczyznę w szerokiej czapce policjanta. Późniejsze zdjęcie ukazuje go tuż po tym, jak opuścił służbę. Jest na nim zadbanym gangsterem w modnych okularach przeciwsłonecznych i siedzi na nowiutkim motocyklu marki Honda**[9]**. Jest szczupły, ma ostre rysy i jak na meksykańskie standardy jest wysoki – ma prawie metr dziewięćdziesiąt.

Kiedy w Sinaloa rozpoczęła się operacja „Kondor", Félix Gallardo wraz z innymi przestępcami przeniósł się do Guadalajary, drugiego co do wielkości miasta Meksyku. Z piękną kolonialną architekturą, z orkiestrami *mariachi* i ludowymi knajpami, Guadalajara była idealnym miejscem, gdzie *narcos* mogli odetchnąć i pobudować sobie wille. Kiedy tylko operacja „Kondor" zaczęła przygasać, zabrali się do organizacji jeszcze ambitniejszych przerzutów niż dotychczas.

By zwiększyć dochody, zrobili to, co zrobiłby każdy biznesmen z głową na karku: poszli na ilość. Zamiast kupować marihuanę z małych rodzinnych gospodarstw, stworzyli ogromne plantacje. DEA wytropiła taką plantację na pustyni w Chihuahua i wywarła presję na Meksyk, by ją zniszczono. Najazd na nią stanowił rekord, którego do dzisiaj nie udało się pobić. Uprawy rozciągały się na przestrzeni wielu kilometrów pustynnego terenu, natomiast suszenie odbywało się w 25 hangarach – większość o rozmiarach przekraczających rozmiary boiska do futbolu, W sumie znaleziono tam ponad 5 tysięcy ton psychoaktywnego ziela. Tysiące wieśniaków pracowało na plantacji za 6 dolarów dziennie. Kiedy wpadła armia, szefowie dawno się ulotnili, lecz *campesinos* wciąż błąkali się po pustyni bez jedzenia i wody**[10]**.

Tak ogromne ilości marihuany oznaczały ogromne pieniądze. Jednak dochody z kokainy były o wiele większe. Dokumenty sądowe twierdzą, że Malta i jego wspólnik, Félix Gallardo, zgarniali po 5 milionów dolarów tygodniowo, przerzucając biały narkotyk meksykańskim kanałem. Po tym jak Meksykanie dostarczyli kokę

na teren USA, jak podają dokumenty, Matta miał przekazywać ją przez całą siatkę dystrybutorów w Arizonie, Kalifornii i Nowym Jorku. Pracowali dla niego biali Amerykanie, którzy zaopatrywali w kokainę roztańczonych bywalców dyskotek. Działaniami w Arizonie kierował niejaki John Drummond, który później stał się chronionym świadkiem zeznającym przeciwko Gallardowi**[11]**.

Jest prawdopodobne, że Malta, Félix Gallardo i inni nie określali się mianem kartelu i nie nadawali swoim działaniom żadnej konkretnej nazwy. W dzienniku prowadzonym w więzieniu Félix Gallardo pisze: *W roku 1989 nie istniały żadne kartele (...) o kartelach zaczęli mówić ludzie, którzy mieli je zwalczać***[12]**.

Cokolwiek jednak uważali sami gangsterzy, już od 1984 roku w raportach wysyłanych do Waszyngtonu agenci DEA w Meksyku nazywali sprzymierzonych handlarzy Kartelem z Guadalajary. Jak już wspomniano wcześniej, łatwiej oskarża się organizację, kiedy nosi ona wyrazistą nazwę. Co więcej, agentom DEA w Meksyku bardzo zależało na tym, by przyciągnąć uwagę zwierzchników, dla których Meksyk ostatnimi czasy zszedł na dalszy plan, ustępując miejsca Kolumbii i Florydzie. Agenci gorliwie zapewniali, że w Meksyku również są szefowie. Używając określenia „kartel”, dawali natychmiast znać, że i tam istnieje potężne zagrożenie, zupełnie jak w Medellin.

Wbrew zapewnieniom agentów, meksykańska trampolina zdezorientowała rząd Reagana. Mimo iż jednostka specjalna szpanowała kanonierkami we Florida Keys, cena kokainy na amerykańskiej ulicy spadała. Agenci DEA narzekali, że Reagan przeznacza zbyt duże fundusze na wojsko, a mógłby je wydać na doświadczonych agentów, zdolnych zadać handlarzom dotkliwy cios.

W połowie lat osiemdziesiątych Matta i gangsterzy z Guadalajary czuli się poza zasięgiem władzy. Na rynku kokainy panował boom, kanał przerzutowy przez Meksyk pompował towar jak Rurociąg Przyjaźni, a uwaga Reagana była skupiona na trzech wojnach toczonych jednocześnie w Ameryce Środkowej. Wydawało się, że nic nie może pójść źle. Wtedy jednak handlarze przebrali

miarkę: w lutym 1985 roku porwali w Guadalajarze agenta DEA, Enrique „Kiki” Camarenę. Zanim został zamordowany, był gwałcony i torturowany.

Dla agentów DEA śmierć Camareny jest najczarniejszym rozdziałem ich pracy w Meksyku. Zdjęcie tego tragicznego bohatera wisi w biurach DEA na całym świecie. Widać na nim dobrze zbudowanego Latynosa pod czterdziestkę, o uśmiechu zdradzającym inteligencję, ale także nieco naiwny optymizm.

Jego historia opowiedziana jest szczegółowo w książce Elaine Shannon *Desperados.* Urodził się w Mexicali i wychował w Kalifornii. Zanim wstąpił do DEA, grał w szkole średniej w futbol amerykański i odnosił snkcesy, później służył w piechocie morskiej. Po kilku udanych akcjach w DEA z powodu jego charyzmy i waleczności zaczęto na niego mówić Czarny Kogut. Na meksykańskiej ulicy był jednak łatwym celem.

Po przybyciu do Guadalajary w 1980 roku, Camarena z narastającą frustracją obserwował, jak handlarze umacniają swoją pozycję. Szukając ich słabego punktu, stworzył siatkę informatorów, których wyszukiwał w najbardziej podejrzanych *cantinas* i najmroczniejszych zaułkach. Dzięki ich doniesieniom udało mu się trafić na przemysłowe uprawy marihuany, nie wahał się także osobiście uczestniczyć w operacjach przeprowadzanych przez meksykańską armię. Jego twarz stawała się rozpoznawalna. Mimo to nie ustawał w pracy. On i jego współpracownicy wysyłali raporty do Waszyngtonu, skarżące się na ochronę policji, jaką cieszyli się gangsterzy w Guadalajarze. Oczekiwali, że Stany nie będą tolerować takiego stanu rzeczy. Camarena z determinacją robił wokół sprawy szum. Lecz równie chętnie zajęli się tym tematem gangsterzy.

Napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny pod koniec 1984 roku, kiedy władze Meksyku i Stanów Zjednoczonych przeprowadziły kilka udanych akcji na terenie handlarzy z Guadalajary, w tym najazd na rekordowo dużą uprawę trawki. Zdarzały się jednak także sukcesy po amerykańskiej stronie kanału przerzutowego. W miejscowości Yucca w stanie Arizona detektyw spędza-

jący tam urlop zobaczył świeże ślady kół samolotu na pasie startowym pochodzącym z drugiej wojny światowej. Po jego informacji policja zarządziła blokadę dróg i bez trudu przejęła siedemset kilogramów kokainy zapakowanej w jaskrawą folię aluminiową ze świątecznymi motywami**[13]**.

Łut szczęścia tego detektywa nie miał nic wspólnego z Kiki Cameną, ale gangsterzy tego nie wiedzieli. W oczach sfrustrowanych bossów, którym miliony dolarów przeciekały przez palce, DEA działała nader sprytnie. Ich irytacja rosła. Według zeznań sądowych kluczowi gracze, w tym Matta, lubujący się w eleganckich ciuchach Félix Gallardo, czy gangster z bronią w ręku Caro Quintero, zbierali się, by ustalić, jakie kroki podjąć. W dokumentach sądowych czytamy:

*Uczestnicy całego przedsięwzięcia, w tym Matta Ballesteros, spotkali się i omówili niedawne sukcesy DEA, w tym zajęli się raportem policyjnym dotyczącym jednej z większych obław i przechwyceń marihuany w Zacatecas w Meksyku. Rozmawiali o agencie DEA odpowiedzialnym za tamtą operację. Na kolejnym spotkaniu wspólnicy zasugerowali, że kiedy tożsamość tego agenta zostanie ustalona, należy się nim „zająć”.***[14]**

Gdy pewnego wieczoru Kiki Camarena opuszczał konsulat amerykański w Guadalajarze, pięciu mężczyzn napadło na niego, zarzuciło mu kurtkę na głowę i wciągnęło do furgonetki marki Volkswagen. Miesiąc później jego ciało znaleziono porzucone przy drodze kilkaset kilometrów od tego miejsca. Rozkładające się zwłoki ubrane były tylko w bokserki, a ręce i nogi związano. Na ciele widniały liczne ślady uderzeń, a w odbycie Camareny tkwił kij. Przyczyną śmierci było uderzenie tępym narzędziem, które spowodowało znaczne wgniecenie pokrywy czaszki.

Wściekłe władze amerykańskie zażądały ukarania sprawców, dochodzenie jednak grzęzło w plątaninie tropów, nie brakowało też podstawionych kozłów ofiarnych. Meksykańskiej policji zdarzało się wpaść na jakieś ranczo i zastrzelić wszystkich przebywających tam podejrzanych, co kończyło się oskarżeniami o celowe zabójstwo. Pojawiły się nagrania dźwiękowe rejestrujące przesłu-

chiwanie i torturowanie Camareny, na których wypytywano go o skorumpowanych policjantów, i polityków, i ich zmowy z handlarzami.

Amerykańscy agenci federalni wytropili handlarza w kowbojskim kapeluszu, Rafaela Caro Quintera, w Kostaryce, gdzie został złapany przez oddziały specjalne i odstawiony do Meksyku. Od tamtego czasu nie wyszedł z więzienia. Agentom DEA wydawało się, że są o krok od kolejnego sukcesu, gdy namierzyli Mattę przez podsłuch telefoniczny w domu w Mexico City. Zarejestrowano jego słowa: „Płace przecież podatki" – przez co zapewne rozumiał łapówki wręczane policjantom, informacje o miejscu pobytu Matty przekazano meksykańskim śledczym, ale ci zwlekali z aresztowaniem gangstera. Agenci DEA z furią obserwowali, jak pewnego sobotniego wieczoru dom Matty opuszcza samochodem czterech mężczyzn. Kiedy policja wpadła w końcu do budynku następnego ranka, na miejscu była tylko jakaś kobieta. Matta wyjechał zeszłej: nocy, zeznała. Agenci DEA byli wściekli**[15]**.

Mający bujną kręconą czuprynę Matta objawił się w nadmorskim kurorcie Cartagena w Kolumbii. Taką informację DBA przekazała kolumbijskiej policji i tym razem przybyto na czas i aresztowano handlarza. Lecz nawet więzienie nie mogło go powstrzymać. Boss wyszedł z kolumbijskiego aresztu przez siedmioro zamkniętych drzwi po tym, jak ponoć rozdysponował miliony dolarów między więziennych strażników. Honduraskiej gazecie mówił potem: „Otwarto dla mnie drzwi, a ja przez nie przeszedłem". Matta wrócił do ojczyzny i zamieszkał w przypominającym pałac gmachu w centrum Tegucigalpy. Honduras nie miał wtedy umowy o ekstradycję ze Stanami Zjednoczonymi.

Gdy wlokła się sprawa Camareny, amerykańska wojna z narkotykami wrzuciła piąty bieg. Najpierw w 1986 roku dwóch amerykańskich sportowców zmarło wskutek przedawkowania kokainy. O mój Boże! – zawodziły gazety, z opóźnieniem zdając sobie sprawę, że biały proszek może również uśmiercać. Potem media odkryły crack, który nie był wcale niczym nowym. Od

czasu jej wynalezienia na Bahamach w latach siedemdziesiątych, użytkowników tej formy kokainy bezustannie przybywało. Jednak dopiero teraz magazyny „Time" i „Newsweek" pisały o tym w artykułach anonsowanych na okładkach, CBS zaś wyemitowała raport specjalny *48 Hours On Crack Street*, który zyskał najlepsze wyniki oglądalności dla filmu dokumentalnego w historii. Crack sprzedawał się doskonale.

Ronald Reagan z zapałem zajął się tym tematem, kiedy zbliżały się wybory na półmetku jego rządów w 1986 roku. „Moje pokolenie pamięta, jak Amerykanie ruszyli do działania, kiedy zaatakowano nas podczas drugiej wojny światowej – agitował. – Toczy się teraz kolejna wojna o naszą wolność"**[16]**. Jego płomienne przemówienia przeobraziły się w czyny z chwilą, gdy powstała ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii. Była ona wymierzona w dilerów (szczególnie tych sprzedających crack) rezydujących na plażach, i inne formy nadmorskiego narkobiznesu, ułatwiając przejęcie ich towaru przez zasądzanie minimalnych kar. Rząd postarał się też o poprawę sytuacji finansowej DEA i urzędów celnych. Wojna z narkotykami nabierała rozmachu.

Istniała jednak jedna zasadnicza przeszkoda dla działań DEA w Ameryce Środkowej: zimna wojna. Przez całe lata osiemdziesiąte region ten stanowił front walki z komunizmem, teatr działań szpiegów i prawicowych polityków wierzących, że walczą z bolszewikami u granic USA. W czasie tego konfliktu CIA inwestowało w prawicowe bojówki Contras w Nikaragui, które uzbrajano i szkolono w Hondurasie. Zarówno partyzanci z grup Contras, jak ich hondurascy zwierzchnicy, zarabiali na kokainie.

Wsparcie CIA dla grup w Ameryce Środkowej powiązanych z narkobiznesem jest dobrze udokumentowane i powinno wreszcie opuścić kategorię teorii spiskowych i stać się faktem historycznym. Jednak dla wielu amerykańskich patriotów jest to gorzka pigułka, której nie chcą przełknąć. Cala sprawa jest zawiła i nie ułatwiają jej niektórzy autorzy wysuwający bezpodstawne oskarżenia przeciwko CIA, podczas gdy inni niezbyt wiernie opisują winy tej agencji.

Można iść wieloma śladami, lecz ten okryty najgorszą sławą odkryty został przez dziennikarza Gary ego Webba i opisany w serii artykułów *Dark Alliance* (Mroczne Przymierze) publikowanych w gazecie „San Jose Mercury News”**[17]**. Webb wykazał, że ważny diler cracku w Los Angeles kupował: towar od dwóch Nikaraguańczyków, którzy z kolei finansowali oddziały Contras. Wywołało to wybuchową reakcję. Nagłe ulicami Watts, dzielnicy Los Angeles, maszerowali Afroamerykanie, krzycząc, że za epidemię cracku odpowiada CIA.

Artykuły Webba uznano początkowo za odkrycie dekady, niebawem jednak duże gazety przypuściły na nie atak. Webb nie ustrzegł się błędów. Pisał na przykład, że Nikaragua jako pierwsza dostarczała kokainę do Los Angeles. W rzeczywistości *yayo* dostępna była tam od dziesięcioleci, i to z innych źródeł. Dziennikarz dostawał również razy za rzeczy, których nigdy nie powiedział. Karcono go za oskarżanie CIA o bezpośredni handel koką, czego nigdy nie napisał. Wobec zawiłości całej sytuacji, niektórym łatwiej było powiedzieć, że agenci CIA kupczyli crackiem na rogach ulic, a następnie oskarżyć Webba o pisanie historii wyssanych z palca.

Nacisk mediów spowodował zwolnienie dziennikarza z gazety, a ostatnim, tragicznym rozdziałem tej opowieści było jego samobójstwo w 2004 roku. Od tamtego czasu Webb został zrehabilitowany, a medialną nagonkę na niego uznano za czarną kartę w dziejach dziennikarstwa Stanów Zjednoczonych. Choć popełnił kilka błędów, nikomu nie udało się zanegować jego głównej tezy, że wiodący diler kupował narkotyki od judzi finansujących armię budowaną pod auspicjami CIA. Zamiast szukać dziury w całym, autorzy „Los Angeles Timesa” i „New York Timesa” powinni byli pójść śladem tych doniesień.

Jednak mimo ognia krytyki, artykuły Webba osiągnęły pewne cele. Po pierwsze, zwróciły uwagę na dochodzenie prowadzone przez komisję Senatu Stanów Zjednoczonych ds. stosunków międzynarodowych w sprawie związków między Contras a handlarzami narkotyków. Po drugie, zmusiły CIA do przeprowadzenia

własnego wewnętrznego dochodzenia, którego wyniki ujrzały światło dzienne w 1998 roku. Tak więc dalszy ciąg tej opowieści możemy oprzeć na taktach firmowanych przez rząd amerykański. Oba źródła potwierdzają, że dilerzy kokainy kierowali pieniądze do ludzi z oddziałów Contras, będących na garnuszku CIA. Jedno nazwisko przewija się przez oba raporty: Juan Ramon Matta Ballesteros, czyli Negro.

By dostarczać broń oddziałom Contras, CIA wynajęło honduraską linię lotniczą SETCO, założoną rzekomo przez samego Mat tę. Raport senacki stwierdza: *Płatności Departamentu Stanu między styczniem a sierpniem 1986 roku wyniosły: na rzecz SETCO, za usługi lotnicze: 186,924 dolarów i 25 centów*. Kilka stron później podaje: *Źródła służb amerykańskich informuję, ze SETCO założył handlarz kokainy z Hondurasu, Juan Matta Ballesteros*[18].

Istnieje oczywiście możliwość, iż agenci CIA nie mieli pojęcia, że współpracują z handlarzami narkotyków. Wewnętrzny raport agencji utrzymuje, że brakuje dowodów na to, żeby taką wiedzę mieli – i w ten sposób oczyszcza ich z zarzutu. W raporcie znajduje się jednak stwierdzenie wyrażone okrężnym formalnym językiem:

To CIA miała świadomość zarzutów, że posiadała informacje, iż organizacje lub osoby zaangażowane były w handel narkotykami nie zapobiegły ich współpracy z CIA. W innych przypadkach CIA nie podjęła działań mających na celu zweryfikowanie oskarżeń lub doniesień o handel narkotykami, kiedy istniała taka możliwość.[19]

Innymi słowy: nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

Co możemy zatem powiedzieć o roli amerykańskich szpiegów w rozwoju meksykańskiego narkobiznesu? Stwierdzenie, że CIA postąpiło jak doktor Frankenstein i stworzyło potwora, to za dużo. Mechanizmy rynku doprowadziłyby do rozkręcenia handlu kokainą zarówno z udziałem ludzi wywiadu, jak i bez. Co więcej, warunki geograficzne Meksyku sprawiłyby, że przemycano by tamtędy kokainę, niezależnie od tego, czy CIA podałoby pomocną dłoń, czy też nie.

Jednak rota CIA w historii handlu kokainą jest kluczowa i pokazuje wyraźnie brak skonsolidowanej polityki antynarkotykowej rządu USA poza granicami kraju. Z jednej strony zadaniem DBA było zwalczanie handlu, z drugiej nakazano CIA pomagać Contras, a działania tych dwóch służb były ze sobą sprzeczne. Istnieje obawa, że taka sytuacja powtórzyła się podczas różnych konfliktów, takich jak np. w Afganistanie, gdzie sprzymierzony z USA Sojusz Północny został oskarżony o handel narkotykami. Ponadto sprawa ta pokazuje, że tam, gdzie kwitnie nielegalny handel wart miliony, tam grupy rebelianckie zrobią wszystko, by się pod niego podczepić. Czasem są to sojusznicy USA, jak Contras czy Sojusz Północny, a czasem nieprzyjaciele, jak Armia Ludowa PARC w Kolumbii czy talibowie. Pewnego dnia te pieniądze mogą trafić w ręce jeszcze groźniejszych przeciwników.

Na nieszczęście kokainowych kowbojów, i na szczęście Ameryki Środkowej, zimna wojna nie trwała wiecznie. Dwudziestego trzeciego marca 1988 roku oddziały Contras i rząd sandinistów podpisali w Nikaragui zawieszenie broni po tym, gdy w walkach zginęło ponad 60 tysięcy ludzi. Zaledwie dwanaście dni później amerykańscy agenci przybyli do Hondurasu po Mattę. Z powodu braku umowy o ekstradycję nie mogli aresztować go w świetle prawa, aie mogli przymknąć go nielegalnie. Uzgodniono współpracę honduraskich sił specjalnych z amerykańskimi agentami.

Tuż przed świtem, 5 kwietnia, honduraskie „Kobry" i czterech funkcjonariuszy amerykańskich wpadło do pałacu Matty w Tegucigalpie. Potrzeba było sześciu żołnierzy, by obezwładnić przysadzistego szefa, skuć go, założyć mu na głowę czarny worek i wrzucić do czekającego wozu. Nawet w samochodzie Matta siłował się z amerykańskim policjantem i honduraskim żołnierzem, trzymającym go z tyłu, kiedy jechali do pobliskiej dużej bazy lotniczej USA. Następnie przewieziono Mattę do Dominikany, skąd trafił do więzienia w Marion w stanie Illinois. Zeznał, że podczas lotu policjanci bili go i przykładali mu paralizator do stóp i do krocza. Pod względem oszczędności czasu porwanie biło na głowę długotrwały proces ekstradycji. Matta znalazł się w amerykań-

skim więzieniu stanowym w mniej niż dobę.

W Tegucigalpie biedne *barrios* zapłonęły gniewem, bo przecież ukochany Matta pobudował im szkoły i zapewniał pomoc socjalną. Studenci byli wściekli na swój rząd łamiący honduraską konstytucję, by pomóc *gringos*. Dwa dni po aresztowaniu gangstera przed ambasadą USA zebrało się około 2 tysięcy demonstrantów. Po okrzykach: „Chcemy Matty w Hondurasie" i „Płońcie, płońcie" zaczęto rzucać kamienie i koktajle Mołotowa. Wynajęci ochroniarze znajdujący się wewnątrz ambasady otworzyli ogień, zabijając czterech studentów, jednak budynek ambasady doszczętnie spłonął, a przy okazji stojący w pobliżu samochód; zginęła też piąta osoba. Rząd Hondurasu ogłosił w dużej części kraju stan wojenny[20].

Gdy Matta był już w amerykańskim więzieniu, zasypano go lawiną oskarżeń: o handel kokainą, o uprowadzenie Camareny, a nawet o ucieczkę z bazy wojskowej w Eglin w 1971 roku. Jednakowoż, zdaniem syna Matty, Ramona, oskarżenie przedstawiło mu pewną ofertę. Zasugerowali, że jeśli Matta zgodzi się zeznawać przeciwko Manuelowi Noriedze, prezydentowi Panamy, potraktują go ulgowo. Noriega, były współpracownik CIA, jawnie wspierał handlarzy białym proszkiem i znalazł się na celowniku amerykańskich służb. Najwyraźniej Matta propozycje odrzucił. Kimkolwiek był, na pewno nie był kapusiem.

Sędziowie przyznali, że Mattę wywieziono z ojczyzny nielegalnie, „Rząd nie kwestionuje tego, że oskarżony został siłą uprowadzony ze swojego domu w Hondurasie" – powiedziano w sądzie. Dodano też, że nie powinno to mieć wpływu na przebieg procesu. Sprawę Matty cytuje się obecnie jako precedens, jeśli chodzi o porwanie świadka z obcego kraju. Zarzuty przeciwko gangsterowi opierały się też na wątpliwych świadectwach, w tym pochodzących od amerykańskich dilerów kokainy którzy za swoje zeznania uzyskali liczne korzyści.

Ostatecznie Mattę osadzono za planowanie przemytu kokainy oraz planowanie zabójstwa agenta federalnego. Uwolniono go jednak od zarzutu zabójstwa Camareny. Gnijąc w najgorszym z

amerykańskich więzień, stał się przestrogą wykorzystywaną przez oskarżycieli przeciwko handlarzom: „Jeśli się z nami nie dogadasz – mogli teraz powiedzieć – skończysz jak Matta”. Architekt „meksykańskiej trampoliny” dożywa swoich dni gdzieś na gorącej pustyni w stanie Kolorado, lecz jego wielomiliardowe przedsięwzięcie przejęło nowe pokolenie handlarzy i zadbało o to, by było jeszcze bardziej efektywne oraz bardziej krwawe.

ROZDZIAŁ 5
Baronowie

To dziennikarz, ten señor,
Pisze o tym, co się dzieje.
W swojej misji nie ustaje,
Chociaż mafia nań nastaje.
Upomina złych handlarzy
I rządowi daje razy.
Jest człowiekiem wiary wielkiej,
Chce spokoju ludzi wszelkich.

Bardzo dzielny to señor,
Każdy o tym cię zapewni.
Cały naród w drżenie
wprawia Bo całą prawdę
wyjawia.
Jest on dziennikarskim królem,
Co przyznają znawcy chórem.
Jest naprawdę niezrównany,
w narcoinformowaniu.

Dziennikarz, ballada o Jesúsie Blancornelasie śpiewana przez zespół Theanes de Tijuana, 2004[1]

W Tijuanie, na południe od Revolution Avenue pełnej klubów ze striptizem, barów, gdzie leje się tequila, i nieopodal sklepów z sombrerami, stoi nietypowy dom o zakratowanych oknach i wzmocnionych drzwiach. Chociaż sprawia wrażenie kryjówki, schronienia, czy budynku wykorzystywanego przez policję, mieści się w nim redakcja gazety. Po wejściu do środka w oczy rzuca się klasyczna prosta maszyna do pisania i oprawione w drewnianą ramkę zdjęcie założyciela gazety, redaktora Jesúsa Blancornelasa. Portret przedstawia starszego mężczyznę w okrągłych okularach o rzadkiej siwej brodzie i intensywnym spojrzeniu.

Piętro wyżej dziennikarze uprawiają gatunek publicystyki, jaki zapoczątkował Blancornelas, próbujący przeniknąć gorliwie jak nikt inny do mrocznego świata handlu narkotykami. Jego gazeta zapłaciła wysoka cenę za taką wizję dziennikarstwa. Dwóch dziennikarzy zastrzelono, sam Blancornelas zaś dostał cztery kule i przeżył, po czym umarł w 2006 roku na raka spowodowanego najprawdopodobniej przez tkwiący w jego ciele metal.

Historia El Narco to także historia meksykańskich dziennikarzy ryzykujących życiem, by opisać to zjawisko. Amerykańscy i brytyjscy autorzy nagradzani za swoje teksty nawet Pulitzerem nie osiągnęliby nic bez pracy, jaką wykonują każdego dnia tutejsi, dziennikarze, fotoreporterzy i operatorzy. Ich znój i nurzanie się w brudzie afer stało się podstawą wielu dochodzeń prowadzonych przez meksykańską policję i amerykańskich agentów. Mimo pensji wynoszących równowartość 400 dolarów miesięcznie, reporterzy gotowi są znosić napaści i groźby w walce o sprawiedliwość i ujawnienie korupcji.

Rzecz jasna, nie cala historia dziennikarstwa w Meksyku zapisana jest złotymi zgłoskami. Nie brakuje i takich pismaków, którzy przyjmowali korzyści od karteli. W zamian za to milczeli o swoich dobroczyńcach, opisywali barwnie ich rywali lub powielali propagandę serwowaną przez handlarzy. Tacy jak oni jeżdżą nowymi luksusowymi SUV-ami lub rozbudowują swoje wspaniale rezydencje.

Można jednak powiedzieć, że media w Meksyku stanowiły ważną przeciwwagę dla rosnącego w siłę handlu narkotykami i zyskały zdecydowanie lepszą opinię niż inne meksykańskie instytucje, takie jak policja *czy* świat polityki. Jednak żaden dziennikarz nie dorównał Jesúsowi Blancornelasowi.

Nasłuchując wieści z ulic, wietrząc, co dzieje się w pałacach władzy i cały czas cierpliwie drążąc w poszukiwaniu prawdy, Blancornelas napisał tysiące artykułów i kilka książek traktujących o kartelach, korupcji i przemocy, ustanawiając tym samym standard meksykańskiego reportażu przełomu stuleci. Oprócz postrzału, za swoją pracę dostał niezliczone międzynarodowe na-

grody, w tym tytuł Bohatera Wolności Prasy nadany mu przez Międzynarodowy Instytut Prasowy. A poza tym, ilu dziennikarzy może pochwalić się balladą na swój temat?

Blancornelas opisywał rozwój karteli narkotykowych przez 30 lat, ale jego najważniejsze teksty pochodzą z lat dziewięćdziesiątych. Podczas tej dynamicznej dekady dobiegła końca zimna wojna, a Meksyk rzucił się w objęcia zglobalizowanego wolnego rynku. Państwowe firmy wyprzedawano hojną ręką i wyrosła zupełnie nowa liga miliarderów. Ten duch przedsiębiorczości najsilniej dawał się odczuć przy granicy meksykańsko-amerykańskiej, gdzie jedna po drugiej wyrastały fabryki i zakłady montażowe. Układ NAFTA czterokrotnie zwiększył przepływ towarów, proporcjonalnie jednak rozrastały się stare i pojawiły zupełnie nowe dzielnice biedy. W tamtym okresie główna aktywność handlarzy przeniosła się z Sinaloa i Guadalajary właśnie na tereny przygraniczne. Na prowadzenie wyszły trzy kartele: jeden w Tijuanie, drugi w Juárez oraz trzeci w rejonie Zatoki Meksykańskiej. W dobie gorączkowej globalizacji El Narco umacniał swoją pozycję.

Blancornelas skupił się na Kartelu z Tijuany, depcząc tamtejszym przestępcom po piętach i opisując ich bossów, braci Areliano Félix. Jego doniesienia odegrały tak wielką rolę, że niemal każdy inny tekst o Kartelu z Tijuany opiera się na tym, co napisał Blancornelas, a jeśli tak się nie dzieje, to powinno. W odwecie za artykuły bracia Arellano Félix zlecili zamordowanie Blancornelasa, nasyłając na niego 10 zbirów.

Kiedy w 2000 roku przybyłem do Meksyku po raz pierwszy, pracowałem w zgrzebnej redakcji „Mexico City News", anglojęzycznego dziennika wydawanego w historycznej dzielnicy miasta stołecznego. Za oszałamiające 600 dolarów miesięcznie ja i inni przymierający głodem dziennikarze pisaliśmy dla topniejącej grupy czytelników na wiekowych, poplamionych kawą komputerach, i korzystaliśmy z linii telefonicznych, w których co trzy sekundy słychać było głośne piszczenie. Była to jednak naj-

wspanialsza praca w moim życiu. Zajmowałem się kryminalnym życiem Mexico City. Do moich obowiązków należało tropienie pulchnej handlarki cracku zwanej Ma Barker i przesiadywanie na trwających wiele dni sesjach sądu wojskowego, zajmującego się skorumpowanymi generałami.

Niebawem stałem się czytelnikiem Blancornelasa i zwróciłem się do niego o pomoc. Ten doświadczony dziennikarz wykazywał niesłychaną cierpliwość do nieopierzonego brytyjskiego reportera, zadającego masę bzdurnych pytań. Mimo natłoku zajęć, co tydzień znajdował czas na rozmowę ze mną i wyjaśniał mi rzeczy, których wcześniej nie byłem w stanie pojąć. Gdy podczas tych rozmów zadawałem mu pytanie o konkretnego gangstera, często udzielał mi odpowiedzi ubranej w barwną metaforę: „Grillo, jeśli ten handlarz, o którym piszesz, byłby zawodnikiem bejsbolu, z całą pewnością nie grałby w pierwszej lidze". „A ten cały Israel Zambada?" – pytałem słabym głosem. „Zambada grałby dla pucharowych New York Yankees".

Takie porównania przychodziły mu łatwo, ponieważ przez całe lata, zanim zajął się gangsterami, pisał o sporcie. Po skończeniu studiów został redaktorem sportowym w lokalnej gazetce w rodzinnym San Luis Potosi w środkowym Meksyku i pracował tam przez niemal 20 lat. Potem jednak, tuż przed czterdziestką, przeniósł się do odległej o 2500 kilometrów dynamicznie rozrastającej się Tijuany. Blisko granicy ludzie poznają siebie na nowo i to przydarzyło się także Blancornelasowi. Odnalazł nowe życie w mieście, które Kalifornijczycy nazywają TJ. W 1980 roku, mając 42 lata, Blancornelas wraz z dwoma innymi dziennikarzami założył pierwszy meksykański periodyk poświęcony niemal wyłącznie El Narco. Nazwali go „Zeta", czyli tak, jak w Meksyku wymawia się literę Z (bez żadnego związku z gangiem o niemal identycznej nazwie).

Pierwsza krew polała się w „Zecie" w 1988 roku i chodziło bardziej o politykę niż o narkotyki. Jeden z redaktorów gazety, Hector Félix, krytycznie opisał przedsiębiorcę z Tijuany, Jorgego Hanka, który był synem jednego z najpotężniejszych ludzi wła-

dzy w Meksyku. Jorge Hank był właścicielem toru wyścigowego. Félix oskarżył go o ustawianie wyścigów i zgarnianie pieniędzy z zakładów. Pracownicy toru oraz goryl Hanka jechali za dziennikarzem, kiedy wracał do domu. Jeden samochód zablokował Félixowi drogę z przodu, drugi zatrzymał się z tyłu. Do boku unieruchomionego w ten sposób auta dziennikarza podjechał kolejny wóz. Blancornelas tak opisuje, co się stało:

Z pick-upa marki Toyota ochroniarz Hanka oddal strzał. Jeden, potem drugi. Niezwykle celnie: trafił raz blisko szy, a raz w klatkę piersiową...

To brzmi jak zdanie z opery mydlanej, ale to fakt: jego serce zostało rozerwane na strzępy.

Jego szara kurtka marki Members Only była podarta i pachniała prochem. Cała była ubrudzona krwią i fragmentami ciała.[2]

Blancornelas wraz ze swoim zespołem ustalili personalia zabójców, doprowadzili do ich aresztowania i uwięzienia. Jednak Blancornelasowi bardzo zależało na postawieniu przed sądem samego Hanka. Prokuratorzy jednak nie chcieli nawet tknąć syna potężnego polityka, wobec czego „Zeta" drukowała co tydzień na czarnym tle list domagający się sprawiedliwości. Pod nazwiskiem Félixa widniało: *Jorge Hanku, dlaczego zabił mnie twój ochroniarz?* I widnieje do dziś, bo gazeta nadal go drukuje. W międzyczasie Jorge Hank został burmistrzem Tijuany. Zaprzecza wszystkiemu, twierdząc, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

W tym samym roku, w którym zginął Félix, Meksyk wybierał nowego prezydenta. W miarę zbliżania się wyborów wydawało się, że niemożliwe stanie się faktem: kandydat lewicy, Cuauhtemoc Cárdenas, realnie zagraża PRI. Cárdenas nie był jednak rewolucjonistą. Jego ojciec, Lazaro Cárdenas, był legendarnym prezydentem z ramienia PRI w latach trzydziestych XX wieku, a on sam należał do partii rządzącej przez wiek lat. Czując jednak, iż rząd przestał reprezentować swój ktd, opuścił ich szeregi i w pierwszym od 1929 roku autentycznym wyścigu o władzę konkurował z PRI.

W dzień wyborów Meksykanie nie mogli uwierzyć własnym oczom: Cárdenas prowadził. Wyglądało na to, że wybory nie zostały zmanipulowane. Szala przechylała się na korzyść Cárdenasa i było to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe jednak do czasu. Nieoczekiwanie ogłoszono awarie komputerów. Marzenie stawało się coraz mniej realne. Miesiąc później zakomunikowano, że zwyciężył kandydat PRI, Carlos Salinas. Wszystko miało być po staremu. Cárdenas poprosił swoich wyborców, by nie wychodzili protestować na ulice. Pragnął uniknąć rozlevvu krwi, i tak naprawdę nie chciał rewolucji. Mimo to zginęli ludzie – zabito dziesiątki lewicowych aktywistów wspierających Cárdenasa. W ciągu 2 lat ofiary można było liczyć w setkach.

Jednak mimo sfałszowanego zwycięstwa, protegowany PRI Salinas miał w USA dobrą prasę. Niewysoki, z charakterystyczną łysiną, dużymi uszami i prostą kreską wąsów, prezydent Salinas podbijał amerykańskie serca bezbłędnym angielskim i tytułem doktora nauk. Lansował wizję: nowej PRI i nowego Meksyku. Po przecież PRI otworzyła się na wolny handel i nowoczesny kapitalizm, mimo że uciekła się do wyborczego szachrajstwa, by odciągnąć od władzy komunistów. Jednocześnie spółki mienie należące do państwa meksykańskiego – linie telefoniczne, koleje, stacje telewizyjne – sprzedawano za bezcen.

Nagle pojawiła się zupełnie nowa grupa społeczna: meksykańscy bogacze latający prywatnymi odrzutowcami. W 1987 roku, kiedy „Forbes" zaczynał tworzyć listę miliarderów, znajdował się na niej jeden Meksykanin. W 1994 roku, gdy Salinas zakończył kadencję, na tej samej liście było już 24 miliarderów z Meksyku. Skąd brały się te fortuny? Salinas uczestniczył też w negocjowaniu układu o wolnym handlu NAFTA z Billem Clintonem, którego skutki były niebagatelne. W 1989 roku transgraniczna wymiana handlowa między USA a Meksykiem opiewała na 49 miliardów dolarów, w roku 2000 wynosiła 247 miliardów[3]. Meksykanie z zapomnianych wiosek zaczęli migrować do przygranicznych fabryk, przez cale lata dziewięćdziesiąte Tijuana i Ciudad Juárez rozrastały się w ogromnym tempie, a na okolicznych wzgórzach

powstawały nowe dzielnice biedy, które miały później stać się ważnym ośrodkiem wojny narkotykowej.

Salinas wpłynął również na reorganizację handlu narkotykami. Kiedy obejmował urząd, niekwestionowanym królem meksykańskich handlarzy był Miguel Ángel Félix Gallardo, ten sam syn Sinaloa, który wraz z Mattą Ballesterosem trudnił się handlem kokainą. W 1989 roku na rozkaz Salinasa dowódca policji, Guillermo Gonzalez Calderoni, aresztował czterdziestotrzyletniego Félixa Gallarda, siedzącego spokojnie w restauracji w Guadalajarze. Nie padł ani jeden wystrzał.

W swoim dzienniku pisanym w więzieniu Gallardo zamieścił informacje o tym, jak przed swoim aresztowaniem spotykał się z Calderonim pięciokrotnie, a nawet dostał od niego prezent w postaci rzadkich papug guacamaya. W dniu pojmania, Gallardo udał się do restauracji na spotkanie z Calderonim. Mieli omówić wspólne interesy[4].

Niezależnie od tego, czy te słowa meksykańskiego *capo* są prawdziwe czy też nie, to, iż rząd mógł bez trudu złapać największego gangstera w kraju, był bardzo znaczące. W 1989 roku gangsterzy wciąż polegali na policji, policjanci więc mogli zamknąć handlarzy, kiedy tylko mieli na to ochotę. Aresztowanie narkotykowego bossa pokazało handlarzom, kto w tym układzie jest górą.

Tuż po tym aresztowaniu najwięksi meksykańscy handlarze narkotykami zorganizowali szczyt w nadmorskim kurorcie Acapulco. Brzmi to jak zdanie wyjęte wprost z *Ojca chrzestnego*, ale takie narkokonferencje odbywają się naprawdę. Blancornelas pierwszy poinformował o tym spotkaniu, które wiele innych źródeł potwierdziło znacznie później. Ten sam dziennikarz pisał, że Félix Gallardo zorganizował je zza krat. Gallardo z kolei utrzymywał, że to dowódca policji Calderoni zaaranżował zjazd bossów. Być może i jeden, i drugi ma rację. Blancornelas tak opisuje to wydarzenie:

Wynajęli domek w Las Brisas. Rozciąga się stamtąd panoramiczny widok na zatokę Acapulco w jasnych barwach, gwar wy-

brzeża pozostaje jednak daleko. W pobliża domków nie kręcą się natręci, okolica znajduje się daleko od irytującego huku dyskotek oraz ciekawskich spojrzeń policjantów. Udało im się wynająć dom, w którym mieszkał czasem szach Iranu. Kto wie, w jaki sposób[5].

Podczas trwającego tydzień zlotu szefowie dyskutowali o przyszłości swojej branży. Niemal wszyscy zaproszeni należeli do starego klanu handlarzy z Sinaloa, stanowili dużą rodzinę spokrewnioną przez małżeństwa lub spajaną przez więzi przyjaźni i wspólny obrót narkotykami. Na tym spotkaniu obecnych było kilka osób, które później miały okazać się kluczowymi graczami w narkobiznesie dwóch nadchodzących dekad. Był tam na przykład kryminalista z Sierra Madre, Joaquin „Chapo" Guzman, i jego stary kamrat, Israel „Mayo" Zambada. Każdemu przydzielono rewir, w którym miał monopol na przewóz towaru, mógł też nakładać opłaty na innych handlarzy chcących działać na jego terenie.

Wyglądało to na dobry pomysł, niestety ten zgrabny układ wziął w łeb. Bez przywódcy w osobie siedzącego za kratkami Félixa Galiarda bossowie spiskowali i kopali pod sobą dołki, by uzyskać większy udział W zyskach. Blancornelas pisał o tym tak:

Félix Gallardo był wyjątkową postacią meksykańskiego handlu narkotykami. To człowiek, którego słowo znaczyło bardzo dużo, potrafiący rozbawiać, zanim padły strzały, używać przekonujących argumentów, nim uciekał się do egzekucji…

Gdyby szefowie poszli za jego radami, największy kartel narkotykowy świata istniałby do dziś. Brak przywódcy i nadmiar bossów, z których każdy czul się ważniejszy od drugiego, spowodowały całkowitą dezorganizację.[6]

W wyniku tego zamieszania na pierwszy plan wyszły trzy kartele: z Tijuany, z Juárez i Kartel z Zatoki. Chociaż istniała hierarchia, handel od Ciudad Juárez, wzdłuż granicy liczącej ponad półtora tysiąca kilometrów, aż po wybrzeże Pacyfiku znajdował się w rękach ludzi z Sinaloa. Bracia Arellano Félix, stojący na czele Kartelu z Sinaloa, czy Amado Carillo Fuentes, szef z Juárez, pochodzili z rejonu Culiacán i mieli mocną pozycję w branży. W imperium Sinaloa działało wielu bossów współfinansujących prze-

rzuty, korumpujących policjantów i mylących tropy śledczym. By zrozumieć trwającą obecnie wojnę narkotykową, trzeba poznać zależności między handlarzami z Sinaloa.

Morderca imieniem Gonzalo, z którym rozmawiałem w więzieniu w Ciudad Juárez, znał całe to narkotykowe królestwo na wylot. Twierdzi, że pracował w Durango, Culiacán, Tijuanie, Juárez i innych miastach będących pod kontrolą różnych karteli. Był rekomendowany innym przez bossów, którzy po prostu dobrze się znali. Również DEA zauważyła, że gangsterzy w północno-zachodnim Meksyku ze sobą współpracują. W utajnionym dokumencie dochodzeniowym z lat dziewięćdziesiątych poczyniono następujące spostrzeżenia na temat systemu:

Koncepcja kartelu, chociaż powszechnie przyjęta, nie ujawnia całej potęgi i możliwości handlarzy narkotyków w Meksyku. Przykładem osoby, która w ostatnich czasach zdołała w swoich działaniach wykroczyć poza granice „kartelu", jest Amado Carillo Fuentes.

Joaquin Guzman-Loera i Carillo Fuentes wspólnie zorganizowali przerzuty wielotonowych ładunków kokainy z Boliwii i Kolumbii do meksykańskiego stanu Sonom, a następnie przez Arizonę w głąb Stanów Zjednoczonych. W tym samym czasie Carillo Fuentes współpracował ściśle z Zambadą Garcią przy organizowaniu szlaków przerzutowych przez Tijuanę w stanie Baja California.[7]

Chociaż gangsterzy z Sinaloa ściśle ze sobą współpracowali, nie obywało się bez kłótni. Największy konflikt wczesnych lat dziewięćdziesiątych wybuchł między braćmi Arellano Félix a Joaquinem „Chapo" Guzmanem i dotyczył handlu w Kalifornii. Konfliktowi temu daleko było do brutalności, która miała charakteryzować porachunki między handlarzami w XXI wieku. Brak było grup paramilitarnych, ale uzbrojeni gangsterzy ostrzeliwali się i mordowali, skutkiem czego były dziesiątki zabitych.

Patrząc wstecz, zauważyć można wczesne oznaki tego, jak El Narco wymyka się rządowi meksykańskiemu z rąk i jak przemoc osiąga coraz większe rozmiary. Łatwo jest jednak czynić takie spostrzeżenia teraz, kiedy zna się dokładny przebieg późniejszych

wydarzeń, w tym eskalacji przemocy. Jak mówią historycy, czytanie dziejów wspak jest groźne. W tamtym czasie nie wyglądało na to, by ktokolwiek w meksykańskim rządzie był zaniepokojony. Politycy wzdychali tylko: „Owszem, istnieje przemoc, ale to tylko *narcos* zabijają *narcos*". Istotnie, wtedy gangsterzy nie walczyli z systemem, a tylko rywalizowali ze sobą w wielkości łapówek wręczanych ludziom władzy. W konsekwencji politycy mogli się odprężyć, przyjmować pieniądze i przypatrywać się ich walce w oczekiwaniu na zwycięzcę.

Mimo to jedno z morderstw wstrząsnęło Meksykiem bardziej niż inne. W maju 1993 roku zamordowano kardynała Juana Jesúsa Pasadasa Ocampa. Oficjalna wersja jest dobrze znana: sześćdziesięciosześciecioletni duchowny jechał na lotnisko w Guadalajarze, kiedy jego samochód dostał się w sam środek strzelaniny między cynglami Arellano Félix oraz Guzmana. Kiedy kardynał Posadas pojawił się w swoim białym mercurym grand marquis, gangsterzy otworzyli ogień, przekonani, że jedzie sam Chapo Guzman. To tłumaczenie nigdy jednak nie wystarczało katolickim hierarchom, którzy pytali, jak można pomylić wiekowego wysokiego i leciwego księdza w koloratce z gangsterem mającym niespełna metr siedemdziesiąt wzrostu. Nie zabrakło teorii spiskowych, według których kardynał miał coś wiedzieć na temat handlarzy i dlatego został zabity.

Nic nie zapowiada, by sprawa Posadasa kiedykolwiek została rozwiązana. Odegrała jednak niezmiernie ważną rolę, zwracając uwagę społeczeństwa na mafię narkotykową. Większość ludzi w Meksyku właśnie wtedy usłyszała o „kartelach narkotykowych" po raz pierwszy. Był to także pierwszy raz, kiedy tak głośno mówiono o grupach kryminalnych Arellano Félix czy Chapo Guzmanie. Sam fakt, że organizacje przestępcze mogły poważyć się na zabicie wysokiego dostojnika kościelnego wykazywał, jak były potężne. Mimo to nie brakowało w Meksyku cyników wierzących, że „kartele" są wyimaginowanym kozłem ofiarnym, który bierze aa siebie winy rządu. Istotnie, żyjąc w kraju rządzonym przez wiecznie spiskującą partię, łatwo stać się wyznawcą podob-

nych teorii, które, mówiąc na marginesie, wcale nie tak znowu rzadko są dalekie od prawdy.

Hałas w mediach spowodował naciski na rząd w Mexico City, domagano się aresztowania mafiosów. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, policja w Gwatemali złapała Chapo Guzmana i szybko deportowała do Meksyku, gdzie został zamknięty w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Braciom Arellano Félix udało się wygrać z rywalem zarówno siłą ognia, jak i skutecznością łapówki.

Klan złożony z siedmiu braci i czterech sióstr, czyli rodzina przestępcza Arellano Félix, gdy wylądowała na pograniczu USA i Meksyku znalazła nowy pomysł na działalność. W Sinaloa i Guadalajarze byli jednymi z wielu pracowników, tutaj stał i się szefami. Na ich czele stało dwoje braci: Ramon Arellano Félix, psychopata o twarzy dziecka, któremu przypadła rola głównego porządkowego, i Benjamin Arellano Félix, będący drugim pod względem starszeństwa bratem, który stał się mózgiem całej operacji. Blancornelas porównywał ich do braci z filmu *Ojciec chrzestny,* Ramon, według niego, był niczym impulsywny i brutalny Sonny Corleone, w którego wcielał się aktor James Caan. Benjamin miał przypominać zimnego i wyrachowanego Michaela Corleone, granego przez Ala Pacino. Inny z braci, Francisco, miał być jak Fredo Corleone – kiepski biznesmen i kobieciarz.

Blancornelas pokazał mi stary film przedstawiający rodzinę Areliano Félix w czasie barbecue w Tijuanie wiele lat temu. Wyglądają jak wesoła, lubiąca zabawę grupka. Czarnowłosi mężczyźni uczesani są na „czeskiego piłkarza" i ubrani w barwne hawajskie koszule włożone w spodnie. Popijają piwo Tecate z puszek, a na trampolinie podskakuje całe stadko dzieciaków. Na ulicy mieli jednak zupełnie inną opinię.

Ramon Areliano Félix stworzył cieszący się fatalną sławą zastęp morderców, zatrudniając członków gangów z San Diego o meksykańskich korzeniach oraz znudzonych synów z bogatych rodzin Tijuany – grupę, która znana była jako *narco Juniors.* Była

to tragikomiczna mieszanka: biedne dzieciaki ze Stanów oraz bogata młodzież z Meksyku. Ich ofiarom nie było jednak do śmiechu. Brali na cel każdego, kto stawał na drodze ich szefom. Znani byli z tego, że nie poprzestawali na zabijaniu, ciała dodatkowo rozpuszczali w kwasie. Chodziło w tym nie tyle o zniszczenie dowodów, ile o psychologiczne dręczenie rodzin zabitych. O Ramonie mówiono, że zdarzało mu się wrzucać ciała ofiar do ognia, na którym smażyli steki, i stojąc obok, raczyć się jedzeniem, piwem i kokainą. Kto wie, czy naprawdę, tak było, ale takie okrucieństwo, nawet zmyślone, stanowiło potężną przestrogę.

Ramon wprowadził również inną krwawą taktykę: *encobijado*. To zwyczaj owijania ciała w prześcieradła i porzucania go w miejscu publicznym, często z przestrogą wypisaną na kartce. Całe miasto stawało się przez to świadkiem morderstwa. Ramon stworzył pierwszy legion pilnujący mafijnych porządków i stał się pionierem gangsterskiego terroru, co było kolejnym mrocznym etapem w rozwoju El Narco.

We współczesnym kapitalizmie potężne korporacje stają się jeszcze potężniejsze i wykorzystują swoje profity, by powiększać strefy wpływów pochłaniać mniejsze firmy. Dokładnie w taki sam sposób rozrastały się przygraniczne kartele w Meksyku w latach dziewięćdziesiątych. Ich władza i pieniądze doprowadziły do tego, że mogły zająć miejsce karteli z Kolumbii. Wypierając Kolumbijczyków, Meksykanie stawali się najpotężniejszymi gangsterami w całej Ameryce Łacińskiej.

By lepiej zrozumieć, w jaki sposób handlarze z Meksyku pokonali Kolumbijczyków, poprosiłem o rozmowę dyrektora operacji DEA w Andach, Jaya Bergmana. Przyglądał się tej przemianie, pracując nad dziesiątkami dochodzeń i aresztowań w obu Amerykach. Bergman jednak nie był typowym agentem DEA, próbującym wykręcić się pustymi frazesami albo wywrzeć na mnie wrażenie opowieściami o odważnych aresztowaniach. Okazał się intelektualistą, próbującym patrzeć na przemyt narkotyków przez pryzmat teorii ekonomicznych. Kiedy usiadłem do roz-

mowy z nim, rozpoczął perorę o zmianie narkotykowego przywództwa z zapałem godnym pisarza, w którym dojrzewa książka. Wyjaśniał:

„Ciekawostką jest, że obyło się bez przemocy i wrogich działań. Co krok kolumbijskie kartele podejmowały świadomą decyzję o przekazaniu części władzy w ręce Meksykanów. Doszło w końcu do tego, że to ci ni zaczęli dyktować warunki".

Po tym, jak Reagan dokonał czystki na Florydzie, Kolumbijczycy pozwolili meksykańskim gangsterom w coraz większym stopniu partycypować w zyskach z handlu kokainę. Kartele wyniosły się ze „spalonej" Florydy i zaczęły organizować przerzuty wzdłuż całej granicy ze Stanami. Do 1990 roku, wyjaśniał Bergman, amerykańskim agentom udało się zamknąć stupięćdziesięciokilometrowy kanał przerzutowy na Florydzie, używając okrętów i lotnictwa. Kolumbijczycy zmuszeni byli przekazywać cały towar Meksykanom pełniącym funkcję kurierów. To przez ich ręce przechodziło 90 procent kokainy trafiającej na rynki w Stanach Zjednoczonych. Biały proszek docierał teraz od strony Wschodniego Wybrzeża, znad Pacyfiku. Ten rozległy obszar nie miał „wąskich gardeł", a obecność marynarki wojennej by i a tam proporcjona1nie mniejsza. Co typowe dla walki z narkotykami, rozwiązanie jednego problemu doprowadziło do powstania kolejnego, znacznie poważniejszego.

Amerykańscy agenci postanowili zatrzymać napływ kokainy, zwracając większą uwagę na Pabla Escobara. Koniec zimnej wojny był ich sprzymierzeńcem. Kiedyż listy wrogów zniknęli komuniści oraz amerykańscy: szpiedzy, żołnierze chętnie działali przy zwalczaniu handlarzy (do czasu, aż ich celem stali się islamscy fundamentaliści). Zamiast kopać pod sobą dołki, Pentagon, CIA i DBA współdziałali, przekazując dane pochodzące od informatorów na ulicach, a także z satelitów szpiegowskich policji w Kolumbii**[8]**.

Escobar stawał się bardziej zauważalny przez to, że stosował taktykę godną terrorystów. Zdarzyło mu się nawet wysadzić w powietrze samolot pasażerski ze 110 osobami na pokładzie, by w ten sposób odwieść rząd Kolumbii od planów przekazania go Stanom. Brutalna walka z konkurencją sprawiła, że jego przeciwnicy stworzyli oddział zbrojny, ma-

jący zdobyć jego głowę. Między Kolumbijską policją, wojskiem, przestępcami oraz amerykańskimi szpiegami, agentami i armią zawiązał się osobliwy sojusz, którego celem było dopadnięcie Escobara. Ostatecznie wpadł w ręce policji w rezydencji w Medellin, gdzie funkcjonariusze zastrzelili go i zrobili sobie zdjęcie z jego zwłokami, śmiejąc się do obiektywu. Walczący z narkotykami nauczyli się nowej metody: czasem lepiej zapomnieć o aresztowaniu i po prostu zabić.

Będąc pod coraz większą presją, Kolumbijczycy zaczęli płacić swoim meksykańskim kurierom zamiast gotówką, białym proszkiem. Kolumbijskim handlarzom było to bardzo na rękę: kilo kokainy w hurcie w Stanach kosztowało 25 tysięcy dolarów, w Kolumbii, prosto z laboratorium – 2 tysiące. Dla meksykańskich baronów towar również był korzystniejszy, bo mogli nim handlować bezpośrednio na ulicach, zarabiając jeszcze więcej, a także, niejako przy okazji, zbudować własną sieć dystrybucji.

DEA zadała Kolumbijczykom kolejny cios, aresztując ich sprzedawców w Nowym Jorku i Miami, wykorzystała też procesy sądowe, by oskarżyć handlarzy o plany zamachu stanu. Obawiając się amerykańskich więzień, Kolumbijczycy pogłębili układ z Meksykanami, przekazując im handel na terenie USA i się wycofując. Bergman tak wyjaśnia ich rozumowanie:

„Zachodzili w głowę, jak zmniejszyć szanse na potencjalną ekstradycję. A może przekazać to wszystko Meksykanom? Oddając im towar, nadal będziemy nieźle zarabiali, dużo mniej się przy tym narażając. W Stanach robi się to coraz bardziej niebezpieczne, wobec czego lepiej się wycofać. Zostaje przecież rynek europejski, gdzie zarabiamy góry pieniędzy. W Meksyku również świetnie płacą, niech Meksykanie biorą na siebie DEA, FBI i urzędy celne".

Jednak, jak tłumaczy Bergman, prawo w Stanach Zjednoczonych uległo dalszym modyfikacjom, umożliwiając oskarżycielom występowanie o ekstradycję Kolumbijczyków nawet, gdy nie byli oni bezpośrednio związani ze sprzedawcami działającymi na terenie USA. Handlarze sprzedający narkotyki za granicą mogli być aresztowani, jeśli tylko dowiedziono, że ich towar rozprowadzano na ziemi Wuja Sama. W tym samym czasie policja w Kolumbii zaczęła dobierać się do narkotykowych baronów na wła-

sną rękę.

„Cały plan wziął w łeb. Kolumbijczycy nie tylko zarabiali mniej, na dodatek ich miejsce zajęli Meksykanie. Nakazy ekstradycji wydawano na prawo i lewo, a postępowania sądowe, jakie przeciwko nim prowadzono, były coraz lepiej dopracowane. W Kolumbii nigdy tak naprawdę nie zrozumieli, co jest grane. Grali w warcaby i nie mieli pojęcia, na czym polega gra w szachy. Nie potrafili myśleć dwa ruchy naprzód".

W Meksyku kartele bogaciły się dużo szybciej niż dotychczas. Pojawiały się doniesienia o *fiestach* od Tijuany po Zatokę Meksykańską, na które goście przybywali prywatnymi odrzutowcami, w klatkach pokazywano tygrysy, a królowe piękności serwowały kokainę. Całe pogranicze, doskonale się bawiło. Coraz większe były też płacone przez gangsterów łapówki.

W ciągu 70 lat rządów PRI najgłośniej o korupcji na szczytach władzy mówiono za kadencji prezydenta Salinasa. Jeden z meksykańskich dziennikarzy zawarł wszystkie oskarżenia w książce *Salinas: narkopresidente.* Niczego definitywnie nie dowiedziono, ale dochodzenia te pokazują, że naprawdę podejrzewano rząd o udział w zorganizowanej przestępczości pod koniec XX wieku.

Teorie dotyczące Salinasa odnoszą się w głównej mierze brata prezydenta, Raula Salinasa. Podczas rządów swojego brata w latach 1988–1994 Raul piastował rządową posadę i zarabiał 192 tysiące dolarów rocznie. Niezły kąsek w kraju, gdzie minimalna dzienna stawka wynosi 4 dolary. Raul wykazał się też talentem do oszczędzania. W 1995 roku odkryto, że zgromadził 85 milionów dolarów na koncie w szwajcarskim banku. Jego żonę aresztowano przy próbie wypłacenia tych pieniędzy. Ale był to wierzchołek góry lodowej: śledztwo wykazało, że posiadał w sumie 289 kont bankowych, między innymi w oddziałach Citibanku. Według szacunków szwajcarskiej policji, miał tam w sumie około 500 milionów dolarów**[9]**.

Polityk w Meksyku może napchać sobie kieszenie na wiele sposobów, niekoniecznie musi to być handel narkotykami. Jednak

gdy szwajcarska policja przesłuchała 90 współpracowników Raula Salinasa, w tym skaza**nych** za handel narkotykami, zawyrokowała, że głównym źródłem pieniędzy był El Narco. Ich raport podawał:

Kiedy Carlos Salinas de Gortari został prezydentem Meksyku w roku 1988, Raul Salinas de Gortari objął kontrolę praktycznie nad całym transportem narkotyków przez teren Meksyku. Za sprawą jego wpływów oraz łapówek płaconych przez handlarzy dygnitarze wojskowi oraz policyjni ^spierali i chronili rozwijający się przemysł narkotykowy.

Zarówno Raul, jak i jego brat niezmiennie temu zaprzeczali, twierdząc, że to potwarz i nieprawdziwe informacje. Jednak kiedy prezydentura Salinasa w 1994 roku dobiegła końca, Raul został aresztowany w swojej ojczyźnie za zlecenie morderstwa i spędził 10 lat w więzieniu. Zarzuty opranie pieniędzy są jednak nadal podtrzymywane przez szwajcarską policję.

Carlos Salinas po zakończeniu kadencji opuścił kraj i przeniósł się do Irlandii – najwyraźniej jest amatorem deszczowej pogody i ciemnego mocnego piwa. Naród okrzyknął go później wielkim manipulatorem na wzór imperatora Palpatinea z *Gwiezdnych wojen* i obwinia go o wszystko, co złe, od partyzantów kryjących się w lasach po złą pogodę.

Kiedy Salinas odszedł, razem z nim zniknął cud gospodarczy. W 1995 roku, kiedy krajem rządził jego następca, Ernesto Zedillo, z gospodarki wyciekały pieniądze, a peso straciło gwałtownie na wartości, co stało się przyczyną dwucyfrowej inflacji. Nagie liczba miliarderów spadła o połowę, z 24 do 12. Wielu ludzi z klasy średniej straciło oszczędności całego życia, a liczne bankructwa wielkich firm sprawiły że bez pracy zostały miliony ludzi. Blisko współpracujący z Salinasem Bill Clinton pośpieszył z pakietem pomocowym wartym 50 milionów dolarów, mającym ratować Meksyk przed upadkiem.

Kryzys spowodował wzrost przestępczości. Mimo nieustannej hossy w branży narkotykowej, Meksyk nie był dotąd niebezpiecz-

nym krajem. Nawet w latach osiemdziesiątych napaści i kradzieże należały do rzadkości, a mieszkańcy wielkich miast chodzili na spacery o dowolnej porze dnia i nocy. Jednak ten błogi czas miał się skończyć. Nagle dosłownie każdy w stolicy miał w rodzinie kogoś, koniu przystawiono broń do głowy i kazano opróżnić kieszenie. Policja nie radziła sobie z falą przemocy, dając przestępcom poczucie bezkarności, skąd prosta droga do obecnej eskalacji zbrodni destabilizującej władzę w Meksyku.

Tylko jedna gałąź meksykańskiej gospodarki nie była dotknięta słabością peso. Handel narkotykami nadal przynosił miliardowe zyski i, jako że dochody liczono w dolarach, dewaluacja peso sprawiła, iż El Narco złapał wiatr w żagle. Przy rzeszach bezrobotnych kartele z jeszcze większą łatwością i za mniejsze pieniądze mogły rekrutować ludzi do pracy. El Narco jeszcze mocniej zakorzenił się w slumsach tego kraju.

W tamtych czasach miała miejsce kluczowa zmiana: sami Meksykanie zaczęli masowo brać twarde narkotyki– Dotychczas kokaina i heroina uchodziły za słabość *gringos.* „Robią ją Kolumbijczycy, handlują nią Mela sykanie, wciągają Amerykanie", mówiono o kokainie. Lecz pod koniec lat dziewięćdziesiątych Meksyk musiał przyznać się, że ma własną armię uzależnionych zarówno od kokainy, jak i od heroiny.

Rozprzestrzenianie się narkotyków szło w parze z rozwojem handlu. By osiągać jak największe zyski, meksykańscy szefowie płacili swoim ludziom nie tylko gotówką, lecz również paczkami kokainy lub workami heroiny. Wielu podwładnych wielkich bossów zajmowało się handlem na własną rękę, by szybko zarobić gotówkę.

W Tijuanie spożycie narkotyków było największe w całym kraju. Współpracujący z Areliano Félix handlowali w setkach *tienditas,* czyli w narkosklepikach znajdujących się przeważnie w centrum miasta i w slumsach na wschodzie. Hufce mafijnych cyngli chroniły tę sprzedaż, stosując coraz większą przemoc. Teraz nie chodziło już o przerzucanie wielkich ilości towaru przez granicę, celem stali się także miejscowi narkomani.

Liczba zabitych na ulicach Tijuany wzrosła do 300 osób rocznie. Statystyki w Ciudad Juárez pod koniec lat dziewięćdziesiątych były identyczne. Taka liczba zabójstw stawiała te miasta na równi z toczonymi zarazą gangów metropoliami Stanów, takimi jak Los Angeles, Waszyngton czy Nowy Orlean. Amerykańskie media zaczęły zwracać uwagę na przemoc w Meksyku i po raz pierwszy mówić o „kolumbizacji" ich południowego sąsiada oraz o groźbie wybuchu wojny narkotykowej tuż przy granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Większość odrzucała takie wypowiedzi jako brednie przewrażliwionych wariatów. Okazało się, że racja była po strojnie tych ostatnich.

Amerykańskie media zwróciły też uwagę na braci Arellano Félix, ich kokainowe balangi, upodobanie do dyskotek i skłonność do rozpuszczania ciał wrogów w kwasie. Magazyn „Time" zamieścił o nich artykuł**[10]**, a w filmie *Trafic* postacie wzorowane na braciach dobijały targu z Catherine Zeta-Jones. Blaskowi medialnych reflektorów towarzyszyły oskarżenia i ustanowienie nagrody za ich głowy w USA. Ponadto zawsze, kiedy mówiono o braciach Arellano Félix, pojawiało się też nazwisko Blancornelasa. Był naprawdę wkurzający.

Blancornelas uważał, że to nie jego artykuły, a list, który opublikował w swojej gazecie, ostatecznie rozwścieczyły Ramona Arellano Félixa. Pewnego dnia w redakcji gazety pojawiła się zrozpaczona kobieta, chcąca zamieścić ogłoszenie. Kiedy powiedziano jej, ile to kosztuje, odpada z rezygnacją, że jej na to nie stać. Zaciekawiony dziennikarz poprosił, by pokazała mu to, co chciała opublikować. Kiedy przeczytał tekst, natychmiast zawołał Blancornelasa. Ten, po zapoznaniu się z treścią ogłoszenia, poruszony, zgodził się opublikować je za darmo.

Kobieta napisała list adresowany bezpośrednio do Ramona Arellano Félixa, który zlecił zamordowanie dwóch jej synów. Młodzi ludzie uwikłali się w uliczną sprzeczkę z jednym z ludzi Ramona. Z miłości do swoich synów, kobieta pisała bez strachu:

Moje kochane dzieci stały się ofiarą waszej zawiści i tchórzostwa,

Arellano... Nie zasługujecie jednak na śmierć. Śmierć nie powinna być ceną za ładzicie życie i karą dla was. Mam nadzieję, że będziecie żyli jeszcze długo i poznacie ból, jaki czuje się, tracąc dzieci[11].

Tuż po opublikowaniu listu kobieta zniknęła z Tijuany. Blancornelas sądził, że uciekła przez wyrokiem, który wydala na nią mafia. Z tej właśnie przyczyny sfrustrowany Ramon Areüano Félix miał zwrócić swój gniew przeciwko dziennikarzowi.

Dziesięciu cyngli napadło Blancornelasa, gdy ten jechał samochodem w towarzystwie swojego ochroniarza Luisa Valera. Ostrzelali samochód gradem pocisków, zabijając ochroniarza. Blancornelas przeżył, choć w jego ciele utkwiły cztery kule. Główny zabójca wolnym krokiem zbliżał się do samochodu dziennikarza, by oddać ostateczny strzał, jednak kiedy podchodził, jego pistolet wypalił, pocisk rykoszetował i, odbijając się od betonu, trafił go w oko i zabił na miejscu. Widząc to, reszta zbirów uciekła, zostawiając swojego herszta w kałuży krwi. Blancornelasa uratował prawdziwy cud.

Ramon chciał mojej śmierci. Bóg chciał żebym żył, ale ci niegodziwcy zabili mojego towarzysza i obrońcę, Luisa Valera[12].

Nieżyjącym hersztem bandy zabójców okazał się obywatel Stanów Zjednoczonych, w którego żyłach płynęła meksykańska krew, gangster z San Diego, David Barron, który już wcześniej pracował dla braci Arellano Félix. Na korpusie i ramionach zabójca miał wytatuowanych czternaście czaszek, każda rzekomo odpowiadała zabitej ofierze. Dziennikarze „Zety” zidentyfikowali jeszcze sześciu z bandy morderców jako współpracowników Barrona pochodzących z jednego *barrio* w San Diego, Logan Heights. Jednak, mimo iż zespół „Zety” przekazał policji góry dowodów, nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności, a bandyci widywani byli na wolności w San Diego. Wielu z nich nadal się nią cieszy.

Wreszcie jednak działalność całej trójki nadgranicznych baronów lat dziewięćdziesiątych dobiegła kresu. Juan Garcia Abrego, głowa Kartelu z Zatoki, został aresztowany w 1996 roku. Zasko-

czony w restauracji w Monterey, poddał się bez walki. Jako gangster starej daty uznawał ostateczny autorytet policji. Rok później Amado Carillo Fuentes zmarł wskutek powikłań po operacji plastycznej w szpitalu w Meksyku. Czy naprawdę? Gangster o niewiarygodnych wprost możliwościach zmarł tak banalną śmiercią? To tylko sztuczka, szepczą ludzie na ulicach Ciudad Juárez, bo Amado tak naprawdę wypoczywa gdzieś na Karaibach, sącząc Margerite. A może prowadzi stację benzynową gdzieś w Teksasie do spółki z Elvisem Presleyem?

Bracia Arellano Félix wytrwali najdłużej. Ramon, psychopata o twarzy niemowlaka, pionier narkoterroru w Meksyku, dożył XXI stulecia. W 2002 roku zginął zastrzelony przez policjanta w czasie kontroli samochodu w nadmorskim kurorcie Mazatlan. Stosunkowo mało spektakularna śmierć, jak na tak legendarnego przestępcę. Nie zadziałał też jego układ chroniący go przed policją. Blancornelas napisał artykuł o człowieku, który chciał go zabić. Czytamy w nim:

Jeśli jego liczne ofiary mogłyby przemówić zza grobu, być może powiedziałyby: „Ramonie, byłem taki jak ty teraz, ty będziesz taki jak ja w tej chwili[13].

Miesiąc później oddziały specjalne zatrzymały Benjamina Arellano Félixa w domu, gdzie mieszkała jego żona i dzieci. Najważniejsi doradcy bossa najwyraźniej nie zwietrzyli pułapki. Aktualnie mafioso przebywa w najlepiej strzeżonym więzieniu w Meksyku, a Stany walczą o jego ekstradycję. Bez dwóch głównych przywódców organizacja rodziny Arellano Félix próbowała przetrwać pod rządami innych braci i sióstr, ale nie odzyskała dawnej świetności.

Blancornelasowi nie było pisane długo cieszyć się z klęski nieprzyjaciół. W 2004 roku od kul płatnych morderców zginął Francisco Ortiz, trzeci z grupy założycieli magazynu „Zeta". Ortiz wychodził właśnie z kliniki w centrum miasta z dwójką dzieci, córką i synem, kiedy w jego głowę i szyję oddano cztery strzały. Dzieci, według słów świadku, krzyczały: *Papi, papi!*, kiedy umierał obok

nich. Tym razem dziennikarze „Zety” nie potrafili ustalić, kto stoi za zabójstwem.

Blancornelas był zrozpaczony. Jego praca pomogła w zlikwidowaniu grupy kryminalistów, kartele stawały się jednak coraz brutalniejsze i coraz potężniejsze. Był jednym z nielicznych, którzy przeczuwali, co się święci. W wywiadzie niedługo przed śmiercią powiedział:

„El Narco ograniczał się do kilku stanów, ale obecnie rozprzestrzenił się na cały Meksyk. Niedługo El Narco zapuka do drzwi pałacu prezydenckiego, zapuka też do drzwi ministra sprawiedliwości. Będzie to bardzo niebezpieczne”.[14]

ROZDZIAŁ 6
Demokracja

Kiedy pies jest uwiązany,
to chociaż ujada,
nie odwiązuj go z postronka,
babcia zwykła mawiać.

Jednak lis talerze potłukł,
a pies przegryzł więzy,
i gdy już swobodnie biegał,
szalał niczym rzeźnik.

La Granja (Gospodarstwo), Tigres del Norte, 2009

Pod koniec XX wieku świat poznał kilku nieustraszonych i inspirujących bojowników o demokrację. W Polsce pojawił się Lech Wałęsa, zaprawiony w bojach przewodniczący związku zawodowego, który przetrwał lata represji i poprowadził ludzi do obalenia autorytarnego systemu komunistycznego. W Republice Południowej Afryki był Nelson Mandela – przeżył 27 łat odosobnienia na więziennej wyspie po to, by później uwolnić i świat od rasistowskiego schorzenia, jakim był apartheid, w dodatku osiągając to bez rozlewu krwi. Mniej więcej wtedy w Meksyku pojawił się señor Vincente Fox.

Człowiek, który poprowadził Meksyk od autorytarnych rządów PRI do wielopartyjnego systemu demokratycznego, pojawił się zupełnie nieoczekiwanie. Nie pochodził ani z socjalistycznej lewicy, ani z katolickiej prawicy, czyli dwóch sił, które przeciwstawiały się wszechwładzy PRI. Fox był zamożnym właścicielem rancza, potem dyrektorem meksykańskiego oddziału Coca-Coli i do polityki trafił zupełnie przez przypadek. Mając 46 lat, został gubernatorem swego rodzinnego stanu Guanajuato. Mimo iż wstąpił w szeregi konserwatywnej Partii Akcji Narodowej (PAN), nigdy nie był do końca ich człowiekiem. Daleki od głoszenia par-

tyjnej ideologii, opowiadał się raczej za wyznawanymi przez naród wartościami prostolinijności i solidnej pracy. Znany był ze szczerych, godnych ranczera wypowiedzi, które łatwo mogły zmienić się w gafy. Zdarzyło mu się rzec, że „Meksykanie robią w USA rzeczy, do których nie zabraliby się nawet czarni”**[1]** czy nazwać kobiety „urządzeniami pralniczymi, które noszą kapcie”.

Jednak Fox ze swoimi talentami politycznymi pojawił się w bardzo odpowiednim momencie. Meksykanie mieli serdecznie dość cwanych polityków, którzy okradali ich ojczyznę. Fox wydawał się człowiekiem z zewnątrz, wypowiadającym się konkretnie swojakiem gotowym naprawić machinę, jaką jest państwo, dokładnie tak, jak reperuje się traktor. Odstawał od wygłaszających nudne tyrady mężów stanu z PRI, mówił prostym językiem zrozumiałym dla prostych ludzi. Kiedy domagał się demokracji, wydawało się, że mówi od serca. Zanim został prezydentem, zarówno, kiedy działał w partii, jak i wtedy, gdy ubiegał się o najwyższy urząd w państwie, nieodmiennie trafiał w samo sedno. Zawsze mówił, co trzeba i kiedy trzeba. Lecz nagłe stracił rezon. Wyglądał jak ktoś zapędzony w kozi róg, przytłoczony sytuacją i zdezorientowany.

Zawsze mając czas dla mediów, Fox sprawiał wrażenie człowieka ciepłego i bliskiego, był niczym stary kumpel ze studiów albo sąsiad, z którym ucinało się od czasu do czasu pogawędkę. Był wysoki, szczupły, jiosp wąsy, co nadawało mu lekko komiczny wygląd. Przypominał mi nieco angielskiego komika Johna Cleese'a, chociaż Fox wolał nosić kowbojki i nigdy nie widziałem go w meloniku. Był też charyzmatycznym mówcą o głębokim i mocnym głosie.

„Byłem niesamowicie szczęśliwy, stojąc na czele ruchu, który oswobodził Meksyk spod autorytarnego jarzma”, powiedział mi Fox, podsumowując swoją prezydenturę w wywiadzie udzielonym w jego rodzinnej wiosce**[2]**.

To, że PRI pozwoliła na zwycięstwo Foxa, było niebywałe. Obeszło się bez ogłaszania na przykład awarii komputerów w trakcie liczenia głosów. Ostatni prezydent z ramienia tej partii, Ernesto

Zedillo, był interesującą postacią. Pochodził z ubogiej rodziny, lecz ukończył Yale i został prezydentem po tym, jak poprzedni kandydat PRI został zamordowany. Zedillo nie uległ presji wewnątrz partii i doprowadził do demokratycznych przemian. Jeśli porównać Meksyk do Związku Radzieckiego, Zedillo byłby genialnym reformatorem Michaiłem Gorbaczowem, a Fox nieco mniej wybitnym Borysem Jelcynem, który przejął stery w kraju.

Zedillo nie bat się podejmować śmiałych działań skierowanych przeciwko skorumpowanemu środowisku władzy. Nadzorował aresztowania Raula Salinasa pod zarzutem morderstwa, gubernatora stanu Quintana Roo pod zarzutem handlu narkotykami, a nawet zatrzymanie kierującego kampanią antynarkotykową za jego rządów generała Jesúsa Gutierreza Reholla, za współpracę z gangsterami. Przed zakończeniem kadencji przekonał także PRI, by oddala część władzy. Meksykański państwowy instytut wyborczy (IFE) usamodzielnił się w 1996 roku, a PRI straciła przewagę w Kongresie w 1997 roku. Nawet gdyby partia PRI miała taką ochotę, byłoby jej trudniej zmanipulować wybory.

Wszystkie te przemiany wstrząsnęły światkiem przestępczym i zagroziły chroniącym go układom z politykami i policją. Gangsterzy czekali niecierpliwie, by zobaczyć, jak zachowa się nowy demokratyczny prezydent. Kiedy urząd objął Fox i po 71 latach nastąpił kres rządów PRI, w Meksyku doszło do prawdziwego politycznego trzęsienia ziemi.

Od początku sprawowania urzędu Fox wykazywał się jednak brakiem zdecydowania na wielu połach, w tym w kwestii handlu narkotykami Od czasu do czasu przedstawiał jakieś plany, lecz kiedy napotykał opór zmieniał je lub dawał za wygraną. Poprzysiągł postawić w stan oskarżenia dygnitarzy poprzedniego systemu, którzy w ramach brudnej politycznej walki spowodowali „zniknięcie" 500 lewicowych polityków, Kiedy jednak PRI nie wykazywała chęci nawiązania współpracy, Rezydent zawiesił działania oskarżycieli i jedyne, co zrobił, to opublikował na ten temat sprawozdanie. Obiecał szybką reformę gospodarki i systemu sądownictwa, kiedy jednak opozycja przywitała go w parlamen-

cie okrzykami dezaprobaty, zaniechał niemal zupełnie działań w Kongresie. Walczył o prawa Meksykanów pracujących w Stanach, był też pierwszym prezydentem tego kraju przemawiającym przed sesją łączoną Kongresu USA, domagając się nowego programu dla pracowników z zagranicy. Jednak po atakach 11 września 2001 roku Amerykanie odłożyli te sprawy *ad acta.*

Można było odnieść wrażenie, że Fox przestał zajmować się sprawami swojego kraju i tylko składał wizyty w różnych państwach i zabawiał zagranicznych dygnitarzy. Organizacja Narodów Zjednoczonych, Organizacja Państw Amerykańskich, Światowa Organizacja Handlu i dziesiątki innych ciał spotykało się, a krytycy prezydenta mówili o „Foksilandzie", czyli prowadzonym przez Foxa parku rozrywki dla gości. Sam Fox nie posiadał się ze szczęścia, kiedy był gospodarzem tych spotkań, i wychwalał pod niebiosa walory multilateralizmu i rozszerzania świata demokracji.

W swojej kampanii niewiele mówił o narkotykach, jego głównym celem było pozbawienie władzy PRL Kiedy jednak objął urząd, bojownicy antynarkotykowi w USA byli pełni nadziei, że demokratyczny prezydent rozpocznie nową epokę bliskiej współpracy z nimi. Czasy skorumpowanych policjantów planujących zamachy na agentów DEA mogły odejść w przeszłość. Zreformowany Meksyk miał wspierać aresztowania i przechwycenia towaru, jak działo się to w Kolumbii. Fox skwapliwie przyjął to wyzwanie, w pierwszym wywiadzie po zwycięstwie składając pamiętną obietnicę. Telewizji ABC powiedział:

„Zamierzamy wytoczyć wojnę wojen zorganizowanej przestępczości w Meksyku. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości"**[3]**.

Fox obiecywał wyłączyć wojsko z walki z narkobiznesem. Jednak już po wstępnym spotkaniu z Amerykanami, uważającymi wojsko za najskuteczniejszą siłę w walce na tym polu, Fox zmienił zdanie i obwieścił, że armia będzie jednak toczyć wojnę z handlarzami. USA nie posiadało się z radości: Fox był człowiekiem, z którym dało się współpracować.

Pierwsza oznaka tego, że polityka antynarkotykowa Foxa daleka była od oczekiwań Stanów Zjednoczonych, pojawiła się już po dwóch miesiącach jego rządów. Dwudziestego pierwszego stycznia 2001 roku supermafioso Chapo Guzman uciekł z dobrze strzeżonego więzienia w Guadalajarze. Ojciec chrzestny z Sinaloa wrócił do gry.

Według informacji zebranych przez dziennikarza Jose Revelesa, Guzman zadbał o swoją pozycję w więzieniu, przez wiele lat korumpując urzędników[4]. W zamian uzyskał prawo przyprowadzania do swojej celi licznych kobiet – wybierał dziewczyny z ekipy sprzątającej oraz romansował z więźniarką Zulemą Hernandez, wysoką blondynką koło trzydziestki, aresztowaną za napad z bronią w ręku. Chapo przemycał do więzienia viagrę. Co ważniejsze jednak, wykorzystał swoje kontakty, by w końcu wyrwać się na wolność. Zulema przekazała później dziennikarzowi Juliowi Schererowi list miłosny od Chapo, w którym gangster wyznaje, że jego ucieczka ma nastąpić niebawem. Jak pisze Chapo lub jak twierdzą niektórzy, ktoś pomagał mu składać te słowa:

Chcę Cię ucałować słodko i poczuć Cię w ramionach, by zachować wspomnienie Ciebie, by móc znieść rozłąkę z Tobą. Modlę się, by Bóg pozwolił nam spotkać się w miejscu innym niż to[5].

W opuszczeniu więzienia pomogło Chapo dwóch strażników. By zapewnić sobie ich współpracę, gangster opłacił operację syna jednego z nich a drugiego umówił z piękną dziewczyną z Sinaloa. Ten ostatni był tak zadowolony, że osobiście wywiózł Chapo w ciężarówce do przewozu prania.

Kiedy wieść o ucieczce Chapo ukazała się w prasie, zawstydzony tym Fox nakazał publikację listów gończych w gazetach i rozwieszenie plakatów, na których znajdował się numer specjalnej linii telefonicznej, co miało pomóc w złapaniu bossa. W ciągu godziny zatelefonowało ponad 100 osób. Wszyscy podawali jednak fałszywe łub bezużyteczne informacje, a w wielu przypadkach po drugiej stronie linii słychać było śmiech. Proszący naiwnie o pomoc prezydent wydawał się śmieszny zarówno dzieciom, jak i dorosłym. Meksykanie nie do końca zrozumieli ideę obywa-

telskiego wspierania działań policji[6].

Co więc ucieczka Guzmana może powiedzieć nam o rządach Foxa? Zwolennicy teorii spiskowych twierdzą, że Fox i jego ludzie zawarli z Guzmanem i innymi gangsterami z Sinaloa przymierze. Do ucieczki hossa nie doszłoby bez rozkazu z góry. Tajnym celem Foxa miało stać się uczynienie odświeżonego Kartelu z Sinaloa najpotężniejszą organizacją mafijną. Guzman miał być ogólnokrajowym ojcem chrzestnym, wzorem Miguela Angela Félixa Gallarda w latach osiemdziesiątych. Po ucieczce Chapo Fox zaszkodził jego rywalom, jak na przykład braciom Arellano Félix, co pozwoliło Guzmanowi rozszerzyć działalność na cały kraj. Polityka wspierania Guzmana miała trwać nawet za czasów następnego prezydenta, Felipe Calderona.

Istnienie rzekomego spisku w najróżniejszych postaciach prześladowało obu demokratycznie wybranych prezydentów. Sami kryminaliści wypisywali to na ulotkach, wykrzykiwali o tym politycy, dziennikarze zapełniali tym tematem szpalty[7]. Czy jest to jednak oskarżenie chociaż częściowo prawdziwe?

Brak bezpośrednich dowodów łączących Foxa czy Calderona z Chapo Guzmanem. Łatwiej niż teorie spiskowe uzasadnić pogląd o partactwie obu prezydentów. Fox mógł nie mieć nic wspólnego z ucieczką Guzmana z więzienia czy późniejszym wzrostem jego potęgi. Guzman i jego współpracownicy mogli być po prostu gangsterami o ogromnej skuteczności w korumpowaniu ludzi na wszystkich szczeblach władzy. Ani Fox, ani Calderón nie byli w stanie w stu procentach kontrolować swojego państwa. Wraz z klęską PRI zręby porządku zostały zburzone, co miało być początkiem destabilizacji państwa.

Patrząc z perspektywy czasu, ucieczka Chapo Guzmana wydaje się wydarzeniem kluczowym, jednak w 2001 roku niewielu postrzegało ją w ten sposób. Był to po prostu jeden z wielu gangsterów oraz kolejny przykład słabości latynoskich więzień. Amerykańskie sądy oskarżały Guzmana o liczne przewiny: 1993 rok, Arizona – wymuszenia, 1995 rok, San Diego – organizacja prze-

mytu kokainy. Wciąż jednak nie została ustanowiona opiewająca na wiele milionów dolarów kara za jego głowę. Większość obserwatorów skupiła się wówczas na zupełnie innych problemach: pochodzie armii zapatystów na stolicę oraz tropieniu przewin minionego systemu. Fox powiedział mi w wywiadzie, gdy zapytałem go o ucieczkę Chapo:

„To ważna sprawa, ale nie najważniejsza w czasie moich rządów, jedna jaskółka nie czyni wiosny... Dziś moi oponenci i polityczni przeciwnicy twierdzą, że jest to sprawa niewyjaśniona".

Przez następne 3 lata Amerykanie byli zadowoleni z meksykańskiej polityki antynarkotykowej. W 2002 roku miejska policja zastrzeliła w Tijuanie psychopatycznego Ramona Arellano Félixa, a rok później żołnierze zatrzymali jego łebskiego brata Benjamina. Następnie, w 2003 roku, meksykańskie siły bezpieczeństwa schwytały w stanie Michoachan szefa Armanda Valencię i kolejnego *capo*, Osiela Cárdenasa, w Tamaulipas. Dla amerykańskich agentów antynarkotykowych z radością patrzących na zatrzymania i konfiskaty, sprawy szły doskonale. Na początku 2004 roku rozmawiałem z trzema agentami DEA w amerykańskiej ambasadzie. Byli zachwyceni rządami Foxa. Jeden z nich powiedział:

„Porównując to z dawnymi czasami Kiki Camareny, sytuacja jest zupełnie inna. Meksyk zmienił się nie do poznania, jeśli chodzi o walkę z narkotykami. Przed tym krajem jest wielka przyszłość".

W tedy właśnie rozpoczynała się wojna.

Jej początki w średniej wielkości miasteczku nadgranicznym Nuevo Laredo jesienią 2004 roku były niepozorne. Większość mediów omijała temat, mówiąc, że meksykańska wojna narkotykowa rozpoczęła się, kiedy w grudniu 2006 roku urząd objął Felipe Calderon. Tak jest po prostu łatwiej. Takie uproszczenia pomagają z grubsza opisać problem, mogą też jednak prowadzić do niebezpiecznych nieporozumień, na przykład takich, że wojna ta jest przypisana do kadencji Calderona i wraz z końcem rządów prezydenta w magiczny sposób się skończy. W rzeczywistości

konflikt zaczął się na długo przed Calderonem i najpewniej potrwa długo po tym, gdy on odejdzie.

Tylko nieliczni dostrzegali znaczenie potyczek o teren w Nuevo Laredo. Pojawiło się jednak kilka nowości: wykorzystywano oddziały podobne do wojska, bez zahamowań atakowano policję, dokonywano masowych porwań. Te działania miały przybrać w Meksyku ogromne rozmiary, definiując sposób prowadzenia wojny narkotykowej. W centrum wiru wydarzeń w Nuevo Laredo znajdował się najbardziej krwawy z gangów: Zetas. Składał się z byłych żołnierzy służb specjalnych, którzy do konfliktu wnieśli element militarny. To oni przeobrazili „wojnę z narkotykami" w „wojnę narkotykową". Nagle świat ujrzał złapanych kryminalistów wyglądających jak żołnierze frontowi, pokazywano ich ciężką broń. Skąd nagle wzięły się te oddziały? By zrozumieć pojawienie się gangu Zetas, należy przyjrzeć się radykalnym przemianom, jakie przeszedł handel narkotykami w rejonie Nuevo Laredo.

Północno-wschodnie rubieże Meksyku były kanałem przerzutowym kontrabandy już od czasów prohibicji, kiedy to obrotny przestępca, Juan Nepomucen o, szmuglował gorzałkę**[8]**. Z czasem, gdy organizacja kierowana przez Nepomucena przerodziła się w Kartel z Zatoki, obszar znany jako „małe pogranicze" zyskał znaczenie strategiczne, w czym udział miała również bliskość szybko rozrastających się amerykańskich miast Pallas i Houston. W tej okolicy po stronie Meksyku nie było wielkich metropolii, takich jak w górnym biegu Rio Grande Juárez i Tijuana. Przemycano tutaj jednak więcej towaru. W 2004 roku z samego tylko liczącego 307 tysięcy mieszkańców Nuevo Laredo eksportowano na północ nielegalny towar o wartości 90 miliardów dolarów. Było to dwa razy więcej, niż udawało się przemycić w Ciudad Juárez (43 miliardy) i ponad cztery razy tyle co w Tijuanie (22 miliardy dolarów).

Ta ogromna ilość towaru oznaczała 10 tysięcy ciężarówek i 2 tysiące wagonów opuszczających codziennie Nuevo Laredo. Po

stronie amerykańskiej transporty wjeżdżały na autostradę I-35 wiodącą do Dallas. Narkotyki gubiły się wśród masy innych towarów i szybko rozpierzchały po Teksasie i dalej jechały na południe oraz na Wschodnie Wybrzeże. Laredo było narkotykowym taśmociągiem. Leżało przy jedynej części granicy niekontrolowanej przez ludzi z Sinaloa.

W 1997 roku na czele Kartelu z Zatoki stanął łysiejący ekszłodziej samochodów Osiel Cárdenas, Drogę do tej funkcji utorował sobie, mordując przeciwników. Przez jego godne Machiavellego chwyty w walce o władzę i liczne ciosy w plecy zadane ufającym mu ludziom, zyskał przezwisko Mata Amigos, czyli „zabójca przyjaciół". By zabezpieczyć się przed tego rodzaju atakami, Cárdenas postanowił stworzyć oddział mający zapewnić mu ochronę. Miała to być grupa dużo straszniejsza niż jacykolwiek nasłani na niego mordercy. Cárdenas był świadom, że bracia Arellano Félix wzmocnili zbrojne ramię swojego gangu, sprowadzając bandziorów z Chicago. Sam postanowił iść o krok dalej i poszukał najemników w armii meksykańskiej.

Cárdenas zaprzyjaźnił się z dowódcą sił specjalnych Arturem Guzmanem Deceną, którego wysłano to Tamaulipas, by zajął się problemem gangów narkotykowych. Według wszystkich źródeł Guzman był utalentowanym i nieustraszonym żołnierzem. Na fotografii zrobionej, kiedy był młodym żołnierzem, widać schludnego, gładko ogolonego mężczyznę o szerokich barach, z prawą ręką przyciśniętą do piersi w narodowym pozdrowieniu Meksyku. Jego oczy zgodnie z wojskową manierą patrzą w obiektyw, twarz zdradza niewinność. Musiało jednak stać się coś, co zmieniło tego młodego rekruta w bezwzględnego *narco* znanego pod kryptonimem Z-1.

Arturo Guzman pochodził z wioski w stanie Puebla w południowym Meksyku. Zaciągnął się do armii, by wyrwać się z biedy, co jest w Meksyku typowe. Meksykańską armią nie dowodzą bowiem lubiący przygodę dobrze urodzeni oficerowie, jak to się dzieje w Wielkiej Brytanii. Wojsko w Meksyku nie jest też zbrojną

bojówką prawicy, jak armia hiszpańska. Tutaj armia składa się z ubogich chłopców z południa.

Jako rekrut wyróżniający się nie tylko inteligencją, Guzman dołączył do jednostki specjalnej GAFE, odpowiednika brytyjskich zielonych beretów. Zwyczajem tego typu wojsk było testowanie granic możliwości rekrutów i wykuwanie z nich niezłomnych twardzieli. Mottem jednostki jest: „Nawet śmierć nas nie zatrzyma, a jeśli przyjdzie znienacka, tym lepiej". Szkoleniem żołnierzy GAFE zajmowały się oddziały specjalne z całego świata. Meksykańscy żołnierze antynarkotykowi ćwiczeni byli także przez żołnierzy z Izraela, którzy dzięki doświadczeniu zdobytemu w Libanie i na Zachodnim Brzegu stali się jednymi z najlepszych na świecie specjalistów od walk na terenie miast. Jednak największy wpływ na GAFE mieli ich sąsiedzi, żołnierze amerykańscy.

Stany Zjednoczone szkoliły latynoskich żołnierzy przez cały XX wiek w sztuce prowadzenia wojny oraz w zwalczaniu partyzantów w niesławnej School of the Americas w Georgii i w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Odtajnione w 1996 roku podręczniki wręczane tam Latynosom wywołały falę oburzenia. Wydane tylko po hiszpańsku książki tłumaczyły zastosowanie wojny psychologicznej w przeciwdziałaniu powstaniom. Szczególne kontrowersje wzbudził jeden z tomów zatytułowany *Posługiwanie się źródłami*, opisujący wykorzystywanie donosicieli. Zimnym technicznym językiem wyłuszcza, jak przemocą wywierać nacisk na nich oraz na ich rodziny. Na stronie 79 czytamy:

Agent walczący z rebeliantami może doprowadzić do aresztowania rodziny współpracownika (informatora), uwiezie jego samego lub biciem uwierzytelnić go w oczach organizacji rebelianckiej[9].

W Meksyku Guzman i jego towarzysze zastosowali nabytą wiedzę w praktyce, gdy w 1994 roku, niespodziewanie dla całego świata, wybuchło powstanie zapatystów. Dowodzone przez palącego fajkę *subcommandante* Marcosa, liczące około 3 tysięcy ludzi oddziały zapatystów przejęły władzę w licznych miastach w ubogim południowym stanie Chiapas, Powstanie było formą protestu przeciwko ubóstwu i jednopartyjnym rządom w kraju, a po-

wstańcami byli niezamożni potomkowie rdzennych Majów, uzbrojeni w wiekowe strzelby i karabiny kalibru 22. Kiedy pojawiły się wojska federalne, rebelianci szybko wycofali się w głąb dżungli. Choć potencjał militarny zapatystów był znikomy, rząd wysłał na miejsce oddziały specjalne GAFE.

Oddziały szturmowe dogoniły partyzantów, kiedy ci wycofywali przez zrujnowane miasteczko Ocosingo. W ciągu kilku godzin śmierć poniosło 34 rebeliantów. W wydanym komunikacie *subcommandante* Marcos twierdził, że byli to jeńcy, którzy po kapitulacji zostali sukcesywnie rozstrzelani. Armia utrzymywała, że zginęli z bronią w ręku. Następnego dnia meksykańscy żołnierze złapali kolejnych trzech zapatystów w pobliskiej osadzie Las Margaritas. Ich zwłoki znaleziono nad rzeką, odcięło im nosy i uszy. Ta masakra wywołała szok wśród rebeliantów i Marcos 12 dni od wybuchu powstania podpisał zawieszenie broni. Od tamtej chwili działania zapatystów skoncentrowały się na pokojowych protestach, chociaż głęboko w dżungli nadal utrzymywali oni mały oddział partyzancki**[10]**.

Będąc już nie tylko doskonale wyszkolonym żołnierzem, ale mając, też za sobą pierwsze doświadczenia bojowe, Guzman został przeniesiony w rejon „małej granicy", gdzie wille gangsterów stojące przy ubogich ulicach nie należały do rzadkości. Urządzano tam całonocne imprezy, a w dzielnicach rozpusty tysiące prostytutek wabiły klientów swoimi wdziękami. Dla młodego oficera, który spędził młodość w błotnistych dżunglach, była to oszałamiająca odmiana.

Badacze biografii Guzmana twierdzą, że z początku jego współpraca z Cárdenasem opierała się na braniu łapówek za ignorowanie olbrzymich przerzutów organizowanych przez miejscowy kartel. Takie przekupstwo nie było niczym nowym. Żołnierze od lat przyjmowali pieniądze od handlarzy w zamian za nieuprzykrzanie im życia. Było jednak nie do pomyślenia, by przejść na stronę gangsterów. Wojskowi czuli się obrońcami ojczyzny i do *narcos* dołączyliby równie chętnie, jak żołnierze amerykańscy

wzmocniliby szeregi rebeliantów w Iraku. Łapówki uchodziły po prostu za korzyść wynikającą z posady. Guzman zachował się jednak inaczej: porzucił koszary, by stać się najemnikiem *narcos.*

Co skłoniło go do tak dramatycznej decyzji? Tłumaczono, że skusiły go pieniądze, gdy widział gangsterów epatujących bogactwem i zarabiających w rok tyle, ile żołnierz przez całe życie. Jednak posada zdolnego żołnierza w armii też nie była najgorszą perspektywą. Przyłączając się do kartelu, stawał się wyjęty spod prawa, ryzykował życiem lub w najlepszym przypadku więzieniem.

Kluczowym czynnikiem decydującym o tym, że zdradził mogła być drastyczna zmiana systemu w kraju. Nowy demokratyczny porządek sprawiał, je wielu wojskowych niepokoiło się o swoją pozycję w państwie. Szczególny niepokój wykazywali byli oficerowie, obficie udekorowani medalami, gdy słyszeli obietnice, iż rozliczone zostaną nadużycia poprzedniego systemu, godziny „zaginionych" codziennie urządzały marsze w stolicy, a kilku ludzi armii postawiono przed sądem wojskowym za łamanie praw człowieka i branie łapówek od handlarzy narkotyków. Gdy za taką właśnie korupcję generał Gutiérrez Rebollo został skazany na 50 lat więzienia, cala armia uważnie się temu przypatrywała. To podczas takiego właśnie zamieszania Guzman zdecydował, że lepiej mu będzie z dala od koszar.

Osiel Cárdenas nie zatrudnił Guzmana, dlatego że potrzebował kolejnego cyngla. Poprosił go o stworzenie oddziału do brudnej roboty najgroźniejszego jak to tylko możliwe. Cárdenas, człowiek sprytny i przewidujący, zapewne wyobrażał sobie doskonale wyszkolony oddział posłusznych mu morderców. Guzman jednak dodał od siebie sporo czysto wojskowych elementów. Meksykańscy agenci federalni ujawnili później rozmowę dotyczącą tworzenia nowej jednostki, której treść przekazał im ponoć informator. Oto ona:

Cárdenas: „Chcę najlepszych ludzi. Po prostu najlepszych".

Guzman: „Jakiego rodzaju ludzi potrzebujesz?".

Cárdenas: „Najlepszych ludzi zdolnych posługiwać się bronią”.

Guzman: „Takich znajdziesz w armii”.

Cárdenas: „Ich właśnie chcę”**[11]**.

Posłuszny poleceniom, Guzman zwerbował dziesiątki żołnierzy chcących pracować dla karteli. Niektóre media porównały stworzenie Zetas do przejścia na stronę wroga całego oddziału wojska. Źródła w armii wskazują jednak, że takie porównanie jest bardzo nieprecyzyjne. Żołnierze przechodzący na stronę gangsterów, co trwało wiele miesięcy, pochodzili z różnych jednostek, w tym z 70. batalionu piechoty i 15. regimentu kawalerii. Żołnierze GAFE stanowili z całą pewnością sporą część nowo powstałego n arko wojska, które swoją nazwę – Zetas – zaczerpnęło z kodu radiowego stosowanego przez rodzimy oddział specjalny. Każdy najemnik otrzymał osobisty kod rozpoczynający się od litery Z, Guzman był Z-l. Po upływie kilku miesięcy Z-l miał pod kontrolą 38 ekszołnierzy.

Wspierany przez swoich siepaczy, Osiel Cárdenas poczuł się jeszcze silniejszy niż kiedykolwiek przedtem. To arogancja i pewność siebie stały się przyczyną największego błędu, który doprowadził do jego upadku: Cárdenas przeciwstawił się amerykańskim agentom. Dwaj agenci, jeden z DEA i jeden z FBI, w listopadzie 1999 roku przejeżdżali samochodem przez Matamoros w towarzystwie informatora, który wskazywał im nieruchomości należące do *narcos*. Zdając sobie sprawę, że są śledzeni, przyspieszyli. Ich auto miało dyplomatyczne oznaczenia, zostali jednak zablokowani przez grupę samochodów terenowych i dostawczych. Wysiadło z nich około piętnastu mężczyzn, w tym kilku Zetas, i otoczyło Amerykanów, mierząc do nich z kałasznikowów. Przez kordon przecisnął się sam Cárdenas i zażądał od agentów wydania informatora. Ci odmówili, dodając, że zabicie amerykańskich agentów nie ujdzie mu na sucho. Według zeznań Amerykanów wściekły Cárdenas odkrzyknął: „Hej, *gringos!* To moje terytorium! To ja tu rządzę! Zabierajcie się stąd!”**[12]**.

Agenci skierowali się prosto do granicy i dalej do USA. W

marcu 2000 roku sąd w Brownsville oskarżył Cárdenasa o napaść na agentów federalnych i handel narkotykami, a DEA wyznaczyło nagrodę wysokości 2 milionów dolarów za jego głowę. Kiedy urząd prezydenta obejmował Vincente Fox, Cárdenas figurował na samym początku listy najbardziej poszukiwanych przez USA gangsterów.

Jednak w odróżnieniu od starszego pokolenia narkotykowych bossów, Cárdenas odmówił negocjowania warunków kapitulacji. Polegał na swoim oddziale Zetas, mającym gwarantować mu pozostawanie na wolności siłą ognia. Cárdenas żywił przekonanie, że może podjąć walkę z rządem i nie musi się z nim liczyć. Stał się w ten sposób pierwszym z narkotykowych rebeliantów. Dawny sposób myślenia potężnych gangsterów, pokojowo układających swoje stosunki z państwem, poszedł w zapomnienie. Nowe pokolenie wkroczyło na wojenną ścieżkę.

Zetas nadał rekrutowali żołnierzy, a ponadto policjantów i członków gangów. Na ulicach Tamaulipas zaczęły toczyć się regularne walki między armią a Zetas. Napotkawszy trudnego przeciwnika, wojskowi wezwali posiłki, oddziały mające złapać Cárdenasa. Polecono im także najpierw strzelać, a dopiero później zadawać pytania. Te bezpardonowe działania doprowadziły do zabicia Z-1. W listopadzie 2002 roku Guzman wraz ze swoją świtą jadł w restauracji serwującej owoce morza, kiedy do środka wpadli żołnierze. Arturo Guzman zginął, nim zdążył zareagować. Jego ciało przeszyło w sumie 50 pocisków, trafiając w głowę, korpus, ramiona i nogi. Obiecujący młody żołnierz, a także założyciel pierwszego paramilitarnego oddziału na usługach meksykańskiego gangstera leżał na podłodze restauracji w kałuży krwi.

W marcu 2003 roku wojsko namierzyło kryjówkę Osiela Cárdenasa. Tym razem chroniący go Zetas mieli szansę odpowiedzieć potężnym ogniem i licznymi granatami odłamkowymi. Wojsko miało jednak miażdżącą przewagę liczebną i otoczyło gangsterów z wszystkich stron. Po godzinnej walce żołnierze wyważyli drzwi kryjówki i schwytali *capo*. Zetas jednak się nie poddawali i próbowali odbić gangstera – bezskutecznie. Cárdenasa

udało się dostarczyć na lotnisko i przewieźć samolotem do stolicy. To aresztowanie było rażąco odmienne od spokojnych zatrzymań gangsterów w restauracjach. Taka miała być nowa norma.

Zakuty w kajdanki Osiel Cárdenas stanowił dla prezydenta Foxa cenną zdobycz. Jednak konsekwencje powstania oddziału Zetas zostały zbagatelizowane. Wielu dziennikarzy widziało w nich wyjątkowy, lecz nadal gang narkotykowy Inni handlarze również nie dostrzegli zagrożenia wynikającego z powstania oddziału paramilitarnego. Wręcz przeciwnie, wiedząc o śmierci Z-l i Cárdenasie siedzącym w pudle, mafia z Sinaloa wkroczyła na teren Kartelu z Zatoki.

Mafiosi z Sinaloa zebrali się, by omówić ekspansję na nowe tereny. Szczegóły na temat tego szczytu znane są dzięki handlarzowi, który stał się chronionym świadkiem i który był obecny na spotkaniu**[13]**. Według jego słów, bossowie z Sinaloa, w tym uciekinier z więzienia Chapo Guzman i Beltran Leyva pseudonim Broda – omawiali plan podboju. W rękach gangsterów z Sinaloa znajdowały się już tereny położone przy granicy od Juárez po Pacyfik. Teraz ich organizacja miała przejąć lukratywne szlaki prowadzące do wschodniego Teksasu, jacyś prostaczkowie z północno-zachodniego krańca Meksyku mają być przeszkodą? Gangsterzy z Sinaloa rzucili się łapczywie na nowy teren. Pierwszym aktem meksykańskiej wojny narkotykowej było starcie Kartelu z Sinaloa ze zbuntowanymi żołdakami z oddziału Zetas.

* * *

W 2004 roku, tuż przed wybuchem walk gangów, „Houston Chronicle” zatrudniła mnie jako korespondenta z Meksyku. Naczelnemu teksańskiej gazety na szczęście nie przeszkadzał mój upiorny brytyjski akcent. Kiedy nie mógł zrozumieć mojej bełkotliwej mowy, mogłem napisać e-mail. Przede wszystkim musiałem się jednak nauczyć, co Bubba – czyli typowy Teksańczyk – lubi, a za czym nie przepada. „Bubbie nie podoba się przymiotnik »burżuazyjny«. Znajdź jakieś prostsze słowo”, mówił mój

zwierzchnik. Zacząłem pisać o demokratycznych przemianach w Meksyku. Po meksykańskiej stronie granicy z Teksasem znajdowano coraz więcej ciał, odnotowano 20, 30, potem 100 morderstw. Bubba, który chciał wiedzieć, co jest grane, wysłał mnie do Nuevo Laredo.

W 2005 roku trup słał się gęsto, a trzy wielkie teksaskie gazety, „Houston Chronicie", „Dallas Morning" i „San Antonio Express", zajmowały się tym tematem. Nieoczekiwanie okazało się, że bierzemy udział w klasycznym dziennikarskim wyścigu. „Bierz się do roboty i pisz, jakby to buła wojna!" – domagał się mój naczelny. Wydawało mi się, że przesadza, ale patrząc na to z perspektywy czasu wiem, że były to wydarzenia, które miały bardzo poważne konsekwencje.

Poszczęściło mi się i pracowałem z dwoma doświadczonymi dziennikarzami, najlepszymi piórami w szeregach „Houston Chronicle": Dudleyem Althausem i Jimem Pinkertonem. Lecz nawet mimo ich wsparcia, gdy byłem w Nuevo Laredo z trudem orientowałem się, o co tak naprawdę chodzi. Podczas toczącej się wojny gangów trudno było zdobyć jakiekolwiek informacje, bo zarówno policjanci, jak i prokuratorzy czy władze miasta nie sprawiali wrażenia wiarygodnych. Próbowałem więc dotrzeć doprawdy na inne sposoby. Wcześniej, w Anglii, poznałem wielu narkomanów, być może i tu, na granicy, udałoby mi się do nich dotrzeć i dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Wybrałem się do ośrodków odwykowych, zwiedziłem ciemne zakamarki ulic i *cantinas.* Bez trudu poznałem drobnych dilerów i przemytników, którzy opowiedzieli mi o trwającej wojnie z zupełnie innej perspektywy.

Poznałem pewnego dwudziestoośmiolatka imieniem Rolando. Ten krzepki, najmłodszy syn z dziesiątki potomstwa miejscowego komendanta policji, przemycał marihuanę do Stanów i odsiedział wyrok w teksaskim więzieniu. Tam nauczył się płynnie mówić po angielsku. Miał iwa bardzo kłopotliwe nałogi: heroinę i crack. Siedzieliśmy w malutkim pokoiku w domu jego przyjaciela, gdzie tuż po zastrzyku heroiny Rolando palił grudę cracku.

Nie mogłem zrozumieć, jak można brać środki uspokajające, a zaraz po nich pobudzające. Rolando jednak czuł się po takim koktajlu doskonale i chętnie dyskutował o swojej rodzinie filozofii czy czymkolwiek innym.

Rolando pracował w dzielnicy czerwonych latarni w Nuevo Laredo – znanej jako Boys Town. Była to oddzielona mu rem część miasta o niewyasfaltowanych ulicach, pełna burdeli i knajp ze striptizem. Legenda głosi, że jej założycielem był amerykański generał John Pershing, którego celem było zebranie wszystkich żołnierzy szukających uciech w jednym miejscu. Sto lat później tutejsze przybytki grzechu odwiedzane były głównie przez amerykańskich kierowców ciężarówek i nastolatki z Teksasu zamierzające stracić dziewictwo. Dzięki nienagannej angielszczyźnie Rolando pełnił funkcję ich przewodnika i w zamian za napiwki prowadził klientów do najlepszych harów i umawiał z najładniejszymi dziewczynami. Większość zarobionych pieniędzy wydawał na narkotyki. Miał też przyjaciółkę, która pracowała jako striptizerka. Pewnego dnia, gdy dowiedział się, że zaszła w ciążę, jego świętowanie tego faktu ograniczyło się do picia piwa i słuchania szafy grającej w spelunce w Boys Town. Kiedy, spotkałem go po raz kolejny, powiedział mi, że dziewczyna straciła dziecko. Patrzyłem, jak w ramach żałoby przyjmuje swoją zwyczajową dawkę heroiny i cracku.

Towarzyszyłem Rolandowi, gdy zaopatrywał się w towar u dilerów w Boys Town i w sklepikach (*tienditas)* w *barrio.* Tłumaczył mi, że kiedy dorastał, ludzie, którzy sprzedawali narkotyki, zatrzymywali całość zysków dla siebie. Teraz wszyscy dilerzy muszą płacić daninę Zetas. Wskazał mi ludzi z Zetas kręcących się po Boys Town. Byli to dobrze zbudowani mężczyźni stojący w pobliżu wejść do nocnych klubów, rozmawiający przez komórki i przyglądający się życiu ulicy. Boys Town, podobnie jak całe Nuevo Laredo, stanowiło ich rewir.

Kiedy pojawili się tutaj gangsterzy z Sinaloa, opowiadał Rolando, również spróbowali opodatkować dilerów i przemytników. Niektórzy lokalni przestępcy chętnie na to przystali. Zetas

byli brutalni i uciążliwi. Przyszłość z nowymi szefami jawiła się w jaśniejszych barwach. Pomogli im zatem znaleźć kryjówki i ułatwili zdobycie pozycji w mieście. Inni pozostali lojalni Zetas i denuncjowali każdego, kto sprzyjał przybyszom z Sinaloa. Ludzi przyłapanych na współpracy z wrogim gangiem porywano, torturowano i martwych porzucano na ulicy. Wojna o wpływy nie nie miała za grosz elegancji.

Kartel z Sinaloa boleśnie nie docenił swoich przeciwników. Wielu ludzi pracujących dla szefów z Sinaloa wywodziło się z gangów Mara Saivatrucha i pochodziło z Hondurasu czy Salwadoru. Mieli reputację ludzi bezwzględnych, nie byli jednak równorzędnym przeciwnikiem dla uzbrojonych i doskonale wyszkolonych Zetas. Zwłoki pięciu takich rekrutów z Ameryki Środkowej, z inicjałami gangu „MS” wytatuowanymi na ramionach, znaleziono w ich kryjówce w Nuevo Laredo. Obok nich leżała informacja nabazgrana przez ich zabójców: *Chapo Guzmanie i Beltranie Leyvo, przyślijcie nam więcej takich* pendejos *do zabicia*.

Pendejos to meksykańska obelga, dosłownie oznaczająca włosy łonowe. Zetas zaczynali wprowadzać wojskowe metody zastraszania, by siać lęk na meksykańskich ulicach. Wkrótce miały tak postępować wszystkie gangi**[14]**.

Prezydent Fox rzucił 700 żołnierzy i funkcjonariuszy policji do tłumienia fali przemocy w Nuevo Laredo. Nadał tej ofensywie nazwę „Operación Mexico Seguro”, czyli operacja „Bezpieczny Meksyk”, którą później rozszerzył na całość działań antynarkotykowych prowadzonych w kraju. Nuevo Laredo było poligonem doświadczalnym – tam wykuwały się zarówno strategie rządowe, jak i taktyka gangów.

Wojska federalne szybko złapały oddział Zetas i ustawiły w rządku pod ścianą 17 żołnierzy gangsterów, by prasa mogła ich sfotografować. Miało to na celu poniżenie ich i pokazanie, iż to rząd jest górą. Efekt jednak był odwrotny. Bandyci pojawili się na ekranach telewizorów, stojąc z wypiętą piersią i podniesionym czołem przed lufami automatów trzymanych przez żołnierzy w

kuloodpornych kamizelkach. Wszyscy zrozumieli, że gangu Zetas należy się bać.

Przywództwo w Zetas przejął Heriberto Lazcano, czyli Z-3, znany też pod nieprzyjemnym pseudonimem Kat. Lazcano, człowiek krępy i umięśniony, pochodził z wiejskiego stanu Hidalgo[15]. Pochodzenie z ludu łączyło go z jego nieżyjącym przyjacielem i mentorem Guzmanem alias Z-1. Lazcano także wstąpił do wojska jako nastolatek i dostał się do oddziałów specjalnych. Kiedy Guzman przeszedł na stronę gangów, Lazcano szybko poszedł w jego ślady. Z-3, który stanął na czele Zetas, mając 28 lat, okazał się bardziej żądny krwi niż jego mentor.

Ponieważ strażnicy w więzieniu w Matamoros nie zgodzili się przemycać przetrzymywanym tam Zetas luksusowych towarów, Lazcano postanowił wywrzeć na nich presję. Pewnej nocy, kiedy sześciu pracowników więzienia skończyło nocną zmianę, czekający na nich Zetas uprowadzili ich jednego po drugim. Kilka godzin później strażnik przy bramie więzienia ku swojemu przerażeniu odkrył w zaparkowanym nieopodal samochodzie, Fordzie Explorerze, 6 ciał pracowników zakładu, Oczy mieli przewiązane przepaskami, ręce skute kajdankami i każdego z nich zabito strzałem w głowę. Zetas zaprezentowali w ten, sposób nowy sposób „radzenia sobie" z władzą. Kiedyś policja przemocą zmusiła przestępców do świadczenia im usług, teraz sytuacja miała się odwrócić.

Jedynym człowiekiem gotowym głośno wypowiedzieć się przeciwko tej nowej formie terroru, był stojący na czele lokalnej izby handlu Alejandro Dominguez. Rozmawiałem z nim w jego biurze w centrum miasta, kilka ulic od sklepów z pamiątkami i barami z tequilą cieszącymi się ogromną popularnością wśród Teksańczyków. Był wysokim człowiekiem z burzą siwych włosów i o przyjemnym sposobie bycia. Był zdania, że przemoc jest uciążliwa dla mieszkańców miasta, którzy powinni domagać się przywrócenia pełni ich praw.

„Ten rozlew krwi zabiera nam wolność. Ludzie boją się wyjść z domu po zmroku, Ale to właśnie ci ludzie muszą domagać się

swoich ulic z powrotem. Muszą odzyskać swoje parki. Nie możemy tak po prostu przekazać miasta w ręce kryminalistów”.

Sześć tygodni później burmistrz mianował Domingueza szefem policji w Nuevo Laredo, Jego przysięga była publiczną ceremonią, w trakcie której przyciskał dłoń do piersi i obiecywał służyć ludziom i ich bronić. Gdy miejscowy dziennikarz zapytał go, czy nie boi się śmierci, jego odpowiedź była stanowcza:

„Moim zdaniem boją się tylko skorumpowani urzędnicy. Ja pracuję wyłącznie dla mieszkańców miasta”.

Wieczorem Domínguez poszedł do biura, tego samego, w którym udzielał mi wywiadu. Wychodząc koło dziewiętnastej, zamknął drzwi na zamek i skierował się w stronę swojego SUV-a. Dwóch ludzi otworzyło do mego ogień – dostał 40 kul. Na stanowisku szefa policji wytrwał tylko 6 godzin. Informacja o jego śmierci znalazła się na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Był to jeden z pierwszych przypadków, kiedy raczkująca jeszcze wojna narkotykowa znalazła się w świetle jupiterów[16].

Kryminaliści w Nuevo Laredo zaczęli organizować zasadzki na policjantów, ale też zarówno federalni, jak i miejscowi policjanci nagle zaczęli strzelać do siebie nawzajem. Zepsucie w meksykańskim państwie, dotychczas skrywane, zaczęło wypływać na powierzchnię.

Informacja o strzelaninie dotarła do mnie podczas śniadania w hotelu. Popędziłem na miejsce zdarzenia, by zobaczyć tam agenta federalnego krwawiącego na noszach. Jechał z lotniska w towarzystwie innych agentów, kiedy zatrzymała ich policja i zażądała umożliwienia przeszukania samochodu. Zaczęło się od sprzeczki, potem wywiązała się bijatyka, a końcu strzelanina. Mimo wielu postrzałów, agent przeżył.

Następnego dnia agenci federalni wraz z wojskiem wpadli na posterunek policji i aresztowali wszystkich 700 funkcjonariuszy. Żołnierze skierowali się następnie do policyjnej kryjówki i ich oczom ukazał się mrożący krew w żyłach widok: przetrzymywano tam 44 skrępowanych, zakneblowanych i krwawiących

więźniów. Wyznali, że zostali aresztowani przez policję, a następnie przekazani w ręce Zetas.

Współpraca policji z buntującymi się przeciwko autorytetowi władzy państwowej Zetas była nowością, jednak wkrótce taki układ stal się w Meksyku powszechny Agenci federalni co chwila wpadali do miast czy miasteczek i oskarżali miejscowych stróżów prawa o bliskie związki ze światem mafii. Policjanci, jak się okazywało, nie tylko przymykali oko na przemyt narkotyków, ale stawali się porywaczami i zabójcami, co świadczyło o poważnym kryzysie państwa meksykańskiego. By dodatkowo skomplikować cały problem, wielu agentów federalnych pracowało dla gangsterów – zazwyczaj dla któregoś z odłamów Kartelu z Sinaloa. Tak więc, gdy funkcjonariusze federalni zacieśniali krasi wokół Zetas, obserwatorzy mieli wątpliwości, czy służą oni prawu, czy baronom z Sinaloa.

Te nowe fakty pokazują główny problem meksykańskiej wojny narkotykowej. Za rządów PRI państwo tańczyło na cienkiej linie, utrzymując równowagę dzięki korupcji. Obecnie taniec na linie zmienił się w taniec śmierci. Dawniej policjanci byli zepsuci, ale przynajmniej ze sobą współpracowali. Za czasów demokracji współdziałali z mafią i czynnie się zwalczali. Gangsterzy wzięli na cel zarówno uczciwych policjantów, którzy krzyżowali im szyki, jak i skorumpowanych funkcjonariuszy pracujących dla ich mafijnych przeciwników. Był to prawdziwy węzeł gordyjski.

Oprócz tego równolegle toczyła się walka z narkobiznesem. Za każdym razem, gdy aresztowano handlarza narkotyków, korzystał na tym jego rywal, więc kiedy policja federalna zajęła się gangiem Zetas i szturmowała ich kryjówki, robiła prezent gangsterom z Sinaloa. Aresztowania pie hamowały fali przemocy, a dodawały jej tylko nowej energii.

Wojna o wpływy w Nuevo Laredo toczyła się krwawo przez całe długie gorące lato 2005 roku. Jesienią walki przeniosły się na inne obszary Meksyku. Zetas wciąż walczyli o utrzymanie swojego terenu, lecz jednocześnie wyciągnęli rękę po obszary będące

pod kontrolą bossów z Sinaloa. Uznali zapewne, że najlepszą obroną jest atak.

By wzmocnić swoje szeregi, Zetas nie przestawali rekrutować nowych najemników. Tysiące bandziorów wiedziało, że to potężna organizacja i z radością do niej dołączali. By ich zachęcić, Kat zuchwale reklamował swoją firmę na transparentach, które jego ludzie wieszali na przykład na mostach.

Jeden z nich głosił: *Grupa operacyjna Zetas poszukuje ciebie, eksżołnierzu. Oferujemy ci dobrą pensję i wikt. Zatroszczymy się o twoją rodzinę. Nie będziesz więcej głodny i poniżany.*

Inne nawoływały: *Wstąp w szeregi Kartelu z Zatoki.* Z *nami dobrze zarobisz, damy ci ubezpieczenie na życie, a twojej rodzinie i dzieciom dom. Wyjdź ze slumsów i przestań jeździć autobusem. Kup sobie taki samochód, jaki ci się podoba.*

Zetas poszukiwali sprawnych zabójców także za granicą. Najwięcej chętnych do zasilenia ich szeregów znaleźli w Gwatemali. Byli to eksczłonkowie oddziałów Kaibil, okrytych posępną sławą w czasie niszczącej ich kraj wojny domowej. Przy zaprawionych w bojach Kaibilach meksykańscy żołnierze, nawet ci z oddziałów specjalnych, wyglądali jak przedszkolaki. Motto Kaibilów głosiło: „Jeśli cofnę się choć o krok, zabij mnie”. Żołnierze ci byli szkoleni, jak wycinać kule, które utkwiły w ich ciele podczas walki. Armia w Meksyku miała na koncie zabójstwa setek lewicowych powstańców, Kaibilowie zabili dziesiątki tysięcy buntowników, a także ich rodziny.

Kartel z Zatoki zainwestował miliony narkodolarów, by zapewnić szybki rozwój oddziałów Zetas. Jednak również sami Zetas zadbali o swoje dochody. Doskonale uzbrojeni i bezwzględni, bez trudu zdobywali pieniądze, chociażby drogą wymuszeń. Zaczęli od nałożenia daniny na wszystkich w narkobiznesie, począwszy od hodowców marihuany i ulicznych dilerów. Plany na przyszłość mieli jednak o wiele ambitniejsze.

Efrain Bautista, który trudnił się przez długie lata uprawą marihuany na południu Sierra Madre, dostrzegł zmiany w środowisku, z którego się wywodził. Mimo że opuścił rodzinne strony i w

1980 roku zamieszka} w mieście Meksyk, co jakiś czas wracał w góry, by odwiedzić krewnych nadal uprawiających trawkę nieopodal Telolapan w stanie Guerrero. Efrain tak opisuje przybycie Zetas:

„W Telolapan nigdy nie było walk o marihuanę. Jeśli chciałeś hodować mota, po prostu to robiłeś i zawoziłeś plony do miasteczka. Taki porządek rzeczy trwał od lat sześćdziesiątych.

Później jednak pojawili się Zetas i oznajmili, że każdy, kto chce uprawiać marihuanę, musi im płacić. Ludzie w moich górach są twardzi, wielu więc powiedziało im, żeby spierdalali. Wtedy na ulicach zaczęły pojawiać się ciała zabitych. Ludzie zaczęli płacić".

Kiedy aresztowano działających na tamtym terenie Zetas, okazało się, że wielu z nich to miejscowi, którzy dali się zwerbować gangsterom z północnego zachodu. Agenci meksykańskiego wywiadu tłumaczą, że komórki Zetas działają na zasadzie franszyzy, podobnie jak na przykład sieć restauracji McDonald s. Lokalni rekruci zostają przeszkoleni i otrzymują prawo reprezentowania potężnej marki, lokalny przywódca – nazywany przez Zetas drugim dowódcą – prowadzi swój oddział „firmy" musi jednak płacić zwierzchnikom. Paramilitarne oddziały, które nagle pojawiły się w Kolumbii w latach dziewięćdziesiątych, działały na podobnej zasadzie ograniczonej lokalnej autonomii.

Nowe komórki Zetas starły się z gangsterami z Sinaloa w całym Meksyku. Walki toczyły się w kurorcie Acapulco, w sąsiednim stanie Michoacan trup też ścielił się gęsto. Następnie oddział Zetas uderzył kilkaset kilometrów dalej i dokonał masakry w stanie Sonora. Wojna nabierała rozpędu, zaczęto stosować też nowe techniki jej prowadzenia. Dotychczas, a przynajmniej we współczesnej historii Meksyku, nie obcinano głów, jednak w kwietniu 2006 roku pod ratusz w Acapulco podrzucono głowy dwóch policjantów. Byli to funkcjonariusze, którzy w długiej strzelaninie zabili czterech gangsterów i postanowiono ich w ten pokazowy sposób ukarać.

Nie do końca wiadomo, skąd dokładnie wzięła się ta niezwykła brutalność. Niektórzy wskazują na żołnierzy z oddziałów Kaibil,

którzy pracowali dla Zetas. W gwatemalskiej wojnie domowej wojska obcinały głowy pojmanym powstańcom na oczach mieszkańców wiosek, by odwieść ich w ten sposób od przyłączenia się do lewicujących partyzantów. Jako najemnicy na meksykańskiej ziemi być może stosowali te same techniki, by siać grozę tym razem wśród przeciwników karteli. Inni widzą w tych praktykach wpływ filmów Al Kaidy z Bliskiego Wschodu, gdzie również obcina się głowy. Nagrania te pokazywano w całości w meksykańskiej telewizji. Niektórzy antropolodzy wskazują nawet przed kolumbijskie zwyczaje dekapitacji: Majowie przez obcięcie głowy pokazywali, że dominują nad nieprzyjacielem.

Jasne jednak jest, że Zetas nie myśleli jak zwykli gangsterzy, a jak oddziały quasi-wojsko we kontrolujące dane terytorium. Ich metody walki szybko zyskały popularność wśród innych stron w meksykańskiej wojnie narkotykowej. We wrześniu tego samego roku gang Familia, współpracujący z Zetas w stanie Michoachan, rzucił pięć ludzkich głów na parkiet dyskoteki. Do końca 2006 roku zanotowano dziesiątki obciętych głów. Przez następne lata ich liczba szła w setki.

Gangsterzy w całym Meksyku powielali paramilitarne metody Zetas. Kartel z Sinaloa stworzył własne oddziały uzbrojone i ubrane jak regularne wojsko. Uznali, że ogień należy zwalczać ogniem. Beltran Leyva vel Broda, stał na czele szczególnie dobrze uzbrojonych gangsterów. Podczas obławy na jedną z takich grup w rezydencji w stolicy przechwycono 20 karabinów automatycznych, 10 pistoletów, 12 granatników M4 i kamizelki kuloodporne, na których widniało logo FEDA: Fuerzas Especiales de Arturo, czyli Oddziały Specjalne Arturo.

Zwłoki znajdowano od granicy aż po nadmorskie kurorty, a reporterzy spieszyli na miejsce każdej egzekucji i do każdego podrzuconego ciała. Rząd w stolicy długo ociągał się z podaniem prawdziwej liczby zabitych. Wyręczały go jednak natrętne gazety, które podawały liczby zabitych w formie dość brutalnych „słupków’5. Niektóre lokalne tabloidy uzupełniały takie staty-

styki zdjęciami, co przypominało tablice wyników sportowych. Takie podsumowania wywołały ostry ogień krytyki, mówiono o zdehumanizowanym traktowaniu tragedii. Stanowiły one jednak pierwszy wyraźny wskaźnik narastającej przemocy. W 2005 roku odnotowano 1500 morderstw związanych ze zorganizowaną przestępczością, rok później było ich 2 tysiące.

Liczba zabitych zwracała coraz większą uwagę. Na forum międzynarodowym wciąż twierdzono, że to wewnętrzna sprawa Meksyku, chociaż zauważano bardziej jaskrawe historie o odciętych głowach. Międzynarodowe media skupiały się bardziej na końcu kadencji pierwszego demokratycznego prezydenta od czasów upadku PRI. Fox oddawał władzę, ponieważ, zgodnie z prawem, nie mógł ubiegać się o reelekcję.

Spodziewano się efektownego przykładu wolności wyborczej, lecz okazało się, że wszystko sprowadzało się do wyścigu dwóch koni: Felipe Calderona, z tej samej co Fox Partii Akcji Narodowej (PAN), i siwego Andresa Manuela Lopeza Obradora z lewicującej Partii Rewolucji Demokratycznej. Kampanię wyborczą zdominowały niestety wzajemne zniewagi i matactwa wyborcze, wstrząsając młodą meksykańską demokracją.

Lopez Obrador był charyzmatycznym zwierzęciem politycznym o niebywałym talencie oratorskim, zdolnym poruszyć tłumy przemówieniami o niesprawiedliwości w państwie meksykańskim. Wykazywał dobitnie, że owoce pracy ubogich są rozgrabiane przez bogatych. W odpowiedzi na to ludzie u władzy rzucili przeciwko niemu wszystko, co mogli, w tym filmy, na których widać było, jak jego doradcy biorą łapówki. Jednak niełatwo było się go pozbyć. W ostatecznej próbie zamknięcia mu ust prokuratura postawiła mu niejasny zarzut dotyczący własności ziemskiej, który mógł uczynić go niezdolnym do kandydowania. Było jasne, że sprawa ma charakter czysto polityczny. Pełen zapału lewicowy kandydat poderwał setki tysięcy ludzi do protestów, a prasa w Londynie i Waszyngtonie oskarżyła Foxa o sabotowanie demokracji w Meksyku. Zdając sobie sprawę, że wszystko, co osiągnął, teraz może stracić, Fox zwolnił prokurato-

rów i oddalił zarzuty ciążące na Obradorze.

Sprawa upadła, zostawiła jednak po sobie widoczną bliznę. W ciągu następnych lat każdy oskarżony o cokolwiek polityk twierdził, że jest w ten sposób prześladowany przez politycznych przeciwników. Zadanie oczyszczenia meksykańskich kręgów władzy z niesławnych postaci stawało się przez to jeszcze trudniejsze. Politycy lewicy mieli rację, stając w obronie Lopeza Obradora, później jednak otaczali się politykami, wobec których zarzuty o współpracę z mafią nie wydawały się bezpodstawne. Policję również zaczęto postrzegać jako narzędzie polityczne, co sprawiło, że zaufanie do systemu sprawiedliwości dramatycznie spadło.

Gdy zbliżał się dzień wyborów prezydenckich, napięcie osiągnęło temperaturę wrzenia. Lopez Obrador obwieścił, iż rząd to zbieranina mafijnych kapitalistów. Calderón nie pozostawał mu dłużny, twierdząc, że Obrador to obłąkany, nawiedzony populista, który niechybnie wywoła kryzys w całym państwie. Jego hasło: „Lopez Obrador – zagrożenie dla Meksyku" okazało się chwytliwe i skutecznie zastraszyło naród, który miał już dość trudnych chwil.

Według oficjalnych wyników Calderón zwyciężył sześcioma dziesiątymi głosów. Wybory te okazały się więc najbardziej wyrównanym wyścigiem w dziejach państwa. Lopez Obrador oznajmił, że wybory są zmanipulowane, w jego obronie protestujący rozbili w stolicy obozy. Jednocześnie w leżącym na południu kraju stanie Oaxaca strajk nauczycieli przeobraził się w bunt przeciwko nielubianemu gubernatorowi z ramienia PRL Kryzys utrzymywał temperaturę wrzenia przez 5 miesięcy, w czasie których protestujący palili autobusy i stawiali barykady Zamieszki pochłonęły życie co najmniej 15 ludzi – głównie lewicowych demonstrantów. Dopiero po zamordowaniu dziennikarza Ośrodka Niezależnych Mediów, Brada Willa[17], prezydent Fox wysłał do Oaxaca 4 tysiące policjantów. Prezydentowi elektowi Calderonowi Meksyk wydawał się wyjątkowo nieuporządkowanym miejscem. Dlatego też, kiedy w grudniu objął urząd, ten były

prawnik przysiągł zrobić wszystko, by przywrócić porządek.

Po tym, jak ustąpił, Vincente Fox zamieszkał na swoim ranczu i nadal udzielał dziennikarzom wywiadów w charakterystycznym dla niego prostodusznym stylu. Na czas jego prezydentury przypadł początek meksykańskiej wojny narkotykowej. Nie jest jednak do końca zasadne obwinianie go o to, jak czynią to niektórzy. Fox sumiennie wałczył z kartelami narkotykowymi, zgodnie z sugestią Stanów Zjednoczonych. Naprawdę niewielu w 2006 roku dostrzegało, że Meksyk stoi nad przepaścią.

Można uznać za interesującą kodę fakt, że na na stare lata Fox zmienił zdanie na temat legalizacji narkotyków. Tłumaczył to, pisząc na swoim ranczu w 2010 roku: *Mówiąc „legalizacja*”, mam na myśli nie to, że nagle uważam, iż narkotyki są nieszkodliwe czy wręcz dobre. Powinniśmy spojrzeć na ich legalizację jako na sposób unicestwienia niszy ekonomicznej, która pozwala gangom generować olbrzymie zyski, co staje się motorem korupcji i zwiększa obszar ich władzy.**[18]**

Człowiek, który prowadził „wojnę wojen”, za co zbierał brawa od Ameryki, uznał, *że* nie ma ona sensu.

ROZDZIAŁ 7
Watażkowie

Wąż jest zraniony przez nas, nie zabity;
Gdy się zagoi rana, wyzdrowieje,
A nasza biedna złość nadal zostanie
Pod groźbą jego zębów, jak poprzednio.
Lecz ramy rzeczy niechaj się wypaczą
I raczej oba światy niechaj cierpią,
Niżbyśmy mieli jeść w trwodze i sypiać
Dotknięci tymi straszliwymi snami,
Które wstrząsają nami co noc.
Lepiej Być tym umarłym, który zyskał spokój,

William Szekspir, *Tragedia Macbetha*, akt III, scena 2[*]

Pierwszego grudnia 2006 roku, chwilę przed tym, jak prezydent elekt Felipe Calderón miał wejść do Kongresu, by złożyć przysięgę, deputowani oddawali się ostrym przepychankom. Miejscem zmagań był strategiczny punkt w głównej sali parlamentu. Lewicowi deputowani twierdzili, że to ich kandydat, Andres Lopez Obrador jest prawdziwym zwycięzcą wyborów i podstępem pozbawiono go wiktorii. Chcieli zająć podium, z którego elekt Calderón miał przemawiać, by uniemożliwić mu złożenie przysięgi. To samo podium bronione było przez deputowanych konserwatywnych którzy chcieli pozwolić Calderonowi na nie wejść. Ostatecznie wygrali konserwatyści, ponieważ byli nie tylko liczniejsi, ale wyglądali także na lepiej odżywionych.

Wśród gości zaproszonych na ceremonię zaprzysiężenia znajdowali się były prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush senior i gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger. Moim posterunkiem były drzwi wejściowe do budynku, gdzie polowałem na wypowiedzi wchodzących gości. Leciwy Bush wszedł w towarzystwie sześciu łysych ochroniarzy z mikrofonami przy ustach.

Zapytałem go, co sądzi o szamotaninie w głównej sali. „Cóż, mam nadzieję, że Meksykanom uda się dojść do porozumienia", odrzekł dyplomatycznie. Obok przeszedł Schwarzenegger bez asysty goryli, którego spytałem o to samo. „Terminator" zatrzymał się, wolno obrócił w moją stronę i powiedział: „Naprawdę niezła akcja!".

Szybko przesłałem te słowa do agencji. Nagłe wypowiedź Schwarzeneggera słychać było we wszystkich stacjach kalifornijskiej telewizji. Nawet BBC rozpoczęła swój serwis od wiadomości: „Niełatwo jest wywrzeć wrażenie na Arnoldzie Schwarzeneggerze, ale dzisiaj w Meksyku…". Biuro gubernatora zaczęło wydzwaniać do mnie nerwowo z pytaniem, czy aby wypowiedź ich szefa nie została wyrwana z kontekstu. „Cóż, odparłem, zapytałem go wprost i on wprost mi odpowiedział".

Przez tę „niezłą akcję" w parlamencie pierwszy dzień sprawowania urzędu był dla prezydenta Calderona niezwykle trudny. Do głównej sali Kongresu musiał wśliznąć się tylnymi drzwiami, szybko złożyć prezydencką przysięgę, podczas gdy jego deputowani odciągali lewicowych oponentów, i równie szybko się wymknąć. Mimo wszystko odniósł sukces: rozładował będącą na krawędzi wybuchu sytuację i mimo wszystko objął urząd. W pogrążonym w chaosie Meksyku był uosobieniem zdecydowania i niezłomnym człowiekiem czynu.

Dziesięć dni później Calderón wypowiedział wojnę kartelom narkotykowym. O rany – zakrzyknęła opinia publiczna – cóż za zdecydowanie, cóż za gotowość do wielkich czynów!

Cztery lata później, kiedy skutkiem tej wojny było 35 tysięcy zabitych, wybuchy bomb w samochodach pułapkach, granaty rzucone W świętujący tłum, niezliczone zabójstwa polityczne, zamordowanie 72 osób na raz i cała masa innych zbrodni, decyzja o ataku na kartele wydaje się niezwykle ważka. Większość ludzi jest zdania, że prezydent miał plan działania. Łatwo jest jednak interpretować wydarzenia, patrząc z dzisiejszej perspektywy, może nawet zbyt łatwo. Jest wysoce prawdopodobne, że Calderón nie zamierzał wikłać się w wieloletnią wojnę, a już na pewno nie

spodziewał się, że cały kraj dosłownie eksploduje mu w rękach. Podobnie jak szybkie zaprzysiężenie na obieganym podium, wypowiedzenie wojny było reakcją na zastaną sytuację, przejawem dużej energii oraz zdolności do szybkiej riposty. Podobnie jak w Kongresie, liczył zapewne, że uda mu się szybko zaradzić kłopotliwej sytuacji. W parlamencie mu się udało. W kwestii walki z narkobiznesem niestety się przeliczył.

Calderón wywodzi się z tej samej konserwatywnej Partii Akcji Narodowej co Vincente Fox, na tym jednak podobieństwa między tymi dwoma politykami się kończą. Fox zabrał się do polityki, gdy był w średnim wieku, Calderón urodził się w rodzinie o tradycjach politycznych. Jego ojciec, Luis Calderon, był zaciekłym katolikiem, który pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku przyłączył się do powstania Cristero, by bronić Kościoła przed represjami ze strony po rewolucyjnej generalicji. Wojna Cristero w ciągu trzech lat kosztowała życie 90 tysięcy ludzi, stając się najpoważniejszym konfliktem w Meksyku do czasu obecnej wojny narkotykowej. Skończyła się porozumieniem: katolicy mogli praktykować bez ograniczeń, rząd miał natomiast pozostać świecki. W 1939 roku Luis Calderón był współzałożycielem Partii Akcji Narodowej, mającej być polityczną siłą walczącą o boskie wartości. Calderón senior wierzył w upolityczniony katolicyzm, który na równi ze sprawiedliwością społeczną domagał się podniesienia roli wiary. Była to zupełnie nowa polityczna jakość, obok serwowanego już przez inne partie ateistycznego socjalizmu, i protestanckiego kapitalizmu.

PRI sprytnymi zabiegami trzymało polityków PAN z dała od stanowisk w państwie, Luis Calderón wychowywał więc swoje dzieci warunkach typowych dla klasy średniej, jakże różnych od wybujałego do statku hacjend ludzi partii rządzącej. *Nie byliśmy szczególnie zamożną rodziną, wspomina. Nie opływaliśmy w luksusy, ale na naszym stole nigdy– niczego nie brakowało i mogliśmy bez problemu chodzić do szkół.* Według jego słów, w rodzinie Calderonów polityka odgrywała zawsze ważną rolę i czwórka z pięciorga dzieci Calderona seniora poszła właśnie tą ścieżką by dzia-

łać w nowo powstałej PAN. *Nasz dom często stawał się sztabem wyborczym. Składaliśmy ulotki, a w kuchni robiliśmy klej z mąki w wielkich garach. Nocami ja i brat wychodziliśmy na miasto rozlepiać materiały propagandowe.*[1]

Felipe, najmłodszy z rodzeństwa, najpierw uzyskał stypendium szkoły katolickiej, by następnie studiować prawo na prywatnej uczelni, zdobyć tytuł magistra ekonomii oraz tytuł MBA na Harwardzie. Tak wszechstronne wykształcenie dobrze przygotowywało go do roli latynoamerykańskiego technokraty. Zajął się polityką w wieku lat 26, został deputowanym, przewodniczącym PAN, ministrem do spraw energii, a na koniec, w wieku 43 lat, objął najwyższy urząd w państwie.

Styl uprawiania polityki Felipe Calderona różnił się zasadniczo od tego, jaki praktykował jego ojciec, przede wszystkim w tym, iż młodszy Calderón uważał wiarę za sprawę prywatną. Dążąc do władzy, politycy PAN woleli uniknąć wizerunku religijnych fanatyków i akcentowali raczej wartości gospodarki wolnorynkowej. Meksykańska lewica niesłusznie oskarża członków PAN o to, że są skrajnie prawicowymi faszystami. PAN temu zaprzecza, uważa się za partię centrową i oskarża lewicę o niepohamowany populizm. Kampania wyborcza Calderona zasadzała się na przedstawianiu Lopeza Obradora jako niezrównoważonego i nawiedzonego populistę, który niechybnie ściągnie na kraj kryzys.

Zanim stanął w wyborcze szranki, Calderón nie był znany, więc jego oponenci mieli problem ze znalezieniem punktów zaczepienia dla swojej jery tyki. Wyciągnęli zatem z zanadrza najstarszy podwórkowy numer: wydrwili jego wygląd. Calderón jest niewysoki, łysieje i nosi okulary. Już w pierwszej debacie wyborczej kandydat PRI, Roberto Madrazo, zwracając się w stronę Calderona, wykonał w powietrzu gest ręką i powiedział szyderczo: „Nie widzę pana jako przeciwnika, bo nie ma pan odpowiedniej postury”[2].

Nieszczególnie imponująca aparycja prezydenta już wkrótce miała stać się głównym tematem politycznych żartów rysunkowych. Rysowano więc pokurczowatego Calderona, próbującego

wyglądać groźnie w za dużym uniformie wojskowym, siedzącego w czołgu i ledwo widocznego zza sterów, czy jako krasnala u boku rosłego *gringo* Obamy, który poklepuje go po głowie. Im hardziej próbował mówić o wojnie z narkobiznesem, tym bardziej go parodiowano. Prezentowano go jako małego człowieczka idącego na wojnę, podobnego do niewysokich watażków, których nie brakowało w dziejach świata.

Jedenastego grudnia 2006 roku wojnę narkobiznesowi wypowiedzieli oficjalnie nowo mianowani wysocy urzędnicy odpowiedzialni za bezpieczeństwo w kraju, w tym minister obrony, prokurator generalny i sekretarz do spraw bezpieczeństwa publicznego. Pierwsze uderzenie j miało nastąpić w rodzimym stanie Calderona, Michoacan, gdzie sprzymierzony z Zetas gang Familia zostawiał po sobie stosy bezgłowych ciał. Ogłoszono, że w operacji „Michoacan" weźmie udział 6,5 tysiąca żołnierzy piechoty, wspieranych przez helikoptery oraz kanonierki marynarki wojennej. Posługiwano się pojęciem „odbijanie terytorium". Było to kluczowe hasło z kampanii Calderona, które powtarzano raz za razem. Mówiono o ofensywie na te części kraju, w których gangsterzy mieli się doskonałe. „Naszym celem jest odbudować spokój i ułatwić Meksykanom ich codzienne życie" mówił prezydent[3].

Wraz z innymi reporterami popędziłem na front walk, dokąd droga wiodła przez piękne jeziora stanu Michoacan aż do krainy, gdzie w górskich wioskach ludzie żyją z produkcji narkotyków. Ofensywa rzeczywiście wyglądała obiecująco. Autostradami ciągnęły niezliczone zastępy nowoczesnych terenówek oraz wojskowych humvee wiozących tysiące zamaskowanych policjantów. W położonym wśród wzgórz miasteczku Aguililla, o którym od dawna było wiadomo, że stanowi bazę handlarzy, muskularni żołnierze przeczesywali ulice i przeszukiwali samochód przy wtórze warkotu wiszących nad nimi helikopterów. Migawki z tych zdarzeń pojawiały się we wszystkich wiadomościach w całym kraju. Oto prezydent, który traktuje poważnie swoje słowa, mówili ludzie. Rząd prezentował swoją siłę.

Calderón szybko rozszerzył ofensywę na inne stany. Siedem tysięcy żołnierzy runęło na nadmorskie Acapulco, liczące ponad 3 tysiące ludzi połączone oddziały policji federalnej i żołnierzy wmaszerowały do Tijuany, 6 tysięcy ludzi rozpoczęło operację w Sierra Madre. Niebawem w sześciu stanach działała większość federalnej policji i znacząca część czynnych oddziałów wojska, w sumie 50 tysięcy ludzi.

Operacji wojskowej towarzyszyła masowa ekstradycja narkotykowych bossów. Już miesiąc po rozpoczęciu prezydentury przez Calderona do amerykańskiego Houston wyleciał samolot wiozący na pokładzie dobrze strzeżonych przez zamaskowanych funkcjonariuszy federalnych piętnastu handlarzy. Byli wśród nich intensywnie poszukiwany przez USA Osiel Cárdenas, szefujący Kartelowi z Zatoki, czy Hector „Białas" Palma z mafii z Sinaloa. Była to kolejna operacja, którą efektownie pokazano w telewizji, za czym szedł znakomity skutek propagandowy.

Calderón poleciał do bazy wojskowej w Michoacan. Gdy pozdrawiał swoich żołnierzy założył wojskową czapkę i pasującą do niej oliwkowozieloną kurtkę, występując tym samym przeciwko pewnej tradycji. Meksykańscy prezydenci bowiem unikali noszenia wojskowych strojów od czasów PRI, kiedy to ówcześni politycy będący cywilami, hołdowali militarystycznej modzie wziętej od generałów rewolucjonistów z lat czterdziestych. Zrobione wtedy w bazie w Michoacan zdjęcia Calderona zyskały status klasycznych obrazów meksykańskiej polityki tamtych czasów. Prezydent stał na nich z uniesioną prawą ręką, czapką wciśniętą na uszy i przy krępym sekretarzu obrony wyglądał jak karzeł. By mieć pewność, że armia będzie po jego stronie, Calderón przepchnął przez Kongres podwyżkę dla żołnierzy i przy każdej okazji wychwalał ich jako narodowych bohaterów. W najważniejszej bazie w Meksyku dwa miesiące po rozpoczęciu prezydentury powiedział żołnierzom:

„Zapiszecie nowe karty historii. Nakazuję wam wytrwałość, aż cel zostanie osiągnięty (...) Nie poddamy się, nie ulegniemy pro-

wokacjom ani zamachom na bezpieczeństwo obywateli naszej ojczyzny. Nie zamierzamy pozwolić wytchnąć naszym wrogom i nie złożymy broni”[4].

Były to bez wątpienia mocne słowa. Na czym jednak polegała różnica między ofensywą kierowaną przez Calderona a polityką uprawianą przez Foxa? Wojna trwała, a Calderón raz za razem podkreślał, że otworzył nowy rozdział w dziejach Meksyku, jego zdaniem to jego poprzednicy pozwolili monstrualnie rozrosnąć się El Narco, a dopiero on, Calderon, zdecydował się powiedzieć basta. Przekonywał, że ciągły rozlew krwi jest w gruncie rzeczy winą jego poprzedników.

Pod wieloma względami jednak różnica między podejściem do wojny z narkotykami Foxa i Calderona sprowadza się do styki. Fox również wysyłał żołnierzy do walki z gangami, miał na koncie udane operacje i rekordową liczbę ekstradycji gangsterów. Nowościami wprowadzonym przez Calderona było zwiększenie liczby wojska w miastach i skuteczniejsze upublicznianie swoich antynarkotykowych działań. Do tego, co robił dodał też dużo ostrzejszą retorykę: według niego toczyła się wałka dobru ze złem, a przeciwnicy byli wrogami narodu. Mówił o wojnie, w której można być albo sprzymierzeńcem, albo wrogiem. Ten styl sprawiał, że zaczęto utożsamiać go z prowadzoną przez niego walką. Wojna i prezydent stawali się jednym.

Calderón wyniósł z rządów Nixona i Reagana lekcję, że wojna z narkotykami dobrze służy polityce. Obejmując urzędy, obaj ci mężowie sianu podkręcali retorykę i ogłaszali widowiskowe mobilizacje, za co wyborcy ich uwielbiali, Calderón zapewne miał też w pamięci precedens antynarkotykowych działań – operację „Kondor” w latach siedemdziesiątych. Wtedy rząd Meksyku spuścił *narcos* solidne manto i skutecznie rozstawił ich po kątach. Niewykluczone, że Calderón spodziewał się równie szybkiej i sprawnej kampanii, co było błędem popełnianym przez wielu polityków wikłających się w niekończące się wojny. Brytyjczykom wyruszającym na fronty pierwszej wojny światowej obiecywano, że wrócą do domów na Gwiazdkę.

Podobnie jak w czasie operacji „Kondor", Calderón mógł wykorzystać swoją wojnę i dać sygnał lewicowym buntownikom. Przez poprzednie 6 lat Calderón przyglądał się, jak Fox pozostaje bierny wobec coraz aktywniejszych, wrogich rządowi lewicowych grup, W miasteczku San Salvador Ateneo ludzie o lewicowych poglądach oprotestowali pian budowy lotniska, a następnie porwali policjantów i zagrozili, że ich zabiją, aż rząd ustąpił. W Oaxaca jedna z grup przejęła kontrolę nad stolicą stanu nu 5 miesięcy, a zwolennicy Lopeza Obradora zawładnęli centrum stolicy Meksyku na dwa miesiące. Przedstawiciele lewicy uważali, że toczą walkę z niesprawiedliwym systemem, w którym dobrze czują się bogaci, biedni zaś są ciemiężeni. Calderón krzywił się na ten, jak twierdził, wsteczny element w Meksyku. W pierwszych tygodniach rządów prezydenta agenci federalni aresztowali ważnego przywódcę buntu w Oaxaca, a sąd skazał przywódcę bojówek z Ateneo na 50 lat odsiadki. Calderón powtarzał uporczywie zdania o potrzebie odnowy kraju i konieczności umocnienia władzy. Te słowa można było odnieść zarówno do blokad ulicznych, jak j do pozbawionych głów ofiar *narcos.*

Stany Zjednoczone jak zwykle zaoferowały motywacyjną marchewkę, przy miesiące po objęciu urzędu Felipe Calderón spotkał się z Georgem Bushem juniorem w leżącym na południowym zachodzie miasteczku Merida, by ogłosić słynną już Merida initiative, czyli program amerykańskiej pomocy dla wojny z narkotykami. Uzgodniono, że Stany w ciągu 3 lat dostarczą sprzęt i zapewnią szkolenia warte w sumie 1,6 miliarda dolarów**[5]**. W skład tego wsparcia wchodzić miało trzynaście helikopterów Bell i osiem black hawków, cztery samoloty transportowe, najnowocześniejsze kamery na podczerwień i urządzenia do podsłuchiwania rozmów telefonicznych.

Inicjatywę tę skwapliwie porównano z planem „Colombia", który wspomógł andyjski naród w walce z kartelami i partyzantką. Należy jednak krytycznie zauważyć różnice. Plan „Colombia" oferował dużo większe pieniądze dużo mniejszemu krajowi i pomógł przeobrazić kolumbijskie siły bezpieczeństwa z wiejskich

stróżów prawa w realną siłę. Merida Initiative oferowała Meksykowi zaledwie 500 milionów dolarów rocznie, państwu, które w sumie na cele bezpieczeństwa wydawało rocznie 7 miliardów dolarów[6]. Takie wsparcie USA nie mogło dramatycznie zmienić sytuacji w kraju. Zwolennicy umowy z Meridy podkreślają jednak, że była ona ostatecznym uznaniem przez Stany, iż są głównym odbiorcą narkotyków. Zaczęła się ofensywa pod egidą USA i jakiekolwiek działania miał podjąć Meksyk, była to teraz również sprawa Wuja Sama.

Ofensywa Calderona już niebawem przyniosła rezultaty. Podczas szturmu agentów federalnych na rezydencję w Mexico City udało się przechwycić 207 milionów dolarów, rzekomo z obrotu metamfetaminą. Były to największe przechwycone kryminalne pieniądze w dziejach świata. W październiku 2007 roku oddziałowa meksykańskiej piechoty morskiej udało się pobić kolejny rekord. Niespodziewanie uderzyli w przemysłowym porcie Manzanillo pośrodku meksykańskiej linii brzegowej nad Pacyfikiem. Celem żołnierzy był kontenerowiec „La Esmeralda" pod banderą Hongkongu, który przypłynął z kolumbijskiego portu Bonaventura. Żołnierze przyjrzeli się podłogom i coś ich tknęło. Przebili je i... trafili w dziesiątkę. Paczki z kokainą były dosłownie wszędzie. Liczono je przez trzy dni, by na koniec ogłosić przechwycenie 23562 kilogramowych paczek, czyli ponad 23,5 tony kokainy. Nigdy więcej nie przechwycono tak wielkiego ładunku tego narkotyku. Zniszczono go w równie rekordowym, największym w historii kokainowym ognisku.

Mowa tu o ilości białego proszku, którą trudno objąć rozumem. By jakoś unaocznić ten ogrom, można powiedzieć, że były to 23 miliony gramowych woreczków z *yayo* albo 200 milionów białych kresek na 200 milionach lusterek. Kokaina ta sprzedawana po gramie na amerykańskich ulicach osiągnęłaby wartość 1,5 miliarda dolarów – w czystej postaci, bez dodatku mąki dla zwiększenia objętości. Calderón zasłużył na miano meksykańskiego Eliota Nessa. Gangsterzy byli coraz bardziej wściekli.

Podobnie jak pod koniec kadencji Foxa, tak i na początku rządów Calderona na ulicach Meksyku panowała przemoc. Zetas zwalczali Kartel z Sinaloa i ich stronników w 6 stanach. Obie strony z coraz większym zapałem kręciły filmy z egzekucji i podrzucały na ulice bezgłowe ciała. W sumie jednak liczba ofiar była niewiele większa niż w roku 2006.

W sierpniu gruchnęła wieść: Zetas i mafia z Sinaloa zgodzili się na zawieszenie broni. Jak to często bywało w wojnie narkotykowej, pierwszą wiadomością był cynk od anonimowego informatora – w tym przypadku od agenta DEA. Wkrótce jednak potwierdziły ją władze Meksyku, w tym prokurator generalny. *Narco* Edgar Valdez, przezywany z powodu jasnej karnacji Lalką Barbie, opowiedział, jak przebiegło spotkanie, na którym ustalono zaprzestanie walk[7].

Pokojowy szczyt handlarzy narkotyków odbył się w leżącym na północy kraju przemysłowym mieście Monterrey, pomiędzy kwaterą główną trzeciej pod względem wielkości na świecie firmy produkującej cement a fabrykami piwa Sol. Zadziwiające jest, że bossowie, którzy odcinali innym głowy, potrafili zasiąść do miłej pogawędki. Biznes jest jednak ważniejszy niż niesnaski. Według zeznań Valdeza obie organizacje przestępcze zgodziły się na wstrzymanie wzajemnych ataków i uznały za zasadne nakreślić na nowo swoje strefy wpływów. Kartel z Zatoki wraz z siepaczami Zetas mieli utrzymać północno-zachodni Meksyk, w tym Nuevo Laredo oraz wschodni stan Veracruz. Kartel z Sinaloa miał pozostać na swoich dawnych włościach, w tym między innymi w Acapulco, a ponadto nabyć prawa do działalności w leżącej na przedmieściach Monterrey dzielnicy San Pedro Garza, najbogatszym obszarze miejskim w całym Meksyku. Beltran Leyva miał być człowiekiem z ramienia mafii Sinaloa, dbającym o dobre stosunki z Zetas.

Pod koniec 2007 roku przeprowadziłem rozmowę z generałem Eduardo Medina Morą, pełnym optymizmu prokuratorem generalnym. W miesiącach po zwieszeniu broni liczba morderstw nareszcie spadła, rok skończył się z 2,5 tysiącem zabójstw „narkoty-

kowych”. To więcej niż w roku 2006, przyznawał Mora, jednak nareszcie ta wojna stawała się nieco mniej okrutna. Rząd mógł pochwalić się rekordowymi obławami, ekstradycjami bossów i był na drodze do odzyskania kontroli nad krajem, argumentował. Amerykańscy agenci DEA twierdzili, iż z żadnym meksykańskim prezydentem współpraca nie układała się tak dobrze. Niebawem miały dotrzeć helikoptery Black Hawk i rozpocząć działania. Po roku urzędowania Calderona sprawy wyglądały naprawdę doskonale. Prezydent ogłosił, że teraz skoncentruje się na innych palących, kwestiach, takich jak reforma systemu wydobycia ropy naftowej.

I wtedy Meksyk stanął w ogniu.

W 2008 roku wojna narkotykowa w Meksyku drastycznie przybrała na sile i stała się pełnowymiarowym powstaniem dowodzonym przez przestępców. Przez cały 2007 rok utrzymywała się średnia około 200 „narkotykowych” zabójstw miesięcznie. W 2008 roku liczba zabitych podskoczyła do 500 każdego miesiąca. Nastąpił gwałtowny wzrost liczby ataków na policję i urzędników państwowych, konflikt zaczął też dotyczyć osób cywilnych, czego przykładem była detonacja granatów w tłumie świętującym Dzień Niepodległości. Długotrwałe strzelaniny w dzielnicach mieszkalnych czy mordowanie 15 lub więcej ludzi m raz stawały się coraz częstsze. Z czasem wydarzenia te zwróciły uwagę amerykańskiej telewizji, a gazety zaczęły podawać, że w Meksyku toczy się prawdziwa wojna, chociaż wciąż unikały dokładnego określenia jej podłoża.

Geografia walk w 2008 roku również stawała się jasna. Nuevo Laredo, chociaż trzymane w żelaznym uścisku Zetas, było miejscem stosunkowo spokojnym. Do 80 procent morderstw dochodziło w 3 północno-zachodnich stanach Meksyku, tworzących trójkąt między górami Sierra Madre a granicą z USA: Sinaloa, Chihuahua i Baja California. Był to obszar zwyczajowo pod kontrolą narkotykowych baronów z Sinaloa. Chociaż szefowie tego środowiska zawsze toczyli walki, to po raz pierwszy wysłali przeciwko

sobie zorganizowane wojska. Tak więc pierwszym etapem meksykańskiej wojny narkotykowej było starcie Kartelu z Sinaloa z Zetas, drugą stanowiła wewnętrzna wałka w imperium gangsterów z Sinaloa.

Wojna między szefami z Sinaloa toczyła się przede wszystkim w 3 miastach: Ciudad Juárez, Tijuanie i Culiacán. Na tych frontach walczyli różni bossowie, w tym Joaquin „Chapo" Guzman czy Ismael Zambada. W Juárez ścierali się z pochodzącym z Sinaloa Vincente Carillem Fuentesem, w Tijuanie wspierali także pochodzącego z Sinaloa Teodora Garcię w walce ze spadkobiercami kartelu Arellano Félix (również z Sinaloa). W ich ojczystym stanie stanęli przeciwko swojemu dawnemu przyjacielowi i sojusznikowi Beltranowi Leyvie, Łatwo zrozumieć, że taka wojna domowa musiała kosztować życie ogromnej liczby ludzi. Dlaczego jednak narkotykowe imperium w 2008 roku stanęło w płomieniach?

Wysunięto dwie główne koncepcje mające wyjaśnić tę nagłą zmianę, Jedna z nich lansowana jest przez meksykański rząd i potwierdzana przez DEA: wojna była skutkiem presji wywieranej na kartele przez Calderona. W rezultacie takich przełomowych wydarzeń, jak przejęcie 23,5 tony „koksu"**[8]**, straty gangsterów sięgały miliardów dolarów. Powstałe napięcie skłoniło ich do rewizji listy dłużników i wymyślania, kto może wyrównać im te gigantyczne straty. Ludzi z Sinaloa zawsze cechowała kłótliwość, zabijali się w górach z powodu rozmaitych waśni, nie szczędzili też sobie ołowiu w getcie Tierra Blanca. Pod naciskiem działań Calderona te napięcia przerodziły się w otwarty konflikt zbrojny – agresję skierowano zarówno przeciwko swoim ziomkom jak i, w akcie desperackiej furii, przeciwko policji. Przemoc według rządu była zatem oznaką sukcesu, a kartele miały dzięki niej systematycznie słabnąć.

Inna koncepcja została wysunięta przez samych gangsterów i zyskała poparcie znacznej grupy meksykańskich dziennikarzy i naukowców. Według nich wojna wiązała się z korupcją w rzą-

dzie. Kartel Chapo Guzmana i Mayo Zambady, ośmielony dobrymi układami z państwowymi dygnitarzami, miał podjąć próbę przejęcia całego handlu narkotykami w Meksyku przy wsparciu wojsk federalnych. Guzman miał więc pomóc wsadzić do więzienia swoich rywali, takich jak brat Brody, Alfredo Beltran Leyva, którego żołnierze dopadli w Culiacán 21 stycznia 2008 roku, W odpowiedzi dotknięci tym bossowie mieli zaatakować siły państwowe współpracujące z Chapo. Takie oskarżenie powtarzało się na setkach obwieszczeń – *narcomantas* – wypisywanych na kocach i zwieszanych z mostów. Taka typowa wiadomość „ogłoszona" w Juárez, brzmiała:

Ta wiadomość jest dla obywateli, aby wiedzieli, że rząd chroni Chapo Guzmana, odpowiedzialnego za masakry niewinnych ludzi... Chapo Guzman jest chroniony przez Partię Akcji Narodowej od czasów Vincente Foxa, który zwrócił mu wolność... Ich układ nadal obowiązuje... Dlaczego mordują niewinnych? Dlaczego nie staną z nami do walki twarzą w twarz? Co siedzi w ich głowach? Zachęcamy rząd, by atakował równo wszystkie kartele.[9]

Rząd odrzuca tego typu zarzuty jako wymysły głupkowatych gangsterów, którzy nie potrafią się nawet pod nimi podpisać. Calderón apelował do mediów o niepublikowanie takiej „narkopropagandy". Jak już wspomniałem, nie ma konkretnych dowodów wskazujących na związki Calderona z Kartelem z Sinaloa.

Zdecydowanie jednak nie brakuje dowodów na to, że niektórzy urzędnicy państwowi wspierali ofensywę Chapo Guzmana. Pod koniec 2008 roku dochodzenie policyjne o kryptonimie „Sprzątanie" (Clean House) ujawniło siatkę 25 urzędników państwowych przyjmujących korzyści majątkowe od Kartelu z Sinaloa. Wśród nich byli wojskowi, dowódcy policji i detektywi. Jednak na przekór wspomnianej wcześniej teorii spiskowej istnieją także dowody na to, że siły państwowe współdziałały z przeciwnikami Chapo. Przy okazji tej samej operacji policjanci aresztowali 50 agentów rzekomo pracujących dla Brody.

Jak już wspomniałem, bardziej niż teorie spiskowe przemawiają do mnie teorie o nieudacznictwie. Calderon, mimo naj-

szczerszych chęci, wypowiedział wojnę *narcos,* polegając na zdeprawowanym aparacie państwowym, którego nie był w stanie w pełni kontrolować. Pod jego dowództwem policja i wojsko zadawali gangsterom dotkliwsze razy niż kiedykolwiek przedtem, jednak w ich szeregach nie brakowało ludzi gotowych przyjąć łapówkę, wskutek czego działania Calderona okazały się jedynie dolewaniem oliwy do ognia. Przemoc związana z handlem narkotykami od roku 2004 powoli eskalowała. A gdy rozdmuchać ogień, pali się on jeszcze jaśniejszym płomieniem.

Przez cały 2008 rok nieustannie odbierałem telefony z nieznanych numerów z całego świata. Słyszałem pełne napięcia głosy producentów telewizyjnych od Tokio po Toronto, gotowych przylecieć do Meksyku, by realizować materiały o wojnie narkotykowej. „Chcemy przez miesiąc pojeździć meksykańskim czołgiem i nakręcić materiał z frontu walk. Chcemy wywiadu z Chapo Guzmanem!" – wołali, domagając się jednocześnie stuprocentowego bezpieczeństwa. „Musimy mieć pewność, że naszej ekipie nic się nie stanie. Czy możemy otrzymać stuprocentową gwarancję, że nie zostaną zastrzeleni czy porwani?"

Stacje telewizyjne przysyłały doświadczonych korespondentów, którzy opowiadali o swoich przygodach z bośniackimi żołnierzami, rozprawiali o tym, jak ocierali się o wybuchy bomb w Czeczenii czy podróżowali przez płonące pola naftowe w Kuwejcie. Wielu z nich pracowało wcześniej pod opiekuńczymi skrzydłami armii amerykańskiej. Chcieli wypracować sobie podobny układ z wojskiem w Meksyku. Szybko jednak zdali sobie sprawę, że tutejsza wojna ma zupełnie inny charakter. Nie istniała tu żadna elitarna jednostka, z którą mogliby jeździć, robić wywiady z jej ogorzałymi wojakami i filmować kamerą termowizyjną ataki rakietowe. Nie było tu obozów nieprzyjaciela, którym mogliby przypatrywać się z bezpiecznej odległości.

Meksykańska policja i wojsko mieli swobodę poruszania się po kraju, niestety mogli też być w dowolnym miejscu zaatakowani. Trafiały ich nie rakiety czy pociski z samolotów, ale serie z ka-

łasznikowów łub granat. Pewnego dnia w Culiacán zginęło 7 policjantów. Bilans następnego dnia: 20 zabitych w Tijuanie, W kolejnym dniu w swoim domu w stolicy zginął ich dowódca. I jak tu znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze?

Najwięcej kontaktów miałem w Sinaloa, skupiłem się więc na obserwowaniu wojny z tej perspektywy. Co miesiąc leciałem samolotem do Culiacán w towarzystwie coraz to innej ekipy telewizyjnej, chcącej filmować potyczki zbirów Chapo Guzmana i Beltrana Leyvy. W 2008 roku w Sinaloa zginęło 1162 ludzi, z czego większość w Culiacán, więc ekipy filmowe miały pewność, że uda im się zobaczyć przynajmniej tuzin zabitych. Praca dziennikarza na froncie walk to posępny i krwawy kawałek chleba.

Rysownik z Culiacán był tak ubawiony widokiem rosłych *gringos* uganiających się w kamizelkach kuloodpornych, że postanowił to zilustrować: *Wobec nieoczekiwanego pojawienia się w naszym stanie reporterów, operatorów, dziennikarzy i fotografów z całego świata i wobec ich trudności z rozwikłaniem osobliwej slangowej terminologii dotyczącej tutejszej*: *przestępczości, postanowiliśmy wyjść im naprzeciw i stworzyć ten oto przewodnik po mowie lokalnej dla korespondentów wojennych* – tak rozpoczynał się komiks w gazecie „La Locha”. Potem następowała lista zabawnych tłumaczeń lokalnych pojęć kryminalnych, takich jak:

Sicario: *bardzo eleganckie określenie płatnego zabójcy.*

Kartel: *spory ród.*

Ejecutado: *skutek szybkiej rozprawy i wyroku nałożonego na członka nieprzyjaznego kartelu.*

Balacera *lub* tiroteo: *strzelanina lub wymiana ognia; brać nogi za pas.*[10]

By znaleźć się w centrum wydarzeń w Culiacán, podjąłem pracę z doświadczonym fotografem z Sinaloa specjalizującym się w dokumentowaniu przestępczości, Fidelem Duranem. Fidel miał 40 lat, posturę niedźwiedzia, gęstą brodę, nosił złoty medalik z Judą Tadeuszem i mówił z ciężkim akcentem z Sinaloa, co w

sumie nadawało mu wygląd niezłego m*acho*. Od dziesięcioleci robił zdjęcia ofiarom mafii i dobrze zrozumiał istotę konfliktu. Po latach pracy dla miejscowych gazet założył z kolegą własną stronę internetową o nazwie *Culiacán* AM, gdzie pełno było zdjęć morderstw i rzezi. Niektórzy krytykowali ją, twierdząc, że jest niesmaczna, była jednak bardzo licznie odwiedzana nie tylko przez internautów z Sinaloa i całego Meksyku, ale również przez osoby z USA. Miała dzięki temu godną pozazdroszczenia liczbę reklam, zachwalających tak telefony komórkowe, jak i kluby ze striptizem.

Wydawało się, że Fidel zna prawie każdego mieszkańca Culiacán, w tym policjantów stanowych, z każdym ciepło się witał i gawędził o rodzinie i znajomych. Jednak policjanci federalni i żołnierze byli „obcymi", pochodzącymi z innych części Meksyku. Traktowali nieufnie fotografów, którzy z kolei uważali ich za przyjezdnych mających względem ich miasta niecne zamiary. Śledząc operacje federalnych, fotografowie powtarzali, że robią to także po to, by upewnić się, że obcy nie okradną domów lub nie skrzywdzą ludzi.

Fidel zajmował się także miejscowymi gangsterami. Raz wybrał się nawet z dziennikarzami do położonego w górach domu rodzinnego Chapo Guzmana, by przeprowadzić wywiad z jego matką. Żyła w zrujnowanej wiosce La Tuna w prostym domu, chociaż była tam służąca. Señora Guzman oburzała się na obwinianie jej syna o tyle zła, a jego ucieczkę z więzienia określiła jako „opuszczenie go bez zezwolenia". Następnie ugotowała dziennikarzom obiad.

Kiedy dochodziło do morderstwa, strzelaniny czy nalotu, Fidel był jednym z pierwszych na miejscu zdarzenia. Jego krótkofalówka nigdy nie milczała. Policjanci, fotografowie czy ktoś z olbrzymiej grupy znajomych telefonowali do niego z wieściami o padających strzałach, zabitych czy wybuchach granatów. Telefon odzywał się zawsze w czasie posiłku. Fidel uwielbiał jeść, więc dbałem o to, by ekipy telewizyjne zabierały nas do najlepszych knajp serwujących owoce morza czy pieczone kurczaki. Gdy do-

cierały do nas wieści o wymianie ognia, wybiegaliśmy w pośpiechu, a Fidel w ostatniej chwili chwytał krewetki czy co lepsze kąski ryb. Pędząc samochodami, paliliśmy gumy jak zawodowi kierowcy wyścigowi. Meksykańscy fotografowie zajmujący się dokumentowaniem zbrodni są najagresywniejszymi kierowcami, jakich znam. To dlatego, że czas dotarcia na miejsce jest najważniejszy i od niego zależy, czy zrobią dobre zdjęcie. Mknęliśmy więc przez skrzyżowania na czerwonych światłach, by oglądać jeszcze jeden tłum wpatrujący się w pociski na betonowym chodniku, kolejnych kilka ciał, jeszcze jedną zrozpaczoną rodzinę.

Wojna o wpływy w Nuevo Laredo w 2005 roku wydawała mi się straszna. Jednak to, co przyniósł rok 2008 w Culiacán, było porażające. Walczący szefowie toczyli walki w środku miasta, jakby okrutnie bawili się żołnierzykami. Uzbrojeni ludzie Chapo Guzmana atakowali kryjówkę Beltran Leyvy, miotając granaty i podkładając bomby zapalające. Leyva odpowiadał następnego dnia, podrzucając zmasakrowanie ciała gangsterów Chapo w bagażniku samochodu. Bandziory Chapo ostrzeliwali knajpę, w której pili ludzie Brody. Mordercy Brody udawali się do warsztatu samochodowego, będącego własnością współpracownika Chapo, i masakrowali wszystkich znajdujących się tam ludzi.

Chapo kontra Broda! Tych dwóch ludzi wychowywało się razem w górach, razem przez lata trudnili się przemytem narkotyków, razem poszli wojnę z Zetas, a teraz ze sobą walczyli. Dzięki latom przepracowanym ramię w ramię, wiedzieli o sobie prawie wszystko: gdzie są kryjówki, którzy policjanci pracują dla kogo, jakie są ich firmy przykrywki. Oto, dlatego obie strony mogły się mordować z taką skutecznością. To dlatego wojna była tak krwawa.

Zwalczający się gangsterzy stanowili swoje przeciwieństwa: Chapo był mały, czasem nosił wąsy, czasem nie, Beltran Leyva był rosłym osobnikiem z brodą godną drwala. Chapo sam kierował swoją firmą, Beltran Leyva pracował z czterema braćmi, z których każdy był groźnym przestępcą. Można powiedzieć – ro-

dzinna specjalność.

Dziewiątego maja Beltran Leyva uczynił tę sprawę jeszcze bardziej osobistą: jego ludzie zamordowali syna Chapo. Edgar Guzman był dwudziestodwuletnim studentem, o którym mówiono, że nie był szczególnie aktywny w organizacji ojca. Stal na parkingu przed supermarketem z dwoma przyjaciółmi tuż obok swojego kuloodpornego forda lobo. Zaatakowało ich 15 zbrojnych, ładując w trzech młodych ludzi 500 kuł. Miejscowy operator przybył na miejsce zdarzenia wkrótce po zajściu i sfilmował leżące na chodniku zmasakrowane zwłoki Edgara Guzmana, w lewej ręce ściskające belgijski pistolet nazywany mordercą policjantów. Kiedy mieszkańcy Culiacán zobaczyli te ujęcia, wiedzieli, że szykuje się katastrofa.

Chapo Guzman miał ponoć zebrać na pogrzeb syna wszystkie róże z północno-zachodniego Meksyku, na grobie znalazło się ich 50 tysięcy. O śmierci Edgara napisano balladę. A potem Chapo poszedł na wojnę. Strzelaniny w centrum Culiacán były coraz częstsze. Pewnego majowego wieczoru goście siedzieli na głównym placu miasta, kiedy przecznicę dalej zaczęła się kanonada. Przerażeni rzucili się pod stoły. Mieszkańcy sami wprowadzili coś w rodzaju godziny policyjnej i przez cały maj i czerwiec nocami nie wychodzili z domu. Oddali ulice bandytom. Potem, małymi krokami, ludzie wracali do dawnych zwyczajów, akceptując nowy poziom przemocy jako część życia.

Kilka godzin przed zamordowaniem Edgara Guzmana inny zabójca pracujący dla *narcos* 1300 kilometrów dalej, w stolicy, popełnił inne brzemienne w skutki morderstwo, Edgar Milian, pełniący obowiązki dowódcy policji federalnej, wchodził do swojego domu w dzielnicy Guerrero. Czekający na niego zabójca strzelił z niewielkiej odległości. Ochroniarz Miliana odpowiedział ogniem, raniąc atakującego. Umierający szef policji ostatnim tchem pytał: „Kto cię nasłał? Kto cię nasłał?”. Zanim morderca udzielił odpowiedzi, Milian zmarł.

Policja federalna zatrzymała podejrzanych, w tym przekupionego funkcjonariusza, który dał mordercy klucze do domu Mi-

liana. Po przesłuchaniach obwieszczono, że zabójstwo zlecił nie kto inny, jak Beltran Leyya. Atak miał być rewanżem za aresztowanie w styczniu jego brata. Broda stał się jeszcze większym wrogiem państwa meksykańskiego niż Zetas.

Dla meksykańskiego establishmentu zamordowanie szefa policji federalnej było sygnałem do pobudki. Jak to możliwe, że tak wysoki rangą funkcjonariusz został zabity w swoim własnym domu w stolicy? Problem przestępczości stawał się problemem bezpieczeństwa narodowego.

Policjanci federalni dokonali nalotu na Culiacán, szukając zbirów Beltrana Leyvy, Jednostka policji ścigająca podejrzanego została zwabiona do dzielnicy klasy średniej, gdzie grupa uzbrojonych mężczyzn zaskoczyła ją ogniem z broni automatycznej. Zginęło 7 policjantów, a mordercy zniknęli jak kamfora. Rebelia pod wodzą Beltrana Leyvy trwała w najlepsze.

Wybrałem się na miejsce zasadzki. Mordercy otworzyli ogień zza metalowych drzwi garażu, wykorzystując je jako osłonę. Podziurawione setkami kul drzwi wyglądały jak tarka do sera. Inni strzelcy strzelali do policjantów z okien. Budynek był opuszczony, więc wszedłem do środka, by się rozejrzeć. Ludzie Brody zostawili po sobie śmiecie: opakowania z niedojedzoną pizzą i sfatygowane magazyny pornograficzne. Można było sobie wyobrazić, jak siedzieli, jedząc pizzę i wertując „świerszczyki", czekając, aż pojawią się ich ofiary.

Tuż obok mieszkał człowiek handlujący rybami. Ludzie, którzy wchodzili do budynku, wydali mu się podejrzani, ale uznał, że dla własnego bezpieczeństwa lepiej to zignorować. Kiedy rozległy się strzały, leżał na podłodze swojego domu wraz z żoną i dwójką dzieci, modląc się, by przez okno nie wpadła zabłąkana kula.

Gdy podczas upalnego lata przez Culiacán przetaczała się wojna gangsterów, mieszkańcy miasta próbowali żyć normalnie, choć pociski *narcos* trafiały coraz częściej osoby postronne. Ludzie, którzy stracili bliskich, byli zdruzgotani, przerażeni i wyobcowani. Unikali jak mogli kontaktów z policją czy prasą z obawy

przed zemstą gangów. Matki zabitych dzieci zaczęły się spotykać i rozmawiać o swoim bólu. Razem czuły się silniejsze, otwarcie mówiły o morderstwach i domagały się sprawiedliwości.

Spotkałem te rodziny i przekonywałem je, by opowiedziały swoje historie ekipom telewizyjnym, z którymi pracowałem. Jednak rozmowy z zagranicznymi dziennikarzami były dla nich ryzykowne. Zastanawiały się, czy są obserwowane przez gangsterów łub policjantów szpiegujących dla tych pierwszych. Czy opowiadanie o ich zabitych dzieciach może rozdrażnić kogoś potężnego? Czy narażą w ten sposób inne swoje dzieci? Tłumaczyłem, że musimy udokumentować ich przypadki, by skłonić rząd do zajęcia się tym problemem. Tylko mniej więcej 5 procent tych dochodzeń kończy się wyrokiem, tłumaczyłem. Presja mediów zmusi rząd do działania. Była to tylko część prawdy. Chciałem ich spowiedzi przed kamerami, ale nie wiedziałem, czy rząd się nimi przejmie.

Najwięcej odwagi miała Alma Herrera, pięćdziesięcioletnia bizneswoman i samotna matka. Była w doskonałej formie jak na swoje lata, wyglądała 15 lat młodziej, miała zadbaną lekko śniadą cerę i nosiła eleganckie sukienki. Jej imię po hiszpańsku znaczy „dusza". Mówiła ze słodkim melodyjnym akcentem ludzi z Sinaloa, stawiając zarzuty tak jednoznacznie, że bałem się o nią już wtedy, gdy zadawano jej pytania. Przypominała dzielną matkę z Tijuany, która napisała list do magazynu „Zeta" obwiniający gangstera Arellano Félixa o zabicie jej synów. Alma mówiła:

„Nasi synowie giną w najlepszych latach swojego życia. Giną tak młodo, a sprawiedliwości brak. Czy władze obawiają się odkrycia prawdy o tych morderstwach? Czy boją się dlatego, że tylu policjantów i polityków w Sinaloa współpracuje z mafią?".

Alma mieszkała wcześniej z dwoma synami: dwudziestoośmioletnim Cesarem i szesnastolatkiem Cristobalem. Cesar był postawnym i przyjacielskim młodym człowiekiem o silnych dłoniach i gęstych czarnych włosach. Szczupły nastoletni Cristobal był wyjątkowo rozmowny.

Pewnego wieczoru w rodzinnym SUV-ie wysiadły hamulce.

Cesar, choć znał się na samochodach, nie potrafił usunąć usterki, więc obiecał nazajutrz zabrać auto do mechanika. Rano bracia pojechali bardzo ostrożnie do warsztatu. Był upalny, zupełnie zwyczajny środowy poranek. U mechanika była już jednak kolejka, więc Cesar i Cristobal gawędzili i żartowali z innymi klientami warsztatu. W sumie na podwórku znajdowało się 10 osób.

Nagle o jedenastej do warsztatu wpadł oddział uzbrojonych mężczyzn. W chwili, gdy weszli, Cesar leżał pod samochodem, przyglądając się hamulcom. Jego brat i 8 innych klientów znajdowali się na widoku. Padły strzały. Mordercy wystrzelili setki kul do wszystkich w zasięgu wzroku. W ciągu kilku sekund 9 osób, w tym Cristobal, było martwych.

Nie zauważyli jednak Cesara leżącego pod autem. To ocaliło mu życie, Dwie kule trafiły go w nogę, ale nie czuł bólu. Myślał tylko: Jeśli mnie zauważą, to po mnie. Jeden z zabójców upuścił magazynek z amunicją tuż obok samochodu, pod którym leżał chłopak. Jeśli się po niego schyli, myślał Cesar, nie żyję.

Minuty ciągnęły się jak godziny. Bandyci chodzili po warsztacie, upewniając się, że nikt, kto mógłby ich rozpoznać, nie przeżył. Jakimś cudem nie zauważyli Cesara i odeszli.

Chłopak odczekał jeszcze kilka ciągnących się jak wieczność minut, po czym wyczołgał się spod auta i spojrzał na leżące wokół zwłoki. Ciał było 9, o dwa więcej niż w historycznej masakrze w dniu świętego Walentego w Chicago, a był to tylko pomniejszy epizod w meksykańskiej wojnie. Jednym z zabitych był Cristobal. Cesar nie mógł nic zrobić dla brata.

Cesar miał we krwi tyle adrenaliny, że nie czuł bólu, choć w jego nodze utkwiły dwie kule. Wybiegł z warsztatu, zanim przyjechali policjanci zbadać miejsce strzelaniny Odjeżdżający mordercy nadal siali chaos: pędząc przez miasto, ostrzelali policyjny patrol.

Chłopak przeszedł kilka przecznic, wkraczając w tłum ludzi zaprzątniętych codziennym życiem: zakupami, odbieraniem dzieci ze szkoły, zastanawianiem się, co zjeść na lunch – ludzi zupełnie nieświadomych mającej nieopodal miejsce rzezi. Działanie adre-

naliny powoli słabło. Na środku ulicy Cesar nie myślał o tym, by jak najszybciej dotrzeć do szpitala i uratować nogę, ale o swoim bracie Cristobalu i matce Almie. Zadzwonił do niej: „Mamo, w warsztacie była strzelanina. Mnie nic nie jest, ale nie wiem, co się dzieje z Cristobalem". Niełatwo jest powiedzieć własnej matce, że przed chwilą zginął jej syn.

Alma znalazła Cesara i zawiozła go do szpitala. Chirurg usunął kulę i noga nieźle się zagoiła. Cesar nie mógł szybko biegać, ale mógł chodzić. Jedna z lokalnych gazet omyłkowo podała, że chłopak zginął w masakrze. Nie sprostował tego, nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że udało mu się ujść z życiem. W rzeczywistości, leżąc pod samochodem, niczego nie widział, lecz ludzie mogliby pomyśleć inaczej. Jego przyjaciele zaczęli go unikać. Obawiali się, że w razie zamachu na Cesara kula może dosięgnąć kogoś stojącego obok.

Alma straciła młodsze dziecko. Nikt nie powinien być na pogrzebie własnego syna, szczególnie gdy żył tylko 16 lat. Jeden z moich przyjaciół stracił córkę i tak mi o tym opowiedział: „Kiedy tracisz dziecko, okazuje się, że nikt nie może ci zrobić nic gorszego". Sfilmowałem Almę, jak płacze nad grobem Cristobala, trzymając jego duże zdjęcie. Obraz ten mignął przez kilka sekund na telewizorach nawet w dalekich krajach.

Cesar i Alma dowiedzieli się później, że warsztat samochodowy należał do handlarza narkotyków. Mordercy zostali nasłani przez jego rywala. Walka z przeciwnikiem polegała na zniszczeniu wszystkiego, co do niego należało: ochrony policyjnej, siepaczy i mienia. Ale czy musiał zginąć również niewinny szesnastolatek? Czy dzięki tej śmierci *capo* zbliżył się do zwycięstwa?

Po naciskach Aliny i innych rodzin biuro prokuratora generalne, go wreszcie zajęło się tą sprawą. Dwa lata później śledztwo nadal nie przyniosło rezultatów. Rząd zajmuje się 35 tysiącami morderstw związanych z narkotykami, jest wśród nich sprawa śmierci wiodącego kandydata na stanowisko gubernatora oraz zamordowania tuzinów burmistrzów i wysoko postawionych policjantów. Masakra w warsztacie samochodowym w Cu1iacan

jest daleko na liście priorytetów. Alma i inne matki wybrały się więc do stolicy Meksyku, by protestować na głównym placu. Stały w morzu ludzi, były jedną z grup w buzującej od protestów stolicy.

Chapo i Beltran Leyva wojowali ze sobą przez cały 2008 rok. Jednak w 2009 roku meksykańskie siły federalne, wspomagane przez amerykańskich agentów, zaczęły zacieśniać krąg wokół Brody. Federalni wpadli na święto *narcos* uświetnione koncertem znanych muzyków, ale Brodzie udało się wymknąć. W grudniu 2009 roku wywiad amerykański wyśledził go w Cuernavaca, uzdrowiskowym miasteczku położonym około godziny jazdy samochodem od Mexico City, gdzie w XVI wieku konkwistador Hernan Cortes założył ogromną plantację. Pola uprawne wokół miasta służyły Brodzie jako lądowiska dla samolotów z kokainą.

Amerykańscy agenci przekazali adres kryjówki Leyvy meksykańskiej piechocie morskiej – elitarnej jednostce szkolonej wraz z dowództwem wojsk USA na Amerykę Północną – Northern Command. Dwustu żołnierzy tej grupy otoczyło budynek, a ponad nim zawisł helikopter. Beltran Leyva zatelefonował do swojego starego kumpla i protegowanego, Edgara Valdeza zwanego Lalką Barbie, z prośbą o przysłanie odsieczy. Barbie odpowiedział, że sytuacja wygląda na beznadziejną i poradził Brodzie, by się poddał. Ten odparł, że nie zamierza złożyć broni.

Marines próbowali zdobyć budynek szturmem. Beltran Leyva i jego komando najbardziej oddanych mu zbrojnych odpowiadali ogniem z okien i rzucali granaty. Po dwóch godzinach żołnierze wdarli się do środka i roznieśli wszystko na strzępy. Broda i pięciu jego ludzi zostali zmasakrowani. Zginął jak postać grana przez Ala Pacino w filmie *Człowiek z blizną*, gwałtowną śmiercią. Miał 47 lat**[11]**.

Ktoś postanowił zabawić się zwłokami Beltrana Leyvy. Być może byli to żołnierze, być może technicy sądowi. Ściągnięto mu spodnie do kostek i obsypano go banknotami dolarowymi. Gangsterzy zabawiali się ciałami zabitych policjantów, dlaczego więc

nie poigrać z martwym gangsterem? Zaproszono fotografów, by zrobili zdjęcia zbezczeszczonych zwłok Brody. W ciągu kilku godzin w Internecie było ich pełno.

Rząd Calderona popełnił błąd, urządzając uroczysty pogrzeb żołnierzowi, który zginął w obławie. Ludzie w mundurach opuścili trumnę do grobu i wystrzelono w niebo salwy. Następnego dnia rodzina czuwała i modliła się za zmarłego w położonym pośród bagien na południu Meksyku miasteczku El Paraiso – co po hiszpańsku znaczy „raj". Do oświetlonego świecami pomieszczenia wtargnęli uzbrojeni ludzie i zamordowali matkę, ciotkę, brata i siostrę żołnierza. Calderón nazwał morderców „tchórzami", co jednak nie zagłuszyło przekazu gangsterów: „Jeśli z nami zadrzesz, wymordujemy całą twoją rodzinę". Od tamtego czasu personalia żołnierzy walczących z *narcos* utrzymywane są w tajemnicy.

Kobiety i dzieci pogrzebały Beltrana Leyvę na cmentarzu Humaya w Culiacán, gdzie nie brakuje pretensjonalnych grobowców całych pokoleń handlarzy z Sinaloa. Policja i wojsko czekali w pobliżu, licząc, że pojawią się poszukiwani bracia gangstera. Ci jednak się nie zjawili, na pogrzeb przyszły tylko kobiety i dzieci. Kilka tygodni później na grobie Leyvy zatknięto obciętą głowę. Na drastycznym zdjęciu widać szczegóły: ofiara to wąsaty mężczyzna po trzydziestce, głowa leży między dwoma bukietami. Śmierć Brody nie położyła kresu nienawiści.

Zabicie Brody, jednego z najpotężniejszych handlarzy w dziejach było ogromnym zwycięstwem Calderona. Nie oznaczało jednak końca przemocy. Dla odmiany to lokalne mafie zamierzały przejąć lukratywne tereny po Beltranie Leyvie, przenosząc wojnę z Sinaloa i północno-zachodniego Meksyku do centrum kraju i na południe. Strony zmieniały sojuszników, zdradzały się i mściły krwawo, zaogniając już i tak gorący konflikt. Wojna narkotykowa w Meksyku weszła w trzecią, jeszcze okrutniejszą fazę, walki toczyło już kilkunastu watażków w tuzinie stanów.

W międzyczasie nie ustawały starcia między szefami z Sina-

loa, walki w Ciudad Juárez stały się jeszcze bardziej zażarte. Do konfliktu zaangażowano tysiące bandziorów z rozległych slumsów miasta: *barrio* wojowały z *barrio*. W 2009 roku Ciudad Juárez zyskało niechlubny status najkrwawszego miasta na Ziemi, wyprzedzając Mogadiszu Bagdad czy Kapsztad**[12]**. Dziesiątki tysięcy ludzi uciekły za granicę, do El Paso. Ich ucieczka odbiła się negatywnie na gospodarce, a coraz liczniejsi bezrobotni chętnie wstępowali w szeregi gangów. Było to typowe błędne koło. Ciudad Juárez wkroczyło na drogę wiodącą do upadku.

Pod koniec 2009 roku wydawało się, że sprawy nie mogą przedstawiać się gorzej. Niestety, tak się właśnie siało. Gdy wojsko i policja zaangażowali się w wojnę w Sinaloa, czyli na północnym zachodzie, Zetas rozpanoszyli się w całym wschodnim Meksyku, w południowych stanach Oaxaca i Chiapas oraz przy granicy z Gwatemalą. Wielu Zetas pochodziło z biednych wiejskich rodzin i werbowali coraz więcej takich jak oni, tworząc komórki w każdym miasteczku, wiosce czy *barrio,* jakie napotkali na swojej drodze. W 2010 roku szacowano, że Zetas liczyli ponad 10 tysięcy zbrojnych**[13]**. Gdziekolwiek się pojawili, znaczyli swój szlak wymuszeniami porwaniami i grabieżami. Dawni bossowie Kartelu z Zatoki nie byli w stanie nad nimi zapanować, bo stanowili oni armię, na której czele stali mordercy pokroju Lazcana alias Oprawcy. Przemoc przestała być sposobem wymuszania kontroli, stała się podstawowym językiem służącym codziennej komunikacji. Zbrodnie, jakich się dopuszczali, jak na przykład zamordowanie 72 imigrantów, przyprawiały o mdłości nawet doświadczonych bossów. Przekraczali wszelkie granice okrucieństwa.

Wielu ludzi, zarówno z kręgów państwowych służb bezpieczeństwa wewnętrznego, jak i starych ludzi karteli, widziało w Zetas psychopatów niezdolnych do funkcjonowania w społeczeństwie, których jak najprędzej należy się pozbyć. Gangsterzy nawoływali w wiadomościach pisanych na transparentach i publikowanych w Internecie do jak najszybszego rozwiązania tego problemu. To sprowokowało jedną z najbrutalniejszych dotych-

czas bitew narkotykowej wojny toczącą się głównie na kluczowym dla Zetas północnym wschodzie kraju. Zetas zwalczali oddziały wojskowe i te nasłane przez wrogie kartele bronią automatyczną dużego kalibru i granatnikami przeciwpancernymi. Te walki wyglądały jak prawdziwa wojna, starcia trwały wiele godzin, ginęły dziesiątki ludzi. W 2010 roku liczba zabójstw związanych z narkotykami drastycznie wzrosła do szokujących 15 tysięcy zabitych od wiosny do zimy.

Calderón dodatkowo zwiększał wojskową ofensywę, powtarzając swoją mantrę: „Nie ulegniemy wrogom Meksyku". Lecz atakujące wojska przysporzyły mu kolejnego zmartwienia: z rąk żołnierzy ginęli cywile. Kiedy wysyła się wojsko, by uporało się z przestępczością, ofiary wśród niewinnych obywateli są nie do uniknięcia. Tak działo się podczas tak zwanych misji pokojowych w Afganistanie, Iraku czy Irlandii Północnej by wymienić tylko kilka przykładów. Istotnie, żołnierze meksykańscy nie byli obcokrajowcami szturmującymi Faludżę. Pochodzili jednak często z odległych stanów, najczęściej z ubogiego południa kraju, i wysłano ich na misje na zamożniejszą północ. Walczyli z przeciwnikiem, który stapiał się z otoczeniem, podobnie jak powstańcy w Bagdadzie, Kandaharze czy Belfaście. Żołnierze wkrótce stali się okupantami patrzącymi krzywo na miejscowych, jako na potencjalnych zabójców nasłanych przez *narcos*. I rzeczywiście, wielu z tych ludzi było oczami i uszami narkotykowych mafii.

Podobnie jak wojska w Irlandii Północnej czy Iraku, siły bezpieczeństwa w Meksyku stały się celem ataków przeprowadzanych metodami partyzanckimi. Jednymi z najdotkliwszych ataków tego typu były: porwanie i zamordowanie 10 żołnierzy w Monterrey, zasadzka, która skończyła się śmiercią 5 wojskowych w Michoacan, samochód pułapka w Ciudad Juárez, gdzie zginęło 3 policjantów. Jednak najbardziej uciążliwe były codzienne pułapki i porwania agentów w małych grupach. Żołnierze byli podenerwowani, przestraszeni i agresywni, otwierali ogień do samochodów zbyt opieszale zatrzymujących się do kontroli, jak w Sinaloa, gdzie zabili 2 kobiety i 3 małych dzieci. Kiedy indziej przy-

padkowo zabijali osoby postronne, walcząc z ludźmi karteli, tak zginęło 2 studentów w Monterrey. Co jeszcze gorsze, żołnierzy oskarżano o nadużycie władzy, tortury, gwałty i morderstwa. Cztery nastoletnie dziewczyny w Michoacan zeznały, że zostały uprowadzone do koszar i zgwałcone. Po 4 latach ofensywy Calderona kule policji i wojska zabiły ponad 100 niewinnych cywili**[14]**.

Calderón znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Wojna, którą zachwalał przez pierwszy rok swoich rządów, wymknęła się spod kontroli. Kilkakrotnie usiłował zepchnąć ją na drugi plan, mówiąc, że koncentruje się na innych sprawach, za każdym razem jednak nowa masakra czy rzeź znów zwracała na nią uwagę mediów. Konflikt porównywano do wojny w Iraku w najgorszym jej okresie. Była to walka, której Calderón nie potrafił wygrać, ale nie mógł jej przerwać.

W 2011 roku, cztery i pół roku po triumfalnym przejęciu władzy, Calderón sprawiał wrażenie człowieka przejętego sytuacją, ale i zmęczonego. Wojsko i policja federalna aresztowały kolejnych wielkich szefów, lecz równocześnie następowała eskalacja przemocy. Prezydent wycofywał się ze swojej buńczucznej militarnej retoryki, twierdząc, że problem jest w gruncie rzeczy kryminalny. Winił media za nadmierne eksponowanie rozlewu krwi i kreowanie negatywnego obrazu kraju. Niezbyt przekonująco obiecywał, że pokona El Narco do czasu wyborów w 2012 roku. Konstytucja Meksyku nie przewiduje powtórnego objęcia urzędu prezydenta przez te samą osobę, często więc ludzie piastujący ten urząd pod koniec kadencji tracą wigor i zapał do rządzenia.

Rząd Obamy był coraz bardziej niepewny, jak ustosunkować się do sytuacji w Meksyku. Oficjalnie dygnitarze wychwalali pod niebiosa kampanię prowadzoną przez Calderona, ale przecieki WikiLeaks pokazały, że dyplomaci prywatnie mieli poważne wątpliwości, dokąd zmierza wojna z handlarzami, W styczniu 2011 roku sekretarz stanu Hillary Clinton obwieściła w Meksyku, że Calderón wygrywa wojnę – co było częścią kampanii gojenia ran po przeciekach WikiLeaks, Nagle jednak w lutym druga od

góry osoba w cywilnym pionie departamentu obrony, Joseph Westphal, zaprzeczył słowom Clinton, mówiąc, że zbuntowani gangsterzy stanową zagrożenie dla suwerenności Meksyku.

„Mówimy tu o możliwości przejęcia władzy przez osoby zdeprawowane i mające zupełnie odmienne od naszych cele. (...) Wolałbym nie wyobrażać sobie sytuacji, w której musielibyśmy wysyłać nasze wojska do walki z powstaniem przeciwko władzy toczącym się za naszą południową granicą”.[15]

Rząd Meksyku znów podkreślił, że o żadnym zagrożeniu suwerenności nie ma mowy, i Westphal cofnął swoje słowa. Jednak ta wpadka przedstawicieli rządu USA dowodzi, że Stany są coraz bardziej zdezorientowane, jeśli chodzi o sytuację w Meksyku, i ich poparcie dla aktualnie obranego kursu maleje.

Podczas gdy kandydaci na prezydenta wyrażają chęć przejęcia sterów państwa meksykańskiego, po obu stronach granicy trwa burza mózgów i próbuje się ustalić kierunek, w jakim podążać powinna wojna z El Narco. Dlaczego tak wielka liczba agentów i tak spektakularne obławy, zamiast ograniczyć zjawisko, przyczyniają się do jego eskalacji? Jak lepiej szkolić policjantów? Skąd biorą się niezliczone zastępy morderców w szeregach karteli? By móc odpowiedzieć na te pytania, należy przyjrzeć się od środka narkobiznesowi w Meksyku i dowiedzieć się, co pcha ludzi do mordowania z zimną krwią. Przyjrzyjmy się zatem samej istocie El Narco.

CZĘŚĆ DRUGA

Anatomia

ROZDZIAŁ 8
Handel

Tak oto dobiegła końca moja kariera przemytnika – kariera wymarzona dla osoby o hardym i niespokojnym duchu, która wymaga przebudzenia wszelkich uśpionych sił, kariera, którą wypełniają trudności i ryzyko. Wielu ludzi pomagało mi, gdy poszedłem tą ścieżką, i ukrywało mnie, myliło pogonie i umożliwiało ucieczkę przed czujnym okiem łotrów, których nie brakuje przy naszych wybrzeżach.

John Rattenbury, *Memoirs of a Smuggler*
(Wspomnienia przemytnika), 1837

Dla amatora twardych narkotyków pomieszczenie z dowodami rzeczowymi w meksykańskiej bazie wojskowej w Culiacán byłoby cudownym snem. Znajduje się tam tyle metamfetaminy, kokainy, trawki, heroiny i ecstasy, by nakręcić, ukoić, rozbawić człowieka i pokazywać mu latające elfy przez milion lat. A może nawet trochę dłużej.

Jest to baza w bazie, chroniona drutem kolczastym i monitorowana przez system kamer, które, jak nam przypomniano, będą filmować nas, dziennikarzy, podczas naszej wizyty pewnego słonecznego grudniowego popołudnia. Chociaż używa się określenia „pomieszczenie", jest to właściwie magazyn pozbawiony okien i wyposażony w potężne stalowe drzwi. Przy każdym ich otwarciu agenci federalni przecinają specjalne pieczęcie, a po ich zamknięciu zakładają nowe. Robią to, by mieć pewność, że wojskowi trzymają się z dala od tych gór towaru. A także po to byśmy i my to widzieli. Na ulicy w USA ten narkotykowy skarbiec można by spieniężyć za setki milionów dolarów.

Generał Eduardo Solorzano prowadzi nas przez tę jaskinię pełną kontrabandy. Jest niskim żołnierzem pod pięćdziesiątkę o masywnej żuchwie, z okularami na końcu nosa, noszącym czarną kamizelkę pełną elektroniki, krótkofalówek i telefonów komór-

kowych, do których rzuca coś od czasu do czasu władczym tonem. Komentarze, którymi uzupełnia nasz spacer, wypowiada w suchym wojskowym żargonie, chociaż ożywia się, gdy wśród worków, paczek i zawiniątek uda mu się wypatrzyć coś szczególnie ciekawego.

Już przy samym wejściu wita nas trochę magiczny, a trochę toksyczny aromat. Po lewej wyrastają góry zapakowanej w folię marihuany, po prawej znajdują się pokaźne wory ściętych krzaków tej psychodelicznej rośliny wraz z nasionami, które mogłyby dać początek prawdziwemu zaczarowanemu lasowi. Idąc dalej, natrafiamy na stertę sporych, błękitnych, metalowych patelni – takich, na jakich w Meksyku przygotowuje się w restauracjach zupy typu pozole czy consome. General Sołorzano podnosi przykrywkę jednej z nich i oznajmia z uśmiechem: „To metamfetamina". Patelnię wypełnia biała masa nieopakowanych pigułek, która przelewa się w naczyniu jak mieszanina kryształków lodu ze zsiadłym mlekiem. W rogu udaje nam się zauważyć klasyczny produkt eksportowy Sinaloa, heroinę w postaci czarnej smoły, która wygląda jak czarna plastelina wypełzająca z żółtych puszek.

W prowadzonej ewidencji ilość każdego przechowywanego tu narkotyku podawana jest w kilogramach, w sumie jest tutaj tego ponad 7 ton. Od czasu do czasu jakiś urzędnik za biurkiem wyda nakaz zniszczenia porcji heroiny, marihuany czy metamfetaminy, która zostanie stąd wywieziona i spalona w wielkim ognisku. Wolną przestrzeń szybko zapełniają nowe dostawy, zdobyte w czasie cotygodniowych najazdów na kryjówki gangsterów znajdujące się w Culiacán i okolicznych wioskach oraz ranczach.

W dniu naszej, wizyty, ku uciesze fotoreporterów, pojawia się taka właśnie dostawa. Podjeżdża ciężarówka i żołnierze wynoszą z niej setki brązowych paczek, które lądują w magazynie. Generał Solorzano bierze jedną z nich, sięga do kamizelki po nóż i ostrożnie wycina w opakowaniu trójkącik, który ujawnia biały proszek. *Cocaina!* – wykrzykuje triumfalnie. Technik laboratoryjny wkrótce potwierdza jego słowa. Specjalista w białym fartuchu przeprowadza badanie, korzystając z przenośnego zestawu

umieszczonego w czymś, co wygląda jak samochodowa skrzynka na narzędzia. Wyciąga fiolkę z różowym roztworem i miesza to z małą próbką przechwyconego „śniegu". Mieszanka natychmiast robi się niebieska – to rzeczywiście narkotyk.

General Solorzano, choć o głowę niższy, w barach jest dwukrotnie ode mnie szerszy; odwraca się i patrząc mi w oczy, mówi z poważną miną: „Spróbuj. No, dalej". Patrzę na twarze oficerów, agentów i techników, by upewnić się, czy nie żartuje. Wszyscy mają poważne i surowe miny. Nabieram więc odrobinę kokainy na czubek palca i próbuję. Kokaina ma niepowtarzalny gorzkosłodki smak, nie jest ani smaczna, ani odrzucająca. Jest jak lekarstwo, którego próbujemy bardzo ostrożnie, by po chwili się przekonać, że nie jest wcale takie złe. „Teraz twój język pójdzie spać, oznajmia generał, a na jego twarzy pojawia się uśmiech. To kokaina w najczystszej postaci". Rzeczywiście, mój język drętwieje. Czuję też, że troszkę kręci mi się w głowie, chociaż może to z powodu upału albo późny efekt naszego porannego przyglądania się, jak żołnierze ścinają i podpalają całe pole marihuany. Złote płomienie wytwarzały chmury psychoaktywnego dymu, które wędrowały aż po horyzont w kierunku gór.

Przeprowadziłem kiedyś wywiad z szefem FBI w jednym z większych miast po amerykańskiej stronie granicy z Meksykiem. Zadał sobie trud i przeczytał moje artykuły. Mówiąc z silnym nowojorskim akcentem, opowiedział mi, jak spędził 15 lat nad Rio Grande, ścigając handlarzy narkotyków.

„Lubię twoje teksty. Nowym rekrutom pokazuję je jako przykład tego, jak nie patrzeć na handel narkotykami".

Nie udało mi się nie rzucić urażonego spojrzenia. „Co z nimi jest nie tak?" – zapytałem. Odparł, że są w porządku. Chodzi po prostu o to że koncentrują się na rzeczach, które w pracy agenta nie mają znaczenia. W nasze dziennikarskie oko wpadają ekstrawaganccy bossowie czy zmiany na mapach wpływów karteli. Tak naprawdę handel nie wygiąć w ten sposób. Chodzi w nim o transport towaru, i tyle. Narkotyki się produkuje, transportuje,

sprzedaje oraz bierze. Wystarczy pójść ich śladem i aresztować handlarzy. Można zapomnieć o legendach na temat narkobaronów czy precyzyjnie wyrysowanych mapach terenów będących we władaniu karteli.

Jest w tym dużo racji. Sedno El Narco, czyli meksykańskiego handlu narkotykami, to po prostu biznes. I jak w każdym biznesie, reguły rządzące produkcją i sprzedażą produktów odgrywają o wiele bardziej fundamentalną rolę niż szyldy czy rządzący firmami dyrektorzy. Magazyn dowodów rzeczowych w Culiacán jest doskonałym przykładem istoty biznesu. Widać w nim ogromne piony El Narco: tony produktu w najróżniejszych formach i opakowaniach. Któż zgadnie, ile różnych karteli czy bossów wyłożyło na to wszystko pieniądze? i kogo tak naprawdę to obchodzi? Te psychoaktywne substancje przeszły przez tysiące rąk w drodze od pól uprawnych, przez laboratoria, statki, samoloty czy: ciężarówki. I wszystko to trafia pod jeden dach, gdzie ma udowadniać dziennikarzom skuteczność państwa w zwalczaniu handlarzy. Odnosi: też jednak odwrotny skutek: stanowi namacalny dowód ogromnej wydajności tej gałęzi podziemnego przemysłu.

Narkotykowa branża w Meksyku nigdy nie śpi. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, 365 dni w roku gdzieś hoduje się rośliny, syntetyzuje związki chemiczne, ktoś zajmuje się transportem, *burros* przenoszą towar przez granicę. Każdego dnia gdzieś w Stanach obywatele tego kupują narkotyki pochodzące z Meksyku i wdychają je, wciągają czy wstrzykują sobie w żyły. Bossowie rosną w siłę i upadają, nastolatki eksperymentują, narkomani przedawkowują, a narkomaszyna pracuje jednostajnie zgodnie z rytmem Ziemi wirującej wokół Słońca.

Wszyscy wiemy, iż wydajność tej machiny jest tak ogromna, że mogłaby rywalizować z największymi działami gospodarki tego kraju. Wraz z eksportem ropy naftowej przyczynia się do stabilizacji peso. Daje tysiące miejsc pracy, wiele z nich w biednych wiejskich rejonach, gdzie są najbardziej potrzebne. Przy-

chody, jakie generuje, trafiają do najróżniejszych sektorów gospodarki, w szczególności do branży hotelarskiej, hodowlanej, stadnin koni wyścigowych, wytwórni płytowych i filmowych oraz drużyn sportowych.

Brakuje nam jednak wiarygodnych informacji na ten temat. Przeważają szacunki. Na nich z kolei opierają się kolejne przybliżenia, mnożymy nieznane przez niewiadome i powstają wątpliwe statystyki. Zarówno media, jak i władze nakręcają karuzelę nieprecyzyjnych informacji. Uwielbiamy ozdabiać nasze teksty czy komunikaty prasowe liczbami. Magazyn „Forbes" oszacował majątek Chapo Guzmana na miliard dolarów – okrągła cyfra z mnóstwem imponujących zer. Skąd się jednak wzięła? W dużej mierze z powietrza. W latach siedemdziesiątych DBA podała, że Meksykańscy handlarze tymczasowo kontrolują trzy czwarte rynku heroiny w USA po tym, jak agenci unicestwili francuski kanał przerzutowy. Rok później ujawniono, że kolumbijscy dilerzy marihuany kontrolują trzy czwarte amerykańskiego rynku trawki po tym, jak z branży wypadli Meksykanie, Coż za zbieg okoliczności! A może „trzy czwarte" to dyżurna liczba, która oznacza po prostu „bardzo dużo narkotyków"?

Jednak meksykańska branża narkotykowa jest na tyle znacząca, że powinniśmy poznać jej rozmiary. Najbardziej wiarygodne wartości można uzyskać po udanych obławach przy południowej granicy USA. Są to ilości przechwyconego towaru, które można porównywać rok po roku. Wiadomo, że jechały z Meksyku, by trafić do odbiorców w Stanach.

Ogólne wnioski są proste i nikogo chyba nie zaskoczą: przemyca się od cholery narkotyków. W 2009 roku agenci celni „przetrzepali" samochody i osoby piesze przekraczające przejścia graniczne, by przechwycić 298,6 tony marihuany, heroiny, kokainy i metamfetaminy. W tym samym czasie patrole krążące po pustyni i nad rzekami przechwyciły 1,159 tony marihuany, 10 ton kokainy i 3 tony heroiny. To wystarczająca ilość narkotyków dla setek milionów użytkowników, warta na ulicy miliardy dolarów. Nikt jednak nie potrafi powiedzieć, jaka ilość narkotyków

przeciekła służbom przez palce. Ta wartość – najważniejsza z nich wszystkich – pozostaje nieznana.

Narkotyki są konfiskowane od lat. W 2006 roku służby celne zaksięgowały 211 ton narkotowaru, w 2007 liczba ta podskoczyła do 262 ton, by w 2008 roku spaść do 242 ton. W 2009 roku jednak znowu wzrosła do 298 ton[1]. Agenci pracujący na granicach sądzą, że ta ostatnia zwyżka może być spowodowana większą liczbą zatrudnionych agentów, ale nie mają pewności. Być może to skutek wzmożonej aktywności handlarzy, Jedno jest pewne: wojna z narkotykami prowadzona przez prezydenta Felipe Calderona z tysiącami strzelanin, obław i rzezi nie spowalnia nurtu narkotyków płynącego na północ.

Na granicy w Ciudad Juárez ilość przejętych narkotyków zmniejszyła się wraz z eskalacją przemocy: z 90 ton w 2007 roku do 75 ton w 2008 roku i 73 ton w 2009 roku. Było to wciąż jednak więcej niż 50 ton przejętych w 2006 roku, kiedy liczba zabójstw również była niewielka. Przy przejściach granicznych między San Diego a Tijuaną 103 tony w 2007 roku wzrosły do 108 ton w 2008 roku, kiedy walki między kartelami zbierały krwawe żniwo.

Może brzmi to jak zabawa liczbami, służąca jedynie samozadowoleniu władz, tak jednak nie jest. Te dane mają złowrogie implikacje: meksykańskie kartele mogą funkcjonować na pełnych obrotach mimo krwawych bitew toczonych zarówno z konkurencją, jak i siłami rządowymi. Narkobiznes doskonale radzi sobie w warunkach wojny. Gangsterzy nadal mogą strzelać w centrach miast, rozrzucać odcięte głowy i szmuglować te same ilości towaru. Nie zapowiada to rychłego pokoju.

Meksykański przepis na narkodolary jest niezawodny.

Najpierw zdobądź kokainę. Kolumbijski wieśniak sprzeda wiązkę liści koki z osiemdziesięcioarowego poletka za 80 dolarów. Po pierwszym etapie prostej obróbki chemicznej, zwanej *chagra,* jako kilogram kokainowej papki znajdzie nabywcę w kolumbijskich górach za około 800 dolarów. Ten półprodukt musi przejść przez laboratorium, by stać się kilogramową paczką kry-

stałicznie czystej kokainy – taką, jaką pokazał mi generał Solorzano. Według Organizacji Narodów Zjednoczonych taka paczka, kształtem przypominająca cegłę, warta jest 2147 dolarów w portach Kolumbii, by na granicy ze Stanami osiągnąć cenę 34700 dolarów, która wzrośnie do 120 tysięcy na ulicach Nowego Jorku[2]. Handel i dystrybucja tego towaru – będące w rękach meksykańskich gangsterów – oznacza zysk wysokości 6 tysięcy procent od rąk handlarza do nosa klienta. Jeśli policzyć wzrost wartości od producenta (wieśniaka) do ostatecznego nabywcy, jest to 150 tysięcy procent wzrostu wartości. Czy ktoś słyszał o bardziej lukratywnym biznesie?

Meksykańskie kartele mają swoich ludzi w Kolumbii trudniących się składaniem zamówień. To jednak Kolumbijczycy dostarczają Białą Damę do Meksyku i Ameryki Środkowej, w szczególności do Hondurasu i Panamy. Taka formuła oznacza, że handlarze z Meksyku są górą nad producentami z Kolumbii. Szef działu DEA operującego na terenie Kolumbii, Jay Bergman, wyjaśnił mi to, używając kilku porównań:

„Kto naprawdę rządzi światową gospodarką opartą na podaży i popycie? Kto decyduje: meksykańscy handlarze czy Kolumbijczycy, którzy narkotyki produkują? Dystrybutor czy producent?

Czy w legalnym obszarze gospodarki rządzi silna marka producent taka jak Colgate, czy ogromna sieć supermarketów, taka jak Walmart, zajmująca się zbytem? W rzeczywistości to Walmart decyduje: »Tyle jesteśmy skłonni zapłacić, to cena za sztukę, to jest termin dostawy, tak to ma wyglądać«. Stanowisko Colgate jest następujące: »Jak długo nam się to opłaca, tak długo będziemy pracowali na tych warunkach, im więcej naszego produktu weźmiecie, tym większą damy wam zniżkę. To wy będziecie decydowali. Dajcie nam znać, gdzie mamy to dostarczyć, w jakiej formie, sprzedajcie to gdziekolwiek chcecie, tylko sprzedajcie...«. Z takim właśnie rozwiniętym rynkiem kokainy mamy do czynienia .

Z Ameryki Środkowej meksykańscy gangsterzy przerzucają narkotyki okrętami, w tym podwodnymi, lub awionetkami. Ge-

nerał Solorzano pokazał mi samoloty handlarzy skonfiskowane w Sinaloa. Są to głównie jednosilnikowe cessny kupione w Stanach za około 50 tysięcy dolarów za sztukę. Obecnie to wojsko przechowuje samoloty, bo kiedy znajdowały się w bazie policyjnej, gangsterom udało się do niej włamać i odzyskać część z nich. W ciągu ostatnich dwóch lat żołnierze przechwycili 200 takich maszyn. Widok samolotów zaparkowanych na lotnisku robi ogromne wrażenie. A to tylko odsetek całej floty!

Kiedy narkotyki pojawiają się w Stanach, zarabiają na nich najróżniejsi ludzie: ci, którzy przewożą je na statkach, w ciężarówkach, ci, którzy towar magazynują, a także ci, którzy szmuglują go przez granicę. By wszystko jeszcze bardziej skomplikować, narkotyki są po drodze wielokrotnie kupowane i sprzedawane. Ludzie, przez których ręce przechodzi towar, często nie mają bladego pojęcia, od jakiego kartelu czy bossa pochodzi, znają tylko ludzi, z którymi bezpośrednio się stykają. Zapytajcie nowojorskiego dilera kokainy, kto przemycił jego towar do Stanów. Najczęściej nie będzie potrafił udzielić odpowiedzi.

To wszystko tłumaczy, dlaczego handel narkotykami prowadzony przez meksykańskich handlarzy jest tak skomplikowaną siecią, z której rozplataniem mają problemy i dziennikarze, i agenci antynarkotykowi. Wyśledzenie każdej osoby, która zetknęła się z towarem podczas jego drogi do celu, jest niezmiernie trudne.

Jednak w całym tym dynamicznym, ciągle ewoluującym biznesie istnieje coś pewnego – są to obszary wpływów, inaczej zwane rewirami. Narkotyki muszą w drodze do granicy przejść przez teren, na którym gangsterzy pobierają myto za przewóz. Takie rewiry są czymś niezwykłym, nieznanym w innych krajach parających się produkcją narkotyków, jak Kolumbia, Afganistan czy Maroko. Jest to także jeden z powodów, dla których wojna między gangsterami stała się tak krwawa.

Ogromne profity przyciągają do handlu najrozmaitszych ludzi: wieśniaków, nastolatki ze slumsów, uczniów, nauczycieli, ludzi biznesu, znudzone dzieciaki z bogatych domów i masę in-

nych, zwabionych zapachem sporej gotówki. Często podkreśla się, że w ubogich krajach ludzie uciekają się do handlu narkotykami z rozpaczy. To prawda, ale w całym procederze nie brakuje też osób należących do klasy średniej czy nawet zamożnych. Dorastając na południu Anglii, znałem mnóstwo ludzi przemycających towar i handlujących nim, a byli wśród nich zarówno chłopcy z prywatnych szkół, jak i beneficjenci opieki społecznej. W Stanach też nigdy nie brakowało ludzi chętnych do przewozu narkotyków i handlu nimi. Istotą problemu jest to, że ten towar wiąże się z niezłymi dochodami nawet z punktu widzenia ludzi majętnych, i nie brakuje takich, którzy potrafią odłożyć skrupuły na bok.

Iran Escandon jest jednym z tysięcy ludzi, którzy uczestniczyli w transporcie białego proszku na północ. Spotykam go w miejskim więzieniu w Ciudad Juárez, gdzie gra na instrumentach klawiszowych w więziennej kapeli akompaniującej nabożeństwom. W moich poszukiwaniach prawdy o El Narco przeprowadziłem wywiady z dziesiątkami handlarzy w więziennych celach, *cantinas* i ośrodkach odwykowych. Iran jednak wyróżnia się spośród nich wszystkich jako szczególnie niewinny. Może to brzmieć niedorzecznie, skoro sam przyznał się do obrotu kokainą. Wydawał mi się jednak niewinny w tym sensie, że był nieszkodliwy i naiwny. Nigdy w przeciwieństwie do wielu przemytników, nie był ani człowiekiem gangu, ani narkomanem, nie był też policjantem, który zszedł na złą drogę, ani mordercą. Aresztowano go z 40 kilogramami kokainy, kiedy miał zaledwie 18 lat. Nagle skończyła się jego młodość i dostał dziesięcioletni wyrok. Kiedy się z nim spotkałem, zostały jeszcze cztery lata.

Mówi głosem tak cichym, że muszę pochylić głowę, by go usłyszeć. Jego wątłą sylwetkę skrywa puchowa kurtka. Różni się od innych więźniów prężących wytatuowane torsy, zbudowane wyciskaniem betonowych bloczków w palącym słońcu, jego oczy są duże i ciepłe. Siedzi na krawędzi pryczy w celi dzielonej z sześcioma innymi więźniami. Opowiada mi swoją historię:

„Znalazłem się tutaj przez samochody. Po prostu kochałem auta, Uwielbiałem je naprawiać, konstruować. Uwielbiałem się też nimi ścigać. Samochody były moją pasją”.

Iran wyrósł w Cuahtemoc, stutysięcznym mieście położonym między ranczami bydła a sadami owocowymi, 5 godzin jazdy na południe od Ciudad Juárez. Kiedy miał 17 lat, porzucił szkolę średnią, by pracować w warsztacie samochodowym swojego przyjaciela. Przez 14 godzin dziennie demontował baki. podrasowywał silniki, lakierował karoserie.

„Braliśmy stare wraki i zamienialiśmy je w maszyny, które mogły ścigać się jak rakiety Szybko nauczyłem się każdego rodzaju samochodu, od aut sportowych, przez pick-upy, aż po terenówki”.

W jego oczach błyszczy radość, kiedy wspomina tamte stare dobre czasy zanim zamieszkał w więzieniu najniebezpieczniejszego miasta świata, czasy, które teraz wydają się odległe o całe wieki, są wspomnieniem, do którego chce kiedyś wrócić.

Jego rodzina była kochająca, choć uboga. Ojciec był zapracowanym robotnikiem, człowiekiem wierzącym, jednym z coraz liczniejszych w Meksyku ewangelików. Podobnie jak ojciec, Iran wierzy w osobistą więź z Jezusem. Wierzy także w ciężką pracę oraz w to, że aby wyjść na ludzi trzeba się starać. I tym właśnie dla niego były uliczne wyścigi. W sobotnie noce on i jego przyjaciele brali samochody, które „poprawili” w warsztacie, i ścigali się z innymi kierowcami. W Meksyku te nielegalne uliczne wyścigi nazywane są *arrancones*. Gdy wspominam *Szybkich i wściekłych,* Iran wybucha śmiechem.

„To nie były wyścigi jak w filmach. Nie było gangów z walizkami pieniędzy i uzi. Było tylko kilku przyjaciół kochających się ścigać. Wrzucaliśmy w nasze maszyny, co tylko się dało, byliśmy kreatywni i pomysłowi. I dzięki temu udawało nam się pokonać drużyny mające więcej kasy niż my. To superuczucie”.

Pewnego popołudnia, kiedy Iran zaprzątnięty był jakimś brudnym silnikiem, w warsztacie pojawił się klient z samochodem do naprawy. Był dobrze ubranym człowiekiem w średnim wieku po-

chodzącym z Guadalajary, o miłym glosie. Kiedy naprawiono jego auto, zaproponował chłopakom pracę: przejechanie samochodem na północ stanu za 10 tysięcy pesos, czyli około 900 dolarów. Opony miały być pełne czystej kolumbijskiej kokainy.

„Pomyśleliśmy, hej, dziesięć tysięcy pesos za banalną jazdę na północ. A jakie maszyny moglibyśmy za te pieniądze skonstruować, ile wyścigów dzięki temu wygrać... Nie czuliśmy wtedy, że robimy coś złego. Byliśmy po prostu kurierami".

Po tej pierwszej pracy Iran z kumplami świętowali. Tydzień później znów pojawił się ten sam człowiek i poprosił o podobną przysługę. Po kilku dniach zjawił się ktoś z Sinaloa z kolejną przesyłką do przewiezienia. Niebawem robili po kilka kursów tygodniowo. Pracy było tyle, że musieli szukać innych dzieciaków, by dla nich jeździły. Udawało im się przewozić do 120 kilogramów kokainy, za co dostawali 50 tysięcy pesos, czyli 4,5 tysiąca dolarów. Siedemnasto– i osiemnastolatkom te pieniądze wydawały się fortuną, chociaż był to zaledwie drobny ułamek kwoty, za jaką narkotyk ten miał być sprzedany w nocnych klubach USA.

„W ciągu kilku miesięcy z ludzi bez grosza przy duszy zmieniliśmy się w takich, którzy nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi. Inwestowaliśmy nie tylko w maszyny, część pieniędzy przekazywałem mojej rodzinie. Co miesiąc zmieniałem też auto – najpierw miałem escorta, potem jettę, a na koniec mustanga. Kiedy mieliśmy forsę, nagłe zaczęły interesować się nami dziewczyny. Z jedną zamieszkałem. To wszystko działo się tak szynko".

Te cudowne czasy miały jednak szybko minąć. Tuż po swojej osiemnastce Iran dostał największe zlecenie: miał przewieźć 40 kilogramów koki z Cuahtemoc przez granicę do Kolorado za atrakcyjną kwotę 15 tysięcy dolarów. Gdy jechał do Ciudad Juárez, żołnierze zatrzymali go i przeszukali jego samochód. Kiedy zajrzeli pod maskę i zbadali opony wstrzymał oddech. Znaleźli towar.

„Była to chwila jak z koszmaru. Wyciągnęli kokainę, a moje serce przestało na chwilę bić. To wszystko było nierealne, jak bajka, W pół roku od zera doszliśmy do bogactwa. I nagłe to

wszystko miało się skończyć".

Organizacja przemytnicza już nigdy nie skontaktowała się z Iranem, nie udzieliła mu też reprymendy za utracony towar. Może jego wpadka była zaaranżowana, aby w tym samym czasie granicę mógł przekroczyć inny, większy ładunek, co jest znaną metodą handlarzy. Kiedy Iran i jego koledzy wozili narkotyki na północ, z całą pewnością równoległe robiły to dla tych samych handlarzy grupy, które nie miały o sobie nawzajem pojęcia.

Więzienie w Ciudad Juárez było przerażającym, pełnym przemocy i zupełnie nowym środowiskiem dla szczupłego osiemnastolatka. Za jego murami przypomniał sobie głęboką wiarę ojca. Nie mógł tutaj pracować przy samochodach, więc całą energię poświęcił grze na klawiszach w więziennej kaplicy.

„Straciłem rodzinę i nic tylko. Musiałem się przystosować do tych twardych, brutalnych warunków. Musiałem dorosnąć i stać się mężczyzną. Nie mogę oglądać się za siebie i żałować, tamte lata minęły, muszę patrzeć w przyszłość. Kiedy stąd wyjdę, chcę uczyć się muzyki. Chcę, by muzyka stała się moim życiem. To znaczy oczywiście, jeśli uda mi się przeżyć".

Na meksykańskim pograniczu każdy ma kogoś, kto wplątał się w handel narkotykami: kuzyna, brata, kolegę z klasy czy sąsiada. Każdy ma jakąś opowieść. Kierowca taksówki wiózł kiedyś klienta, który pod swetrem upchał 10 kilo białego proszku, podczas przeszukania domu pracownika opieki społecznej znaleziono milion dolarów w gotówce, brat i ojciec pewnej kelnerki odsiadują wyrok dożywocia w amerykańskim więzieniu za handel narkotykami, kuzyn pewnego biznesmena zabrał się do handlu i skończył rozpuszczony w wannie pełnej kwasu.

Wszyscy wiedzą, że narkotyki oznaczają szybkie pieniądze. Jeśli straciłeś pracę, masz do spłacenia raty za dom czy marzysz o nowym aucie – zawsze możesz zatrudnić się jako *burro*, czyli osoba przenosząca towar przez granicę. Kręcąc film o życiu młodych ludzi w Ciudad Juárez, rozmawiałem z nastolatkami i młodymi ludźmi z *barrio*, którzy podjęli taką pracę. Kartel oferował standardową stawkę 1000 dolarów za przewiezienie do Stanów

około 30 kilogramów marihuany, za heroinę, kokainę czy metamfetaminę więcej. Jechać można było własnym autem albo podstawionym przez kartel. Cała operacja zajmowała 3 godziny, a pieniądze wypłacane były natychmiast po jej zakończeniu, i to w gotówce. Zarabiało się tyle, ile przez miesiąc harówki w hali montażowej w Juárez. Można było przejechać się raz albo kursować 4–5 razy w tygodniu i zarabiać poważne sumy.

Szczególnie poszukiwane są osoby z podwójnym obywatelstwem albo zieloną kartą. Rozmawiałem z dwudziestoletnim mieszkańcem El Paso, który wykonał kilka kursów po 1000 dolarów każdy. Uzyskane pieniądze przeznaczał na pomoc mamie i wyposażenie studia muzycznego. Potem jednak go złapano i dostał 5 lat w zawieszeniu, nakaz noszenia etykietki i imieniem i nazwiskiem, zakaz wychodzenia z domu po zmroku i przekraczania granicy z Meksykiem. Zapytałem go, co najbardziej go w tym drażni. To, że musi siedzieć w nudnym El Paso i nie może pojechać do i Juárez do kumpli, odparł.

Ogromna pomysłowość meksykańskich przemytników była tematem wielu programów w amerykańskiej telewizji. W Meksyku istnieje cała branża specjalistów konstruujących tajne schowki w samochodach w oponach, w bakach czy pod siedzeniami. Wykonuje się też specjalne pojemniki do ciężarówek, które wyglądają jak zbiorniki na paliwo i które, by je sprawdzić, trzeba najpierw rozciąć palnikiem. Rozpruwanie samochodów jest ciężką harówką dla pracowników urzędów celnych w takim miejscu, jak Laredo, gdzie dziennie granicę przekracza 10 tysięcy samochodów ciężarowych. Zdarzają się też porażki, takie jak wypatroszenie samochodu, który był czysty jak łza.

Wielu ludzi pracujących dla handlarzy omija przejścia graniczne i idzie przez pustynię. Doszło do tego, że gangi szyją plecaki zaprojektowane tak, by zmieściło się w nich jak najwięcej trawki czy białego proszku. Przez granicę przechodzą setki tysięcy osób, nie jest więc trudno przemytnikom wcisnąć się między nich. Ten aspekt jest często podnoszony przez zwolenników „zmilitaryzowania granicy”.

Inni nie przechodzą przez przejścia, ale też ich nie omijają, Idą pod nimi. Meksykańscy przemytnicy zbudowali ogromną sieć podziemnych tuneli, która mogłaby konkurować z tymi w Strefie Gazy. Dla ludzi służb ochrony pogranicza likwidacja tuneli przez zalewanie ich betonem jest jak gra zręcznościowa: gdy wyeliminują jeden, natychmiast pojawia się nowy. Nie są to prymitywne krecie nory. Kartele opłacają prawdziwych inżynierów, którzy tworzą tunele z drewnianymi stemplami, solidnymi betonowymi podłogami, elektrycznym oświetleniem, a nawet z wózkami szynowymi, którymi przewozi się narkotyki, jeden z takich tuneli, zaczynający się w Otay Mesa w Kalifornii, liczył trzy czwarte kilometra[3]. Inny. mający 150 metrów, kończył się w niepozornie wyglądającym palenisku, w Tecate po stronie meksykańskiej.

Jest jeszcze sztuka kamuflażu. W Meksyku wypróbowano każdy sposób maskowania, i to najdziwniejszy, jaki można sobie wyobrazić. Przemytnicy chowali kokainę pod warstwą czekolady w batonikach, w arbuzach, wsypywali ją do lalek z włókna szklanego, czy nawet wykonali z niej imitację pucharu za grę w piłkę nożną. Jeden z przemytników posunął się jeszcze dalej: umieścił heroinę w imitacjach pośladków, które przykleił do swoich prawdziwych. Niestety, narkotyk przedostał mu się do krwi i spowodował jego śmierć.

W pokoju hotelowym w Culiacán dwudziestojednoletnia kobieta imieniem Guadalupe pokazuje z dumą nowy sposób ukrycia marihuany. Pracuje dla gangsterów z Sinaloa, którzy zgodzili się, by porozmawiała z dziennikarzami, a nawet by sfotografowali ją z narkotykami. Nie zażądali za to niczego. Być może chcą zademonstrować, jacy są zmyślni. Najwyraźniej nie boją się też, że wyjdą na jaw ich tajemnice.

Guadalupe bierze zieloną świecę w szklanej oprawie i usuwa z niej wosk, używając do tego metalowej łyżeczki. Po jej prawej ręce leży duży stos marihuanowego zielska, które przebiera i wciska do małych woreczków. Następnie bierze rolkę filmu Fuji, wy-

ciąga go z oprawki i owija wokół jednego z woreczków z marihuaną. Tak powstałe zawiniątko wpycha do wydrążonej świeczki i zamyka ją woskiem. Tak oto powstaje wyglądająca zwyczajnie świeczka wypełniona trawką. A wszystko to wykonane zostaje ze zręcznością gwiazdy telewizji prezentującej kucharskie sztuczki przed obiektywami kamer.

„To nowa technika i jedna z najbardziej skutecznych. Zapach wosku jest bardzo intensywny, a policjantom nie chce się tracić czasu na usuwanie go. Została wymyślona przez grupę ludzi, których jedynym zadaniem jest opracowywanie nowych sposobów przenoszenia towaru".

Już wcześniej słyszałem o takich ludziach. Nazywani są *cerebros,* czyli „mózgi", ich zadaniem jest wymyślanie nowych sposobów przemycania towaru. Ich odpowiednikiem w świecie korporacji są copywriterzy, którzy popijając latte, łamią sobie głowy nad nowym opakowaniem pasty do zębów czy chwytliwym sloganem dla Big Maca. Guadalupe opowiada:

„Kiedy pierwszy raz przekraczałam granicę z tym czymś, byłam przerażona. Ale nauczyłam się kontrolować lęk, tak by się nie zdradzić i uniknąć złapania, jeśliby mnie złapali, nie byłoby mnie tu".

Guadalupe ma aksamitny głos i lśniące czarne włosy. Wiele kobiet z Sinaloa wkłada wyzywająco obcisłe sukienki, wysokie obcasy, obwiesza się złotem i klejnotami. Guadalupe nosi się jednak skromnie: ma proste czarne dżinsy i czerwoną koszulkę w białe wzory. Mówi, że najlepiej ubierać się dyskretnie, by nie przyciągać uwagi. Do handlu narkotykami wciągnął ją przyjaciel ze szkoły średniej, kiedy miała 17 lat.

„Zwierzyłam mu się, że mam problemy finansowe. Powiedział mi czym się zajmuje, i poznał mnie z innymi z branży, pokazał, jak szybko można zarobić duże pieniądze. Z początku myślałam, że tak pracują tylko faceci, ale teraz widuje się coraz więcej kobiet. Dzieje się tak pewnie z powodu kryzysu w kraju".

Urodziwe młode kobiety mają szczególną wartość dla mafii.

Doskonale radzą sobie z nawiązywaniem i utrzymywaniem kontaktów, wyjaśnia Guadalupe, i są niezrównane w szpiegowaniu. Oprócz transportowania narkotyków, jej pracodawcy wysyłali ją, by zbierała informacje na temat konkurencji, policji, polityków lub innych spraw, o których chciał wiedzieć kartel. Raz nawet wysłano ją na krótko do Rosji, gdzie miała przyjrzeć się pracy tamtejszych przestępców i ocenić, czy da się z nimi robić interesy.

„Miałam przyjrzeć się, jak wygląda ta ich mafia, w jaki sposób prowadzi się tam interesy. Mieliśmy kontakt z rosyjskimi gangsterami. Sprawdzałam, czy moglibyśmy skontaktować ich z ludźmi stąd, czy udałoby się przerzucać tam nasze narkotyki. Nie było jednak takiej możliwości. Mają swoje własne metody i są bardzo zorganizowani. Nie było szans na połączenie sił".

Innym razem, w Meksyku, Guadalupe dostała zadanie uwiedzenia i przespania się z mężczyzną, by móc go szpiegować i wyciągać od niego informacje.

„To był mój obowiązek. Musiałam to zrobić, by stać się pełnoprawnym pracownikiem. Była to też najgorsza rzecz, jaką musiałam zrobić dla moich szefów. To było okropne: uwiedzenie człowieka tylko po to, by zdobyć informacje".

Amerykanie wydają na narkotyki więcej niż jakikolwiek inny naród na świecie. Nie w tym dziwnego. Wydają również najwięcej na samochody marki Jeep, kanapki Big Mac czy konsole do gry X-Box. Meksyk jednak nie czerpie zysków ze sprzedaży X-Boxów, cały zaś ogromny zysk z handlu narkotykami idzie na południe od Rio Grande.

Najlepszym wskaźnikiem spożycia tych substancji przez obywateli amerykańskich jest coroczny raport wydawany przez Departament Zdrowia USA[4]. Jego pracownicy pukają do drzwi i pytają, czy obywatel w ciągu ostatniego roku palił crack lub choćby skręta z marihuany. Po przemierzeniu Stanów od A1aski do Brownsville w ciągu 365 dni trzy mają w ręku komplet odpowiedzi od 67 500 respondentów mających więcej niż 12 lat. Bez

wątpienia ta metoda nie jest bez wad. Nie można mieć pewności, czy pytany mówi prawdę, czy na przykład głowa rodziny narkomanów kazała badającemu zjeżdżać, kiedy równocześnie żyjąca po sąsiedzku rodzina świadków Jehowy mówiła prawdę. Można jednak liczyć na to, że margines błędu jest każdego roku taki sam.

Według tego badania, ogólne spożycie narkotyków w amerykańskich domach nie zmieniało się przez pierwsze lata XXI wieku, to znaczy w czasie, gdy wojna narkotykowa w Meksyku wybuchła i nabierała impetu. Jednak między rokiem 2008 a 2009 liczba ludzi, którzy podawali, że niedawno brali narkotyki, wzrosła z 8 do 9 procent. Ogólnie zaś, według badania, około 21,8 miliona Amerykanów było pod wpływem któregoś z „zakrzywiaczy umysłu". Gdy patrzy się na wzrost spożycia narkotyków w USA, nie można odnieść wrażenia, że wojna toczona w Meksyku niekorzystnie wpływa na ich podaż.

Badanie pokazuje jednak inną ciekawostkę: liczba amatorów najbardziej dochodowego narkotyku, kokainy, miała spaść z 2,4 miliona w 2006 roku do 1,6 w 2009 roku. Niektórzy obserwatorzy wysnuli wniosek, że to kurczący się rynek leży u podstaw rzezi w Meksyku. W obliczu topniejących dochodów gangsterzy mieli stać się bardziej krwiożerczy Takie stwierdzenie omija jednak wiele niewiadomych, choć niewykluczone, że jest prawdziwe. Jeśli rzeczywiście tak jest, oznacza to, że Meksyk musi stanąć twarzą w twarz z niezwykle trudną prawdą: gdy narkotyk przynoszą pieniądze, gangsterzy stają się potężni, gdy pieniądze znikają sięgają po przemoc. To przerażająca zależność.

Ile na upodobaniu Ameryki do narkotyków udaje się zarobić, pozostaje w sferze domysłów. Najczęściej rozpowszechniane dane pochodzą z raportów głównych służb walczących z narkotykami. Kiedy jednak zastanowić się, jakie wyzwania stoją przed ekspertami opracowującymi te dane, nasuwa się pytanie, jak w ogóle udaje im się je zdobyć. Istnieje mnóstwo niewiadomych: ilość spożywanych narkotyków waha się nieprawdopodobnie (od Billa Clintona, który przyznał się do jednego skręta, którym się

nie zaciągnął, po eksgwiazdę drużyny New York Giants, Lorenca Taylora, który ujawnił, że w ciągu roku udało mu się przepuścić 1,4 miliona dolarów na kokainę), ceny wahają się od miasta do miasta, a nawet od transakcji do transakcji. Mimo to jednak przeprowadzenie badań „Ile Amerykanie wydają na narkotyki” to trudne zadanie i niemożliwe jest podanie choćby przybliżonych danych.

Raporty te obfitują w najróżniejsze fascynujące fakty dotyczące konsumpcji narkotyków. Dowiadujemy się na przykład, że w 1988 roku amatorzy trawki wypalali średnio 16,9 skręta miesięcznie, z których każdy zawierał nieco ponad jedną trzecią grama narkotyku, w roku 2000 zaś wypalali ich już 18,7, z których każdy był o 5 miligramów cięższy. Co za dokładność! Badacze próbują też poradzić sobie z faktem, że użytkownicy narkotyków słyną z tego, iż bardzo często mijają się z prawdą. Raport stwierdza:

Ponieważ narkomani bardzo często zaprzeczają, że biorą narkotyki, musieliśmy zastosować środki, które uchronią nas przed zaniżeniem wartości w naszym raporcie. Musieliśmy oszacować, jakie jest prawdopodobieństwo, że narkoman powie nam prawdę o tym, jak dużo narkotyków bierze. Zastosowaliśmy następującą metodę: wyselekcjonowaliśmy wszystkich, którzy w testach na kokainę w Nowym Jorku uzyskali wynik dodatni, i uwzględniliśmy procent zatrzymanych, którzy przyznali się do zażywania nielegalnych substancji narkotycznych do 30 dni przed zatrzymaniem. Liczba „prawdomównych” źródeł wahała się między latami i między lokalizacjami, ale ogólnie około 65 procent konsumentów kokainy uznawano za wiarygodnych. Nazwijmy to tymczasową średnią prawdomówności.

Albo jeszcze inaczej, nazwijmy to czarowaniem za pomocą statystyki. Żadna bowiem matematyczna formuła nie może odzwierciedlić chaotycznego zachowania narkomanów. Z drugiej jednak strony mamy przecież do czynienia tylko z danymi szacunkowymi.

Badania te obejmują dane o rynku narkotykowym od roku 1988, kiedy, według szacunków, jego wartość wynosiła kolosalne

154,3 miliarda dolarów, aż do roku 2000, kiedy jego wartość szacuje się na 63,7 miliarda. Ta różnica ukazuje nie tylko, jak spadła popularność kokainy wśród obywateli Stanów Zjednoczonych, ale stanowi także odzwierciedlenie tego, że zarówno cena heroiny, jak i kokainy na ulicach Ameryki znacząco zmalała. Działkę heroiny można było kupić w 2000 roku za połowę tego, ile płacono za nią w 1988 roku[5].

W pierwszej dekadzie nowego stulecia te nieco wątpliwe szacunki włączono do raportu o narkotykach Narodów Zjednoczonych, który podaje, znowu szacunkowo, że wartość tego rynku w USA jest dosyć stabilna i wynosi około 60 miliardów dolarów. Inni badacze przepuszczają tę wartość przez kolejne statystyczno-szacunkowe sito i twierdzą, że mniej więcej połowa tej wartości, czyli około 30 miliardów, to robota gangsterów z Meksyku. Należy pamiętać, że są to tylko przybliżenia, nikt jednak nie zaprzeczy, że kartele z Meksyku ciężko harują na wypłatę z co najmniej dziesięcioma zerami na końcu.

Co więc dzieje się z 30 miliardami brudnych narkodolarów?

Ekonomiści z branży bankowej są przekonani, że to właśnie te pieniądze pomogły peso utrzymać się na powierzchni w czasie globalnego kryzysu w latach 2008 – 2009. Narkodolary są też jednym z potężniejszych źródeł zagranicznej waluty: w 2009 roku eksport ropy naftowej przynosił 36,1 miliarda dolarów[6], pieniądze przysyłane przez Meksykanów pracujących w USA dawały 21,1 miliarda[7], turystyka zagraniczna – 11,3 miliarda. Pieniądze z handlu narkotykami, jeśli je uwzględnić, byłyby na tej liście na drugim miejscu.

Nie należy jednak przeceniać ich wpływu, Meksyk to w końcu nie Bangladesz. Meksyk może pochwalić się 9 miliarderami, kilkoma firmami i światowego kalibru i ogólną wartością gospodarki równą mniej więcej bilionowi dolarów. Nawet jeśli 30 miliardów z narkobiznesu jest faktem, wciąż jest to kwota równa zaledwie 3 procentom meksykańskiego PKB.

Pieniądze te mogą jednak odgrywać ważną rolę w pewnych

grupach społecznych i w określonych rejonach. W slumsach w zachodniej części Ciudad Juárez czy na wyżynach Sinaloa gangsterzy są zapewne największymi pracodawcami.

Trzydzieści miliardów to również kwota wystarczająca, by bardzo skutecznie skorumpować ważne instytucje w Meksyku. Sekretarz bezpieczeństwa publicznego, Genaro Garcia Luna, powiedział w jednym z przemówień, że gdyby kartele chciały wyasygnować około trzykrotną wartość wszystkich pensji miejskich stróżów prawa w Meksyku, musiałyby wydać na to 1,2 miliarda dolarów[8]. Z punktu widzenia arytmetyki nic nie stoi na przeszkodzie. Jest to jednak kolejna niewiadoma. Nikt nie potrafi określić, ilu policjantów jest na garnuszku karteli lub chociażby stwierdzić, czy gliniarz z drogówki zatrzymujący za przekroczenie prędkości jest sługusem mafii, czy po prostu zwyczajnym łapówkarzem.

Praktycznie rzecz biorąc, większość gotówki przekracza granicę w tę i w tamtą stronę upchnięta w walizkach lub wciśnięta do tych samych skrytek, w których przewozi się narkotyki. Policjanci i żołnierze w Meksyku dostają się do coraz to nowych mieszkań, gdzie znajdują miliony banknotów dolarowych, raz w kuchniach, a raz w salonach. W sumie armia Calderona w ciągu 4 pierwszych lat ofensywy przechwyciła ponad 400 milionów dolarów. Ta ogromna kwota rychło przysporzyła rządowi kolejnych milionów z oprocentowania. Nadal mówimy jednak tylko o skromnym ułamku 120 miliardów, sumie, jaką kartele miały obracać w tym samym czasie. Policjanci na północ od Rio Grande przejęli w identycznym okresie kolejne 80 milionów powiązanych z meksykańskim handlem narkotykami, co stanowiło jeszcze mniejszą kropelkę w oceanie.

Powszechnie uważa się, że kiedy miliardy dotrą do Meksyku, trafiają prosto do bankowych skarbców. Profesor Guillermo Ibarra z Universidad Autónoma w Sinaloa dokonał obliczeń, w których porównał dochody generowane przez ten stan z pieniędzmi przechowywanymi tam w bankach, Odkrył, że ponad 680 milionów dolarów na rachunkach bankowych jest niewiado-

mego pochodzenia. A Sinaloa to przecież finansowa prowincja w porównaniu z takimi potęgami jak stolica, Guadalajara czy Monterrey[9].

Upodobanie gangsterów do luksusu powoduje, że część ich dochodów przechodzi w ręce lokalnych przedsiębiorców, Culiacán może się poszczycić jednymi z najlepszych wyników sprzedaży SUV-ów oraz samochodów terenowych w tej części świata, wspierając takie marki, jak Hummer czy Jeep. Równocześnie przy budowie okazałych willi, którymi upstrzone są okoliczne wzgórza, zatrudnienie znajdują architekci i budowlańcy zdolni nie tylko zaspokoić ekscentryczne żądania bossów, ale też znosić ich zmienne nastroje.

Bez wątpienia również za sprawą prawdziwych pieniędzy pojawiają się kolejne firmy fasady. Departament Skarbu USA stworzył czarną listę ponad 200 meksykańskich firm, które podejrzewa o to, że są pralniami brudnych pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami. Są wśród nich tak różne instytucje, jak spora mleczarnia w Sinaloa, myjnie samochodowe, kwiaciarnie czy liczne marki odzieżowe[10].

W Mexico City odwiedziłem kilka firm z listy amerykańskiej skarbówki. Najpierw zajrzałem do miejsca będącego połączeniem prywatnej kliniki ze spa w ekskluzywnej dzielnicy Lomas. Od razu przy wejściu powitała mnie miła młoda kobieta, w holu zaś zastałem mnóstwo pań w średnim wieku przerzucających kartki kolorowych magazynów. Kierownik oznajmił mi, że nie ma pojęcia o kartelach narkotykowych czy listach kompilowanych przez amerykańskie instytucje rządowe, wie natomiast całkiem sporo o implantach piersiowych i odsysaniu tłuszczu. Zapytał, czy jestem zainteresowany masażem wyszczuplającym, dając mi tym samym do zrozumienia, że trochę przytyłem. By pogorszyć jeszcze stan moich boczków, wybrałem się do firmy figurującej na drugim miejscu listy, wytwornego przybytku serwującego taco, znajdującego się wśród biur wielkich amerykańskich i meksykańskich korporacji. Specjalnością okazały się potrawy z papryką

habanero, najostrzejszą z możliwych. Po trzech taco poczułem w brzuchu palący ogień, natomiast nie dowiedziałem się niczego na temat mafijnych bossów.

Amerykanie mają zakaz robienia interesów z firmami z czarnej listy skarbówki (ja, nie będąc Amerykaninem, nie popełniłem więc przestępstwa), jednak ich zamknięcie pozostaje w gestii rządu meksykańskiego, jak widać, nie następuje. Tak więc rzekome „pralnie" nadal bez przeszkód powiększają biusty i serwują ogniste przekąski.

Z tego właśnie powodu głośna wojna Calderona jest tak często krytykowana. Być może prezydent runął na gangsterów z ogniem i mieczem, nie poszedł jednak tropem ich pieniędzy. Tak długo, jak długo płynąć będzie rzeka dolarów, pomstują krytycy, istnieć będą mafijne potęgi.

Calderón podjął próbę zaradzenia tej sytuacji, wprowadzając nowe zasady gromadzenia depozytów w dolarach i tworząc nową ustawę przeciwdziałającą praniu brudnych pieniędzy, mającą wejść w życie w 2010 roku, Ustawa ma precyzyjnie regulować działalność banków, kontrolować inwestycje i obrót pieniędzmi. Krótko mówiąc, wprowadzone zostanie to wszystko, czego domagają się krytycy z północnej strony Rio Grande. Można liczyć, że z chwilą, gdy ustawa zacznie obowiązywać, prosperita gangsterów w Meksyku stanie pod znakiem zapytania.

Jednak w erze globalizacji działania w obrębie Meksyku nie wystarczą i mogą tylko nieznacznie utrudnić narkobaronom obrót kapitałem. Pieniądze, jeśli zdoła się je usunąć z kont bankowych, popłyną innym kanałem – przez USA, wyspiarskie raje podatkowe, czy przez Chiny. To zresztą dzieje się już dziś. Te same przemiany, które miały ułatwić przemieszczanie się kapitału po całym świecie, sprawiły, że kontrola nad pieniędzmi stała się bardzo trudna. W 1979 roku w rajach podatkowych znajdowało się około 75 pięciu banków. Dziś jest ich ponad 3 tysiące. Każdego dnia wykonuje się 70 tysięcy międzynarodowych przelewów na łączną kwotę biliona dolarów. Ten problem został zauważony przez szefa biura Narodów Zjednoczonych zajmującego się nar-

kotykami i przestępczością. Antonio Maria Costa napisał:

Pranie pieniędzy prowadzone jest na wielką skalę praktycznie bez żadnych przeszkód. (...) W czasach, gdy wiele banków upada, każde pieniądze, byle zbytnio nie śmierdziały, są przez bankierów do zaakceptowania. Uczciwi obywatele, przeżywający trudne czasy kryzysu gospodarczego, zachodzą w głowę, dlaczego dochody wygenerowane przez przestępcze procedery, a zainwestowane w nieruchomości, samochody czy samoloty nie są konfiskowane[11].

Narkodolary w Meksyku są więc tylko małym trybikiem w między, narodowej machinie piorącej brudne pieniądze.

Więzi łączące meksykański kapitał zbity na handlu narkotykami ze światem wielkich pieniędzy zostały jaskrawo pokazane na przykładzie barwnej postaci Zhenliego Ye Gona. Człowiek ten urodził się w Chinach w 1964 roku, jednak w 2002 roku dostał meksykańskie obywatelstwo. Prezydent Fox osobiście wręczył mu stosowne papiery, przekonany, że włącza do grona Meksykanów rzutkiego przedsiębiorcę działającego na polu farmacji. Ye Gon mówi po hiszpańsku z wyraźnym chińskim akcentem, szczególnie gdy wymawia „1", co w Meksyku uczyniło go obiektem kpin. Jak wielu ludzi biznesu, lubi grać w pokera o duże pieniądze. Lubi też mieć w domu dużo gotówki. Całe sterty.

Policjanci federalni przekonali się o tej jego osobliwej skłonności, kiedy wpadli do jego rezydencji w zamożnej części stolicy kraju Lomas de Chapuitapec, gdzie znaleźli 205,6 miliona dolarów. Była to tak ogromna liczba pieniędzy, że banknoty nie mieściły się w salonie,, leżały także w korytarzach i w kuchni. Agenci DEA w ekstazie ogłosili, że była to największa konfiskata w dziejach świata.

Nie brakowało tam także waluty meksykańskiej. Policja oceniła, ze wartość znalezionych peso równa się 150 tysiącom dolarów. Dziennikarze jednak przyjrzeli się dokładnie zdjęciom z akcji i stwierdzili, że liczba pieniędzy wydaje się dużo większa. Policjanci, nieco zmieszani, przyznali im rację i podnieśli kwotę do 1,5 miliona zielonych. Ostateczny rachunek mówił o ponad 207

milionach dolarów amerykańskich.

Gdy do jego domu wkraczali funkcjonariusze policji, Zhenli Ye Gon Widziany był w Las Vegas, gdzie oddawał się swojemu najbardziej ulubionemu hobby: hazardowi. Meksykańscy agenci federalni zajmujący się jego sprawą zapewne spłoszyli go w momencie, gdy w grudniu przechwycili tony pseudoefedryny w meksykańskim porcie nad Pacyfikiem. Ich zdaniem biznesmen miał importować te chemikalia po to, żeby sprzedawać je kartelom, by *narcos* z kolei mogli robić z nich metamfetaminę. Zhenli Ye Gon sprowadzał chemikalia z firmy farmaceutycznej w Ludowej Republice Chin.

Zhenli Ye Gon udzielił wywiadu Associated Press w Nowym Jorku[12]. Na nagraniu widać, jak oburzony ciska oskarżenia, próbując się bronić. Przyznał wtedy, że pieniądze znajdowały się w jego domu, ale dodał również, że to meksykański polityk kazał mu je tam przechowywać, i to pod groźbą śmierci. Powiedział też, że również z obawy przed śmiercią boi się powrotu do Meksyku. Najbardziej zaskakujące słowa, jakie padły z jego ust, dotyczyły Stanów Zjednoczonych. Zhenli Ye Gon oświadczył, że choć przepuścił w Las Vegas 126 milionów dolarów, to około 40 procent z tego mu zwrócono, w tym w formie podarunków, na przykład luksusowych samochodów. Objaśnił niezwykle prosty sposób, w jaki wprowadza się do systemu pieniądze: gra się za miliony, a w zamian otrzymuje czeki i samochody.

Amerykańska policja złapała Zhenliego Ye Gona w restauracji na przedmieściach Waszyngtonu i oskarżyła o planowanie i współudział w imporcie metamfetaminy. Jednak po tym, jak główny świadek z Las Vegas odwołał zeznania, a rząd chiński odmówił przekazania koniecznych dokumentów, amerykańscy prokuratorzy zgodzili się wycofać zarzuty pod warunkiem, że Ye Gon zostanie przekazany Meksykowi i tam osądzony. W 2011 roku jednak wciąż skutecznie unikał ekstradycji, argumentując, że na południe od granicy nie ma szans na sprawiedliwy proces. Przyznał, że importował chemikalia z Chin, lecz twierdził też, że nie miał pojęcia, że mogą być one użyte do produkcji niebezpiecz-

nego narkotyku, który pokazywał mi generał Solorzano.

Ten przypadek pokazuje, że dziwna jest nie tylko droga kokainy od farmera do nosa użytkownika. Droga, jaką pokonuje narkodolar, może być jeszcze dziwniejsza. Wyobraźcie sobie pracownika supermarketu z Nebraski kupującego sporą porcję metamfetaminy za pięć banknotów dziesięciodolarowych. Cała papierowa rodzinka podróżuje od dilerów do handlarzy w Meksyku, przekraczając po drodze granicę w schowku w samochodzie. Jeden banknot pomaga zbudować willę narkobarona na wzgórzach Sinaloa, drugi kończy na podłodze apartamentu w Mexico City, gdzie zostaje znaleziony podczas największej w dziejach konfiskaty mafijnych funduszy, trzeci wędruje do Chin, gdzie jest zapłatą za surowce, jeszcze inny znów przekracza granicę i zostaje wydany na żetony w kasynie w Las Vegas.

Wolny handel w XXI wieku może przybrać surrealistyczną postać, To najbardziej spektakularna forma mafijnego kapitalizmu. Widać też, że pieniądze są tu motorem wszystkiego. To one sprawiają, że gangsterzy odcinają ludziom głowy i rzucają je pod nogi tańczącym w dyskotekach, I na to właśnie idzie piąty, ostatni banknot gościa z Nebraski: finansuje drugi, tuż po narkotykach, czołowy produkt El Narco: morderstwa.

ROZDZIAŁ 9
Morderstwa

Morderca do piekieł zszedł,
obejrzeć dzieło swoje.
Że jego martwi nań czekają,
nie przewidział w porę.
Gdy piekielne progi przekroczył,
Zamknęły za nim się podwoje.

Morderca do piekieł zszedł, Grupo Cartel, 2008

Dwadzieścia sekund strzelaniny, 432 pociski, 5 zabitych policjantów.

Cztery ciała rozrzucone są po wnętrzu nowiusieńkiego pickupa marki Dodge, którego karoserię przedziurawiło tyle kul, że metal wygląda jak tarka do sera. Martwi przyjęli nienaturalne, groteskowe pozy: ich ręce są wygięte za plecami, nogi rozłożone pod dziwnym kątem. Ciało człowieka dziurawione kulami zachowuje się jak szmaciana lalka.

Byłem na miejscu zbrodni wiele razy i zdarzało mi się patrzeć bez emocji na nafaszerowane ołowiem ciała leżące na drogach i na fotelach samochodów. Te obrazy zlewają się w jeden. Chwilami jednak przypominam sobie szczegóły: wykręcone koszmarnie łokcie czy szyje. To one pojawiają się w mojej wyobraźni, gdy myślę o miejscach zbrodni, to one wkradają się do moich snów, gdy jestem tysiące kilometrów dalej.

Do tego konkretnego morderstwa doszło upalnego grudniowego popołudnia w Culiacán. Gdy policjanci zatrzymali się na czerwonym świetle nieopodal centrum handlowego, zaatakowali ich mafijni mordercy. W ułamku sekundy zaroiło się od pocisków lecących z przodu i z boku. Specjalnie zmodyfikowany kałasznikow z okrągłym magazynkiem strzela 700 razy na minutę. To prawdziwa wojna błyskawiczna. Ludzie drżą na myśl o tym,

że gangsterzy mają granatniki, jednak kałasznikowy są bardziej śmiercionośne.

Piąty martwy policjant leży w kałuży krwi 3 metry od samochodu. Jest dowódcą tej grupy policjantów, muskularnym czterdziestoośmioletnim mężczyzną. Jego wyciągnięta nad głową ręka ściska pistolet kalibru 9 mm. Poza, w jakiej leży, nadawałaby się do hollywoodzkiego filmu. Kiedy nastąpił atak, dowódcy udało się wyskoczyć z samochodu i odbiec z pistoletem w dłoni. Ogień morderców zatrzymał go jednak tuż przy krawężniku.

Jego twarz to twarz człowieka silnego, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i szerokim nosem nad starannie przystrzyżonymi wąsami. Jego szeroko otwarte oczy spoglądają w niebo. W lewym policzku zieje wielka dziura. Z bliska twarz policjanta wygląda bardziej jak gumowa maska niż jak oblicze człowieka. Niełatwo jest zrozumieć umieranie.

Pojawiamy się dziesięć minut po strzelaninie i przed policją stoi zadanie odgrodzenia miejsca zbrodni i przykrycie ciał plastikowymi workami. Wkrótce cała okolica zaroi się od żołnierzy z bronią maszynową, zamaskowanych policjantów z wydziału zabójstw i techników sądowych, tymczasem jednak możemy chodzić po łuskach i fotografować z bliska twarze zamordowanych.

Tłum gapiów gęstnieje. Czworo nastolatków z zapałem debatuje nad tym, co się wydarzyło. „To kula z kałacha, a tamta jest z AR-piętnaście”, stwierdza chudy młodzieniec w czapce z daszkiem, wskazując palcem dwie łuski: jedną srebrną i drugą, krótszą, złotą. Oprócz nich jatce przyglądają się pary w średnim wieku, starsi ludzie i matki z niemowlętami na rękach. Lokalni dziennikarze zgromadzili się na chodniku i sprawdzają na wyświetlaczach aparatów fotograficznych jakość zdjęć mających trafić na strony kronik kryminalnych. Są rozluźnieni, wręcz weseli. To dla nich codzienność.

Trzydzieści minut po zajściu sterany ford focus z piskiem opon rozpędza tłum i zatrzymuje się tuż przed linią wyznaczoną przez policję. Wyskakuje z niego żona jednego z zabitych i histerycznie wrzeszczy na ubranych w oliwkowozielone mundury

żołnierzy broniących dostępu do ciał. Jej brat próbuje przytrzymać ją za ręce, jego oczy również są czerwone od płaczu. Stojąc kilka metrów dalej, łapię za ramię mojego operatora kamery i odciągam go poza zasięg rąk rozwścieczonego krewnego któregoś z zabitych. Dopiero gdy widzę pełne cierpienia twarze, zaczyna do mnie docierać, co się stało. Krzyczą ludzie, którzy znali zamordowanych w ich najlepszych i najgorszych chwilach, jako męża, jako ojca tańczącego z córką w jej piętnaste urodziny, czy jako kochanka...

Kolejny dzień. Kolejne morderstwo. Podczas meksykańskiej wojny narkotykowej akty przemocy takie jak ten stały się tak powszechne, że po zamordowaniu 5 policjantów na skrzyżowaniu w środku miasta zostaje tylko krótka wzmianka w kronikach kryminalnych. Ofiary dodaje się do dziennikarskich i rządowych statystyk, a ich prawdziwe życie i cierpienie rodzin szybko idą w niepamięć.

Większość ofiar narkotykowego konflikt u ginie w podobnych zasadzkach zwanych *ejecuciones* – czyli „egzekucjach". Ta nazwa jest wymowna: oznacza, że ktoś wydał na tych ludzi wyrok śmierci. Tutejsi kaci rzadko zawodzą. W Meksyku prawo nie dopuszcza kary śmierci, ale bywają takie dni, że odbywa się ponad 60 mafijnych egzekucji – ponad 20 w Ciudad Juárez, reszta w Michoacan, Guerrero, Tamaulipas, Sinaloa, Durango i Tijuanie. Kolejną grupę ofiar stanowią osoby uprowadzone i zamordowane, których ciała są porzucane. Ludzie rzadko giną w regularnej wymianie ognia, w tej wojnie prym wiodą sprawne zabójstwa. Trudno uchronić się przed partyzanckimi, szybkimi i niespodziewanymi atakami.

W połowie XX w Meksyku bycie płatnym zabójcą było dochodowym zajęciem. Parających się tym fachem nazywano *gatilleros*, czyli „cynglami". Byli to profesjonaliści wykonujący ten zawód przez całe dekady i uśmiercający swoje ofiary z niewielkiej odległości za pomocą pistoletu często pod osłoną nocy.

Jednym z pierwszych *gatilleros* był Rodolfo Valdes z Sinaloa,

znany pod pseudonimem Gitano, czyli Cygan. Stał na czele gangu strzelców zwanych Dorados – Złotych – których w latach czterdziestych opłacali właściciele ziemscy, by trzymali w ryzach buntujących się wieśniaków. Taki właśnie był początek wielu grup zawodowych morderców z Sinaloa: ich zadaniem było ochraniać zbiory i inną własność bogaczy przed domagającymi się reform chłopami. Sam Cygan miał ponoć na sumieniu ponad 50 zabitych. Mówiono nawet, że zabił samego gubernatora Sinaloa, który został zastrzelony podczas karnawału w Mazatlan w 1944 roku. Gubernator Rodolfo Loaiza rozwścieczył posiadaczy ziemskich zbyt licznymi wywłaszczeniami. Podobno miał też zadrzeć z hodowcami opium, konfiskując ich zbiory**[1]**.

Inni zawodowo *gatilleros* pracowali w stolicy Meksyku na usługach ważnych polityków i urzędników zajmujących się kwestiami bezpieczeństwa wewnętrznego. Ich rolą było odwalanie brudnej roboty, o której dokumenty miały milczeć. Najsłynniejszym z tych rządowych cyngli był Jose Gonzalez, który w 1983 roku wydał książkę poświęconą swojej karierze zawodowej. Z pochodzenia Hiszpan, Gonzalez utrzymywał, że popełnił w życiu ponad 50 morderstw, zabijając dla różnych ludzi władzy, a szczególnie dużo dla szefa policji w stolicy, Artura „Blackiego” Duraza. Durazo wylądował ostatecznie w więzieniu za wymuszenia i inne przestępstwa.

Gonzalez jest typowym „profesjonalnym” zabójcą starej daty. Skończył wyższe studia, został cynglem dopiero przed trzydziestką i kontynuował zabijanie aż do pięćdziesiątki. W swoich wspomnieniach pisze, iż potrafi zabijać z zimną krwią, ponieważ jego ojciec został zamordowany podczas bijatyki w barze. *Wierzę, że to właśnie ten incydent zasiał w mojej duszy pogardę dla życia innych i rozpalił żądzę zemsty*.**[2]**

W latach osiemdziesiątych rynek zabójców zrewolucjonizowała mafia kolumbijska. Architektem kolumbijskiej machiny śmierci był Isaac Guttnan Esternberg, Kolumbijczyk o niemieckich korzeniach, pracujący dla handlarzy z Medellin. Wymyślił „morderców na motocyklach”, w których szeregi łatwo było

zwerbować młodych mężczyzn ze slumsów. I to całymi tysiącami. Zrozumiał, że zdezorientowanego młodego człowieka można pozyskać, dając mu dobrą pensję i poczucie sensu działania. Ci zabójcy nadal posługiwali się pistoletami, ale dosiadali też motocykli – jeden kierował, a drugi strzelał. Nazywano ich *sicarios*, od starożytnych *sicarii*, żydowskich fanatyków noszących pod szatami małe sztylety, którymi zabijali Rzymian.

W roku 1986 roku Guttnam sam zginął z ręki *sicario*[3].

Jadę samochodem przez Medellin na spotkanie z *sicario*. Miasto sprawia przyjemne wrażenie, chłodny wiatr przywiewa świeżość do górskiej doliny, w której leży to ludzkie skupisko. Duże place ozdobione są rzeźbami zabawnych pulchnych postaci, zainspirowanych malarstwem meksykańskiego artysty Fernanda Botero. Chodnikami przechadzają się najpiękniejsze kobiety świata.

W 1991 roku to Medellin było najniebezpieczniejszym miastem na Ziemi, z największą liczbą zabójstw w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

Mieszkały tutaj 2 miliony ludzi, a zabójstw dokonywano 6,5 tysiąca rocznie. Obecnie ten niechlubny tytuł przypadł Ciudad Juárez. Lecz chociaż w Medellin ginie już mniej ludzi, to nadal jest tutaj niespokojnie – w 2009 i roku odnotowano 2 899 morderstw[4].

Człowiek, z którym mam się spotkać, odpowiada osobiście za kilka z tych zabójstw. Nasz wywiad został zorganizowany przez niemieckiego fotoreportera Olivera Schmiega. Oliver, rodowity monachijczyk, spędził w Kolumbii 11 lat i zrobił niesamowite zdjęcia tajnych laboratoriów produkujących kokainę oraz partyzantów walczących z regularnym wojskiem. Jestem pod wrażeniem tego, jak zawzięty i zdeterminowany jest ten człowiek. W swojej pracy polega na policyjnych kapusiach i ulicznych zbirach, jednak jego asem w rękawie jest ekszołnierz, który został osobą odpowiedzialną za bezpieczeństwo przywódców jednej z większych grup paramilitarnych działających w Medellin. Człowiek ten pociągnął za odpowiednie sznurki i już niebawem Oliver roz-

mawiał z *sicario* przez telefon. Najemnik musi jednak prosić swojego zwierzchnika o pozwolenie na rozmowę z nami, mamy więc zadzwonić później. Oliver telefonuje następnego dnia rano i okazuje się, że zwierzchnik się zgodził. Spięci wybieramy się pod wskazany adres.

Docieramy do bloku mieszkalnego w Envigado, dzielnicy zamieszkanej przez przedstawicieli klasy średniej, gdzie od lat znajduje się centrum działań mafii z Medellin. Portier dzwoni do mieszkania i zostajemy zaproszeni na górę. Człowiek, z którym mieliśmy się spotkać, otwiera nam drzwi i zaprasza do wielkiego drewnianego stołu. Mieszkanie jest duże, choć mebli nie ma w nim wiele, jest tu jednak imponujący telewizor plazmowy i konsola do gry PlayStation 3.

Gustavo ma 24 lala i jest bardzo szczupłym mężczyzną u jasnej śniadej cerze i krótko ostrzyżonych włosach – wygląda jak żołnierz. Ubrany jest w modną zieloną koszulę z krótkimi rękawami, hawajskie szorty i jasnozielone płócienne buty. Jego współlokatorem jest krępy przyjaciel z dzieciństwa, podobnie jak on będący *sicario*. Przechadza się bez koszulki, demonstrując tatuaże. Gustavo siada przy stole, opiera łokcie o blat i zaczyna bawić się papierośnicą. Z początku trochę się denerwuje, jednak z każdą minutą jest coraz bardziej przyjacielski i otwarty. Nasza rozmowa trwa kilka godzin. Im dłużej gawędzimy, tym bardziej go lubię. Jest inteligentny i charyzmatyczny, nie tracąc przy tym nic z naturalnej skromności. Chwilami zapominam, że jest płatnym zabójcą. Później zadaję sobie pytanie, czy jest coś złego w darzeniu sympatią kogoś, kto zawodowo zabija ludzi? Czy potrafię oddzielić człowieka od popełnianych przez niego czynów?

Efektowny apartament należy do zupełnie innego świata niż ten, w którym wyrósł Gustavo. Urodził się w slumsach, nazywanych tutaj *comunas*, które oplatają górskie stoki wznoszące się ponad Medellin. Te osiedla zbudowane z niemalowanych pustaków, kryte blachą, są domem dla tysięcy ludzi przybywających do wielkiego miasta z otaczających go gór, dolin i dżungli. Wielu uciekło przed bombardowaniami i strzelaninami między woj-

skami rządowymi a komunistyczną partyzantką. Inni przybyli w poszukiwaniu lepszych zarobków, by móc utrzymać rodziny.

Gustavo jest drugim z trzech synów robotnika budowlanego. Jego ojciec zarabiał zazwyczaj wystarczająco dużo, by nie głodowali, ale nie dość, by wyrwać rodzinę z getta. Kiedy Gustavo był małym brzdącem, w jego *comunie* codziennie słychać było odgłosy strzelaniny. Kiedy miał lat 8, policja zastrzeliła w Medellin Pabla Escobara, o którym Gustavo słyszał od najmłodszych lat**[5]**. „U nas w *comunas* Pablo był niczym król. Był ważniejszy niż prezydent Kolumbii", wspomina.

Zabójca mówi z melodyjnym akcentem slumsów Medellin i wtrąca wiele wyrażeń prosto z mafijnego żargonu. Zamiast pistolet mówi „żelazo", strzelby to „gitary", kokaina to „papuga", a ofiary zabójstw to „panienki". Jednak mimo iż posługuje się slangiem, wymawia słowa dokładnie i nie przeklina.

Tuż po śmierci Escobara najwięksi handlarze narkotyków z Medellin spotkali się w podziemnym parkingu w Envigado, by omówić swoje sprawy. To podczas tamtego „szczytu" powstał Urząd Envigado, mający za zadanie nadzorować przestępczość w Medellin. By uniknąć niekończącego się rozlewu krwi, Urząd ma pilnować, by wszystkie długi były spłacane. Za swoje usługi bierze skromne 33 procent wartości transakcji.

Na czele Urzędu stanął Diego Murillo alias Don Berna, który wcześniej był szefem gangu *sicarios*. Don Berna zarządził, że jeśli jakikolwiek gangster chce kogoś zabić, musi mieć na to zgodę Urzędu. Był to jeden z głównych powodów znaczącego spadku przestępczości w Medellin. Każde *barrio* miało swojego dowódcę, który odpowiadał przed szefem. Ulica mówiła o tej organizacji „mafia", amerykańscy agenci nazywali ją Kartelem z Medellin.

Gdy Gustavo był nastolatkiem, jego ojciec starał się odciągnąć jego oraz jego braci od mafii. Trudno mu jednak był przekonać chłopaków, że uczciwe życie się opłaca.

„Widzicie, ojciec harował w pocie czoła tylko po to, by zarobić kilka peso. Czasami całymi miesiącami był bez pracy. Aż tu nagłe pojawiają się goście z *barrio* pracujący dla Urzędu, jeżdżą nowymi

samochodami czy motocyklami i mają po kilka kobiet".

Ku wściekłości ojca, Gustavo zaczął pojawiać się na ulicy w towarzystwie starszych chłopców mających układy z mafią. Kiedy ojciec przyłapał trzynastoletniego Gustavo na paleniu marihuany, wyrzucił go z domu. „Było to trochę surowe, wspomina Gustavo. W mieście, które jest kokainową stolicą świata tatko wyrzucił mnie z domu za palenie skręta".

Gustavo nocował u kumpli na podłodze albo na niewyasfaltowanych ulicach slumsów, korzystając z ciepłego tropikalnego klimatu. Oprócz, handlu narkotykami, gangsterzy z Medellin zajmowali się wymuszaniem okupów i obrotem kradzionym pojazdami.

„Wybierałem się do centrum miast i kradłem tam samochody lub motocykle. Dawałem sobie radę ze wszystkim. Kochałem kraść, to było jak narkotyk.

Mimo że noce i dni upływały mu na kradzieżach, Gustavo zdołał wytrwać w szkole aż do siedemnastego roku życia. Wtedy zarabiał więcej niż większość dorosłych w jego *comunie* i rzucił naukę, by poświęcić się pracy dla mafii. Mając zaufanie szefów, dostawał takie zadania, jak przewożenie paczek kokainy czy gotówki, czasem dolarów, a czasem euro. Biały proszek podróżował z plantacji i laboratoriów na północ i na zachód od Medellin. Bossowie z tego miasta kontrolowali cały obrót. Niezliczone tony towaru szły przez slumsy w drodze nad Pacyfik czy Morze Karaibskie.

„Spróbowałem wciągać kokainę, ale tak naprawdę nigdy mi się to nie podobało. Inaczej niż niektórym moim kumplom. Mnie zawsze bardziej pasowało palenie trawki".

Gustavo zbliżył się do grubych ryb przestępczego światka w Medellin i podczas jednej z dostaw poznał samego Dona Bernę. „Był bardzo przyjacielski. Od razu widać było, że ma ogromną władzę, ale mimo to zachowywal się jak normalny facet", wspomina Gustavo z szacunkiem. Tuż po spotkaniu Gustavo dostał polecenie, by zacząć szkolić się na *sicario*. Właśnie skończył 18 lat.

Z powagą na twarzy Gustavo wyjaśnia nam techniki zabijania:

„Zazwyczaj działamy w dwóch zespołach: jeden zespół na motocyklu i jeden w samochodzie. Jeden z jadących na motorze kieruje, a drugi strzela. Samochód zajeżdża drogę celowi, a motocykl staje obok niego. Strzelec błyskawicznie opróżnia magazynek, a następnie podaje broń tym w aucie, a oni chowają ją do skrytki".

Gustavo najpierw nauczył się jazdy na motorze od swojego mentora, starszego *sicario*.

„Nauczył mnie, jak to robić. Trzeba poruszać się stabilnie, być skoncentrowanym i, co najważniejsze, nie chybić. Trzeba trafiać w głowę i serce, żeby mieć pewność.

W czasie mojej pierwszej roboty podjechałem trochę za blisko i wystrzeliłem za dużo pocisków. Opryskały mnie krew i wnętrzności. Wyrzuciłem ubrania i myłem się chyba ze sto razy. W nocy miałem koszmary, a przed oczami ciągle stawały mi te strzały i tryskającą krew".

Po kolejnych akcjach koszmary minęły. Co kilka tygodni dostawał nowe zadanie. Działał głównie w Medellin, ale wysyłano go też, by zabijał w innych miastach Kolumbii, takich jak Bogota czy Cali. Już wkrótce miał na koncie 15 zabitych, potem 20. A potem przestał liczyć.

Zapytałem go, co sądzi o ludziach, których zabija. Wzrusza ramionami.

„Staram się skupić i robić, co do mnie należy. Zanim wyjdę na akcję, modlę się do Jezusa, by oczyścić umysł. Wszystkie moje zmysły muszą być sprawne, więc przed akcją nigdy nie biorę narkotyków ani nie piję, Po powrocie natomiast odprężam się, zapałam skręta i słucham muzyki".

Gustavo mówi, że nie wie ani nie docieka, kim są jego ofiary. Kiedy cel zostaje wybrany, inna ekipa go obserwuje i określa najlepszy moment na zabójstwo. Wtedy do akcji wkraczają *sicario*.

„Dzwoni telefon i słyszę: »Jest nowa panienka do zrobienia. Zajmij się tym«. Dostaję zdjęcie celu. Wtedy ruszamy do pracy".

Gustavo twierdzi, że chodzi mu tylko o pieniądze. Jego podstawowa wyplata to ponad 600 dolarów miesięcznie plus 2–4 ty-

siące za każdą akcję. Takie pieniądze są niczym dla handlarzy zarabiających miliardy dolarów, mieszkających w wysadzanych diamentami rezydencjach i latających prywatnymi samolotami. Jednak jak na standardy mieszkańców Medellin, Gustavo zarabia naprawdę dobrze. Co więcej, w sytuacji, gdy w kraju jest dwudziestodwuprocentowe bezrobocie, dla Kolumbijczyków poniżej dwudziestego szóstego roku życia jest to bez wątpienia najlepiej płatna praca, jaką mogą dostać[6].

„Niektórzy zabijają, ponieważ sprawia im to przyjemność, bo lubią zabijać i uzależniają się od krwi. ja robię to, ponieważ potrzebuję pieniędzy".

Krwawe pieniądze pozwoliły jego rodzinie i jemu wyjść z getta. Gustavo wynajmuje mieszkanie, ale rodzinie kupił dom w dzielnicy zamieszanej przez ludzi z niższej klasy średniej. Kłótnie, które jako nastolatek prowadził z rodzicami, poszły w niepamięć i teraz widuje się z nimi kilka razy w tygodniu, jego starszy brat również pracuje dla mafii, ale obaj łożą na prywatną szkołę dla najmłodszego brata, by mógł znaleźć sobie kiedyś normalne zajęcie.

Oprócz wspierania rodziny, Gustavo wydaje pieniądze na modne ciuchy i nowoczesne japońskie motocykle, jest też wielkim fanem brytyjskiej ligi Premiership, płaci więc za kablówkę po to, by móc oglądać wszystkie mecze. Lubi też grać w piłkę nożna na PlayStation.

„Jestem kibicem Wigan, bo gra u nich napastnik z Kolumbii, Hugo Rodallega. Doceniam też piłkę, jaka gra Manchester United. Nie lubię tylko Arsenału".

W ustach kolumbijskiego płatnego mordercy słowa o brytyjskim futbolu, tak daleko od mojej ojczyzny, brzmią surrealistycznie. Kiedy później publikuję wywiad z Gustavem w brytyjskiej gazecie, grupa fanów Wigan umieszcza tekst na swojej stronie internetowej. Bawi ich, że entuzjastą ich ulubionego klubu jest najemnik z Kolumbii.

Gustavo mówi. że lubi romantyczną salsę, ale omija z daleka nocne kluby w Medellin z obawy, że wpadnie tam na któregoś z

zabójców i pracujących dla jego wrogów, jest także fanem elektronicznej muzyki klubowej i kiedyś wybrał się wraz z kuzynem do Bogoty na koncert londyńskiego didżeja Carla Coxa.

„Ludzie nie pili w tym klubie nic prócz wody, ale tańczyli jak opętani. Spytałem więc kuzyna, co jest grane. Odpowiedział mi, że wszyscy biorą ecstasy. Nie chciałem tego brać, bałem się, że może być za mocne. Słyszałem, że LSD też ma potężne działanie. Szanowałem ludzi, którzy to brali, ale nie wiem, czy sam chcę ryzykować".

Wspomnienie o brytyjskim didżeju uderza mnie swoją egzotyką w tym kraju na drugim końcu świata. Dla Gustava bycie zabójcą było biletem do świata konsumpcji. Oglądanie piłki nożnej na kablówce, granie na konsolach, modne ciuchy czy wizyty w klubach to przyjemności dostępne dla każdego studenta, budowlańca i pracownika biura w Wielkiej Brytanii. Ta praca dała mu też poczucie, że odniósł sukces: jest kimś w *barrio* pełnym ludzi bez znaczenia. Co więcej, jest tak ważny, że przyszło do niego dwóch dziwacznych Europejczyków, by spijać słowa z jego ust.

Jakiekolwiek jednak odnosi korzyści, Gustavo nie może tak po prostu opuścić mafii. Dla płatnych morderców nie ma ubezpieczenia społeczne, go ani emerytury.

„Szefowie nie pozwolą ci tak po prostu odejść, bo za dużo wiesz. Kiedy ludzie próbują to zrobić, są zabijani. Jedynym sposobem jest zniknąć, nic nikomu nie mówiąc".

Twierdzi, że więzienie go nie przeraża i że już raz spędził tam krótki czas po tym, jak złapano go ze skradzionym samochodem. Jego dowódca zajął się nim, wysyłał mu jedzenie, a raz w tygodniu Gustavo miał „małżeńskie" wizyty różnych dziewczyn. Ponadto zdał za kratkami maturę, uzyskując dobre stopnie. Pytam go, czy z jego kwalifikacjami widzi się w jakiejś innej pracy „Chciałbym zostać detektywem policyjnym rozpracowującym morderstwa, mówi z kamienną twarzą. Ale z moją przeszłością nie mam na to szans".

Pytam go o przyszłość, o małżeństwo, dzieci. Ma kilka przyjaciółek, ale nie spieszy mu się na ślubny kobierzec.

„Kiedy przyjdzie na to pora, pewnie powiem »tak«. Dziewczyny w Medellin kochają gangsterów. Chłopaki z mafii mają powodzenie, bo wiadomo, że są przy forsie”.

Czy ma wyrzuty sumienia, że zabił tych wszystkich ludzi? Jak udaje mu się pogodzić mordowanie z tym, że jest wierzącym katolikiem? „Wiem, że to złe, odpowiada, ale postępuję tak, bo muszę. Robię to dla dobra mojej rodziny”.

Zdaje też sobie sprawę, że to, co robi, może doprowadzić do tego, iż sam zostanie zamordowany. Ten strach trzyma jednak w ryzach.

„Muszę być silny i skupiony Nie mogę przez cały czas zamartwiać się tyni, czy zostanę zabity, czy nie. Przecież każdy w końcu umiera”.

Kolumbijscy mordercy są sławni na całym świecie, a szczególnie w Meksyku. Meksykanie współpracujący z Kolumbijczykami przy przemycie Białej Damy na północ przyglądali się też machinie śmierci funkcjonującej u ich wspólników. Szacunek dla kolumbijskich cyngli słychać w wielu balladach śpiewanych w Sinaloa, jak na przykład w tej zatytułowanej *De Oficio Pistolero,* czyli „Zawód: pistolet”. *Oto Kolumbijscy mafiosi / oni nie wybaczają błędów* – to pierwsze słowa tej piosenki[7].

Zabójcy w Meksyku zaczęli stosować wiele rozwiązań Kolumbijczyków, a nawet nazwali się *sicarios.* Wzorem swoich wspólników zaczęli też rekrutować młodych ludzi z dzielnic biedy. I zajeżdżać swoim ofiarom drogę samochodami. Jednak zamiast z motocykli Meksykanie strzelali z terenówek albo SUV-ów. Lubili też inne rodzaje broni. Kolumbijczycy woleli pistolety, Meksykanie lubowali się w kałasznikowach, czyli Kozich Rogach.

Wraz z rozwojem meksykańskiej wojny narkotykowej, lufy karabinów płatnych zabójców wypluwały coraz więcej kul. W ciałach zamordowanych znajdowano nierzadko do 50 pocisków, kolejnych 300 leżało w pobliżu ciała. Taka liczba miała zagwarantować skuteczność ataku. Jednak zwiększyło się też ryzyko, że ucierpią osoby trzecie. W coraz większej liczbie morderstw na

zlecenie, których skutki oglądałem z bliska, ofiarami byli przypadkowi ludzie: bizneswoman jadąca tuż za „celem" w volkswagenie garbusie, przydrożny sprzedawca *taco*, matka pchająca wózek z dzieckiem. W meksykańskiej prasie zaczęto mówić o ofiarach zabłąkanych kul. Zabite osoby postronne trzeba było liczyć w setkach.

Sicario nigdy jednak nie chybiali i zazwyczaj opuszczali miejsce zbrodni bez problemów. Byłem zdumiony, że ci meksykańscy zabójcy potrafili zaatakować w trzech różnych miejscach Culiacán czy Ciudad Juárez mimo obecności setek policjantów i żołnierzy, a potem rozpłynąć się w powietrzu. Byłem zaszokowany skutecznością, jaką wykazywali gangsterzy w porwaniach z domów, miejsc pracy czy restauracji i łatwością, z jaką podrzucali później ciała w centrach miast. Dlaczego ofiary poddawały się zbrodniczym grupom, które według wszelkiego prawdopodobieństwa miały ich torturować, a potem zabić? Dlaczego nie uciekały?

Będąc w więzieniu w Ciudad Juárez, zadałem te pytania Gonzalowi, zabójcy pracującemu kiedyś dla karteli, który brał udział w wielu porwaniach i zabójstwach. Trzydziestoośmioletni były zawodowy morderca siedzi na pryczy w skrzydle więzienia będącym pod kontrolą chrześcijańskiej sekty i opowiada mi o brutalnym życiu, jakie wiódł, będąc członkiem mafii. Kiedy wspomina techniki uśmiercania ludzi, na jego twarzy nie widać emocji.

„Zabezpieczamy wszystkie strony. Pracujemy jak policja w Stanach Zjednoczonych, rozumiesz? Każda robota to szereg spraw, które należy zabezpieczyć. Trzeba mieć kogoś, kto zrobi co trzeba, gdy ktoś spróbuje uciekać. Porwanie na przykład trzeba bardzo dobrze przemyśleć i zaplanować. Trzeba to zrobić dobrze, ponieważ każde niedociągnięcie może oznaczać twój koniec".

Wyjaśnia mi także, w jaki sposób gangsterzy tworzą ogromną siatkę szpiegów i jak zgubę ofiarom przynoszą krewni.

„Kobiety i nastolatki między szesnastym a osiemnastym rokiem żyda mogą być dla nas bardzo przydatne. Mogą odgrywać ważną rolę obserwatorów. Bardzo często krewni osoby, która jest

naszym celem, współdziałała z nami: bracia, wujowie czy kuzynostwo. To szalenie ułatwia sprawę, bo dzięki nim dowiadujemy się o tej osobie, poznajemy jej zwyczaje. Czasem po uzgodnieniu z nami umawiają się z celem na spotkanie. Wtedy uderzamy”.

Na koniec mówi o tym, co najbardziej ułatwia gangsterom pracę: o policji. Przekupieni funkcjonariusze mogą na przykład opuścić obszar, na którym działają *sicarios,* by potem pojawić się tam, gdy zabójcy bezpiecznie już się oddalili. Co więcej, gangsterzy używają specjalnego kodu, by dać znać zatrzymującym ich policjantom, że są „chronieni”. Brzmi to przerażająco, lecz znalazło potwierdzenie w wielu opublikowanych przez rząd sfilmowanych przesłuchaniach ludzi mafii.

Nawet mury więzienia nie wystarczają, by zatrzymać morderców. W więzieniu stanowym w Durango odkryto, że wielu z osadzonych wychodzi nocą na zewnątrz, morduje, a następnie wraca do cel. Wszystko to dzieje się za przyzwoleniem strażników**[8]**. Więźniom zdarzyło się nawet używać pojazdów służb więziennych i korzystać z broni należącej do strażników. Osadzeni uciekali też masowo i znów wstępowali w szeregi wojsk karteli. W więzieniu stanowym w Zacatecas konwój terenówek i SUV-ów przy wsparciu helikoptera odbił 50 zatrzymanych gangsterów. W Reynosie 85 więźniów pewnej nocy po prostu przystawiło do muru drabinę i wymknęło się na wolność. Nawet dla hollywoodzkiego kina taka scena ucieczki byłaby zbyt banalna.

Gonzalo przyznaje, że jego dawni kamraci zaproponowali mu, iż wyciągną go z więzienia. Nie jest jednak zainteresowany.

„Moi ludzie, moi przyjaciele tak mi powiedzieli: »Załatwimy to. Są sposoby, żebyś wyszedł za mury«. Zdecydowałem się jednak, że zostanę. Wybrałem spokój, bycie z dala od tamtych.

Poznałem Chrystusa. Wiem, że istnieje, wiem, że jest z nami. Nie boję się. Jeśli mnie zabiją, amen, jestem na to gotowy. Gotowy na wszystko”.

Zabójca weteran chce porzucić swoje zajęcie. Nowe pokolenia *sicarios* zastępują starych i martwych kolegów oraz tych za więziennymi murami. Warto jednak zauważyć, że Gonzalo mordo-

wał, torturował i stał się bogaty. Młody narybek gotów jest robić to samo za grosze.

W Ciudad Juárez, 5 mil od zakładu, gdzie rozmawiam z Gonzalem znajduje się Szkoła Poprawcza Miasta Juárez, która otwiera podwoje dla ludzi od trzynastego do osiemnastego roku życia. Nazwa ta jest nieco ironiczna, ponieważ nie jest to żadna szkoła, a rodzaj więzienia, którego zadaniem nie jest podnoszenie poziomu wykształcenia, a odizolowanie niebezpiecznych przestępców. Budynek „szkoły" pilnowany jest przez żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe ustawione na workach z piaskiem, a w oknach są kraty. Za nimi znajdują się dziesiątki „uczniów", których życiową ambicją jest stanie się nowym pokoleniem narkotykowych bossów.

Wewnątrz panuje porządek i prostota. W stołówce, gdzie stoły zrobione są z kamienia, spotykam Jose Antonia, radosnego siedemnastolatka w workowatych spodniach i luźnej koszulce. Ma niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu i skórę koloru czekolady. Ma też przezwisko zarezerwowane dla niskich i śniadych: Frijol czyli Fasola. Oraz burzę, czarnych kręconych włosów. Jego cerę znaczy trądzik. Z wyglądu niczym, nie różni się od nastolatków chadzających na koncerty alternatywnego rocka w Seattle czy Manchesterze. Pozory jednak mylą, bo ten młody człowiek widział więcej strzelanin i zabójstw niż niejeden żołnierz służący w Iraku czy Afganistanie.

Fasola dorastał pod gradem kul. Kiedy Zetas i Kartel z Sinaloa zaczynali swoje potyczki na granicy z Teksasem, miał zaledwie 12 lat i dołączył do gangu ulicznego w slumsach Ciudad Juárez. Kiedy Felipe Calderón obwieścił wojnę z narkotykami, Fasola miał 14 lat, a na koncie napady z bronią w ręku, handel narkotykami i udział w regularnych bitwach z wrogimi gangami z użyciem broni palnej. Gdy miał 16 lat, policja zaniknęła go za posiadanie arsenału broni, w którego skład wchodziły między innymi 2 karabiny automatyczne oraz uzi, a także za morderstwo związane z handlem narkotykami.

Przyczyną rozlewu krwi na ulicach Ciudad Juárez jest ogromna liczba ludzi w szeregach gangów. Narodziło się całe pokolenie młodych, niemałych skrupułów *sicarios*, których mafijni szefowie prawie nie kontrolują. Cała młodzież z pewnych dzielnic miasta chwyciła za broń i zaczęła robić z niej użytek na ulicach, boiskach piłkarskich czy nawet domowych imprezach. Dzieciaki między szesnastym a dziewiętnastym rokiem życia stawały uczestnikami i ofiarami rzezi, które wprawiały świat w osłupienie.

Fasola jest typowym nieletnim rekrutem mafii. Jego rodzice pochodzą z wioski w stanie Veracruz, dołączyli do fali emigracji do fabryk otwieranych w Ciudad Juárez w latach dziewięćdziesiątych. Harowali na przeróżnych liniach montażowych: to japońskich telewizorów, to amerykańskich kosmetyków czy manekinów za przeciętną stawkę 6 dolarów dziennie. Przedtem uprawiali kukurydzę, więc był to krok naprzód, ale też radykalna zmiana w ich życiu. Rodzice Fasoli obchodzili wiejskie święta i wyznawali prowincjonalny kodeks wartości. Chłopiec dorastał w mieście Uczącym ponad milion mieszkańców**[9]**, w którym mógł oglądać amerykańską telewizję, a za rzeką widział wieżowce El Paso. Z północy płynęły broń i inna kontrabanda, w przeciwnym kierunku wędrowały narkotyki. Zamieszkał w miejscu, gdzie spotykały się nie tylko dwie gospodarki, ale i dwa światy.

Mieszkali w ogromnej dzielnicy biedy, która rozciąga się na wzgórzu w zachodniej części Ciudad Juárez. Okolica ta nazywana jest Biblijnym Wzgórzem, a to dlatego, że na zboczu wypisano ogromnymi białymi literami: „Ciudad Juárez. Biblia jest prawdą. Czytajcie ją". Zarówno to hasło, jak i slumsy widać z dostatniego El Paso. Stojące na wzgórzu domy są o wiele lepsze niż wiele osiedli w Ameryce Łacińskiej. Nie jest to skupisko bud z kartonu ani ruin. Domy zbudowane są z niemalowanych pustaków, a prawie w każdym jest woda i prąd. To *barrio* należy jednak do najbrutalniejszych na tym kontynencie.

Kiedy rodzice Fasoli tyrali całymi dniami, on zostawał sam w domu. Znajdował kompanów wśród innych nastolatków mają-

cych dużo czasu do zabicia. Grali w piłkę, śmiali się, zwierzali się sobie i troszczyli się o siebie nawzajem. I w taki właśnie sposób, bez żadnych ceremonii czy inicjacji, Fasola stał się częścią ulicznego gangu w Ciudad Juárez. Na określenie gangów używa się tego samego słowa, jak na osiedla, z których pochodzą: *barrio.* Jego *barrio* nosiło nazwę Calaberas czyli Czaszki, i liczyło około 100 członków. Wszyscy wywodzili się z domów stojących na małym skrawku Biblijnego Wzgórza.

„Gang staje się dla ciebie jak dom, jak rodzina. To tu znajduje się przyjaźnie i partnerów do rozmów. To tutaj czujesz się częścią czegoś większego. I wiesz też, że jeśli będziesz miał kłopoty, gang ci pomoże".

Czaszki były sprzymierzone z *banio* z południa zwanym Silencio, lecz należeli do zaciekłych wrogów zachodniego gangu Chema 13. Zawiła mapa sojuszy między *barrios* rozpościerała się ponad dzielnicą na wzgórzu niczym sieć pijanego pająka. Każdy z gangów oznaczał swój rewir napisami na murach. Wałki między wrogimi *barrios* były częste, nierzadko ginęli ludzie. Wychodzenie poza „swój" rewir nie było bezpieczne dla członków gangów. Większość dzieciaków trzymała się więc „swoich" ulic i „swoich" ludzi.

Barrios istniały w Juárez przez całe dziesięciolecia. Stare pokolenia ustępowały miejsca młodym. Walka była w ich życiu zawsze. Z początku wojowali patykami, potem kamieniami, nożami, a na końcu bronią palną. I zawsze byli zabici. Napisałem artykuł o *barrios* w Ciudad Juárez w 2004 roku. Policjanci powiedzieli mi, że w ulicznych walkach zginęło około 80 osób. To sporo, nawet jak na dzisiejsze standardy. Jest to jednak skromna liczba w porównaniu z rzezią, która miała się rozpętać pod: koniec dekady. Ta radykalna zmiana nastąpiła, gdy *barrios* zostały wciągnięte w wojnę karteli narkotykowych.

Fasola nauczył się używać broni jeszcze w Czaszkach. Broń w Ciudad Juárez była łatwo dostępna i każde *barrio* miało ukryty arsenał. Ćwiczyli celność w parkach i na wzgórzach, by potem przelewać prawdziwą krew w bitwach z innymi gangami. Kiedy kar-

tele z Sinaloa i Juárez zaczęły toczyć walkę o miasto, uliczne gangi stały się dla nich wydajnym źródłem mięsa armatniego.

„Ludzie z dojściami zaczęli wyszukiwać takich, którzy potrafią strzelać. Był jeden facet, który mieszkał w *barrio* przez kilka lat, a potem zaczął pracować dla grubych ryb. Oferował pracę młodym. Najpierw robota polegała na staniu na czatach lub pilnowaniu *tienditas* (małych sklepików z narkotykami). Potem zaczęli płacić za poważną robotę. Zaczęli płacić za zabijanie".

Pytam, ile mafia płaci za zabicie człowieka. Fasola odpowiada bez wahania: 1000 pesos, czyli mniej więcej 85 dolarów.

Tu kwota wydaje mi się tak niedorzeczna, że weryfikuję ją podczas innych wywiadów z aktywnymi członkami gangów. Wszyscy mówią to samo: 1000 pesos za zabójstwo. Cena ludzkiego życia w Ciudad Juárez to 85 dolarów.

Handel narkotykami dla wielu jeszcze nie jest przejściem na ciemną stronę. Tysiące ludzi robi to na całym świecie i nie mają wrażenia, że przekroczyli jakąś granicę. Zabicie człowieka to jednak najpoważniejsza zbrodnia. Potrafię, przynajmniej częściowo, zrozumieć ludzi, którzy zabijają, by wyrwać się z biedy i stać się bogaczami. Lecz zabijanie za 85 dolarów, kwotę, za którą można kupić parę taco i kilka piw, jest dowodem potwornej demora1izacji.

Próbując zrozumieć, jak do tego doszło, wybieram się na rozmowę i pracownicą społeczną, Sandrą Ramirez, która zajmuje się młodzieżą w slumsach zachodniego Ciudad Juárez. Zanim zaczęła odwodzić młodych od wybrania ścieżki zbrodni, wychowała się w *barrio* i przepracowała swoje w tutejszych fabrykach. Jej zdaniem młodociani *sicarios* to efekt trwającej przez ostatnie dwie dekady alienacji ich grupy społecznej. Slumsami, czyli sypialniami pracowników fabryk, rząd w ogóle się nie interesował. Co więcej, w czasie gdy w przemyśle nastąpiła recesja, slumsy zostawiono same sobie. Jedno z badań z 2010 roku wykazuje, że 120 tysięcy młodych ludzi w Ciudad Juárez w wieku od 13 do 24 lat czyli 45 procent całej młodzieży, nie kształciło się ani nie miało legalnej pracy**[10]**.

„Rząd nie ma do zaoferowania nic, co mogłoby konkurować z tysiącem peso. Tylko i wyłącznie mafia interesuje się tymi młodymi ludźmi i ma dla nich propozycje. Dają im pieniądze, telefony komórkowe i pistolety, by mogli się bronić. Myślisz, że któryś z tych dzieciaków odmówi? Nie mają nic do stracenia, żyją z dnia na dzień. Wiedzą, że mogą zginąć, i często o tym mówią. Ale nic sobie z tego nie robią, ponieważ takie było całe ich życie".

Kiedy członkowie gangu, do którego należał Fasola, zaczęli pracować dla mafii, dano im naprawdę poważną broń. Dotychczas wojowali pistoletami kalibru 9 mm, a nagle w ich ręce wpadły kałasznikowy i uzi. AK47 w rękach niemającego skrupułów i nietkniętego edukacją szkolną piętnastolatka to przepis na katastrofę. To ludzie gangów pracujący dla karteli ponoszą winę za ogromną część krwawych jatek na terenie miasta.

Wielu młodych ludzi z *barrios* zostało wciągniętych w większe grupy przestępcze, wykonujące zlecenia karteli narkotykowych. Jednym z przykładów jest grupa Barrio Azteca, stworzona przez Amerykanów meksykańskiego pochodzenia w zakładzie karnym w Teksasie w latach osiemdziesiątych. Po wielu przeobrażeniach stała się ogromną korporacją zbirów, handlarzy i płatnych zabójców pracujących w Meksyku dla Kartelu z Juárez. Inna to Artist Assasins, organizacja powstała z ulicznego gangu w Ciudad Juárez. Po zawiązaniu przymierza z Kartelem z Sinaloa bardzo się rozrosła. Ulica określa te organizacje mianem „ekip". Oprócz zdemoralizowanych nastolatków pracują tam także ludzie mający po 20, 30, a nawet więcej lat.

Jednym z założycieli Artist Assasins jest dwudziestosiedmiolatek znany pod przezwiskiem Saik. Za potrójne morderstwo dla Kartelu z Sinaloa odsiaduje obecnie wyrok. Ktoś z jego gangu pokazuje mi obraz, namalował Saik. Ci gangsterzy są artystami nie tylko z nazwy. Mam wrażenie, że to posępne malowidło zaraz się na mnie rzuci, wpatruję się w nie jak zahipnotyzowany. Podstawowa idea jest dosyć prosta i mało oryginalna: czaszka w hełmie pali marihuanowego skręta. W tym mrocznym przedstawieniu

ludzkiego czerepu jest jednak coś realnego, niemal osobowego. Ciemnożółta czaszka patrzy mi prosto w oczy, niemal pogardliwie, w jej zielonych zębach czai się uśmiech. To nie tylko maska śmierci, to także odwzorowanie osobowości człowieka z getta, symbol jego niezależności i dumy.

Wojna, jaką toczyły między sobą Artist Assasins i Barrio Azteca była pasmem bestialskich czynów. Uzbrojeni ludzie weszli do ośrodka odwykowego w Ciudad Juárez, ustawili 17 pacjentów pod ścianą i zabili każdego z nich strzałem w głowę. Mordercy byli ponoć ludźmi Podwójnego A poszukującymi lidera Barrio Azteca, który miał się tam ukrywać. Zabili więc wszystkich. Świat był wstrząśnięty.

W czymś, co najwyraźniej było aktem odwetu, Aztecas przeprowadzili masakrę w Villas de Salvarcar w 2010 roku, która wstrząsnęła Meksykiem. Według zeznań świadków uzbrojeni ludzie weszli na imprezę nastolatków w poszukiwaniu ludzi z Podwójnego A. Mordercy zablokowali wyjścia na ulicę i otworzyli ogień do tłumu – zamordowali 13 uczniów szkoły średniej i dwoje dorosłych, w tym sportowców i wyróżniających się uczniów. Większość z nich – być może nawet wszyscy – nie mieli nic wspólnego z wojną narkotykową.

Pytam Fasolę, jak to jest uczestniczyć w strzelaninach, widzieć śmierć przyjaciół na ulicach i brać udział w mordowaniu ludzi. Odpowiada bez mrugnięcia okiem:

„Strzelanina to czysta adrenalina. Co do trupów, to widzisz je i nic nie czujesz. Codziennie ktoś ginie. Jednego dnia jest dziesięć egzekucji innego nawet trzydzieści. Teraz to normalne".

Być może ten chłopak po prostu do tego przywykł. A może zakłada maskę. Młodzi ludzie po takich doświadczeniach wchodzą w dorosłe życie z mnóstwem blizn. Jak to wpływa na człowieka?

Pytam o to psycholog pracującą w szkole-poprawczaku, Elizabeth Villegas. „Nastolatki, z którymi pracujesz, mają na sumieniu morderstwa i gwałty, jak to wpływa na ich psychikę?" – pytam. Patrzy na mnie, jakby usłyszała to pytanie po raz pierwszy w ży-

ciu. „Morderstwa nie wywołują w nich żadnych emocji, odpowiada. Oni w ogóle nie rozumieją, że zadali innym ból. Większość z nich pochodzi z rozbitych rodzin, nie znają zasad ani ograniczeń”.

Nastoletni *sicarios* wiedzą, że jeśli chodzi o prawną odpowiedzialność, czeka ich taryfa ulgowa. Według meksykańskiego prawa nieletni mogą być skazani maksymalnie na 5 lat więzienia niezależnie od tego, ilu morderstw, porwań czy gwałtów się dopuścili**[11]**, jeśli zostaliby aresztowani za granicą, w Teksasie, gdzie mogliby być sądzeni jak dorośli, dostaliby 40 lat więzienia. Wielu skazanych za morderstwa nieletnich wyjdzie na wolność przed dwudziestym rokiem życia. Fasola będzie wolny, gdy skończy 19 lat.

Prawo jednak jest ich najmniejszym utrapieniem. To mafia wymierza tutaj prawdziwą sprawiedliwość. Strzelcy pracujący dla Kartelu z Juárez wpadli do części miasta, gdzie rekrutowani są młodzi ludzie do współpracy z ich wrogami z Sinaloa. Nie miało dla nich znaczenia to, że dwoje: lub może troje ludzi z *barrio* pracowało dla mafii z Sinaloa, wyrok śmierci wydano na wszystkich. Gangsterzy z Sinaloa odpowiedzieli tym samym w *barrios*, które współpracowały z Kartelem z Juárez. Wybrałem się do miejsca, gdzie rok temu spotkałem 20 młodych ludzi. Piętnastu z nich zginęło w strzelaninach. Bar, w którym lubili bywać, spłonął. Kilku spośród pozostałych przy życiu poszło za kratki, reszta uciekła. Ta okolica wygląda jak po epidemii. Fasola przyznaje, że poprawczak, w którym przebywa, nie jest przyjemnym miejscem, ale jest tu o wiele bezpieczniej niż na ulicach miasta.

„Ciągle słyszę o kumplach, którzy giną na ulicy. Może i ja bym nie żył. Być może żyję dzięki więzieniu”.

ROZDZIAŁ 10
Kultura

Kultura narodu mieszka w sercach i duszach jego ludzi.

Mahatma Gandhi

Kiedy Fausto „tano” Castro stanął w obliczu śmierci, nie widział świetlistej bramy ani aniołów. Jak można jednak spodziewać się po muzyku, usłyszał nagłą zmianę dźwięków otoczenia. Kiedy ponad 100 pocisków z kałasznikowa wpadło do jego czarnego SUV-a marki Chevrolet i 7 z nich utkwiło w jego ramionach, nogach i klatce piersiowej, usłyszał, jak dźwięki wokół niego stają się niesamowicie wyraźne, jakby znajdował się w specjalnie wyciszonym studiu. W tym czasie leżał bezwładnie, nie czując bólu.

Kiedy jednak uświadomił sobie, że żyje, i obejrzał się, by ocenić sytuację, w jego oczach pojawiły się łzy. Na fotelu obok leżał jego martwy kuzyn i jeden z najpopularniejszych wokalistów w północnym Meksyku, Valentin Elizalde, znany też jako Złoty Kogut. Elizalde, trafiony 28 kulami, został dosłownie rozszarpany.

„Wziąłem go w ramiona i ucałowałem. Ta chwila wydawała się taka nierzeczywista. Dwadzieścia minut temu graliśmy przed ogromną publicznością. Wprost szaleli za Valentinem. A teraz leżał tuż obok mnie w kałuży krwi”.

Castro opowiada mi tę historię 18 miesięcy po zdarzeniu, które miało miejsce w listopadzie 2006 roku tuż po *palenque*, czyli walce kogutów w Reynosie, leżącej nieopodal amerykańskiego McAllen w Teksasie. Muzyk wrócił do zdrowia zadziwiająco szybko. Ślady po kulach są teraz jedynie czerwonymi bliznami na prawej stronie jego ciała. Po 6 miesiącach w szpitalu chodzi bez niczyjej pomocy, a nawet gra na trąbce w swojej kapeli, w której jednak teraz śpiewa nowy wokalista.

Zespół, Banda Guasavena, nigdy nie cieszył się taką popularnością. Elizalde został pośmiertnie nominowany do latynoamerykańskiej nagrody Grammy i jest zaliczany do najwybitniejszych

śpiewaków Meksyku, takich jak na przykład Pedro Infante. Fani przychodzą tłumnie, by usłyszeć, jak zespół wykonuje najostrzejsze utwory Valentina, takie jak *118 kul* czy *Narco Batalion.* W ciągu półtora roku od tamtego morderstwa 14 innych muzyków w Meksyku zostało zastrzelonych, spalonych żywcem lub uduszonych. Wszystkie te zbrodnie łączone są ze zorganizowaną przestępczością.

By zrozumieć, dlaczego *sicarios* biorą na cel piosenkarzy wykonujących ballady, kompozytorów, trębaczy i bębniarzy, trzeba wejść w niezwykły świat znany jako *narcocultura,* i przyjrzeć się jego najbardziej charakterystycznej formie, *narcocorrido*, czyli narkotykowej balladzie, Valentin Elizalde był jedną z największych gwiazd tego gatunku. W warstwie instrumentalnej akordeony i dwunastostrunowe gitary pobrzękują nieco folkowo, teksty traktują jednak o kałasznikowach, kokainowych baronach i zabójstwach na zlecenie.

Podobnie jak gangsta rap w Stanach Zjednoczonych, muzyka ta nie jest akceptowana przez rząd meksykański i zabroniona w radiu. Krytycy twierdzą, że gloryfikuje ona handlarzy narkotyków i przyczynia się do wzrostu przestępczości. Niezależnie od tego, czy jest to prawda, czy nie, ogromna popularność narkokultury pokazuje, jak ważną rolę w społeczeństwie odgrywają *narcos. Narcocorridos* biją rekordy popularności i uświetniają imprezy od tropikalnych lasów Ameryki Środkowej po getta Los Angeles. Ballady stanowią akompaniament, muzyczne dopełnienie przerzucania ton białego proszku przez granicę i rozszarpywania się nawzajem na strzępy.

Jednak w *narcocorridos* odnaleźć można nie tylko atrakcyjne melodie. Są tam także historie. Ballady te opowiadają ulicy o ucieczkach z więzień, strzelaninach, nowych sojuszach i zerwanych paktach. Przekazują te wiadomości ludziom, którzy rzadko zaglądają do gazet. Scenami minstreli w XIX wieku były rynki miasteczek, ich współczesnych odpowiedników słychać tak w radiach samochodowych w Brownsville, jak i w szafach grających w cantinas w Gwatemali.

Piosenki przydają barw mrocznym postaciom narkotykowych szefów. Największego z bossów, Ismaela „Mayo" Zambadę, znano przez wiele lat jedynie z ziarnistego zdjęcia z lat siedemdziesiątych. Jednak dzięki setkom opiewających go piosenek wielu ludzi czuło, że zna go o wiele lepiej. Zwrotki opisywały z podziwem, jak korumpuje polityków z najwyższej półki, bezwzględnie morduje wrogów i dumny jest ze swojej floty lotniczej rozwożącej narkotyki. Pieśń poświęcona jego osobie znajduje się na płycie z 2007 roku nagranej przez popularną grupę Tucanes de Tijuana, wydaną przez Universal Music w Stanach i Meksyku.

Mówią o nim MZ
albo Ojciec Chrzestny.
Jego imię dobrze znają
nawet niemowlęta.
Chociaż wszędzie go szukają,
on nie schyla głowy
Dobrze chronią go dolary
i kałasznikowy.

W samym centrum *narcocultury* znajduje się mafijny ojciec chrzestny. Wychwala się go niczym postać mityczną: jest ubogim człowiekiem z ludu, który zdobył bogactwo, wielkim banitą, drwiącym z meksykańskiej armii i DEA, jest dobroczyńcą, który wręcza zwitki dolarowych banknotów matkom w potrzebie, jest jak postać z filmów płaszcza i szpady, potrafi zniknąć jak kamfora.

Meksyk to nie jedyny kraj, gdzie przestępców stawia się na piedestale. W Anglii już od XIII wieku powszechny był kult Robin Hooda, który żył w ludowych balladach i innych dziełach literackich**[1]**. Sycylia ubóstwia postać wiejskiego rabusia Salvatore Giuliano zarówno w kinie, jak i w dziełach operowych. A czym byłaby kultura Stanów Zjednoczonych bez Jesse Jamesa, Pretty Boya Floyda, Ala Capone czy Johna Dillingera? A co z raperami mającymi w pogardzie prawo, takimi jak Notorious BIG czy Tu-

pac Shakur?

Na nizinach północnego Meksyku kult wyjętych spod prawa ma jednak zupełnie inny wydźwięk. Ten przygraniczny region podbijany był wielokrotnie przez hardych awanturników trzymających się z dala od ośrodków władzy czy to w Meksyku, Waszyngtonie czy Madrycie/Ha kształtowanie się tych postaci niebagatelny wpływ miało też to, że dorastały w świecie, gdzie bogaci politycy żyją w pałacach i utrzymują haremy kochanek, podczas gdy zwykli ludzie walczą o przetrwanie. *Narcos* czczeni są jak bohaterowie, którzy mają dość ikry, by przeciwstawić się systemowi. Dlatego w Sinaloa na gangsterów powszechnie mówi się Valientes – Odważni.

Film *Ojciec chrzestny*, będący szczytowym osiągnięciem kina gloryfikującego postać mafijnego *capo*, był w Sinaloa niesamowitym hitem. Nawet dzisiaj kartel Familia zaleca swoim ludziom zapoznanie się z tą filmową trylogią. O jej popularności decyduje postać Michaela Corleone, który wyznaje wartości rodzinne i hołduje ideałowi lojalności, chociaż widzi te zagadnienia na swój własny sposób (zdarzyło mu się zabić brata właśnie za nielojalność).

Na południe od Rio Grande popularnością cieszy się też inny film z Alem Pacino w roli gangstera – *Człowiek z blizną*. Do więzienia w Nuevo Laredo wybrałem się po tym, gdy zastrzelono tam narkotykowego bossa. Oddziały federalne już działały na miejscu i wywoziły luksusowe dobra jakie *capo* zgromadził w swojej celi. Był tam między innymi stół do bilarda i ogromny zestaw stereo. Najwyraźniej więzienie było dla niego jak dobra impreza. Jednak przedmiotem, który przykuł moją uwagę, było ogromne oprawione w ramkę zdjęcie Ala Pacino z *Człowieka z blizną*. Fikcyjna postać Amerykanina rodem z Kuby, Tony'ego Montany, jest uwielbiana przez napakowanych testosteronem twardzieli na całym świecie. Nic więc dziwnego, że latynoscy gangsterzy chętnie utożsamiają się z krewkim amatorem kokainy, który o swojej broni mówi czule „mój mały przyjaciel”.

Kinematografia w Meksyku od lat osiemdziesiątych wypuściła w świat dosłownie tysiące filmów traktujących o mafii narkotykowej, przemysł nabrał wiatru w żagle wraz ze wzrostem popularności odtwarzanych w domach kaset wideo, co pozwoliło producentom na kręcenie mnich filmów klasy B wydawanych bezpośrednio na VHS, a potem na DVD. Takie filmy, które od razu mają trafiać pod strzechy, realizuje się podczas intensywnych dwutygodniowych planów zdjęciowych, angażując naturszczyków do ról drugoplanowych, prawdziwych wieśniaków, autentyczne prostytutki, a czasem nawet najprawdziwszych gangsterów. Dzięki tym filmom narodziły się supergwiazdy: Mario Almada, szczupły aktor w typie Clinta Eastwooda, obsadzany zazwyczaj w rolach policjantów, i Jorge Reynoso alias Señor de la Pistolas, obdarzony urodą, która kwalifikuje go do grania krwiożerczych czarnych charakterów. Almada i Reynoso zagrali w ponad 1500 filmach, zyskując rzesze fanów także wśród *narcos*. Sami zresztą przyznali się, że spotkali najbardziej poszukiwanych bossów, którzy podziwiali ich grę.

Te pełne seksu i przemocy obrazy noszą pobudzające wyobraźnię tytuły, takie jak *Coca Inc.*, *Czarny hummer* czy *Me chingaron los gringos* (Przelecieli mnie gringos). Jak łatwo zgadnąć, nie brakuje w nich scen dobijania narkotykowych targów, skąpo odzianych niewiast, niewiarygodnych strzelanin i pędzących przez pustynię wielkich aut.

Mimo iż godzinami próbuję oglądać te filmy, jakoś do mnie nie trafiają. Fabuła wydaje mi się zwykle nielogiczna i zawiła, a dialogi budzą wesołość. Chcąc się dowiedzieć, co kręci w nich aż tylu ludzi, pytam o to Efraina Bautistę. Pochodzi z południowego Sierra Madre, dorastał w wiosce trudniącej się uprawą marihuany. Co ludzie widzą w tych filmach? Na samo ich wspomnienie twarz Efraima rozpromienia uśmiech od ucha do ucha.

„Musiałbyś zobaczyć, co dzieje się z moimi kuzynami, kiedy oglądają te filmy. Zachowują się, jakby to było prawdziwe życie, jakby te sceny działy się tu i teraz. Kiedy postać na ekranie popełnia błąd, przeklinają ją, wrzeszcząc na telewizor. Kiedy padają

strzały, kulą się, jakby mógł ich trafić filmowy pocisk”.

Jednak największe pieniądze na filmy i płyty z narkoballadami wydaje się nie na podupadłej meksykańskiej wsi, lecz w Teksasie, Kalifornii, Chicago i innych częściach w USA, gdzie mieszka dużo Latynosów. Imigranci utożsamiają się z walką ubogich, o której opowiada *narcocultura*, i łakną bajkowej wizji swojej ojczyzny. To oni kupują też większość wydań oryginalnych, w Meksyku bowiem chętniej nabywa się pirackie kopie.

Sprzedaż jednak nie jest najważniejsza, narkokinematografia ma bowiem jeszcze jedno źródło finansowania: dolary z handlu narkotykami. Szefowie chętnie sponsorują filmy, by wyprać trochę pieniędzy albo uwiecznić swoje własne dzieje na srebrnym ekranie. Przesłuchiwany *capo*, Edgar Valdez alias Lalka Barbie, wyznał, że wręczył kiedyś pewnemu producentowi filmowemu 20 tysięcy dolarów, by zrealizował film biograficzny o nim**[2]**. Dla sfrustrowanych filmowców bez pieniędzy ktoś rzucający takie sumy na stół jest jak dobra wróżka i nie ma znaczenia, że to wróżka rodem z mafijnej bajki.

Sponsoring majętnych mafiosów odciska się na całym zjawisku *narcocultury* ekstrawaganckie domy reprezentują swoisty styl w architekturze, jest to tak zwana narcotektura, gdzie wilie w greckim stylu uzupełnia się jacuzzi i klatkami dla tygrysów. Gangsterzy zatrudniają niezliczonych rzemieślników, którzy pozłacają, wysadzają diamentami i grawerują im broń. Płacą też za specjalnie dla nich projektowane kolekcje kuloodpornej odzieży, która przypomina znoszone kurtki kowbojów. Takie wydatki upodabniają bossów do średniowiecznych patrycjuszy, mecenasów sztuki i pionierów mody, która dopiero później zawędrowała pod strzechy. Rodzajem sztuki najbardziej cenionym przez bossów, jednocześnie najpopularniejszym wśród przeciętnych odbiorców, jest *narcocorrido*, czyli ballada narkotykowa.

Jak wiele składników kultury Meksyku, *narcocorrido* wywodzi się z czasów krwawego hiszpańskiego podboju i zetknięcia kultury europejskiej z kulturami tubylców. Bazą corrido są ballady z

Półwyspu Iberyjskiego, wykonywane przy wtórze gitar przez hiszpańskich trubadurów, którzy wybrali się później wraz z konkwistadorami za morze. To jednak ubodzy Metysi przejęli i rozpropagowali ten gatunek w Nowym Świecie.

Ballady te cieszyły się szczególną popularnością w leżących w głębi lądu dzikich stanach Chihuahua i Texas, w czasach, gdy ten ostatni wciąż znajdował się w rękach Meksykanów. Niewielkie skupiska ludzkie oddzielone od siebie suchymi pustkowiami i gęstymi lasami wygłodniałe były wieści ze świata. Wędrujący muzycy opowiadali o podbojach i koronacjach. Rola tych ludzi zyskała na znaczeniu podczas wojny o niepodległość w 1810 roku. Opowieści o księdzu Miguelu Hidalgu, bijącym w dzwony i wołającym *Viva Mexico!*, rozpowszechniano szeroko w rymowanej formie. Już od swych początków ballady były wyrazem buntu j i oporu.

Corrido stały się tym, czym są teraz, podczas trwającej 10 lat meksykańskiej wojny (1910–1920). Domaganie się ziemi i wolności czy wezwanie do wysadzania w powietrze całych miast stały się treścią ogromnej liczby ballad śpiewanych od ognisk, przy których grzali się żołnierze, aż po karawany uchodźców. To w tamtym okresie ukształtował się sposób epickiego przedstawiania rzeczywistości, który corrid zachowały do dziś. *Autentyczna niezależność, głębia i forma tych ballad wykuły się w ogniu bitew i w cierpieniach okresu rewolucji*, pisał Vincente T. Mendoza, niezrównany badacz tego gatunku[3].

Wykazując się niezwykłą pamięcią, śpiewacy na prowincji w północnym Meksyku potrafią przywołać te opowieści o śmierci i zdradzie, jak popularna *Corrido o rewolucji*:

Powstańcie, Meksykanie,
wy, którzy widzicie, że przelewa się
naszą krew, po to,
by po władzę mógł sięgnąć
kolejny tyran.
Spójrzcie na ukochaną ojczyznę,

jak ją opuszczono,
i na dzielnych ludzi,
którzy zostali zdradzeni.

Wraz z nadejściem radia i telewizji, *corridos* przestały być ważnym środkiem przekazu, śpiewacy zajęli się więc tematami bardziej osobistymi, takimi jak trud pracy czy utracona miłość. W jednym obszarze były nadal doskonałym źródłem informacji – w przestępczości. We wczesnych latach trzydziestych ubiegłego wieku ballady traktowały o rabusiach i przemytnikach, czego przykładem są popularne strofy *Ballady o Gregoriu Cortezie*, opowiadającej dzieje Meksykanina z Teksasu, który w obronie własnej zastrzelił szeryfa i uciekł za Rio Grande. Ceniony pisarz inspirujący się folklorem, Americo Paredes, przekuł w 1958 roku te strofy w książkę pod tytułem *With His Pistol in Hand* (Z bronią w ręku), którą zekranizowano w roku 1982.

Powiedział Gregorio Cortez,
trzymając pistolet w dłoni:
„Tak wielu strażników przybyło,
by jednego Meksykanina gonić”.**[4]**

Ballada o Gregoriu Cortezie, autor nieznany

Prawdziwego kopa muzycznej machinie dał rock and roli, wtedy też hity z Meksyku zaczęły szturmować listy przebojów. Ritchie Valens (a właściwie Ricardo Valenzuela) uczynił ludową piosenkę meksykańską międzynarodowym hitem (La Bamba) już w 1958 roku. Następny w kolejce był Carlos Santana ze swoją mieszanką rocka i muzyki latynoskiej, która największe triumfy święciła w latach sześćdziesiątych. Tradycja corrido utorowała sobie drogę na szczyty popularności dzięki trzem braciom i ich kuzynowi, którzy w 1968 roku wybrali się na północ, by pracować na ranczu w południowej Kalifornii. Pomysł na nazwę zespołu podsunął im urzędnik imigracyjny, który przezywał ich „małymi tygrysami”. Tigres del Norte grywali w tłumne niedziele na rynku w San Jose, (gdzie zauważył ich impresario (po-

dobnie jak ja Brytyjczyk) Art Walker i podpisał z nimi kontrakt w imieniu jego nowo powstałej wytwórni Fama. Tak rozpoczęła się ich kariera. Tigres wydali ponad 40 płyt, zdobyli prawie każdą możliwą nagrodę muzyczną po obu stronach granicy i byli w trasie przez następne cztery dekady, zapracowując na miano meksykańskich Rolling Stonesów.

Wzorem Boba Marleya, który do tradycyjnych brzmień ze swojej wyspy dorzucił szczyptę rocka, Walker skłonił Tigres, by mocniej uderzyli w bębny i użyli elektrycznej gitary basowej obok swojsko brzmiącego akordeonu. Efektem tego były rzesze fanów zakochanych w odnowionej w ten sposób konwencji *corrido*. Melodie Tigres były chwytliwe i nadawały się do tańca, zachowywały przy tym ckliwą melancholię i żywe my typowe dla meksykańskich ballad.

Tigres szybko odkryli, że kluczem do jeszcze większej popularności są piosenki o żyjących na bakier z prawem. Ich trzeci singiel, *Contrabando y traición* (Przemyt i zdrada), wyniósł ich na wyżyny. Ich płyta z roku, która jest najprawdopodobniej pierwszym winylowym wydanie *narcocorrido*, opowiada o perypetiach przemytników Emilia Vaieli i Camelii Teksanki, którzy przekraczają granice w San Diego samochodem z oponami nafaszerowanymi marihuaną. Gdy docierają do mrocznego zaułka Los Angeles, gdzie zamieniają ziółko na worek pieniędzy, Camelia wyciąga broń, zabija Emilia i ucieka z kasą. Piosenka ta stała się niemal hymnem, kapele rockowe nagrały jej liczne covery, a w 1977 roku nakręcono na jej podstawie film. Gdy słucha się jej dziś, brzmi jak błogie wspomnienie starych, dobrych i niewinnych czasów. Na myśl przychodzą raczej pogodni handlarze trawką z cyklu filmów Cheecha i Chonga, a nie psychopatyczni mordercy w kominiarkach.

Tigres nie mieli żadnych związków z narkobiznesem, lecz na scenie *corrido* pojawił się śpiewak i gangster w jednej osobie: Rosalino „Chalino" Sanchez. Jeśli Tigres del Norte byli Rolling Stonesami *corridos*, Chalino był Tupakiem Shakurem tego gatunku. Był

w ujmujący sposób zwariowany, dumny z tego, że pochodzi ze slumsów, i znał dobrze brutalną stronę życia. Regularnie spędzając czas w więzieniu i biorąc udział w kilku strzelaninach, stal się uosobieniem prawdziwego człowieka z półświatka, różniąc się zdecydowanie od Tigres z ich fryzurami a la czeski piłkarz i połyskującymi garniturami. Bez zahamowań śpiewał o żywocie handlarza, nie bał się wulgaryzmów i zrewolucjonizował konwencję *corrido*. Uznano go za ojca chrzestnego prawdziwej nieoswojonej narkoballady.

Jak przystało na kryminalistę, jego biografia i śmierć owiane są mgłą tajemnicy. Najdokładniejszy opis jego życia zawdzięczamy reporterowi „Los Angeles Timesa” Samowi Quinonesowi, który zwiedził wiele miejsc i pobytu piosenkarza i przekopał się przez więzienne dokumenty, by napisać w 2001 roku biografię Chalina, *True Tales from Another Mexico* (Prawdziwe historie z innego Meksyku)**[5]**, jego opowieść otwiera epizod niemal żywcem wzięty z życia Pancho Villi: kiedy Chalino miał 11 lat i dorastał na ranczu w Sinaloa, miejscowy zbir zgwałcił jego siostrę. Cztery lata później Chalino wpadł na imprezę, na której bawił się gwałciciel, zastrzelił go, wdał się w wymianę ognia z dwoma jego braćmi, po czym uciekł aż do Los Angeles. Do osiągnięcia pełnoletności Chalino imał się różnych zajęć: mył samochody, sprzedawał narkotyki i przemycał je przez granicę jako tak zwany kojot. Potem życie doświadczyło go podwójnie boleśnie: był świadkiem śmierci swojego brata i w 1984 roku zamknięto go w niesławnym więzieniu Mesa w Tijuanie.

Jednak to śmierć brata skierowała go na drogę wiodącą ku sławie. Swoje pierwsze *corrido* napisał o zamordowanym bracie, a potem zaczął brać pieniądze za pisanie ballad o innych więźniach. Gdy znów znalazł się na ulicach Los Angeles, dokumentował w piosenkach życie meksykańskiego światka przestępczego, a za twórczość płacono mu pieniędzmi, złotymi łańcuchami, zegarkami czy specjalnie zdobioną bronią. Widząc, że jego utwory stają się popularne, zaczął nagrywać je na kasety i sprzedawać z bagażnika samochodu. Fama robiła swoje i Chalino już niebawem

koncertował w kalifornijskich klubach przy pełnej sali przed wielotysięczną publicznością i podpisywał kontrakt z dużą firmą płytową. Przez jedną wspaniałą chwilę jego życie zmieniło się w amerykański sen.

A krwawe wydarzenia z 1992 roku zmieniły go w legendę. Najpierw, podczas styczniowego koncertu w położonym na kalifornijskiej pustyni mieście Coachella, pijany słuchacz wszedł na scenę z bronią i strzelił do piosenkarza. Jakby na potwierdzenie swojej reputacji, Chalino wyjął pistolet i odpowiedział ogniem, dając tym samym początek strzelaninie w której rannych zostało 7 osób i co najmniej jedna zginęła. Incydent ten wspomniany został w wiadomościach sieci ABC, co sprawiło, że ogromnie wzrosła sprzedaż jego płyt. Cztery miesiące później, gdy grał dla ekstatycznego tłumu w ojczystym Sinaloa, zatrzymało go 4 mężczyzn w mundurach policjantów. Następnego ranka jego ciało znaleziono przy kanale odwadniającym z dwoma kulami w głowie. Ot, kolejne niewyjaśnione morderstwo w Sinaloa.

Chalino odszedł, ale jego muzyka radziła sobie doskonale. Choć krytycy ganili jego nosowy i „niemuzyczny" głos, był prawdziwym idolem dla uliczników w Sinaloa i meksykańskich gangsterów w Kalifornii. Wkrótce setki naśladowców po obu stronach granicy zaczęły wydawać mnóstwo *narcocorridos* w wersji *hard.* Wychowana na gangsia rapie publiczność amerykańska natychmiast odnalazła się w estetyce, której głównym motywem były narkotyki i broń, zarówno w tekstach, jak i na okładkach, a wszystko to dodatkowo opatrzone ostrzeżeniami o „dosadnym języku i konieczności rodzicielskiego nadzoru". Miejscy gangsterzy o ogolonych głowach zaczęli nawet ubierać się w kowbojskim stylu Chalina: białe sombrero nosili na bakier, w paskach obowiązkowa była masywna klamra, buty musiały być z krokodylej skóry, a w dżinsach: swoje miejsce miał pistolet. Quinones tak podsumowuje spuściznę barda: *W rękach Chalina ludowa muzyka Meksyku stała się miejską muzyką taneczną o niebezpiecznym potencjale.*

Dwie dekady po śmierci Chalina *narcocorridos* są bardziej popularne niż kiedykolwiek. Na straganach na ulicach Culiacán sprzedaje się setki płyt, na których okładkach artyści dzierżą kałasznikowy, ubrani w kowbojskie kapelusze, kominiarki czy paramilitarne mundury. Dźwięki Lej muzyki dobiegają zza szyb luksusowych terenówek i białych hummerów z przyciemnionymi szybami. W nocnych klubach bawią się przy niej komety o sztucznych, wysadzanych drogimi kamieniami paznokciach długich na cal, oraz mężczyźni w kowbojkach ze skóry aligatora, strzelający w powietrze z pistoletów. Na rogach ulic grają ją muzycy czekający, aż ktoś wynajmie ich na jakąś pijaną łub naćpaną imprezę.

Przy takim popycie na ballady nie dziwią tysiące młodych artystów chcących się wybić i zająć miejsce Chalina czy Valentina Elizalde. W samym Culiacán działa obecnie pięć firm płytowych wydających *corridos*, a każda z nich ma w swojej stajni około 200 nazwisk.

Odwiedzam studio Soł Records, które mieści się w dom ku na przedmieściach Culiacán. Tego popołudnia w środku tygodnia pełno tu muzyków niosących całe naręcza swoich płyt i planujących nagranie kolejnych, mających zawierać hity. W dźwiękoszczelnej kabinie jakaś kapela śpiewa właśnie balladę o niedawnej jatce. Muzycy wiedzą, że muszą zagrać idealnie, bo nie stać ich na wynajęcie studia na dłużej. Wokalista ryczy teksty, wykonując gesty mające przypominać oddawanie strzałów z broni automatycznej.

Conrado Lugo, producent i szef Soł Records, jest olbrzymim facetem po trzydziestce o wesołym usposobieniu. Prowadzi firmę założoną przez ojca. Opowiada mi o abstrakcyjnym świecie sceny *narcocorrido*, gdy obok nas przepływa niekończąca się rzeka muzyków. Conrado wyznaje, że jako nastolatek wolał heavy metal i wcale mu się nie uśmiechało wydawanie narkoballad.

„Kiedyś miałem permanentnego dola i nienawidziłem swojej pracy. Wtedy mój ojciec spytał mnie: »Podoba ci się jeżdżenie nowiutkim pick-upem? A złoty zegarek? Więc lepiej polub corrido«.

Miał rację, z biegiem czasu nauczyłem się kochać tę muzykę".

Dla Sol Records jest ona bez wątpienia żyłą złota. Inaczej niż w zwykłym biznesie muzycznym, tutaj to same kapele albo ich sponsorzy z góry płacą za sesje nagraniowe. Jednym z głównych źródeł utrzymania zespołów jest granie na prywatnych przyjęciach, nierzadko organizowanych przez tych samych gangsterów, o których opowiadają piosenki. Grając dla tych obwieszonych złotem klientów, nawet kapele z połowy stawki są w stanie zarobić 10 tysięcy dolarów za noc. Wielkie gwiazdy mogą zażądać astronomicznej sumy 100 tysięcy za występ.

Najważniejsze jest jednak to, że handlarze narkotyków płacą kompozytorom za pisanie o nich piosenek. Każdy z artystów, z którymi rozmawiam, otwarcie podaje cenę za napisanie *corrido* o gangsterze, Początkujący autorzy zgodzą się za 1000 dolarów napisać parę zwrotek o wspinającym się po szczeblach kariery kryminaliście, uznany muzyk może za piosenkę o ważnej postaci kartelu zażądać kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Dla niektórych gangsterów jest to forma wydawania nadmiaru gotówki, dla wielu to inwestowanie kapitału. Ballada ku ich czci oznacza prestiż, a na ulicy, poza szacunkiem, może ułatwić interesy.

„Dla *narco* posiadanie ballady na swój temat jest jak zdobycie doktoratu", mówi Conrado.

Conrado opowiada mi też historię o gangsterze niższej rangi, który zapłacił za balladę, a ta okazała się nader chwytliwa. Wkrótce słuchali jej wszyscy.

„Bossowie mówili mniej więcej tak: »Dajcie mi tego gościa z piosenki. Chcę, żeby dla mnie pracował«. Więc można powiedzieć, że dzięki tej balladzie awansował".

Pytam go, co się z nim stało.

„Ach, wiesz, zabili go. Stał się zbyt ważny. I to tak naprawdę z powodu tej piosenki".

Pytam Conrada, czy biorąc pod uwagę fakt, że muzyka, którą wydaje, jest promocją gangsterów zabijających samych artystów, nie czuje się źle. Udziela mi identycznej odpowiedzi, jaką słyszę

od dziesiątków kompozytorów i wokalistów: że to tylko opis rzeczywistości, że dają publiczności to, czego oczekuje. Dokładnie te same argumenty wysuwa się w obronie gangsta rapu. Być może jest w tym ziarno prawdy: to nie piosenki zabijają, zabija broń (choć z tym ostatnim nie zgodziliby się zwolennicy jej posiadania z National Rifle Association[*].

„Teraz jest mnóstwo przemocy, ale to nie muzycy są tego przyczyną. Większość zabitych muzyków zginęło nie przez muzykę, którą grali. Zginęli w wyniku sprzeczek o kobiety, pieniądze czy coś podobnego. Albo znaleźli się po prostu w niewłaściwym miejscu z niewłaściwymi ludźmi".

Pytam go, co sądzi o muzykach prezentujących się na okładkach z bronią w ręku. „To tylko poza, odpowiada. To nie znaczy, że są gangsterami. Każdy czuje się lepiej, pozując z pistoletem czy strzelbą. Sam to robię". Po tych słowach wyjmuje z kieszeni telefon komórkowy i pokazuje mi swoje zdjęcie z ogromnym supernowoczesnym karabinem.

Conrado przyznaje, że wraz ze wzrostem przestępczości piosenki stały się brutalniejsze. *Corridos* wydaje się dni albo nawet godziny po głośnych wydarzeniach, takich jak zabicie Brody – Beltrana Leyvy – albo po większej strzelaninie. Kilka ballad opiewa osobnika znanego jako Kucharz, który rozpuścił w kwasie ciała 300 ofiar Kartelu z Tijuany. Popularna pieśń *Czarne komando* opisuje oddziały w kominiarkach trudniące się porwaniami i torturami. By nadążyć za tą eskalacją brutalności, powstał nowy podgatunek, *corridos enfermos*, czyli chore ballady. Jedna z nich opisuje ze szczegółami, jak grupa morderców masakruje całą rodzinę w jej własnym domu.

Conrado przedstawia mnie muzykom najostrzejszej aktualnie kapeli, której nazwa nie pozostawia żadnych wątpliwości. Nazywają się Grupo Cartel de Sinaloa, w skrócie Grupo Cartel. Nietrudno zgadnąć, gdzie mają przyjaciół.

„Chciałem, by nasza nazwa mówiła całą prawdę, bez ogródek, wyjaśnia mi trzydziesto trzyletni autor piosenek, Cesar Jacobo.

Nie jesteśmy hipokrytami, jak niektóre gwiazdy. Nie kryjemy tego, jak żyjemy i kim jesteśmy".

Grupo Cartel nie cieszy się międzynarodową sławą, ale w Culiacán grywa na dużych imprezach na wolnym powietrzu dla wielotysięcznych rzesz fanów. To klasyczna kapela *corrido* składająca się z czterech muzyków: perkusisty, basisty, gitarzysty grającego na dwunastostrunowej gitarze, i akordeonisty, który jest równocześnie wokalistą. Ten ostatni ma 18 lat i może pochwalić się niesamowicie silnym melodyjnym głosem. Reszta muzyków jest przed trzydziestką. Kiedy przyjeżdżają na sesję zdjęciową, wszyscy mają na sobie takie same kremowe garnitury i czerwone koszule. Piszący piosenki Cesar nosi granatowe dżinsy i modną markową koszulę. Ma też zadbaną bródkę. Upewnia się, że nie ma go na zdjęciach. „Róbcie srogie miny", zaleca muzykom, szczerząc zęby w uśmiechu.

Najwyraźniej to Cesar jest głową całego przedsięwzięcia. Oprócz pisania piosenek pilnuje spraw finansowych, dba o kontakty, organizuje koncerty i zajmuje się całą resztą spraw. Co widać, budzi szacunek wśród innych menadżerów, techników i wszystkich zamieszanych w tutejszy muzyczny biznes. Gdy przez kilka dni przemieszczamy się pomiędzy studiami a restauracjami serwującymi owoce morza, co chwilę odbiera telefon komórkowy i rozmawia ściszonym głosem. Dla mnie ma jednak czas, poświęca mi dużo uwagi i jest zadowolony, że opiszę jego zespół w niedzielnym dodatku do brytyjskiego magazynu.

„Rozsławisz nas w Londynie. Ludzie będą słuchali Robbiego Williamsa i Grupo Carter", żartuje.

Otoczenie Grupo Cartel to przedziwna mieszanina ludzi zaangażowanych we współczesną narkokulturę. Są tam młodzi ludzie ze slumsów wiejskich rancz, a także absolwenci prywatnych szkół. *Narcos* z Sinaloa od wielu lat wysyłali swoje dzieci do drogich szkół, by mogły startować do lepszej klasy społecznej, innym dzieciom bogatych rodziców może wydawać się atrakcyjne ubieranie się jak bandzior czy spędzanie czasu z potomstwem mafijnych bosów. Podobnie jak w Stanach, kultura gangsterów kusi

niezależnie od klasy społecznej. Dzisiaj można spotkać młodzieńców z rodzin handlarzy wyglądających jak młodzi biznesmeni i jsynów bogatych ranczerów, którzy prezentują się jak *narco*.

W tej hybrydowej kulturze młodzi ludzie z Sinaloa zwani są *buchones*, ich ubiór łączy elementy miejskie i prowincjonalne, tradycyjne z nowoczesnymi. *Buchones* lubią kowbojskie kapelusze, buty ze skóry strusia na równi z obuwiem sportowym i czapkami z daszkiem. Dziewczyny noszą obcisłe drogie sukienki i z dumą eksponują błyszczące klejnoty i sztucznie powiększone biusty – obie te rzeczy mają świadczyć o zamożności ich chłopaków gangsterów.

Cesar wyniósł się z ubogiej wsi w wieku 10 lat i dorastał w dzielnicy biedy w Culiacán. Bardzo cieszy go to, że dzieciaki z klasy średniej, a nawet z bogatych rodzin, lubią jego muzykę „Graliśmy kiedyś w rezydencji dla synów przedsiębiorcy. Traktowali nas jak prawdziwe gwiazdy, mówi z uśmiechem. To naprawdę superuczucie, mieliśmy wrażenie, że naprawdę coś osiągnęliśmy".

W bardziej wyrafinowanych dzielnicach Mexico City dzieciaki z zamożnych rodzin mniej interesują się *narcocorrido*, wolą muzykę rockową i elektroniczną ze Stanów Zjednoczonych oraz Europy. Bliżej im do U2 niż do Tigres del Norte. Jednak narkoballady coraz częściej słychać w rozległych slumsach stolicy. Pirackie płyty CD Valentina Elizalde, Chalina Sancheza czy grającej ostro Grupo Cartel huczą w autobusach i taksówkach, na prywatkach i w *cantinas*. Ich melancholijne melodie wraz z pikantnymi tekstami zyskują fanów zarówno wśród nastolatków, jak i staruszków.

Cesar i jego ojciec nie słuchali wcześniej narkomuzyki, śpiewali tylko piosenki o miłości. Cesara jednak ciągnęło do ballad o cynglach i mafijnych bossach z jego *barrio*. Im więcej czasu z nim spędzam, tym bardziej zrozumiałe stają się jego słowa, że niedaleko mu do mafijnego świata. Jego kumple z dzieciństwa są *sicarios*, inni handlarzami. O takich jak oni chętnie pisze ballady.

Jego teksty opisują życie zabójców, problemy, jakie napoty-

kają, idąc ścieżką, która niejednego doprowadziła do śmierci. Używa nie tylko dosadnego języka, wplata do swoich utworów elementy fantastyce i metafory. W jednej z ballad pisze o płatnym zabójcy, który w piekle spotyka swoje ofiary. W jego wypowiedziach pojawiają się fragmenty jego tekstów.

„Dla mnie to słowa są najważniejsze. Czasami mam dziwne pomysły i chcę je zawrzeć w piosenkach. Chcę, by mój przekaz był wyraźny. Dopiero potem dopasowuje słowa do rytmów".

Napisał też jedną piosenkę miłosną. No, prawie. Opowiada o jego przyjacielu, którego w wyniku błahej sprzeczki zastrzelono wraz z kochanką. Podmiotem lirycznym jest ów przyjaciel, który przeprasza swoją żonę za to, że nie był z nią, i za to, że zginął, wdając się w niedorzeczny romans. Jej tytuł to *Perdomime Maria* (Wybacz mi, Mario).

Chcę cię prosić o przebaczenie,
że nie zobaczę swoich dzieci.
Moje sumienie cierpi i płaczę
nad ścieżką, którą poszedłem.
Chcę, byś wiedziała, Mario,
że zawsze będę przy tobie.

Cesar ma dziewięcioro dzieci z dwoma różnymi kobietami. I to wszystko w wieku 33 lat. Na sesji zdjęciowej towarzyszy nam jeden z jego synów, z którym Cesar właśnie bawi się w udawany boks na pobliskim pagórku.

Większość utworów Grupo Cartel opowiada o konkretnych gangsterach z Sinaloa, których określa się za pomocą pseudonimów. Grupa śpiewa więc piosenki o Indio, Cholo, Eddym, Guero (Białasie), a także o wielkim szefie Mayo Zambadzie. Wszystkie one przedstawiają gangsterów w blasku ich kryminalnej chwały. Piosenka *Indio* opowiada:

Potężne karabiny,
olbrzymie sumy w kieszeni.

Kiedyś paczki ważyły kilogramy,
dziś ważą tony.

Wiele piosenek Grupo Cartel trafia do Internetu, gdzie ilustrowane są zdjęciami gangsterów, o których opowiadają. Niektóre klipy zawierają ziarniste fotografie gangsterów z Sinaloa trenujących na strzelnicy lub zbliżenia ich ofiar nafaszerowanych pociskami, związanych lub zmasakrowanych. Te amatorsko zmontowane filmy oglądają tysiące internautów. Pytam Cesara, kto je kręci. „Nie mam pojęcia, odpowiada. Na świecie nie brakuje dziwnych ludzi".

Cesar przyznaje, że bliskie związki jego grupy z Kartelem z Sinaloa są potencjalnie niebezpieczne, gdyż muzycy mogą stać się celem wrogich kartelowi gangsterów. Dodaje, że dla bezpieczeństwa nie grają zbyt często poza Sinaloa ani innymi „zaprzyjaźnionymi" stanami. „Zawsze jest ryzyko, zawsze można zginąć. Lepiej jednak być przez kilka lat gwiazdą, mówi, uśmiechając się szeroko, niż żyć jak żebrak".

Być może to właśnie z powodu bliskich związków z Kartelem z Sinaloa Valentin Elizalde padł ofiarą ataku po koncercie w Reynosie. A być może z powodu makabrycznego teledysku do jednej z piosenek. Może winna była jego zażyłość z kobietą jakiegoś gangstera? A może to dziewczyna któregoś z zabójców popełniła błąd i powiedziała zbyt głośno, że śpiewak jest atrakcyjny?

Z całą pewnością wiele kobiet w północnym Meksyku uważało Złotego Koguta z jego białym, noszonym na bakier kowbojskim kapeluszem, szerokim nosem i ciepłym uśmiechem za symbol seksu. Lecz to jego glos zachwycał rzesze fanów. Podobnie jak Chalino cieszył się szacunkiem ulicy, jednak w jego piosenkach było coś melancholijnego i epickiego, opowiadał o radości i smutku w życiu Meksykanów. Był jak John Lennon czy Ray Charles.

Dzięki sekcji dętej Banda Guasavena muzyka Elizalda nadawała się też doskonałe do tańca.

Kolejnym ważnym gatunkiem muzyki północnego Meksyku jest *banda*, oparta na głośnych trąbkach i puzonach. Taki pomysł na granie przywędrował razem z niemieckimi imigrantami zakładającymi browary w Mazatlan w XIX wieku. Pierwotnie instrumenty grały tak głośno, iż żaden wokalista nie był w stanie ich przekrzyczeć. Jednak wraz z pojawieniem się w muzyce *norteño* instrumentów elektrycznych i wzmacniaczy, śpiewacy znów stali się słyszalni.

Wiele piosenek Valentina nie opowiadało o gangsterach. Jego największy hit, *Como me duele* (Jak mnie to boli), był chwytliwym numerem tanecznym traktującym o zazdrości. Jednak Złotemu Kogutowi zdarzyło się też napisać jedne z najostrzejszych piosenek o *narco*. Piosenka *118 balazos* (118 kuł) opowiada o mafioso, który przeżył trzy zamachy na swoje życie. Przy wtórze sekcji dętej piosenka zaczyna się następująco:

Strzelali do mnie z bliska
z najprawdziwszych Kozich Rogów,
by mieć pewność, że zginę.
Padło sto osiemnaście kul,
lecz Bóg mnie ocalił.

Niedługo przed śmiercią Valentin wylansował przebój zatytułowany *A mis enemigos* (Dla moich wrogów). Był on utrzymany w odwetowym tonie, chociaż nie było jasne, do kogo te słowa są skierowane: czy do innego muzyka, wrogiego gangstera, czy może nawet polityka? Piosence w Internecie towarzyszyły zdjęcia zamordowanych członków gangu Zetas, niektórzy więc interpretowali utwór jako pogróżkę Kartelu z Sinaloa. Popularność piosenki przypadła na okres nasilenia zmagań między gangsterami z Sinaloa a Zetas, a niektóre towarzyszące jej „teledyski" były wyjątkowo brutalne. Jeden z nich przedstawiał egzekucję członka przywiązanego do krzesła.

Gdy utwór był oglądany przez setki internautów, Valentin Elizalde koncertował w Reynosie, samym centrum terytorium kon-

trolowanego przez Zetas. Na koncercie było bardziej niespokojnie niż zazwyczaj, a tuż po nim posypał się grad pocisków[6].

Fotografowie byli na miejscu morderstwa, by zrobić zdjęcia przystojnemu trzydziestosiedmioletniemu gwiazdorowi nafaszerowanemu ołowiem, gdy siedział w samochodzie. Ubrany był w beżowy garnitur j czarną koszulę, miał półprzymknięte oczy. To, że tano Castro uszedł z życiem, graniczyło z cudem. „Każdego dnia dziękuję Bogu, że przeżyłem", mówi mi.

Nawet po jego śmierci wrogowie Elizalde nie dali mu spokoju. Pojawił się film wideo przedstawiający dało muzyka w pokoju sekcyjnym. Widać otwory po kulach w klatce piersiowej, wciąż nie do końca zamknięte oczy jego marynarkę z frędzlami i kowbojki leżące obok zakrwawionego stołu. Film ten opublikowano w Internecie z podłożonym śmiechem w tle. Policja podaje, że aresztowała dwóch pracowników prosektorium.

Tuż po zamordowaniu Valentina Elizalde w całym Meksyku nasiliły się zabójstwa muzyków. Muzycy kapeli zwanej Herderos de Sinaloa chwilę po tym, jak wyszli z budynku radia po udzieleniu wywiadu, zostali ostrzelani. Zginęło 3 artystów i ich menadżer. W ciągu tygodnia zginęło 3 różnych ludzi estrady w 3 różnych incydentach: wokalista został porwany, uduszony, a jego zwłoki porzucono przy drodze, pewnego trębacza znaleziono martwego z workiem na głowie, piosenkarka została zastrzelona na szpitalnym łóżku (gdzie wracała do zdrowia po wcześniejszym postrzale).

Ludzie w Meksyku byli szczególnie poruszeni zabiciem Sergia Gorneza, który założył zespół K-Paz de la Sierra, kiedy był imigrantem w Chicago. Sławę zyskał utworem *Pero te vas a arrepentir* (Będziesz jednak żałować), który był tak popularny, że śpiewało go pół Meksyku. Napastnicy porwali go po koncercie w jego rodzinnym stanie Michoacan, torturowali przez dwa dni, poparzyli mu genitalia palnikiem, a na koniec udusili plastikowym sznurem. Sergio Gómez został pośmiertnie nominowany do Grammy krajów Ameryki Łacińskiej, rywalizując z martwym Valentinem Elizalde w 2008 roku. Żaden z nich nie wygrał.

W przypadku większej części zabójstw muzyków policja nie dokonała aresztowań ani nie znalazła podejrzanych. To przygnębiające, ale tylko około 5 procent spraw w meksykańskiej wojnie narkotykowej zostaje rozwiązanych. Morderstwa miały „wszelkie znamiona zorganizowanej przestępczości", raportowała policja po każdym z nich. Dlaczego giną muzycy? – pytali dziennikarze. *Quien sabe*? (Któż to wie?).

Jednak policji udało się przeprowadzić aresztowanie w związku ze sprawą Valentina Elizalde. W listopadzie 2008 roku agenci federalni otoczyli budynek i wyłuskali z niego dowódcę Zetas, Jaime Gonzaleza zwanego Hummer. W oświadczeniach dla prasy stwierdzono, że Hummer osobiście zorganizował i uczestniczył w „uciszeniu" Złotego Koguta w odwecie za teledyski do jego utworów. Cała sprawa pozostaje niejasna. Hummera skazano na 16 lat więzienia za działalność związaną z narkotykami i bronią, jednak w związku z zabójstwem Elizalde niczego mu nie udowodniono.

Podobnie jak w przypadku Jima Morrisona, Tupaca Shakura czy Kurta Cobaina, sława Złotego Koguta rosła po jego śmierci. Jego piosenki brzmią teraz bardziej słodko, melancholijny głos wydaje się bardziej zatroskany, teksty o zabójstwach są bardziej złowieszcze.

„Daje się odczuć jego obecność. Przychodzi do mnie w snach, mówi tano. Spotykają się ze mną ludzie i twierdzą, że Valentin wciąż jest z nimi. Są zasmuceni tym, że go nie ma".

Amatorzy *corrido* od Kolumbii po Kalifornię odwiedzają grób Valentina w Sinaloa, dbając o to, żeby nie zabrakło na nim kwiatów[7]. Aby jego gniazda nie przygasła, młodzi autorzy ballad barwnie opisują jego życie. Złoty Kogut, podobnie jak bossowie, o których śpiewał, dzięki balladom stał się nieśmiertelny.

ROZDZIAŁ 11
Wiara

I morze wydało zmarłych, co w nim byli, i Śmierć,
i Otchłań wydały zmarłych, co w nich byli, i każdy
został osądzony według swoich czynów.
A Śmierć i Otchłań wrzucono do jeziora ognia.
To jest śmierć druga – jezioro ognia.
Jeśli się ktoś nie znalazł zapisany w księdze życia,
został wrzucony do jeziora ognia.

Ap 20,13[*]

Ciało supergangstera Artura „Brody" Beltrana Leyvy leży w dwupiętrowym mauzoleum na cmentarzu Jardines del Humaya w południowej części Culiacán. Nieopodal znajduje się grób innego potężnego mafiosa, Ingacia „Nacho" Coronela, zastrzelonego przez wojsko w czerwcu 2010 roku. Nacho był podobno bliskim współpracownikiem Chapo Guzmana i miał walczyć z Beltranem Leyva. Za życia Nacho i Broda stał i po dwóch stronach barykady, po śmierci dzieła ten sam skrawek cmentarnej ziemi.

Jardines del Humaya w wysuszonej słońcem ziemi mieści wielu innych *narcos*. Jest jednym z najosobliwszych cmentarzy na planecie. Stoją tu mauzolea z włoskiego marmuru ozdobione drogimi kamieniami, a niektóre z nich mają nawet klimatyzację. Wiele z nich kosztowało ponad 100 tysięcy dolarów, więcej niż większość domów w Culiacán. Wewnątrz znajdują się osobliwe przedstawienia scen biblijnych, tuż obok zdjęć zmarłych pozujących w kowbojskich kapeluszach i z bronią w ręku. Na niektórych fotografiach pozują na polach marihuany. W innych grobowcach znajdują się betonowe miniatury samolotów, mające podkreślić, że pochowany tam człowiek był pilotem (zajmującym się transportem wiadomego towaru).

Obok szefów leży tu wielu ich przybocznych, a także zwykłych mafijnych szeregowców, wszyscy w imponujących mauzoleach.

Niepokoi liczba pochowanych tu ludzi poniżej dwudziestego piątego roku życiu, których w ostatnich 3 latach przybyło. Za każdym razem, kiedy jestem w Culiacán, tutejszy cmentarz jest większy, a nowe grobowce o wiele bogatsze niż te starsze.

Pewnego razu przybywam na Humaya tuż po Dniu Ojca. Na cmentarzu zalegają góry kwiatów, tuż obok transparentów wykonanych przez pogrążone w żałobie wdowy. Na płótnach znajdują się kolorowe fotografie młodych ojców obok słów wypisanych przez ich dzieci: *Kochamy Cię, Tato, zawsze będziesz z nami*. Dla nich efektowne groby są jedynym wspomnieniem, jakie pozostanie im po ojcach.

Kilkukrotnie zdarza mi się spotkać ludzi odwiedzających groby bliskich. Często przychodzą w towarzystwie kapeli i wraz z całą rodziną przesiadują przy grobie, popijając piwo i śpiewając ulubione ballady zmarłego. Pewnego razu siedzę z trzema braćmi opłakującymi ojca. Jeden przyprowadził ponętną przyjaciółkę, skąpo odzianą i obwieszoną klejnotami. „Nasz tata był rolnikiem i uprawiał dobry towar”, mówi mi z uśmiechem najmłodszy z braci i puszcza oko. Zgodnie z meksykańską tradycją, na grobie stawiają butelki ulubionej whisky ojca. Być może zmarli są gdzieś indziej, ale tutaj wciąż czuje się ich obecność.

Dokąd udali się nieżyjący handlarze? Czy wybłagali u Boga przebaczenie? Czy dostali się do nieba? Czy istnieje „raj gangsterów”?

Głowy Kościoła w Meksyku mówią stanowczo, że nie. Ludzie w sutannach grzmią z ambon, że brutalni *narcos* odcinają się od Boga i nie usiądą w wiekuistym Boskim blasku. Na prowincji jednak są księża, którzy powiedzą co innego. Bóg puszcza w niepamięć grzechy każdego, kto przed śmiercią ukorzy się przed jego majestatem, twierdzą. W szczególności zaś dzieje się tak, kiedy bossowie dają duże datki na wiejskie parafie. Na te wcale nierzadkie podarki istnieje specjalne określenie: *narcolimosnas*, czyli narkojałmużna[1].

Jednak wraz z rozwojem wojny narkotykowej wielu szefów przestało liczyć się ze zdaniem hierarchów Kościoła katolickiego.

Jeśli watykański Bóg ich nie chce, mówili, znajdą sobie innego.

Najjaskrawszy przykład narkoreligii znaleźć można w kartelu Familia w Michoacan. Familia indoktrynuje swoich ludzi osobliwą wersją protestanckiego chrześcijaństwa z elementami powstańczej ludowej polityki. Duchowy lider gangu, Nazario Moreno „El Mas Loco" czyli Szaleniec, napisał wręcz własną biblię, która jest obowiązkową lekturą dla ludzi z jego oddziałów. Brzmi to tak niedorzecznie, że z początku uznałem, iż to kolejny mit narkotykowej wojny, ale dostałem tę „dobrą księgę" do rąk. Nie jest to przyjemna lektura do poduszki.

Familia jest najwyrazistszym głosem w całym chórze narkoreligii, który przez kilka ostatnich dekad stawał się coraz donośniejszy. Inne wierzenia to przeobrażone rytuały karaibskiego kultu santería, ludowy święty Jesús Malverde i niesamowicie popularna Santa Muerte, czyli Święta Śmierć.

Wielu wyznawców tych kultów nie jest handlarzami ani cynglami mafii. Kulty te trafiają do serc ubogich Meksykanów, którzy czują, że zgnuśniały Kościół katolicki jest głuchy na ich problemy. Gangsterzy doskonale czują się w tych sektach i mają na nie ogromny wpływ. Klany *narcos* znajdują w nich duchowe i quasi-ideologiczne wsparcie, wzmacniając El Narco w roli siły kontestującej stary porządek. Bossowie walczą teraz już nie tylko o rewiry, ale także o dusze.

Jesús Malverde jest najstarszym symbolem religijnym związanym z El Narco. Prawdziwy Malverde miał być przestępcą z Sinaloa, skazanym na śmierć ponad 100 lat temu. Jego świątobliwa twarz zdobią amulety i statuetki od upraw marihuany w Sierra Madre, po więzienne cele w San Quentin, od rancz w Jalisco, aż po kryjówki imigrantów w Arizonie. Najważniejszy jednak poświęcony mu ołtarz znajduje się w samym centrum Culiacán, naprzeciwko imponującego pałacu władzy stanowej. Badacze już dawno zauważyli tę symbolikę: dwie największe siły w Sinaloa – polityczna i El Narco – stoją tuż obok siebie.

Samo miejsce kultu mieści się w prostym budynku z cegieł po-

malowanym na zielono i ozdobionym zielonymi kafelkami. Słowo *malverde* po hiszpańsku znaczy tyle co „zła zieleń". W Sinaloa verde może odnosić się do marihuany, jak i „zielonych", dolarów amerykańskich. Ściany świątyni są oblepione zdjęciami odwiedzających ją ludzi, tworzącymi coś między mozaiką a tapetą. Na zdjęciach są nowożeńcy i nowo narodzone dzieci, dziewczynki w białych komunijnych sukienkach oraz wytatuowane nastolatki o ogolonych głowach, ale przede wszystkim cała masa szorstkich mężczyzn w kowbojskich kapeluszach. Odwiedzający umieszczają na ścianach także słowa podzięki i uwielbienia: *Jesúsie Malverde, dzięki za to, co dla mnie zrobiłeś*, widnieje na tabliczce z miejscowości Ventura w Kalifornii. *Dziękuję ci, Jesúsie Malverde, za oświecenie sprowadzenie mnie na właściwą drogę*, głosi inna z Zapopan w stanie Jalisco. Na wielu z tych tabliczek widać, jak wierni mieszają kult ludowego świętego z tradycyjnymi symbolami katolickimi. Słowa skierowane do Malverde widnieją tuż obok podziękowań adresowanych do Matki Bożej z Gwadelupy czy Judy Tadeusza, ważnych świętych rzymskokatolickich w Meksyku.

Najważniejsze miejsce świątyni znajduje się w małym wewnętrznym pomieszczeniu. Jest to malowane popiersie Malverde skąpane w białych i różowych kwiatach róż. Jego skóra jest blada, włosy kruczoczarne, ma starannie przystrzyżony wąsik i nosi tradycyjny w Meksyku biały garnitur. Jego twarz jest zafrasowana, w iście boski sposób znany z licznych podobizn Chrystusa. Pielgrzymi czekają na zewnątrz, pijąc i śpiewając, chwilę później podejść do popiersia i pomodlić się przed nim w ciszy oraz dotknąć jego stroskanego oblicza.

Właściciel tego miejsca kultu, Jesús Gonzalez, układa krucyfiksy i portrety Malverde po jednej stronie małego pomieszczenia. Jest po trzydziestce, to syn człowieka, który wybudował tę świątynię własnymi rękami w latach siedemdziesiątych. Z Gonzalezem udaje mi się porozmawiać pewnego letniego popołudnia, kiedy ulice są gorące jak piec. Poci się obficie ubrany w białą szatę. Popijamy coca-colę z plastikowych butelek, kiedy objaśnia

mi znaczenie kultu:

„Jesús Malverde kocha ubogich i pokornych, troszczy się o nich. Wie, jak mają ciężko. Bogaci wykorzystują biednych, którzy cierpią dokładnie tak samo, jak w czasach, kiedy żył Malverde. Malverde rozumie, przez co przechodzą ci ludzie. Wie, że muszą walczyć. Nie zapomina o tych, którzy są na uboczu".

Kolejny symbol El Narco wiąże się z ideą walki ubogich, społecznej rebelii. Gonzalez kontynuuje: „Każdy kraj ma swojego Robina Hooda. jestem pewny, że w twoim kraju także macie..." „...Robina Hooda, kończę za niego zdanie. Robin Hood pochodzi z mojej ojczyzny".

Uśmiecha się porozumiewawczo.

„Więc wiesz, o co chodzi".

Jesús Malverde urodził się w Sinaloa w 1870 roku, opowiada Gonzalez. W tamtym czasie Meksykiem rządził żelazną ręką Porfirio Diaz. W Sinaloa przyjaciele dyktatora budowali sobie ogromne hacjendy, a biednych Indian wypędzano z ich ojczystej ziemi. Czasy były tak ciężkie, że ubodzy rodzicie Jesúsa Malverde umarli z głodu. Osierocony Jesús walczył, by utrzymać się na powierzchni, podejmował się ryzykownych prac przy budowie kolei. Po seriach awantur z okrutnymi zwierzchnikami i policją, chcąc nie chcąc, stał się przestępca. Uciekł w góry, gdzie stanął na czele bandy łotrów o złotych sercach, którzy kradli bogatym, by dawać biednym. Bezwzględny gubernator Sinaloa wyznaczył jednak cenę za jego głowę i jeden z jego ludzi zdradził go dla pieniędzy Malverde stanął przed plutonem egzekucyjnym w 1909 roku a jego głowa zawisła na gałęzi drzewa jako przestroga dla innych buntowników.

Tę samą historię, tu i ówdzie zmienioną, można usłyszeć jak stan Sinaloa długi i szeroki. Lata życia Malverde zbiegają się niemal dokładnie z rządami don Porfiria, święty łotr zginął bowiem tuż przed rewolucją. Co typowe dla opowieści o świętych, nie sposób odnaleźć żadnych dokumentów na temat jego życia i śmierci. Nie jest pewne, czy w ogóle kiedykolwiek ktoś taki żył. Pewne jest natomiast, że przez całe lata XX wieku biedni miesz-

kańcy Sinaloa przypisywali Malverde rozmaite cuda. Krowa nie dawała mleka, lecz po modłach do Malverde znów zaczęła je dawać, chłopiec stracił wzrok, a pewnego dnia obudził się i widział, umierający na raka niespodziewanie wyzdrowiał. Opowieści te rozchodziły się od wioski do wioski, cudowne historie stawały się coraz liczniejsze, aż legenda Malverde stała się potężna.

Gonzalez umniejsza związki kultu z *narcos*, zauważając trzeźwo, że na modły przybywają najróżniejsi ludzie. Podczas jednej z moich wizyt w tym miejscu spotykam właściciela firmy budowlanej z Arizony, którego rodzice byli imigrantami z Sinaloa. Opowiada mi, jak jechał tu przez 15 godzin, by modlić się do świętego banity o powodzenie operacji jego syna w Phoenix. Przy innej okazji spotykam starszą kobietę modlącą się za umierającego męża.

Handlarze narkotyków również wielbią Malverde. W rękach aresztowanych bossów i przy zwłokach cyngli zastrzelonych na ulicy znajduje się symbole jego kultu. W weekendy młodzi *buchones* wypełniaj ą świątynię po brzegi, jest ich pełno w samochodach stojących dookoła, a z głośników słychać *narcocorridos*.

Kościół katolicki nie uznaje świętości Malverde, ale księża nie występują zbyt ostro przeciwko niemu. Ludowi święci od dawna są tolerowani całym chrześcijańskim świecie jako sposób na pogodzenie wiary z lokalnymi wierzeniami. Malverde jest jedną z takich postaci, a nie religią. Większość z wyznawców Malverde uważa się za katolików, nawet kiedy składają pocałunek na popiersiu wąsatego świętego.

W świątyni kapela gra wiernym ballady po 5 dolarów za utwór. Płacę im, by móc nagrać na taśmę tyle *corridos* na temat Malverde, ile to możliwe. Szybko jednak kończą mi się pieniądze, a muzycy dodają, że są jeszcze dziesiątki ballad, których nie było mi dane usłyszeć. Kilka z ballad, opowiada o tym, jak Malverde zmagał się z ludźmi gubernatora. Inne mówią bez ogródek o gangsterach modlących się do świętego łotra i zarabiających krocie na handlu narkotykami. Jedna z nich jest taka:

Z rękami pełnymi opiumowej gumy, pozdrawiam Malverde.
On mi ufa, to jemu składam obietnice,
a Bóg się do tego nie miesza. On nie pomoże ci w tym fachu.

Wiem, że narkotyki są złe, ale to dzięki nim zarabiam pieniądze.
Nie wińcie Sinaloa, wińcie cały Meksyk,
tutaj biznes kwitnie wszędzie i na całym świecie.

Dziś wybieram się do Culiacán nowym samochodem,
jadę do świątyni, tam się umówiłem.
Czeka na mnie Malverde, dziś są jego urodziny.[2]

Święta Śmierć z wyglądu jest dużo bardziej agresywna niż Jesús Malverde. Ten ostatni jest wąsatym mężczyzną w białym garniturze, święta Śmierć wygląda jak śmierć z bajki: jest szkieletem (płci żeńskiej) o pustych oczodołach, ostrych zębach i dzierży w kościstej prawicy kosę do obcinania głów. Nosi wiele ubiorów: od czarnych szat po różowe suknie z falbankami, często zakłada też kolorowe peruki.

Katolicy uważają Świętą Śmierć za dzieło szatana. Twierdzą, że to kult inspirowany przez *narcos* i że ta diaboliczna postać doprowadziła do dzisiejszej wszechobecnej w Meksyku przemocy. Mordercy mają obcinać swoim ofiarom głowy w hołdzie dla wcielenia śmierci. Obrońcy Świętej Śmierci oponują, twierdząc, że jest ona duchem, który dba o ubogich i udręczonych. Istniała w Meksyku przed przybyciem Hiszpanów i wspomina o niej nawet Biblia, argumentują. Jedno z jej imion to Niña Blanca, czyli Biała Dziewczyna.

Święta Śmierć zawdzięcza dużą część swej popularności wyglądowi. Jej statuetki i wizerunki przyciągają uwagę. Istnieje cała gałąź sztuki zajmująca się przedstawianiem Świętej Śmierci, powstają tysiące jej wizerunków, z których każdy jest nieco inny. Widnieje na wielkich statuach i malutkich kolczykach, wisi na naszyjnikach i jest tatuowana na ciele, jej podobiznę drukuje się

na koszulkach i maluje na ścianach. Jest także na stojakach do kadzidełek oraz zegarach. To jednak nie tylko modny motyw wzorniczy, to ważny obiekt kultu, dlatego znaleźć ją można w ulicznych kapliczkach, domowych ołtarzykach oraz specjalnych kościołach poświęconych właśnie jej.

Święta Śmierć stała się ogromnie popularna. W ciągu dekady zmieniła się z postaci znanej tylko garstce ludzi w symbol obecny w niemal każdej miejscowości w Meksyku, a także w społecznościach Meksykanów w Stanach Zjednoczonych, w krajach Ameryki Południowej czy nawet w miejscach tak odległych, jak Hiszpania czy Australia. Jednak głównym ośrodkiem tej wiary jest Tepito w samym środku miasta Meksyk.

Tepito, znane też jako Barrio Tepito, jest gęsto zaludnioną częścią stolicy powstałą w miejscu osady założonej jeszcze przed przybyciem Hiszpanów. Znane jest dziś głównie z ulicznych handlarzy, bokserów i płatnych zabójców**[3]**. Mieszkańcy tego *barrio* są dumni ze swojej ulicznej kultury, ale przyznają, że tutejsze wąskie uliczki mogą być bardzo nieprzyjazne. W Tepito kupić można wszystko: najnowsze modele telewizorów plazmowych, ciuchy dla surferów, pirackie kopie kinowych hitów, broń, crack oraz uroczą zastawę stołową. Nie brakuje też oczywiście pamiątek ze Świętą Śmiercią zarówno na straganach, jak i w poświęconych jej sklepach.

W Barrio Tepito dwa miejsca konkurują o bycie duchowym centrum kultu Świętej Śmierci. Pierwsze to ołtarz niedaleko jednej z głównych ulic, który jest być może pierwszym miejscem, gdzie współcześnie czczono kościstą panią. Właścicielką jest sześćdziesięciodwuletnia Enriqueta Romero, znana też jako doña Queta, która umieściła ołtarzyk przed swoim domem w 2001 roku. Miejsce to cieszy się niesłychaną popularnością i przepływa tam nieprzerwany strumień wiernych niosących Białej Dziewczynie bukiety kwiatów, świece, owoce, a nawet butelki piwa i paczki papierosów (Święta Śmierć lubi alkohol, lubi też zapalić). W pobliżu ołtarza spotykam najróżniejsze osoby: ulicznego sprzedawcę średnim wieku modlącego się za syna sprawiającego mnó-

stwo kłopotów, umięśniony i wytatuowany policjant, który twierdzi, że Święta Śmierć chroni go przed pociskami, prostytutka o tlenionych włosach mówiąca, że Święta strzeże ją przed agresywnymi klientami. Pierwszego dnia każdego miesiąca tłumy wyznawców wypełniają gęsto ulicę wokół ołtarza, by tańcem, piciem piwa i paleniem skrętów oddawać cześć Śmierci.

Kilka przecznic dalej niejaki David Romo wprowadza w życie dużo bardziej formalne podejście do kultu Świętej Śmierci. Śniady samozwańczy biskup urządził kościół, gdzie rozdaje komunię i inne quasi-katolickie sakramenty w otoczeniu kościstych wizerunków Świętej. Zdarzyło mu się nawet pobłogosławić małżeństwo meksykańskiej gwiazdy oper mydlanych (która wcześniej trudniła się striptizem)**[4]**. Romo uważa się za katolika, ale twierdzi, że konserwatywny Watykan oddalił się od ludzi w tym gejów, rozwodników i innych grzeszników, którzy wszyscy goszczą w jego świątyni. Jego zdaniem Święta Śmierć jest Aniołem Śmierci opisywanym w Biblii.

Pewnego dnia filmuję w świątyni Romo mszę, która sprawia wrażenie dość posępnej. Kiedy wpatruję się w wizjer kamery, czuję nagle, że coś szczypie mnie w nogę. To czarny kogut o złowrogim wyglądzie, najpewniej mieszkaniec tego miejsca. Niektórzy chrześcijanie widzą w takim kogucie wcielenie diabla. Z drugiej strony inni mają spore zastrzeżenia co do kozłów.

Kult biskupa Romo jest w konflikcie nie tylko z Kościołem katolickim, ale również z rządem Meksyku. Romo zarejestrował swój Kościół w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, lecz pod presją kleru wykreślono go z listy uznawanych wierzeń**[5]**. W reakcji na to Romo poprowadził przez stolicę marsz wiernych z wizerunkami Białej Dziewczyny. Zdaniem Romo Święta Śmierć ma obecnie 2 miliony wyznawców i liczne świątynie w całym Meksyku oraz Stanach Zjednoczonych. Kler z kolei oświadczył, że Romo sponsorują handlarze narkotyków. W końcu, w grudniu 2010 roku, policja aresztowała Romo za księgowanie w banku pieniędzy gangu porywaczy powiązanego z kartelem. Biskup Romo w 2010 roku wciąż siedział w areszcie i czekał na proces.

Nadal jednak stal na czele swojej sekty i dowodził nią zza więziennych krat.

Jednak ani Romo, ani ktokolwiek inny nie jest w stanie zmonopolizować kultu Świętej Śmierci, który rozprzestrzenia się szybko od miasta do miasta i od *barrio* do *barrio.* Każdy może zorganizować swoją grupę wiernych. Jest to niepowtarzalna okazja dla osób marzących o karierze mesjasza.

Na przemysłowych przedmieściach północnej części stolicy ogromna ponadosiemnastometrowa Święta Śmierć spogląda z góry na magazyny fabryki i domy z pustaków. Olbrzymka wykonana z włókna szklanego i pomalowana czarną i szarą farbą jest dziełem szczupłego dwudziestosześciolatka Jonathana Legarii. Stworzył rzeźbę na pustej działce i zaprosił miejscowych, by modlili się razem z nim, i teraz w każdą niedzielą przychodzą setki ludzi. Wierni lubią mówić o Legarii Commandante Pantera – Komendant Pantera.

Komendant Pantera opisał swoje życie w wydanej własnym sumptem książce *Syn Świętej Śmierci,* Urodził się gdzieś w głębi Sinaloa, czytam, ale gdy był niemowlęciem, rodzice przenieśli się do Tepito. Opuszczony przez nich, mając kilkanaście lat stał się mistrzem boksu. Widywał też krwawe rzezie w Barrio Bravo. Po jednym z zabójstw objawiła mu się Święta Śmierć, a w plecaku zamordowanej osoby znalazł milion peso. Odnalazł też swoją misję, jak pisze, i zebrał ludzi wierzących w Świętą Śmierć. W 2008 roku jego sekta stała się jedną z najliczniejszych grup wyznawców Świętej Śmierci w Meksyku.

Syna Śmierci spotkał jednak tragiczny koniec. Kiedy jechał swoim okazałym cadillakiem przez przemysłową część miasta, padły strzały. W jego SUV-a trafiło w sumie około 100 pocisków, zabijając Leganę na miejscu. Wszystko wskazywało na typowy mord zorganizowanej grupy przestępczej. W czasie śledztwa stwierdzono, że Komendant Pantera najprawdopodobniej handlował narkotykami i nie spłacił długu zaciągniętego u mafiosów. Był kaznodzieją na garnuszku mafii, skonstatowano ze smutkiem, i śmierć zadała mu machina, którą współtworzył.

Ale czy na pewno?

Matka zabitego zorganizowała konferencję prasową, na której przedstawiła zdecydowanie odmienny obraz wydarzeń. Pantera nie pochodził wcale z Sinaloa i nie mieszkał w Barrio. Według jej słów miał być synem bogatych rodziców urodzonym w bogatej części miasta Meksyk, zwanej Ciudad Satélite. Gdy Jonathan ukończył kilka prywatnych szkól ojciec przekazał mu dobrze prosperujący interes polegający na określaniu poziomu emisji zanieczyszczeń pojazdów. Legaria zainteresował się Świętą Śmiercią po tym, jak będąc członkiem klubu motocyklowego odkrył, że ma talent do przemawiania do ludzi z getta. Widząc się na czele tłumu stworzył sobie nową fascynującą tożsamość. Jak jednak przekonał się na własnej skórze, udawanie gangstera podczas toczącej się w kraju wojny narkotykowej było fatalnym pomysłem.

Matka wyznaczyła nagrodę za wskazanie zabójców syna. Otrzymała dziesiątki telefonów, jedni twierdzili, że winni są ludzie ze świątyni Świętej Śmierci z Tepito, inni, że stał za tym kartel Familia. Byli i tacy którzy utrzymywali, że mordercy pracowali dla Kościoła katolickiego. Sprawa miała pozostać jedną z meksykańskich zagadek kryminalnych[6].

Wybieram się na mszę do świątyni założonej miesiąc po śmierci Pantery. Nabożeństwo odprawia kobieta uchodząca za wdowę po nim. To szalona impreza: *mariachi* przygrywają wesoło, a wierni skaczą jak opętani. Szczególnie szaleje jedna z kobiet w średnim wieku, tańczy obłąkańczo. Nadchodzi czas na modlitwę, która przypomina medytacje New Age. Setki wiernych kierują szeroko otwarte oczy w niebo, gdzie jak twierdzą, widzą twarz Pantery. Uczennica szkoły średniej mówi mi, że Święta Śmierć wyleczyła ją z nowotworu. Wytatuowany osobnik zapewnia, że pod świątynią zakopano obcięte głowy. Wolę tego nie sprawdzać.

Sekty znane są z tego, że biorą na celownik osoby niespełna rozumu, dziwaków i marzycieli. Wśród czcicieli Świętej Śmierci są jednak ludzie naprawdę groźni. Na terenach kontrolowanych

przez gangi, przez które przetacza się narkotykowa wojna, pełno jest ołtarzy Białej Dziewczyny. W północno-zachodniej części Meksyku wojsko zniszczyło wiele ołtarzy Świętej Śmierci, ich zdaniem zbudowanych przez gang Zetas. W Sinaloa pisałem materiał o masakrze dokonanej przez *narcos*, w której zginęło 13 mieszkańców wioski. Kiedy opuszczałem to miejsce, zobaczyłem przy drodze kapliczkę Świętej Śmierci. Jej wizerunek tuż obok miejsca krwawego mordu jest bardzo niepokojący.

W stanie Tabasco na południu kraju zabójcy na dwóch ranczach zostawili 12 odciętych głów. Policjanci zatrzymali współpracowników Zetas mających siekiery używane w tym procederze. W ich domach znajdowały się ołtarzyki poświęcone kościstej patronce**[7]**. Ci przerażający ludzie najwyraźniej uważają, że Święta Śmierć nie tylko pochwała barbarzyństwo, ale być może czerpie z niego przyjemność.

Księża katoliccy, co nie dziwi, występują ostro przeciwko herezji praktykowanej przez kaznodziejów kultu Świętej Śmierci. Z ambon napominają swoją trzodę, by trzymała się z dala od sił ciemności i diabolicznych kultów. Twierdzą, że posępna żniwiarka napędza machinę śmierci, przekonując swoich wyznawców o tym, że kule nie będą się ich imać. Ojciec Hugo Valdemar, rzecznik stołecznej diecezji, mówi mi:

„Ci ludzie sądzą, że mogą działać bezkarnie. Uważają, że oprócz swoich ludzkich sił mają boskiego obrońcę. To ona ma dawać im moc i odwagę, co prowadzi do eskalacji przemocy”.

Nie należę ani do obozu papieża Benedykta, ani nie oddaję czci kościstemu wyobrażeniu śmierci. Zostałem ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim, ale przestałem chodzić do kościoła, gdy byłem nastolatkiem. W specyficznym klimacie Irlandii Północnej (podobnie jak w północnym Teksasie) należałoby mnie nazwać katolikiem agnostykiem. W Meksyku jestem po prostu agnostykiem.

Jednak wizja morderców obcinających swoim ofiarom głowy i modlących się do Śmierci napełnia mnie niepokojem. Taki kult

pozwala usprawiedliwić zabójcy jego okrucieństwo, przynajmniej przed samym sobą. Oczywiście wyznawcy wielu religii usprawiedliwiali popełniane przez siebie nieludzkie czyny wolą Bożą. Z drugiej strony, może meksykańscy zabójcy popełnialiby te same zbrodnie bez odzianego w szaty szkieletu w charakterze patronki. Cóż, być może...

Dla antropologów taki wybuch różnorodnej religijności w Meksyku to fascynujący materiał do badań. Ich zdaniem Święta Śmierć odzwierciedla wielowiekową i charakterystyczną dla tego narodu fascynację zmarłymi, co widać chociażby w specyficznym Dniu Zmarłych – *Dia de Muertos.* Szkieletowała patronka może być wcieleniem azteckiej bogini Mictecacihuatl, czyli Pani Kraju Umarłych[8], jak twierdzą niektórzy podziemny kult przedhiszpańskich bóstw ma być dowodem ustawicznego oporu meksykańskiej klasy robotniczej wobec kultury kolonizatorów.

Inni podkreślają, że Święta Śmierć jest zjawiskiem postmodernistycznym, To przecież prawdziwa gwiazda popkultury, spopularyzowana przez te same media, które ją ganią, a także przez strony internetowe, pirackie DVD, nadruki na koszulkach oraz modne tatuaże. Słucha narzekań dzisiejszej biedoty, obiecując pomoc w codziennej walce, bez konieczności czekania na nagrodę w życiu wiecznym.

Uderzające jest to, że popularność Świętej Śmierci poszybowała w górę wraz z eskalacją wojny narkotykowej oraz nadejściem czasu demokratycznych przemian. Kult Świętej Śmierci rozprzestrzenia się mimo faktu, iż handlarze zasponsorowali kilka świątyń. Być może to zjawisko jest jednym z objawów buntu przeciwko staremu porządkowi. Na początku XXI wieku Meksyk stoi przed niewiadomą, zarówno jeśli chodzi o ład państwowy, jak i religijny.

Na przełomie tysiącleci przywódcy kartelu Familia podjęli kroki mające zmienić Meksyk. Widzieli, jak ważne dla pracujących dla kartelu gangsterów są symbole religijne. Bossowie zadali sobie pytanie: „Po co płacić kaznodziejom, skoro można zająć

ich miejsce?”. Wynikiem tego ja przerażające przemiany narkoreligii.

Wywodzący się z zachodniego stanu Michoacan kartel Familia znalazł się w centrum uwagi dzięki spektakularnym aktom przemocy, takim jak rzucenie pięciu obciętych ludzkich głów na parkiet dyskoteki[9], po tym, jak w czerwcu 2009 roku został aresztowany jeden z ważniejszych cyngli, ta mafijna grupa wykazała się zdolnościami do prowadzenia walk w terenie zabudowanym, atakując jednocześnie kilka placówek policyjnych i zabijając 15 funkcjonariuszy. Zaszokowani obserwatorzy porównali te działania do „Ofensywy Tet”, ważnego wydarzenia wojny wietnamskiej, którego istotą był zmasowany atak z zaskoczenia. Aresztowani wówczas ludzie Familii oznajmili, że kartel dysponuje 9 tysiącami ludzi, którzy przeszli religijną indoktrynację. Uwaga mediów przeniosła się z północy na zachód. Skąd wzięły się te oddziały? Jak udało im się urosnąć w siłę tuż pod nosem takich potęg, jak *narco* z Sinaloa i Zatoki? Cóż to za religia, która pomogła im tak szybko się rozwinąć?

Śledczy mogący odpowiedzieć na te pytania pracuje w dobrze strzeżonym biurze w stolicy stanu Michoacan, Morelii. Carlos przyglądał się, jak bezbożni gangsterzy coraz wyżej podnoszą głowy, gdy pracował przez wiele lat w federalnej agencji wywiadowczej. Teraz stoi na czele specjalnej państwowej jednostki depczącej po piętach Familii. Dookoła Carlosa piętrzą się rozmaite dokumenty, zdjęcia i nagrania gangsterów. Usta mu się nie zamykają, opowiada o ludziach będących przedmiotem jego dochodzeń. Z jego informacji powoli wylania się posępny obraz tego, dlaczego i jak doszło do powstania narkokościoła.

Familia przyszła na świat w piekielnie gorącej górskiej dolinie w Michoacan zwanej Terra Caliente. Obszary te, gdzie dominują uprawy limetek i kolczaste agawy, od dawna były siedliskiem przestępczości. Tamtejsi mieszkańcy mieli raczej fundamentalistyczne podejście do religii. W leżącej za wzgórzami dumnej stolicy stanu, Morelii, nazywano te okolice piekłem. Wypędzano tam kryminalistów, by w prymitywnych warunkach walczyli o

przetrwanie. Jednak wygnańcy narzucili swoje zasady gry ludziom z Morelii. A jeśli tym drugim nie spodoba się nowy porządek? Cóż, gangsterzy użyją wtedy siły „danej im od Boga".

W Familii było trzech wodzów, którzy urodzili się w wiejskich rodzinach w Tierra Caliente między połową lat sześćdziesiątych a siedemdziesiątymi. Byli to: Nazario Moreno, Szaleniec, znany też jako Doktor (Chayo), Servando Gomez alias Tuta i Jose de Jesús Mendez, czyli Małpa (Chango). Każdy z nich miał podobną władzę, ale to Nazario odpowiadał za „duchowość" gangu. Zazwyczaj przedstawia się jego czarno-białe, bardzo niewyraźne zdjęcie, na którym szeroka szyja i ciemny wąsik tworzą plamy o różnym odcieniu szarości.

Jak wielu ludzi z „piekielnej doliny", Nazario wybrał się jako nastolatek za pracą do Stanów. Znalazł ją w Kalifornii oraz Teksasie. Szybko jednak od trudów harówki w pocie czoła odciągnął go dobrobyt, jaki zapewniał przemyt narkotyków. Został w USA, by z gangsterami z Meksyku rozprowadzać towar.

To w pobożnych Stanach Zjednoczonych zetknął się z purytańskimi odmianami chrześcijaństwa i odkrył swoje nowe powołanie. Słuchając kazań latynoskich kaznodziejów Kościoła ewangelicznego, stał się wielkim fanem pisarza z tego kręgu – Johna Eldredge'a. W książce *Wild at Heart* (Dzikie serce) Eklredge maluje romantyczny portret silnego chrześcijaństwa i jego wyznawcy, człowieka nieokrzesanego, lecz szlachetnego, walczącego o przetrwanie w dziczy, którą mogła być zarówno Mezopotamia, pustynia Synaju czy prowincjonalne Colorado**[10]**. Z dala od cywilizacji mężczyzna cierpi i musi sprostać wyzwaniom jak wojownik, pozostając silnym, ale wystrzegając się grzechu. Ten metaforyczny obraz znalazł uznanie Szaleńca. Jakaż ziemia była dziksza niż Tierra Caliente? Jakaż walka trudniejsza niż walka meksykańskiego wieśniaka o przetrwanie?

W 1998 roku Nazario cierpiał zupełnie niemetaforycznie, gdy o mało nie zginął w wypadku samochodowym. By załatać jego strzaskany czerep, lekarze umieścili w nim metalową blaszkę. Śledczy Carlos mówi, że Nazario stał się przez to jeszcze bardziej

loco. Ten z kolei poczuł natchnienie i zabrał się do spisywania burzy swoich przemyśleń, co później miało stać się jego autorską biblią.

W 2003 roku po aresztowaniu potężnego gangstera Armanda Valecii[11] przestępczy półświatek stanął na głowie. Podczas toczących się walk o przywództwo Nazario wrócił do Meksyku i spotkał się ze swoimi kamratami z Tierra Caliente, by razem z nimi bić się o władzę. Familia najpierw sprzymierzyła się z Zetas i gangsterzy razem przygotowywali się do walk w mieście i poza nim. Kiedy jednak ludzie Familii poczuli się wystarczająco silni, wykonali zwrot o 180 stopni i zaczęli mordować członków Zetas, by działać samodzielnie.

Pod wodzą Nazaria Familia wprowadziła religijną indoktrynację rekrutów. Duchowość miała być spoiwem kartelu i umacniać dyscyplinę, jak wyjaśnia Carlos:

„Ci faceci naprawdę w to wierzą, są autentycznie nawróceni. Ale widzą także korzyści, jakie religia daje w zorganizowanej grupie przestępczej. Ideologia, nieważne jak osobliwa, daje ludziom gangu poczucie wspólnego celu i usprawiedliwienie dla mnóstwa rzeczy. To przestaje być zwykła wojna, to święta wojna".

Familia finansowała pewne Kościoły ewangeliczne oraz rozdawała standardową protestancką Biblię po hiszpańsku. Potem Nazario wydal swoją własną świętą księgę. Nazwał ją *Pensamientos* (Myśli).

W moje ręce trafia egzemplarz *Pensamientos* od pewnej osoby w Morelii. Książka ma sto stron, a jej tekst ozdabiają zielone krajobrazy i sceny biblijne nakreślone ręką samego Szaleńca. Trzeba przyznać, że nie był pozbawiony talentu. Książka nie ma ceny, Familia bowiem rozdaje ją swoim ludziom za darmo. Trzymam w rękach ponoć czwarte wydanie o nakładzie 7,5 tysiąca egzemplarzy W sumie, według informacji zawartej w książce, w świat poszło już 26,5 tysiąca.

Zgodnie z tytułem książka *Pensamientos* jest zbiorem myśli przeplatanych anegdotami i naukami moralnymi. Jeśli chodzi o strukturę to niedaleko jej do malej czerwonej książeczki przewod-

niczącego Mao, która również stanowi koktajl rozmaitych pomysłów. Wiele fragmentów książki Szaleńca jest jednak utrzymanych w duchu ewangelicznych porad, jak sobie pomóc, typowych dla języka kazań od Missisipi po Rio de Janeiro. Narkoprorok pisze:

Proszę Boga o siłę, a On stawia mnie przed wyzwaniami, które czynią mnie mocniejszym. Proszę Go o mądrość, a On stawia mnie przed problemami, które muszę rozwiązać. Proszę Go o dostatek, a On daje mi rozm i mięśnie do pracy.

Jednak na innych stronach Nazario wpada w ton uderzająco podobny do tego, którego używał rewolucjonista Emiliano Zapata, mówiący głosem wieśniaków walczących z ciemiężcami. Szaleniec powiada:

Lepiej mieć władzę nad jednym peso niż być niewolnikiem dwóch. Lepiej zginąć w bezpośrednim starciu niż trwać na kolanach i w poniżeniu.

Na innych stronach mówi bardziej konkretnie o stworzeniu „ruchu" Familia:

Podejmujemy się trudnego, ale bardzo interesującego zadania: budujemy świadomość. Dzisiaj musimy przygotować się do obrony naszych ideałów tak, by nasza wałka przyniosła owoce. Musimy też zorganizować się tak, by pójść najlepszą ścieżką, być może nie najłatwiejszą, ale taką, która zapewni nam najlepsze rezultaty.

Pensamientos zapewne nie dostaną żadnej nagrody literackiej, lecz mimo to, jak zapewnia mnie Carlos, zawarte tam idee trafiają na podatny grunt wśród niewykształconych wieśniaków z Tierra Caliente. Popularna staje się idea, że krwawy odwet w imię Boże jest dopuszczalny Ta religia działa na rekrutów dyscyplinujące i sprawia, że stają się bardzo sprawnym wojskiem. Lecz jeśli w jakiś sposób zawiodą, spotka ich gniew Boży. Według tego, co deklarują wodzowie Familii, gangsterów, którzy dopuszczą się przewiny raz, związuje się i zamyka na jakiś czas, przy drugiej wpadce są torturowani, a trzeci błąd jest ich ostatnim.

W tym wszystkim pełno jest rażących sprzeczności. W jaki

sposób handlarze narkotyków i mordercy mogą uważać się za pobożnych chrześcijan? By się usprawiedliwić, bossowie Familii podkreślają, że dzięki nim ludzie w Michoacan mogą zarobić, i to nieźle. Bywają też, jak zdarza się to wielu gangsterom, dobrymi wujkami i rozdają biednym dzieciom prezenty świąteczne. Bossowie udają też patronów wprowadzających Boską sprawiedliwość na ulice pełne grzechu. O handlu narkotykami mówią, że sprzedają tę truciznę *gringos*, a nigdy swoim ludziom. By nagłośnić swój wizerunek aniołów stróżów, zdecydowali się na odważny krok i sięgnęli po media. Ich debiut miał miejsce w 2006 roku, kiedy umieścili w kilku gazetach ogłoszenie. Buńczuczny tekst opatrzony był nagłówkiem *Misja* i brzmiał następująco:

W stanie Michoacan nie będzie porwań, wymuszeń, zarówno twarzą w twarz, jak i przez telefon, płatnych zabójstw, błyskawicznych uprowadzeń, kradzieży samochodów oraz pojazdów rolniczych, grabieży domów i innych występków popełnianych przez ludzi, którzy uczynili Michoacan miejscem niebezpiecznym. Jedynym powodem naszego działania jest miłość do tego stanu oraz to, że nie chcemy oglądać, jak depcze się godność tutejszych mieszkańców.[12]

Później jeden z członków Familii udzielił wywiadu jednemu z największych magazynów Meksyku „Proceso”, a Tuta zadzwonił do redakcji wiadomości w Michoacan i wygłosił długą przemowę na temat prawa jego grupy do obrony ojczystej ziemi[13]. W innej pokazowej akcji gangsterzy Familii otoczyli kilkudziesięcioosobową grupę podejrzanych o gwałty i kradzieże w mieście Zamora. Pięć osób zastrzelono na miejscu, innych wychłostano i zmuszono do przemaszerowania przez miasto z transparentami z wypisanym wyznaniem win. Gangsterzy realizowali iście starotestamentową wizję sprawiedliwości.

Carlos przekonuje, że Familia tylko udaje troskliwą patronkę. Być może zabiją kilku porywaczy i zbirów trudniących się wymuszeniami, ale tylko po to, by zająć ich miejsce, mówi. W Tierra Caliente jednak niektórzy mieszkańcy otwarcie wyrażają poparcie dla Familii, argumentując, że kartel jest sprawniejszy w odzyskiwaniu ich długów czy rozwiązywaniu sporów niż sądy. Kiedy

uzbrojeni gangsterzy przychodzą po pieniądze, ludzie rzadko odmawiają.

Familia odwołuje się także do lokalnej dumy, by zjednać sobie rolników i zabijaków z miasteczek. Gangsterzy podają się za dobrych ludzi z Michoacan, którzy kazali iść precz „obcym" z Sinaloa, Zetas, a nawet wypędzili oddziały federalne. To właśnie dla podtrzymania tego ducha Szaleniec wraz ze swoimi ludźmi oglądał film *Braveheart.* Dzięki temu strzelcy Familii, gdy strzelają do meksykańskich żołnierzy, mogą poczuć się się jak nieokrzesani Szkoci wypędzający plugawych Anglików (z tą różnicą, że zabójcy Familii nie noszą kiltów). Na liście obowiązkowych filmów znalazła się również trylogia *Ojciec chrzestny,* która ma wyrabiać w ludziach lojalność i wpoić im umiłowanie rodziny.

Kim więc był Nazario? Świrem przesadzającym z amfetaminą czy prorokiem? Trzeba przyznać, że w jego szaleństwie była metoda. Jego osobliwa religia i ideologia uczyniły Familię atrakcyjną i zapewniły dyscyplinę, pozwalając tej organizacji stać się jedną z najszybciej rosnących potęg w meksykańskiej wojnie narkotykowej. Familia nie tylko błyskawicznie opanowała Michoacan, lecz rozprzestrzeniła się także na Jalisco, Guanajuato, Guerrero, Puebla i stan Mexico, a także slumsy wokół stolicy kraju. Święta księga Familii może i brzmi jak niedorzeczny bełkot, ale jest nie mniej absurdalna niż niejedna dziwaczna religia czy skrajnie nacjonalistyczny ruch, który objawił się na Ziemi, zdobywając miliony zwolenników. A swoista ideologia z pewnością w tym nie przeszkadza. W meksykańskiej wojnie widać, że gangi imitują udane rozwiązania swoich rywali, wobec czego Szaleniec może wcale nie być ostatnim *capo*, który ogłosił się arcykapłanem.

Sukces Familii przyciągnął uwagę policji. Amerykańscy agenci zlokalizowali współpracowników tej organizacji w amerykańskich miastach takich jak Dallas i Atlanta, a rząd meksykański zaoferował 30 milionów peso nagrody za głowę Morena. Ktoś z jego bliskiego otoczenia miał połaszczyć się na te pieniądze i donieść, że gangster pojawi się na imprezie z okazji Bożego Narodzenia w mieście w Tierra Caliente, Apatzigan, w grudniu 2010 roku. Poli-

cja federalna i wojsko wpadli do miasta, kartel jednak szybko zareagował i wezwał na odsiecz swoich ludzi, którzy zablokowali drogi i ruszyli do ataku. Na ulicach wybuchły walki, zginęło 11 osób, w tym niemowlę. Jednak policja federalna z dumą oznajmiła, że udało im się osiągnąć cel i zabić Szaleńca[14].

Moreno jednak śmiał się ostatni. Policjantom bowiem nie udało się nigdy zdobyć jego zwłok. W zamieszaniu, jak podają federalni, ludzie Familii wywieźli ciało Morena w góry. Rząd opublikował nagranie, na którym gangster Tuta przyznaje, że Szaleniec zginął. Gdy nie ma ciała, do umysłów ludzi wkrada się uporczywa wątpliwość. Na temat Morena powstało wiele fantastycznych historii, podobnych do tych o Carrillu Fuentesie, który zginął podczas operacji plastycznej w 1997 roku. Ludzie szepczą, że Szaleniec wciąż przebywa w Tierra Caliente w przebraniu j wieśniaka lub żyje jako ksiądz w Apatzigan. Nawiedzony narkokaznodzieja stał się legendą, a jego nauki wciąż są żywe wśród rozgrzanych słońcem wzgórz, gdzie przyszedł na świat.

ROZDZIAŁ 12
Powstańcy

Jeśli ktoś podniesie rękę na mojego ojca, moją matkę, czy mojego brata, nie zamierzam pozostać dłużny. Toczymy walkę z policją federalną, bo oni atakują nasze rodziny.

Servando Gomez alias Tuta, szef Familii,
wypowiedź z 2009 roku

W drugim sezonie nagradzanego amerykańskiego serialu *Breaking Bad* jest scena rozgrywająca się w światowej stolicy zbrodni – Ciudad Juárez. W tym odcinku dwóch agentów, Amerykanin i Meksykanin, zostają zwabieni na skrawek pustyni leżący nieco na południe od granicy, gdzie mają spotkać się z informatorem. Znajdują tam jednak tylko jego głowę, i to przymocowaną do ciała ogromnego żółwia. Kiedy podchodzą bliżej okazuje się, że to zamaskowany ładunek wybuchowy, który eksploduje i zabija obu. Odcinek ten emitowano w 2009 roku i wtedy wydał mi się nierealistyczny i przesadzony[1]. Aż do 15 czerwca 2010 roku.

Tego dnia w prawdziwym Ciudad Juárez gangsterzy porwali pewnego człowieka, ubrali go w mundur policjanta, zastrzelili i podrzucili jego zwłoki na ulicy w centrum miasta. Kiedy na miejscu pojawili się policjanci federalni i ratownicy medyczni, wraz z nimi przybył operator kamery. Na filmie widać, jak ratownicy pochylają się nad ciałem, by stwierdzić zgon. Nagie słychać ogłuszający huk, a kamera zaczyna się trząść w rękach operatora uciekającego w panice. Później okazało się, że gangsterzy zdetonowali za pomocą telefonu komórkowego dziesięciokilogramowy ładunek wybuchowy ukryty w pobliskim samochodzie. Po chwili kamera pokazuje miejsce zajścia: widać dymiący samochód i krzyczące ofiary. Ratownik leży na asfalcie, jest cały we krwi, ale wciąż się rusza, na jego twarzy mai«, je się zdumienie. Przerażeni funkcjonariusze boją się do niego zbliżyć. On oraz agent federalny i jeden cywil umierają kilka minut później.

Nie twierdzę, że to morderstwo miało jakikolwiek związek ze wspomnianym serialem. Wszak to nie seriale zabijają ludzi, a bomby. Chcę tylko zwrócić uwagę na fakt, że przemoc w meksykańskiej wojnie narkotykowej przebiera nierzadko formy, które przerastają fikcję. Podobny dylemat miał meksykański pisarz Alejandro Almazan. W powieści *Entre Perros* (Wśród psów)**[2]** umieścił scenę, w której bandyci ucinają człowiekowi głowę, a na jej miejscu przytwierdzają łeb psa. Ta scena doskonale pasowała do reszty książki. Nieco później gangsterzy dokonali niemal identycznej zbrodni, z tą różnicą, że głowa należała do świni. Trudno jest konkurować z chorą wyobraźnią kryminalistów. Zbirom z kartelu zdarzyło się włożyć obciętą głowę do lodówki turystycznej, zwłoki zamordowanego policjanta ubrać w komiczne sombrero i wyciąć mu uśmiech na twarzy, a także obszyć piłkę skórą z ludzkiej głowy.

Wiele osób dociekało, jaki jest społeczny wydźwięk takich aktów terroru. Wciąż dyskutuje się też o tym, czemu one służą? W jakim celu siepacze karteli obcinają ludziom głowy, urządzają krwawe zasadzki na policjantów i umieszczają bomby w samochodach? Dlaczego rzucają granaty w świętujący tłum lub masakrują niewinne osoby na przyjęciach? Co zyskują przez takie bestialstwo i rozlew krwi? Z kim walczą? Czego chcą?

Pytanie to zbliża nas do istoty problemu, czyli tego, czym stał się El Narco. To, jaka jest motywacja gangsterów, determinuje, kim w istocie są. Jeśli z premedytacją zabijają niewinnych cywilów po to, by siać grozę, to – według wielu definicji – są terrorystami. Jeśli chcą przejąć kontrolę nad danym obszarem i osiągają to, stosując przemoc, są watażkami. Jeśli powadzą pełnowymiarową wojnę z rządem, są powstańcami.

To delikatna materia. Słowa takie jak „terroryzm” czy „powstanie” działają alarmująco, odstraszają zagranicznych inwestorów i nie dają spać amerykańskim agentom wywiadu. To, jakiego języka używa się, opisując wojnę narkotykową, wpływa na to, jak próbuje się zaradzić temu problemowi oraz ile wysyła się tam bezzałogowych samolotów i helikopterów Black Hawk.

Dziennikarze zaczęli używać określenia „narkopowstańcy” w artykułach w roku 2008, kiedy nastąpiła eskalacja przemocy, a oddziały Beltrana Leyvy zamordowały dziesiątki agentów oraz szefa policji federalnej. Temu pojęciu przyglądali się później dziennikarze i eksperci mniej łub bardziej powiązani z amerykańskimi stróżami prawa i wojskiem. Tym tematem zajął się także w serii artykułów magazyn „Small Wars Journal”, który opisuje konflikty zbrojne o małej skali na całym świecie. W jednym z artykułów, którego autorami byli Adam Elkus i John Sullivan, o wojnie karteli (*Cartel v. Cartel: Mexico's Criminal Insurgency*) czytamy:

Od zarania to powstanie kryminalistów przeciwko władzy było bardzo niejednorodne. Kartele walczyły między sobą o kontrolę nad rewirami i kanałami przerzutowymi, walcząc jednocześnie z siłami rządowymi. Rozdrobnienie i niepoparty przewodnią ideą charakter tych walk był wielokrotnie mylący dla komentatorów amerykańskich, nawykłych do zunifikowanych i nacechowanych Ideologicznie powstań, takich jak np. powstanie maoistów. Clausewitz jednak (niemiecki geniusz militarny) zrozumiałby z całą pewnością istotę tego fenomenu, gdyby żył dzisiaj i miał okazję wsłuchać się w dźwięki schlebiającej gangsterom muzyki narcocorrido *huczącej te odbiornikach w Tijitanie*[3].

Ta świadomość wkrótce dotarła do Pentagonu, a w grudniu 2008 roku trafiła do raportu Dowództwa Sił Połączonych USA, Według niego wśród kwestii militarnych, które odegrają rolę w następnych dziesięcioleciach jest niebezpieczeństwo, że przemoc na tle narkotykowym w Meksyku do prowadzi do destabilizacji państwa, tak jak stało się to w byłej Jugosławii. W raporcie czytamy: *Chaos w państwie meksykańskim będzie wymagał interwencji sił amerykańskich, z uwagi na możliwe poważne zagrożenie bezpieczeństwa narodowego USA*[4]. Słowa te odbiły się szerokim echem. Raport nie tylko mówił, że wojna narkotykowa może zagrozić stabilności Meksyku, ale kreślił także scenariusz, w myśl którego wojska USA przekraczają Rio Grande po raz pierwszy od czasów rewolucji meksykańskiej. Raporty mówiły o hipotetycznych dzia-

łaniach i były przeznaczone tylko dla wtajemniczonych osób w Pentagonie. Jednak wraz z eskalacją przemocy w Meksyku, kwestię poruszyła sekretarz stanu Hillary Clinton. We wrześniu 2010 roku wypowiedziała ona następujące, dziś uznawane za niespecjalnie chlubne słowa:

„Stajemy w obliczu narastającego zagrożenia ze strony doskonale zorganizowanej siatki handlarzy narkotyków, co w niektórych przypadkach przybiera postać działania mającego na celu przewrót w Meksyku oraz Ameryce Środkowej.(...) Widać coraz więcej oznak tego, że kartele powstają przeciwko państwu, wiecie, te wszystkie wybuchające samochody, o czym wcześniej nie było mowy. Staje się to więc... zaczyna to wyglądać coraz bardziej jak Kolumbia sprzed dwudziestu lat”.**[5]**

Wypowiedź ta wywołała lawinę oburzonych głosów. Meksyk replikował, że porównanie do Kolumbii było niesłuszne i że siły dbające o bezpieczeństwo w kraju tak naprawdę nie są zagrożone. Każda sugestia, iż rząd traci kontrolę nad państwem, fatalnie wpływa na opinię Meksyku na światowym rynku.

Słowa krytyki posypały się także ze strony liberalnych intelektualistów oraz organizacji pozarządowych w samych Stanach. Argumentowano, że kartele nie prowadzą powstania, ponieważ, w odróżnieniu od rebeliantów islamskich czy komunistycznych, nie mają na celu przejęcia władzy i jej sprawowania (przez umieszczenie swojego człowieka w pałacu prezydenckim, przejęcie szkolnictwa itd.). Zdaniem tej części krytyków, Meksykanie powstają przeciwko ekspansji militarnej i działaniom wymierzonym w rebeliantów w Kolumbii czy Afganistanie oraz wizji żołnierzy amerykańskich panoszących się w Sierra Madre, jak ma to miejsce w dolinie Korengal, w której toczą potyczki z talibami.

Takie myślenie nie jest bezpodstawne. Historia pokazuje, że kampanie przeciw rebeliantom oznaczają często klęskę praw człowieka w danym miejscu, jak widać to na przykładzie Kolumbii, Iraku, Peru, Salwadoru, Algierii i wielu innych państw. Ponadto wizja wojsk USA wkraczających do Meksyku nie wydaje się tak znowu nieprawdopodobna. Koncepcja „powstania narkoty-

kowych karteli" jest również chwytliwa dla środowisk skrajnej prawicy w USA. islamscy radykałowie, handlarze narkotyków, narkoterroryści czy narkopowstańcy – wszyscy oni wrzucani są do jednego worka pełnego wrogów Ameryki. Wojna z narkotykami zazębia się z wojną z terroryzmem i uzasadnienie użycia nadzwyczajnych środków do walki ze złem staje się jeszcze łatwiejsze.

Jakiekolwiek argumenty wysuwają politycy, należy mieć świadomość, że sytuacja w Meksyku jest naprawdę poważna. Kartele w tym kraju to organizacje mające o wiele większe możliwości dokonywania aktów przemocy niż zwykli przestępcy. Stały się zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. Argument, że gangsterom nie chodzi o fotel prezydenta, nie sprawia, że są mniej niebezpieczni. Wiele grup rebelianckich na świecie wcale nie próbowało przejąć władzy w kraju. Al Kaida w Iraku ma około 1000 bojowników i najmniejszych szans na wygranie ze stroną rządową. Mimo to morduje tak żołnierzy, jak i cywilów, myśląc o władzy nad światem. Członkowie IRA czy ETA nie mogli przejąć władzy, a mimo to kontynuowali walkę, by wywierać presję. Nawet wielcy powstańcy w samym Meksyku, tacy jak Pancho Villa i Emiliano Zapata nie chcieli władzy dla siebie. Ich celem było jej obalenie, by na czele państwa stanęła osoba, która będzie dbała o ich interesy.

Jedna z definicji słownikowych podaje, że powstanie to „zbrojne wystąpienie przeciwko aktualnej władzy"**[6]**. Można także założyć, że to właśnie użycie siły odróżnia rewoltę od pokojowego protestu. Czy więc El Narco pasuje to tej definicji? Niektórzy gangsterzy z całą pewnością tak. Nie mówimy tu o zwykłych bandytach, którzy po krótkiej wymianie ognia z policją biorą nogi za pas. Do buntu przeciwko władzy państwowej można zaliczyć atak ponad 50 uzbrojonych ludzi na koszary, zabijanie wysoko postawionych oficerów policji i polityków czy zabicie dziesięciu i więcej policjantów i żołnierzy. Czyż nie jest to wyzwanie rzucone autorytetowi państwa?

Kartele stosują także bardziej tradycyjne strategie. Od Monter-

rey po Michoacan gangsterzy organizowali marsze przeciwko siłom rządowym, podczas których demonstrantom zdarzało się nieść transparenty głoszące poparcie dla konkretnych karteli, takich jak Familia. By wywierać i presję, gangsterzy blokują ulice w centrach miast płonącymi pojazdami,: co nie tylko odbija się niekorzystnie na gospodarce, ale wywołuje także: strach wśród zwykłych ludzi. Takie działania to powielanie metod stosowanych przez grupy opozycyjne w całej Ameryce Łacińskiej, co ukazuje: jawnie polityczną naturę tej rebelii.

Jeszcze inny problem z pojęciem „powstania" dotyczy zagadnienia ideologii. Rząd meksykański wydał oficjalne oświadczenie, w którym stwierdza, że kartele nie prowadzą powstania, ponieważ „nie mają programu politycznego"**[7]**. To prawda, przyznają obserwatorzy powstaniec powinien wyznawać jakieś górnolotne idee, może być to marksizm, flaga narodowa czy Allah i 72 dziewice. Powstaniec, a jeszcze bardziej pasujący do kontekstu Ameryki Łacińskiej „bojownik", to człowiek, który jest bezgranicznie oddany jakiejś sprawie, w czym nie przeszkadza fakt, iż jest niespełna rozumu i lubuje się w przemocy. Celem meksykańskich *narcos*, jak twierdzą krytycy, jest pranie brudnych milionów, kupowanie złotych łańcuchów i posiadanie tuzina kochanek. W najlepszym przypadku są „prymitywnymi rebeliantami", jak określiłby ich zapewne czytelnik prac Erica Hobsbawma o bandytyzmie**[8]**. W najgorszym razie zaś nie są buntownikami, a tylko psychopatycznymi przedsiębiorcami.

Badacze podkreślają jednak, iż liczne wystąpienia przeciwko władzy nie mają nic wspólnego z ideologią. Już w 1993 roku Steven Metz z Instytutu Badań Strategicznych USA w artykule zatytułowanym *The Future of Insurgency* (Przyszłość powstań) przyglądał się się tym zjawiskom w okresie po zakończeniu zimnej wojny. Niektóre rebelie, pisał, opierały się jedynie na pobudkach gospodarczych i lepiej można by je zaklasyfikować jako „powstania komercyjne" lub „przestępcze"**[9]**. Przykładem takiej właśnie rebelii miałyby być wydarzenia na polach naftowych delty Nigru.

Motywy, jakimi kierują się meksykańscy bossowie są rozmaite i zmieniają się z upływem czasu. W 2011 roku istniało w tym kraju siedem głównych karteli. Każdy z nich ma tysiące uzbrojonych ludzi zorganizowanych w paramilitarne oddziały (definicja słowa „paramilitarny" brzmi: „zorganizowany na wzór wojska, ale niebędący regularną armią"). Cztery kartele regularnie wysyłają swoje oddziały do ataku na siły federalne, są to: Zetas, Familia, Juárez i organizacja Beltrana Leyvy. Najbliżej definicji powstańca-buntownika znajdują się Zetas, którzy codzienne walczą z żołnierzami.

Ich ataki często mają konkretny motyw i cel. Marco Vinicio Cobo, znany jako Świr, należał do komórki Zetas, która w leżącym na południu Meksyku stanie Oaxaca porwała żołnierza i obcięła mu głowę. W nagraniu filmowym z przesłuchania kryminalista wyjaśnia ofiara była oficerem wywiadu wojskowego, który dowiedział się za dużo o Zetas, więc musiał zginąć**[10]**. W Michoacan bandyci z Familii zaatakowali kilkanaście posterunków policji i zabili 15 funkcjonariuszy w odwecie za aresztowanie jednego z wysoko postawionych gangsterów ich kartelu. Tuż po tej ofensywie *capo* Servando Gomez wykonał nader odważne posunięcie i zadzwonił do stacji telewizyjnej. Zaskoczonemu prowadzącemu w studiu wyjaśnił, że Familia nie pozostaje bierna wobec prześladowania jej ludzi oraz ich rodzin. Wyszedł też z ofertą zawieszenia broni: „Chcemy spokoju, a nie wojny. Chcemy podpisać pakt z narodem"**[11]**.

W opisanych wyżej przypadkach przemoc *narcos* jest reakcją na ciosy zadane ich organizacjom. Wywierają więc presję, by zmusić przeciwnika do odwrotu i sygnalizują, że chcą łagodnego rządu, który nie będzie wchodził im w drogę.

W innych jednak przypadkach, kiedy faktycznie kontrolują jakąś część kraju, są bardziej agresywni. Przykładem tego jest atak na polityków kandydujących w wyborach. Kandydaci nie mają jeszcze władzy, by móc zaszkodzić kartelom, ale gangsterzy wolą mieć pewność, że wybrani, politycy będą tymi, których mają w kieszeni. Tych, którzy nie chcą iść. na współpracę lub kooperują z

ich rywalami, po prostu zabijają. Spośród licznych zamachów na kandydatów najszerzej znane było zabicie Rodolfa Torre Cantu, który ubiegał się o stanowisko gubernatora stanu Tamaulipas w 2010 roku. Ten lekarz startujący z ramienia PRI typowany był na pewnego zwycięzcę z trzydziestoprocentową przewagą nad konkurentem. Tydzień przed glosowaniem jednak uzbrojony oddział ostrzelał konwój pojazdów, którymi kandydat jechał na spotkanie wyborcze.

Zginął on i czworo jego doradców[12]. Możliwość decydowania o życiu lub śmierci polityków ze znaczącym poparciem jest ponurym świadectwem roli, jaką odgrywa El Narco w świecie polityki.

Lecz o co dokładnie wałczy El Narco? To, że gangsterzy chcą szmuglować towar, zauważają obserwatorzy, nie stanowi jeszcze tak ogromnego zagrożenia dla społeczeństwa, a na pewno nie ma w tym nic z powstała, Jednak wraz z eskalacją wojny narkotykowej wzrosły też ambicje *narcos*. W rewirach niektórych karteli trudno znaleźć przedsiębiorcę, który nic musi płacić im haraczu. Co więcej, przestępcom udało się, nierzadko siłą, wcisnąć do gałęzi gospodarki, nad którymi dotychczas pieczę sprawował niepodzielnie rząd. Zetas kontrolują wschodnie części kraju, czyli te, gdzie przemysł naftowy jest najlepiej rozwinięty. Gangsterzy „opodatkowali” go na tyle, na ile byli w stanie, szantażując związki zawodowe i kradnąc paliwo, by sprzedawać je na lewo. W Michoacan Familia zabrała się do górnictwa i nielegalnego wyrębu drzew, czyli obszarów, z których dochody czerpał rząd. Każdy gang zajmuje się jednak czymś innym. Działalność Kartelu z Sinaloa w dużej mierze ogranicza się do handlu narkotykami na międzynarodową skalę. To jednak grupy przestępcze o najszerszym profilu działań dają się najbardziej we znaki siłom federalnym. Kiedy gangi „opodatkowują” jakąś gałąź gospodarki, państwo na tym traci.

Tam, gdzie kartele są najmocniejsze, ich władza obejmuje tak politykę, sektor prywatny, jak i media. W Ciudad Juárez ważne

postacie biznesu twierdzą, że skoro muszą płacić za „ochronę" mafii, to nie widzą sensu płacenia daniny państwu. To bardzo wymowne. Największa gazeta tego miasta, „El Diario de Juárez", wyraziła to jeszcze dobitniej w tekstach napisanych po zabiciu przez mafię dwudziestojednoletniego fotografa. W artykule od redakcji, wydrukowanym na pierwszej stronie, zatytułowanym *Czego od nas chcecie?*, dziennikarze zwrócili się bezpośrednio do karteli i jednocześnie zagrali na nerwach rządowi Calderon:

To wy de facto *sprawujecie władzę w tym mieście, ponieważ legalne władze nie były w stanie chronić naszych kolegów, o co wielokrotnie się nich zwracaliśmy. Jednak nawet wojna ma swoje zasady. Podczas każdego wybuchu przemocy istnieją protokoły lub umowy między stronami konfliktu, mające zagwarantować nietykalność dziennikarzom opisującym starcia. Powtarzamy zatem, panowie z rozmaitych organizacji handlujących narkotykami, wyjaśnijcie nam, czego od nas chcecie, żebyśmy nic musieli płacić wam daniny życiem naszych kolegów.*[13]

Co dla przyszłości Meksyku oznacza taka potęga *narcos*? Coraz częściej mówi się o tym, że wkrótce państwo stanie się niewydolne. Jednak takie słowa niewiele mówią i nie przyczyniają się do zrozumienia meksykańskiej wojny narkotykowej. Organizacja pozarządowa w USA, Fund For Peace, i magazyn „Foreign Policy" co roku tworzą listę „niewydolnych państw". W 2010 roku na pierwszym miejscu znalazła się Somalia, Meksyk znajdował się na miejscu 96, daleko za takimi krajami, jak Indie czy Chiny. Na korzyść Meksyku przemawia lepsza jakość usług publicznych i zamożniejsza klasa średnia niż w większości państw rozwijających się. Chiny czy Kuba mają może silniejszy aparat władzy, lecz ich majątek narodowy w przeliczeniu na jednego obywatela jest mniejszy. Eskalacja przemocy nie przeszkodziła Meksykowi w dostarczaniu elektryczności, wody ani w funkcjonowaniu szkól. Na razie.

Bardziej adekwatne wydaje się określenie „przejęcie państwa". Zastosowano je, by opisać, jak oligarchowie i firmy stworzone przez mafie przejęły części aparatu państwowego w Europie

Wschodniej po upadku komunizmu. W Meksyku dzieje się dokładnie to, co widać na przykład w próbach przejęcia przez gangsterów kontroli nad siłami policyjnymi, Kiedy kartel kontroluje dany teren, staje się tam nieoficjalnym ośrodkiem władzy, do którego zwracać się muszą i urzędnicy, i przedsiębiorcy. Jeśli ktoś w takim miejscu wpadnie w ręce policji, nie wiedząc, który policjant jest na usługach mafii, zrobi lepiej, jeśli da łapówkę funkcjonariuszom albo spróbuje wziąć nogi za pas. To przerażająca i prawdziwa wizja.

Innym ujęciem zagadnienia upadku Meksyku jest, nieco już ograne, porównanie do Kolumbii. Poglądy, że Meksyk ma podążać tą samą ścieżką co Kolumbia, a brutalność meksykańskich gangsterów ma być odwzorowaniem działań ich pobratymców z Andów, od długiego czasu pojawiają się w różnych wypowiedziach, czego ukoronowaniem były słowa Hillary Clinton. Doświadczenia Kolumbii z jej finansowaną przez rynek kokainy partyzantką powinny być brane pod uwagę. Spośród wszystkich krajów świata to właśnie tam doszło do kryminalnej rebelii najbardziej zbliżonej do tej w Meksyku.

Jednak porównanie do Kolumbii jest mylące. Kolumbia to Kolumbia, a Meksyk to Meksyk. Te dwa kraje mają inne dzieje i ich wojny narkotykowe przebiegają inaczej. Na szczęście meksykańska wojna narkotykowa nie przeobraziła się jeszcze w wojnę domową, jak ta w Kolumbii w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy od stolicy odcięte były części kraju i około 2 milionów ludzi zostało przesiedlonych. W Kolumbii liczba marksistowskich partyzantów jest większa niż jakikolwiek oddział paramilitarny w dziejach Meksyku. Choć oczywiście nie znaczy to, że konflikt zbrojny toczący się w Meksyku nie jest poważny. W krajach Ameryki Południowej mówi się obecnie o „meksykanizacji" rynku narkotykowego oraz zaangażowaniu, wzorem Meksyku, *sicarios* i oddziałów paramilitarnych do wojny karteli. Dzisiaj kraje, w których zorganizowana przestępczość podnosi głowę, porównuje się do Meksyku.

Do czasu aresztowania w 2010 roku Miguel Ortiz zarządzał działaniami Familii w stolicy stanu Michoacan, Morelii. Zanim stał się ważną figurą w mafii, przez pięć lat: był człowiekiem Familii w policji stanowej. Uwikłany był w liczne ataki na siły federalne, w tym w ofensywę, w której zginęło 15 policjantów, oraz ataki na urzędników państwowych. Po jego aresztowaniu ujawniono nagranie wideo z przesłuchania**[14]**.

To nieprzyjemny film. Ortiz szczegółowo opisuje techniki ćwiartowania zwłok oraz mordowania policjantów. Kiedy ten materiał wyemitowano w meksykańskiej telewizji w wiadomościach o 22:30, z całą pewnością na sofach i przy stołach, gdzie jedzono późne kolacje, słychać było głosy zdumienia. Cóż za psychopata, musieli wzdychać ludzie, trzeba dziękować Bogu, że jest za kratami. To właśnie cel emisji takich materiałów: władze chcą przekonać ludzi, że skutecznie przeciwdziałają groźnej przestępczości. Takie filmy sprawiają też, że system sprawiedliwości kojarzony jest z brutalnością. Co więcej, często zamiast uspokajać opinię publiczną, wywołują strach, uświadamiając, że wielu podobnych psychopatów wciąż może być na wolności. Jednak film z przesłuchania Ortiza daje wgląd w budzący niepokój paramilitarny *modus operandi* karteli, a także pozwała lepiej zrozumieć, na czym polega walka mafii z władzą państwową.

Na filmie widać dwudziestoośmioletniego Ortiza w koszuli w paski zapiętej pod szyję. Ma płaską twarz, lekko zaznaczający się podwójny podbródek oraz masywną szyję, której zawdzięcza pseudonim Tyson. O zbrodniach mówi zimnym militarnym językiem, który stał się normą wśród mafijnych para-żołnierzy: o zamordowanych mówi „cele", uprowadzeni ludzie trzymani w kryjówkach tu „cargo".

Ortiz wstąpił do policji w 1999 roku, miał wtedy 18 lat. Gdy skończyli 21, zaczął współpracę z Familią, w czasie gdy kartel rozpoczynał działalność w Michoacan. Jak się później okazało, dołączył do drużyny zwycięzców, bo władza Familii rosła i niebawem kartel zapanował nad całym regionem. Pracując w policji, mógł aresztować wybrane osoby, które później albo przekazywał

cynglom mafii, albo zajmował się nimi sam. Oto klasyczny sposób działania gangów znany z Zetas i Kartelu z Juárez: policjanci już nie łapią przestępców, stali się zleceniobiorcami mafii. Tak w praktyce wygląda przejęcie państwa.

Ortiz rzucił pracę w policji w 2008 roku, by zająć się pełnoetatową pracą dla Familii. Wciąż jednak, jak zeznaje, jeździł radiowozem, nosił mundur i współpracował z innymi policjantami. Korzyści, jakie kartel czerpał z posiadania zaufanego człowieka w policji, były zbyt duże, by tak po prostu go stracić.

W czerwcu 2009 roku Familia przypuściła zmasowany atak na posterunki policji. Ortiza wezwano o 5 rano i kazano działać. Zbrojni Familii ruszyli na Morelię z wszystkich okolic dookoła miasta, a Ortiz wspierał ich taką liczbą radiowozów, jaką udało mu się zdobyć. To, że mafijny atak na policję federalną wspierali funkcjonariusze policji stanowej, jest porażającym przykładem podziału państwa meksykańskiego. Po tym, jak kartel ostrzelał bazę policji federalnej, jeden wracający stamtąd samochód, minivan Mitsubishi pełen *sicarios*, złapał gumę. Ortiz szybko znalazł dla jej pasażerów miejsce w radiowozach, podwiózł do pobliskiego supermarketu Walmart i tam przesadził do taksówek. Dzięki temu mogli walczyć następnego dnia.

Miesiąc później Ortiz został przez Familię awansowany na dowodzącego rewirem Morelia. To stanowisko zwane jest po hiszpańsku *encargado de la plaza*. W gorący sierpniowy weekend ludzie Familii zabrali go na wieś w Tierra Caliente na ceremonię przekazania władzy. Przejechali przez miasto Apatzigan, a następnie udali się krętą górską drogą do Aguilillii. Tam zostawili samochód i przez dwie godziny szli w głąb gór. Wreszcie dotarli na ranczo, gdzie przywitani zostali przez najważniejsze postacie kartelu, między innymi Szaleńca i Servanda Gomeza – Tutę.

„Trwało to bardzo krótko. Mówili, że im rzadziej sic ich widuje, tym lepiej. Nasza rozmowa trwała dziesięć, może piętnaście minut. Powiedzieli, co mieli powiedzieć, że od tej chwili jestem *encargado de la plaza* w Morelii, a moim bezpośrednim przełożonym jest Chuke”.

Struktura organizacyjna Familii, którą opisał Ortiz, jest zapożyczona od Zetas. To oni szkolili mafię z Michoacan. Rewiry kierowane są częściowo przez samodzielnych ludzi, którzy zarabiają na swoim terenie pieniądze i opłacają się zwierzchnikowi, a ten z kolei rozlicza się z szefem. Niżej w strukturze są *sicario*. a dalej *halcones*, czyli „sokoły", pracujący jako oczy i uszy kartelu. Każdy ma pseudonim, by gangsterzy jak najmniej o sobie wiedzieli. Kiedy *sicarios* otrzymują zlecenie, zazwyczaj nie mają pojęcia, dlaczego dana osoba została wybrana jako cel. Po prostu wykonują rozkazy.

Zetas początkowo oparli taką hierarchię na tej znanej im z wojska, z którego przecież się wywodzą. Ich szarże oficerskie wyglądały z początku dokładnie tak jak wojskowe. Jednak w miarę upływu czasu i rozwoju konfliktu ich struktura zbliżyła się do tych, jakie funkcjonują w południowoamerykańskich armiach partyzanckich lub prawicowych bojówkach, używających samodzielnych komórek do sprawowania kontroli, nad nierzadko tysiącami zbrojnych. Zetas szkolili ludzi Familii w wojnie partyzanckiej w 2005 i 2006 roku, zanim ich uczniowie zbuntowali się i postanowili działać na własną rękę.

Ortiz w swojej komórce szkolił rekrutów, jak siać strach. Opisuje noc, kiedy około 40 jego ludzi zgromadziło się na wzgórzu nieopodal Morelii. Przyprowadzono więźniów kartelu, by mafijne żółtodzioby miały okazję przelać pierwszą krew.

„Tak sprawdzamy naszych ludzi. Zmuszamy ich do zabijania. Potem mają za zadanie poćwiartować zwłoki. Nowicjusze przestają się bać po tym, jak obetną komuś rękę, nogę albo coś takiego. Nie jest to łatwe. Trzeba przeciąć kości i wszystko inne. Ale muszą przez to przejść, żeby przestali się bać. Używaliśmy noży rzeźnickich albo małych, trzydziestocentymetrowych maczet. Nowicjusze, ponieważ się denerwują, potrzebują na obcięcie ręki około dziesięciu minut. Ja potrafię to zrobić w trzy lub cztery".

Carlos, oficer wywiadu rozpracowujący Familię, mówi mi, że ci gangsterzy mają szczególny talent do ćwiartowania ciał, ponieważ wielu z pierwszych członków kartelu było rzeźnikami.

Obecni rekruci często mają za sobą pracę w knajpach serwujących *taco*. Ich zręczność w szatkowaniu skwierczącej wieprzowiny znajduje zastosowanie przy masakrowaniu ludzkich ciał.

Kiedy *sicarios* pracujący dla Ortiza dokonywali morderstw, zostawiali przy zabitych kartkę z podpisem *La Resistencia*, czyli „ruch oporu". Jest to określenie używane przez niektóre komórki Familii. Nazwa ta podkręca ducha rebelii, a dla władz to rękawica rzucona prosto w twarz. Ortiz przyznał się do osobistego zaangażowania w zamach na panią sekretarz bezpieczeństwa w Michoacan. Według jego słów atak zarządzono, ponieważ pewien urzędnik pani sekretarz wtrącał się w system ochrony policyjnej, jaką cieszył się kartel. Ortiz postanowił uderzyć wyżej, za cel obrał więc Minervę Bautistę, sekretarz do spraw bezpieczeństwa stanu Michoacan. Najpierw wysłał szpiega, który miał śledzić jej ruchy.

„Wysłaliśmy zaufanego chłopaka, który miał śledzić ją przez dziesięć dni, ustalić, gdzie je, gdzie śpi, o której wychodzi do biura i tak dalej. Dzięki temu wyznaczyliśmy najlepszy dzień na atak".

Kiedy Bautista jechała wraz ze swą świtą, Ortiz z zabójcami zablokowali im drogę ciężarówką i otworzyli ogień z obu stron samochodu. W stronę opancerzonego SUV-a pani sekretarz poleciało 2700 kul! Zginęło od nich dwóch ochroniarzy, a ona sama została ranna. Mordercy odjechali, przekonani, że udało im się wykonać zadanie. Minerva Bautista jednak cudem przeżyła zamach**[15]**. Wkrótce po tym agenci federalni złapali Ortiza w jego kryjówce w Morelii.

„Słyszałem plotki, że depczą mi po piętach. W końcu mnie dorwali. Zawsze wiedziałem, że kiedyś zostanę aresztowany".

By mieć pewność, że ich strzelcy będą trafiali do ludzi, kartele organizują obozy szkoleniowe. Pierwsze odkryto w północnowschodnim Meksyku, ich założenie przypisuje się Zetas. Od tamtego czasu jednak znajduje się je w całym kraju, nawet przy granicy z Gwatemalą. Większość z nich organizowanych jest na ranczach i w gospodarstwach, jak ten w miejscowości Carmago na

południe od granicy z Teksasem. W takich miejscach są strzelnice i małe poligony. Znajdowano tam cale arsenały ciężkiej broni oraz skrzynki granatów.

Aresztowani gangsterzy zeznali, że kursy tam prowadzone trwają po dwa miesiące i obejmują między innymi naukę używania granatników oraz karabinów kalibru 12,7 mm. Na filmie z takiego szkolenia przechwyconym przez policję w 2011 roku widać rekrutów biegnących z bronią w ręku, padających w trawę i strzelających**[16]**. Czasami takie szkolenia kończą się źle dla „kursantów". Jeden utonął w czasie ćwiczenia, w którym miał pływać z plecakiem i karabinem. Nic dziwnego, że obozy te zaczęto porównywać do poligonów A1 Kaidy w Afganistanie.

Mimo systemu szkolenia, gangsterzy nadal cenią rekrutów z doświadczeniem wojskowym. Stacja radiowa MVS z Mexico City poprosiła o dostęp do informacji na temat dezercji z wojska w tym kraju. W pierwszym dziesięcioleciu demokracji, do 2010 roku, szeregi armii w Meksyku opuściło samowolnie 100 tysięcy żołnierzy**[17]**. Implikacja jest niepokojąca: chłopcy z getta i ze wsi wstępują do wojska, rząd płaci za ich wyszkolenie, a oni i tak wybierają karierę i pieniądze, pracując dla mafii.

Kluczową kwestią dla organizacji chcącej mieć oddziały paramilitarne jest dostęp do wojskowej broni. Dla karteli nie stanowi to najmniejszego problemu, ponieważ potrafią zdobyć ogromne ilości broni szturmowej i amunicji. Kto jest w stanie wystrzelić 2700 kul w jednym zamachu? Ktoś, kto ma więcej amunicji niż rozumu. Karabiny maszynowe Browning wypluwają pociski kalibru 12,7 mm, coraz częściej zdarzają się pojedyncze potyczki, w których wybuchają setki granatów. Skąd pochodzi ten ogromny arsenał? Meksykańscy urzędnicy wskazują palcem na północ od Rio Grande. To Wuj Sam uzbraja po zęby tych samych narkorebeliantów, przy których zwalczaniu współpracuje z meksykańskim rządem. To poważny zarzut. Ale czy prawdziwy?

Przepływ broni z USA do Meksyku był od dziesięcioleci kością niezgody między tymi krajami. W czasie wojny narkotykowej sprawa ta stalą się po prostu bardziej gorąca. Przedstawiciele

państwa meksykańskiego domagają się od USA, by zajęto się problemem nielegalnego handlu bronią. Amerykanie obiecują podjęcie kroków, które mają położyć kres przepływowi tego towaru przez granicę. Nic z tego nie wychodzi. Mimo kolejnych setek zabitych, mimo nagłaśniania roli amerykańskiej broni, rząd Stanów Zjednoczonych nie potrafi nic zrobić.

Amerykańskie lobby zbrojeniowe jest na ten problem niezmiernie wyczulone. Dlaczego to oni mają znosić ograniczenia z powodu problemów w Meksyku? To nie broń zabija ludzi – to ludzie zabijają ludzi. Doniesienia na ten temat publikowane są na stronach internetowych zwolenników posiadania broni palnej, często z gniewnymi komentarzami obrażającymi dziennikarzy piszących na ten temat.

Prześledziłem ścieżkę broni od magazynów policyjnych ze skonfiskowanym mieniem mafii w Sinaloa do sklepów w Teksasie i Arizonie. W Stanach spotkałem mądrych sprzedawców i entuzjastów mówiących, że wojna w Meksyku wybuchła z wielu powodów, na przykład dlatego, że policja jest skorumpowana, a nie z powodu łatwego dostępu do broni. Mają bez wątpienia rację.

Jednak nieprzyjemna prawda jest taka, że duża część broni produkowanej i wprowadzonej do sprzedaży w USA trafia w ręce meksykańskich karteli. W Meksyku jest niewiele sklepów z bronią, nie ma też fabryk. Nie wydaje się też zbyt chętnie licencji na jej posiadanie. Prawie cała broń posiadana przez kartele jest nielegalna. W 2008 roku Meksyk przekazał agencjom federalnym USA numery seryjne niemal 6 tysięcy sztuk odebranej gangsterom broni. Wykazano, że 5114 sztuk, czyli około 90 procent z tej puli, pochodziło od amerykańskich sprzedawców.

Amerykańska agencja ATF[*] wraz z administracją Obamy przyznali, że są współodpowiedzialni za ten dramat. Jednak zwolennicy posiadania broni nadal nie chcą się z tym pogodzić. Pytają: „Co z dziesiątkami tysięcy sztuk broni palnej w Meksyku, której ze Stanami nie powiązano?”. Rząd meksykański, argumentują, przyglądał się wyłącznie broni, która wyglądała na pochodzącą z USA. By lepiej kontrolować broń skonfiskowaną w Mek-

syku, ATF wprowadziła nowy system komputerowy. Między początkiem roku 2009 a kwietniem 2010 system wskazał kolejne 63700 sztuk broni, która pochodziła z amerykańskich źródeł[18]. A są to dane dotyczące broni, którą udało się przechwycić. Można bez końca przerzucać się procentami i statystykami, ale nie da się zaprzeczyć, że dziesiątki tysięcy sztuk broni wędrują ze sklepów w Stanach do rąk meksykańskich gangsterów. Niezależnie od tego, czy ktoś jest zwolennikiem posiadania broni, czy nie, należy przyznać, że to poważny problem.

Sklepy w Stanach Zjednoczonych nie są oczywiście jedynym źródłem broni gangsterów w Meksyku. Mafia kradnie ją meksykańskim siłom bezpieczeństwa i odbiera olbrzymie jej ładunki od armii gwatemalskiej. Ponadto międzynarodowi handlarze bronią od dawna działają na terenie Ameryki Środkowej i Karaibów. Jeśli kartele nie kupowałyby u Amerykanów, przekonują obrońcy wolnego dostępu do broni, korzystaliby po prostu z innego źródła. Być może. jednak dostawy broni drogą morską i przez Amerykę Środkową byłyby wolniejsze i łatwiejsze do zwalczenia, co z kolei sprawiłoby, że broń i amunicja byłyby o wiele droższe. Polok broni przepływający przez mającą ponad 3 tysiące kilometrów granicę ze Stanami jest niezwykle trudny do zatrzymania, zupełnie jak potok narkotyków i imigrantów zmierzający na północ.

Światowa produkcja i sprzedaż broni palnej jest jednym z kluczowych czynników sprawiających, że kryminalni buntownicy są tak niebezpieczni. Ameryka ma w tym duży udział. Karabin AR15 – cywilna wersja wojskowego M16 – to jeden z ulubionych karabinów meksykańskich gangsterów. Produkowany jest w fabrykach Colt i można go kupić w Teksasie i Arizonie, a także w innych stanach.

Najpopu1arniejszym karabinem jest jednak, rzecz jasna, kałasznikow czyli AK47, czule nazywany Kozim Rogiem. Zwolennicy broni chętnie podkreślają, że nie jest przecież amerykański, a rosyjski. W rzeczywistości kałasznikowa produkuje się w co najmniej 15 państwach, w tym w USA, w zakładach takich firm jak

Arsenal Inc. w Las Vegas. Sklepy bronią w Arizonie i Teksasie sprzedają także mnóstwo kałasznikowów pochodzących z Chin, Węgier i innych państw. Broń, podobnie jak narkotyki i dolary, podąża we współczesnym handlu dziwnymi ścieżkami: produkowana jest w Pekinie, sprzedawana w San Antonio i użyta do morderstwa w Matamoros. Amerykańskie sklepy sprzedają tylko półautomatyczną wersję AK47. Przerobienie jej na pełen automat nie stanowi dla gangsterów najmniejszego problemu. Przeważająca liczba morderstw podczas wojny narkotykowej dokonywana jest takimi właśnie karabinami szturmowymi.

Wiele wersji tego rodzaju broni zostało zdelegalizowanych przez zakaz wydany za czasów Billa Clintona w 1994 roku. Zakaz ten zniesiono za rządów George'a W. Busha we wrześniu 2004 roku, czyli dokładnie w czasie, gdy wojna narkotykowa wybuchła na granicy z Teksasem. Rozluźnienie kontroli broni z całą pewnością nie było głównym powodem konfliktu, ale niewątpliwie dolało oliwy do ognia.

Wchodzę do przeszklonego budynku użytkowanego przez ATF w centrum Phoenix w Arizonie, by spotkać się z Peterem Forcellim, który stoi na czele zespołu zwalczającego nielegalny handel bronią. Forcelli jest energicznym nowojorczykiem, mówiącym z dziwnym akcentem swojego rodzinnego miasta. „Czy znam hiszpański? Hej, ja przecież prawie nie mówię po angielsku!” – mówi o sobie. Zjeżdżamy windą do podziemi gdzie przechowywana jest skonfiskowana gangsterom broń. To arsenał, którym można by obdzielić mały batalion.

Kałasznikowy i AR15 we wszelkich wersjach i rozmiarach wypełniają specjalne stojaki, nadmiar zaś stoi w wiadrach. W rogu widać supernowoczesne karabiny, które wyglądają jak z filmu science fiction. Produkuje je belgijska firma Fabrique Nationale, a zbyt znajdują w sklepach w Arizonie, Są tam także produkowane przez te same zakłady pistolety kalibru 5,7 mm, nazywane zabójcami policjantów, ponieważ są kompatybilne z amunicją przebijającą kamizelki kuloodporne. Taką właśnie broń znaleziono w

ręku syna Chapo Guzmana, kiedy wykrwawiał się na parkingu w Culiacán. Ogólnie broń w Phoenix stanowi jeden z największych zbiorów skonfiskowanego uzbrojenia w całych Stanach. „W ciągu pierwszego tygodnia zobaczyłem tu więcej kałasznikowów niż po piętnastu latach pracy w Nowym Jorku", mówi Forcelli.

By kupić broń w Arizonie, trzeba być mieszkańcem stanu, wyjaśnia Forcelli. Tak więc *narcos* płacą obywatelom USA, by kupowali dla nich broń. To tak zwane ściemnione zakupy. Taki podstawiony kupiec może dostać nawet do 100 dolarów za sztukę broni. Zawsze jednak znajdzie się ktoś chętny na taki układ, tłumaczy Forcelli. Sprzedawcy broni powinny zgłaszać podejrzanych kupców, na przykład kobietę, która poprosi o 10 kałasznikowów. Zespół kierowany przez mojego rozmówcę idzie takim śladem, likwiduje kryjówki i aresztuje zaangażowanych w ten proceder ludzi. To dzięki udanym obławom udało się zgromadzić taki arsenał. Forcelli przyznaje jednak, że w ręce ATT trafia tylko ułamek broni wędrującej na południe. „Mamy dwudziestu pracujących z poświęceniem agentów zajmujących się bronią w mieście, gdzie działają tysiące jej sprzedawców, tłumaczy. Miną cale lata, zanim przyjrzymy się niektórym sklepom".

Administracja Obamy zdecydowała o rozmieszczeniu wojska przy drogach Arizony i Teksasu, aby złapać osoby przewożące broń do Meksyku. Jednak te pieniądze lepiej byłoby przeznaczyć na wsparcie wywiadu ATF, ponieważ losowe kontrole są mało efektywne. Większość ładunków broni bez problemu wjeżdża do Meksyku, co jest kolejną kwestią podnoszoną przez lobby zwolenników broni. Jeśli Meksyk nie chce przemytu broni w głąb kraju, dlaczego nie pilnuje lepiej swoich granic? To słuszna uwaga. Być może żołnierze niszczący uprawy marihuany lepiej sprawdzaliby się, pilnując szczelności granicy ze Stanami.

Wiele specjalnie przerobionych samochodów wozi na północ narkotyki, a na południe wraca z ukrytą w schowkach bronią. Czasem szmuglowana jest jedna, dwie sztuki przez tak zwane mrówki. Jednak wraz z eskalacją wojny narkotykowej odnotowuje się coraz większe ładunki. Olbrzymia akcja przechwycenia

miała miejsce w czerwcu 2010 roku, kiedy policja w Laredo, idąc w ślad za przekazanymi im informacjami, zatrzymała ciężarówkę jadącą do Meksyku. Znaleziono w niej 175 nowiusieńkich, zapakowanych w pudelka karabinów szturmowych, 200 magazynków o zwiększonej pojemności, 53 bagnety i 100 tysięcy sztuk amunicji, co stanowi arsenał godny prawdziwego narkoodziału[19].

Kiedy agenci ATF wpadli do domu jednego z przemytników broni w Arizonie, znaleźli nieroztropnie pozostawiony przez gangsterów dowód: film, na którym widać, jak sprawdzają broń kupioną od sprzedawcy w Arizonie. Nie mogli oprzeć się tak pięknym spluwom. Na filmie znalezionym na dysku laptopa dwóch zbirów strzela z wielkokalibrowego karabinu snajperskiego Barrett. Jest to broń tak duża, że umieszcza się ją na trójnogu, a strzelający musi ją trzymać obiema rękami. Pociski mają 13,8 cm długości i wyglądają jak małe noże. Mężczyźni strzelają prawdopodobnie na pustyni w Arizonie. Głuchy łoskot strzałów wprawia kamerę w drżenie, dopiero po chwili w kadrze pojawia się blacha, którą podziurawiły pociski. Jeden z mężczyzn został na podstawie tego filmu aresztowany i oskarżony. Drugi, podobnie jak broń, jest zapewnie w Meksyku, gdzie bierze udział w wojnie.

Według powszechnego mniemania broń kalibru 12,7 mm służy do prowadzenia wojen i powinna znajdować się tylko w rękach wojska Mimo to taką broń można kupić w sklepach w Arizonie, staje się też coraz popularniejsza wśród gangsterów. Zwolennicy posiadania broni twierdzą, że takie pociski nie są w stanie przebić opancerzonego pojazdu ale oficer meksykańskiego wojska mówi, że owszem, mogą, i że są używane przez gangsterów. Kiedy kartele organizują zasadzkę na grupę żołnierzy wyjaśnia, nagie na górskiej ścieżce albo wiejskiej drodze otwierają ogień – z broni kalibru 12,7 mm. Następne w kolejce są granatniki przeciwpancerne.

W amerykańskich sklepach nie ma granatów, jest to broń, z której lobby w Stanach nie musi się tłumaczyć. Jednak granaty w

Stanach się produkuje. Agenci ATF zidentyfikowali część z przechwyconych granatów jako M67, które Stany Zjednoczone dostarczały do Ameryki Środkowej w czasie zimnej wojny. Ustalono, że pochodzą z Gwatemali, Salwadoru, Hondurasu i Nikaragui. Jest ich tam w bród. Około 266 tysięcy granatów M67 dostarczono do Salwadoru między rokiem 1980 a 1993[20]. O wojnie domowej w tym kraju Ameryka już dawno zapomniała, lecz agenci informują, że M67 osiągają na czarnym rynku cenę od 100 do 500 dolarów za sztukę. W pierwszych 4 latach rządów Calderona miało miejsce ponad sto ataków z użyciem granatów. Ponadto w jednej bitwie w Matamoros, tej, w której żołnierze piechoty morskiej zastrzelili Ezequiela Cárdenasa alias Tony'ego Tormenta, wybuchło ponad 300 granatów[21].

Znacznie rzadziej używa się bomb w samochodach. Aż do 2010 roku kilka ładunków w całym kraju było przyczyną obrażeń i zniszczeń, ale nie śmierci. Po tym jednak, jak w eksplozji bomby w Ciudad Juárez w czerwcu 2010 roku zginęły 3 osoby, na ludzi padł strach. W styczniu 2011 roku inna bomba w samochodzie eksplodowała w stanie Hidalgo, zabijając policjanta i raniąc troje innych ludzi. Obawa, jaką wywołują te bomby bierze się z faktu, że są one ślepe, a w wybuchach często giną cywile. Agenci ATF wyjaśniają, że bomba w Juárez była zdalnie sterowana za pomocą telefonu komórkowego i, jeśli chodzi o budowę, zbliżona do ładunków, którymi atakuje się żołnierzy amerykańskich w Iraku czy Afganistanie.

Materiałem wybuchowym użytym w tej bombie była stosowana w przemyśle substancja o nazwie tovex. Raport amerykańskiego urzędu zajmującego się materiałami wybuchowymi (United States Bomb Data Center) rzuca światło na możliwe pochodzenie toveksu. I tym razem w sprawę mogą być uwikłani producenci w USA wbrew swojej woli. Raport informuje, że magazyny z materiałami wybuchowymi znajdujące się meksykańskim stanie Durango, należące do firmy działającej w Teksasie, zostały okradzione. Zakładu pilnowali ojciec i syn, kiedy podjechały dwa SUV-

y i wyskoczyło z nich 15 zamaskowanych mężczyzn z bronią automatyczną. Zabrali ponad 120 kilogramów materiałów wybuchowych oraz 230 elektrycznych detonatorów. (W ataku w Ciudad Juárez zużyto „zaledwie” 22 kilogramów materiałów wybuchowych). Niebezpiecznie jest przechowywać materiały, z których można zrobić bomby, w okolicach, gdzie pełno jest paramilitarnych oddziałów na usługach karteli**[22]**.

Agenci federalni oskarżyli kilka osób o udział w zorganizowaniu zamachu bombowego w Juárez, w tym człowieka, który dzwoniąc na stosowny numer, zdetonował bombę. Byli to, jak twierdzą agenci, gangsterzy z Kartelu z Juárez, siejący terror po serii aresztowań ich ludzi. Wszyscy boją się bomb, są więc przez to skuteczniejsze niż zwykła broń i dzięki temu pozwalają wygrać. Takie właśnie rozumowanie przekonało Pabla Escobara, IRA, ETA i Al Kaidę do ich używania: bomby robią dużo hałasu.

Graffiti na murach Ciudad Juárez przekonują, że to tutejszy kartel stoi za niedawnym zamachem bombowym. Można tam wyczytać jednak coś więcej. Gangsterzy podają do publicznej wiadomości, że nie zaatakowali agentów federalnych tylko za to, że tamci przechwytują ich towar, lecz również dlatego, że mieli się rzekomo sprzymierzyć z Chapo Guzmanem. Jedno graffiti głosi: *FBI i DBA: dobierzcie się do skóry tym, którzy wspierają Kartel z Sinaloa, albo nadal będziemy podkładali bomby.*

Prezydent Calderón przekonuje, by ignorować to. co mafia wypisuje na ścianach. Można wierzyć lub nie w zepsucie agentów federalnych, jednak rozumowanie, które się za takimi zarzutami kryje, jest typowe dla meksykańskich karteli: za najgorszych wrogów uznają inne kartele. Kiedy decydują się na zaatakowanie policjantów czy cywili, robią to, by zaszkodzić układowi, jaki wypracowali ich rywale. Świadomość, że gangsterzy posługują się taką właśnie logiką, pozwala zrozumieć przyczyny wielu zamachów wojny narkotykowej.

Podobne rozumowanie wiąże się z atakiem przy użyciu granatów, w którym zginęło 8 cywili w Dzień Niepodległości Meksyku w 2008 roku. Granaty rzucono w tłum zgromadzony na głów-

nym placu w Morelii i niedługo po tym, jak tamtejszy gubernator nakazał uderzeniem w dzwon przypomnieć o niepodległości państwa meksykańskiego. Ludzie w dumie myśleli z początku, że to petardy, lecz po chwili ujrzeli dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci całych we krwi. Użycie słowa „terroryzm' w tym przypadku wydaje się zasadne.

Agenci federalni złapali człowieka, który przyznał się do rzucenia jednego z granatów. Powiedział, że zapłacili mu za to Zetas, Jednak zgodnie z zasadami funkcjonowania tej organizacji, nie wiedział, dlaczego zlecono mu takie działanie. Oddziały karteli bardzo dbają o to, by nikt z ich ludzi nie wiedział za dużo.

Jednak wyjaśnienie tego zamachu podaje mi Carios, meksykański oficer wywiadu. Zetas uderzyli w Michoacan, ponieważ jest to rodzimy stan Familii, kartelu, który ich zdradził. Atakując cywilów, uderzyli w czuły punkt Familii, jakim jest lokalny patriotyzm. Co więcej, Zetas swoimi działaniami zmuszali rząd do zajęcia się tą okolicą, co miało zaszkodzić nielegalnym operacjom Familii. Po hiszpańsku taką praktykę nazywa się *calentar la plaza*, czyli „podgrzaniem rewiru". Podobnie jak w Ciudad Juárez, przestępcy myślą przede wszystkim o swoich mafijnych rywalach. Cywile giną przy okazji.

Obcięte głowy, granaty, bomby w samochodach, wszystko to sprania, że terror narasta. Przypomina to grę w pokera: kartele muszą podbijać stawkę, by nie wypaść z gry. Wejścia zaś z chwili na chwilę są coraz droższe. Zabiliście 5 naszych ludzi, my zabijemy 10 waszych. Zabiliście policjanta federalnego, który dla nas pracuje, my porwiemy i zabijemy 15 :waszych. Wy rzucacie granaty, my użyjemy bomby. Nikt nie chce spasować w obawie, że straci to, co już postawił.

Ataki planuje się tak, by były możliwie najbardziej krwawe – trzeba przecież przyciągnąć uwagę mediów. Czasem sami przestępcy dzwonią do redakcji, by zawiadomić o stercie ciał lub obciętych głów. Chcą mieć pewność, że te informacje trafią do gazet. To dziwne uczucie, kiedy, będąc dziennikarzem, jest się na

miejscu zdarzenia przed policją. Bandzior z Ciudad Juárez aresztowany za udział w zamachu bombowym powiedział, że planując akty przemocy, bierze się pod uwagę ramówki mediów. „Cała masa ataków ma miejsce godzinę przed ważnym wydaniem wiadomości, tak by ludzie się o tym dowiedzieli", powiedział Noe Fuentes podczas sfilmowanego przesłuchania. „Chodzi o to, by ludzie wiedzieli, co się dookoła nich dzieje"[23]. Huczące z ekranów telewizorów informacje o masakrach różnym osobom mówią różne rzeczy. Większość przypomina sobie o istnieniu El Narco, młodzi, niebezpieczni ludzie na ulicach miast dowiadują się, kto jest właśnie górą.

W meksykańskich mediach wrze dyskusja, jak sobie z tym radzić. W 2011 roku większość wydawców stonowało informacje o przemocy, by nie uczestniczyć w grze terroru El Narco. Z drugiej jednak strony nie chcą być cenzorami doniesień o konflikcie, który jest w centrum zainteresowania społeczeństwa.

W stanach leżących przy granicy gangsterzy często podejmują decyzje za dziennikarzy, informując ich, które bitwy czy masakry umieścić w serwisach, a których nie. Dla bezpieczeństwa własnego, swoich rodzin i pracowników wydawcy muszą się zgadzać. Czasami zdarza się, że mafia każe gazecie pisać o jakimś morderstwie. I znowu, lepiej robić, co każą Zdarza się też, że jeden gang nakazuje, a drugi zabrania pisania o jakimś zajściu. Wtedy dziennikarze są między młotem a kowadłem, mają wrażenie, że najlepiej wziąć nogi za pas.

Będąc pod tak dużą presją, główne media na terenach przygranicznych tracą wiarygodność. Ludziom tam mieszkającym łatwiej znaleźć informacje o morderstwach na Twitterze czy filmy na YouTube. Pojawiły się też nowe strony traktujące wyłącznie o przemocy *narcos.* Najszerzej znana jest niesławna *Blog del Narco*, która nie wiadomo gdzie powstaje, kto jest jej autorem (ponoć jakiś student) i która prezentuje filmy przesłane bezpośrednio przez kartele, a czasem przez dziennikarzy amatorów. Rząd przekonuje, by pozostać głuchym na narkopropagandę, lecz agenci federalni uważnie przyglądają się wszystkiemu, co pojawia się na

blogu. Strona ma miliony wejść i przynosi krociowe dochody z reklam.

Niektóre filmy z egzekucji opublikowane przez kartele wyglądają niemal jak kopie takich filmów kręconych przez ludzi Al Kaidy: ofiara jest przywiązana do krzesła, a człowiek w kominiarce obcina jej głowę. Wraz z nasileniem ataków, filmy stały się coraz okrutniejsze. Oddział Zetas w Tabasco umieścił na YouTube film przedstawiający 12 okrwawionych głów. Śmierć starła z twarzy napięcie, oczy zabitych są zamknięte, wyraźnie widać bujne wąsy zamordowanych i ich mocne żuchwy. Po chwili jednak kamera się oddala i oczom widza ukazuje się prawdziwy horror: szyje kończą się tępymi kikutami, widać ślady brutalnego cięcia, reszta ciał wisi na rzeźnickich hakach, a krew spływa na białe kafelki. Ręcznie napisana informacja leżąca przy głowach głosi: *To wasza wina, bo nie szanowaliście umów, które z nami zawarliście*.[24]

Wraz z rozwojem konfliktu filmy z egzekucji stały się coraz popularniejsze. Widoczne na nich ofiary tuż przed śmiercią ujawniają nazwiska skorumpowanych urzędników pracujących dla wrogich karteli. Na początku ofiarami byli tylko mordercy pracujący dla gangsterów, przywiązani do krzeseł taśmą montażową. Potem dołączyli do nich złapani policjanci, a ostatnio także politycy. Niektóre zarejestrowane na taśmie wyznania stają się przyczyną skandali, jak wtedy, gdy ujawniono, że więźniowie opuszczają cele, by mordować, po czym wracają na noc. Obiekcje budzi to, iż rząd nie chce się do tego ustosunkować. Wiele takich filmów tworzonych przez *narco* cechuje uderzające podobieństwo do rządowych filmów z przesłuchań schwytanych gangsterów. Rozmazane ujęcia krwawych tortur stały się nieodłącznym tłem życia politycznego w Meksyku.

Jeden z filmów szczególnie utkwił mi w pamięci. Z tego, co daje się zrozumieć z niewyraźnej mowy, można przypuszczać, że nagrali go Zetas. Czterech więźniów klęczy z rękami związanymi za plecami, mają na sobie mundury, ale nie są to żołnierze regularnej armii. Przesłuchujący ich człowiek Zetas zaznacza, że to lu-

dzie z oddziału Kartelu z Zatoki, przeciwnika Zetas. Przesłuchujący znieważa ich za to, że mordowali dla niewłaściwego zleceniodawcy. Potem zaczynają się egzekucje. „Zabijemy trzech, a jednemu pozwolimy żyć", oznajmia przesłuchujący. Pada strzał, kula trafia jednego z więźniów w głowę, a ten upada na podłogę jak worek ziemniaków. Pozostali przy życiu nieruchomieją. Każdy zapewne modli się, by być tym, który zostanie ocalony. Pada kolejny strzał, ginie koleiny klęczący więzień. „Jednemu darujemy życie", powtarza glos. Dwóch więźniów czeka bez ruchu, wiedząc, że teraz każdy ma 50 procent szans na przeżycie. Kolejny strzał. Trzeci więzień pada jak szmaciana lalka. Hej, myśli ostatni więzień, udało mi się. I strzał. On także ginie. Przesłuchujący kłamał, od początku zamierzano zabić wszystkich czterech. Być może zrobił to, by więźniowie siedzieli nieruchomo i by łatwiej było ich trafić. Być może chciał się z nimi okrutnie zabawić. Być może ta zabawi miała wyróżnić film spośród innych.

To zachowanie psychopaty przepełnionego nienawiścią, lecz takie rzeczy zdarzają się tam, gdzie trwają wojny. Bandyci z karteli przekraczają granice okrucieństwa, ponieważ tkwią po uszy w bezwzględnym konflikcie, są niczym żołnierze w okopach. Życie cyngli Zetas w rozdartym walkami północno-zachodnim Meksyku to ciągle starcia z wojskiem i wrogimi gangami, życie w drodze od kryjówki do kryjówki, funkcjonowanie w oderwaniu od rzeczywistości i normalnych ludzi. To właśnie w tym mrocznym środowisku dochodzi do bestialstw, których świat nie może ogarnąć rozumem, Dla wielu tych żołnierzy *narcos* walczących niczym na froncie wojna i wałka z władzą państwową stały się głównym-zadaniem. Kiedyś bandyci mówili, że walczą, by móc handlować narkotykami, teraz mówią o handlu jako o sposobie finansowania swojej wojny.

Mimo zapewnień Calderona, że państwo meksykańskie wygrywa tę wojnę, coraz większa skala konfliktu wprawia w zdumienie obserwatorów tak w stolicy Meksyku, jak i w Waszyngtonie. Oficerowie wywiadu w Pentagonie łamią sobie głowy nad tym, co ten konflikt oznacza dla bezpieczeństwa narodowego

USA. Z ich raportów przebija pytanie: dokąd zmierza meksykańska wojna narkotykowa? Czy policji i żołnierzom uda się w końcu przetrącić kark bestii, jak obiecuje Calderón i DEA? Czy El Narco rozrośnie się na cały Meksyk, rozprzestrzeni na Stany i dalej, na cały świat? A może powstanie karteli przerodzi się w wojnę domową? Przyjrzyjmy się zatem przyszłości El Narco.

CZĘŚĆ TRZECIA

Przyszłość

ROZDZIAŁ 13
Oskarżenie

Przez całe życie chciałem być tym dobrym, być gościem w białym pieprzonym kapeluszu. I co? I nic. Ja nie staję się taki jak oni, ja taki jestem.

Johnny Depp w *Donnie Brasco*, 1997

Kiedy agent DEA imieniem Daniel zobaczył w kinie w stolicy Panamy film Miami Vice, serce podskoczyło mu do gardła. W filmie – będącym notabene długometrażowa wersją znanego serialu z lat osiemdziesiątych o gliniarzach z Miami – detektywi Crockett i Tubbs przeprowadzają skomplikowaną prowokację wymierzoną w kolumbijskich handlarzy kokainą. Ubrani w charakterystyczne białe garnitury i koszulki tego samego koloru, udają pracujących na własną rękę przemytników, by otrzymać zlecenie na transport białego proszku, a następnie go przechwycić. Brzmi to jak zabawna sprzeczność: gliniarze przewożący narkotyki, by je zgarnąć. Lecz jest to dokładny scenariusz prowokacji, jaką Daniel zamierzał przeprowadzić w Panamie.

Daniel spotykał się także z kokainowymi baronami, udając przed nimi przemytnika działającego na własny rachunek. Po miesiącach mozolnej pracy prawie udało mu się przekonać gangsterów, by załadowali trzy tony kokainy na statek wypływający z Panamy, będący pod kontrolą DEA. Miała to być koronkowa akcja. I wtedy do kin wszedł film Miami Vice. Jeśli gangsterzy go zobaczą, pomyślał Daniel, jestem trupem.

„Było naprawdę źle, chciało się powiedzieć: Co za skurwysyństwo. Mieli nas na talerzu, mieliśmy przerąbane. Widać było nasz plan na wylot. A to dlatego, że inni agenci robili przy tym filmie. Dlatego jest taki prawdziwy. Niemal stuprocentowo.

Trzeba jednak mieć jaja, powiedziałem sobie. Pieprzyć ten film. Nie zamierzam się tym przejmować. Tak to wtedy wyglądało: wóz albo przewóz”.

Taka operacja może wydawać się raczej brudną robotą. Dokładnie tak jest. Zasadzki na narkotykowych handlarzy to nieczysta gra. Agenci muszą stanąć ramię w ramię z psychopatycznymi kryminalistami, by móc liczyć na to, że uda im się wyprzedzić ich choćby o krok. Muszą werbować informatorów ze środowisk bliskich największym szychom narkobiznesu. Muszą też wiedzieć, jak skorzystać z ich wiedzy, by zadać skutecznie cios.

Wielkie konfiskaty narkotyków nie udają się dzięki łutom szczęścia czy brutalnej sile. Chodzi raczej o wiedzę: dokąd wędruje dany ładunek albo gdzie szef będzie ukrywał się w następny wtorek. Dopiero wtedy można wysłać jednostki specjalne z ciężką bronią. A wiedza ta, o czym przekonali się agenci podczas czterech dekad prowadzenia wojny, pochodzi zazwyczaj od wtyczek i donosicieli.

Wielu bossów siedzi za kratkami albo wykrwawiło się na asfalcie z powodu zdrady. To sprawia, że gangsterzy są dla zdrajców okrutni, W Meksyku *narco* nazywają donosicieli *soplones*, czyli „paple", mają w zwyczaju wpychać im do ust ich własne obcięte palce. W Kolumbii nazywa się ich ropuchami.

Lecz kiedy szefowie są wywożeni do Stanów, sami stają się ropuchami, i to jakimi. Wydają innych ważnych gangsterów albo przehandlowują majątki warte miliony dolarów. Dzięki temu agenci mogą osiągać kolejne sukcesy i łapać następnych bossów, bossowie zaś mogą w więziennych celach pisać memuary albo stawać się gwiazdami kina.

Ten mało sympatyczny sposób wymierzania sprawiedliwości został wypracowany w ciągu czterech dekad wojny z narkotykami i od jego skuteczności zależy, jaka będzie przyszłość El Narco w Meksyku. Kluczową gestią pozostaje to, czy agenci meksykańscy i amerykańscy są w stanie położyć bestię na łopatki za pomocą aresztowań i konfiskat towaru. Taką drogą podążają DEA i rząd Calderona. Nie jest to łatwe i ponieśliśmy wiele ofiar, ale jeśli się nie zatrzymamy, sprawiedliwość zwycięży, przekonają.

Zadając ciosy żelazną ręką, kartele często wydają się niezniszczalne, niewrażliwe na ataki tak ze strony policji, jak i wojska. Czy

naprawdę jednak jest tak, jak twierdzą agenci, że jeśli przyłożą się do swojej pracy, kartele runą jak kolos na glinianych nogach? Czy tym sprawiedliwym uda się ostatecznie wygrać wojnę narkotykową i zamknąć El Narco za kratkami? Lub, czy jeśli policji uda się zamknąć większość szefów, powstanie przeciwko państwu zmieni się na powrót w zwykły problem kryminalny?

Kariera agenta Daniela w DEA pokazuje, jak próbuje się postawić El Narco przed sądem. Udało mu się wniknąć tak w meksykańskie, jak i kolumbijskie kartele. Udało mu się także przeżyć, by móc o tym opowiedzieć. Jego historia pokazuje, jak strategia wojny z narkotykami opracowana w Waszyngtonie sprawdza się na ulicach meksykańskich miast pogranicza.

Jak wielu żołnierzy, Daniel wywodzi się z nieciekawej dzielnicy. Tajni agenci DEA różnią się prawie pod każdym względem od dobrze ułożonych i majętnych szpiegów z CIA. Wykształcony w Harvardzie biały obywatel USA raczej nie spisze się na medal przy dobijaniu kokainowych targów z Kartelem z Medellin. DEA potrzebuje więc takich ludzi jak Daniel, który urodził się w Tijuanie, działał w ulicznym gangu w Kalifornii powiązanym z Crips i spędził młode lata na spuszczaniu lania każdemu, kto podszedł do niego za blisko. Jak sam mówi, przed karierą gangstera uratowała go piechota morska. Po tym, jak się zaciągnął, pojechał do Kuwejtu, gdzie walczył w czasie pierwszej wojny w Zatoce. Dopiero potem znalazł się w samym centrum wojny narkotykowej.

Spotykam Daniela w mieszkaniu, gdzie opowiada mi swoją historię przy pizzy i piwie Tecate. Jest potężnie zbudowany, nosi garnitur, krawat i posługuje się precyzyjnymi terminami wojskowymi, co jest charakterystyczne dla byłych wojaków i gliniarzy. Ale przez ten obraz przebija jego niesforna młodość: zdarza mu się zacytować stare teksty hiphopowe i punkowe z lat osiemdziesiątych, takich kapel jak Niggaz With Attitude i Suicidal Tendencies. Uwielbia też film gangsterski z 1983 roku *Człowiek z blizną*. Z pewnością dobrze jest mieć taki sam gust, jak mafiosi, z którymi się walczy.

„*Człowiek z blizną* to najlepszy film wszech czasów. To prawdziwy amerykański sen, szczególnie dla imigranta, to spełnione marzenie o sukcesie w Stanach".

Daniel wiedział już co nieco o handlu narkotykami, gdy oglądał *Człowieka z blizną* jako dzieciak w Imperial Beach w Kalifornii. Dzieciństwo spędził za nieodległą granicą, w Tijuanie, gdzie w latach siedemdziesiątych trwał boom na handel trawką. Jedno z jego pierwszych wspomnień to dzień, kiedy ojciec zaprosił do domu nieznajomych mężczyzn i wyjął duży plik pieniędzy ze schowka w stole. Dużo później Daniel doszedł do wniosku, że ojciec zajmował się przemytem marihuany. Kiedy chłopiec miał 20 lat, zmarła jego matka i został wysłany do dziadków w Stanach.

„Matka była dla mnie bardzo surowa, ale kiedy zmarła pięć dni przed moimi urodzinami, przepełniał mnie żal. Był to jeden z upiorów mojej młodości. Potem robiłem różne rzeczy i nie miałem hamulców".

Przeprowadzka do innego domu i kraju były dużym wyzwaniem dla młodego chłopaka. Do czternastego roku życia Daniel nie mówił płynie po angielsku, był już jednak zawadiaką i miał za sobą wyrzucenie z trzech szkół za bijatyki i nieposłuszeństwo. Niektórzy z jego przyjaciół kradli samochody i motocykle, a także przemycali narkotyki przez gra nicę. Daniel palił trawkę i chętnie się upijał, preferując mocniejsze alkohole.

„Byłem jednym z tych gości, którzy upijają się i rujnują imprezy. Za każdym razem, kiedy miałem się bić, zdzierałem koszulkę. Dużo ćwiczyłem na siłowni, w szkole średniej uprawiałem zapasy. Chciałem się popisać i pytałem: «Na pewno chcesz ze mną zadrzeć, gnoju?«. To był taki rytuał.

Daniel skończył jednak szkołę średnią dla trudnej młodzieży w San Diego. Zaraz potem wstąpił do marines. Spodobały mu się treningi, przestał być popalającym trawkę łobuzem. Dzięki talentom sportowym zakwalifikował się do elitarnej jednostki piechoty morskiej, życie nabierało kolorów. Lecz wtedy Saddam Husajn dokonał inwazji na Irak i przestało być zabawnie. Po szkole-

niu w Omanie Daniel został wysłany do okopów na pustyni, gdzie dostał karabin maszynowy i zadanie ostrzeliwania wojsk irackich opuszczających miasto Kuwejt. Przypuszcza, że zabił wielu ludzi.

„Było to przykre, bo część z nich chciała się poddać. Ale część walczyła, na przykład Gwardia Republikańska, więc dostali za swoje.

Prawie zamarzłem tam na śmierć. Powiedzieli, że klimat będzie gorący i zabrali nam wszystkie cieple rzeczy. Było pierońsko zimno. Cały czas lalo jak z cebra, a nasze okopy zalewała woda. Było kiepsko”.

Po czterech latach w szeregach piechoty morskiej Daniel poszedł do cywila, niosąc bagaż niedoli zwany zespołem Zatoki Perskiej. Chorobę łączono z narażeniem na działanie toksycznych chemikaliów, a jej objawami są bóle głowy, a także wady wrodzone u dzieci cierpiących na nią żołnierzy. Dzięki wojskowemu doświadczeniu dostał pracę w specjalnym zespole w Kalifornii, zajmującym się walką z handlarzami narkotyków. Wraz z innymi eksżołnierzami Daniel latał nad stanem helikopterem uzbrojonym w M16 i niszczył plantacje marihuany. Większość była uprawiana przez Meksykanów i znajdowała się w parkach narodowych oraz lasach. Były wśród nich olbrzymie farmy, w których hodowano nawet 12 tysięcy roślin. W czasie jednej z akcji gangsterzy z Michoachan ostrzelali ich z kałasznikowów.

„Zbliżałem się do plantacji, kiedy otworzyli ogień. Najpierw padliśmy na podłogę, potem uklękliśmy i odpowiedzieliśmy ogniem. Ich już nie było. To nie byle chłystki, są nieprzewidywalni”.

Kolejną pracę Daniel dostał w służbie celnej USA, gdzie miał łapać przemytników na granicy. Z uwagi na olbrzymi ruch na przejściu między Tijuaną a San Diego agenci mogą przeszukać niewielki odsetek samochodów. Daniel miał więc za zadanie przyglądać się ludziom i typować podejrzanych. Okazało się, że potrafi wyczuć, kto jest przemytnikiem.

„To jakby dodatkowy zmysł. Patrzę i widzę, że kierowca nie pasuje do samochodu albo samochód do kierowcy. Wtedy staję przed takim gościem i rzucam: »Hej, jak leci?«. I jeśli wiezie pieniądze albo narkotyki, nie popuszczę.

Problem jednak był taki, że ludzie stamtąd mnie znali, bo tam wyrosłem, Mówili: »Coś tu nie gra. Przecież razem paliliśmy trawę«. Cóż, to było wtedy. By uniknąć odwetu, musiałem przenieść się na północ".

Dzięki doskonałym wynikom w przechwytywaniu marihuany, metamfetaminy, kokainy i heroiny, Daniel został zauważony przez agentów DEA i zaproszony do współpracy. Niespodziewanie stał się dobrze opłacanym agentem federalnym, pracującym nad dużymi sprawami, jego kariera nabierała rozpędu. Z początku pracował na granicy. Był wzywany, gdy agenci celni przechwycili ładunek, jego zadaniem było „przekabacenie" przemytnika, przekonanie go do współpracy z DEA. Odkrył, że znajomość przygranicznej specyfiki bardzo pomaga w werbowaniu informatorów.

„Nie potrzebuję żadnego złego gliniarza. Działam sam, sam wykonuję zadanie. Zrobiłeś, co zrobiłeś. Twoja sprawa. Jak mogę ci pomóc? Nie jestem w stanie wymazać twojej pieprzonej biografii. Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, nie ma sprawy. Potrafię osiągnąć cel, dotrzeć do ludzi, rozmawiać z nimi.

Nie kłamię. I tak wiem, co masz w aucie. Wiem, dokąd jedziesz. Albo pojedziesz z tym dalej, a ja zapudłuję gości, do których to należy, albo nie, i sam pójdziesz za kratki. Jeśli to koks, hera albo meta, jesteś w dupie. W najprawdziwszej dupie. Nie przejmuj się. Mogę ci pomóc, jeśli zawieziesz to tam, gdzie cię proszono. Nie kłamię w ani jednej kwestii – to wszystko prawda. Jeśli masz pięć albo dziesięć kilo, jesteś w dupie. Jeśli masz więcej, to, kurwa, przepadłeś".

Zadaniem Daniela było przekonanie przemytnika, by dostarczył narkotyki w umówione miejsce w asyście agentów. Zdarzało się, że dzięki temu udawało im się przechwycić cały magazyn nielegalnego towaru, czasem w San Diego, czasem w Los Angeles.

Mogli też śledzić gangsterów i zlikwidować całą siatkę.

Daniel troszczył się o informatorów i uczył ich, jak wnikać głębiej w struktury kartelu. Współpracownicy DEA zwani szczurami mogą wykonać wiele pożytecznych zadań, na przykład przedstawić innych agentów wysoko postawionym gangsterom.

„Informatorzy są superważni. Mogą powiedzieć: »To mój kumpel, chodziliśmy razem do szkoły«. Mogą zmyślić masę rzeczy. Jeśli tylko zachowujecie sic tak, jakby to była prawda, gangsterzy to kupią. Ale sami musicie w to wierzyć".

Wykorzystywanie informatorów jest etycznie podejrzane. DEA dobrze płaci podejrzanym typom, celem jest jednak przechwycenie większych ilości towaru i aresztowanie grubych ryb. Teoretycznie agentom nie wolno płacić informatorom, którzy są uwikłani w działalność przestępczą. W praktyce agenci starają się nie wiedzieć, czym dokładnie zajmują się ich szczury. Sami przyznają: „To nie chłopcy z kościelnego chóru". Zmartwieniem agentów jest to, że informator może działać na dwa fronty, informować kartele o ruchach DEA. Zdarzają się nawet potrójni agenci. Daniel przekonał się, że trzeba mieć pewność, że informator nie kłamie.

„Muszę być pewny, że nie zrobią mnie w konia i nie wystawią na strzał. Kto chciałby zginąć bez sensu? Ja nie.

Wszyscy informatorzy to szmaty. Każdy. No, czasami przez chwilę nie kłamią. Są jak ktoś upaprany, kto na chwilę się wybielił. No popatrz. Jaki dziś czysty. A jutro znowu się ubrudzi".

Podczas wojny narkotykowej w Meksyku doszło do dwóch spektakularnych wpadek z informatorami, co za każdym razem kończyło się skandalem w amerykańskich służbach. Nie dotyczyły one DEA, lecz ICE[*], organizacji należącej do stworzonej przez Busha struktury o nazwie Departament Bezpieczeństwa Krajowego Stanów Zjednoczonych i zajmującej się również zwalczaniem gangów narkotykowych. Agenci ICE złamali zasady i zatrudnili informatorów, którzy mordowali w Ciudad Juárez. Mordercy na garnuszku Stanów Zjednoczonych: wywołało to smród po obu stronach granicy[1].

Można powiedzieć, że to wina agentów, ale nawet najlepsi agenci często stąpają po cienkim lodzie. Spiskowanie i krecia robota wynikają z samej natury handlu narkotykami. Nie jest to bowiem przestępstwo jak na przykład napad na bank, po którym szlochające ofiary chętnie pomogą w śledztwie i zeznają przeciwko rabusiom. Handel narkotykami to działalność, w której miliardy dolarów trafiają w ręce tysięcy ludzi. Brak klasycznej ofiary, bo narkomani na ulicach chętnie przyjmują swoją działkę i nie interesuje ich, kto jest dostawcą. Agenci walczący z handlem narkotykami muszą więc zdobywać informacje przez informatorów, muszą też działać skrycie. Muszą poznać sztukę szpiegowania.

Po tym, jak przez dwa i pół roku Daniel „przekabacał" przemytników na granicy, jego talenty zostały zauważone przez DEA. Był człowiekiem nadającym się wprost idealnie do roli tajnego agenta w kraju na południe od Rio Grande: był Meksykaninem, był twardy, dobrze radził sobie na ulicy, służył w piechocie morskiej i mógł pochwalić się doskonałymi wynikami. Wysłano go więc do szkoły, gdzie na dwutygodniowym kursie miał nauczyć się pracy tajniaka.

„Gówno można się nauczyć w dwa tygodnie. Wielkie nic. To całe szkolenie jest po to, by wszystko grało w papierach. Nie nauczy się tam człowiek nic ponad to, czego nauczył się na ulicy".

Mając licencję tajnego agenta, Daniel zaczął rozpracowywać duże międzynarodowe przerzuty narkotyków. Nie interesowały go już kilogramy, szukał ton towaru.

Po kilku latach udało mu się zaaranżować dużą akcję w Panamie. Wybrał się więc do położonej w upalnej Ameryce Środkowej metropolii pełnej wieżowców, biznesmenów i kryminalistów z całego świata, miasta dyskotek i kasyn, a także luksusowych prostytutek. Jak większość dużych spraw i ta by się nie zaczęła, gdyby nie pewien informator, Kolumbijczyk, który odziedziczył po ojcu firmę transportową. Człowiek ten poznał go z handlarzami i w ten sposób Daniel uzyskał punkt zaczepienia.

Współcześni handlarze dużą część transportów zlecają niezależnym przewoźnikom. Oszczędza im to zachodu z utrzymywaniem wielkiej floty statków czy samolotów i sprawia, że ich ludzie nie stykają się z nielegalnym towarem. Powstaje w ten sposób kartel o skomplikowanej strukturze, którego rdzeń, z uwagi na liczne współpracujące grupy, jest trudny do zlokalizowania i zniszczenia.

Daniel podał się za działającego na własną rękę przewoźnika, gotowego za ustaloną kwotą przewozić na swoim statku kokainę. Dzięki temu handlarze mieli umieścić ogromne ilości towaru na statku, który był kontrolowany przez DEA, a poza tym wręczyć agentom całą masę gotówki. Jeśli się zastanowić, nie był to szczególnie skomplikowany plan, ale był wystarczająco śmiały, by zmylić kartel.

By być przekonującym, Daniel musiał wyglądać jak przemytnik. Pokazuje mi swoje zdjęcie w tej „roli". Ma długie włosy przewiązane bandaną i patrzy groźnie w obiektyw.

„Udało mi się stworzyć inną osobę, realistyczną i wiarygodną. Prawie nie było różnicy między mną a tym gościem. O! [pstryka palcami] – jestem nim. Na tym polega cała rzecz, jest bardzo do mnie podobny. Wyrosłem w takich warunkach, że to dla mnie żaden problem. Ludzie pytają: »Teraz jesteś nim, prawda?«. »Jakim nim? Ja nim jestem, do cholery!«".

Daniel wynajął duży apartament w starym panamskim hotelu lubianym przez handlarzy. Chadzał do najlepszych klubów, gdzie szastał gotówką, by zostać zauważonym. Wszystko po to, by zyskać wiarygodność. (DEA zapłaciło za hotel, ale za wstęp do klubów ze striptizem płacił z własnej kieszeni). Jeździł do Panamy i coraz lepiej znał handlarzy. Spotykał się z nimi w luksusowych restauracjach: najpierw z jednym, potem dwoma, później czterema. Pewnego dnia zdarzyło mu się siedzieć przy jednym stole z ośmioma kolumbijskimi handlarzami.

„To trochę krępujące, bo patrzy na ciebie osiem par oczu. Na początek zagadałem o piłce nożnej. Oglądam dużo piłki, kibicuję Arsenalowi i Boca Juniors. Gadaliśmy potem całymi godzinami.

Są naprawdę pazerni na kasę.

Lubię rzeczy, przez które serce bije mi szybciej, a to właśnie jedna z nich. Praca tajnego agenta daje kopa, bo nie wiadomo co się stanie, czy uda się wrócić do domu, czy nie".

Daniel był coraz bliżej, jednak praca zaczęła go coraz więcej kosztować. Zatracał swoją tożsamość, wtapiał się w świat bogatych kolumbijskich handlarzy i towarzyszących im pięknych kobiet. Kim był naprawdę? Tajniakiem czy przemytnikiem? Czasem przed wyjściem na spotkania bał się. A jeśli coś pójdzie nie taki wyda się, kim naprawdę jest? Jak sam mówi, jedna rzecz pozwalała mu wytrwać: płyta nowojorczyka Moby'ego, pełna głębokich i melancholijnych rytmów.

„Słuchałem tej piosenki i czułem, jak mnie nakręca. To dzięki niej udawało mi się znajdować motywację i adrenalinę. Mogłem wziąć taksówkę, jechać do hotelu i spotykać się z tymi typami, i wiedziałem, że mi się uda. Tyle miałem do zrobienia: iść tam, zmylić ich i przekonać, że, jestem tym, za kogo się podaję.

Nigdy nie odwracałem wzroku, nie patrzyłem pod nogi. Byłem superpozytywny i entuzjastyczny we wszystkim, co mówiłem. Sam siebie bym oszukał. Miałem stanowcze spojrzenie, gadałem krótko i rzeczowo, moje oczy mówiły: »Jeśli ze mną zadrzesz, wiesz, że porozmawiamy inaczej«".

Właśnie wtedy do kin wszedł film *Miami Vice* pokazujący taką samą akcję jak ta, nad którą pracował Daniel. Kiedy oglądał film, miał ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie, ale się nie poddał. Na szczęście wyglądało na to, że Kolumbijczycy byli w kinie na innym filmie.

Wreszcie nadszedł decydujący dzień. Wszystko poszło zgodnie z planem. Kolumbijczycy przekazali mu ponad 4 tony kokainy i walizkę pieniędzy. Narkotyki umieszczono na dziesięciometrowej łódce używanej do kładzenia kabla na morskim dnie. Miał dość paliwa, by dotrzeć do Hiszpanii. Na pokładzie znalazł się jeden człowiek od handlarzy, Daniel oraz załoga. Łódź wypłynęła w morze. I wtedy, „niespodziewanie", złapała ich marynarka wojenna. Daniel odebrał handlarzom narkotyki, których wartość

rynkowa wynosiła setki milionów dolarów.

Misja w Panamie nie była łatwa. Lecz to misja w Meksyku była naprawdę trudna. Daniel przeprowadził tam niemal identyczną akcję.

Prowokacja miała się odbyć w miasteczku przy granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Powoli udało mu się przeniknąć do dużej grupy przestępczej. Zaoferował im transport narkotyków do Stanów dużą ciężarówką. Celem było przejęcie całego towaru, pieniędzy i ludzi w miejscu, do którego miała udać się ciężarówka.

Osobą, która umożliwiła Danielowi kontakt z gangsterami, był student prawa przed trzydziestką, który w narkobiznesie zarabiał pieniądze na opłacenie studiów. Za pół roku miał dostać dyplom. Student uwierzył Danielowi i zamówił u niego transport towaru: miał załatwić, by szefowie nieświadomie przekazali narkotyki w ręce DEA.

Towar został załadowany i ruszył. Nagle do Daniela zadzwonił student: gangsterzy wzięli go jako zakładnika, by mieć pewność, że narkotyki bezpiecznie dotrą na miejsce.

„Błagał mnie o życie, słyszałem, że jest bity, wręcz masakrowany. Zrobiliśmy wszystko tak, jak ustaliliśmy: dostarczyliśmy towar, aresztowaliśmy facetów, którzy go odbierali. Tego chłopaka już nigdy nie zobaczyłem. Na ulicy znaleziono jego samochód i portfel”.

Kilka dni później do Daniela zadzwonili rodzice nieżyjącego studenta. Znaleźli notes syna, a w nim numer telefonu agenta. Pytali o jakiekolwiek informacje dotyczące ciała chłopaka.

„Rodzice pytali, czy wiem, gdzie jest ciało, chcieli go pochować jak należy. To naprawdę trudne, człowiek czuje się jak szmata. Myśli: a jeśli to byłby mój syn? Własne dziecko przecież kocha się tak bardzo, że wyciągnęłoby się je z grobu. To było dla mnie za dużo, myślałem: co ja tu kurwa, robię? Zabijam ludzi, załatwiam ich”.

Daniela zaczęły nękać wątpliwości. Poprosił o przeniesienie z tajnej sekcji, chciał znów być zwykłym agentem, chociaż tymcza-

sowo. Kilka miesięcy po tym spotykałem się z nim przy piwie i pizzy.

„Ściąłem włosy, chciałem odpocząć. Chciałem być kimś innym".

Agenci DEA, w tym Daniel, szkolą swoich meksykańskich odpowiedników w zwalczaniu n arko biznes u. To część umowy Merida Initiative. Waszyngton ocenił, że kluczem do przywrócenia porządku na południe od Rio Grande jest stworzenie tam sprawnie działającego aparatu policyjnego. Stany mają do zaoferowania doświadczenie w zwalczaniu mafii narkotykowych zdobyte podczas kilkudziesięciu lat działalności i tajnych agentów takich jak Daniel. Wszyscy mają nadzieję, że z amerykańską pomocą Meksykanie będą mogli zadać kartelom ostateczny cios.

Jednocześnie podaje się przykład Kolumbii jako państwa, któremu udało się odnieść sukces i z którego należy brać przykład. Na początku lat dziewięćdziesiątych policja w Kolumbii była słaba, a nagły wzrost przestępczości związanej z narkobiznesem i wybuch wojny domowej czyniły ten kraj jednym z punktów zapalnych ma mapie świata, jednak oprowadzenie planu „Columbia", polegającego na wpompowaniu w ten kraj amerykańskich pieniędzy i *know-how,* pomogło zbudować potężna armię i wojsko. Narodowa policja Kolumbii chlubi się obecnie 143 tysiącami funkcjonariuszy, dziesiątkami samolotów, helikopterów oraz ciężkiej broni, jej wydział antynarkotykowy ma na swoim koncie wiele sukcesów w walce z handlarzami. Mówi się, że Kolumbia to przyszłość i wzór dla Meksyku.

Narodowa policja w Kolumbii swoją walkę z narkobiznesem oparła na strategii DEA, czyli wykorzystywaniu zaufanych informatorów. Tak naprawdę Kolumbijczycy dopracowali tę technikę. Na nagrody dla informatorów przeznacza się duże kwoty, tak by za efektywne wsparcie policji mieli zapewniony byt do końca życia. Rząd przekonuje również, że donoszenie na kryminalistów jest godne pochwały, a nie wstydliwe. Jeśli uda się ważne aresztowanie, rząd „gratuluje dzielnym ludziom, których informacje do-

prowadziły do zatrzymania". Wtyczki przestają być ropuchami, a stają się bohaterami.

Chciałem przyjrzeć się z bliska, jak policja w Kolumbii współpracuje z informatorami. Wybrałem się więc do Bogoty, gdzie niemiecki fotograf Oliver Schmieg przedstawił mnie pewnemu policjantowi zajmującemu się narkotykami, agentowi używającemu pseudonimu Richard. Kiedy do niego dzwoni, okazuje się, że Richard jest właśnie na spotkaniu z informatorem. Nie ma sprawy, mówi nieoczekiwanie policjant, wpadnijcie i pogadajcie również z nim!

Na spotkanie wybieramy się do klubu dla policjantów i żołnierzy w eleganckiej dzielnicy Bogoty. Kluby takie jak ten rozsiane są po całym kraju i stanowią swoisty dodatek do pracy, pomagający budować morale służb bezpieczeństwa narodowego. Jednym z problemów meksykańskiej policji jest niskie morale, na równi z kiepskimi placami i wysoką śmiertelnością. Kolumbijskie kluby oferują swoim klientom pływalnie, boiska i restauracje. Richard siedzi przy stoliku i pije kawę. Po jego prawej ręce siedzi inny policjant, po lewej – dwóch informatorów Oto urocze spotkanie: dwóch dziennikarzy, dwóch gliniarzy i dwóch szpicli!

Richard jest swobodnie zachowującym się człowiekiem tuż p0 czterdziestce, o długich czarnych włosach, ubranym w jasnobrązową skórzaną kurtkę. Udaje mu się wprowadzić luźną atmosferę, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. Sypiący jak z nut informator to szczupły osobnik o jasnej karnacji noszący złachane dżinsy. Pracuje w kokainowym laboratorium w części dżungli kontrolowanej przez prawicowe bojówki. Jak sam jednak dodaje, gangsterzy, którzy kupują od nich towar, kupują równie chętnie od lewackich partyzantów. „Widzisz, wszyscy przestępcy pracują teraz razem. Chodzi im tylko o pieniądze", komentuje Richard, Jak twierdzi, Kolumbia boryka się z problemem rebelii kryminalistów, ideologia nie ma tu nic do rzeczy.

Richard nakłonił swojego informatora, by opisał mu dokładnie laboratorium, aby policja mogła przeprowadzić na nie nalot. Pyta go, gdzie stoją pilnujący go uzbrojeni ludzie, gdzie przechowy-

wana jest broń, a gdzie znajduje się agregat prądotwórczy oraz jakie mają pojazdy. Chce wiedzieć jak najwięcej, tak by w czasie policyjnej akcji nie było niespodzianek. Tych informacji nie da się wyciągnąć ze zdjęć satelitarnych. Trzeba je kupić.

Jak podaje informator, w pobliżu laboratorium przebywa 60–80 osób. Używają pick-upów Toyoty, a teren patrolują ludzie z kałasznikowami. Richard robi szkic w notesie i przekazuje zdobyte informacje przez komórkę. Kilka minut później komórka dzwoni i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. „Misja została zaakceptowana, powiadamia wtyczkę. Udało ci się". Jeśli akcja się powiedzie, informator otrzyma nagrodę wysokości kilkudziesięciu tysięcy dolarów.

„W tej branży informatorzy dostają dość pieniędzy, by móc się wynieść gdzieś daleko z całą rodziną. Musimy oferować im poważne sumy. Oczywiście mogą się też czuć dumni z tego, co dzięki nam robią. Jednak główną motywacją pozostaje forsa".

Lecz chociaż motorem tego wszystkiego są pieniądze, Richard ma wyjątkowo przyjacielski stosunek do swoich informatorów. Śmieje się i żartuje z nimi, wypytuje o rodzinę. W rozmowie ze mną mówi o swojej postawie:

„Z ludźmi w tej branży trzeba się zaprzyjaźnić, trzeba sobie ufać. Jeśli ktoś jest lojalny i dobrze pracuje, to robi to dlatego, że ci ufa. Czasem niełatwo jest mi zaufać informatorowi, a jemu mnie. Trzeba wtedy pracowicie zbudować wzajemne zaufanie".

Richard pochodzi z ubogiej wsi na północy Kolumbii, do policji wstąpił, by uciec od biedy. Ma za sobą ponad 30 lat pracy, głównie w w wydziale antynarkotykowym. W tym czasie był świadkiem sporych zmian w działaniu kolumbijskich służb. Nowością jest na przykład systematyczne kupowanie informacji. Richard jest jednym z najlepiej wykorzystujących źródła w całej policji. Obecnie współpracuje z około 200 informatorami.

„Jedną z kluczowych rzeczy jest wiedza. Jeśli ma się źródła, ma się wiedzę. Wtedy można zgarnąć dosłownie każdego handlarza na tej planecie".

Znany z Kolumbii styl wykorzystywania informacji przekazywanych przez płatnych informatorów przenoszony jest na wielką skalę do Meksyku. Chociaż takie praktyki były przez wiele lat zakazane, rząd Calderona wprowadził nowy system nagród za współpracę z policją. W 2010 i 2011 roku dzięki temu udało się namierzyć, aresztować lub zabić wielu ważnych handlarzy. To dzięki informatorom rząd Calderona zadał El Narco dotkliwe ciosy, ku aprobacie agentów amerykańskich. Można przypuszczać, że w przyszłości kupowanie informacji stanie się jeszcze częstsze, a przez to bossowie mniej nieuchwytni.

Ludzie wiedzący najwięcej o narkobiznesie to ważne persony przestępczego świata: dowódcy, zaufani szefów i sami szefowie. Dlatego, gdy policja aresztuje jakąś grubszą rybę, próbuje się od niej wyciągnąć tyle informacji, ile się tylko da. Dzięki temu można przechwycić jeszcze więcej narkotyków, zlikwidować kolejne zakłady produkcyjne i zatrzymać gangsterów.

W latach dziewięćdziesiątych Kolumbijczycy uznali, że najważniejszych szefów najbezpieczniej jest wysyłać do Stanów Zjednoczonych. Tak więc wyciąganie informacji odbywa się najczęściej właśnie tam. Tam też dobija się z gangsterami targu. Czołowy prawnik światka *narcos*, Gustavo Salazar, który reprezentował Pabla Escobara oraz około 20 szefów i 50 dowódców, wyjaśnił mi naturę tych negocjacji podczas rozmowy w kawiarni w Medellin:

„Codziennie mam do czynienia z tymi ludźmi. To budzący grozę gangsterzy, którzy, jeśli się ich złapie, przypominają małe rozbeczane dzieci. Są przerażeni. Boją się zamknięcia w celi do końca życia. Idą więc na układ".

Podają agentom numery swoich kont bankowych. Przekazują też nazwiska i dane dotyczące innych handlarzy. Dostają za to lepsze warunki odsiadki i krótsze wyroki.

Każdy wie, że amerykańskie sądy uwielbiają ugody, podobnie jak kochają dobierać się do majątków gangsterów. A najbogatsi z nich mają na koncie miliony dolarów albo i więcej.

Takie ugody z handlarzami są od jakiegoś czasu pieczołowicie

dokumentowane. Wśród kolumbijskich gangsterów, którzy poszli na coś takiego, jest Andres Lopez, szef organizacji Norte del Valle Cartel. Lopez doniósł na innych członków tego kartelu, a ci poszli w jego ślady Andres Lopez opisał to później w książce zatytułowanej *Cartel de los Sapos* (Kartel ropuch), na której oparto popularny w Kolumbii serial telewizyjny[2]. Choć do końca nie zostało to potwierdzone, Lopez najprawdopodobniej wyszedł na wolność i osiadł w Miami, stał się też współautorem kolejnej książki, żył w pozłacanym świecie latynoskich gwiazd telewizji i flirtował: ze słynnymi aktorami z meksykańskich oper mydlanych.

Ponadto Meksyk zwiększył częstotliwość ekstradycji gangsterów do USA. Wzorem Kolumbii teraz meksykańscy szefowie dobijają targu z sądami w Stanach.

Najgłośniejszym echem odbiła się umowa z Osielem Cárdenasem, założycielem Zetas. Ekstradycja Cárdenasa miała miejsce w 2007 roku, a jego negocjacje z władzami amerykańskimi trwały 3 lata. Szczegóły paktu były od początku utrzymywane w tajemnicy, jednak ostatecznie wyszły na jaw dzięki artykułom Dane'a Schillera z „Houston Chronicle”. Osiel Cárdenas nie został wysłany do celi na palące pustkowia Kolorado, by tkwić tam wraz z Juanem Ramonem Mattą Ballesterosem, wynalazcą „meksykańskiej trampoliny”. Trafił do więzienia o przeciętnym rygorze w Atlancie, gdzie może swobodnie korzystać ze stołówki, biblioteki i innych udogodnień. W odróżnieniu od Matty, jego wyrok nie opiewa na stulecia. Cárdenas ma wyjść na wolność w 2028 roku. W zamian agenci skonfiskowali majątek wart 32 miliony dolarów i wysłuchali informacji gangstera o jego ekssojusznikach z branży narkotykowej. To najprawdopodobniej dzięki jego zeznaniom aresztowano wielu członków Zetas w 2010 i 2011 roku[3].

Historia meksykańskiej wojny narkotykowej z całą pewnością wzbogaci się o więcej takich umów gangsterów z sądami. Następni w kolejce są być może znajdujący się już w amerykańskich rękach Benjamin Arellano Félix, Alfredo Beltran Leyva czy, jeśli kiedykolwiek zostanie złapany, sam Chapo Guzman.

Takie rozwiązanie nie jest rzecz jasna bez wad. Kiedy przestępcy mający dużo na sumieniu uzyskują skrócenie wyroku, jest to zdecydowanie zły przykład. To irytujące, jeśli gangster opuszcza więzienne mury i umawia się na randki z gwiazdkami oper mydlanych. Lista gangsterów, którzy stali się celebryta mi, wcale nie jest krótka.

Zajmowanie gangsterskiego majątku również jest kontrowersyjne. Amerykańscy agenci wzbogacają się o brudne dolary pochodzące z przestępczej działalności. Mówią, że pieniądze te przechodzą na stronę sprawiedliwości, ale paradoksalnie stają się beneficjentami handlu kokainą i heroiną. To, że kartele są kurą znoszącą złote jajka stróżom sprawiedliwości, może sprawiać, że nikt nie będzie chciał ostatecznie jej zabić.

Z drugiej jednak strony, kiedy dochodzi do ekstradycji gangstera, to chociaż wynegocjuje on korzystne dla siebie warunki, nie ma już mowy o tym, by wrócił do gry. A użycie tych bandziorów do przyskrzynienia kolejnych bandziorów jest, jak twierdzą agenci, jeśli nie dobre, to na pewno nie złe. Takie jest rozumowanie walczących z narkobiznesem: aresztowany pomaga aresztować.

Mimo iż przestępcy trafiają za kratki, pozostaje jeden fundamentalny problem: zawsze znajdą się inni, którzy zajmą miejsce aresztowanych. Takie jest zdanie jednej z dużych grup krytykujących wojnę z narkobiznesem: nie da się jej wygrać, jeśli z przemytem narkotyków wiązać się będą dochody, zawsze znajdzie się ktoś chcący je szmuglować.

Taki argument znajduje oparcie w historii. Kiedy Richard Nixon po raz pierwszy wypowiedział wojnę narkotykom, używał mocnych słów, mówił o „całkowitym unicestwieniu handlarzy śmiercią[4]. Cztery dekady później nikogo nie stać na taki optymizm. Celem jest obecnie likwidacja szkód, jeśliby nas nie było, twierdzą ludzie walczący z gangsterami, sytuacja byłaby o wiele gorsza.

Ten paradoks doskonale obrazuje doświadczenia z przestęp-

czością w Kolumbii. Policja w tym kraju aresztowała wielu ważnych gangsterów. Badania wykazały jednak, że nie wpłynęło to znacząco na ilość kokainy eksportowanej przez ten kraj. Policja niszczy uprawy, 1ikwiduje laboratoria, przechwytuje przemytnicze łodzie podwodne i zamyka szefów. Jednocześnie inni przestępcy sieją kokę, budują nowe zakłady produkcyjne i wysyłają towar motorówkami. Co więc tak naprawdę udało się osiągnąć w Kolumbii? Zadaję to pytanie szefowi tamtejszego oddziału DBA Jayowi Bergmanowi, który udziela mi przekonującej odpowiedzi: zadając ciosy handlarzom, udało się zmniejszyć zagrożenie, jakie stwarzali dla bezpieczeństwa narodowego.

„Przypomnijmy sobie Pabla Escobara. Temu facetowi zdarzyło się dokonać zamachu bombowego na samolot pasażerski i kwaterę główną policji, płacił partyzantom, by zabijali sędziów sądu najwyższego, zamordował nawet prowadzącego w sondażach kandydata na prezydenta kraju. Obecnie nie ma w Kolumbii organizacji, która rzuciłaby rękawicę rządowi i która zagrażałaby bezpieczeństwu narodowemu. Każde kolejne pokolenie handlarzy ma coraz mniejsza siłę.

Pablo Escobar wytrzymał piętnaście lat. Teraz kariera przeciętnego szefa trwa piętnaście miesięcy jeśli ktoś zostanie ogłoszony *capo*, jego dni są policzone. Rząd Kolumbii wraz z rządem Stanów Zjednoczonych nie pozwolą, by handlarz działał na tyle długo, by stał się naprawdę niebezpieczny".

Patrząc w ten sposób, walka z narkotykami jest jak wielki młot, który regularnie spada na złoczyńców. Każdy gangster rosnący w siłę, jest nim zgniatany. Mówi się o „dekapitacji gangów", czyli likwidowaniu szefów. Powstrzymuje się rozrost handlu, lecz on trwa nadal, podobnie jak wciąż toczy się wojna.

Wojsko i amerykańscy agenci dokonują „dekapitacji gangów" na terenie Meksyku. Elektem tego są aresztowania takich szefów, jak Beltran Leyva, Broda, Nazario Moreno, Szaleniec, i Antonio Cardesana alias Tony Tormenta. To imponująca lista sukcesów. Czy jest to jednak cios dostatecznie mocny, by sprawić, że gang-

sterzy przestaną zagrażać państwu? Agenci walczący z narkobiznesem twierdzą, że tak się właśnie dzieje, że dzięki tym aresztowaniom kartele osłabły. Agresja jest oznaką prawdziwej desperacji. Ich zdaniem Meksyk musi po prostu przez to przejść. Cóż, być może tak właśnie jest.

Jednak sytuacja karteli w Meksyku różni się od tej w Kolumbii. W Meksyku istnieje siedem głównych organizacji przestępczych: Sinaloa, Juárez, Tijuana, Familia, Beltran Leyva, Zatoka oraz Zetas. Trudno jest im wszystkim „obciąć głowy" za jednym zamachem. Ponadto, gdy jakiś ważny lider zostaje złapany, jak stało się to w przypadku Osiela Cárdenasa, przemoc stosowana przez ich organizacje wzmaga się, ponieważ zaczyna się walka o przywództwo. Grupy takie jak Zetas i Familia stały się potężne bardziej dzięki sile „marki" niż dzięki osobowości swoich szefów. Nawet jeśli przywódca Zetas, Heriberto Lazcano alias Kat, zostanie schwytany, Zetas nadal będą funkcjonować jako budzące grozę oddziały paramilitarne.

Jednak niezależnie od tego, czy w ten sposób osłabi się kartele, czy też nie, wszyscy są zgodni, że Meksyk musi zaradzić epidemii korupcji w szeregach stróżów prawa. Istnieje jednomyślność, że kraj ten nie zajdzie daleko, jeśli nadal zwalczać się będą różne grupy skorumpowanych policjantów opłacanych przez mafijnych bossów. O reformie policji jednak łatwiej jest mówić, niż ją przeprowadzić. Prezydenci Meksyku mówią o jej konieczności całymi latami, jednak przeprowadzane przez nich liczne czystki i działania reorganizacyjne nie przynoszą obiecywanych efektów. Szeregi zdeprawowanych stróżów prawa stają się coraz liczniejsze. Głównym problemem jest ogromna liczba rozmaitych organizacji trudniących się walką z przestępczością. W Meksyku istnieje kilka departamentów na poziomie federalnym, 31 instytucji działających na poziomie stanów oraz 2438 miejskich służb policyjnych.

Jednak w 2010 roku prezydent Calderón przedłożył Kongresowi projekt ustawy, który może tę sytuację zmienić. Zawarł w projekcie kontrowersyjną propozycję: chce, by zjednoczyć

wszystkie służby policyjne w Meksyku w jednym ciele, tak jak w Kolumbii. Jest to gigantyczna reforma, która wiąże się z ogromnymi problemami technicznymi. Być może jednak ten ruch zmieni dramatyczną sytuację Meksyku. Nawet jeśli dojdzie do legalizacji narkotyków, zjednoczona silna policja będzie lepiej radzić sobie z innymi działaniami mafii, na przykład z porwaniami.

Nie brakuje jednak krytyków takiej wizji. Twierdzą oni, że to tylko zwiększy korupcję. Jednak nawet to może nieco ograniczyć przemoc. Skorumpowani gliniarze będą przynajmniej po jednej stronie, zamiast należeć do różnych przekupionych służb, które wzajemnie się zwalczają. Inni twierdzą, że tak potężna policja to krok w stronę rządów autorytarnych. Być może, lecz policja ta nadal będzie w rękach demokratycznie wybranej władzy. Zawiła sieć różnych służb policyjnych funkcjonowała jako tako dzięki temu, że o wszystkim decydowała jedna wszechwładna partia. W czasach demokracji reforma jest nieodzowna. Jeśli jedną z przyczyn upadku Meksyku jest rozczłonkowanie władzy, to zjednoczenie policji wydaje się słusznym środkiem zaradczym. Podstawowe problemy tego państwa leżą w instytucjach władzy. I tam też muszą zacząć się zmiany na lepsze.

ROZDZIAŁ 14
Ekspansja

Powiedziano już, że protestowanie przeciwko globalizacji jest jak protestowanie przeciwko siłom przyciągania.

Kofi Annan, sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych, 2000

To nie bieda skłoniła Jacoba Guillena do handlu crackiem i metamfetarniną w zachodnich dzielnicach Los Angeles, mógł bowiem bez trudu znaleźć pracę w restauracji czy warsztacie samochodowym i jakoś związać koniec z końcem. Nie była to też kwestia rozpadu rodziny, ¡ego rodzice się nie rozstali, co więcej, ciężko pracowali i pomagali mu jak mogli. Jacobo po prostu uwielbiał życie w gangu.

„Zajebiście mi się to życie podobało. Uwielbiałem być na haju. Tak jak uwielbiałem zarabiać dziesięć tysięcy dolarów w ciągu kilku godzin. Dostawałem kopa adrenaliny, gdy ktoś chciał się ze mną bić. Nic mnie wtedy nie obchodziło.

Nie mogę winić nikogo oprócz siebie. Moi bracia i siostry zostali lekarzami, księgowymi i takimi tam. Tylko ja się stoczyłem”.

Jacobo słono płaci za swoje błędy. Chociaż dorastał w Kalifornii, urodził się w meksykańskim stanie Jalisco, Po tym, jak policja w Los Angeles zatrzymała go z workiem metamfetaminy, został aresztowany i deportowany do Meksyku. Agenci zostawili go w Tijuanie i zabronili wracać. Znalazł się w obcym kraju, bez pieniędzy, słabo znając hiszpański. Był obcokrajowcem w Kalifornii, ale w Meksyku czuł się jeszcze bardziej obco. Miał jednak pewną umiejętność: potrafił handlować narkotykami. Niebawem sprzedawał metamfetaminę na ulicach Tijuany.

„Tu, w Meksyku, naprawdę musiałem sprzedawać towar, żeby mieć z czego żyć. Ale było to dużo bardziej popieprzone i niebezpieczne niż w Los Angeles. Tutaj działa prawdziwa mafia, z którą trzeba się Uczyć. A niektórzy z tych gości to wariaci. Zaraz po

tym, jak się tu pojawiłem, ktoś sprzedał mi kosę. jakoś się wylizałem i nadal handlowałem meta. Wtedy z kolei ktoś postanowił mnie zastrzelić. Przeżyłem cudem, bo pistolet się zaciął. Wtedy zrozumiałem, że muszę z tym skończyć. Koniec z handlem towarem i gangami".

Jacobo opowiada mi swoją historię dwa miesiące po tym, jak próbowano go zabić. Siedzimy w prowadzonym przez ewangelików ośrodku odwykowym, gdzie chłopak rzuca narkotyki. Ma 25 lat, krótko ostrzyżone włosy, okrągłą pucołowatą twarz i silne dłonie. Zgodnie z zasadami panującymi w ośrodku nosi czarną koszulkę, na której widnieje napis: „Jestem gangsterem Jezusa". Słucha też chrześcijańskiego hip-hopu, puszcza mi jego próbki przez maleńkie głośniczki w telefonie komórkowym. Niektóre kawałki są po hiszpańsku, ale on woli te po angielsku, tworzone często przez raperów z Los Angeles. Odkąd żyje w Tijuanie, poprawiła się jego znajomość hiszpańskiego, ale wciąż lepiej włada angielskim, a jego serce zostało w Mieście Aniołów.

Będąc wychowankiem kultury transgranicznej, Jacobo jest jednym z wielu ogniw łączących świat handlarzy z Meksyku z dystrybutorami towaru w Stanach. Handlował metamfetaminą tak w Tijuanie, jak i w Los Angeles. Szmuglował też narkotyki przez granicę, idąc na piechotę przez pustynię w Kalifornii z plecakiem pełnym marihuany. W swojej karierze miał do czynienia z postaciami ze światka przestępczego z obu stron granicy.

Doświadczenia Jacoba pokazują powiązanie między tymi dwoma światami, jednocześnie jednak wskazują, jak olbrzymie istnieją między nimi napięcia. Na własnej skórze doświadczył, że inne zasady panują w Stanach, a inne w Meksyku. Po każdej stronie granicy narkobiznes jest w rękach innych szefów i innych organizacji przestępczych. Inne jest podejście kryminalistów z różnych stron Rio Grande do policji i władzy państwowej.

Te jaskrawe kontrasty pozwalają wnioskować, jak El Narco będzie wyglądał w przyszłości. W przewidywaniach istotne miejsce zajmuje koncepcja ekspansji karteli poza granice Meksyku, na

całą półkulę zachodnią, a nawet na drugą stronę Atlantyku. W przyszłości El Narco, jak mówią niektórzy z trwogą, stanie się ogólnoświatową potęgą. Jaką jednak przybierze formę w innych państwach? Jak pokazuje doświadczenie, kartele działają w różny sposób, zależnie od terytorium.

Kartele w Meksyku bez wątpienia nie stoją w miejscu. Muszą się rozwijać jak inni gracze w systemie kapitalistycznym. Ci, którym dobrze się powodzi, rozrastają się, by powodziło im się jeszcze lepiej. W ten właśnie sposób meksykańskie kartele po tym, jak zastąpiły na pozycji lidera wśród organizacji przestępczych obu Ameryk gangsterów kolumbijskich, zaczęły działać w nowych państwach. Atakują nie tylko słabe kraje Ameryki Środkowej, aie przypuszczają ofensywę na takie państwa daleko na południu, jak Peru czy Argentyna. Istnieją informacje, że Meksykańscy mafiosi zyskują na znaczeniu w osłabionych państwach Afryki, współpracują z mafią rosyjską, a nawet dostarczają narkotyki dilerom w angielskim Liverpoolu (musząc borykać się ze strasznym akcentem tamtych okolic). Największe jednak obawy wywołuje ekspansja El Narco na północ od Rio Grande, czyli na teren Stanów Zjednoczonych.

Wzrost potęgi meksykańskich karteli w USA jest tematem drażliwym. Napór kryminalistów na północ włączany jest, zazwyczaj niesłusznie, w zaognioną debatę o imigrantach. Środowiska antyimigranckie postrzegają pracowników przybywających z Meksyku jako armię dokonującą inwazji na ich ojczyznę. Nielegalna siła robocza uważana jest za forpocztę gangów, która ma umożliwiać przestępcze machinacje. Wojna narkotykowa w Meksyku zdaniem tych ludzi jest powodem, by wzmocnić granice wojskiem. Mieszkańcy granicznych stanów drżą z obawy, że konflikt przeleje się przez granicę i bandyci obcinający głowy swoim wrogom w Ciudad Juárez będą to robili również w El Paso. Obawiają się że choroba, na którą cierpi Meksyk, może być zakaźna.

W Meksyku z kolei mówi się rzeczy dokładnie odwrotne. Politycy i dziennikarze jednomyślnie narzekają, że nie przeprowadza się dostatecznej liczby aresztowań grubych narkotykowych ryb.

„Co dzieje się z bossami działającymi w Stanach?" – pytają. Dlaczego gangsterzy, którym udało się uciec do Stanów, nie zostają złapani? Dlaczego, gdy Meksyk grzęźnie w wojnie, narkotyki są bez większych przeszkód rozprowadzane w 50 stanach USA?

Meksykańskie kartele bez wątpienia działają na terenie Stanów Zjednoczonych. Na amerykańskiej ziemi nie brakuje również morderstw, które wiąże się z narkotykami. Przemoc, wszechobecna w Meksyku, nie zalewa jednak kraju Wuja Sama. W 2011 roku, po pięciu latach siania zniszczenia na południe od Rio Grande, wojnie po prostu nie udało się przekroczyć granicy.

Potwierdzają to liczby. Według danych FBI cztery duże amerykańskie miasta, w których przestępczość jest najmniejsza, leżą w stanach przygranicznych: San Diego, Phoenix, El Paso i Austin. Leżące rzut beretem od tego ostatniego Ciudad Juárez w 2010 roku odnotowało 3 tysiące zabójstw. W El Paso w tym czasie zanotowano ich najmniej od 25 lat, bo zaledwie 5. Dalej na zachód leży miasto Nogales, podzielone granicą na część leząca w amerykańskim stanie Arizona i meksykańskiej Sonorze. W meksykańskiej części intensywnie działa Kartel z Sinaloa, często dochodzi tam do strzelanin, a zmasakrowane ciała piętrzą się w stosach. Jednak w Nogales, po stronie USA, w 2008 i 2009 roku nie odnotowano ani jednego zabójstwa. Ogólnie rzecz biorąc, w Arizonie między rokiem 2004 a 2009 przestępczość spadła o 35 procent, dokładnie w czasie, gdy wybuchła wojna narkotykowa w Meksyku**[1]**.

Amerykańscy stróżowie prawa jako powód tego paradoksu wskazują samych kryminalistów. W Meksyku policja jest w dużej mierze na usługach mafii, natomiast w USA mafiosi unikają kontaktu z siłami broniącymi prawa, jak tylko mogą. Sierżant Tommy Thompson, rzecznik prasowy policji w Phoenix, wyjaśnia:

„W Stanach Zjednoczonych celem karteli jest dystrybucja narkotyków i zarabianie pieniędzy. Policja im w tym przeszkadza. Dla gangsterów najlepszą taktyką jest bycie dyskretnym i znik-

nięcie policji z oczu. Jeśli popełniliby morderstwo, policja zaczęłaby deptać im po piętach. Jeśli zaatakowaliby policjantów, władze dostałyby szału. Ponadto w Stanach o wiele trudniej jest przekupić policjanta".

Nikt nie zaprzecza, że amerykańscy gliniarze lepiej radzą sobie z przestępcami niż ich meksykańscy koledzy. Jednak niezależnie od tego, jakimi twardzielami są policjanci w USA, zastanawiające jest, dlaczego kartele z Meksyku nie toczą walk o rewiry w El Norte. Przecież właśnie lam bije źródło ich bogactwa, to stamtąd pochodzą ich narkodolary. Jeśli bossowie toczą walki w Ciudad Juárez, dlaczego nie biją się o wart miliony rynek w Nowym. Jorku?

Prześledzenie ścieżki, jaką podążają narkotyki, pozwala udzielić odpowiedzi na to pytanie. Agent DEA, Daniel, poszedł szlakiem kokainy, heroiny, metamfetaminy i marihuany z Tijuany w głąb USA. Dzięki przekabaceniu przemytników mógł dotrzeć do magazynów z nielegalnym towarem i centrów ich dystrybucji w USA. Odkrył, że dużo z przemycanych narkotyków idzie przez San Diego i dalej, do domów rozsianych po Eos Angeles. Są to zwykle wynajęte, jednorodzinne, skąpo umeblowane domki, gdzie stert narkotyków strzegą pracujący dla karteli ludzie. Z tych „magazynów" w Mieście Aniołów, jak ustalił Daniels narkotyki powędrować mogą w dowolne miejsce w USA.

„W L.A. ładunek zostaje rozparcelowany i dosłownie się rozpierzcha. Może iść na Środkowy Zachód, nawet do Minnesoty i Dakoty Południowej. Może też pojechać aż do Nowego Jorku, Bostonu czy Chicago. Dlaczego tak się dzieje? A jak myślisz? W Los Angeles kilogram kokainy może kosztować osiemnaście tysięcy dolców. Weź go do Nowego Jorku i zgarniesz za niego dwadzieścia pięć klocków. To siedem tysięcy zielonych zysku".

Innymi słowy, gdy narkotyki znajdą się w USA, rozprowadzane są po całym kraju skomplikowaną siecią szlaków. Do Nowego Jorku trafiają, paczki kokainy, które przeszły przez Tijuanę szmuglowane przez kartel Arellano Félix, jak i te, które przemy-

cili Kartel z Juárez i Zetas. Agentom udaje się czasem sporządzić mapy tych dróg, które wyglądają jak plątanina kresek prowadzących do Nowego Jorku. Wszystkie gangi sprzedają towar w Wielkim Jabłku, lecz żaden nie domaga się wyłączności. W tym rewirze działają wszyscy. Ogromny popyt na narkotyki, jaki generują nowojorczycy, zapewnia wystarczająco duży rynek dla wszystkich graczy.

W sieci narkotykowej dystrybucji Los Angeles pełni ważną funkcję, jest bowiem głównym punktem redystrybucji, inne ważne miasta to Houston w Teksasie i Phoenix w Arizonie. Narkotyki pochodzą tam od karteli, które kontrolują pobliskie miasta przy granicy – Los Angeles ma towar od kartelu z Tijuany, Houston jest zaopatrywane przez Zetas. Nie ma jednak dowodów na to, że kartele narzucają tym miastom monopol. Ani Los Angeles, ani Houston nie odnotowały wzrostu przemocy w związku z konfliktem w Meksyku. Kiedy towar jest już w USA, kartelom najwyraźniej nie robi różnicy, kto go rozprowadza. Monopole i związana z nimi przemoc to zjawiska, które zostają po południowej stronie granicy.

Wyjątkiem od tej zasady „wolnego handlu” jest Phoenix. W ostatnich latach odnotowano tam wzrost porwań związanych z działalnością gangów. Niektórzy komentatorzy biją na alarm, twierdząc, że jest to oznaka przeszczepiania na grunt amerykański wojny narkotykowej z Meksyku. W 2008 roku w Phoenix doszło do 368 uprowadzeń, czyniąc to miasto liderem niechlubnego rankingu porwań w całych Stanach**[2]**. W Meksyku mówi się, że Kartel, z Sinaloa zapragnął w Phoenix wyłączności. Miasto to leży niecałe 300 kilometrów od stanu Sonora, będącego pod kontrola gangsterów z Sinaloa.

Jeżdżę samochodem po leżącym na rozpalonej pustyni mieście Phoenix i przyglądam się domom, w których miały miejsce porwania. Większość z nich to spore bungalowy w częściach miasta zdominowanych przez Meksykanów. Wkrótce dowiaduję się, że większość porwań nie ma nic wspólnego z obrotem narkotykami,

ich przyczyną jest handel ludźmi. Kanał przerzutu ludzi Sonora – Arizona jest największym szlakiem, jakim nielegalnie migrują poszukujący amerykańskiego snu Meksykanie. Kiedy przybywają do Phoenix, marząc o świetlanej przyszłości, przemytnicy domagają się od ich rodzin dodatkowej opłaty wysokości 1000 dolarów, zanim „szmuglowany" człowiek zostanie uwolniony.

Wymuszenia te często mają brutalny przebieg. Ofiary, zanim zdecydują się zapłacić, są często bite. Kobiety zeznają, że były gwałcone. To smutne powitanie na amerykańskiej ziemi. Nie ma jednak nic wspólnego z narkobiznesem. To po prostu kolejny element wadliwego systemu imigracyjnego w USA, gdzie imigrant bez papierów może dostać pracę.

Zdarzają się też jednak porwania mające związek z handlem narkotykami. Sympatyczny policjant z Phoenix, Tommy Thompson, tłumaczy, że motyw narkotykowy jest brany pod uwagę wtedy, gdy żąda się wyjątkowo wysokiego okupu – od 30 tysięcy do miliona dolarów.

„Jasne jest, że przeciętna osoba nie jest w stanie zgromadzić na zawołanie trzydziestu tysięcy dolarów, a co dopiero trzystu! Często porywacze dorzucają do kwoty okupu żądanie jakiejś ilości nielegalnych narkotyków. Czasami miażdżą cegłą palce osoby uprowadzonej. W Meksyku stosowane są raczej inne rodzaje przemocy, takie jak odcinanie palców albo rąk".

Sierżant Thompson pokazuje mi dom, w którym doszło do porwania. To ładny domek z cegieł z podwójnym garażem i małym boiskiem do koszykówki. Właściciel, z pochodzenia Meksykanin, miał właśnie odjechać sprzed domu pewnego wieczoru, gdy gangsterzy zablokowali mu drogę i przystawili pistolet do głowy. Zajście to zauważyli sąsiedzi, którzy zawiadomili policję. (Władze dowiadują się o wielu porwaniach właśnie od sąsiadów, a nie od członków rodziny uprowadzonego). Sprawą tą poważnie zajął się specjalny oddział policji do spraw porwań w Phoenix, okolicę zaczęli przeczesywać policjanci w kominiarkach. Widząc, że tropi ich policja, porywacze porzucili uprowadzonego i salwowali się ucieczką. Mimo że porwany mógł być dilerem narkotyków, warto

było się starać, podkreśla sierżant Thompson.

„Poszkodowanemu nic się nie stało i to jest najważniejsze. Niezależnie od tego, w co uwikłani mogą być porwani, dla nas zawsze przede wszystkim są ofiarami, ludźmi.

Jeśli porywacze strzelają, to giną zarówno niewinni porwani, jak i ci, którzy mają coś na sumieniu. To dla nas ważne. I to niestety dzieje się na ulicach naszego miasta”.

Policja w Phoenix angażuje wielu ludzi, by ratować narkotykowych dilerów z rąk porywaczy. Zdarza się, że ponad setka funkcjonariuszy walczy o uwolnienie przetrzymywanego. Ich stanowczość działania jest bez wątpienia słuszna: najlepiej zdusić problem w zarodku. Stosowana W Phoenix zasada „zero tolerancji” przynosi efekty. W 2009 roku odnotowano jedenastoprocentowy spadek liczby porwań. (Tym niemniej 318 uprowadzeń w ciągu roku niepokoi)**[3]**.

Reagowanie na porwania jest jedną rzeczą, wyjaśnienie ich przyczyn drugą. Ani policja w Phoenix, ani DEA nie potrafią ustalić, jakie są dokładnie powody, dla których organizuje się porwania z narkotykami w tle. Jedni spekulują, że działający samodzielnie bandyci lubią brać na cel osoby handlujące nielegalnym towarem. Choć może to tłumaczyć tylko część przypadków, nie wydaje się nieprawdopodobne, by zwykłe bandziory miały odwagę zadzierać z ludźmi pracującymi dla Kartelu z Sinaloa. Inna teoria głosi, że skuteczne działania stróżów prawa skutkujące większą ilością skonfiskowanych narkotyków sprawiają, że handlarze porywają ludzi dla okupu, by powetować sobie straty. Takie wytłumaczenie ma sens, ale w rejonie granicznym Sonora–Arizona nie odnotowano w ostatnich latach większej liczby przechwyceń transportów narkotyków.

Nie bez znaczenia wydaje się fakt, że porwania przybrały na sile w 2008 roku, kiedy walki karteli w Meksyku przerodziły się w wojnę. Niewykluczone, że uprowadzenia służą Kartelowi z Sinaloa do zasygnalizowania swojej pozycji na północ od granicy i skłonienia handlarzy do płacenia im haraczu. Cokolwiek się jednak dzieje, jest bez porównania spokojniej niż w Meksyku. Liczba

morderstw w Phoenix w rzeczywistości spada – z 167 w roku 2008, do 122 w 2009[4].

Meksykańskie kartele są największymi importerami narkotyków do Stanów Zjednoczonych. To one szmuglują około 90 procent kokainy, większość marihuany i metamfetaminy, a ponadto znaczące ilości heroiny. DEA przedstawia takie informacje Kongresowi od ponad 10 lat. Mniej jednak znany jest fakt, że Meksykanie zaczynają schodzić coraz niżej na drabinie dystrybucji narkotyków. W ciągu ostatnich kilku lat coraz większa liczba Meksykanów sprzedaje narkotyki na kilogramy w miastach i miasteczkach w całych Stanach. Potwierdzają to przeprowadzane głównie na południu kraju coraz częstsze zatrzymania Meksykanów mających hurtowe ilości kokainy, heroiny, czy metamfetaminy. Handlarze z południa działają też w rejonach USA, w których wcześniej ich nie spotykano: w rejonie Wielkich Jezior czy na Środkowym Zachodzie. W latach osiemdziesiątych, czyli kiedy działał Matta Ballesteros, hurtownikami kokainy byli zwykle Kolumbijczycy oraz biali i czarni obywatele USA. Dziś coraz częściej zajmują się tym Meksykanie.

Ta zmiana oznacza także, że kartele w Meksyku zarabiają coraz więcej pieniędzy. To kolejny czynnik, który przyczynia się do jeszcze większego zaognienia wojny na południe od granicy. Meksykańskie gangi rozsiadły się po obu stronach łańcucha dystrybucji, są zarówno bliżej liścia koki w Kolumbii, jak i bliżej nosa użytkownika w Stanach. W samych USA jednak El Narco nie daje się tak bardzo we znaki, jak w ojczyźnie. Handel narkotykami pozostaje po prostu handlem, nikogo nie interesuje, czy kilogram koki wiezie biały facet na motocyklu, złodziejaszek rodem z Jamajki, czy Meksykanin. Kilogram towaru to kilogram towaru.

Najszersze badanie dotyczące działalności karteli w Stanach przeprowadzone zostało przez rządową agencję zbierającą dane o narkobiznesie (National Drug Intelligence Center)[5] w 2009 roku. Zebrała ona informacje od policji na poziomie lokalnym, stanowym i federalnym z całego kraju i stworzyła szczegółową

mapę działalności El Narco na północ od Rio Grande. Na mapie przedstawiono działalność karteli w 230 miastach i każdym ze stanów, nawet na Alasce i Hawajach. W dwóch trzecich miast, gdzie obecni byli handlarze, odnaleziono związki z konkretnymi kartelami. Ustalono, że w Nashville i Cincinnati działa Kartel z Sinaloa, a gangsterzy z Juárez są aktywni w Colorado Springs i Dodge City.

Raport wywołał burzę komentarzy na temat zasięgu organizacji przestępczych z Meksyku. Wiele pytań pozostawił bez odpowiedzi. Nie zdołano wyjaśnić, na czym dokładnie polega działalność karteli w wymienionych miastach. Nie stwierdzono też jednoznacznie, jak powiązano przestępców tam działających z kartelami z Sinaloa czy Juárez. Czy agenci tropili połączenia telefoniczne? Otrzymali konkretne informacje od wtyczek? A może to tylko domysły? Odpowiedzi na te pytania są konieczne, by móc ustalić, jak mocno El Narco zakorzenił się w Stanach Zjednoczonych. Typ handlujący „koksem" w miejscowości Bismark w Dakocie Północnej, będący w posiadaniu towaru, który należał kiedyś do Kartelu z Sinaloa, to jedna sprawa. Jeśli natomiast pensję wypłaca mu Chapo Guzman, to już zupełnie inna, poważniejsza historia, sugerująca, że wprowadzane są tam układy żywcem wzięte z meksykańskich realiów.

Na działalność El Narco na amerykańskiej ziemi światło może rzucić kilka toczących się śledztw. Duża sprawa prowadzona jest w Chicago, gdzie istnieje rozległy rynek narkotykowy i gdzie społeczność Meksykanów jest zwarta i silna. W roku 2009 federalny sąd w Chicago oskarżył szefów Kartelu z Sinaloa, w tym Chapo Guzmana o, według słów prokuratora generalnego, „największą próbę nielegalnego importu narkotyków, jaką kiedykolwiek odnotowały organy ścigania w Chicago". W grę wchodziły ogromne kwoty. Oskarżenie utrzymywało, że gangsterzy z Sinaloa szmuglowali do Wietrznego Miasta 2 tony kokainy miesięcznie, Do magazynów w Illinois wozili towar traktorami. W samie, jak twierdzi oskarżenie, gangsterzy zarobili 5,8 miliarda dolarów, importując narkotyki do regionu przez dwie dekady. Wskazano

46 osób uwikłanych w ten proceder. Byli wśród nich Meksykanie z Sinaloa, tacy jak Chapo Guzman, oraz obywatele USA najróżniejszego pochodzenia oskarżeni o obrót narkotykami w Illinois[6].

W samym centrum tego przedsięwzięcia znajduje się dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych pochodzenia meksykańskiego – bliźniacy Pedro i Margarito Floresowie, mający w chwili aresztowania w 2009 roku 28 lat. Śledczy z Chicago podają, że Floresowie wywodzą się z rodziny mającej silne powiązania z handlem narkotykami w takich dzielnicach Chicago, jak Little Village i Pilsen. Bracia odziedziczyli salon fryzjerski i restaurację. Dokumenty sądowe twierdzą, że byli też ważnym ogniwem, dzięki któremu narkotyki z Sinaloa docierały do Chicago.

Problemy zaczęły się, gdy Kartel w Sinaloa został rozdarty przez wojnę w 2008 roku. Chapo Guzman i Beltran Leyva vel Broda nie tylko walczyli ze sobą w ojczystym Culiacán, walczyli także o swoich przedstawicieli w Chicago. Według oskarżenia zarówno jedna, jak i druga strona konfliktu domagała się, by bracia pracowali tylko dla nich. W czasie tych niesnasek agenci DEA zdołali rozpracować cały układ i aresztować zarówno bliźniaków, jak i inne osoby w to uwikłane. Obecnie bracia współpracują z władzami, twierdzą agenci.

Ciekawe jest, w jaki sposób szefowie walczyli o to, by bracia Floresowie zostali ich klientami, bracia bowiem nie pracowali dla karteli, a tylko kupowali od nich narkotyki, Według dokumentów Floresowie sami również handlowali towarem, zamiast komuś za to płacić.

„Floresowie sprzedawali kokainę i heroinę za gotówkę odbiorcom hurtowym w Chicago, a także odbiorcom w Detroit w Michigan, Cincinnati i Columbus w Ohio, w Filadelfii, Waszyngtonie, w Nowym Jorku, w Vancouver, w kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej oraz w innych miejscach. Hurtownicy zajmowali się dystrybucją kokainy i heroiny do innych miast, w tym do Milwaukee w Wisconsin.

Jak widać, cały ten układ jest raczej łańcuszkiem współpracu-

jących handlarzy, a nie organizacją o strukturze hierarchicznej. Gangsterzy z Chicago, bedąc odbiorcami towaru od Kartelu z Sinaloa, pozostali niezależni. Posługiwali się technikami z repertuaru amerykańskich przestępców, do których zalicza się okazjonalne morderstwo i nierzadko przemoc. Daleko im jednak było do kryminalistów z Meksyku, gdzie smutną norma stały się masakry całych rodzin czy rzezie, po których zostają zbiorowe mogiły. Szczęśliwie w Chicago nie widziano nigdzie grup z granatnikami i kałasznikowami, jeszcze nie.

Na ulicy, gdzie handluje się pojedynczymi działkami kokainy czy trawki, nie widać oznak działalności meksykańskich karteli. Brzmi to może nieco dezorientująco. Wiadomo, że Meksykanie zajmują się obrotem towarem w Stanach, wiadomo też, że narkotyki te dotarły z Meksyku. To prawda. Ale prawdą jest również to, że Meksykanie są zainteresowani tylko hurtem. Chapo Guzmana nie interesuje sprzedaż kilku gramów na ulicy w Baltimore, lecz transakcje warte miliony.

Handlem detalicznym zajmują się różni ludzie: studenci sprzedają trawkę w akademikach Harvardu, crack w Nowym Orleanie rozprowadzają gangi. Podobnie jak większość dilerów na najniższym szczeblu, nie wiedzą, skąd tak naprawdę pochodzi towar, którym handlują. Ich wiedza kończy się na lokalnym dostawcy który sprzedaje im narkotyki w dużych workach.

Z całą pewnością wśród ulicznych sprzedawców nie brakuje Meksykanów ani obywateli USA meksykańskiego pochodzenia. Ich liczba zresztą w ostatnich latach się zwiększyła. Dużo mówi się o imigrantach sprzedających metamfetaminę pracownikom przetwórni mięsnych, która ma im pomóc przetrwać wielogodzinne zmiany. Meksykanów oferujących narkotyki bez trudu spotkać można na rogach ulic od San Francisco po Nowy Jork. Dowody jednak wskazują na to, że są to członkowie lokalnych gangów albo niezależni dilerzy, nie zaś osoby pracujące dla międzynarodowych karteli.

Jacobo Guillen, amfetaminista o pucołowatej twarzy, sprzeda-

wał metamfetaminę we wschodnim Los Angeles. Potwierdza, że El Narco nie dotarł jeszcze na amerykańską ulicę. Mówi, że nie miał żadnego kontaktu z meksykańskimi kartelami. Pracował za to dla gangu z USA o nazwie Meksykańska Mafia. Mimo nazwy gang ten działa na północ od granicy, powstał w amerykańskich więzieniach i stamtąd rekrutuje członków. Działają w nim, rzecz jasna, ludzie pochodzenia meksykańskiego. Jacobo wyjaśnia:

„Handlowałem metą i co tydzień płaciłem kasę Meksykańskiej Mafii. Jeślibym tego nie robił, miałbym kłopoty. Ich szefowie siedzą w więzieniach, ale mają władzę na ulicy i mogą nawet zabijać ludzi.

Kiedy znalazłem się w Meksyku, wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w Stanach. W Tijuanie wszyscy dilerzy muszą płacić procent kartelom. W Meksyku kartele kontrolują zarówno duży handel, jak i uliczną dilerkę".

Niektórym ta różnica może wydawać się czysto teoretyczna. Tak Meksykańska Mafia, jak Kartel z Sinaloa są przecież niebezpiecznymi organizacjami przestępczymi handlującymi narkotykami i popełniającymi zbrodnie. Jednak różnice są spore. Kartel z Sinaloa jest paramilitarnym skomplikowanym tworem, który rozwinął się w czasach, gdy państwo było niestabilne. Meksykańska Mafia jest ulicznym i więziennym gangiem ukształtowanym w realiach Stanów Zjednoczonych. Kartel z Sinaloa ma w garści ważnych dowódców policji, a skutkiem jego ataków są sterty martwych ciał. Meksykańska Mafia zabija więźniów na spacerniaku i uwikłana jest w strzelaniny w podmiejskich dzielnicach.

Przemoc na tle narkotykowym w USA jest przeważnie wynikiem walki dilerów o terytoria na ulicach miast. To zrozumiałe: sprzedawcy walczą o teren, na którym mogą prowadzić swoją działalność. Dla konkurencji nie ma miejsca. Zabójstwa odnotowane w Baltimore, Chicago, Detroit, Nowym Orleanie czy Los Angeles są popełniane podczas walki o te domeny. Uczestniczą w niej niezliczone uliczne gangi, wciąż jednak kartele z Meksyku się w to nie angażują. A po co miałyby to robić? Ich narkotyki i tak będą rozprowadzane przez zwycięzców. Pozostaje jednak obawa,

że meksykańskie kartele w końcu włączą się do walki o władzę na ulicznym narkotykowym rynku. Konsekwencje tego mogą być katastrofalne.

Groźba, że El Narco włączy się do ulicznej walki o teren, zaczyna pojawiać się w Teksasie, którego południowa granica stanowi połowę granicy Stanów z Meksykiem. Upiór daje o sobie znać na amerykańskiej ziemi w dwóch miejscach: korytarzu El Paso – Ciudad Juárez oraz 1600 kilometrów na wschód, w rejonie Zatoki Meksykańskiej.

W El Paso związki między amerykańskimi gangami ulicznymi a meksykańskimi narkobaronami umocniły się dzięki rosnącej roli gangu Barrio Azteca. W odróżnieniu od innych organizacji przestępczych prowadzonych przez Meksykanów w USA, Barrio Azteca ściśle współpracuje z kartelami z południa i stał się organizacją transgraniczną.

Barrio Azteca został założony przez członków gangów z El Paso zamkniętych za murami dobrze strzeżonego zakładu karnego Coffield w Teksasie w latach osiemdziesiątych. Osadzeni pochodzący z El Paso, zwanego też czule Chuco Town, sprzymierzyli się, by bronić się przed innymi więziennymi gangami, takimi jak Meksykańska Mafia pochodząca z Kalifornii. Napadali, bili, sztyletowali i dusili swoich prześladowców, aż sami stali się siłą siejącą strach.

Podobnie jak Meksykańska Mafia, Barrio Azteca zaczął działać na ulicach miast. Żądali haraczy od dilerów, a gdy na wolność wychodzili jego członkowie, coraz głośniej mówiono o ich brutalności, zabójstwach na zlecenie, zwanych zielonymi światłami. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w gangu działało ponad 1000 osób, tak w więzieniach, jak i w miastach Teksasu, zarabiając miliony dolarów na obrocie narkotykami. Wtedy nastąpiły dwa kluczowe wydarzenia: Barrio Azteca założył komórki za granicą, w Juárez, a potem zaczął współpracować bezpośrednio z Kartelem z Juárez.

Wzrost znaczenia Barrio Azteca na południe od Rio Grande

wiąże się z miejscową transgraniczną specyfiką. Obszar miejski, jaki tworzą zrośnięte ze sobą El Paso i Ciudad Juárez, zamieszkuje częściowo tylko przedzielona granicą jedna społeczność. Granica państwowa pozornie oddziela od siebie członków rodzin, przyjaciół, przedsiębiorców oraz gangsterów. Dodatkowo Meksykanie bez prawa stałego pobytu przyłączali się do Barrio Azteca, gdy siedzieli w teksaskich więzieniach. Po zwolnieniu I deportacji do Ciudad Juárez kontynuowali pracę dla gangu. Ci „neofici" werbowali kolejnych gangsterów, członków licznych gangów działających w Juárez oraz w stanowych i miejskich zakładach karnych Meksyku (w których obecnie cale skrzydła znajdują się pod „kuratelą" Barrio Azteca).

Członkowie Barrio Azteca od dłuższego czasu zajmują się dystrybucją narkotyków dostarczanych przez Kartel z Juárez. Wraz z tym. gang stawał się coraz potężniejszy, jego więzi z kartelem stawały się co raz bliższe. Członek Azteków o pseudonimie Diablo tak opisał to zjawisko w amerykańskiej telewizji: „Kartel zauważył, jacy byliśmy aktywni. Złożyli nam więc propozycję, żebyśmy zostali kimś w rodzaju ich wspólników"[7]. Opisuje też, jak Barrio Azteca zaczął kupować kokainę po preferencyjnej cenie prosto od kartelu. W zamian za ten przywilej mieli szmuglować cale ładunki broni szturmowej ze sklepów bronią w Teksasie na południe. Co więcej, jak mówi Diablo, jeśli Kartel z Juárez chciał kogoś zastraszyć albo użyć przemocy na terenie Stanów Zjednoczonych, z prośbą o wykonanie takiego zadania zwracali się do Barrio Azteca.

Kiedy Kartel z Sinaloa pojawił się w Ciudad Juárez w 2008 roku, do obrony terytorium lokalnego kartelu wezwano gangsterów z Barrio Azteca. Według doniesień to właśnie oni mieli odpowiadać za niektóre z najbardziej makabrycznych zbrodni w tej części Meksyku. W ustaleniach policji pełno jest białych plam, nie sposób więc określić, ilu z 6 tysięcy zabitych w Ciudad Juárez jest ofiarami Barrio Azteca, wiadomo jednak, że udział gangu jest znaczący.

Do ogromnej większości aktów przemocy doszło na południe

od. granicy. Jednak wśród ofiar coraz więcej jest obywateli Stanów Zjednoczonych. W wypowiedzi w telewizji Diablo wyjaśnia, jak porywa się ofiary w El Paso i przewozi na południe, by tam je zabić. Morderstwo w Teksasie uruchamia sprawny aparat dochodzeniowy, w Ciudad Juárez zabity dołącza po prostu do codziennej listy ofiar. Meksyk stał się terenem, gdzie „realizować" mogą się wychowani w USA psychopaci. W Juárez, mówi Diablo, ludzie Barrio Azteca często torturują i mordują swoje ofiary przed rozradowaną publicznością składającą się z członków gangu:

„Kopiemy dół i wlewamy do niego kilka kanistrów paliwa. Potem spuszczamy gościowi manto, wrzucamy go do tej dziury i podpalamy Czasem gość jest martwy, ale nie zawsze. Czasem podpalamy go po to, żeby słyszeć, jak wrzeszczy. Wszystko słychać, a płonące ludzkie ciało strasznie śmierdzi. Po tym, jak widziałem to po raz pierwszy, długo nie mogłem zasnąć".

Urzędnicy w Departamencie Stanu również nie mogli spać po tym, jak dowiedzieli się o jednym z brutalnych czynów Barrio Azteca. W marcu 2010 roku gang zamordował troje ludzi związanych z konsulatem Stanów Zjednoczonych w Ciudad Juárez. Mrożących krew w żyłach morderstw dokonano w odstępie kilku minut. Ofiary odjeżdżały dwoma samochodami z przyjęcia u pracownika konsulatu, W jednym z nich jechał mąż Meksykanki – pracownicy konsulatu – w drugim zatrudniona tam obywatelka USA i jej mąż, pracujący w systemie penitencjarnym stanu Teksas. Kobieta była w ciąży, a siedmiomiesięczne niemowlę, pierwsze dziecko pary, przyglądało się śmierci rodziców z tylnego siedzenia samochodu**[8]**.

Morderstwa te wstrząsnęły amerykańskim środowiskiem dyplomatycznym w Meksyku. Pod jego naciskiem wojsko meksykańskie szybko znalazło zabójców z Barrio Azteca, W tym samym czasie agenci FBI aresztowali za granicą dziesiątki członków gangu w El Paso. Jednak, mimo iż wszystkich zakuto w kajdanki, stróże prawa nie potrafili znaleźć sensownego wytłumaczenia tych morderstw. Czy pracownica konsulatu zginęła, bo zbyt opieszale wydawała wizy członkom kartelu? A może celem był jej

mąż, który zalazł za skórę Barrio Azteca w którymś z teksaskich więzień? Czy atak mógł być komunikatem dla amerykańskich agentów antynarkotykowych? A może doszło po prostu do upiornej pomyłki?

Jakiekolwiek były powody, wydarzenie to zasygnalizowało, że współpraca Barrio Azteca z Kartelem z Juárez jest groźna. Istnieje obawa, że zwiększy się liczba gangów zapewniających meksykańskim kartelom dostęp do amerykańskich ulic i że amerykańscy gangsterzy przejmą brutalne metody El Narco.

Tysiąc czterysta kilometrów na zachód, w Laredo, inny kartel przeprowadza egzekucje na amerykańskiej ziemi. Chociaż większość gangsterów nie chce wywoływać zamieszania na północ od granicznej rzeki, ludzie, którzy stoją za zabójstwami we wschodnim Meksyku, są specjalistami od łamania zasad. Robili to już wcześniej wiele razy. To psychopatyczni mordercy z Zetas.

W 2007 roku podczas relacjonowanego przez media procesu sądowego opinia publiczna dowiedziała się o 5 morderstwach na terenie Teksasu, których dopuścili się członkowie Zetas. Ludzie usłyszeli na nagraniach z podsłuchanych telefonów, jak urodzeni w Stanach rekruci kartelu planują morderstwa oraz jak w sądzie przyznają się do stosowania wyjątkowo brutalnych technik. Wśród oskarżonych znalazł się siedemnastoletni cyngiel kartelu, Rosalio Reta z Houston. Ten głośno zachowujący się nastolatek o pokrytej tatuażami twarzy przyznał, że przystał do Zetas, gdy miał 13 lat, i w tym samym roku zabił dla nich po raz pierwszy. Powiedział też, że był szkolony przez eksżołnierzy oddziałów specjalnych w obozie Zetas w Meksyku i brał udział w szeregu morderstw po obu stronach granicy. Zdaniem agentów liczba tych morderstw mogła dochodzić do 30, Rosalio Reta skazany został jednak zaledwie za dwa z nich i miał odsiedzieć 40 lat[9].

Zeznania Rety i innych dają obraz tego, jak Zetas zorganizowali trzyosobowe komórki w Laredo i Dallas. Rekrutom płacono 500 dolarów tygodniowo, a cała komórka dostawała od 10 do 50 tysięcy dolarów za zabójstwo. To zdecydowanie lepsza stawka za

ludzkie życie niż ta obowiązująca w Meksyku, lecz praca w USA jest przecież lepiej płatna. Rekruci Zetas mieszkali w domach za 300 tysięcy dolarów i dostawali W prezencie nowe samochody. Rosalio twierdzi, że takie dodatki miały duży wpływ na motywację nastolatków z biednych dzielnic pracujących dla kartelu.

Motywy zabójstw zleconych przez kartel Zetas w Teksasie są złożone i nie do końca jasne. Według zeznań, jeden z ludzi został wzięty na cel dlatego, że był związany z dziewczyną, którą interesował się jeden z szefów Zetas. Zabójcy najpierw grozili bratu zamordowanego, następnie go zabili. Właściwy „cel" zginął kilka miesięcy później. Inną ofiarą był członek lokalnego gangu, który w jakiś sposób rozdrażnił Zetas, jeszcze inną człowiek, który rzekomo przeszedł na stronę gangsterów z Sinaloa.

Morderstw tych dokonywano w sposób typowy dla egzekucji w Meksyku. Mordercy na usługach Zetas podążali za swoimi ofiarami, a następnie strzelali do nich, gdy wyjeżdżały z restauracji albo szły do samochodu. Zabójcy byli jednak bardziej oszczędni niż na południe od Rio Grande: nie zasypywali ich gradem pocisków, a oddawali tylko kilka strzałów. Były to jednak zabójstwa dostatecznie drastyczne, by wzbudzić czujność amerykańskich policjantów. Funkcjonariusze z Laredo współpracowali z DBA i innymi agencjami rządowymi, by zniszczyć mafijne komórki oraz zdobyć dowody wystarczające do aresztowania rekrutów Zetas.

Od czasu, kiedy odbyły się wspomniane procesy, skończyły się zabójstwa na zlecenie Zetas w Teksasie, spadła też ogólna liczba morderstw. Być może gangsterzy z południa zdali sobie sprawę, że masakry w USA nie są wcale takie łatwe i bezproblemowe, jak w Meksyku. A może po prostu kolejne morderstwa nie wyszły jeszcze na jaw? Jeśli doszło do nich raz, z pewnością mogą się powtórzyć. Wzrost aktywności Zetas w Stanach Zjednoczonych bez wątpienia miałby katastrofalne skutki.

Biedniejsze i mniej stabilne kraje miały zdecydowanie mniej szczęścia w radzeniu sobie z plagą meksykańskich karteli. W

Gwatemali, szczególnie w porośniętym dżunglą rejonie nieopodal granicy z Meksykiem, Zetas dokonali rzezi wzorowanych na tych, których dopuszczali się w ojczyźnie. Rząd Gwatemali zareagował, ogłaszając w grudniu 2010 roku stan wojenny, udało się też zlikwidować jeden obóz szkoleniowy kartelu, gdzie zmagazynowano ponad 500 granatów. W odpowiedzi Zetas toczyli regularne bitwy z gwatemalskim wojskiem. Gangsterzy są też głównymi podejrzanymi o wysadzenie w powietrze autobusu w stolicy kraju w styczniu 2011 roku, kiedy zginęło 9 osób.

Wywodząc się z ubogich warstw społecznych, Zetas czują się swojsko w Gwatemali i z łatwością werbują tam ludzi. Komórki Zetas nie tylko ochraniają szlaki transportu narkotyków, tworzą też własne punkty ich sprzedaży oraz zajmują się wymuszeniami, tak jak dzieje się to w Meksyku. Podczas gdy większość legalnych firm z Meksyku nie poradziła sobie na rynkach Ameryki Środkowej, korporacja El Narco nie ustaje w ekspansji na nowe tereny.

To właśnie duże ambicje prowadzą meksykańskie kartele w szeroki świat. Działalność meksykańskich kryminalistów została zauważona w tak odległych rejonach, jak Australia, Afryka czy Azerbejdżan, ich wycieczki często służą zdobywaniu zaopatrzenia do narkotykowych laboratoriów, poszukują szczególnie pseudoefedryny i efedryny potrzebnych do produkcji metamfetaminy. W 2008 roku w ramach sponsorowanej przez USA operacji „Ice Block" przechwycono 46 ładunków substancji potrzebnych do wytwarzania metamfetaminy, połowa z tych przesyłek miała dotrzeć do Meksyku. Wysłano je z Chin, Indii, Syrii, Iranu oraz Egiptu, jeden ładunek efedryny zatrzymany nieopodal Bagdadu miał dotrzeć do mafii w Meksyku**[10]**.

W wielu przypadkach dostawy chemikaliów zatrzymują się w zachodniej Afryce, zanim przekroczą Atlantyk. Ubogie afrykańskie państwa tego wybrzeża o niewolniczej przeszłości są coraz częściej wykorzystywane jako trampoliny dla przerzutów organizowanych na zlecenie rozmaitych organizacji przestępczych. Korzystają z nich także Kolumbijczycy, by dostarczać kokainę do

Europy Republika Gwinei Bissau, piąty wśród najbiedniejszych krajów świata, gdzie nie ma sieci elektrycznej, a średnia płaca wynosi mniej niż dolara dziennie, jest przykładem państwa wykorzystywanego przez El Narco. Gangsterzy z Ameryki Łacińskiej ze swoimi ogromnymi pieniędzmi mogą tutaj wszystko. Silniejsze państwa muszą podjąć działania, by uchronić te kraje przed przyszłością pod znakiem mafijnej dominacji.

Leżący między Kolumbią a Meksykiem gorący Honduras od wielu lat był ważnym przystankiem na szlaku przemytu kokainy. Juan Ramon Matta Ballesteros miał tam swoje imperium w latach osiemdziesiątych, prawicowe oddziały nikaraguańskich Contras, finansowane również z handlu kokainą, także tam się szkoliły. Za sprawą amerykańskiego autora Williama Sydneya Portera, piszącego o potędze państw eksportujących owoce, w 1904 roku Honduras otrzymał miano „republiki bananowej". Uprawa bananów nadal stanowi główny sektor gospodarki, połowa ludności Hondurasu żyje w ubóstwie, kraj jest politycznie niestabilny, co doprowadziło w 2009 roku do zamachu stanu. Jeśli chodzi o natężenie przemocy, Honduras jest w światowej czołówce. To wszystko czyni go wprost wymarzonym terenem działania dla meksykańskich karteli.

Generał Julian Aristides Gonzalez był honduraskim politykiem, który uważnie przyglądał się wzrostowi wpływów El Narco w swoim kraju. Ten wojskowy o kwadratowej szczęce opuścił armię w 1999 roku, by pracować dla narodowej organizacji walczącej z handlem narkotykami, stając później na jej czele. Rozmawiałem z nim w grudniu 2009 roku w jego biurze, wśród stert map i 140 kilogramów przechwyconej kokainy, złożonych tuż obok jego biurka. Odznaczał się szorstkim stylem bycia charakterystycznym dla wojskowych, ale był też jednym z najbardziej szczerych i otwartych latynoamerykańskich dygnitarzy, z jakimi zdarzyło mi się rozmawiać. Generał Gonzalez przyznaje, że w ciągu ostatnich 10 lat obecność meksykańskiej mafii w Hondurasie jest coraz bardziej niepokojąca.

„To tak, jakbyśmy mieli powstrzymać falę przypływu. Zatrzymujemy przestępców i ich towar, ale przychodzą tłumy innych, i to z ogromnymi pieniędzmi. Toczymy nierówną walkę".

Meksykańscy gangsterzy, tłumaczy generał, kupili spore nieruchomości w dżunglach, na terenach górskich i w innych słabo zaludnionych częściach Hondurasu. W ten sposób piorą brudne pieniądze, organizują tam również punkty składowania kokainy. Gonzalez pokazuje mi zdjęcia i plany takich narkoposiadłości, które zajęła policja. Widzę starą plantację bananów głęboko w dżungli, w której skład wchodzą kolonialne hacjendy i setki hektarów ziemi. Gangsterzy zbudowali tam prawdziwy pas startowy, na którym lądują samoloty wyładowane „białym złotem".

Ludzie Gonzaleza przechwycili dziesiątki takich samolotów. Są to głównie małe i lekkie awionetki, ulubione maszyny gangsterów z Sinaloa. Do transportu wielotonowych ładunków wykorzystywane są samoloty większych rozmiarów. Latają nie tylko z Kolumbii, ale także z Wenezueli, tłumaczy generał. Lewicowi kolumbijscy partyzanci FARC przechodzą przez zieloną granicę do Wenezueli, by organizować stamtąd loty i w ten sposób uniknąć bardziej szczegółowej kontroli w Kolumbii. Takie oskarżenia wpasowują się w konflikt prawicy z lewicą, jaki trwa w Ameryce Południowej. Konserwatyści wysuwają kwestię narkotyków, by rugać lewicowego przywódcę Wenezueli Hugo Chaveza. Płomienny Chavez twierdzi, że romans CIA z *narco* trwa od dziesięcioleci.

Niezależnie od tego, kto eksportuje kokainę z Kolumbii, to Meksykanie są odbiorcami przesyłek wartych miliony dolarów. Kartel z Sinaloa jest szczególnie aktywny w Hondurasie, mówi general Gonzalez. Krążą ponoć plotki, że ukrywa się tam Chapo Guzman. „Dotarły do nas takie informacje z różnych źródeł. Próbowaliśmy go zlokalizować, ale bez skutku. Może nigdy go tu nie było. Z drugiej strony może to właśnie tutaj się ukrywa", mówi Gonzalez z uśmiechem. Jednak inne gangi nie chcą pozostać w tyle i dają o sobie znać. Są to niesławni Zetas oraz miłośnicy Biblii i ucinania głów z Michoacan-Familia. Kiedy zwalczające się gangi

spotykają się w Hondurasie, zaczynają się bitwy.

Meksykańscy gangsterzy zatrudniają miejscowych opryszków, opowiada Gonzalez. By mieć nad nimi kontrolę, kartele mordują swoich „pracowników” za nieposłuszeństwo, co powoduje dalszy rozlew krwi. Meksykańscy szefowie współpracują także z tutejszymi brutalnymi gangami: Mara Salvatrucha i Barrio 18. Honduraskie bandziory rozprowadzają na tutejszym rynku spore ilości narkotyków kupowanych od karteli, pracują też jako płatni zabójcy. Uważa się, że kilka brutalnych zabójstw popełnionych przez wspomniane gangi zostało zleconych przez meksykańskich bossów.

„Bruta1ność 1udzi Mara Salvatrucha jest tak czy siak naszym społecznym problemem. Ale gdy mają wsparcie potężnych międzynarodowych organizacji, takich jak kartele z Meksyku, stają się jeszcze groźniejsi. Boimy się, że w przyszłości przestępcy staną się jeszcze lepiej zorganizowani, lepiej uzbrojeni i będą stanowili jeszcze większy problem”.

Rozmawiałem z generałem Gonzalezem w czwartek. We wtorek, podczas śniadania, zadzwonił mój telefon. Generał został zamordowany. *Sicarios* dopadli go, gdy wcześnie rano wiózł swoją siedmioletnią córkę do szkoły. Podjechali do jego samochodu na motocyklu i wystrzelili w jego kierunku 11 pocisków, trafiło go 7. **[11]**

Jak dotychczas nikt nie został aresztowany. Wygląda to na mord typowy dla kolumbijskich *sicarios*, którzy często atakują z motocykli. Któż jednak wie, jaka jest prawda? W poniedziałek, dzień przed śmiercią, generał zwołał konferencję prasową, na której powtórzył, że oddziały FARC kontrolują odloty samolotów pełnych kokainy z Wenezueli. W ciągu wielu lat pracy generał dorobił się wielu wrogów wśród handlarzy, już w 2008 roku dostawał pogróżki z niewiadomego źródła.

Mimo tego zagrożenia Gonzalez nie korzystał z usług ochroniarzy. Wdowa po nim, Leslie Portillo, została zapytana o to po pogrzebie generała**[12]**. Z oczami pełnymi łez odpowiedziała, że na-

legała, by zadbał o swoje bezpieczeństwo, ale pozostawał nieugięty. „Pytałam go, czy zamierza zapewnić sobie ochronę. Odpowiedział mi, że ochrania go Bóg, który idzie za nim krok w krok”.

ROZDZIAŁ 15
Dywersyfikacja

Przewrotność ludzi złych zmusza dobrych do uciekania dla własnego bezpieczeństwa... W takim stanie nie ma miejsca na pracowitość, albowiem niepewny jest owoc pracy... nie ma też społeczności. A co najgorsze, jest bezustanny strach i niebezpieczeństwo gwałtownej śmierci. I życie człowieka jest samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie.

Tomas Hobbes, *Lewiatan*

Po obejrzeniu filmu udostępnionego dziennikarzom przez dowódcę policji mam koszmary. Jest to najbardziej przerażające nagranie, jakie kiedykolwiek widziałem. Jest gorsze niż widok ciał na faszerowanych pociskami, gorsze niż obcięte głowy wystawione na widok publiczny czy obrazy ludzi Zetas strzelających w głowę więźniom. Jest to film o wiele gorszy niż rozmowy gangsterów o obcinaniu głów czy głuche echo strzałów na upalnych ulicach. Na tym filmie nie ma scen zabójstwa ani zadawania ran. Jest tam jednak okrucieństwo w najczystszej postaci.

Na filmie widać, jak dziecko siedzi po turecku na szarym dywanie, tłem jest biała zasłona. Chłopiec ma około 13 lat i jest przeraźliwie chudy. Jest nagi, jego twarz i usta zasłonięte są białym bandażem, ręce ma związane sznurem. Jego głowa jest pochylona i drży, widać, że bardzo cierpi. Głos zza kamery warczy: „Zaczynaj", Chłopiec mówi. Jego głos drży, słychać w nim niewypowiedziany ból.

„Mamo, daj im te pieniądze. Wiedzą, że mamy firmę i trzy domy Proszę, zrób to, bo obetną mi palec. Oni wiedzą, gdzie mieszka ciotka Guadalupe. Proszę, zrób to teraz. Chcę stąd wyjść, mamo".

Szorstki głos zza kamery pyta:

„Cierpisz czy jest ci dobrze?"

„Nie! Jest mi bardzo źle!"

Wtedy zaczyna się bicie. Najpierw ktoś kopie chłopca w głowę. Potem uderza go pasem i znowu mocno kopie w głowę. Następnie ten sam bandyta odwraca chudego, nagiego chłopca plecami do kamery, by pokazać ślady bicia pasem. Nie sposób na to patrzeć. Bicie trwa w nieskończoność. Chłopiec błaga o litość, jęczy z bólu i powtarza: „Nie, nie, nie". Oprawca mówi przez cały czas, zwracając się do matki, do której adresowany jest film:

„Tego chcesz, suko? To początek końca, ostrzegam cię. Od ciebie zależy, jak daleko się posuniemy. Następny będzie palec. Tego chcesz? Wszystko zależy od ciebie. Chcę sześć milionów peso".**[1]**

Nie jestem w stanie ogarnąć cierpienia ojca czy matki oglądających ten film. Podobnie jak nie potrafię ogarnąć ran fizycznych i psychicznych zadawanych temu trzynastoletniemu chłopcu.

W Meksyku więzy rodzinne są bardzo silne. Rodzice często rozpieszczają dzieci o wiele bardziej niż w mojej ojczystej chłodnej Anglii. Kiedy dwudziestoletnia dziewczyna wychodzi wieczorem z domu, rodzice czekają czasem nawet do 4 rano, aż wróci. Starszy wujek idzie do szpitala ze złamaną kostką i w ciągu kilku godzin zbiera się tam mnóstwo jego krewnych, by przekonać się, czy wszystko z nim w porządku. W meksykańskiej rodzinie jest niesamowicie dużo miłości, trudno więc pojąć, że w tej samej kulturze rodzą się ludzie zdolni w tak okrutny sposób na tej miłości żerować. Na tym bowiem opierają się porwania dla okupu, czyli zmuszanie ludzi, by oddali wszystko, co udało im się zdobyć przez całe życie, aby przerwać cierpienia ukochanej osoby.

Meksykanom także trudno jest pojąć takie okrucieństwo. Kiedy informuje się o takich aktach bestialstwa, ludzie reagują furią. Po aresztowaniu pewnego gangu porywaczy na stronie internetowej największej gazety w Meksyku, „El Univesal", pojawiły się następujące komentarze:

Kula w głowę. Takie ścierwo nie powinno żyć.

Mam nadzieję, że Bóg przyjdzie z pomocą, bo tylko on może wymierzyć tu sprawiedliwość.

Ścierwo. Powywieszać na drzewach.

Poćwiartować i nakarmić nimi psy.

Takie wezwania do zemsty są zrozumiałe, ponieważ ludzie są sfrustrowani i bezradni. Porwania dla okupu to najokrutniejsze ze zbrodni i wraz z eskalacją meksykańskiej wojny narkotykowej liczba takich uprowadzeń dramatycznie wzrosła. Badanie zlecone przez rząd wykazało, że pomiędzy 2005 a 2010 rokiem liczba zarejestrowanych porwań w Meksyku wzrosła o 317 procent[2]. W 2010 było średnio około 3,7 porwania dziennie, co w sumie dało 1350 w ciągu roku. Służby walczące z tym zjawiskiem mówią, że na każde zgłoszone porwanie może przypadać nawet do 16 niezgłoszonych. Porywcze grożą, że jeśli zawiadomiona zostanie policja, ucierpi zakładnik. Ogromna liczba rodzin została skrzywdzona, szacuje się, że Meksyk jest najgorszym pod względem porwań krajem na świecie.

Czas tak gwałtownego wzrostu liczby porwań nie jest przypadkowy. Wielu bandziorów powiązanych bezpośrednio z kartelami zajmuje się też uprowadzeniami. Gangiem, który słynie z tego, że porywa ludzi dla okupu, jest Ze Las. Przestępcy ci nie tylko toczą brutalne boje z policją i wojskiem, by chronić transporty kokainy, lecz także wyłudzają miliony dolarów od zrozpaczonych rodzin. Dla oddziałów, które mają reputację bardzo groźnych i które są doskonale uzbrojone, porwania są łatwym pieniądzem zarabianym niejako przy okazji.

Porwania są tylko jednym z nowych kierunków rozwoju obranych przez Zetas. Gangsterzy zajęli się także ściąganiem haraczu od właścicieli barów i dyskotek, wymuszaniem daniny od sklepikarzy i prostytutek, kradzieżą samochodów, ropy naftowej i paliwa, zarabianiem na nielegalnych imigrantach oraz na robieniu pirackich kopii wydań DVD najnowszych hitów kinowych oznaczonych znakiem firmowym Zetas. Określenie „grupy handlujące narkotykami” przestaje być w ich przypadku wystarczające, stanowią bowiem „paramilitarny kompleks o charakterze przestępczym”.

Podjęcie przez El Narco nowych działań przestępczych było w

Meksyku procesem szybkim i nader bolesnym. Pewien dziennikarz w Ciudad Juárez powiedział mi: „Do dwa tysiące ósmego roku o płaceniu za osobistą ochronę słyszeliśmy tylko w starych amerykańskich filmach o Alu Capone. Aż tu nagle każdy biznes w mieście musi piacie daninę". Jak często dzieje się to w tej wojnie narkotykowej, skuteczna strategia jest błyskawicznie powielana przez inne kartele, W jednym miesiącu słychać, że Zetas wymuszają pieniądze od przedsiębiorców, w następnym dowiadujemy się, że Familia domaga się od ludzi pieniędzy za „ochronę, a potem wymuszeniami zajmuje się organizacja Beltrana Leyvy. To logiczny ciąg – kiedy gangsterzy widza nowy sposób, w jaki ich rywale zarabiają krocie, oni także chcą uszczknąć kawałek tego tortu. Takie zróżnicowanie działań organizacji przestępczych stało się w Meksyku złowrogim trendem i przyszłość tego kraju maluje się w ciemnych barwach.

Organizacje przestępcze maja dwa podstawowe pola działania: moga zaoferować coś, czego legalny rynek nie jest w stanie dać, mogą także kraść lub zajmować się nielegalnym zawłaszczaniem mienia. W tej pierwszej kategorii mieszczą się: handel narkotykami, prostytucja, piractwo i fałszerstwo, hazard, handel bronią oraz przerzucanie imigrantów. Do drugiej zaliczają się porwania, kradzież towarów oraz samochodów i napady na banki.

Pierwsza z tych kategorii zdecydowanie mniej daje się we znaki gospodarce. Obracając narkotykami, szerząc prostytucję czy hazard, gangi przynajmniej powodują ruch pieniądza. Zastraszanie i porwania natomiast sieją grozę w społeczeństwie, odstraszają inwestorów i wykańczają przedsiębiorców. Stowarzyszenia biznesowe w Ciudad Juárez nie narzekały, gdy gangi przepychały przez miasto tony narkotyków na północ, a z powrotem przywoziły miliardy dolarów. Gdy jednak gangsterzy zaczęli nękać tutejszych przedsiębiorców, ci zwrócili się do Organizacji Narodów Zjednoczonych o przysłanie wsparcia i opanowanie sytuacji[3]. Szantaże i wymuszenia uderzają ich po kieszeni. Z punktu widzenia zwykłego człowieka ewolucja gangów od handlu narkotykami do porwań i wymuszeń jest przerażająca. Co więcej, naru-

sza i tak nadwyrężone struktury społeczeństwa w udręczonym przez kartele Meksyku. Ludzie żyją w ciągłym strachu, boją się niemal każdego: sąsiada, mechanika czy sprzątaczki, bo każdy może przecież współpracować z gangiem porywaczy. W ten sposób Meksyk staje się miejscem pełnym lęku i paranoi.

Maria Elena Morera jest jedną z wyróżniających się aktywistek walczących z porwaniami. Aktywiści tacy jak ona stoją na czele społecznego ruchu, który próbuje przełamać ten szkodliwy społecznie trend. Na razie ich starania są bezowocne. W przyszłości jednak to właśnie takie ruchy mogą okazać się rozwiązaniem problemu przestępczości w Meksyku.

Maria twierdzi, że nigdy nie aspirowała do roli postaci publicznej. Urodziła się w 1958 roku w rodzinie pochodzącej z Katalonii, jest wysoką blondynką, z zawodu dentystką, która przez szereg lat leczyła ludziom zęby, żyła w szczęśliwym małżeństwie i wychowywała trójkę zdrowych dzieci. W 2000 roku jej świat stanął na głowie. Pewnego dnia mąż nie wrócił z pracy. Próbowała dodzwonić się na jego komórkę, bez skutku. Zadzwoniła do biura, gdzie nikt go tego dnia nie widział. Wtedy zatelefonował do niej ktoś, kto opryskliwie przekazał jej jedną z najgorszych możliwych wiadomości: jej mąż został porwany.

„Nie da się opisać słowami, jaka potworna była to chwila. Czujesz, że dzieje się coś okropnego i nie możesz uwierzyć, ze to dzieje się naprawdę. Nie możesz uwierzyć, że przydarza się to tobie. Ale to nie sen i musisz znaleźć siły, by się z tym zmierzyć".

Maria Elena opisuje swoje doświadczenie po wielu latach. Opowiadała tę historię setki razy, jednak wciąż jest to dla niej bolesne. Ńa jej twarzy maluje się gorycz, głos drży, podczas rozmowy wypala pół paczki papierosów. Jej koszmar nie chciał się skończyć. Porywacze znęcali się nad jej mężem, biznesmenem, domagając się milionów dolarów okupu. Była to kwota, której rodzina nie była w stanie zgromadzić. Kazano jej odebrać paczkę pozostawioną na poboczu drogi. Udała się pod wskazany adres i znalazła kopertę. Był w niej środkowy palec jej męża obcięty przy samej

nasadzie. Tydzień później przysłano kolejny palec, w następnych tygodniach otrzymała jeszcze dwa. „Jak radzić sobie z czymś takim? – pytam. Jak dojść do siebie?”. Maria Elena odpowiada powoli:

„Po czymś takim nigdy nie dojdziesz do siebie. Zostaje to z tobą na całe życie, coś takiego cię zmienia. Coś w tobie umiera. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiał mój mąż. Masz poczucie, że to wszystko twoja wina. To wypala cię od środka”.

Maria zrobiła coś, czego obawia się większość ludzi: poszła na policję. Żądała, by zaczęli działać, pomagała im ustalić, skąd dzwonili gangsterzy. Jej mąż był zakładnikiem od 27 dni, kiedy agenci federalni namierzyli miejsce, gdzie był przetrzymywany i przypuścili na nie szturm. Aresztowano kilku członków gangu, w tym lekarza, któremu płacono za obcinanie palców zakładnikom. Jej mąż był wolny, ale jego życie już nigdy nie miało być takie samo.

Nie był to jednak kres ich cierpienia. Mąż Marii wycofał się z życia, stał się obcy. Nie chciał chodzić na terapię. Maria również czuła, że nie potrafi żyć jak dawniej. Jedyną rzeczą mającą dla niej sens była walka z procederem, który tak okaleczył jej rodzinę. Chciała ustrzec innych przed podobnymi udrękami. Przyłączyła się do ogólnomeksykańskiej grupy obywateli przeciwstawiających się przestępczości (Mexico Unido contra la Delincuencia) i wkrótce stanęła na jej czele. Słuchała ludzi, którzy padli ofiarą porwań, gwałtów i innych form przemocy, szukała dla nich pomocy psychologicznej i prawnej. Zbierała także dane statystyczne, mające ukazać rozmiary problemu. Mąż Marii wystąpił w kampanii społecznej wspierającej jej działania. Na filmie siedzi przed kamerą w białej koszulce polo.

„Kiedy porywacze obcięli mi pierwszy palec, czułem ból. Kiedy obcięli drugi, poczułem strach. Kiedy straciłem trzeci, byłem wściekły. Po czwartym palcu poczułem siłę, by domagać się od władz, żeby wzięły się do pracy, by uratowały nasze zastraszone miasto. I jeśli ich ręka się zawaha, ja podam im moją”.

Wyciąga ręce do kamery, w prawej brakuje małego palca, w le-

wej małego, serdecznego i środkowego. Kikuty są różnej długości, podkreślając obraz wyjątkowego okrucieństwa.

Inna aktywistka, Isabel Miranda de Wallace, posunęła się w swoich działaniach krok dalej. Po tym, jak porywacze zabili jej syna, tak długo prowadziła dochodzenie na własną rękę, aż władze nadały jej oficjalnie status śledczego. Po pięciu latach udało jej się znaleźć wszystkich winnych i doprowadzić do ich aresztowania. To ogromne osiągnięcie, które jednocześnie obnaża potworną słabość meksykańskiego aparatu dochodzeniowego.

Ruch sprzeciwu wobec przestępczości stał się zjawiskiem na skalę krajową. Udało się zorganizować dwa wielkie marsze protestu przeciwko niskiemu poziomowi bezpieczeństwa, za każdym razem na ulice wyszło ćwierć miliona ludzi wzywających rząd do działania. Z początku ruch ten został wciągnięty przez polityków w ich przepychanki i wykorzystywany przez nich do punktowania oponentów. Problemem są także duże różnice klasowe w Meksyku. Niektóre głosy z lewicy oskarżają aktywistów o to, że są bogatymi burżujami głuchymi na problemy ubogich Meksykanów. Taka polaryzacja osłabia odporność społeczeństwa na przemoc.

Jednak największym problemem jest to, że w porwania zaangażowały się kartele narkotykowe. Kiedy to zjawisko zwróciło uwagę w latach dziewięćdziesiątych, stali za nim głównie działający na własną rękę przestępcy nie mający nic wspólnego ze zorganizowaną przestępczością. Jednym z takich zwyrodnialców był Daniel Arzimendi, zwany Kolekcjonerem Uszu, ekspolicjant z leżącego niedaleko stolicy przemysłowego miasta Toluca. Temu długowłosemu sadyście, podobnemu z wyglądu do Charlesa Mansona, udało się zgromadzić wiele milionów dolarów pochodzących z okupów, nim policja zamknęła go w więzieniu o zaostrzonym rygorze**[4]**.

Niebawem cyngle powiązani z kartelami zajęli się porwaniami w stanie Sinaloa. Jeden z gangów znany był jako „obcinacze palców”. Współpracowali z osobami uprawiającymi marihuanę i

przemytnikami w górach, porywając przy okazji członków rodzin bogatych ranczerów. Ich najbardziej znaną ofiarą był syn piosenkarza Vincente Femandeza, któremu gangsterzy obcięli palec, nim ojciec wpłacił okup wynoszący ponoć 2,5 miliona dolarów[5]. Po tym, jak lokalni biznesmeni wpadli w furię, kartel z Sinaloa miał zabronić porwań w ich regionie. Karą za złamanie tego zakazu jest śmierć.

Zjawiam się w miejscu, gdzie popełniono morderstwo będące najprawdopodobniej skutkiem wymierzania sprawiedliwości przez kartel. Ciała dwóch mężczyzn porzucono na poboczu drogi. Widać na nich ślady tortur, ich głowy zostały przestrzelone. Obok ciał znajduje się wiadomość: *Pieprzeni porywacze, Co z wami? Bierzcie się do roboty!* Żelazny zakaz okazał się skuteczny. Stan Sinaloa, kolebka meksykańskich karteli, ma jeden z najniższych wskaźników porwań w kraju. Mafia oferuje tam też swoje usługi ochroniarskie ludziom z klasy średniej i wyższej.

Jednak gdy Kartel z Sinaloa zabrania uprowadzeń na swoim terenie, bandyci związani z tą organizacją trudnią się porwaniami w innych częściach Meksyku. W 2007 roku nieustępliwy magazyn „Zeta" opublikował artykuł o porwaniach w Tijuanie dokonanych przez Kartel z Sinaloa. *Dla mafii życie ludzi z Baja California jest niewiele warte,* brzmiały pierwsze słowa artykułu dowodzącego, że fala uprowadzeń przedsiębiorców w Tijuanie wiązała się z gangiem „obcinaczy palców" z Sinaloa[6]. Lokalny szef komórki kartelu z Sinaloa oskarżony został także o porwania mennonitów z ich kolonii w stanie Chihuahua.

Takie kontrasty są charakterystyczne dla zorganizowanej przestępczości w Meksyku. W jednym miejscu mafia jawi się jako obrońca i gwarant sprawiedliwości, w drugim jest prawdziwą plagą. Kartel Familia chlubi się egzekucją porywaczy w swoim ojczystym stanie Michoacan, jednak tuż za granicą stanu Meksyk ludzie Familii oskarżani są o liczne porwania dla pieniędzy, z których kartel finansuje swoją działalność w tej okolicy.

Od 2008 roku, czyli w czasie, gdy meksykańska wojna narko-

tykowa stawała się coraz bardziej brutalna, wzrosła także liczba porwań. Wielu widzi w tym reakcję karteli na skuteczne akcje przechwycenia towaru i wynikłe z tego straty finansowe. Rząd uważa, że porwania dowodzą, iż kartele są zdesperowane i tonąc, uciekają się do tego ostatecznego środka. Widać jednak także, że liczba porwań zwiększyła się z powodu ogólnego bezprawia i powszechnej przemocy. Kiedy policjanci sami są porywani i mordowani, szanse na to, że znajdą ciebie lub twoich uprowadzonych bliskich dramatycznie maleją.

Początkowo, w latach dziewięćdziesiątych, porywano osoby bogate, jednak teraz wiele ofiar pochodzi z klasy średniej, w tym również z uboższej jej części. Porywacze żądają od 5 do 50 tysięcy dolarów – czyli wystarczająco dużo, by pozbawić średnio zamożnych Meksykanów oszczędności całego życia lub zmusić ich do sprzedaży domów. Często porywani są lekarze, właściciele warsztatów samochodowych, inżynierowie oraz każdy, o kim wiadomo, że dostał dużą odprawę. Ludzie mający bliskich krewnych, zarabiający dolary w USA, również często są brani na cel.

O uprowadzenia oskarżani są najczęściej najgorsi z meksykańskich gangsterów – Zetas. Jest to jedno z głównych źródeł dochodu tej organizacji przestępczej, jej ludzie porywają więc na masową skalę. Mówi się, że Zetas mają w miastach od Gwatemali aż po Zatokę Meksykańską listy osób, które mogą być źródłem kidnaperskiego dochodu. Pewien biznesmen porwany w miejscowości Tampico w 2010 roku powiedział, że zna około 50 porwanych osób w swoim mieście.

Ofiarami porwań Zetas stali się też mniej zamożni imigranci z Ameryki Środkowej. Terytorium na wschodzie Meksyku znajdujące się pod kontrolą Zetas jest jednym z najaktywniejszych korytarzy przerzutowych ludzi z południa, którzy chcą dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Przeważająca większość z nich pochodzi z Hondurasu, Salwadoru i Gwatemali. Podróżują pociągami towarowymi, następnie autobusami, by na koniec pokonać wpław Rio Grande. To naprawdę trudna droga do amerykańskiego snu. A często za sprawą Zetas staje się koszmarem.

Biedni imigranci mogą wydawać się dziwnym celem dla porywaczy. Nie są przecież zamożni, dlatego narażając życie, emigrują. Jednak nawet ubodzy ludzie mają lepiej sytuowanych krewnych, więc Zetas udaje się zarobić do 2 tysięcy dolarów za imigranta. Jeśli pomnożyć tę kwotę przez 10 tysięcy, uzyskuje się 20 milionów dolarów. Porwania takie są zjawiskiem masowym.

Ten przygnębiający proceder opisany został szczegółowo przez Oscara Martineza, dzielnego salwadorskiego dziennikarza, który spędził rok, podążając krok w krok za swoimi rodakami mrocznymi szlakami prowadzącymi przez Meksyk do Stanów, przeskakując wraz z nimi z pociągu do pociągu, sypiając z nimi w tanich noclegowniach i wysłuchując ich przerażających opowieści. Oscar prześledził dzieje masowych porwań aż od 2007 roku. Jak pisze, było to zjawisko ignorowane przez całe lata z dwóch powodów: dziennikarzom za pisanie o nim grożono śmiercią, a los tak ubogich ludzi nie interesował opinii publicznej.

Około roku 2009 tragedia zaczęła być zauważana. Meksykańska Komisja Praw Człowieka opublikowała raport oparty na zeznaniach porwanych imigrantów. Według szacunków w ciągu pól roku dokonano tysięcy porwań. Skała procederu była niewiarygodna**[7]**. Idąc na ilość, porywacze Zetas „aresztują” duże grupy ludzi w pociągach, autobusach lub w czasie wędrówki przez dzicz. Otrzymują wsparcie od całej sieci ludzi będących na ich garnuszku, w tym skorumpowanych lokalnych policjantów. Sami pochodząc ze społecznych nizin, Zetas są szczególnie skuteczni w korumpowaniu policyjnych szaraków.

Porwani imigranci zabierani są na rancza, gdzie są przetrzymywani do czasu, aż ich krewni w Stanach lub Ameryce Środkowej przyślą pieniądze. Okupy zwykłe wysyłane są przez systemy przekazów pieniężnych, na przykład Western Union. Takie obozy istnieją we wschodnich częściach Meksyku, szczególnie w stanie Ta ma ul i pas, w pobliżu granicy z Teksasem, w Veracruz i Tabasco.

Jeden z takich obozów urządzono na ranczu o nazwie Victoria, leżącym nieopodal miasta Tenosique na bagnistym południu.

Makabryczna historia tego miejsca zawiera się w zeznaniach zebranych przez obrońców praw człowieka. W czerwcu 2009 roku 52 imigrantów zostało uprowadzonych z pociągu towarowego przez 15 uzbrojonych ludzi. Kiedy zbliżali się do obozu, porywacze oznajmili: „Jesteśmy Zetas jeśli ktokolwiek się ruszy, zginie". Wybrali kilku pojmanych, nakazali im uklęknąć i bili ich w plecy i pośladki drewnianą deską. Jest to forma tortury tak powszechna u Zetas, że ukuli własne określenie: *tablear*. Wywołuje ogromny ból, może uszkodzić organy wewnętrzne i zostawia widoczne ślady. Porywacze ponadto głodzili swoje ofiary, dusili je workami foliowymi i tłukli kijami bejsbolowymi. Uprowadzone kobiety były wielokrotnie gwałcone.

Dwojgu imigrantów udało się pewnej nocy zbiec. Na bagna ruszyła za nimi grupa ludzi kartelu. Imigranci nie znali okolicy. Zetas z kolei pochodzili z tych stron, więc znali ją jak własną kieszeń. Uciekinierów znaleziono i przywieziono z powrotem do obozu. Gangsterzy zabili ich strzałem w głowy na oczach przerażonych więźniów.

Aby lepiej zrozumieć to zjawisko, pojechałem do schroniska dla emigrantów na południu stanu Oaxaca. Usłyszałem tam historie wielu ludzi, którzy przeżyli porwanie. Był wśród nich Edwin, czarny mieszkaniec Hondurasu. Miał 20 lat, łagodne oczy i zadbane dredy. Zetas złapali go wraz z grupą 65 emigrantów w stanie Veracruz i wieźli samochodem setki mil do Reynosy, tuż przy granicy. „Jedyne, o czym myślałem, to czy umrę, wspomina Edwin. Myślisz, że zabiorą cię w jakieś miejsce i tam zabiją".

Edwin był więziony przez 4 miesiące. Dostawał jedzenie raz dziennie: jajko na twardo i fasolę. Została z niego skóra i kości. Został uwolniony, gdy jego rodzina zapłaciła okup – 1400 dolarów. Dla nich to był majątek. Mówił, że bał się znów jechać do Meksyku, ale zmusiła go do tego bieda. „W moim kraju życie jest ciężkie i nie mam innego wyjścia, muszę wyjechać do Meksyku. Mam nadzieje, że Bóg będzie nade mną czuwał".

Masowymi porwaniami zainteresowały się międzynarodowe organizacje zajmujące się prawami człowieka, w tym Amnesty

International, która opisała to zjawisko jako „poważny kryzys praw człowieka”[8]. Rządy jednak były przygnębiająco bierne, aż do sierpnia 2010 roku. Masakra, do której wtedy doszło, wstrząsnęła światem.

Masakra w San Fernando była jednym z kluczowych wydarzeń meksykańskiej wojny narkotykowej. Była dowodem dla każdego, kto podawał w wątpliwość, że na południe od Rio Grande trwa prawdziwa wojna. Ci jednak, którzy przyglądali się uważnie napaściom na imigrantów, wiedzieli, że prędzej czy później dojdzie do czegoś takiego.

Zdarzenia w San Fernando rozpoczęły się jak każde inne porwanie. Uzbrojeni Zetas zatrzymali swoje ofiary pod pozorem kontroli i uprowadzili ludzi z dwóch autobusów. W grupie było dużo osób z Ameryki Środkowej, ale, co nietypowe, było tam też wielu obywateli Brazylii i Ekwadoru. Przestępcy kazali im iść na ranczo San Fernando w stanie Tamaulipas, około 250 kilometrów od granicy z USA. jednak coś poszło nie tak i Zetas postanowili ich wszystkich zamordować.

Skala tej masakry wprawiła świat w osłupienie. Dookoła stodoły z pustaków leżały 72 ciała w makabrycznych pozach. Były tam nastolatki, mężczyźni w średnim wieku, młode dziewczyny, a nawet kobieta w ciąży. Takiej potworności nie sposób zignorować.

Jak to możliwe, pytali wstrząśnięci ludzie, że do takiej masakry, porównywalnej do najgorszych wojennych zbrodni, mogło dojść w jednej z lepiej rozwiniętych części Meksyku? Wydarzenie w San Fernando obnażyło problem erozji społecznej w tym kraju. W ogólnonarodowej dyskusji, która wybuchła po tej tragedii, często powtarzano jedno wymowne słowo: *vergüenza*, czyli „wstyd”. Cóż mogły powiedzieć inne kraje, widząc, na co pozwalają Meksykanie? Jakie prawo miał teraz Meksyk, by narzekać na złe traktowanie Meksykanów w USA?

Okoliczności tej masowej egzekucji nadal są niejasne. Większość szczegółów znana jest dzięki dziewiętnastoletniemu Ekwa-

dorczykowi, który ocalał z rzezi. Kiedy bandyci otworzyli ogień, pocisk przeszedł przez szyję chłopaka i wyszedł żuchwą. Przewrócił się, ale był przytomny. Odczekawszy cierpliwie wiele godzin, wstał i słaniając się, uciekał wiele kilometrów. Minął po drodze kilka osób, ale wszyscy byli zbyt przerażeni, by mu pomóc. Strach przed kartelami okazał się silniejszy niż chęć niesienia pomocy umierającemu. Chłopak dotarł w końcu do posterunku wojska. Dzień później na ranczo wpadli marines i znaleźli ciała[9]. Dziennikarzom jednak nigdy nie udało się usłyszeć pełnej relacji Ekwadorczyka, ponieważ dla jego bezpieczeństwa przetrzymywano go w bazie wojskowej, a następnie wysiano do ojczyzny. Chłopak wciąż boi się o życie.

W Meksyku powinno się przeprowadzić bezlitosne śledztwo. Wkrótce jednak stało się jasne, że postępowaniu ukręca się łeb. Najpierw został zamordowany zajmujący się tą sprawą prokurator. Potem ktoś zadzwonił do policji z informacją, że trzech zabitych znalezionych przy drodze to ludzie odpowiedzialni za masakrę. Wyglądało na to, że sami Zetas postanowili wymierzyć sprawiedliwość.

Rodziny chowające swoich krewnych domagały się jednak prawdy. Dlaczego komukolwiek mogło zależeć na takim bestialstwie? Czy była to wiadomość dla innych, by nie stawiali oporu? A może ci konkretni imigranci okazali się za biedni, by zapłacić okup? Czy się zbuntowali? A może dowódca Zetas był przerażającym zwyrodnialcem? Być może nigdy nie uzyskamy odpowiedzi na te pytania.

Istnieje obawa, że ta masakra może nie być jedyną. Salwadorski dziennikarz Oscar Martinez dowiedział się o niezliczonych imigrantach, którzy przepadli bez śladu podczas drogi przez Meksyk. Władze powinny przekopać ziemię wokół rancz wykorzystywanych przez porywaczy jako obozy, pisze dziennikarz. Obawia się, że mogą tam znaleźć groby, w których leżą tysiące zabitych.

Zetas sięgają także po mniej krwawe sposoby, by zarobić pieniądze. Zajmują się na przykład produkcją pirackich DVD. Gang-

sterzy wydają własne wersje przebojów kinowych, które później trafiają na stragany w całym Meksyku. W rękach mam firmowane przez Zetas wydanie horroru *Resident Evil.* Na okładce widać marnej jakości fotosy z filmu oraz znak firmowy Producciones Zeta – niebieskie litery w prawym górnym rogu. Sprzedawcy mówią mi, że kupują takie wydanie za 10 pesos (80 centów). Kartel wymaga jednak od sprzedawcy, by nie brał towaru od żadnych innych dostawców. W zamian Zetas obiecują ochronę przed policją.

W przypadku piractwa przynajmniej pieniądz krąży i nie jest wyprowadzany poza gospodarkę. W rzeczywistości kartele czerpią korzyści z czarnego rynku, który istniał, zanim te organizacje przestępcze zyskały dzisiejsze znaczenie. Olbrzymi czarny rynek tolerowany był przez władze kraju przez długie lata. W 2010 roku bank Banamex oszacował, że około 30 procent siły roboczej Meksyku to ludzie pracujący na czarno, niepłacący podatków ani nieobjęci ubezpieczeniem**[10]**. Całe miliony pracują jako uliczni sprzedawcy, handlują na straganach, przystankach i chodnikach. Ci *ambulantes*, bo tak są nazywani, rozprowadzają też towary przywiezione nielegalnie ze Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim jednak sprzedają miliony pirackich wydań płyt CD, DVD i gier komputerowych. Oryginalny film DVD w Meksyku można kupić za 20 dolarów, kopie pirackie są do kupienia za 2 dolary. Dostępne jest niemal wszystko, od najnowszych odcinków produkowanego przez HBO *Prawa ulicy* po filmy jeszcze przed premierą kinową. Jak szacują wytwórnie, na każde 10 filmów sprzedawanych w Meksyku 9 to „piraty”. Kartele widzą w tym rynku olbrzymi potencjał.

Przemysł usług seksualnych również rozwijał się w Meksyku przez całe wieki. Prostytutki pracujące na ulicach, kluby ze striptizem, panie do towarzystwa w *cantinas* oraz burdele i salony masażu prosperują jak Meksyk długi i szeroki. Kartele niewiele muszą dodać od siebie, mogą za to nałożyć na pracujących w tej branży haracz. Tym ludziom trudno odmówić. Pewnego wieczoru udałem się w Ciudad Juárez do burdelu, którego właściciel

nie zdecydował się zapłacić mafii. Gangsterzy rzucili na ten przybytek bomby zapalające w chwili, gdy przebywał tam klient. Zarówno on, jak i prostytutka, z którą był, zostali odwiezieni do szpitala z poważnymi oparzeniami.

Wymuszenia dokonywane przez kartele w Ciudad Juárez wzmogły się nagle, i to bardzo znacząco. Rozmawiałem z burmistrzem miasta, Jose Reyesem Ferrisem, który rządził Ciudad Juárez w latach 2007–2010, kiedy kartele zaczęły nakładać na ludzi „podatek". Mówiąc nieskazitelnym angielskim, ten wykształcony w Stanach urzędnik opisuje, jak proceder rozrósł się w ciągu kilku miesięcy 2008 roku, kiedy wybuchła wojna narkotykowa.

„Przestępcy zaczęli najpierw domagać się opłaty za ochronę od właścicieli komisów samochodowych, czyli miejsc od zawsze mających związki z przestępczością zorganizowaną. Następnie wyciągnęli rękę po bary, apteki i zakłady pogrzebowe. Potem zaczęli płacić im lekarze i szkoły. A potem płacili już niemal wszyscy".

Przedsiębiorcy płacą mafii stosunkowo mało: właściciel baru musi wyłożyć 400 dolarów miesięcznie, duży sklep spożywczy – 500. Gdy jadę samochodem z burmistrzem Ferrisem, mijam kilka spalonych i zabitych deskami budynków, których właściciele nie zapłacili gangsterom.

„Było to bardzo szkodliwe dla przedsiębiorczości. Jako miasto nie mamy jednak odpowiednich środków, nie mogłem przeciwstawić się mafii. Dlatego poprosiłem o pomoc wojsko i przekazałem im zabezpieczenie ulic. jednak nawet im nie jest łatwo".

Zapytałem, kto dokładnie zajmuje się wymuszeniami. Odpowiedź, jakiej mi udzielił, jest znacząca. Wymuszenia przybrały na sile tuż po tym, jak Ferris dokonał czystki w policji i zwolnił 600 skorumpowanych funkcjonariuszy. Policjanci ci byli od dawna podejrzewani o współpracę z Kartelem z Juárez oraz o inne przestępstwa. Niektórzy z nich zostali później aresztowani za udział w wymuszeniach. Przywodzi to na myśl walkę z partią Baas w Iraku. Kiedy wspierane przez Stany władze w Iraku usunęły

urzędników reżimu Saddama Husajna, ci przystąpili do zbrojnej opozycji. Kiedy Ferris zaprowadził porządek w policji w Ciudad Juárez, zdeprawowani policjanci rzucili się do odwetu.

Część z tych, którym trzeba w Ciudad Juárez płacić za bezpieczeństwo, to korzystający z dogodnej okazji przestępcy działający na własną rękę. Często jednak wymuszeniami zajmują się ludzie powiązani z kartelami, na przykład gangsterzy pracujący dla Barrio Azteca. Zastraszonym przedsiębiorcom nie jest łatwo rozeznać się, kim jest osoba żądająca haraczu, przy tej liczbie morderstw lepiej jednak płacić. Innym wyjściem, stosowanym przez wielu ludzi z klasy średniej w Ciudad Juárez, jest wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

W innych częściach Meksyku monopol na wymuszenia mają takie kartele, jak Zetas i Familia. Jeśli w drogę spróbują im wejść drobni kryminaliści, ich ciała wystawiane są przez kartele w miejscach publicznych.

Chociaż wymuszenia sieją strach, paradoksalnie mogą też umocnić organizacje przestępcze w tkance społecznej. Diego Gambetta, ekspert z Oksfordu zajmujący się przestępczością zorganizowaną, przeprowadził wnikliwe badania kwestii opłat za ochronę i rzucił na nią nowe światło. Wnioski zawarł w książce *The Sicilian Mafia: The Business of Private Protection*[11]. Tłumaczy w niej, że mafia nie jest tylko źródłem paraliżującej społeczeństwo przemocy. Przedsiębiorcy zwracają się do mafiosów po usługi, których nie może zapewnić im państwo. To właśnie powód, dla którego sycylijska mafia przetrwała ponad 100 lat ataków sił rządowych. Duża część społeczeństwa blisko z mafią współpracuje.

Taki właśnie scenariusz realizowany jest w Meksyku. Zetas nałożyli haracz na bary i dyskoteki w rejonie Monterrey, jednak w bogatej części miasta San Pedro Garza, właściciele dyskotek zrzucili się, by wynająć bandziorów z organizacji Beltrana Leyvy mających chronić ich przed Zetas. Można powiedzieć, że wpadli w rodzaj pułapki – nie chcąc płacić haraczu jednej grupie, muszą płacić innej. Uznali jednak, że ludzie Beltrana Leyvy stanowią

mniejsze zło i postanowili podjąć z nimi współpracę. Państwo nie jest w stanie ich chronić, więc, jak mówią, wybrali opisywany przez Gambettę „mafijny biznes ochroniarski". Ten biznes z całą pewnością będzie dużą częścią przyszłości El Narco.

Wymuszenia i haracze nękają społeczeństwa od stuleci. Zajmowały się nimi gangi uliczne Nowego Jorku, pół Chicago płaciło mafii, na której czele stał Al Capone, trudnią się tym gangsterzy w Ameryce Środkowej. Nie potrzeba wcale paramilitarnego oddziału, by zmusić kogoś do płacenia. Czasem wystarcza jeden bandzior psychopata z tatuażem na twarzy A kilka haraczy tu i tam to przecież nie koniec świata.

Dwa wskaźniki jednak sugerują, że wymuszenia dokonywane przez meksykańskie kartele mogą być zjawiskiem bardzo poważnym. Pierwszym jest fakt, że gangsterzy zajmują miejsce urzędników państwowych, którzy od wielu lat znani byli z tego, że nakładali bezprawne opłaty na przedsiębiorstwa w całym kraju. A jeśli ci nie chcieli płacić, biurokraci zawsze potrafili znaleźć sposób, by uniemożliwić im działalność: „Na drzwiach w toalecie klamka jest nieprzepisowa – trzeba będzie zawiesić działalność!". „W restauracji nie ma Biblii braillem dla niewidomych klientów – zamykamy ten biznes!". „Drzwi wejściowe są za wąskie – *clausurado*". Władza nadana im przez państwo umożliwia urzędnikom wypychanie sobie kieszeni, co szczególnie przybiera na sile przed świętami Bożego Narodzenia.

Teraz, kiedy na ten obszar weszły kartele, ludzie buntują się, mówiąc, że nie są w stanie płacić i jednym, i drugim. Mafia więc dba o to, by urzędnicy dali ich źródłu dochodu spokój, nierzadko płacąc im za to dolę. Przerażającą implikacją jest to, że El Narco wchodzi w rolę, w którą wcześniej wcielało się państwo meksykańskie, a to ostatnie staje się powoli fikcją, ponieważ faktyczną władzę sprawuje mafia.

Drugim przerażającym faktem dotyczącym wymuszeń przeprowadzanych przez kartele jest to, że ambicje gangsterów każą im docierać do tak poważnych gałęzi gospodarki, jak na przykład

przemysł ciężki. W stanie Michoacan rozmawiałem z właścicielem kopalni, który opowiadał mi, że musi płacić kartelowi. W zamian za te pieniądze gangsterzy zaoferowali mu, że pogonią każdego, kto nałoży haracz na jego inwestycje w Mexico City. Gangsterzy „opodatkowują" też przemysł drzewny w Michoacan i ułatwiają drwalom omijanie przepisów dotyczących zasobów leśnych.

Na wschodzie Zetas nałożyli haracz na najważniejszą gałąź przemysłu Meksyku, jaką jest wydobycie ropy naftowej. Monopolistą na tym polu jest państwowa spółka Petroleos Mexicanos, w skrócie Pemex. Policyjne śledztwa wykazały, że Zetas wykorzystali nowoczesne techniki wiercenia i za pomocą gumowych przewodów kradli ropę z rurociągów i przepompowywali ją do również kradzionych cystern. Zdarzało się, że zdobyty w ten sposób surowiec przewożono do Stanów Zjednoczonych i tam, w Teksasie, sprzedawano po bardzo przystępnej cenie. W 2009 roku były szef firmy petrochemicznej z Houston przyznał się do kupowania mafijnej ropy z Meksyku. Kradzież tego surowca może być bardzo niebezpieczna. W grudniu 2010 roku złodzieje przedziurawili podobno rurociąg w stanie Puebla, wywołując eksplozję, w wyniku której część miasteczka stanęła w ogniu, a w pożarach zginęło 30 osób.

Zetas oskarżani są także o liczne porwania i morderstwa przedstawicieli związków zawodowych z Pemeksu. Jeden z ludzi pracujących dla tej firmy w jej centrali mówi, że to sposób, w jaki kartele chcą dobrać się do nielegalnych przywilejów związkowców, takich jak umieszczanie ludzi na wysokich stanowiskach w zamian za duże łapówki.

Pieniądze, jakie zarabiają kartele, okradając petrobiznes, to niemałe kwoty. Od początku 2009 do końca 2010 kradzieże z rurociągów kosztowały Pemex miliard dolarów**[12]**. A to tylko czubek góry lodowej. Pemex jest jedną z największych spółek naftowych na świecie – jej majątek szacuje się na 415 miliardów dolarów**[13]**. Czarne złoto, czyli ropa naftowa, jest cenniejsza niż narkotyki.

Wszystko to ma straszne konsekwencje. Kiedy kartele walczą o zyski z przemysłu ciężkiego i profity, jakimi cieszyło się dotychczas państwo– rokowania dla Meksyku są coraz gorsze. Meksykańska wojna może przerodzić się w o wiele poważniejszą wojnę domową o naturalne i finansowe zasoby kraju. Wystarczy wyobrazić sobie sytuację, w której oddziały paramilitarne opanowują miejsca wydobycia ropy naftowej albo kopalnie i dają odpór siłom zamierzającym ich stamtąd usunąć. Taki konflikt kosztowałby życie setek tysięcy ludzi.

Słowa o wojnie domowej brzmią alarmująco. Z drugiej strony, kto mógł przewidzieć, że w wojnie narkotykowej zginie 35 tysięcy ludzi? W czasach, gdy prywatne armie mafijnych watażków działają swobodnie na prowincji kraju, niebezpieczeństwa wybuchu wojny nie sposób bagatelizować. Istnieje ryzyko, że z powodu kryminalnego powstania Meksyk znajdzie się nad przepaścią. Obecnie 15 tysięcy zabitych rocznie budzi niepokój. Co by się działo, gdyby ta liczba wzrosła do 50 tysięcy? Tak politycy, jak i inni ludzie władzy nie mogą dopuścić, by pożoga wywołana wojną narkotykową przybrała na sile. Jedynym pewnym na to sposobem jest jej gaszenie.

ROZDZIAŁ 16
Pokój

Te słowa słyszałem dwa razy: raz w Culiacán w Sinaloa, raz w Ciudad Juárez. Po raz pierwszy padły z ust Almy Herrery, eleganckiej pięćdziesięcioletniej matki, której niewinny syn został zastrzelony, kiedy wybrał się do warsztatu, by naprawić hamulce w samochodzie. Rozmawialiśmy o morderstwach i niesprawiedliwości w Culiacán, o bezsilności obywateli wobec potęgi karteli i skorumpowanych policjantów, żołnierzy i polityków. Mówiliśmy o tym, jak strasznie czują się rodzice, gdy ich dzieci są przetrzymywane jako zakładnicy albo mordowane, zanim skończą 18 lat. Mówiliśmy o bezradności, jaką czują ludzie wobec uzbrojonych oddziałów zabijających kogo chcą i kiedy chcą. Wtedy Alma powiedziała coś, co utkwiło mi w pamięci:

„Potrzebujemy superbohatera, który przyjdzie i nas ocali. Zaprowadzi porządek w mieście i usunie stąd złych ludzi".

Brzmi to trochę niedorzecznie, jak hasło żywcem wyjęte z amerykańskiego komiksu dla młodzieży albo hollywoodzkiego filmu: superbohater ubrany w powiewającą pelerynę, potrafi latać, kule go się nie imają, a najgorszych złoczyńców łapie za kark jak psiaki. Jednak wobec całej frustracji i rozpaczy nadzieja Almy, choć mało realistyczna, jest zupełnie zrozumiała. Culiacán jest mroczniejsze niż Gotham City w najczarniejszej z wizji. W mieście Batmana nikt nie zatyka na słupach obciętych głów.

W Ciudad Juárez usłyszałem o supermenie w rapowanym tekście piosenki. Raper nosi pseudonim Gabo i należy do nowej szkoły powstającego na północy Meksyku hip-hopu, który za cel obrał nie wychwalanie stylu życia gangsterów i przemocy, a krytykowanie ich. Gabo rapował swoje myśli na chodniku przed nocnym klubem, a ja filmowałem go wraz z ekipą telewizyjną. Jego teksty opowiadały o frustracji ludzi żyjących w okolicach, gdzie pełno jest morderców na usługach karteli i skorumpowanych gliniarzy. Nagle rzucił zwrotkę, która uderzyła w znajomy

ton:

Pokój ma tu być ostatnim słowem,
Supermenie, Jezu Chryste, gdzie jesteście?
Zejdźcie do nas z waszych niebios,
zróbcie coś. Boże, choć nie jestem ateistą,
to zmęczony jestem tym, co widzę tu,
co tu czuję i w czym tu żyję.

Znowu, będąc zupełnie bezradnym, człowiek zwraca się do siły wyższej. Gdzie podziewa się człowiek w charakterystycznym niebiesko-czerwonym stroju albo Zbawiciel w koronie cierniowej?

Niestety, ani mesjasze, ani supermeni nie położą kresu meksykańskiej wojnie narkotykowej. Magiczne zaklęcia nie istnieją. Istnieją za to niedoskonali, zachłanni, zdezorientowani i nieuczciwi ludzie. To dokładnie tacy ludzie pozwolili problemowi osiągnąć dzisiejsze rozmiary, to przez nich El Narco powoli, ale nieustannie rósł, handlując narkotykami, bronią, piorąc pieniądze, biorąc łapówki i płacąc okupy. I to dokładnie tacy politycy od Waszyngtonu po stolicę Meksyku wcielali w życie nieskuteczne doktryny, zostawiali słabych na łaskę losu, a mordercom pozwalali unikać kary.

Rozwiązaniem nie jest poprawa jakiegoś elementu polityki w jednym kraju, konieczna jest poprawa ogromnych jej obszarów w Meksyku, Stanach, i nie tylko. I chociaż El Narco jest zbrojnym powstaniem kryminalistów, wojsko to tylko mała część rozwiązania. Ameryka i Europa muszą się obudzić i uważnie przyjrzeć temu, co dzieje się z pieniędzmi z handlu narkotykami, a także z bronią, którą tak skwapliwie się produkuje. Nie sposób dłużej odwlekać uczciwej dyskusji na te tematy. Szacowane dochody z handlu narkotykami meksykańskich bossów w ostatniej dekadzie przekraczają ćwierć biliona dolarów. Pozwalanie, by psychopatyczni gangsterzy zarobili drugie tyle w ciągu następnych 10 lat jest, niedopuszczalne. Czy patrzylibyśmy biernie, gdyby obcokrajowcy obdarowywali takimi kwotami paramilitarne bojówki

w naszych krajach?

Nawet jeśli udałoby się przegnać demony narkobiznesu jakimś magicznym zaklęciem, Meksyk i tak będzie musiał stanąć twarzą w twarz z problemami leżącymi jeszcze głębiej. Kraj ten jest w trakcie historycznej przemiany: stary świat PRI umarł, nowa demokracja wciąż nie została zbudowana. Muszą znaleźć się osoby, które sprostają temu zadaniu. Musi powstać prawdziwa policja, która nie pozwoli na to, by niewinne dzieci były porywane, a ich żywoty druzgotane. Kraj musi zaoferować młodym coś więcej niż zajęcie z kałasznikowem w ręku, które przynosi szybkie pieniądze i równie szybką śmierć, często przed osiągnięciem pełnoletności.

Pewnego dnia musi nastać pokój, ale zanim to się stanie, będzie jeszcze wielu zabitych. I nie wszyscy z nich zginą wygodnie dla świata na południe od Rio Grande.

Na północ od granicy, w Kalifornii, są tacy, którzy twierdzą, że wiedzą, jak rozwiązać problem brutalnego handlu narkotykami. Rozwiązaniem tym ma być bladozielona roślina hodowana pod elektrycznym światłem i sprzedawana w słoikach po ciasteczkach. Idąc na spacer w obrębie kilku przecznic w Los Angeles, przechodzi się obok dwóch tuzinów sklepów z marihuaną o przeznaczeniu medycznym, noszących takie nazwy jak, Mała Etiopia, Centrum Ziołolecznictwa, Zielony Krzyż, U Palacza, Wesoły Ośrodek Zdrowia czy Naturalne Rozwiązanie. Przekraczając próg takiego przybytku, zostaniemy poproszeni przez osobę w recepcji o pokazanie recepty na skręta. Lista uprawniających do tego chorób jest długa: rak, choroba Alzheimera, stres (co dotyczy niemal każdego). Wtedy dopiero można wejść do pomieszczenia pełnego dobrodziejstw o tak oryginalnych nazwach, jak Fioletowy Kush, Supersrebrna, Boży Dar, Truskawkowy Kaszel, Dziadek czy Wrak. Hodowlana marihuana z Kalifornii jest zazwyczaj czystsza i jaśniejsza niż żółtozielona trawka z Meksyku. Pacjentom wolno zabrać nabyte tu lekarstwo do domu i tam oddalać troski wśród kłębów gryzącego dymu. Wszystko to odbywa się bez udziału zamaskowanych zbirów z kałasznikowami.

Zwolennicy reformy prawa narkotykowego twierdzą, że takie sklepy to przyszłość. Marihuana jest hodowana w Stanach, tam palona i tam opodatkowana. Nie wydaje się pieniędzy na walkę z nią ani nie pozwala się zarobić zbrojnym kartelom w Meksyku. Jak mówią niektórzy, El Narco jest odporny na miliony pocisków, ale zabić go można jednym słowem zaczynającym się na literę „l": „legalizacja". I tak docieramy do zajadłej pełnej kontrowersji, często zakazanej, zaciemnionej i jakże potrzebnej debaty o legalizacji narkotyków.

Teraz, gdy trwa meksykańska wojna narkotykowa, ta debata ma swoje kolejne pięć minut w historii. Pierwsza tak wielka chwila miała miejsce: w latach siedemdziesiątych, kiedy Jimmy Carter zasiadł w Białym Domu. Zwolennicy legalizacji, w tym liczni lekarze, zajęli ważne stanowiska w rządzie, ich zdanie przestało być bagatelizowane, a pomysły znalazły poparcie. Stany zaczęły legalizować marihuanę, a na kokainę patrzono jak na wesoły rekreacyjny narkotyk idealny na imprezę. Reformatorzy byli pewni, że wygrali spór. Mylili się. W latach osiemdziesiątych Ameryka z furią rzuciła się na narkotyki, zakazując ich używania, a w latach dziewięćdziesiątych wojna z narkotykami wrzuciła wysoki bieg. Wybuchła epidemia cracku, gwiazdy umierały z przedawkowania, a wielu rodziców z klasy średniej zamartwiało się, że ich dzieciaki będą miały do czynienia z którąś z licznych niebezpiecznych substancji. Badania przeprowadzone we wczesnych latach dziewięćdziesiątych wykazały, że ogromna część społeczeństwa USA uważa narkotyki za problem numer jeden w kraju. Media pełne były doniesień o dzieciach cracku, gangach handlujących tą formą kokainy a także o białych dzieciakach stających się upiorami za sprawą narkotyków.

To jednak było dwie dekady temu. Poglądy na ten temat diametralnie się zmieniły. Obecnie większość obywateli USA nie zalicza narkotyków do pierwszej dziesiątki największych problemów nękających Amerykę. Priorytetem stała się gospodarka, a terroryzm, imigracja, przestępczość, różnice wyznaniowe, aborcja, małżeństwa homoseksualistów i ochrona środowiska wywo-

łują więcej kontrowersji niż substancje psychoaktywne, jednocześnie środowiska opowiadające się za reformą polityki narkotykowej z nową energią szerzą idee de penalizacji posiadania, upowszechnienia medycznego zastosowania i przede wszystkim pełnej legalizacji marihuany. W 2010 roku w referendum w Kalifornii *cannabis* została prawie zalegalizowana, tak zwana Propozycja 19 uzyskała 46,5 procenta głosów. Zwolennicy trawki są przekonani, że w 2012 roku wreszcie dopną swego, a jeśli nie wtedy, to w 2014 albo 2016 roku. Nie zamierzają składać broni.

Ruch mający na celu zmianę prawa narkotykowego ma też spore poparcie w Ameryce Łacińskiej. W styczniu 2009 roku były prezydent Meksyku Ernesto Zedillo, były prezydent Kolumbii Cesar Gaviria (za którego rządów zabito Pabla Escobara) i eksprezydent Brazylii Fernando Cardoso, podpisali apel o zmianę dotychczasowej polityki. Dokument mający dać bodziec do przemian mówił bez ogródek:

Wojna z narkotykami okazała się porażką. Najwyższy czas zastąpić nieskuteczną strategię, bardziej humanitarną i skuteczną polityką.

Polityka oparta na eliminacji i zakazywaniu narkotyków oraz penalizacji ich użytkowania po prostu nie działa. Przemoc i zorganizowana przestępczość związane z handlem narkotykami wciąż należą do głównych problemów naszych krajów. Ameryka Łacińska jest największym eksporterem kokainy i konopi indyjskich, a niebawem może stać się także głównym dostawcą opium i heroiny. Dzisiaj jesteśmy dalej niż bliżej od uporania się z tym problemem.

Pierwszym krokiem do innych rozwiązań jest uznanie strasznych konsekwencji obecnej polityki. Następnie musimy obalić tabu, które zakazuje publicznej debaty na temat narkotyków w naszych społeczeństwach.[1]

Apel ten wywołał burzę na całym kontynencie. Co jednak typowe dla sporu o istotę narkotykowego problemu, mocne słowa padały z ust nie obecnie urzędujących polityków, a byłych. Kwestionowanie słuszności walki z narkotykami od wielu lat okazuje

się niezawodnym sposobem na odstraszenie większości elektoratu. Politycy mówią więc co myślą dopiero wtedy, gdy ustąpią z urzędu.

Kolejną eksgłową państwa, która dołączyła do głosów popierających legalizację, był Vincente Fox. Wybrałem się na jego ranczo, by porozmawiać z nim o jego nowej wizji. Był zdecydowanie bardziej wyluzowany, niż gdy piastował urząd prezydenta. Najwyraźniej spokojna atmosfera rancza, dżinsy i podkoszulek dobrze mu służyły. Zapytany, skąd ten zwrot o 180 stopni, odparł, że sytuacja w Meksyku uległa zmianie i problemem numer jeden w kraju stała się przemoc stosowana przez kartele.

Radykalizm jego poglądów na reformę był zaskakujący nawet dla mnie. Fox mówił nie tylko o depenalizacji posiadania, ale przede wszystkim o legalizacji i opodatkowaniu przemysłu narkotykowego. Kreślił wizje rolników uprawiających marihuanę w Sierra Madre, płacących uczciwie podatki i pracujących w majestacie prawa. Meksykańska marihuana miałaby stać się słynna, jak tutejsza tequila, dawać zatrudnienie członkom wiejskich społeczności i być znakiem rozpoznawanym na całym globie. Fox mówił, że żałuje, iż Propozycja 19 upadła, mogła być bowiem, jego zdaniem, dużym krokiem naprzód. Były prezydent mówił:

„Zakazywanie nie sprawdziło się nawet w Edenie, Adam i tak zjadł jabłko. To, co zrobił Al Capone w Chicago, jest najlepszym przykładem na to, że prohibicja nie działa. Wraz z legalizacją alkoholu skończyła się przemoc.

Straty, jakie Meksyk ponosi w wyniku narkotykowej prohibicji, są o wiele większe. Cierpią na tym inwestycje zagraniczne i turystyka. Na północy kraju podupadają hotele, restauracje i nocne kluby. Poważni przedsiębiorcy opuszczają kraj i przenoszą się do San Antonio, Houston czy Dallas.

Ale nie chodzi tutaj tylko o utracone dochody. Chodzi też o zdruzgotany spokój. W psychice całego narodu jest strach, w takiej atmosferze ludzie nie dają z siebie tego, co najlepsze. To zdecydowanie za wysoka cena.

Odpowiedzialność za używanie narkotyków powinno prze-

nieść się na konsumenta. Rolą rodziny jest kształcić i informować, nie sposób wymagać, by o ludzkich wyborach decydował rząd. Teraz jednak rząd musi szybko podjąć działania, by zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo. Obywatele muszą mieć pewność, że ich dzieci wrócą do domu bezpiecznie i zdrowe, że po drodze nie wpadną w uliczną strzelaninę".

Fox dotyka kwestii podnoszonych przez całe lata przez środowiska domagające się zmiany prawa narkotykowego w USA: prohibicja nie przeciwdziała narkomanii. Tworzy za to zorganizowaną przestępczość, czego konsekwencje są opłakane. Poza tym pogląd, iż rząd wie lepiej, jakie substancje są dla obywatela dobre, a jakie złe, nie do końca jest przekonujący.

Argumentami przemawiającymi za legalizacją wypełniono niejedną książkę, ale ja nie zamierzam tego robić. Tematem mojej książki jest El Narco i meksykańska wojna narkotykowa. Większość ludzi i tak wie, co myśleć o legalizacji. Przebieg społecznej debaty na ten temat ma podstawowe znaczenie dla przyszłego rozwoju El Narco. To, jak potoczy się reforma prawa narkotykowego, odbije się na całym Meksyku.

Rosnąca grupa zwolenników reform to ludzie wywodzący się z bardzo różnych środowisk. Są w niej i popalający trawę rastafarianie, i zwolennicy wolnego rynku. Są socjaliści, którzy widzą, jak przez narkotykową wojnę cierpią najbiedniejsi, i kapitaliści, którzy widzą w reformie szansę na biznes. Są liberałowie broniący prawa do wolności wyboru i ci, którzy skrupulatnie liczą wydatki i straty, przypominając, że Stany corocznie wydają 40 miliardów dolarów na walkę z narkotykami, zamiast ściągać miliardy w podatkach za nie[2]. Większość z tych frakcji zgadza się w jednej kwestii: że aktualna polityka się nie sprawdza. Nie ma zgody co do tego, kto powinien kontrolować zalegalizowane narkotyki: czy państwo, czy korporacje, drobni przedsiębiorcy czy samodzielni farmerzy. Toczą się spory, czy narkotyki powinny być reklamowane i przynosić dochody państwu, czy powinno się raczej rozdawać je narkomanom w nieopisanych pudełkach za

darmo.

Reforma ma jednak potężnych wrogów. Pewne grupy chrześcijańskie i organizacje religijne uważają narkotyki za niemoralne, ich zdaniem obowiązkiem wszystkich jest walka z nimi. Takie myślenie stoi za wojną z narkotykami od czasów komisarza do spraw opium Hamiltona Wrighta, który walczył z makami już w 1908 roku, nie sposób więc bagatelizować jego wpływu na postrzeganie tych kwestii przez Amerykę. Wielu ludzi z organizacji walczących z narkotykami stanowczo sprzeciwia się reformie. Ani DEA nie chce stracić swojego corocznego budżetu wynoszącego 2,3 miliarda dolarów, ani żołnierze, którzy poświęcili całe życie tej walce, nie chcą przyznać, że była bezsensowna. Nie brakuje też mających jak najlepsze intencje agentów żyjących w przekonaniu, że narkotyki są plagą, z którą trzeba walczyć, jeśli to konieczne, również siłą. W końcu jest też grupa społeczna, która od dawna wspierała żarliwych polityków w ich wojennych hasłach: zaangażowana klasa średnia. Oto prawdziwy powód, dla którego walka z narkotykami gwarantuje wygrane wybory: ci rodzice naprawdę martwią się o swoje dzieci.

Także poza Stanami nie brakuje przeciwników liberalizacji prawa. Zapisy Organizacji Narodów Zjednoczonych nakładają na ich sygnatariuszy obowiązek podążania ścieżką prohibicji. Co więcej, postanowienia te skonstruowane są w taki sposób, że bardzo trudno je zmienić. To konserwatywne stanowisko znalazło poparcie w różnych krajach, w tym we Włoszech, Rosji, Iranie, Nigerii oraz Chinach. Wszystkie są głęboko przekonane, że wyłamanie się z zakazu jest najgorszym złem. Jeśli Kalifornia faktycznie zalegalizuje marihuanę, byłoby to nie tylko sprzeczne z amerykańskim prawem, ale także z postanowieniami Narodów Zjednoczonych. Kalifornijczycy otworzyliby prawną puszkę Pandory[3].

Wraz z coraz bardziej zdecydowanymi głosami domagającymi się reformy prawa narkotykowego obóz zwolenników wojny z tymi używkami również uderza w coraz tragiczniejszy ton. Legalizacja byłaby prawdziwą katastrofą. Nawet jeśli miałoby dojść

do zalegalizowania marihuany, to co z kokainą, heroiną i amfetaminą? – pytają. W jednym z raportów zawarto bardzo odważne przypuszczenie, że spożycie kokainy mogłoby wzrosnąć nawet dziesięciokrotnie. Jeśli myślicie, że sytuacja dzisiaj jest zla, przekonują, wyobraźcie sobie chaos po legalizacji. Naćpani crackiem psychopaci z bronią w ręku będą stali na każdym rogu. Rozpęta się prawdziwe piekło, a El Narco odniesie ostateczne zwycięstwo.

Mimo ogromnych wyzwań, kilka czynników sprawia, iż rzecznicy liberalizacji są silniejsi niż kiedykolwiek. Najważniejszym z nich jest lekcja, jakiej udziela historia. Współczesny trend używania narkotyków rozpoczął się w latach sześćdziesiątych i przez cztery dekady można się było przyglądać jego przemianom. Co zauważalne, wydaje się, że prawo nie ma decydującego wpływu na konsumpcję narkotyków. Holandia na przykład ma dość liberalne prawo narkotykowe, ale mniejsze spożycie tych substancji niż Zjednoczone Królestwo, mające bardziej restrykcyjne przepisy. Portugalia z kolei miała jeden z najniższych wyników, jeśli chodzi o konsumpcję narkotyków w Europie, w czasie gdy zaostrzono przepisy. Po liberalizacji prawa w 2001 roku liczba użytkowników jeszcze bardziej spadła. Zmieniając przepisy, udało się jednak osiągnąć dwie rzeczy: oszczędzić pieniądze z budżetu i zredukować liczbę zarażonych HIV.

Stany Zjednoczone są największymi konsumentami narkotyków na świecie, mimo restrykcyjnej polityki antynarkotykowej. Na przestrzeni lat popularne były różne narkotyki. W latach siedemdziesiątych wzięcie miała kokaina w postaci proszku, lata osiemdziesiąte przyniosły crack, ecstasy zyskało na znaczeniu w latach dziewięćdziesiątych, a metamfetamina stała się niesławną gwiazdą przełomu tysiącleci. Preferencje te podyktowane są raczej modą i zmieniającymi się warunkami społeczno-ekonomicznymi niż prawem czy zwalczaniem handlarzy. Argument, że : legalizacja jakiegoś narkotyku przysporzy mu rzesz użytkowników, nie ma umocowania w faktach.

Narkotyki w Ameryce Łacińskiej, w tym w Meksyku, są uży-

wane dużo rzadziej niż w Stanach, jednak w ciągu ostatnich 20 lat i tam nastąpił gwałtowny wzrost ich popularności, co spowodowało problemy z osobami uzależnionymi i z walką o rewiry między dilerami. Patrząc na dane historyczne, można wnioskować, że konsumpcja narkotyków miała duże szanse wzrosnąć niezależnie od działań rządu, narkotyki są bowiem elementem globalizacji i cechą współczesnych społeczeństw kapitalistycznych. To z tego El Narco będzie czerpał dochody, a reforma policji stanie się jeszcze bardziej nagląca.

To, że jest się zwolennikiem legalizacji, nie oznacza wcale, iż jest się fanem narkotyków. Nikt nie zaprzecza, że heroina jest bardzo niebezpieczną substancją. Zwolennicy reformy uważają po prostu, że najlepszym sposobem kontroli narkotykowego problemu jest wyprowadzenie narkotyków z cienia na światło dzienne. W międzyczasie miliardy dolarów przeznaczane na ich zwalczanie wydać można na kampanie prewencyjne i ośrodki odwykowe. Większość ludzi używających narkotyki to niekłopotliwi narkomani, podobnie jak większość ludzi pijących alkohol to nie alkoholicy. To jednak na narkomanach najwięcej zarabia zorganizowana, przestępczość i to ich rodziny oraz otoczenie są najbardziej tym problemem dotknięte. Ludzie pracujący w ośrodkach odwykowych podkreślają, że ci, którzy nadużywają substancji narkotycznych, borykają się też z innymi problemami: byli wykorzystywani w dzieciństwie, wychowali się w nędzy i nie poświęcano im należytej uwagi. Krótko mówiąc, są to ludzie potrzebujący pomocy. Zrobienie z nich kryminalistów zazwyczaj tylko pogarsza sprawę.

Jednocześnie najcięższe przestępstwa związane z narkotykami nie są powodowane przez nie same, lecz przez to, iż są one nielegalne. Ludzie strzelają do siebie na ulicach, walcząc o profity z czarnego rynku, a nie dlatego, że właśnie wypalili skręta. Meksykańscy gangsterzy nie obcinają głów swoim przeciwnikom, dlatego że przesadzili z halucynogenami. Dokonują tych potworności, ponieważ wiążą się z tym ogromne pieniądze.

Zwolennicy reform mają optymistyczną wizję przyszłości, w

której społeczność międzynarodowa akceptuje narkotyki i tworzy stosowne prawo. Miałoby to położyć kres narkotykowej mafii, która straciłaby w ten sposób rację bytu. Skończyć miałyby się strzelaniny na ulicach, walki o transport towaru, egzekucje dilerów, którzy nie zapłacili daniny maili. Miałoby wyschnąć źródełko dochodów Bardo Azteca, karteli z Sinaloa i Medellin oraz Zetas, Familii, Cosa Nostry, gangów na Jamajce. Miałby nastąpić koniec koka i nowych walk w brazylijskich *favelas,* zabójstw stróżów prawa zlecanych przez szefów i innych odrażających rzezi w ciemnych zakątkach tego świata.

Taka wizja od dawna jest uznawana za utopię niemającą szans się ziścić. Mimo to zyskuje coraz to nowych wyznawców, do których zaliczają się i zarabiający miliardy na internetowym biznesie Amerykanie, i wieśniacy z krajów latynoskich. Ta siła daje zwolennikom reformy poczucie, że oto nadszedł dziejowy moment, jak napisał Victor Hugo: *Nie ma nic silniejszego niż idea, której czas nadszedł.*

Z drugiej jednak strony wielu bojowników zachowuje się, jakby żyli w radosnych latach siedemdziesiątych. Nadmierna pewność siebie może być zgubna, trend może się przecież odwrócić.

Najważniejsza jest jak dotychczas legalizacja posiadania narkotyków. Rządy, które się na to decydują, nie legalizują ich całkowicie, lecz nie karzą – a przynajmniej nie więzieniem – ludzi mających niewielkie ilości tych substancji. Taka niekaralność posiadania marihuany weszła już w życie w 13 stanach USA oraz w Holandii i Portugalii, Podobne działania podjęto też w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej. Sąd najwyższy w Argentynie uznał, że posiadanie trawki nie jest przestępstwem, a Kolumbia i Meksyk nie karają za posiadanie na prywatny użytek niemal wszystkich substancji narkotycznych. W myśl meksykańskiego prawa uchwalonego w 2009 roku osoba złapana z dwoma lub trzema skrętami, mniej więcej trzema kreskami kokainy, a nawet z odrobiną metamfetaminy czy heroiny nie może być aresztowana, ka-

rana grzywną ani wieziona[4]. Policjant jednak przekaże takiej osobie adres najbliższego ośrodka odwykowego i doradzi skorzystanie z jego usług. To prawo zostało uchwalone na podstawie przekonania, że policja musi skoncentrować się na łapaniu bardziej niebezpiecznych kryminalistów, a tych ostatnich w Meksyku nie brakuje.

Wprowadzenie tego prawa w Meksyku było wydarzeniem przełomowym, znacząca jest tu także reakcja Stanów Zjednoczonych. W 2006 roku meksykański Kongres przyjął niemal identyczną ustawę. Wtedy jednak prezydent Bush w świętym uniesieniu wywarł presję na Vincente Foxa, który przepis ten zawetował. W 2009 roku dla odmiany administracja Obamy zachowała wymowne milczenie, więc Felipe Calderón ustawę podpisał. Reakcja Stanów nie uszła uwagi innych krajów Ameryki Łacińskiej, mogła bowiem oznaczać zmianę polityki nie tylko Waszyngtonu, ale i pozostałych stolic tej części świata. Inną ważną rzeczą był brak zauważalnego wpływu wprowadzonego w Meksyku prawa na sytuację na ulicach. Uczniowie podstawówek nie pędzili w szale w objęcia heroinowego nałogu, młodzież nie zaczęła masowo sięgać po crack. Na dłuższą metę sytuacja może okazać się mniej różowa. Dla zwolenników reform jest to jednak jasny sygnał, że legalizacja posiadania narkotyków nie powoduje natychmiastowej apokalipsy. Obawa przed nieznanym światem, gdzie nie karze się za posiadanie narkotyków, jest i była jednym z elementów narkotykowej debaty.

Jednak mimo tego, że depenalizacja pozwala oszczędzić policyjne fundusze i zdejmuje piętno kryminalistów z narkomanów, nie rozwiązuje to problemu zorganizowanej przestępczości. Chociaż narkotyki są praktyczne legalne, handel nimi wciąż odbywa się w tle. To kłopotliwy paradoks, któremu trzeba będzie zaradzić w nadchodzących latach.

Kalifornijska Propozycja 19 nie zajmuje się tymi sprzecznościami, wskazuje natomiast zupełnie nowe rozwiązanie, którym ma być legalna marihuana. Propozycja z 2010 roku mówiła o tym, by każdy obywatel powyżej 21. roku życia mógł posiadać

nawet do uncji (28 gramów) trawki na własny użytek, palić ją u siebie w domu i hodować w szklarni. Zioło to miałoby być sprzedawane przez licencjonowanych sprzedawców, czego wzorem są sklepy z „medyczną marihuaną”. Jedyna różnica polega na tym, że nie trzeba mieć recepty. Dyskusja na ten temat rozgorzeje na nowo w 2012 roku, w ruch pójdą argumenty o zdrowiu kalifornijskich dzieci i publicznych finansach. (Zwolennicy propozycji twierdzą, że Kalifornia będzie w stanie zarobić nawet do 1,4 miliarda dolarów na opodatkowaniu trawki). Jednak przyglądać się temu będą uważnie oczy oddalone setki kilometrów na południe, patrzące z marihuanowych pól Sierra Madre.

Wszyscy są zgodni co do tego, że legalizacja konopi w Stanach Zjednoczonych nie pozostanie bez wpływu na El Narco w Meksyku. Ale jak duży będzie to wpływ? Powraca podstawowy problem: gdy narkotyki są nielegalne, nie wiadomo, ile Meksyk ich produkuje, ile przekracza granicę, i ile trawki naprawdę wypalają Amerykanie. Mimo to dokonuje się obliczeń. A te różnią się między sobą, i to bardzo. Według jednych Meksyk sprzedaje Stanom towar wart 20 miliardów dolarów, według innych jego wartość wynosi „tylko” 1,1 miliarda.

Te najwyższe wartości pochodzą z centralnych biur agencji antynarkotykowych, gdzie w 1997 roku podsumowano spodziewane zbiory z upraw na terenie Meksyku, jakie zaobserwowano z pokładów samolotów. Ilości tych zbiorów przemnożono potem przez cenę, jaką towar uzyskuje na amerykańskiej ulicy, i w ten sposób powstała astronomiczna liczba z mnóstwem zer. Była ona większa nawet od tego, co Meksykanie zarabiali na kokainie. Agencje uznały zatem, że meksykańscy mafiosi czerpią 60 procent ich dochodów z marihuany. Podobny wynik, 20 miliardów dolarów, uzyskał rząd meksykański, kiedy pomnożył rzekome marihuanowe zbiory karteli, czyli prawie 16 tysięcy ton, przez cenę kilograma na amerykańskiej ulicy. Ta liczba pojawiała się w mediach aż do czasu głosowania nad Propozycją 19.

Tuż przed referendum w Kalifornii, RAND Corporation opublikowała własny raport**[5]**. Atakowano w nim zawyżone, według

niego, wartości, których radził nie traktować poważnie. *Zwolennicy legalizacji chętnie korzystają z takich liczb, by uzupełniać nimi swoją zwyczajową argumentację*, stwierdzał raport. Dokument wykazuje też, jak trudno jest dokonać takich szacunków i że wszystkie dostępne obliczenia nie są miarodajne. Następnie jednak w raporcie pojawiają się obliczenia, dziwaczne równania i enigmatyczne cyfry. Nawiązując do osobliwej teorii określających, ile przeciętny użytkownik umieszcza w skręcie trawki (według jednego ze źródeł jest to 0,39 grama), raport dzieli ich na cztery grupy – od palaczy okazjonalnych do nałogowych. Po kolejnych zawiłych obliczeniach autorzy raportu wysnuwają wniosek, że meksykańscy handlarze inkasują od 1,1 do 2 miliardów dolarów z całego rynku *cannabis* w Stanach, czego rynek kalifornijski stanowi zaledwie 7 procent. Konkluzja? Głosowanie za Propozycją 19 nie wpłynie na zmniejszenie narkotykowej przemocy w Meksyku.

Obliczenia te nie wydają się wiarygodne. Najbardziej konkretne źródło informacji – ilość przechwyconego towaru – wskazuje, że całe tony trawki należącej do meksykańskich karteli są wysyłane prosto do Kalifornii. Największa konfiskata marihuany w Meksyku od lat osiemdziesiątych udała się tuż przy granicy z Kalifornią, w Tijuanie, w 2010 roku (dwa tygodnie przed głosowaniem w sprawie Propozycji 19). Były to 134 tony psychoaktywnego ziółka! Wiózł ją cały konwój ciężarówek, a żołnierze, rozładowując towar, zapełnili nim cały parking. Sprasowane paczki, opakowane w różnokolorową folię, piętrzyły się pod niebo. Ognisko było imponujące. Na ulicach Kalifornii trawka ta warta byłaby około 100 milionów dolarów. W reakcji na tę konfiskatę kartel zamordował 13 narkomanów w centrum odwykowym. Jedno życie za każde dziesięć ton *cannabis*[6].

Jeśli kartele mordują w związku z handlem marihuaną, musi to być dla nich bardzo poważny rynek. A mówimy tu tylko o jednorazowej konfiskacie. Kalifornijskie patrole graniczne i służby celne przechwytują każdego roku tony konopi.

Meksykańska marihuana zmierzająca do Kalifornii trafia też

do innych amerykańskich stanów. Jeśli trawka stałaby się w Kalifornii legalna, powstałaby interesująca mozaika: legalne „zioło" z najludniejszego stanu Ameryki trafiałoby do innych, gdzie byłoby sprzedawane wbrew prawu. Meksykańską trawę przemycano by do San Diego, by sprzedawać w legalnych punktach sprzedaży w Los Angeles i tak dalej. Dziwnie też czuliby się żołnierze w Tijuanie, konfiskujący ciężarówkę konopi, jeśli można by je kupić legalnie parę kilometrów za granicą.

Zwolennicy zmiany prawa widzą Kalifornię wyłącznie jako pierwszy etap. Jeśli sprawdzi się tam, tłumaczą, nowy układ należy wprowadzić w innych stanach. Ostatecznie legalizacja powinna objąć cały kraj. A kiedy marihuana stanie się legalna w USA, Meksyk bez wątpienia zalegalizuje działalność hodowców i przewoźników. *Campesinos* w Sierra Madre będą mogli żyć uczciwie z uprawy trawki, stałaby się ona bowiem kolejnym normalnym produktem, takim jak kawa, agawa czy awokado.

Można w nieskończoność przerzucać się wątpliwymi obliczeniami określającymi rozmiary tego przemysłu. Lecz nawet jeśli wierzyć najostrożniejszym z nich, Meksyk sprzedaje Stanom trawkę wartą miliardy dolarów. Legalizacja ogołoci kartele z tych zysków. Byłby to dla nich najdotkliwszy finansowy cios w ciągu dziesięcioleci, większy niż kiedykolwiek zadały mafiosom DBA czy meksykańskie wojsko.

Wyciągnięcie handlu meksykańską marihuaną z obszaru czarnego rynku z cala pewnością zmniejszy liczbę kupionych kałasznikowów i nastolatków, którym płaci się za zabójstwa. Cokolwiek jednak stanie się z narkotykowym prawem, oddziały utrzymywane przez kartele nie znikną tak po prostu. Gangi, takie jak Zetas czy Familia, będą walczyć o prymat w sprzedaży dowolnych narkotyków na czarnym rynku, a poza tym nadal będą trudnić się wymuszeniami, porwaniami, handlem i przemytem ludzi oraz wszelkimi innymi przestępstwami. Stanowią oni zagrożenie, z którym Meksyk musi się zmierzyć.

Niektórzy badacze boją się używać określenia „rebelianci" w

stosunku do tych grup, ponieważ przerażają ich metody stosowane w zwalczaniu rebelii. Wojska walczące z oddziałami rebelianckimi łamały prawa człowieka od Algierii po Afganistan. Meksykańskim żołnierzom zdarzyło się już wielokrotnie dokonywać podobnych zbrodni i jeśli mieliby zająć się prawdziwym zwalczaniem rebelii, zgodnie z wojskowymi standardami, to ich żniwo mogłoby się stać jeszcze obfitsze. Taka obawa nie jest bezzasadna.

Z drugiej jednak strony meksykańska wojna narkotykowa już stała się prawdziwą walka zbrojną. Chociaż rząd meksykański nie chce przyznać, że walczy z powstaniem, stosuje obecnie regularne wojskowe środki walki z oddziałami karteli, wysyłając przeciwko nim wojsko, w tym oddziały specjalne oraz paramilitarne jednostki policji federalnej. Ludzie protestują przeciwko nadużyciom, jakich dopuszczają się ci żołnierze, ale wyrażają również oburzenie nieskutecznością rządu w walce z gangsterami. Często te dwa problemy podnoszone są w czasie jednego marszu protestacyjnego. To główny problem Calderona i jego następców: biada mu, jeśli nie użyje wojska, i biada mu, jeśli to zrobi.

Realistycznie patrząc, żaden prezydent nie będzie mógł całkowicie zrezygnować z wojska wobec ogromnej siły grup takich jak Zetas. Żaden rząd nie pozwoli, by oddziały składające się z 50 mężczyzn uzbrojonych w broń automatyczną, w tym wielkokalibrową i granatniki przeciwpancerne, krążyły nienękane przez nikogo po kraju. To wyzwanie dła władzy. I tylko wojsko może stanąć do walki z oddziałami Zetas.

Rząd jednak mógłby z pewnością dopracować taktykę. Armia, a dokładniej piechota morska, okazała się bardzo skuteczna w działaniach przeciwko bossom karteli, lak jak stało się to w przypadku Artura Beltrana Leyvy, znanego jako Broda, którego dopadli w domu. Żołnierze jednak tracą mnóstwo czasu, zastawiając pułapki w domach bez zebrania wcześniej dokładnych informacji, nękając cywili na ulicach czy zakładając posterunki przy prowincjonalnych drogach. Wojsko powinno być używane do poważniejszych celów. Szczegółowe informacje powinni zbierać

albo agenci cywilni, albo zdeterminowani agenci amerykańscy, a obowiązki typowe dla policji powinno zlecać się tym ostatnim.

Piechota morska w Meksyku staje się takim właśnie rodzajem siły do zadań specjalnych. W raportach opublikowanych przez WikiLeaks to właśnie meksykańscy marines są najwyżej cenioną przez amerykańskich dyplomatów częścią meksykańskiego wojska. W depeszy z grudnia 2009 roku ambasador USA, Carlos Pascual, chwalił żołnierzy piechoty morskiej za zabicie Brody i kilku liderów Zetas, karcąc jednocześnie pozostałe wojsko, które jego zdaniem nieumiejętnie wykorzystuje dane przekazywane przez amerykański wywiad.

Udaną operację przeciwko ABL (Arturo Beltran Leyva) przeprowadzono tuż po odważnych działaniach SEMAR (wojska piechoty morskiej) w Monterrey, skierowanych przeciwko siłom Zetas. Podkreśla to wiodącą rolę SEMAR w walkach z narkobiznesem. Oddziały SEMAR są dobrze wyszkolone, dobrze wyposażone i wykazały się zdolnością szybkiego działania zgodnie z wartościowymi danymi uzyskanymi od wywiadu. Sukcesy SEMAR stawiają wojsko w kłopotliwej sytuacji i zmuszają je do konieczności tłumaczenia się, dlaczego tak niechętnie korzysta się z informacji pochodzących od wywiadu, by przeprowadzać działania przeciwko ważnym celom**[7]**.

Ambasador ujawnił także (za pośrednictwem WikiLeaks), że jednostka, która tak sprawdziła się w boju, była „intensywnie szkolona" przez Dowództwo Północne sił zbrojnych USA w ośrodku w Kolorado. Inne depesze podkreślały wątpliwości, jakie względem meksykańskiej armii mają Amerykanie, i zawierają zalecenia, by zwiększyć liczbę szkoleń z żołnierzami Stanów Zjednoczonych. John Feeley, *chargé d'affaires* ambasady USA w Mexico City, w styczniu 2010 roku opisał bardzo krytycznie możliwości meksykańskiego wojska. Określił armię mianem „zaściankowej i unikającej ryzyka" oraz „niezdolnej do posługiwania się informacjami i materiałami dowodowymi". Ministra obrony, generała Galvana, nazwał „politycznym aktorem". Słowa te odbiegały od oficjalnej polityki Stanów, a ich publikacja w internecie

skompromitowała Feeleya. Wniosek, jaki wyciągnął Feeley, stał się powszechnie znany: zwiększyć liczbę szkoleń żołnierzy Meksyku z armią USA oraz z Kolumbijczykami[8].

Ameryka tak czy siak nadal będzie szkolić meksykańskie wojsko. Tworzenie elitarnych jednostek zdolnych walczyć z najgorszymi gangsterami jest rzeczą pożyteczną. Meksyk musi jednak ze swej strony zapewnić tym żołnierzom dobry żołd i dbać o ich lojalność, tak by nie dezerterowali i nie stawali się najemnikami. Rdzeń dzisiejszej armii jest lepiej wyszkolony i ma większe doświadczenie niż Arturo Guzman Decena, gdy tworzył Zetas. Jeśli oddział piechoty morskiej zdezerterowałby dzisiaj, stanowiłby ogromne niebezpieczeństwo. Chociaż Amerykanie szkolą Meksykanów, fakt ten nie powinien być szeroko publikowany, ponieważ mogłoby to wywołać oburzenie meksykańskich narodowców i związałoby wojsku ręce.

Amerykanie muszą działać na rzecz poprawy skuteczności państwa meksykańskiego w walce z kartelami. Długoterminowym rozwiązaniem problemów tego kraju w zakresie bezpieczeństwa jest szkolenie policjantów z prawdziwego zdarzenia, nie zaś umundurowanych przestępców, którzy współpracują z mordercami. Niezależnie od tego, czy ma to być zwarta organizacja, czy rozliczne agencje, powinni w nich pracować zdecydowanie lepsi funkcjonariusze, jest to przedsięwzięcie, które potrwa cale pokolenie, nie da się rozwiązać tego problemu w 5 czy nawet 10 lat. Policjanci muszą być szkoleni, obserwowani, poddawani selekcji. Konieczna jest tutaj pomoc nie tylko sił USA, ale także policjantów z krajów Ameryki Łacińskiej, ponieważ mają oni doświadczenie w pracy w podobnej kulturze i warunkach. Na pierwszy plan wysuwa się rzecz jasna narodowa policja Kolumbii, ale istnieją też inne służby, które mogą pochwalić się dobrą opinią i osiągnięciami. Przykładem tego jest policja Nikaragui, najbiedniejszego kraju Ameryki Środkowej, ale również jednego z najbezpieczniejszych.

Uporanie się z mnóstwem niewyjaśnionych morderstw i in-

nych przestępstw w Meksyku wydaje się zadaniem niewykonalnym. Policja musi więc ustalić priorytety. Aresztowanie drobnych dilerów jest niekończącym się zajęciem, przez które więzienne cele są pełne ludzi, co jednak nie rozwiązuje problemu przemocy ani handlu narkotykami. Jednocześnie dochodzi do porwań dla okupu, które są najbardziej odrażającym i antyspołecznym rodzajem przestępstwa, dla którego nie powinno być tolerancji. Zatrzymanie fali porwań w Meksyku powinno stać na czele policyjnych priorytetów.

„Pozytywnym" aspektem porwań jest to, że można je powstrzymać (czego nie można powiedzieć o handlu narkotykami). Wyjaśnił mi to były prezydent Kolumbii, Cesar Gaviria, w wywiadzie, w którym opowiadał o tym, jak z tą plagą radziła sobie jego ojczyzna w latach dziewięćdziesiątych i czego może nauczyć się Meksyk.

„Uprowadzenia to wynik złej pracy policji. Skuteczna policja zawsze jest w stanie złapać porywacza. Ci przestępcy muszą się ujawnić, nawiązując kontakt z rodzinami i żądając od nich pieniędzy. To pozwala ich namierzyć. Jeśli liczba uprowadzeń zauważalnie spada, oznacza to, że ten biznes stał się nieopłacalny.

Porywacze nie są tak liczni, jak handlarze narkotyków. Jeśli zamknie się jeden gang zajmujący się porwaniami, można zmniejszyć liczbę uprowadzeń, jeśli zdejmie się pięć takich gangów, różnica jest ogromna"**[9]**.

W Kolumbii, tłumaczył mi Gaviria, policja zdecydowanie zajęła się porywaczami i sytuacja wyraźnie uległa poprawie. Kraj z najgorszego pod względem porwań na świecie przeniósł się na 9. miejsce listy, której pierwszą pozycję okupuje Meksyk (a tuż za nim Irak oraz Indie). Większość porwań, do których obecnie dochodzi w Kolumbii, ma miejsce w nękanych wojną prowincjonalnych częściach kraju. W stołecznej Bogocie porwania dla okupu praktycznie się nie zdarzają.

Takie zaangażowane podejście do problemu porwań jest potrzebne również w Meksyku. Gaviria sugerował, by każdy przypadek był rozpracowywany przez federalną jednostkę specjalizu-

jącą się w tym rodzaju przestępstwa. (W obecnym bałaganie częścią porwań w Meksyku zajmują się policjanci federalni, a częścią stanowi, do których ofiary boją się zwrócić o pomoc, podejrzewając, że mogą należeć do gangu). Jeśli dobrze doglądana jednostka federalna uzyska doskonałe wyniki, wzbudzi w ten sposób zaufanie ofiar. A kiedy, zamiast płacić okupy, poszkodowani będą zgłaszali porwania efektywnej policji, kidnaperskie Eldorado się skończy.

Lecz nawet jeśli przeobrazi się policję w Meksyku, *barrio* nadal będą „produkować" kryminalistów. Jeśli nastolatki wciąż będą unikać szkoły, ich rodziny się rozpadać, a ulgę w trudach życia znajdować będą w przyłączeniu się do brutalnego gangu, mafie nie będą narzekały na brak pracowników. Każdy nowy polityk obiecuje redukcję bezrobocia, ale zwykle kończy się na obiecankach. Istnieją jednak sposoby, by leczyć chore społeczeństwo nawet przy ograniczonych środkach.

Władze stolicy uruchomiły program stypendiów mający zatrzymywać młodzież w szkołach średnich. Jeśli uczniom uda się utrzymywać określoną średnią ocen, dostają świadczenie finansowe, które pomoże im utrzymać się na powierzchni. Program okazał się ogromnym sukcesem, przystąpiło do niego 50 tysięcy nastolatków. Władze miasta twierdzą, że to jeden z głównych powodów, dla którego przestępczość w meksykańskiej stolicy pozostała na poziomie porównywalnym do miast USA, a nie rozrosła się do monstrualnych rozmiarów znanych z Ciudad Juárez albo Culiacán. Te 50 tysięcy młodych ludzi nadal się uczy, zamiast wybrać karierę dilera, gangstera albo zabójcy. Dlaczego nie wprowadza się takiego programu w całym Meksyku? Inwestycja w nastoletnich obywateli może okazać się bardziej opłacalna, niż zamykanie ich w więzieniach, gdy zejdą na przestępczą ścieżkę (125 peso dziennie łoży państwo na utrzymanie więźnia za murami, cena stypendium to 23 peso dziennie)**[10]**.

Czasem dzieciaki potrzebują po prostu więcej uwagi. Sandra Ramirez jest pracownicą socjalną w zachodnich slumsach Ciudad Juárez, skąd pochodzi wielu gangsterów. Pracuje w centrum o na-

zwie Casa, które służy radą, a także prowadzi zajęcia artystyczne, muzyczne i kursy komputerowe. Oferuje również miejsce, gdzie można miło spędzić czas. W skwarny dzień kilkadziesiąt dzieciaków jeździ tutaj na deskorolkach albo, siedząc w cieniu, gra na gitarach. Sandra, która urodziła się w *banio* i pracowała kiedyś w fabryce, poświęca każdemu młodemu człowiekowi dużo czasu i pracy, by uchronić go przed życiem gangstera.

„Jeden z chłopców, z którym tu pracuję, ma czternaście lat i do niedawna uczył się w szkołę podstawowej. Jego matka jest narkomanką, więc z nią nie mieszka. Powiedział mi, że pewnego dnia pojawili się jacyś faceci, których wcześniej nie widział, i zaoferowali mu pięćset peso tygodniowo [czyli 40 dolarów] oraz telefon komórkowy za pracę dla nich. Miał tylko stać na czatach w wyznaczonym miejscu i czasie. Przypadków takich jak ten są w Juárez setki, naprawdę setki. Nikt inny nie wyciągnął do niego ręki. Tylko oni".

Ten chłopiec stoi nad przepaścią, a Sandra i centrum Casa próbują go uratować. Inny nastolatek w ośrodku chwali się swoją twórczością i pokazuje mi obraz przedstawiający jego *barrio.* Ludzie są na nim rozmazani, zanurzeni we mgle. Po jednej stronie widać krwiożerczych mafijnych bossów, po drugiej znajduje się żołnierz, który patrzy jak prawdziwy sadysta. Dzieciaki z *barrio* znajdują się pośrodku. Obraz jest posępny, ale jego twórca mówi, że dzięki niemu pokonał dręczący go stres i odkrył swój talent artystyczny. Kiedy ludzie znajdują w sobie coś wartościowego, ulica i gangi przestają ich pociągać.

Sandra i Casa uratowali życie dziesiątkom dzieciaków, ale w mieście istnieje tylko kilka takich ośrodków. W ogromnej części slumsów zachodniego Ciudad Juárez nie ma czegoś takiego. Samo zaś centrum Casa, bazujące na datkach z organizacji pozarządowych i wsparciu z budżetu państwa, straciło fundusze wraz z wybuchem wojny narkotykowej, czyli w czasie, gdy było najbardziej potrzebne. Być może mała część tych pieniędzy, które idą na jedne z najwyższych na świecie pensji polityków meksykańskich, lub mały ułamek z 1,4 miliarda dolarów z Merida Initiative, za

które Meksyk kupuje śmigłowce Black Hawk, można by przeznaczyć na utrzymanie ośrodków dla młodzieży ze slumsów. Pracownicy społeczni lepiej sprawdzają się w pracy z młodzieżą niż żołnierze.

Na świecie już dwie mafijne stolice przeszły gruntowną odnowę1 dzięki oświeconemu przywództwu. Jedną z nich jest Palermo na Sycylii, czyli ojczyzny prototypowej mafii. Palermo okryło się niesławą także z powodu bandytów i złodziei. Jednak gdy burmistrzem został były profesor uniwersytecki, Leoluca Orlando, i piastował ten urząd przez dwie kadencje w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, miasto przeżywało renesans. Odnowiono 150 zabytkowych budowli, założono parki i oświetlono ciemne ulice. Co jednak najważniejsze, burmistrz zaangażował do tych działań mieszkańców miasta, w tym uczniów, którzy pomagali utrzymać te dobra w doskonałym stanie i zaczęli być z nich dumni. Chociaż jest to być może nieortodoksyjny sposób walki z przestępczością, ta przestępczość w mieście zdecydowanie spadła**[11]**.

Za oceanem, w Medellin, długowłosy matematyk Sergio Fajardo stanął u sterów miasta w 2004 roku i poszedł dalej niż Orlando. Przekierował miejskie fundusze na budowę nowoczesnych kolejek linowych do leżących w górach wokół Medellin dzielnic biedy (zwanych tu *comunas),* wynajął architektów o światowej sławie, by zaprojektowali gmachy publiczne, w tym biblioteki i najlepsze konserwatorium w mieście. Dzięki tym inwestycjom ludzie z klasy średniej zaczęli odwiedzać *comunas*, często po raz pierwszy w życiu. W czasie jego urzędowania liczba zabójstw w mieście zdecydowanie spadła. Kiedy byłem w Medellin, zapytałem Fajarda, czyjego zdaniem taka przemiana byłaby możliwa w mieście tak mrocznym, jak Ciudad Juárez. Odpowiedział bez wahania:

„To musi się stać, nie ma innego wyjścia. To obowiązek władz. Dla mnie to coś na wzór zadania matematycznego. Jak zmniejszyć różnice społeczne w mieście? To proste: najpiękniejsze bu-

dynki trzeba postawić w najbiedniejszych jego częściach".

Krytycy wytykają, że nie tylko Fajardo spowodował spadek liczby morderstw w Medellin. Odniósł sukces także dzięki mafijnemu ojcu chrzestnemu, Diegowi Murillo, zwanemu Don Berna, który kontrolował zabójstwa poprzez swój Urząd Envigado. Ktokolwiek chciał zabijać, musiał mieć jego zezwolenie albo sam ginął. Nawet siedząc za kratkami, Don Berna dbał o pokój w swoim imperium, kiedy jednak w 2008 roku, wysłano go do Stanów Zjednoczonych, jego instytucja rozpadła się w proch i wojny między gangsterami przywróciły dawną liczbę morderstw w Medellin.

W 2010 roku przywódcy społeczni, w tym znany ksiądz oraz były partyzant, udali się na spotkanie z mafijnymi bossami do więzienia w Medellin i wynegocjowali zawieszenie broni. Negocjacje z gangsterami były same w sobie kontrowersyjnym posunięciem, odniosły jednak natychmiastowy skutek: na ulicach ginęło dużo mniej ludzi. Ci ludowi trybuni nie mieli ani wsparcia rządu, ani nic do zaoferowania mafii. Mieli tylko prośbę: „Czy dla wspólnego dobra możecie przestać się mordować?".

Takie starania o zawieszenie broni bez wątpienia przydałyby się meksykańskim miastom zbrodni. Prośba o pokój nie jest sankcjonowaniem zorganizowanej przestępczości, a jedynie apelem do gangsterów, by przestali się zabijać. W Stanach Zjednoczonych stosuje się taką strategię w więzieniach, gdzie negocjuje się pokój między gangami, rozmawiając z nimi. Niektórzy ważni gangsterzy skłaniają się do zaniechania morderstw – nie chcą, by ginęli członkowie ich rodzin. Nie trzeba wcale rozmawiać z bossami w ich pałacach, często mniej ważni ludzie w organizacjach przestępczych widzą sens działania korzystnego dla całej społeczności. Krwawe wojny o teren i zawrotnie wysokie liczby zabójstw nie przyczyniają się do unicestwienia mafii, tylko tworzą atmosferę zagrożenia, w której organizacje przestępcze mogą rozkwitać.

Przed Meksykiem stoi zadanie wyleczenia ran, jakie zostały po

mafijnym rozlewie krwi. Coraz więcej jest sierot narkotykowej wojny, które potrzebują wsparcia, inaczej bowiem staną się kolejnym straconym pokoleniem szukającym krwawego odwetu. Udręczone konfliktami zbrojnymi państwa tworzą narodowe programy pomocy dla ofiar. W niektórych przypadkach sieroty i wdowy potrzebują po prostu pomocy finansowej. Często jednak równie potrzebne jest wsparcie psychiczne.

Obecnie rodziny ofiar wspierają się nawzajem, dzieląc się bólem. W Culiacán spotyka się grupa mężczyzn i kobiet, by rozmawiać o stracie ukochanych osób. Jest tam wiele matek. Nie mogą zapomnieć o tym, jak grzebały swoje dzieci, co pozwała im zrozumieć cierpienie innych osób w podobnej sytuacji.

Alma Herrera, matka, której syn został zastrzelony w warsztacie samochodowym, zabiera mnie pewnego wieczoru na spotkanie z przyjaciółką pogrążoną w bólu. Wybieramy się do parku w centrum Culiacán, gdzie starsi ludzi przychodzą odpocząć, dzieci bawią się przy fontannach, a młode pary flirtują na ławkach. Słońce w Sinaloa tuż przed zmierzchem daje piękne światło, a ulice zalewa intensywny błękit.

Przyjaciółka Almy to czterdziestojednoletnia kobieta imieniem Guadalupe. Jej najstarszy syn, Juan Carlos, został zastrzelony przez policję. Trzyma w rękach jego duże zdjęcie. Widać na nim przystojnego dwudziestotrzyletniego mężczyznę patrzącego prosto w obiektyw. Policjanci nie chcieli go zabić, strzelali do kogoś innego, a Juan Carlos zginął od przypadkowej kuli. Opowiadając tę historię, matka nie może powstrzymać szlochu. Urodziła go, gdy miała 17 lat, nosiła pod sercem, zmieniała mu pieluchy, przyglądała się, jak stawiał pierwsze kroki, wysłała do szkoły, a potem... całowała jego zwłoki.

Guadalupe przyszła na spotkanie z trzymiesięcznym niemowlęciem, które śpi, gdy ona, szlochając, opowiada swoją historię. Nagle dziecko budzi się, po czym znów zasypia. Pytam ją, jak ma na imię. „Juan Carlos”, odpowiada, tak jak jej pierwszy syn, który zginął w strzelaninie. Najmłodszy nosi to imię ku czci zabitego, jego matka ufa, że ten mały człowieczek, gdy dorośnie, stworzy

lepszy świat niż ten, w którym zginął jego brat. My też musimy mieć nadzieję.

Podziękowania

Zagraniczni dziennikarze nie mogliby pisać o wojnie narkotykowej w Meksyku bez pracy i pomocy dziennikarzy meksykańskich i naukowców z tego kraju, dzień po dniu pracujących w bardzo trudnych warunkach. Jestem pod ogromnym wrażeniem profesjonalizmu i szczodrości moich meksykańskich kolegów. Ich lista znajduje się poniżej.

Chciałbym także złożyć specjalne podziękowania tym, którzy zgodzili się udzielić mi wywiadów do tej książki i opowiedzieli swoje tragiczne historie – ryzykując życiem. Oprócz tych, o których napisałem w książce, pomagali mi agenci AFT, DEA, FBI, PGR, funkcjonariusze meksykańskiej policji federalnej i armii, członkowie Kongresu, prawnicy i aktywiści, a także członkowie gangów, przemytnicy, narkomani i kilku... alkoholików.

México City: Diego Osorno, Alejandra Chombo, Daniel Hernandez, Alejandro Almazan, Luis Astorga, Jose Reveles, John Dickie, Marcela Turati, Alfredo Corchado, Dudley Althaus, Guillermo Odor no, Gustavo Valcarcel, Mark Stevenson, Eduardo Castillo, Wendy Perez, Laurence Cuvilliert, Mathieu Com in, Jonathan Roeder, Jason Lange, Jose Cohen, Jose Antonio Crespo, Lorenzo Meyer, Federico Estevez, Ciro Gomez Leyva, Alejandro Sanchez, Alberto Najar, Erique Marti, Jorge Barrera, Marco Ugarte, Olga Rodriguez, Louis Loizides.

Sinaloa: Fernando Brito i *El Debate de Sinloa*, Fidel Duran, Javier Valdez (i personel Guayabo), Ismael Bohoroquez, Froylan Enciso, Vladimir Ramirez, Raul Quiroz, Barbara Obeso, Cruz Serrano, Emma Quiroz, Bobadilla, Arturo Vargas i wszyscy z La Locha, Elmer Mendoza, Lizette Fernandez, Francisco Cuamea, Manuel Insunza, Socorro Orozco, Mercedes Murillo.

Meksyk: Miguel Perea, Justino Mirando, Francisco Casrellanos, Magdiel Hernandez, Jose Maria Alvarez, Vincente Calderon, Victor Jaime, Victro Clark, Luis Perez, Martha Cazares, Miguel Turriza, Jorge Machuca, Jorge Chrez.

Ameryka Środkowa i Południowa: Alfredo Rangel, Oliver Schmieg, John Otis, Wencesiau Rodriguez, Juan Carlos Llorca, Lourdes Honduras, Mery Carcamo, Kenya Torres, Noe Leiva, Karla Ramos, Gustavo Duncan, Otilia Lux.

Stany Zjednoczone: Michael Marizco, Mike „Mad Dog" Kirsch, Elijah Wald, Chris Shively, Darlene Stintson, Dane Schiller, Jim Pinkerton, Tracey Eaton, Tim Padgett, Howard Chua, Tony Karon, Stephanie Garlow, Mark Scheffler, Tomas Mucha, Charles Sennot, Jorge Mujica, George Grayson, Rob Winder.

Specjalne podziękowania dla mojej agentki Katherine Fausset i wydawcy Pete'a Beatty'ego za wiarę w to, że ta książka powstanie. Bez nich nic bym nie zdziałał. A także bez moich rodziców. I mojej żony Myri, która przez ostatnie dziesięć lat znosiła moje „zaangażowanie" w handel narkotykami. Dziękuję Ci.

Literatura

W ‚Ameryce Łacińskiej literatura poświęcona handlowi narkotykami jest tak samo chaotyczna) jak sam proceder. Składają się na nią sprawozdania ze śledztw, głębokie studia naukowe, wyjaśnienia składane przez amerykańskich agentów, bazgroły gangsterów i wspaniale powieści, będące najbezpieczniejszym sposobem opowiadania mrocznych historii. Próbowałem przeczytać wszystko, co zostało napisane o meksykańskich gangsterach, lecz bardzo trudno być na bieżąco, jeśli chodzi o tego typu pozycje, w ostatnich latach bowiem wydano ich sporo. Pozycją, która sie wyróżnia, jest książka Diega Osorna *El Cartel de Sinaloa*, w której, między innymi, znaleźć możemy dzienniki ojca mafiosa Miguela Félixa Gallarda. Książki Jose Revelesa, Julia Schrera, Javiera Valdeza i Marcela Turatiego także wiele wnoszą do skomplikowanego obrazu narkotykowego procederu.

Nadal jednak najważniejsza jest praca Jesúsa Blancornelasa, a szczególnie część zatytułowana *El Cartel: Los Allerano Félix, la mafia mas poderosa en la historia de America Latina*.

Wśród meksykańskich badaczy „narkotykologów" pierwsze miejsce zajmuje Luis Astorga, Szczególnie przydatne były jego książki *El Siglo de las Drogas* i *Drogas Sin Fronteras*.

W zalewie narkopowieści znalazłem wspaniale książki Elmera Mendozy i Alejandra Almazana, a także pozycję autorstwa Hiszpana, Artura Pereza-Reverte'a *Królowa Południa*.

Do rzadkości należą natomiast książki poświęcone meksykańskiemu narkobiznesowi pisane przez autorów anglojęzycznych. Skarbem, ze względu na kontekst historyczny, jest książka Elaine Shannon *Desperados*, opowiadająca o agentach DEA działających w latach osiemdziesiątych. Inna to książka Terrence'a Popp*y Drug Lord,* zawierająca relacje samych handlarzy. Charles Bowden napisał całą serię książek poświęconych tej tematyce, a jego powieść *Down by the River* pozwoliła mi poznać czasy Salinas.

Wśród amerykańskich naukowców najwybitniejszymi znaw-

cami Meksyku są John Bailey i George Grayson. Bardzo pomocna była książka antropologa Howarda Campbella *Drug War Zone* – zawiera ona relacje przemytników z obu stron granicy, inne książki, których lektura bardzo mi pomogła w pisaniu *El Narco,* to: *Distant Neighbors* Alana Ridinga, *Bordering on Chaos* Andreasa Oppenheimera i *Opening Mexico* Julii Preston i Samuela Dilliona.

Przeczytałem wiele książek poświęconych przestępczości zorganizowanej w innych krajach. Czytając *McMafie* Mishy Glenny, zajrzałem za kulisy działalności mafii rosyjskiej, a klasyczna pozycja Roberta Saviana *Gomorra* pozwoliła mi zrozumieć działanie kryminalnej machiny. Dzięki *Cofifesiones de un paraco* Jose Gabriela Jaraby dowiedziałem się, jak powstawały kolumbijskie oddziały paramilitarne i jakie miały powiązania z Meksykiem. *Cocaine* Dominica Streatfielda to wspaniała opowieść o narkotykach jako takich. Lecz to jeden z najwybitniejszych dziennikarzy piszących o mafii w Nowym Jorku, Nicolas Piłeggi, pokazał w swoich książkach, *Casino* i *Goodfellas,* że pozycje poświęcone tej tematyce można czytać jak najbardziej pasjonujące powieści.

Rozdział 1

[1] Porównanie statystyk zabójstw FBI z odpowiednimi statystykami Procuraduría General de Justicia del Distrito Federal z Mexico City

[*] DBA – Drug Enforcement Administration – amerykańska agencja rządowa utworzona w 1973 r.; zajmuje się m.in. walką z handlem narkotykami (przyp. Red.)

[2] Raport Joint Operating Environment 2008 amerykańskiego Dowództwa Sił Połączonych USA

[3] Autor użył określenia smake and mirrors, nawiązując do książki Dana Bauma Smoke and Mirrors: *The War on Drugs and the Politics of Failure*, Little, Brown, New York 1996

[4] Dane dotyczące zabójstw wiązanych z przestępczością zorganizowaną upublicznione przez Departament Bezpieczeństwa Publicznego Meksyku (Secretaria cle Seguridad Publica) w grudniu 2010 r.

[5] Według spisu statystycznego ludności Meksyku kraj ten ma 112 332 757 mieszkańców

[6] Liczba zabitych policjantów podana przez sekretarza bezpieczeństwa publicznego Genara Gardę Lunę 7 sierpnia 2010 r., a następnie uaktualniona w grudniu 2010 r.

[7] Międzynarodowy Fundusz Walutowy w 2010 roku oszacował produkt krajowy brutto Meksyku na 1 004 042 milionów dolarów amerykańskich, co stawia ten kraj na czternastym miejscu w świecie

[8] Światowa lista miliarderów magazynu „Forbes" z 2010 r.

Rozdział 2

[*] Pieśń IV, przekł. Lucjan Siemieński, Ossolineum, Wrocław 2004 (przyp. Red.)

[1] Opisywane miejsce znajduje się w wiosce Santiago de los Caballeros w pobliżu Badiguarato w stanie Sinaloa

[2] Dom rodzinny Joaquina Guzmana znajduje się w wiosce La Tuna. w pobliżu Badiguarato w stanie Sinaloa

[3] Znajomość historii Sinaloa zawdzięczam pracy Sergia Ortegi pt. *Breve Historia de Sinaloa*, Fonde de Cultura Economics, Mexico City 1999

[4] Pokój podpisano 2 lutego 1848 r. w miejscowości Guadalupe w meksykańskim stanie Hidalgo. Opis nowych granic, zamieszczony tam w artykule piątym, rozpoczyna się słowami: *Linia granicy między dwoma Republikami zacznie się w Zatoce Meksykańskiej dziewięć mil od linii brzegowej...*

[5] Pierwszy szczegółowy opis receptorów opioidowych opublikowali w marcu 1973 r, Cartdace Pert i Solomon B, Snyder

[6] David Stuart, Dangerous Garden: *The Quest for Plants to Change Our Lives*. Francis Lincoln Limited, London, 2004

[7] Lo-shu Fu, *A Documentary Chronicle of Sino-Western Relations*, Association for Asian Studies, University of Arizona Press, Tucson 1966

[8] Informacja z badania rządowego *Geografia y estadística de la Republica Mexicana* cytowanego przez Luisa Astorgu w *El siglo de las drogaş: El narco-tráfico, del porfiriato al nuevo milenio*, Plaza Janés, Mexico City 2005

[9] Opisana fotografia przedstawia palarnie opium przy ulicy Malinta w Manili na Filipinach, dostępna jest w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie, nr katalogowy LC-USZ62-103376

[10] Edward Marshall, *Uncle Sam Is the Worst Drug Fiend in the World*, „New York Times", 12 marca 1911 r.

[11] Edward Huntington Williams, *Negra Cocain „Fiends" New Southern Menace,* „New York Times”, 8 lutego 1914 r.

[12] Dokument wysłany przez agenta F.E. Johnsona 16 września 1916 r„ cytowany przez Luisa Astorgę w *Drogas sin fronteras: Los expedientes de una guerra permanente,* Grijalbo, Mexico City 2003

[13] Raport stworzony przez młodszego poborcę Departamentu Skarbu USA G.S. Quate'a z 15 stycznia 1918, cytowany przez L. Astorga w Drogas sin fronteras...

[14] Artykuł Customs *Agents in Gun Battle With Runners*, „El Paso Times", 16 czerwca, 1924 r.

[15] Manuel Lazcano, *Vida en la Vida Sinalense*, red. Nery Cordova, nakład autora, Culiacán 1992.

[16] j.w.

[17] Artykuł Todavia *No han logrado aprehendera „La Nacha"*, „El Continental", 22 września 1933 r.

[18] Vargas Llosa wypowiedział te często cytowane słowa w 1990 roku podczas debaty z pisarzem meksykańskim Octavio Pazem, zorganizowanej przez magazyn „Vuelta"

[19] Dziennikarz Alan Rifling napisał o tej metaforze rozdział w swojej książce *Distant Neighbors: A Portrait of the Mexicans*, Knopf, New York 1985

[20] Lazcano, Vida...

[21] Lazcano, Vida...

[22] List Anslingera do Howarda Lewisa cytowany jest w Drogas sin franteras...

[23] Lazcano, Vida...

Rozdział 3

[1] Palenie marihuany przez Diego Rivierę i innych meksykańskich artystów opisał w książce *Me llamaban el Cornelazo* malarz David Àlfaro Siquieros, Biografias Gandesa, Mexico 1977

[2] Więcej o Coronado Company znaleźć można w dokumentach sądowych: The United States vs. Donald Eddie Moody 778 F.2d 1380 z 4 września 1985 r.

[3] Elaine Shannon, Desperados: *Latin Drug Lords, U.S. Lawmen and the War American Can't Win*, Viking, New York 1988

[4] Nagrania z Gabinetu Owalnego z. 13 maja 1971 r. między 10:32 a 24:20

[5] G. Gordon Liddy *Will: The Autobiography of G. Gordon Liddy*, St. Martin's Press, New York 1910

[6] Przemówienie Richarda Nixona z 18 września 1972 r.

[7] Dekret Richarda Nixona *Executive Order 1127* dotyczący służb do walki z narkotykami z dnia 6 czerwca 1973 r.

[8] Jeden z najbardziej wyczerpujących opisów sprawy Sicilii Falcona znalazł się w artykule *Die gefaerhlichen Geschaefte des Alberto Sicilia* w „Der Spiegel" z 9 maja 1977 r. Ta sprawa jest też szczegółowo opracowana w książce Jamesa Millsa Underground Empire, Dell Publishing, New York 1985

[9] Książka, którą Sicilia Falcon napisał za murami więzienia, zatytułowana jest *El tunel de lecumberri*, Compania General de Ediciones, Mexico, około 1977 r.

[10] Jose Egozi zarejestrowany jest na stronie Cuban Information Archives jako uczestnik inwazji w Zatoce Świń pod kryptonimem R-537, R-710

[11] Luis Astrorga, *El siglo de las drogas*, Plaza Janes, Mexico 2005

[12] Shannon, Desperados...

[13] Fabio Castillo, *Los jinetes de la cocaina*, Editorial Documientos Periodisticos, Bogota 1987

[14] Odtajniony w październiku 1997 r. dokument CIA: Mexico: Increases in Military Antinarcotics Units

[15] Sugestywny opis systemu rewirów w hitach siedemdziesiątych XX

wieku znajduje się w książce Terrence'a Poppa Drug Lord: *The Life and Death of Mexican Kingpin*, Pharos Books, New York 1990

Rozdział 4

[1] Określenie *banana republic* (republika bananowa) pojawiło się po raz pierwszy w książce amerykańskiego pisarza O. Henry'ego *Cabbages and King* s wydanej w 1904 r.

[2] Początki handlu kokainą zastały wyczerpująco opisane przez niewątpliwy autorytet w tej dziedzinie, jakim jest Paul Gootenberg, w książce *Andean Cocaine: The Making of a Global Drug* , University of North Carolina Press, Chapel Hill 2003

[3] Wywiad z Georgem Jungiem przeprowadzony w więzieniu dla programu *Frontline* sieci PBS w 2000 r.

[4] Pablo Escobar na legendarnym zdjęciu przebrany jest za Pancho Ville, nosi sombrero i pasy z amunicją; reprodukcja zdjęcia znajduje się w książce Jamesa Mollisona *The Memory of Pablo Escobar* , Chris Boot, New York 2009

[5] Dokumenty pochodzące z 9th Circuit Court of Appeals U.S. A. vs. Matta Ballesteros, nr 91-50336

[6] Billy Corben, *Cocaine Cowboys* prod. Rakontur, Miami 2006

[7] Artykul Michaela Demaresta *Cocaine: Middle Class High* z magazynu „Time" z 6 czerwca 1981 r.

[8] Oficjalne statystyki zabójstw z wydziału policji Miami-Dade

[9] Zdjęcia Félixa Gallarda zamieścił jego syn na stronie www.miguel-Félixgailardo.com; pozostawły tam do czasu, aż strona została zawieszona

[10] Opisana farma marihuany znajdowała się na runczu El Buffalo nieopodal Jimenez i Camargo w stanie Chihuahua; zlikwidowano ją w listopadzie 1984 r.

[11] Dokumenty pochodzące z 9th Circuit Court of Appeals w sprawie U.S.A. vs. Matta Ballesteros, nr 91-50165 (z 4 stycznia 1993 r)

[12] Félix Gallardo przekazał swoje więzienne dzienniki synowi; opublikowane zostały w książce Diega Osorna *El Cartel de Sinaloa*

[13] Konfiskata ta nastąpiła w miejscowości Yucca w stanie Arizona 27 listopada 1984 r.

[14] Dokumenty sprawy U.S.A. vs. Matta Ballesteros, nr 91-50336

[15] Wydarzenie to opisane jest w książce Elaine Shannon *Desperados*

[16] Przemówienie Ronalda Reagana wyemitowane na żywo 14 września 1986 r.

[17] Pełną treść artykułów z serii *Dark Alliance* wraz z dziesiątkami plików dźwiękowych i innych dokumentów dowodowych umieszczono w sieci pod adresem: www.narconews.com/darkalliance/drugs/start.htm

[18] Raport Senat u USA na temat narkotyków, walki z nimi oraz polityki zagranicznej nazywany jest też *Raportem Kerry'ego* , ponieważ senator John P. Kerry stal na czele przygotowującej go komisji

[19] *CIA Report on Cocaine and Contras* punkt 35. Raport opublikowano w 1998 r. w czasie próby usunięcia z urzędu prezydenta Billa Clintona; dokument ten ignorował potwierdzone fakty z *Dark Alliance*

[20] Szczegółowy opis tych aktów przemocy znajduje się w tekście B. Estrueiusa *Cinco muertos en una manifestadon frente a la embajada norteamericana en Honduras* w „El Pais” z 23 lutego 1988 r.

Rozdział 5

[1] Teksty ballad tłumaczone są przez autora na język polski przełożył A. Górka

[2] Tekst Jesúsa Blancomelesa *Death of a Journalist* w „El Andar" Jesieni 1999 r.

[3] Oficjalne dane pochodzące z United States Trade Representative

[4] Diego Osonto, *El Cartel De Sinaloa* , Grijalbo, Mexico 2009

[5] Jesús Blancornelas, *El Cartel: Los Arellano Félix, la mafia mas poderosa en la historia de la America Latina* , Plaza & Janes, Mexico 2002

[6] j.w.

[7] Raport zatytułowany *Amando Carillo Fuentes* pochodzący z jednostki Operational Intelligence Unit należącej do agencji El Paso Intelligence Center, oznaczony jako „istotny dla DEA”

[8] Polowanie na Pabla Escobara opisane jest szczegółowo w książce Marka Bowdena *Killing Pablo: The* Hunt for the World's Greatest Outlaw , Penguin, New York 2001

[9] Dochodzeniom szwajcarskiej policji kierował Valentin R orschacher; raport powstał w roku 1998, Szczegółow o przedstawiono go w tekście Tima Goldena Questions *Arise About Swiss Report in Raul Salinas's Millions* z „New York Timesa” z 12 października 1998 r.

[10] Tekst Tinia Padgetta i Elaine Shannon *La Nueva Frontera: The Barder Monsters* , „Time” z 11 czerwca 2001 r.

[11] Blancornelas, *El Cartel...*

[12] j.w.

[13] j.w.

[14] Jesús Blancornelas w wywiadzie przeprowadzonym przez Guillerma Lópeza Portillo dla sieci Televisa z roku 2006

Rozdział 6

[1] Fox wypowiedział się w ten sposób w czasie konferencji prasowej w Puerto Vallarla 13 maja 2005 r.

[2] Ten wywiad z Vinecnte Foxem przeprowadziłem w San Francisco del Rincón 25 listopada 2010 r.

[3] Cytat ten pochodzi z programu *Nightline* sieci ABC z 3 czerwca 2000 r., dostęp do zapisu zawdzięczam uprzejmości oddziału ABC w mieście Meksyk

[4] Jose Reveles, *El cartel incómodo: El fin de los Beltran Leyva y la hegemonia del Chapo Guzman* , Random House Mondadori, Mexico 2010

[5] Sławne listy miłosne Chapo Guzmana opublikowano w książce Julia Scherera Garcii *Maxima Seguridad: Almoya y Puente Grande* , Nuevo Siglo Aguilar, Mexico 2001

[6] Ta anegdota jest również wspomniana w książce Diega Osorna *El Cartel de Sinaloa*

[7] Wiele artykułów na temat współpracy rządu federalnego i Kartelu z Sinaloa opublikowano w czołowym magazynie informacyjnym w Meksyku „Proceso", a także w innych periodykach

[8] Juan Nepomuceno, znany także jako Padrino de Matamoros, był ważną osobistością przez ponad pól wieku. Na stare lata udzielił Samowi Dillonowi wywiadu pt. *Matamoros Journal; Canaries in Mexico, but Uncle Juan Will Not* , który opublikowano w „New York Timesie" 9 lutego 1996 r.

[9] Cytat pochodzi z podręcznika Armii USA *Handling Sources* , który upubliczniła organizacja pozarządowa Watch NGO

[10] Informacje o tych atakach znalazły się w komunikacie zapatystów (EZLN) zatytułowanym Sabre el PFCRN, *La ofensiva militar del gobierno, los actos terroristas y el nombramiento de Cammancho* z 11 stycznia 1991 r.

[11] Treść tej rozmowy ujawnił agent z Agencia Federal de Investigacion (AFT)

[12] Agentami byli Joe DuBois z DEA i Daniel Fuentes z FBI

[13] Spotkanie to po raz pierwszy opisał meksykański dziennikarz, Alberto Najar, który uzyskał dokumenty wywiadu od PGR. Doniesienia te

zostały później potwierdzone przez świadków chronionych, z którymi działali agenci federalni

[14] Opisany masowy mord miał miejsce w Nuevo Laredo 8 października 2004 r.

[15] Źródła podawały rozmaite miejscowości jako miejsce urodzenia Lazcana, lecz dowody wskazują na któreś z miasteczek w stanie Hidalgo na pograniczu Veracruz, gdzie zasponsorował przynajmniej dwa kościoły

[16] Szef policji Nuevo Laredo, Alejandro Domínguez, został zamordowany 8 czerwca 2005 r.

[17] Trzydziestosześcioletni Bradley Roland Will został zastrzelony w mieście Oaxaca 27 października 2006 r. Tego samego dnia w strzelaninach w tym mieście zginęło jeszcze co najmniej dwoje ludzi.

[18] Fox wyraził się w ten sposób na swoim blogu 9 sierpnia 2010 r.

Rozdział 7

[*] Przekład Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2004

[1] Felipe Calderón, *El hijo disobediente: Notas en campana* , Aguilar, Mexico 2006

[2] Pierwsza debata prezydencka z 25 kwietnia 2006 r.

[3] Pisałem o tym dla agencji Associated Press w różnych tekstach, np. *Thousands of Mexican Troops Ordered to Arrest Smugglers, Burn Marijuana and Opium Fields* z 12 grudnia 2006 r.

[4] Felipe Calderón wypowiedział się w ten sposób w siedzibie Departamentu Obrony Meksyku 10 lutego 2006 r.

[5] Początkowo Merida Initiative opiewała na 1,6 miliarda dolarów, które miały być przekazane Meksykowi w latach 2008–2010. Pomoc finansową jednak kontynuowano i w roku 2011 prezydent Obama przekazał amerykańskiemu sąsiadowi 334 miliony dolarów

[6] Budżet Meksyku przyjęty w 2011 r. przeznaczał 4,7 miliarda dolarów na Department Obrony (Sedena), 1,46 miliarda dolarów na marynarkę wojenną i piechotę morską (Semar), 2,8 miliarda dla Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego (SSP) oraz 5,76 miliarda na działalność prokuratora generalnego (PGR). W sumie jest to 14,72 miliarda dolarów

[7] Zeznania Edgara Valdeza zarejestrowali i upublicznili agenci Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego (SSP)

[8] Jedna tona kokainy to 1000 jednokilowych paczek lub milion gramowych woreczków

[9] Takie przesłanie od karteli zostało wypisane na transparentach i wywieszone na widok publiczny w kilku miastach Meksyku 12 lutego 2010 r.

[10] Tekst Paquira pt. *Breve tomba-burros culichi Ingles para Corresponsales (de guerra)* , „La Locha" z września 2008 r.

[11] Arturo Beltran Leyva został zabiły 16 grudnia 2009 roku. Informacje o strzelaninie znalazły się w tajnej notatce Departamentu Stanu (ujawnionej później przez WikiLeaks), noszącej tytuł *Mexico Navy Operation Nets Drug Kingpin Arturo Beltran Leyva* z 17 grudnia 2009 r.

[12] Dane rządu meksykańskiego porównujące liczbę zabójstw do stanu

populacji wykazały, że w Ciudad Juárez na 100 tys. mieszkańców popełniono w 2009 r. 191 zabójstw. W 2010r. liczba ta wzrosła tło 229 na 100 tys. Według statystyk FBI miastem w USA, gdzie najczęściej dokonuje się zabójstw, jest Nowy Orkan – w2009 roku na 100 tys. mieszkańców przypadały 52 zabójstawa

[13] Szacunek mówiący o 10 tys. członkach Zetas podał pracownik CISEN, meksykańskiej agencji wywiadowczej, na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi w 2010 r.

[14] Meksykańska Narodowa Komisja Praw Człowieka (Comisión Nuokmal de los Derechos Humanos) podała na konferencji prasowej w Meksyku 22 listopada 2010. że była w posiadaniu akt 100 osób cywilnych zabitych przez policjantów i żołnierzy

[15] Jeden z sekretarzy departamentu obrony USA, Joseph Westphal, wypowiedział ten komentarz; w Hinckley's Institnte of Politics na Uniwersytecie Utah 8 lutego 2011 r.

Rozdział 8

[1] Statystyki przechwyceń kontrabandy pochodzą z amerykańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (Departament of Homeland Security), do którego należą różne służby ochrony granic (Border Patrol i Ports of Entry)

[2] Źródło danych: *2010 World Drag Report* opublikowany przez Biuro Narodów Zjednoczonych ds. narkotyków i przestępczości (UNODC)

[3] Funkcjonariusze amerykańskiego Border Patrol odkryli mający nieco ponad 730 metrów tunel w Otay Mesa w styczniu 2006 r. Jest to jak dotychczas najdłuższy odnaleziony tunel tego typu

[4] Badanie *National Survey on Drug Used Health*

[5] Badania pod nazwa *What America's User's Spend on illegal Drugs, 1988–2000* (Ile amerykańscy konsumenci wydają na narkotyki) zostały przygotowane na zlecenie Office of National Drug Control Policy (Narodowe Biuro Kontroli Substancji Odurzających) przez prywatnych zleceniobiorców

[6] Źródło: roczny raport za rok 2009 Petroleos Mexicanos (Pemex)

[7] Wartości pochodzące z Bank of Mexico, obliczone na podstawie przelewów elektronicznych i standardowych małych kwot

[8] Sekretarz bezpieczeństwa publicznego, Genaro García Luna, użył takiego sformułowania podczas przemówienia na konferencji gubernatorów Meksyku w Puerto Vallaría 7 sierpnia 2010 r.

[9] Materiał Jasona Lange'a pt. *From Spas to Banks, México's Economy Rides on Drugs* dla agencji Reuters z 22 stycznia 2010 r.

[10] Ta czarna lista nosi nazwę *List of Specially Designated Nationals and Blocked Persons* i jest publikowana przez Biuro Kontroli Kapitału Zagranicznego (Office of Foreign Assets Control) Departamentu Skarbu USA

[11] *World Drug Report 2009* opublikowany przez Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC)

[12] Wywiad ten został przeprowadzony w maju 2007 r., lecz ujrzał światło dzienne dopiero w lipcu 2007 r. po tym, jak agencja AP próbowała zweryfikować ujawnione w nim tajne dane. Zwłoka ta wywołała lawinę teorii spiskowych na temat mediów w Meksyku

Rozdział 9

[1] Rozdział o Cyganie znajduje się *w* książce Diego Osorno *El Cartel de Sinaloa,* Grijalbo, Mexico 2009

[2] Jose Gonzalez, *El Negro del Nego Dnrazo: La biografia criminal de Durazo, eserita por su Jefe de Ayudantes* , Memorial Posada, Mexico 1983

[3] Tabio Castillo, *Los Jinetes da Cocaina* , Editorial Documents Periodisticos, Bogota 1987

[4] Statystyki zabójstw pochodzą z Kolumbijskiego Instytutu Medycyny Prawnej i Badań Sądowych

[5] Policjanci zastrzelili Pabla Escobara w Medellin 2 grudnia 1993 r.

[6] Bezrobocie wśród kolumbijskiej młodzieży wynosi 22 procent (około dwa razy większe niż ogólne bezrobocie w tym kraju), dane z marca 2010 r„ kiedy przeprowadzałem ten wywiad

[7] Piosenka *Oficio Pistolero* kapeli Grupo Cartel grające muzykę *norteño*

[8] Skandal dotyczący więźniów opuszczających więzienia na noc, by popełniać morderstwa, wybuchł 25 czerwca 2010 r., wywołując polityczną burzę

[9] Spis ludności Meksyku z 2010 r. podawał liczbę 1 328 000 mieszkańców w granicach miasta Ciudad Juárez

[10] Dane z badania *Todo Samos Juárez, Reconstruyamos La Ciudad* przeprowadzonego na zlecenie: rządu (Colegio de la Frontera Norte, Ciudad Juárez, marzec 2010 r.)

[11] Maksymalne wyroki dla nieletnich są różne w różnych stanach Meksyku i zależą od wieku skazanych, nigdzie jednak nie przekraczają 5 lat. W stanie Morelos osoby poniżej szesnastego roku życia można skazać na 3 lata. F:akt ten zwrócił uwagę po aresztowaniu w grudniu 2010 r. cz.ternastolatka oskarżonego o morderstwa, Edgara Jimeneza, noszącego pseudonim Ponchis

Rozdział 10

[1] Pierwsze znane rymowane podanie o Robin Hondzie zaczyna się od słów: Robyn hode in scherewode stod...

[2] Zeznanie Edgara Valdeza zostało zarejestrowane przez agentów Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego (SSP) i przekazane mediom

[3] Vincente T. Mendoza, *El Romance Espanol y Ei Corrido Mexicono: Estudio Comparativo* , Universidad Nacional Autonoma de Mexico, Mexico 1939

[4] Americo Paredes, *With His Pistol in His Hand* , University of Texas Press, 1958

[5] Sam Quinones, *True Tales from Another Mexico; The Lynch Mob, the Popsicle Kings, Cholino and the Bronx* , University of New Mexico Press, Albuquerque 2001

[*] Krajowy Związek Myślistwa Sportowego

[6] Valentina Elizalde zamordowano w miejscowości Reynosa 25 listopada 2006 r.

[7] Grób Valentina Elizalde znajduje się w mieście Guassave w Sinaloa

Rozdział 11

[*] Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań 2003

[1] Kardynał Norberto Riviera wydał oświadczenie potwierdzające i ganiące powszechne datki na Kościół od *narcos* w gazecie parafialnej „Desde la Fe" z 31 października 2010 r.

[2] Słowa pochodzą z piosenki *Corrido a Malverde* Julia Chaideza

[3] Przed najazdem hiszpańskim w 1521 r. miasto Meksyk nosiło nazwę Tenochtitlan i w jego obrębie znajdowała się dzisiejsza starówka, w tym Tepito i inne

[4] aktorka i tancerka Niurka Marcos pochodząca z Kuby wyszła za aktora Bobby'ego Lanosa w lutym 2004 r.; ceremonię poprowadził David Romo

[5] Kościół Romo zarejestrowano w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (Gobernación) jako Iglesia Católica Tradicional Mexico-EEUU. Gobernación anulowało tę rejestrację w kwietniu 2007 r.

[6] Życie i śmierć Jonathana Legarii opisane są szczegółowo w tekście Humberta Padgetta *Vida, Obra y Fin de Padrino Endoque, el ahijado de la Santa Muerte* w „Emeequis" z 1 września 2008 r.

[7] Ciała te znaleziono w stanie Yucatan 28 sierpnia 2008 r. Trzy osoby oskarżone o to morderstwo aresztowano w pobliskim Cancun 2 września 2008 r.

[8] Mictecacihuatl znana jest także jako Catrina i przedstawia się ja jako szkielet podobny do Świętej Śmierci

[9] Gangsterzy dokonali tego odrażającego czynu w miasteczku Uruapan 6 sierpnia 2006 r.

[10] John Eldredge, *Wild at Heart: Discovering the Secret of a Man's Soul* , wyd. org. Thomas Nelson, Nashville 2001, wydanie polskie: *Dzikie serca tęsknoty męskiej duszy* , W Drodze, Poznań 2003

[11] Armando Valencia Curnello, rzekomo potężny mafijny *capo* w Michoacan, został aresztowany 15 sierpnia 2003 r.

[12] Opublikowano w „La Voz de Michoacan" 22 listopada 2006 r.

[13] Servando Gómez alias Tuta zadzwonił do programu *Voz y Salación* prowadzonego na żywo przez Marcosa Knappa 15 lipca 2009 r.

[14] Nazario Moreno miał zostać zastrzelony w Apatzigan 9 grudnia 2010 r.; miał czterdzieści lat

Rozdział 12

[1] *Breaking Bad* , produkcja Vince Gilligan, seria 2, odcinek siódmy z 19 kwietnia 2009 r.

[2] Alajandro Alzman, *Entre Perros* , grijalbo Mondadori, Mexico 2009

[3] John P. Sullivan i Adam Elkus, *Cartel vs. Cartel: Mexico's Criminal Insurgency* opublikowany w „Small Wars Journal" ze 26 stycznia 2010 r.

[4] Raport pt. *Joint Operating Envirement 2008* wydany przez Dowództwo Połaczonych Sił z siedzibą w Wirginii

[5] Clinton powiedziała te słowa w czasie spotkania Rady Stosunków Międzynarodowych w Waszyngtonie 8 września 2010 r.

[6] *Merriam Webster's Collegiate Dictionary* , 11th ed., 2013

[7] Stanowisko Departamentu Stosunków Międzynarodowych Meksyku z 9 lutego 2011 r.

[8] Eric Hobsbawm, *Primitive Rebels: Sttudies in Archaic Forms of Social Movement in the 19th and 20thcenturies* , Manchester University Press, Manchester 1959

[9] Opracowanie Stephena Metza pt. *The future of Insurgency* dla Strategie Studies Institute z 10 maj a 1993 r.

[10] Przesłuchanie przeprowadził wywiad wojskowy po jego aresztowaniu 3 kwietnia 2008 r. w Salina Cruz w stanie Oaxaca

[11] Servando Gomez alias Tuta zadzwonił do programu *Vuz y Saludan* prowadzonego na żywo przez Marcosa Knappa 15 lipca 2009 r.

[12] Strzelcy zabili kandydata PRI Rodolfo Terre 28 czerwca 20J0 r. Jego brat przejął jego kandydaturę i został wybrany na gubernatora stanu Tamaulipas

[13] Tekst z pierwszej strony „El Dario de Juárez" z 19 września 2010 r.

[14] Przesłuchanie Miguela Ortiza przeprowadzone zostało przez członków Secretaria de Seguridad Publica, meksykańskkgo Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego

[15] Zamach na Minervę Bautistę miał miejsce na obrzeżach miasta Morelia 24 kwietnia 2010 r.

[16] Film szkoleniowy rzekomych członków Resistencii upubliczniono w lutym 2011 roku

[17] Liczby te pochodzą z meksykańskiego Departamentu Obrony (Sedena)

[*] Buraeu of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosive – Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz M ateriałów Wybnchowych

[18] Raport pt. *Combating Arms Trafficking* wydany przez ambasadę USA w Mexico City w maju 2010 r.

[19] Konfiskata ta miała miejsce w Laredo w stanie Teksas 20 maja 2010 r.

[20] Tekst Nicka Miroffa i Williama Bootha pt. *Mexican drug cartel's newest weapon: Cold War-era grenades made in U.S.* r „Washington Post" z 17 lipca 2010 r.

[21] Żołnierze piechoty morskiej zastrzelili Ezequiela Cárdenasa w Matamoros 5 listopada 2010 r.

[22] Z raportu pt. *Advisory: Explosives Theft by Armed Subjects* wydanego przez US Bomb Data Center (centrum informacji o materiałach wybuchowych USA) z. 16 lutego 2009 r.

[23] Zeznania Noe Fuentesa ujawniło SSP po aresztowaniu go w Ciudad Juárez 13 sierpnia 2010 r.

[24] Ciała te znaleziono 28 sierpnia 2008 r. w stanie Yucatan

Rozdział 13

[*] Imigration and Cutoms Enforcement – Agencja do spraw Przestępstw Celnych i (nielegalnej) Imigracji

[1] Pierwszy skandal wybuchł w roku 2005, o czym pisał Alfredo Corchado w „Dallas Morning News”. O drugim, z 2009 r., pisały liczne agencje informacyjne

[2] Andres Lopez, *El Cartel de los Sapas*, Planeta, Bogota 2008 r.

[3] Szczegóły sprawy Cárdenasa wyszły na jaw dzięki serii artykułów Dane'a Schillera w „Houston Chronicle” z. 2010 r.

[4] Przemówienie Richarda Nixona z 18 września 1972 r.

Rozdział 14

[1] Źródło: *FBI Uniform Crime Reports 2004–2010*

[2] Dane pochodzą z Departamentu Policji w Phoenix

[3] j.w.

[4] j.w.

[5] Źródło: *Cities in Which Mexican DTO's Operate Within the United States* z 11 kwietnia 2008 r. zaktualizowane w „National Drug Threat Assessment 2009” z lutego 2009 r.

[6] Oskarżenie z U.S. District Court, Northern District of Illinois, Eastern Division w sprawie USA v, Arturo Beltran Leyva

[7] Ze znakomitego filmu dokumentalnego *Blood River: Barrio Azteca* , seria 5, odcinek czwarty, emitowany przez History Channel 18 czerwca 2009 r.

[8] Zamachy na pracowników konsulatu miały micjscie w Ciudad Juárez 13 marca 2010 r.

[9] Źródło: dokumenty sprawy Rosalio Reta v. State of Texas z 49th Judicial District Court w Teksasie, zarchiwizowanych 3 marca 2010 r.

[10] Z raportu pt. *Precursors and chemicals frequently used in the illicit manufacture of narcotic drugs and psychotropic substances* sporządzonego przez Internatinal Narcotics Control Board z 19 lutego 2009 r.

[11] Generał Julian Aristides Gonzalez został zastrzelony w Tegucigalpie 8 grudnia 2009 r.

[12] Pogrzeb odbył się w Tegucigalpie 9 grudnia 2000 r.

Rozdział 15

[1] 6 milionów peso miało w 2011 r. wartość mniej więcej 500 tysięcy dolarów

[2] Wyniki badań opublikowane 7 września 2010 r. przez niższa izbę meksykańskiego Kongresu (Camara de Diputados) oparte na oficjalnych danych

[3] Osoby stojące na czele Izby Handlu Ciudad Juárez oraz Stowarzyszenia Zakładów Montażowych tego miasta wzywały Narody Zjednoczone do działania w listopadzie 2009 r. UN odpowiedziały, że aby działać, potrzebuje oficjalnej prośby ze strony rządu Meksyku

[4] Daniel Arzimendi został aresztowany w Naucalpan w stanie Meksyk 17 .sierpnia 1998 r. Odsiaduje wyrok 50 lat więzienia

[5] Vincente Fernandez oświadczył, że gotów jest oddać swoje palce na przeszczepy dla syna, ale zostało mu to wyperswadowane przez lekarza

[6] Rosario Mosso Castro, *Secuestradores Vienen de Sinaloa* w magazynie „Zeta", wydanie 1721 z 2007 r.

[7] Comision National do Derechos Humanos, *Informe especial sobre los casosde secuestro contra imigrantes* , 15 czerwca 2009 r.

[8] Amnesty International, *Mexico: Invisible Victims. Migrants on the Move in Mexico* , 28 kwietnia 2010 r.

[9] Uratowany z rzezi skontaktował się z żołnierzami piechoty morskiej 23 sierpnia 2010 r. Uważa się, że masakra miała miejsce 21 lub 22 sierpnia

[10] Z badania rządowego *Encuesta Nacional de Ocupación y Empleo Instituto National* opublikowanego przez Institutio Nacional de Estadistica y Geografia (Inegi) 13 sierpnia 2010 r.

[11] Diego Gambetta, *The Sicilian Mafia: The Business of Private Protection* , Harvard University Press, Cambrigde 1993, wydanie polskie *Mafia sycylijska. Prywatna ochrona jako biznes* . Oficyna Naukowa, Warszawa 2009

[12] Szacunki te pochodzą z Pemexu

[13] Roczny raport Pemexu z 4 marca 2011 r.

Rozdział 16

[1] Zedillo, Gaviria i Cardoso umieścili te zdania w dokumencie pt. *Drogas y democracia: Hacia en cambio de paradigma* z 11 lutego 2009 r.

[2] Szacunki z pracy profesora Harvardu Jeffreya Mirona i Katherine Waldock z New York University pt. *The Bagdetary Impact of Ending Drug Prohibition* , Cato Institute, 2010

[3] Te porozumienia to: „The United Nations Convention Against Illitic Traffic in Narcotic Drugs and Psychotropic Substances" z 1988 r., „Convention on Psychotropic Substances" z 1971 r. i „Single Convention on Narcotic Drugs" z 1961 r.

[4] Prawo o niekaraniu za posiadanie niewielkich ilości narkotyków w Meksyku weszło w życie 20 sierpniu 2009 r.

[5] RAND Corporation, *Legalizing Marijuana in California Will Not Dramatically Reduce Mexican Drug Trafficking Revenues* z 12 października 2010 r.

[6] Konfiskata marihuany miała miejsce 18 października 2010 r. Pacjenci ośrodka odwykowego zostali zastrzeleni 24 października

[7] Tajna notatka Departamentu Stanu ujawniona później przez WikiLeaks, pt. *Mexico Navy Operation Nets Drug Kingpin Arturo Beltran Leyva* z 17 grudnia 2009 r.

[8] Tajna notatka Departamentu Stanu ujawniona przez WikiLeaks, pt. *Scenesetter for the Opening of the Denfense Bilateral Working Group* , utworzona 29 stycznia 2010 r.

[9] Z wywiadu, który przeprowadziłem z Gaviria w Mexico City 22 lutego 2010 r.

[10] Liczba ta została przekazana dziennikarzom przez sekretarza ds. oświaty miasta Meksyk Maria Delgada 6 grudnia 2010 r.

[11] Leoluca Orlando był burmistrzem Palermo w lalach 1985–1990 i 1993–2000